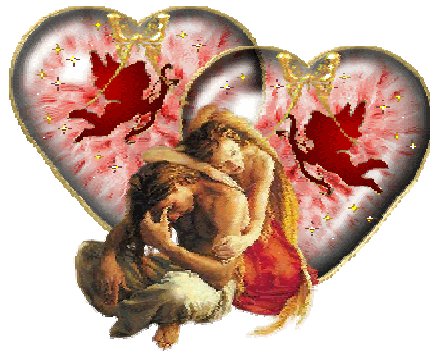




Liz Carlyle



PIĘKNA
JAK NOC

Tytuł oryginału: *Beauty Like the Night*



Prolog

W którym stary diabeł marnie kończy

Październikowa mgła ścieliła się ciężkim dywanem w dolinach Gloucestershire.

Sędzia Camden Rutledge wstał przed świtem, by jak zwykle rozpocząć kolejny dzień czarną kawą i dwiema kromkami chleba, cienko posmarowanego masłem. Dlatego też, zanim rozległy się mrozące krew w żyłach wrzaski, zdążył już, usadowiwszy się w pomieszczeniu, które było - przynajmniej do niedawna - czytelnią jego ojca, przez całą godzinę zająć się niezbyt radosną czynnością, polegającą na skrupulatnym przeglądaniu finansów majątku.

Ze względu na staromodną uprzejmość, pomieszczenie to zawsze nazywano „czytelnią ojca”, mimo że nikczemny stary diabeł nigdy niczego tam nie czytał, jeśli pominąć podręczniki do hazardu, a już na pewno nie zaglądał do ksiąg rachunkowych. Zaiste, stara gospodyni majątku, Chalcote Court, częstokroć przysięgała, że na jej oczach hrabia Treyhern nawet na moment nie wsadził nosa w drzwi czytelni, chociaż było powszechnie wiadome, iż wsadził ręce pod ubranie pewnej urodziwej pokojówki w korytarzu dokładnie naprzeciwko rzeczonych drzwi, co miało miejsce podczas pewnej hucznej sylwestrowej zabawy.

Odsuwając na bok kwestię ojcowskiego braku wykształcenia, Cam musiał oderwać się od swego zajęcia, utraciwszy całą koncentrację, gdy dokładnie kwadrans po siódmej rozległy się wspomniane wcześniej wrzaski. Pochodziły one bez wątpienia od osobnika płci żeńskiej, gdyż Cam stwierdził, że są głośne, przenikliwe i nieustające. Hałas rozchodził

się po zabytkowych korytarzach Chalcote, odbijał się od pokrytych gobelinami ścian i powodując ciekawość służących, którzy natychmiast wybiegli ze spiżarni, kuchni i piwnic, aby koniecznie zobaczyć, jakie też łobuzerstwo wymyślił tym razem starszy pan. Wszyscy - a przynajmniej Camowi tak się wydawało - minęli drzwi gabinetu, głośno stukając podszwami butów o dębową podłogę w szaleńczym biegu do miejsca, skąd dobiegał harmider.

Odciągnięty od i tak niemożliwej do wykonania pracy, Cam sycząc ze złości, gwałtownie wstał z krzesła i ruszył w kierunku drzwi, które dokładnie w tej samej chwili otworzyły się i do środka wszedł posuwistym krokiem kamerdyner. Wyglądał nieco bardziej blado niż zwykle.

- Obawiam się, że to ta nowa guwernantka, panie Rutledge - wyjaśnił Milford bez zbędnych wstępów.

Wiedział, że młody pan woli przyjmować złe wiadomości tak samo, jak wychylać whisky: szybko, bez domieszek i niezbyt często.

Zdegustowany Cam rzucił pióro na blat biurka.

- Na Boga, co tym razem?

Poszarzały na twarzy kamerdyner zawahał się.

- Ona jest na korytarzu na górze, *sir*.

Cam uniósł jedną ze swych prostych, czarnych brwi.

- Przecież to wyraźnie słyszę, Milfordzie.

- No i ona... chciałem powiedzieć, jest w dość odkrytym negliżu, *sir*.

Tym razem Cam uniósł obie brwi.

- Czyżby? Czy ktoś nie może podać jej okrycia? Tymczasem wrzaski nieco osłabły. Milford odchrząknął z godnością.

- Tak, *sir*. Pani Naffles już się tym zajęła, ale znacznie większy niepokój budzi obecnie Jego Lordowska Mość. Obawiam się, że... że guwernantka była... była w sypialni pana ojca... no i...

- Niech to wszyscy diabli, Milford! - Cam mimowolnie dotknął dłońmi skroni. - Tylko mi tego nie mów!

- *Sir* - odezwał się smutnym głosem kamerdyner - obawiam się, że stało się najgorsze...

Cam czuł silne pulsowanie pod czaszką. Usiłował wywołać w sobie uczucie apatii. Wziąwszy pod uwagę sprośne upodobania ojca, zażenowanie było raczej nieuniknione.

- No cóż, jego widok z gołym tyłkiem jest zaiste ohydny - rzucił beznamiętnie. - Chyba sam też powinienem zacząć wrzeszczeć.

- Tak... to znaczy, chciałem powiedzieć, że nie... - Milford pokręcił głową, jakby chciał odzyskać zdolność ostrego widzenia. - W rzeczy samej, pan Rutledge... a raczej powinienem powiedzieć... Jego Lordowska Mość ma całkowicie goły tyłek, znaczy się, jest zupełnie nagi. Ale oprócz tego, *sir*, on... on...

- Na litość boską, człowieku! Wykrztuś to wreszcie!

- On nie żyje.

- Nie żyje... ? - Cam patrzył z niedowierzaniem na służącego. - Nie żyje, to znaczy... ? - Wykonał nieznaczny gest ręką.

- Po prostu nie żyje, *sir*. Normalnie. Ośmielę się stwierdzić, że to od nadmiernego wysiłku, jeśli pan zechce mi wybaczyć moją impertynencję. - Milford odczuł wyraźną ulgę, bo wreszcie wyrzucił z siebie złą wiadomość. - Pani Naffles twierdzi, że to z pewnością była apopleksja, gdyż Jego Lordowska Mość poczerwieniał na twarzy bardziej niż zwykle,

przybrał barwę zepsutego burgundzkiego wina. A oczy wyszły mu na wierzch bardziej niż... to już nieistotne. W każdym razie, mężczyzna w tak zaawansowanym wieku... i guwernantka, panna Eggers... kobieta pełna wigoru... i te jej...

- Tak, te jej bez wątpienia wyjątkowe płuca - wtrącił sucho Cam.

Wrzaski już ucichły, a ich miejsce zajęło ciężkie, histeryczne łkanie.

- Tak jest, *sir*. Całkiem dobre... płuca. Cam wziął pióro i zważył je w dłoni.

- Gdzie jest moja córka? Mam nadzieję, że oszczędzono jej tego widoku?

- Ależ tak, proszę pana! Panienska Ariane jest jeszcze w łóżku w szkolnym skrzydle domu.

- To dobrze. - Cam usiadł. - No cóż, dziękuję ci, Milfordzie. To na razie wszystko.

- Dziękuję, *sir*... chciałem powiedzieć, milordzie. - Kamerdyner zaczął wycofywać się z pomieszczenia, lecz wtem stanął. - Aha, jeszcze jedna sprawa, milordzie... co właściwie mamy teraz zrobić? Chodzi mi o tę młodą damę, pannę Eggers.

Cam przysunął krzesło bliżej biurka i otworzył kolejną księgę. Nie podnosząc wzroku, zaczął wpisywać równiutkie cyfry w idealnie pionową kolumnę na skraju strony.

- A właściwie to od kiedy - odezwał się w końcu - panna Eggers grzała łóżko mego ojca? I czy robiła to chętnie?

Służący nawet nie próbował udawać, że nic nie wie. Splótłszy dłonie na plecach, szczupły i kościsty, spojrzął w sufit, dokonując w myślach obliczeń.

- Gospodyni twierdzi, że od dwóch miesięcy. Podobno zanosilo się na to, że miała zostać następną lady Treyhern.

- Więc sprawa jest jasna. Ja z pewnością jej nie poślubię, więc odeślij ją pierwszym dyliżansem pocztowym do Londynu.

- Tak jest, milordzie. A co... z ciałem? Opierając łokcie na biurku, Cam westchnął ciężko i oparł głowę na dłoniach.

- Po prostu wezwij księdza. Więcej już nie mogę zrobić dla ojca. Teraz jest na łasce bożej, a nie mojej. I wcale Panu Bogu nie zazdroszczę.

* * *

W oczach Heleny de Severs pojawił się błysk podekscytowania nowym wyzwaniem. Uniosła podbródek i z pewną siebie miną popatrzyła badawczo ponad mahoniowym lśniącym biurkiem na starego mężczyznę, który odchylił się do tyłu w fotelu i spoglądał na nią z wyższością. Za otwartym oknem turkot karet i wozów przejeżdżających ulicą Threadneedle Street mieszał się z ostrym głosem porannego straganiarza, który kierował się ku Bishopsgate, poza mury starego City.

Tętniąca życiem ulica pod oknem gabinetu czyniła panujące w pomieszczeniu milczenie jeszcze bardziej dokuczliwym. W końcu starszawy prawnik pochylił się do przodu, rozsunał długie, cienkie palce na połyskującym blacie biurka, tak jakby zaraz zamierzał wstać i odprowadzić swojego młodego gościa do drzwi.

Jednak zamiast tego donośnie odchrząknął i zaczął stukać patykowatym palcem o mebel, jakby chciał nadać swoim ostrzeżeniom jeszcze większą wagę.

- Panno de Severs, musi pani zrozumieć wszystkie okoliczności tej sytuacji - wyjaśnił, ściągając krzaczaste, białe brwi. - Obawiam się, że

dziecko lorda Treyhern jest, hm, dość... jak by to powiedzieć?

Specyficzne.

Już wcześniej siedziała sztywno na krześle, lecz teraz Helena de Severs uniosła się jeszcze o cal lub dwa wyżej. Była wysoką kobietą, którą niełatwo dawało się wystraszyć, więc ten ruch zwykle robił odpowiednie wrażenie.

- Co proszę? - spytała wyniośle. - Mówi pan, że to dziecko jest... jakie?

- Specyficzne. To znaczy anormalne - odparł zimno adwokat.

Helena stłumiła narastający gniew.

- Przywykłam do niełatwych zleceń, panie Bright-smith - powiedziała, uśmiechając się z przymusem zaciśniętymi ustami. - Rozumiem, że właśnie trudność owego zadania jest powodem, dla którego tu się znalazłam, czyż nie? Mimo wszystko słowa „specyficzne” i „anormalne” brzmią raczej okrutnie w odniesieniu do każdego dziecka.

Prawnik wzruszył ramionami.

- W rzeczy samej, dano mi do zrozumienia, że ta dziewczynka może być beznadziejnie upośledzona. Po prostu tego nie wiemy, i faktycznie może się okazać, że niewiele zdoła pani dokonać. Lecz lord Treyhern najwyraźniej... nie traci nadziei. Pragnie zatrudnić do dziecka kogoś z odpowiednim doświadczeniem.

Helena przez dłuższą chwilę wstrzymywała oddech oraz słowa cisnące się jej na usta. Od powrotu z zagranicy jej życie w Londynie było przeraźliwie nudne. Co więcej, kolejne trzy miesiące takiej beczynności mogły bardzo uszczuplić jej skromne oszczędności. Naprawdę rozpaczliwie potrzebowała tej pracy - i to nie tylko dla pieniędzy. Ze

względu na wiek i stan zdrowia babci, Helena musiała pozostać teraz w Anglii. Lecz przede wszystkim potrzebne jej było wyzwanie, gdyż pomimo wszelkich usiłowań, nie potrafiła być szczęśliwa bez swojej pracy.

Jednakowoż z pewnością nie uzyska tej posady, denerwując tego raczej niezbyt oświeconego adwokata lorda Treyhern. Przypomniała sobie, że jest przeszkolona w nauczaniu dzieci, nie zaś pouczeniu nadętych starców. Opanowawszy się więc, machnęła obojętnie dłonią odzianą w elegancką rękawiczkę, po czym obdarzyła pana Brightsmitha swym najbardziej czarującym uśmiechem. Helena doskonale zdawała sobie sprawę, że tym sposobem jest w stanie zmiękczyć najbardziej nieprzejednanych mężczyzn, gdyż widziała, jak niejednokrotnie czyniła to - i bezlitośnie wykorzystywała - jej niedawno zmarła matka.

- Szanowny panie Brightsmith, jestem pewna, że okażę się pomocna Jego Lordowskiej Mości - odezwała się. - Proszę, niech mi pan powie, co wie o tym dziecku. Człowiek z pańskim doświadczeniem może być niezwykle przydatny w takiej sytuacji.

Adwokat najwyraźniej się udobruchał. Poszukał chwilę w dokumentach i po chwili wyjął kartkę kancelaryjnego papieru.

- No cóż, Ariane ma około sześciu lat. Mieszka w Gloucestershire ze swoim owdowiałym ojcem, lordem Treyhern, który polecił mi znaleźć... wyjątkową nauczycielkę. O wysokich kwalifikacjach i mającą doświadczenie z takimi przypadkami. - Zawahał się. - Obawiam się, panno de Severs, że to już niemal wszystko, co wiem.

- A przypadłość tego dziecka... ?

- Przypadłość? - Popatrzył na Helenę. - No cóż, to dziecko nie mówi!
To niemowa!

Znowu poczuła narastający gniew, tak że zapomniała o kolejnym uśmiechu.

- Niemowa? - rzuciła wyniośle. - Czy to oznacza, że nie umie mówić? Czy że nie ma ochoty?

Mężczyzna zjeżył się nieco.

- Panno de Severs, czy istotnie występuje tu jakaś różnica, o której nie mam pojęcia? Sprawa jest prosta: dziewczynka nie mówi.

Częstokroć ta różnica miała ogromne znaczenie, lecz Helena nie chciała rzucać pereł przed wieprze. Zamiast tego, oparła się wygodniej na krześle, do tej chwili zupełnie nieświadoma faktu, że bezwiednie pochylała się do przodu.

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Ale czy dziewczyna nigdy nie mówiła? Nawet gdy była bardzo mała?

Adwokat uniósł białe brwi.

- Ależ... mówiła! Gaworzyła jeszcze jako niemowlę. Ale teraz jakby utraciła zdolność mówienia.

- Ach tak. Studiowałam kilka takich przypadków.

- Naprawdę? - Stary prawnik zdawał się być pod wrażeniem, lecz po chwili uświadomił sobie, że przecież ma do czynienia tylko z kobietą, więc szybko przestał się zachwycać. - Dziewczynka wygląda w zasadzie normalnie. Sam ją widziałem. Ale ma coś takiego... dzikiego w oczach.

- A czy może mi pan powiedzieć, co się z nią stało, panie Brightsmith? - spytała dość ostro. Jednak dostrzegłszy jego wyniośle spojrzenie, z szacunkiem opuściła wzrok. - Rozumie pan, nie będę mogła

skutecznie pomóc dziewczynce, jeśli nie będę znała wszystkich okoliczności.

- Okoliczności? - powtórzył odruchowo.

- Tak. Zaprosił mnie pan tu dzisiaj, ponieważ mam pewne doświadczenie w pracy z dziećmi, które są, jak pan mówi, trudne. Ponadto czytałam o tym i przestudiowałam wiele takich przypadków. I w mojej opinii taka nagła utrata mowy lub podobne aberracje u pierwotnie normalnie rozwijających się dzieci, często są następstwem jakiegoś wypadku lub innej kryzysowej sytuacji. - Na chwilę pogrążyła się w myślach i zmarszczyła brwi. - Oczywiście, to może być także guz w czaszce, który na coś tam naciska... a może kiedyś dziewczynka została uderzona w głowę? No a poza tym, naturalnie, jakiś uraz psychiczny może zaburzyć normalny rozwój dziecka...

- Dziękuję, panno de Severs - przerwał jej Brightsmith, podnosząc chudą dłoń wewnętrzną stroną do góry, jakby chciał uprzedzić jej improwizowany wykład. - Proszę się nie obawiać, dziecko nie uległo żadnemu urazowi. A ponadto jestem już całkowicie przekonany, że posiada pani odpowiednie kwalifikacje na to stanowisko. Na pewno pani wie, że ten list polecający od niemieckiej baronowej z Passau jest pełen pochwał, podobnie jak wcześniejsze referencje.

Helena przeszła już wystarczająco dużo takich wstępnych rozmów, aby się orientować, kiedy decyzja w jej sprawie została podjęta.

- Jest pan bardzo łaskawy - powiedziała uprzejmie i oparłszy się wygodniej, czekała.

Zupełnie jakby czytał w jej myślach, stary adwokat przesunął po lśniącym blacie w jej kierunku zapieczętowany list.

- Muszę stwierdzić, panno de Severs, że jest pani dość droga jak na...
na guwernantkę, czy kim tam pani jest.

- W rzeczy samej, jestem guwernantką - zgodziła się Helena.

- No tak. Wbrew mojej opinii, milord zgodził się na pani
wygórowane żądanie co do wynagrodzenia w kwocie dziewięćdziesięciu
funtów rocznie, z czego połowa ma być wypłacona z góry. Jednakże po-
proszę panią o złożenie tutaj podpisu - podsunął jej kolejny dokument -
potwierdzającego pani intencję pozostania na posadzie u Treyherna przez
cały okres trwania umowy. Miał on pewne trudności z zatrzymaniem u
siebie służby, a pragnąłby, aby w życiu jego córki nie dochodziło do tak
częstych zmian.

- To rozsądne i uczciwe podejście. - Helena podpisała się i
odmawiając w myślach dziękczynną modlitwę, sięgnęła po kopertę. Ta
zaliczka była wystarczająca, aby dokonać napraw jej starej chaty i
zaopatrzyć babcię w opał na nadchodzącą zimę. - Ponadto, jeśli to pana
uspokoi - dodała, wsuwając kopertę do torebki - jestem chyba kimś więcej
niż tylko guwernantką. A milord nie będzie miał powodów, by żałować
swojej decyzji. - Mówiła to z dużą pewnością siebie, której tak naprawdę
nie odczuwała.

- To odważne stwierdzenie, panno de Severs.

- Brightsmith wziął pióro i zaczął pisać adres. Helena ponownie się
uśmiechnęła.

- Zawsze uważałam, że najlepiej ujął to Wergiliusz - odparła
rzeczowo. - Fortuna sprzyja odważnym. Myślę, że dobrze to
przetłumaczyłam, prawda?

- Istotnie - rzekł sucho i podsunął jej kartkę.

- Oto instrukcje dotyczące drogi do miejsca przeznaczenia. Jest pani oczekiwana w Cheston-on-the-Water w najbliższy wtorek.

Helena poczuła ucisk w gardle. -Ch... Cheston?

Adwokat uniósł wzrok znad biurka i popatrzył na nią bystro.

- Jakiś problem?

- Nie. - Z trudem przełknęła ślinę, ściskając w dłoni kartkę. -

Żadnego problemu.

- Doskonale. - Brightsmith wstał. - I jeszcze jedno, panno de Severs.

- Tak? - Spojrzała na niego z wahaniem.

- Proszę zabrać ze sobą czarne dodatki. Wstążki i takie tam. W domu milorda panuje głęboka żałoba.

W milczeniu kiwnęła głową, po czym jakby w transie opuściła gabinet Brightsmitha, minęła recepcję i zeszła długimi schodami, które prowadziły na ulicę. Przebiwszy się przez tłum przedpołudniowych przechodniów, oparła drżącą rękę na drzwiach wynajętej karety, nie zwracając uwagi na woźnicę, który natychmiast podbiegł, aby jej pomóc.

Bezwiednie wpatrywała się w złożoną kartkę, którą Brightsmith wcisnął jej w dłoń. Chyba nie chodzi o Cheston-on-the-Water... To byłoby tak blisko Chalcote... To przecież niemożliwe, a może jednak? Minęło już ponad dziesięć lat. Gloucestershire to wielkie hrabstwo, na którego pofałdowanych terenach rozrzuconych było wiele pięknych majątków. Co więcej, Helena nigdy dotąd nie słyszała o żadnym hrabim Treyhern.

Gdy próbowała wrócić do jako takiej równowagi ducha, tuż obok przejechała pusta dwukółka, niemalże ocierając się o bok powozu i obryzgując fontanną wody brzeg jej sukni.

- Hej, śliczna panienko! - zawołał woźnica. - Nie mogę tu czekać cały dzień.

Helena wreszcie rozwinęła kartkę, aby odczytać nabazgrany pochyłym pismem adres. Camden Rut-ledge, lord Treyhern. Chalcote Court, Cheston-on-the-Water, Gloucestershire. Poczowała szum w głowie.

- Co się stało? Panienska źle się czuje? - Głos stangreta, tym razem już zaniepokojonego, doszedł do jej uszu jakby z głębokiej, czarnej studni.

Ledwie spostrzegła, gdy zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i niemalże wepchnął ją do środka. Camden Rutledge, lord Treyhern... Słowa te zaczęły wirować w jej głowie.

- Lepiej będzie, jak szybko odwiozę panienskę do Hampstead, co? - dodał niepewnie, zatraskując drzwi.

- Tak - zgodziła się Helena, lecz on już wspinał się na kozioł.

Rozdział 1

Panna Middleton jedzie do domu w Gloucestershire

Nowyy hrabia Treyhern stał przy oknie w swojej sypialni, w zamyśleniu popijając letnią herbatę i zastanawiając się nad swoim życiem, gdy na długą drogę wiodącą do majątku wjechała wesoło czarna podróżna karetka, powracająca z pobliskiego miasteczka Cheston. Ciągnęła za sobą stary, dudniący wózek bagażowy, którego hrabia jakoś nie potrafił przywołać w pamięci. Lord Treyhern patrzył znużony ponad wypielegnowanymi trawnikami Chalcote Court, jak słabe światło listopadowego dnia połyskuje na dachu powozu. Rozmyślał, co teraz powinien zrobić.

Nie lubił wszelkiej niepewności w życiu, gdyż był człowiekiem skrupulatnym, lubiącym panować nad sytuacją. A jednak, poprzedni miesiąc okazał się wyjątkowo ciężki, trudniejszy, niż wcześniej oczekiwał. Wówczas to uświadomił sobie gorzką prawdę, że choć śmierć ojca zdjęła mu z barków niewątpliwie ciężkie brzemie, to jednak ciążyły mu nadal inne zgryzoty.

W rzeczy samej, po nagłym odejściu ostatniej - chociaż niekompetentnej - guwernantki, Ariane pogрузыła się jeszcze głębiej w swoim mrocznym milczeniu, on zaś nic miał pojęcia, co można jeszcze dla niej zrobić. W całym swym dwudziestodwujęcioletnim życiu hrabia nigdy nie czuł się taki osamotniony i stary.

Gdy służący kręcił się dyskretnie dookoła, porządkując pokój, Camden obserwował karetkę, której żółte koła obracały się nieubłaganie, prowadząc powóz pod rozłożystymi dębami wzdłuż drogi wiodącej ku

frontowym drzwiom. Odprowadzając wzrokiem karete, Cam zaczął się żarliwie modlić, aby w jej wnętrzu znajdowała się choćby część tego, czego tak straszliwie brakowało teraz w jego życiu. O dziwo, miał niezwykle przeczucie, że tak właśnie jest, a przecież nie był człowiekiem ulegającym optymizmowi i polegającym na swojej intuicji.

Słyszał chrzęst żwiru, gdy stangret pokierował powóz ku schodom, wychodzącym na szeroki, kolisty podjazd. W okamgnieniu do karety podbiegł lokaj, aby otworzyć drzwi, drugi zaś zajął się rozładunkiem bagażu. Poprzez otwarte drzwi karety Cam ujrzał wyciągniętą z gracją rękę i przebłysk białej skóry w miejscu, gdzie mankiet stykał się z rękawiczką. Ze zdziwieniem stwierdził, że zarówno rękaw, jak i rękawiczka mają barwę głębokiej purpury, niczym doskonale szlifowany ametyst w blasku świecy. Przygaszony, lecz mimo to przepyszny.

Na pierwszy rzut oka ani strój, ani postawa kobiety nie przypominały wyglądu guwernantki, a jednak Cam nie umiał dokładnie stwierdzić, dlaczego tak jest. Wysiadła na podjazd. Jej lśniące czarne pukle były starannie upięte do góry w sposób, który Camowi zawsze kojarzył się z fryzurą guwernantki. Lecz znowu, ułożone tak włosy na tej kobiecie wyglądały jakoś dziwnie, zwłaszcza że były nakryte ciemnopurpurowym kapeluszem z ozdobą w postaci zawadiacko przypiętego na ukos, czarnego pióra.

Lokaje zdejmowali kolejne kufry, a ona stała obok wózka, wydając gestami polecenia w zdecydowanie stanowczy, galijski sposób. Dobry Boże! Czy ta kobieta przyjechała tutaj na zawsze? Na ziemi powstawała istna piramida kufrów i pudeł. Cam był kompletnie zaskoczony; nigdy nie

widział guwernantki, która posiadałaby tyle rzeczy, nie wspominając o zabieraniu ich ze sobą w podróż.

W jakiś sposób wydawało się to niestosowne. Przecież tu jest wieś, więc nie będzie potrzebowała aż tylu ozdóbek i eleganckich strojów, o ile to właśnie mieści się w jej bagażach. Cam przypomniał sobie, że wyraźnie francuskie nazwisko panny de Severs już na samym początku skłoniło go do zastanowienia, gdy polecił ją Brightsmith. Być może owo wahanie było w pełni usprawiedliwione. Cam potrzebował silnej, obdarzonej stoickim spokojem Angielki, a tymczasem, gdy sterta wyładowywanych bagaży wciąż rosła, zaczął odczuwać poważne obawy, że dostało mu się coś zupełnie innego.

Do diabła z takim szczęściem.

- Crane! - zawołał ostro na pokojowego, który energicznie czyścił surdut swojego pana. - Co myślisz o takim bagażu?

Korpulentny sługa zbliżył się do okna i popatrzył na podjazd.

- No więc, milordzie... według mnie to są skrzynki. Cztery sztuki. - Zmrużył oczy. - Tak, prócz tego dwa kufry, neseser, mała skórzana waliza i mniejszy kuferek podróżny. Wszystko związane do kupy sznurem.

- Mam dobre oko - mruknął lord Treyhern.

Przeniósł wzrok z góry bagażu na swoją nową pracownicę. Musiał przyznać, że Helena de Severs nawet z tej odległości jest fascynującą kobietą. Była wysoka, lecz poruszała się z gracją. Nieafektowany chód i sztywne biodra jak u większości kobiet, lecz pewne siebie kroki, wyprostowane ramiona i uniesiony podbródek.

Jej peleryna była koloru surowej czerni, suknia stosownie wykończona na wizytę w domu objętym żałobą, lecz mimo to kobieta

jaśniała jakimś wewnętrznym ciepłem. Mimowolnie zastanowił się, jakiego koloru mogą być jej oczy. Z pewnością wyglądają egzotycznie.

I właśnie wtedy, gdy podniósł do ust filiżankę letniego płynu, nowa guwernantka podniosła głowę, aby obdarzyć pomocnego lokaja ciepłym spojrzeniem, zaś Cam wessał gwałtownie powietrze, niemalże krztusząc się kawą.

A niech to wszyscy diabli, przecież to Helena!

Nie Helena de Severs. Helena Middleton. Co ona tu robi? Mimo że minęło jedenaście pustych lat, a wszystkie jego młodzieńcze fantazje legły w gruzach, poznałby ją wszędzie. Pierwsza jego myśl była taka, że stary woźnica zabrał niewłaściwą pasażerkę, że gdzieś tam w zakurzonej zajezdzie stoi zdezorientowana i opuszczona guwernantka. Ta prawdziwa. Prosta, sensowna kobieta w średnim wieku, do tego stosownie ubrana. Jednak wzrok go nie mylił. Co do tego miał całkowitą pewność.

Dobry Boże! Wcześniej Cam modlił się żarliwie o jakiś cud, wielokrotnie ogłaszał, że poszukuje guwernantki, a tymczasem... co też Pan Bóg i Bright-smith wspólnie sobie umyślili i kogo mu przysłali? Helenę! To rzadkie imię natychmiast przykuło jego uwagę, gdy pobieżnie czytał jej pierwszy list, na sam widok tego słowa poczuł, jak ogarniają go ciepłe wspomnienia rodzącej się zmysłowości. Nie wiadomo dlaczego, od tamtej pory źle spał. Być może podświadomość także sięgała do owych ulotnych jak sen wspomnień. Być może nawet miał nadzieję, że ją znowu spotka. Miał nadzieję?

Ależ nie. Pragnął nie ujrzeć Heleny Middleton już nigdy więcej.

Helena została wprowadzona do obszernego, lecz prosto urządzonego gabinetu, zaproponowano jej też poczęstunek, którego jednak bez zastanowienia odmówiła. Kiedy została sama, aby poczekać na pojawienie się milorda, zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu, chłonąc wzrokiem jego wyraźnie męskie ciepło. W jednym narożniku pomrukiwała przez sen gruba ruda kotka, zajmując większą część siedziska potężnego, obitego skórą fotela, z którego zwisała jedna biała łapka.

-*Ah, le chat botte* - powiedziała cicho Helena, przyklękając tuż obok.
- *Bonjour!*

Zwierzę jakby od niechcienia ziewnęło szeroko, ukazując wszystkie zęby, wysunęło łapkę i przeciągnęło się drżąc, po czym wróciło do przerwanej drzemki, pozostawiając Helene jej własnym myślom. Zaczęła chodzić po szerokim i długim gabinecie, wyposażonym w solidne, proste meble. Miała pewność, że pokoju tego nigdy przedtem nie widziała. Bardziej przypominał bibliotekę, gdyż na samym środku stało wielkie biurko, zaś trzy ściany od podłogi do sufitu były pokryte masywnymi półkami pełnymi książek. Na środku tylnej ściany znajdowało się głęboko osadzone okno w stylu Jakuba I, zaś na ławie, tuż pod nim, leżała nieco obszarpana poduszka.

Była to pierwsza zniszczona rzecz, jaką ujrzała w Chalcote Court, począwszy od eleganckich kamiennych słupków po obu stronach bramy, a skończywszy na nowiutkich tureckich dywanach, które bardzo ocieplały wielki hol wejściowy. Był to obraz mocno kontrastujący z wizją walącego się dworu, jaki pamiętała z młodości. Najwidoczniej nowy lord Treyhern

przytrzymał żelazną ręką swego rozwiązłego ojca, zanim posiadłość zawałała się w stertę kamieni rodem ze wzgórz Cotswold, skąd pochodziły.

Idąc w głąb gabinetu, Helena wędrowała spojrzeniem po ścianach. Książki były metodycznie poukładane według rodzajów, a następnie wielkości. Tuż obok ławy przy oknie znajdował się regał poświęcony w całości poezji, w tym również tej najnowszej. Wzięła z półki dość sfatygowany wolumin, który łatwo sam się otworzył. Zdumiona stwierdziła, że znajdujący się w tym miejscu wiersz należy do jej ulubionych: *Piękna jak noc* autorstwa lorda Byrona.

Zamyślona włożyła książkę na miejsce, przesuwając wzrokiem po tytułach. Dziwne. Niedawno zmarły i prawdopodobnie niezbyt długo opłakiwany Randolph Rutledge nigdy nie wykazywał większych inklinacji ku literaturze. Lecz z drugiej strony, o ile Helena dobrze pamiętała, jasnie pan hrabia odziedziczył Chalcote Court od swych teściów nazwiskiem Camden, stąd też imię jego najstarszego syna. Może te pięknie oprawione książki należały właśnie do nich? A może nawet do samego Cama?

Zaśmiała się w duchu z własnej głupoty. Oczywiście, że były własnością Cama. Nowy lord Treyhern zawsze był dziedzicem Chalcote na podstawie zapisów kontraktu małżeńskiego jego matki. Lecz kiedyś tam stary i jurny Rutledge uzyskał tytuł hrabiowski, po czym przekazał go najstarszemu synowi. Tytuł pochodził od jakiegoś wiekowego stryjecznego dziadka, przynajmniej tyle dowiedziała się babcia Heleny. Lecz Rutledge dzierżył tytuł przez niecałe dwa miesiące, zanim wykorkował - Helena nie wątpiła, że nastąpiło to w wyniku rozpustnych ekscesów. O dziwo, nie mogła sobie przypomnieć, by gdzieś na drzewie genealogicznym rodziny Rutledge wisiał przygotowany do przejęcia tytuł,

lecz gotowa była postawić ostatecznie *sou* na to, że mamusia doskonale o tym wiedziała.

Jednak pomimo minionego czasu zarówno Gloucestershire, jak i sam majątek Chalcote wydawały się niezmiennione, a Helenę uderzyła myśl, jak bardzo... hm, jak miło jest tu wrócić. Czuła się zupełnie inaczej, wbrew wcześniejszym obawom. Zresztą, czego miałyby się obawiać? Kiedy ostatni raz przyjechała do Chalcote, miała jedynie siedemnaście lat. Cam też był bardzo młody. Zostali najlepszymi przyjaciółmi. Być może on ucieszy się z jej przyjazdu.

Lecz ta optymistyczna myśl ledwie zdążyła zakiełkować, gdy ciężkie drzwi otworzyły się gwałtownie jakby za pchnięciem jakiejś piekielnej siły, krusząc wątłe nadzieje Heleny.

I nagle go zobaczyła. Oto on, dorosły mężczyzna. A przy tym piękny okaz męskości. Nie chodzi o to, że Helena w to wątpiła. Jako chłopiec, zawsze był szczupły i pełen gracji. Teraz jako mężczyzna okazał się rostry i dominujący. W istocie, nawet jej nagła obawa nie była w stanie przyćmić gniewu Camdena Rutledge. Bo jeśli się nie pomyliła, w takim właśnie był nastroju. *Cóż! C'est la vie!* Obdarzyła go bezgłośnym uśmiechem.

Cam, w stroju, jaki przystoi posiadaczowi majątku ziemskiego, zatrzymał się na chwilę, aby popatrzeć na nią ognistym wzrokiem. Jego szerokie ramiona wypełniały całą szerokość drzwi. Stał sztywno na szeroko rozstawionych nogach, na których nosił buty z długą cholewą. Najwyraźniej lord Treyhern zszedł na dół w wielkim pośpiechu, jako że nie nałożył nawet surduta i teraz stał przed nią w białej koszuli z podwiniętymi rękawami oraz kamizelce. Wyglądał dokładnie tak, jak

rozniewany młody dziedzic, który właśnie odkrył, że jakiś włóczęga poluje na jego bazaranty.

Efekt jego mocnego wejścia wszelako zmniejszył się, gdy ruda kotka zaczęła głośno mruczeć i zmysłowo ocierać się o nogi swego pana w geście, który zadawał kłam jego rzekomemu okrucieństwu.

- Witam w Chalcote, panno de Severs - powiedział, nie zwracając uwagi na kotkę. - Czy może raczej panno Middleton? Wyglądacie tak podobnie, że naprawdę nie potrafię was rozróżnić.

- Zawsze był pan dowcipny, milordzie - Helena zaśmiała się, dygając płynnym ruchem. - Proszę wybaczyć ową konfuzję, gdyż po prawdzie zawsze byłam Heleną de Severs.

- Rzeczywiście? - Wszedł do pokoju. - Nigdy nie słyszałem, aby tak cię nazywano.

- To po pierwszym mężu mojej mamy, milordzie... tym nieznanym mi Francuzie, który stracił głowę podczas jednej z wrześniowych masakr. Dano mi do zrozumienia, że był moim ojcem, lecz być może mama myślała, że dzięki takim pozorom będzie postrzegana jako młodsza. Po prostu miała zbyt wielu mężów... co nie jest w zbyt dobrym tonie.

- Aha - uciął ostro. - A twoja matka... ? - Cam nieznacznie uniósł dłoń w uprzejmym geście, po czym wskazał krzesło obok biurka, gdzie Helena mogła spocząć. - Mam nadzieję, że pani Middleton czuje się...

- Ona nie żyje, milordzie - przerwała mu, z wdzięcznością zajmując miejsce. - Po wojnie zmarła w Paryżu, na cholere. Od tamtej pory rzadko wracałam do Anglii. To znaczy tylko wtedy, gdy byłam potrzebna mojej babci.

Cam usiadł za szerokim, mahoniowym biurkiem i położywszy dłonie płasko na blacie, nacisnął go mocno, jakby ta czynność mogła utrzymać w ryzach jego własne, wyraźnie z trudem kontrolowane emocje.

- Nic o tym nie wiedziałem - odezwał się w końcu. - Przykro mi z powodu śmierci pani Middle-ton. Na pewno ta strata oznacza dla ciebie duże cierpienie.

- Sama jestem zdumiona, że tak jest - przyznała Helena. - A przy okazji niech mi będzie wolno przekazać milordowi moje kondolencje z powodu śmierci ojca. Mam nadzieję, że brat i siostra są w dobrym zdrowiu?

W oczach Cama ujrzała błysk irytacji.

- Catherine zbyt młodo wyszła za mąż, a Bentley brnie przez studia w Oksfordzie. - Kiwnął nieznacznie głową. - Ale zapewne miewają się dobrze.

Helena z szacunkiem lekko się ukloniła, usiłując zebrać rozbiegane myśli. Pomimo faktu, że wcześniej miała dziesięć dni, aby się przygotować, trudno jej było utrzymać wrażenie profesjonalizmu w obecności tego człowieka. Tego mężczyzny.

To ostatnie słowo było dla niej szokujące. Cam stał się nie tylko dorosłym mężczyzną - na jego skroniach spostrzegła połyskujące siwe włosy. Atrakcyjna, chłopięca twarzyczka należała już do historii, teraz naprężona skóra mocniej przylegała do kości. Nie był mniej przystojny, za to o wiele bardziej władczy.

W dziennych marzeniach, a czasem i sennych fantazjach, Cam na zawsze został delikatnym, roześmianym, pięknym kawalerem. Jednakże wystarczyło jedno spojrzenie na surowe rysy twarzy, wystarczyło kilka

zdawkowych zdań rozmowy, aby przekonać się, że miłość jej życia przemieniła się w posepnego, niedostępnego i pozbawionego humoru człowieka.

- Minęło dość dużo czasu, milordzie - powiedziała cicho, unosząc wzrok. - Dotkliwie odczuwam jego przemijanie. - W tym momencie przez chwilę widziała łagodność w jego oczach.

- Tak, minęło bardzo dużo czasu - mruknął i znowu mocno przyłożył dłoń do blatu biurka.

O dziwo, poczuła lekki łopot serca, gdy uniósł jedną dłoń, aby chłopięcym, boleśnie znajomym gestem przeczesać nią czarne włosy. Niesforny kosmyk, który zawsze go denerwował, wciąż był na swoim miejscu. Na to wspomnienie uśmiechnęła się w myślach, jednocześnie usiłowała powstrzymać przyływ ogarniającej ją fali goryczy.

Dłuższą chwilę patrzył na nią pustym wzrokiem.

- Ja... no cóż. Heleno, ja naprawdę nie wiem, jak to się stało.

- Jak co się stało, milordzie?

- Że wróciłaś tutaj. Do Chalcote. Po tylu latach.

- Według mnie, to dość proste - odparła sucho.

- Jestem guwernantką... szczególnego rodzaju. Zaś tutaj była potrzebna nauczycielka dzieci, które są...

- Ty, Heleno? - przerwał jej. - Guwernantką? Przysięgam, że nigdy w życiu nie przyszłoby mi to do głowy.

- Naprawdę, lordzie Treyhern? - spytała wyniośle, wymawiając z naciskiem jego szlachecki tytuł.

- A co według ciebie mogło ze mnie wyrosnąć?

Ujrzała, jak mocniej zacisnęła szczęki.

- No cóż, nie miałem zielonego pojęcia - rzekł po chwili.

Myślę, że miałeś, odpowiedziała mu oczami.

- Proszę się nie obawiać, milordzie, cieszę się stosunkowo dobrą opinią pomimo złej reputacji mojej matki - odparła chłodno. - W mojej profesji jestem szanowana. Twoje pieniądze sprawiły, że otrzymałeś kogoś więcej niż jedynie guwernantkę. Sądzę, że moje wykształcenie i doświadczenie mówią same za siebie, lecz jeśli nie wydają ci się one wystarczające, na pewno znajdzie się ktoś inny, kto zrobi z nich właściwy użytek.

Cam z trudem przełknął ślinę. Zafascynowana patrzyła na poruszającą się grdykę.

- Tak, oczywiście. To dla pewności - przyznał z roztargnieniem.

Nagle Helena poczuła wzbierającą w niej złość. Irytowały ją te zawoalowane uwagi jej pracodawcy i ciężkie milczenie. Przez te wszystkie lata od wyjazdu z Gloucestershire nauczyła się panować nad swoją dziką żywiołowością i wylewną naturą, lecz temperament wciąż pozostał nieopanowany.

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Treyhern. Zaczynają mnie męczyć te podejrzliwe przytyki odnośnie do mojej przeszłości. Czy możemy teraz porozmawiać o twojej córce?

Cam spostrzegł zmianę w jej tonie. Gwałtownie wstał i podszedł do okna. W milczeniu patrzył przez szybę, podpierając jedną dłoń na biodrze, drugą bezwiednie masując sobie kark. W słabym świetle porannego słońca, na jego umięśnionym przedramieniu widoczne były drobne czarne włoski.

- To chyba nie jest rozsądne, Heleno - powiedział głosem lekko zduszonym od emocji, której nie była w stanie rozpoznać. - To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wiesz to równie dobrze, jak ja.

- *Quelle sottise*, Cam! - wybuchnęła. Również wstała i podeszła do niego zdecydowanym krokiem. - Zwłaszcza gdy twoja córka potrzebuje pomocy! A co według ciebie jest teraz ważne? Twoja duma? Moje odczucia? Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie, ale tutaj chodzi przede wszystkim o dobro dziecka.

- Mam tego pełną świadomość, Heleno - uciął. Złagodziła ton swojego głosu.

- Z tego, co słyszałam, dziecko potrzebuje nauczyciela, i to dobrego. Ponadto, przyjąłam twoją propozycję i podpisałam twoją umowę, nie wiedząc, kim jesteś. Lecz nawet gdy się o tym dowiedziałam, dotrzymałam słowa. Z chęcią odejdę, jeśli anulujesz nasz kontrakt. Ale jeśli chcesz, abym została, to muszę zobaczyć Ariane. I to teraz.

Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć, ściągając przy tym mocno brwi.

- Nie, Heleno. Obawiam się, że to jest absolutnie niemożliwe.

- Dlaczego? Z powodu reputacji mojej matki?

- Nie. Ale... po tym, co było między nami, nie mógłbym... nie możesz myśleć...

- Czego myśleć, na litość boską? - wyrzuciła z goryczą. - Mogę cię zapewnić, milordzie, że dla mnie najważniejsze jest dobro twojej córki. Ty i ja byliśmy tylko przyjaciółmi. W najgorszym razie dwójką opuszczonych dzieciaków, rzuconych sobie w ramiona przez samolubnych rodziców. Lubiłam cię, a ty mnie. Czy to coś złego?

Dłoń Heleny bezwiednie uniosła się, aby spocząć lekko na jego ramieniu. Mimo jej ponadprzeciętnego wzrostu, musiała sięgnąć dość wysoko. Jakby posłuszny temu gestowi, Cam usiadł na ławie, opierając ciężko głowę na dłoni.

- Nie - odpowiedział w końcu. - W większej części nasza przyjaźń była czymś dobrym. I nadeszła w czasie, gdy bardzo potrzebowałem przyjaźni. Potrzebowałem jej wręcz desperacko.

Słyszając tę szczerą odpowiedź, Helena poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Zdała sobie sprawę, że stoi bardzo blisko niego, cofnęła się więc o krok, pozwalając swojej ręce luźno opaść wzdłuż ciała.

- Być może również teraz potrzebujesz przyjaciela. Utrata rodzica to nie jest błahostka, mimo wszelkich jego wad. Nikt nie rozumie tego lepiej ode mnie. A ty przecież bardzo martwisz się o swoją córkę, prawda?

Cam popatrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Zmieniłem się, Heleno - powiedział po prostu.

Zaśmiała się nerwowo.

- Milordzie, żadne z nas nie jest tym, kim dawniej. Ty i ja... cóż, jesteśmy dorośli. Zawsze pragnęliśmy robić to, na co mamy ochotę, no i teraz już możemy. A jednak ja, osobiście, czuję się zdecydowanie staro.

- Nie wyglądasz staro - odparł szorstkim głosem. - Nic się nie zmieniłaś. Poznałbym cię wszędzie. Milczała. Po chwili Cam wstał i pociągnął sznur dzwonka.

- Muszę to przemyśleć, Heleno. Milford zaprowadzi cię do twojego pokoju. Proszę, czuj się... - urwał na moment - czuj się jak u siebie w domu. Porozmawiamy jutro.

Kiedy ruszyła ku wyjściu, kotka obudziła się i przeciągnęła leniwie, by po chwili podejść do biurka i wskoczyć na blat, gdzie położyła się na pozostawionej tam gazecie. Cam nie spuszczał wzroku z Heleny, gdy wychodziła z gabinetu w towarzystwie kamerdynera.

- Do diabła, Boudikka! - warknął do rudej kotki, gdy tylko zamknęły się drzwi. - Co też strzeliło mi do głowy? Dlaczego po prostu nie odprawiłem jej z kwitkiem?

Boudikka popatrzyła na niego, po czym zmrużyła oczy i wyciągnawszy rudą łapkę, zaczęła ją lizać. Była to zapewne najbardziej roztropna odpowiedź, jakiej można by oczekiwać, wzięwszy pod uwagę jego głupie zachowanie. Cam przyznał w myślach, że być może Helena jest znakomitą nauczycielką, jednak mimo to nie był pewien, czy zniesie jej obecność pod swoim dachem. Helena kusiała mężczyznę, aby zachowywał się tak, jakby celem jego życia był radosny śmiech i doznawanie doczesnych przyjemności. Co było kuszącą, wszak zdradliwą iluzją.

Gwałtownym ruchem odsunął krzesło od biurka, ku wyraźnemu niezadowoleniu kotki. Ignorując jej pełne wyrzutu spojrzenie, postanowił, że musi nad sobą zapanować. Nie był już niedoświadczonym życiowo chłopcem. Na litość boską, przecież ta kobieta jest tylko guwernantką. Lecz w jednej kwestii miała rację. Jego nadrzędnym celem powinno być dobro Ariane, a jeśli Helena rzeczywiście posiadała tak wysokie umiejętności, jak wynikało to z jej referencji, to czy naprawdę mógł ją odprawić, tym samym niwecząc jakąkolwiek nadzieję dla córki? Rzucane mu przez życie wyzwania, które jeszcze kwadrans temu przytłaczały go swym ogromem, teraz wydawały się wręcz nieskończone.

- Poza tym mam jeszcze na głowie Bentleya oraz kuzynkę Joan - mruknął Cam do Boudikki. - Obawiam się, że Bentley niebawem źle skończy. I ciotka Belmont! Niech Bóg mnie przed nią broni. Trudno mi to wszystko ogarnąć.

Zwierzątko przeciągnęło się, mrużąc z zadowoleniem, lecz poza tym nie zaoferowało Camowi żadnej konkretnej pociechy. Zresztą on sam również był w kropce. Jego młodszy brat, Bentley, ciągle ładował się w jakieś kłopoty. I chociaż po pogrzebie wrócił do Oksfordu, to do uszu Cama dotarły już niepokojące wieści o jego postępach, a właściwie ich braku. Tym razem nawet całe bogactwo starszego brata nie mogło kupić Bentleyowi kolejnej szansy.

Co do kuzynki Joan, wkrótce miała skończyć osiemnaście lat. Cam wyczuwał, że ciotka Belmont oczekiwała, iż ogłosi ich zaręczyny i zaoszczędzi jej kosztów spędzenia kolejnego sezonu towarzyskiego w Londynie. Cam wciąż powtarzał sobie, że jest z tego zadowolony, iż gorliwość ciotki pomoże mu spojrzeć w przyszłość, bowiem już zbyt długo tkwił pogrążony w przeszłości.

A jednak nie uczynił nic. Nadszedł czas, by zaprzestać tego bezustannego oczekiwania. Zresztą, nu co w ogóle czekał? Aż pustkę w jego sercu wypełni coś więcej niż on sam? Być może Joan umiałaby tego dokonać, chociaż odczuwanie z tego powodu entuzjazmu przychodziło mu z wielkim trudem.

Mimo wszystko postanowił, że wypełni swój obowiązek. Związek z kobietą z rodziny Belmont byłby spełnieniem najgorętszych pragnień jego matki, gdyż jej ojciec nie miał synów, tak więc podzielił ziemię między

dwie córki, w cichej nadziei, że kiedyś obie części znowu połączą się w całość za sprawą małżeństwa między kuzynami.

Lecz z biegiem lat owe marzenia rozwiały się niczym popiół na wietrze, wyrzucony w górę jednym ruchem szufli trzymanej przez Randy Rutledge'a.

Jednak teraz sprawy uległy zmianie. Cam był zamożnym wdowcem, a Joan panną na wydaniu. Wszyscy wiedzieli, co ma teraz nastąpić. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że Joan doskonale nadaje się na jego żonę, gdyż jest spokojną, subtelną i delikatną młodą kobietą. Rzeczywiście, nigdy nie ośmieliłaby się przeciwstawić zdaniu mężczyzny, wtrącać się w jego sprawy, nie zostawiłaby go też miotającego się niespokojnie w łóżku do samego rana. Poza tym, Joan nigdy nie przywdziałaby purpury, ani też nie przypięłaby sobie do kapelusza takiego swawolnego piórka.

* * *

Słuchała w ciemności. Ta ładna pani ze śpiewnym głosem już sobie poszła. Ale papa wciąż mówił do kota. Papa był skonsternowany. Skon-ster-no-wa-ny. Podobało się jej brzmienie tego słowa. Wypowiadała je, bezgłośnie poruszając wargami.

Jej noga całkowicie już zeszywniała, gdyż była mocno przyciśnięta do drzwi pokoju kredensowego Milforda. Cicho, ostrożnie zaczęła się poruszać w ciasnej kanciapie pod półkami. Jakie niemiłe mrowienie! Zaczęła rozcierać nogę, czekając, aż ból odejdzie. Chciała stąd wyjść. Wymknąć się, pobiec za tą panią na górę. Lecz teraz w salonie krzątał się Milford, a papa wciąż siedział w gabinecie. Zaś ona tkwiła w potrzasku między nimi.

Dobrze wiedziała, po co ta pani przyjechała.

O tak. Przybyła tu po to, aby przywrócić jej mowę. Będą siedziały razem w klasie, a ta pani będzie jej pokazywać rysunki na papierze, wymawiać słowa, skrobać je kredą - niczym gałązki białej brzozy - na tabliczce.

Zaniepokojona, znowu zmieniła pozycję. Dlaczego, och, dlaczego Milford jeszcze sobie nie poszedł? Chciała iść jego śladem, zobaczyć nową panią z bliska. Panna Eggers była pełna wigoru i okrągłutka, tak jak mama, miała też... włosy jasne jak słońce. A ta nowa przypominała Milforda. Z jednej strony była jak on, z drugiej zupełnie inna. Wysoka i... smukła, tak. Lecz ładna, wcale nie brzydka. Papa zwracał się do niej nie pani jakaś-tam, ale... Heleno.

He-le-no. He-le-no. Powtarzała w myślach dokładnie tak jak papa, z lekkim zaśpiewem na końcu.

No no! Papa był skon-ster-no-wa-ny z powodu He-le-ny. Ciekawe, czy to dobrze, czy źle. Nie miała pewności, ale wkrótce się dowie. Stojąc w ciemności, zdusiła chichot.

* * *

W grobowej ciszy, która nastąpiła po wyjściu Heleny, Cam usłyszał skrobanie myszy między ściankami pokoju kredensowego. Ostatnio rozpanoszyły się w całym domu. Odsunął do tyłu krzesło i popatrzył groźnie na Boudikę, która drzemała leniwie na jego porannej gazecie.

Wstał i zaczął chodzić po gabinecie w przytłaczającej ciszy, pozwalając swemu oburzeniu wypełnić pustkę. Przemierzywszy dywan kilkoma długimi krokami, chwycił pogrzebacz i energicznie poruszył nim węgle, aż zajęły się mocnym ogniem. Płomienne, ciemnoniebieskie oczy

Heleny zawsze umiały rozgrzać całe otoczenie, a jej odejście najwyraźniej pozbawiło ciepła jego gabinet.

Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, które wyrwało go z tej głębokiej introspekcji.

RS

Rozdział 2

Nieprzemijające źródło wszelkiej szczodrości

Zanim jeszcze Cam zdążył odwrócić się od paleniska, przez otwarte gwałtownie drzwi do pomieszczenia wdarła się trąba powietrzna w osobie szanownego pana Randolpha Benthama Rutledge'a, który wkroczył do gabinetu i rzucił się na właśnie opuszczone przez Helenę krzesło. Gorzki uśmiech wyraźnie świadczył o nastroju młodzieńca, zanim ten jeszcze zdążył się odezwać.

- Rób, co chcesz, drogi milordzie braciszku! - rzucił bez wstępów Bentley. Wyciągnąwszy przed siebie długie nogi, nonszalancko skrzyżował je w kostkach. - Zostałem wyrzucony na pysk bez możliwości powrotu. - Mówił to obojętnym tonem, całkowicie pozbawionym najmniejszego nawet elementu przeprosin.

Hrabia patrzył zdumiony na swego siedemnastoletniego brata. Ze względu na inne przykre wydarzenie tego ranka Cam miał nieco przytępioną percepcję, lecz w końcu pojął, co się stało.

- Bentley - zaczął głosem niewróżącym niczego dobrego. - Jesienny trymestr zaczął się ledwie kilka dni temu. Dla twojego własnego dobra chciałbym usłyszeć jakieś satysfakcjonujące wyjaśnienie twojej tu obecności...

- Nie - odparł Bentley.

Cam, coraz bardziej rozgniewany, widział przed sobą jakże podobną do ojcowskiej, kształtną szczękę, która teraz się zacisnęła.

- Po prostu nie... ? - spytał hrabia lodowatym szeptem.

- Nie, milordzie? - rzucił Bentley, osuwając się nieco niżej na krześle. - Nie mam żadnego wyjaśnienia. Albo też nie mam wyjaśnienia, którego chciałbyś wysłuchać.

- Cóż za przenikliwość! - Cam miał ochotę go udusić.

Lecz zamiast to uczynić, usiadł, wziął ołówek i zaczął kłuć się ostrym grafitem w wewnętrzną stronę dłoni. O dziwo, ten ból przyniósł mu niejaki ukojenie. Oparłszy się wygodniej, uważniej spojrzał na poszarzałą, lecz zarazem buntowniczą twarz młodszego brata.

- Do licha, Bentley! - odezwał się po dłuższej chwili. - Co to było? Kości czy karty?

- Nic z tych rzeczy.

- Pijaństwo? Dziwki?

Bentley dwuznacznie wzruszył ramionami.

- Dostyc tego, mój chłopcze - ostrzegł go Cam. - Więc, jak to wygląda? Ile to będzie kosztować? A może lepiej spytać, czy w ogóle mam ochotę za to zapłacić?

- Wybacz, że ci to mówię, święty Camdenie, ale nie jestem twoim chłopcem i wcale nie brakuje mi pieniędzy. - Uśmiechnął się drwiąco, po czym wyjął z kieszeni płaszcza zgnieciony list i niedbałym ruchem rzucił go bratu. - No to sobie zobacz, skoro nie masz nic ciekawszego do czytania. Dowiesz się, że wicekanclerz „z żalem stwierdza” mój „chroniczny brak zainteresowania nauką”, i uważa, że lepiej sobie poradzę „w jakimś mniej intelektualnie wymagającym zajęciu”. Przynajmniej tyle z tego pamiętam. Zresztą nie było mnie tam, aby otrzymać oficjalną nagane, sam wiesz najlepiej. Musiałem pojechać do Londynu, żeby coś

zobaczyć, no i oczywiście pograć na pieniądze z chłopakami z Cocoa Tree.

- Uniósł podbródek. - No i wygrałem.

W końcu Cam stracił panowanie nad sobą, jednym ruchem zgarniając z biurka na podłogę list i połowę innych leżących tam rzeczy.

- Niech cię wszyscy diabli, Bentley! - Przestraszona Boudikka uciekła, szukając gdzieś schronienia pośród powstałego rozgardiaszu. - Jesteś taki sam jak ojciec. Razem we dwóch moglibyście w dwa tygodnie doprowadzić do ruiny każdego zamożnego człowieka.

- No cóż, każdy robi dla rodzinki, co tylko może - rzucił szyderczo Bentley, po czym dodał pełnym kpiny szeptem: - Na Boga, Cam, uwielbiam, jak tracisz tę piekielną samokontrolę. Przypomina mi to stare dobre czasy, kiedy jeszcze żyła Cassandra. Cieszę się, że pod tą lodowatą powłoką masz w sobie prawdziwie ognisty temperament.

Cam wstał.

- Moja zmarła żona nie powinna cię obchodzić, Bentley! Czy ty nie masz w ogóle pojęcia, do czego zobowiązuje cię nazwisko? Uważasz, że śpimy na pieniądzach? Uważasz, że nasza reputacja jest tak nieskazitelna i wolna od skandali, że ty możesz sobie pozwalać na takie wybryki?

Bentley prychnął drwiąco.

- Nasze nazwisko? Nasza reputacja? A to dobre! Ojciec nie dbał ani o jedno, ani o drugie, więc czemu ja miałbym się starać? Jeden święty w rodzinie wystarczy. A co do pieniędzy, gdyby nam ich zabrakło, w co wątpię, to może mógłbyś w końcu odmrozić tego swojego wielkiego kutasa i ożenić się dla nas z córcią jakiegoś innego kupca? Ale Joan nigdy nie przysłuży się temu celowi, co?

Cam walnął pięścią w stół, aż zagrzechotały nieodmknięte szuflady. Bentley podskoczył, po raz pierwszy okazując nieklamany strach.

- Zostaw moją niedoszłą narzeczoną w spokoju! Słyszysz? Nie pozwolę, żebyś bezcześcił dobre imię swojej kuzynki.

Bentley zerwał się na równe nogi. Wetknął sobie dłonie pod pachy - jakby ledwie panował nad ruchami - i podszedł do okna.

- Do diabła z tobą, Cam - wyszeptał, spoglądając na skąpane w słońcu ogrody. - Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłbym Joan! To tobą pogardzam! Mam już dosyć tego nieustannego bicia pokłonów i płaszczenia się przed zbawcą naszej reputacji, naszej fortuny i tego cholernego przekonania o naszej nieomyślności! A ty i tak cały czas po nas depczesz i robisz to, co sam uważasz za najlepsze. Ojciec nigdy mnie nie dręczył. To zawsze byłeś ty!

Cam otworzył usta, lecz po chwili je zamknął. Chciał powiedzieć: „Tak! Bo ojcu nigdy na tobie nie zależało!”. Lecz przecież było oczywiste, że ich obecna kłótnia nie ma nic wspólnego z żadnym skandalem, szkołą czy pogrzebem. Faktycznie, Cam sam nie wiedział, o co tak naprawdę chodzi. Jednak coś mocno i boleśnie drażyło serce Bentleya, a Cama uderzyła nagle myśl, że tym razem jego nieokrzesany brat dąży do ostrej konfrontacji. Diabli z nim, nie doczeka się.

Cam powoli wypuścił powietrze i opanował wzburzenie.

- W porządku, Bentley - odparł przez zaciśnięte usta. - W tej sytuacji wnioskuję, że zamierzasz szukać szczęścia, darując sobie wykształcenie. Oprócz tego nie masz ochoty pozostawać dłużej pod moją kuratelą. Czy dobrze cię zrozumiałem?

Bentley wciąż nie odwracał się, lecz kącikiem lewego oka podejrzliwie obserwował brata.

- Ja... nie. To znaczy... jeszcze nie zdecydowałem.

- Więc pozwól, że ci pomogę w podjęciu decyzji - odparł Cam zwodniczo łagodnym głosem. - Prawo... czy Kościół? - Na chwilę przyłożył sobie palec do ust. - Nie, chyba nie. Jeśli nie możesz ukończyć Oksfordu, takie metody zarabiania na chleb nie zdadzą się na nic, prawda? A może chciałbyś zrobić karierę w wojsku? Chyba że bardziej ciągnie cię do marynarki wojennej?

- Nie! - zawołał Bentley, odwracając się do niego. - Nie opuszczę Anglii, a ty mnie do tego nie zmusisz!

- To prawda! - stwierdził Cam.

W jego głowie zaczęło kiełkować niejasne podejrzenie dotyczące przyczyny tego ostatniego wybuchu, a w istocie kilku z nich. Lecz na to nie mógł nic poradzić.

- Wobec tego wyślę cię do naszego majątku w Devonshire - powiedział wreszcie. - Stary Hastings będzie potrzebował trochę pomocy na nadchodzącą zimę. Możesz tam pojechać zamiast mnie, a przy okazji nauczysz się trochę zarządzania posiadłością.

- Nie planuj mojej przyszłości, Cam! - ostrzegł Bentley. - Nie masz pojęcia, co jest dla mnie najlepsze.

- Fakt - przyznał cicho Cam. - Ale jeśli masz ochotę zmarnować swoje życie, nie zrobisz tego tutaj. - Urwał, w zamyśleniu uderzając palcami o blat. - Dobrze, Bentley. Sam zdecydujesz, co jest najlepsze dla twojej przyszłości. Dam ci czas do Nowego Roku, a wtedy będziesz miał do wyboru trzy możliwości: możesz iść i błagać o przyjęcie do Cambridge,

bez mojej pomocy, albo możesz jechać do zamku Treyhern i pomóc staremu Hastingsowi. A jeśli te dwie rzeczy ci nie pasują, musisz poszukać szczęścia w sposób, jaki sam uznasz za najlepszy.

Bentley popatrzył na niego szerokimi ze zdumienia oczami.

- Ty nie możesz... nie możesz odesłać mnie z Chalcote!

- Mogę i zrobię to - odparował sucho Cam. - Najwyższy czas, abyś oprzytomniał! Niedługo kończysz osiemnaście lat. Jeśli mieszkanie pod moim dachem oznacza udaremnienie twoich życiowych możliwości, jedź i szukaj ich gdzie indziej.

Przez okamgnienie Bentley sprawiał wrażenie mocno zawiedzionego. Ramiona opadły mu wzdłuż ciała. Lecz już po chwili na jego usta powrócił beczelny uśmiezek.

- A więc dobrze. Ponieważ mam czas do Nowego Roku, najlepiej będzie, jeśli spędzę ten okres w jakiś miły sposób. Chyba mam ochotę poderwać tę urokliwą guwernantkę, którą właśnie zatrudniłeś. Starsze kobiety są takie doświadczone, no a ta ma takie cycki, że panna Eggers może się schować...

Jednak Bentley nie miał możliwości dokończenia swoich rozważań. Cam chwycił go za fular i zaczął bezlitośnie uderzać bratem o regał. Wokół nich posypały się spadające książki. Po chwili Cam uniósł młodzieniaszka za kołnier, aż odziane w długie buty nogi zawisły bezradnie nad orientalnym dywanem.

- Aaa! Ggg! - krztusił się Bentley z poczerwieniałą twarzą. Bezsilnie wbijał dłonie w zaciśnięte pięści starszego brata.

Cam brutalnie uderzył jego głową w regał.

- Więc chciałbyś zobaczyć, jak tracę moją piekielną samokontrolę, Bentley? - syknął, pociągając fular jeszcze wyżej. - Tylko dotknij jej dłoń obleczonej w rękawiczkę, a przysięgam na Boga, że ujrzysz moją furję. Obetnę ci jaja moim własnym sztyletem.

Nagle rozluźnił chwyt, a Bentley upadł na stertę porzrzucanych na dywanie książek.

- A teraz poukładaj na półkach moją kolekcję poezji - dodał, kierując się ku drzwiom. - Już nigdy nie będę po tobie sprzątał.

Cam usłyszał, jak za jego plecami Boudikka zeskakuje na podłogę. Kotka pobiegła szybko i wyprzedziła go, wyniośle poruszając swym rudym ogonem, jakby była heroldem przystępującej do ataku armii.

* * *

Cam szedł w kierunku stajni, wciąż trzęsąc się ze złości. Częściowo zdawał sobie sprawę, że mógł zrobić bratu krzywdę. Był bardzo silny i sam łatwo o tym zapominał. Przez wiele lat musiał pracować u boku swoich służących jak najzwyczajniejszy włościanin, aby zapewnić przetrwanie majątku. Dzięki temu zyskał mocne plecy i wyrobił sobie silne ramiona. Lecz jego samodyscyplina zawsze była o wiele silniejsza.

Na litość boską, co z nim jest nie tak? Najpierw Helena Middleton, a teraz to! Jaką reakcję wywołała w nim sama tylko wzmianka o tej kobiecie. Niemalże udusił siedemnastoletniego chłopaka! Po prawdzie kochał Bentleya i chciał dla niego jak najlepiej. Tak samo jak dla Ariane i Catherine.

Tak, rodowe nazwisko wciąż było nieco zszargane, pomimo faktu, że w ciągu kilku ostatnich lat Cam zmusił ojca do ograniczenia swoich wiejskich wybryków. Ale teraz, gdy ojciec wreszcie zaznawał wiecznego

odpoczynku, Bentley mógłby zrzucić z siebie ten zły wpływ i zrobić coś rozsądnego ze swoim życiem. Na litość boską, przecież był dziedzicem. Czy właśnie to tak bardzo bolało brata? Czy myśl o powtórnym ożenku Cama przypomniawszy Bentleyowi, że łatwo może utracić swoją pozycję?

Zanim Cam doszedł do stajni, zdołał się trochę uspokoić. Minąwszy boksy, udał się do siodłami, gdzie zarzucił sobie na ramię siodło.

- Przepraszam, milordzie - odezwał się z cienia czyjś głos. - Czy potrzebuje pan konia?

Stajenny Shreeves wysunął z boksu głowę, która ukazała się w słonecznym świetle. Wokół jego głowy unosiły się kłęby pyłu niczym sielska aureola.

- A, Shreeves! - Cam lepiej ułożył sobie siodło na ramieniu. - Bądź tak dobry i przyprowadź tego nowego gniadosza. Mam ochotę na przejażdżkę.

Stajenny uśmiechnął się, wychodząc na korytarz.

- Tak jest, co tylko milord sobie zażyczy. Ale ten diabeł jest dziś trochę narowisty.

Cam także się uśmiechnął, lecz z dość ponurą miną.

- Wobec tego będzie z nas dobrana para.

- Ho, ho, aż tak? - Stajenny jeszcze bardziej się wyszczerzył, ukazując szeroką szczerbę między zębami. - Widziałem, jak dziś rano wyładowywali bagaże młodego raptusa. To było zaraz po przyjeździe tej nowej guwernantki.

Cam zaśmiał się w duchu, słysząc przezwisko, jakim stajenny określił jego brata.

- Tak, Shreeves, aż tak. A teraz przyprowadź mi tego ogiera, żebym mógł umrzeć z klasą.

Wyniósł siodło na dwór, a po dziesięciu minutach był już na najlepszej drodze do skręcenia sobie karku. Ogier był więcej niż zادیorny, po prostu złościwy, więc Cam potrzebował pół godziny, żeby wycisnąć z nich obu całą wściekłość. Jednak po pewnym czasie wierzchowiec dał się ujarzmić, i ruszył dalej w długą, ciężką trasę, zaś Cam zaczął rozmyślać o tym, co ma począć z Heleną. W przeszłości zawsze miał z tym duży kłopot.

Po raz pierwszy ujrzał ją, gdy była jeszcze długonogą nastolatką o wielkich oczach, lecz już wtedy wyrastała na ciemnowłosą, kokieterijną piękność. Miała najlepszą na świecie nauczycielkę. Jej matka, Marie Middleton, była piękną francuską emigrantką. Śliczna wdowa zdobyła szturmem Londyn, kiedy po raz pierwszy przybyła do Anglii. W krótkim czasie pochowała jeszcze dwóch wątpliwej reputacji angielskich mężów, a sam Bóg raczy wiedzieć, ilu kochanków.

Matka Cama umarła kilka miesięcy po urodzeniu Bentleya, kiedy Cam był nastolatkiem, a Catherine jeszcze dzieckiem. Randolph Rutledge szybko porzucił żałobę i uczynił to z wyraźną przyjemnością. Po prawdzie ten krótki okres udawanego smutku bardzo go męczył, gdyż nigdy nie kochał swojej żony.

Pani Middleton przebywała w nieco podejrzanych kręgach, balansujących na skraju lepszego towarzystwa. Z perspektywy czasu wydawało się zupełnie naturalne, że taka kobieta szybko zaprzyjaźni się z jego ojcem. Przez całą, pełną towarzyskich imprez jesień, która właśnie nastąpiła, w Chalcote odbywały się huczne zabawy, często połączone z

polowaniem, przyjęcia weekendowe i pikniki. I przez cały ten czas Cam z ogromną fascynacją obserwował zwałą chłopczycę Helenę, gdyż była ona wszystkim, czym on nie śmiał być.

Niedługo potem Marie Middleton została kochanką jego ojca, a ponieważ Cam i Helena tak często byli skazani na swoje towarzystwo przez zaabsorbowanych sobą rodziców, zostali przyjaciółmi, a także współnikami w występku, jako że nikt nie umiał wywęszyć przygody tak jak Helena. Cam, który już jako dziecko był bardzo poważny, doznał prawdziwego szoku, gdy stwierdził, że z upodobaniem oddaje się tym łobuzerskim wybrykom pod wpływem niesfornej przyjaciółki.

W ciągu kolejnych miesięcy ich przyjaźń pogłębiła się, a potem przerodziła się w o wiele bardziej niebezpieczną więź. Mijały lata, aż w końcu Helena tak oczarowała i omotała biednego Cama, że jego młodzieńczy fallus był nieustannie sztywny, niczym drewniany kołek wciśnięty w spodnie. Czuł się autentycznie upokorzony, oczarowany i całkowicie zatracony w głębiach spojrzenia jej niebieskich oczu.

W końcu był już tak mocno owładnięty pożądaniem, że nie umiał sobie pomóc. Przebywali ze sobą blisko, zbyt blisko. No i wreszcie nie mógł się powstrzymać przed skompromitowaniem jej. Gdyby Marie Middleton miała wpływ na osoby z elity, Cam wpadłby w zastawione sidła, bez względu na swój młody wiek.

Lecz jakie wtedy stałoby się jego życie?

Gdyby był szczery, przyznałby się, że to pytanie przez wiele lat nie dawało mu spokoju. Lecz odpowiedź zawsze była taka sama: jego życie byłoby cholernie trudne. Nie byłoby pieniędzy na posag dla jego siostry ani na wykształcenie Bentleya. Przynajmniej w tych kwestiach jego

małżeństwo okazało się coś warte. Lecz teraz była to marna pociecha, gdy spojrział wstecz na ostatnie dziesięć lat swojego życia i poczuł skręcający mu kiszki, niezmienny głód.

A teraz... teraz Helena wróciła. I na jego oko, chociaż wkrótce miała skończyć dwadzieścia osiem lat, wcale się nie zmieniła. Jeśli pozwoli jej zostać, wynikną z tego przeróżne kłopoty. Jego kłótnia z Bentleyem była tego pierwszym przykładem.

Lecz przecież, do licha ciężkiego, ta kobieta sama się prosiła o takie komentarze. Ten uwodzicielski uśmieszek! Kokieteryjny kapelusz! Odważne, taksujące spojrzenie! Mimo wszystko Cam został niejako zmuszony do tego, aby ją obwiniać. Jak ten gówniarz śmiał marzyć, by zaciągnąć Helenę do łóżka? Lub w ogóle którąkolwiek ze służących? Niech to diabli, przecież tego się nie robiło.

A jednak robiło się, zaś Cam był dość inteligentny, żeby to rozumieć. Ale, do diaska, nie w jego domu.

Na gust Cama, Bentley już teraz za bardzo przypominał ich ojca. Prawie osiemnastoletni chłopak był uroczym i przystojnym młodzieńcem, który wyglądał starzej, niż wskazywałyby jego wiek. Bentley zdołał już przekroczyć bramy londyńskich przybytków szatana, a Cam miał stuprocentową pewność, że gdy tylko chłopak miał po temu okazję, zadawał się z ulicznicami z Haymarket i wiejskimi barmankami. Cam modlił się, żeby tylko Bentley nie próbował zrealizować swojej groźby uwiedzenia Heleny.

Zastanowił się, jaka byłaby jej reakcja. Czy odebrałaby awanse młodszego mężczyzny jako komplement? Bentley był wystarczająco urodziwy, a za kilka lat osiągnie pełną i opływającą w dostatek

niezależność. Cam doskonale pamiętał, jaki sam był w jego wieku. Pragnął zaciągnąć Helenę do łóżka i żywił przekonanie, że nic go od tego nie powstrzyma. Jej matka ledwie temu zapobiegła. Potem usiłował sobie wmówić, że to wcale nie była jego wina. Że Helena stanowiła pokusę, jakiej żadem młody mężczyzna nie mógłby się oprzeć.

Lecz po prawdzie, ona wcale nie była bardziej winna niż on, zaś pokusą było coś więcej niż tylko jej ciało. Cam wściekał się na rodziców, że ich rozdzielili, wściekał się też na siebie, że ją tak skompromitował. I często złościł się na Helenę za to, że wywołała w nim takie nieokiełznane pragnienie.

Wierzchowiec biegł równym krokiem wzdłuż znanej mu ścieżki. Silne mięśnie zwierzęcia przesuwwały się płynnymi ruchami pod jeźdźcem, który zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje.

* * *

Stojąc na obolałych już czubkach palców, Ariane Rutledge obserwowała nową panią przez szparę w drzwiach garderoby. Niewiele widziała. Co za pech! Gdyby nie Milford, mogłaby już być pod jej łóżkiem.

Pani chodziła po pokoju ze zmarszczonym jak u papy czołem, z ramionami skrzyżowanymi na...z przodu. Ale Bentley nazwał to jakoś inaczej... biust. Niemalże zachichotała głośno. Wujek Bentley był naprawdę zabawny.

Kiedyś usłyszała, jak dziadunio powiedział do Bentleya: „A niech mnie, co za piękne cycki”.

Bentley odparł wtedy: „No pewnie, taki biust mógłby przytłoczyć mężczyznę”.

No a potem obaj śmiali się i śmiali. Lecz wtedy rozmawiali o panie Eggers, a nie tej nowej ładnej pani. A teraz panny Eggers już tu nie było...

I dziadunia też nie było. Z tego, co usłyszała z ust Milforda, kryjąc się pod schodami, wywnioskowała, że dziadunio został przygnieciony cyckami albo też biustem panny Eggers, czy jakoś tak, co w ogóle nie miało sensu. W każdym razie dziadunio odszedł. Tak jak mama. Odeszli na zawsze, a to zupełnie co innego niż jakby wyjechali na jakiś czas, jak panna Eggers. Nie sądzili, że ona zrozumie tę różnicę. Lecz Ariane nie była już małym dzieckiem. I bardzo dużo wiedziała.

Nagle, nowa pani się zbliżyła. Podeszła do okna i czubkiem palca odsunęła zasłony. Popatrzyła chwilę przez szybę, a następnie skierowała się do toaletki, z której zaczęła podnosić butelki i słoiczki. Po chwili wróciła do okna i znowu zaczęła wyglądać na zewnątrz, przygryzając paznokieć kciuka. Uniósłszy powoli dłoń, położyła ją na szybie, jakby obserwowała coś w oddali.

Może ta pani była zdenerwowana. Ariane wiedziała, co to słowo oznacza. Papa często go używał. Twoja mama jest zdenerwowana, mawiał. A potem brał Ariane na kolana, ponieważ mama była zbyt zajęta, chodząc dookoła i się denerwując. A także wyglądając przez okno z posępną miną. Wkrótce potem odeszła na zawsze.

Wtem pani wydała stłumiony okrzyk i pozwoliła zasłonie swobodnie opaść. Ha! Ariane dobrze wiedziała, o co chodzi. Znała ten wyraz twarzy i rozumiała, co oznacza ten cichy odgłos. Tam na zewnątrz był obserwator. Być może obserwował także nową panią. Ariane poczuła dreszcz. Nie, nie będzie o nim myślała. Nic a nic. Nie dopuści do tego. Będzie myślała tylko o nowej pani.

Zastanowiła się, czy nowa pani zamierza odejść. Wyglądała tak, jakby właśnie tego chciała. Pomyślała sobie, że nie byłoby to złe. Gdyby ta nowa pani, Helena, została, to na pewno chciałaby ją zmusić do mówienia. Nic, tylko mówić i mówić. Zawsze tego chcieli. I zadawały jej dużo pytań.

Lecz ona milczała.

Kiedyś mama powiedziała: „Nigdy nic nie mów!”. A także szeptała: „Ciii, ciii! To musi zostać naszą małą tajemnicą, Ariane. Nie odpowiadaj na ich pytania!”. Och, miała teraz od tego straszny ból głowy. A najgorsze było to, że już nie pamiętała dokładnie tego, czego miała nie mówić. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie umiała sobie przypomnieć, jaka to tajemnica.

Nagle coś miękkiego i ciepłego otarło się o jej nogę. Boudikka! Och, nie! Lecz kotka papy była niezwykle szybka. Przemknęła spieszenie tuż obok i jednym pchnięciem otworzyła drzwi, wbiegając do pokoju nowej pani. A niech to wszyscy diabli! Tak właśnie powiedziałby wujek Bentley! Lecz teraz nie miała czasu, aby myśleć o Bentleyu. Jak błyskawica wycofała się korytarzem w kierunku klasy.

Le chat botte! Usłyszała, jak pani mówi swoim śpiewnym głosem.

- A skąd ty się tu wzięłaś?

* * *

Ogarnięta niedającym spokoju uczuciem niepewności, Helena chodziła tam i z powrotem po swojej sypialni, spoglądając na wciąż jeszcze zamknięty kufer i zastanawiając się, co zrobić. Jak Camden Rutledge śmiał tak ją obrażać! Już po pięciu minutach rozmowy zaczął wypowiadać bardzo niepochlebne aluzje dotyczące jej charakteru, a co ona

zrobiła? Zaproponowała mu swoją przyjaźń, podczas gdy powinna była uderzyć go w twarz i natychmiast wyjść.

Helena się zreflektowała. Nie była do końca sprawiedliwa. Cam zawsze zachowywał się w sposób honorowy, a ona z doświadczenia wiedziała, że ludzie zmieniają się w bardzo niewielkim zakresie. Zresztą, jakiej przyszłości dla Heleny mogła oczekiwać większość ludzi? Przecież nie została wychowana w cieszącej się szacunkiem i poważaniem rodzinie.

Poza tym, mimo że Cam był od niej starszy, Helena doskonale zdawała sobie sprawę, że w całym okresie ich dorastania to właśnie ona znęcała się nad nim - a nawet nim manipulowała - w sposób, jaki dla każdego człowieka byłby nie do zniesienia. Nakłoniła spokojnego i odpowiedzialnego Cama do udziału w takich harcach, które oznaczały dlań przeprawę przez istne piekło. Kiedyś w dniu Święta Wiosny pomalowali wszystkie wiatrowskazy w miasteczku na niebiesko, w Niedzielę Palmową pozamieniali wszystkie książeczki do nabożeństwa na zbiory hymnów metodystów, zaś w rocznicę spisku prochowego - 5 listopada - spalili stóg siana pana Claphama, oczywiście niechcący. A to tylko przykłady z niezliczonej liczby ich wybryków.

Kiedy nieco dorośli, sprawy przybrały poważniejszy charakter niż jakieś tam dziecinne psikusy. O, tak. O wiele poważniejszy. Nic dziwnego, że Cam uznał ją za nieodpowiednią osobę na nauczycielkę córki. A od początku ich przyjaźni żadne z nich nie było, mówiąc oględnie, niewinną istotą. Helena wychowywała się pod nadmiernym wpływem nonszalanckiego i lekkomyślnego stosunku do życia swojej matki. Marie uważała, że życie jest krótkie, że należy z niego korzystać, czerpać przy-

jemności. Takich to rzeczy Helena nauczyła się, mieszkając w pobliżu gilotyny. Przez bardzo długi okres nie знаła niczego innego.

Gwałtownym ruchem wyprostowała ramiona i odrzuciła wspomnienia. Bezpieczniejszą emocją wydawała się jej uraza. Czuła się urażona, że została umieszczona w odosobnieniu tej sypialni, zamiast otrzymać możliwość spotkania ze swoją przyszłą uczennicą. Chyba po raz dziesiąty w ciągu ostatniego kwadransa podeszła do okna, odsunęła zasłony i spojrzała na ogrody znajdujące się na tyłach Chalcote. Jednak tym razem, kiedy się odwracała, kącikiem oka spostrzegła w oddali jakiś ruch. Skierowała wzrok w tamtą stronę.

Ktoś - jakiś mężczyzna - szedł szybko ścieżką, która biegła od strony miasteczka wzdłuż muru okalającego ogród majątku Chalcote. Nagle zatrzymał się, żeby na coś popatrzeć. Wyraźnie zaczął spozierać w kierunku tylnej fasady domu. Helena wstrzymała oddech, kiedy mężczyzna metodycznie przesunął wzrok wzdłuż rzędu okien, w końcu ją zauważył i zatrzymał na niej spojrzenie. Przynajmniej takie odniosła wrażenie.

Poczuła na plecach zimny, nieprzyjemny dreszcz. Dziwne uczucie. Po prostu była zmęczona i podenerwowana. Tamten mężczyzna znajdował się w odległości jakichś pięciuset jardów, był na ścieżce dostępnej dla wszystkich. Nawet nie widziała rysów jego twarzy, mogła jedynie ocenić jego wzrost, dojrzała długi rozpięty szynel i czarny kapelusz. Zamrugła i spojrzała ponownie. Tymczasem mężczyzna ruszył dalej, straciwszy wszelkie zainteresowanie dla Chalcote i jego mieszkańców. Lecz Helena wciąż miała niemiłe wrażenie dyskomfortu. Mocniej przycisnęła ręce do ramion i wzdrygnęła się. Boże, ależ miała zszargane nerwy!

Wtem drzwi jej garderoby ze skrzypieniem uchylły się do środka, a po chwili tuż obok łóżka przemknął pręgowany kot Cama. To dziwne. Była przekonana, że starannie zamknęła te drzwi. Tak czy inaczej, powitała zwierzątko i przyklęknęła, przysuwając doń koniuszki palców. Lecz okazałych rozmiarów bestia nie raczyła poddać się miłemu drapaniu. Zamiast tego zaczęła chodzić powoli wokół kufra i podróżnej torby Heleny, zatrzymując się co chwila w celu zbadania zapachu wszystkich zawiasów i rączek. A potem, jakby skończyła zadanie, które było celem jej przybycia, kotka odwróciła się i najwyraźniej usatysfakcjonowana wybiegła szybko z pokoju.

Ha! Wszystko wskazywało na to, że Helena pomyślnie przeszła inspekcję, przynajmniej jeśli chodzi o kota właściciela majątku. Jeśli zaś chodzi o samą osobę Jaśnie Pana, sprawa przedstawiała się zgoła inaczej. Wzdychając ciężko, położyła się na szerokim łóżku, zanurzając się głęboko w grubej, puchowej pościeli.

Bezmyślnie rozglądała się po sypialni. Pomieszczenie było dość duże i wygodnie połączone z pasażem, który prowadził przez garderobę do sali lekcyjnej oraz znajdującego się dalej pokoju Ariane Rutledge. Tak jak całe Chalcote, sypialnia Heleny miała eleganckie, a zarazem wygodne wyposażenie. Z zewnątrz Chalcote było pięknym, wręcz wzorcowym wiejskim dworem, natomiast w środku, pomimo całego wdzięku i symetrii, panowała jakaś posepność, atmosfera melancholii, której nie pamiętała ze swych poprzednich wizyt. Wątpiła, że miało to jakiś związek ze śmiercią Randolpha. Być może Cam był pogrążony w żałobie po zmarłej żonie? No i bez wątpienia bardzo się martwił o swoje dziecko.

Nogi Heleny zwisały bezwładnie nad podłogą, więc palcami stóp zdjęła pantofle i przesunęła się na sam środek eleganckiej, wełnianej narzuty. Wcisnąwszy nos w poduszkę, zdała sobie sprawę, że - podobnie jak kotka Cama - szuka jakiegoś poprawiającego samopoczucie zapachu, czegoś znajomego. Chociaż od wielu lat mieszkała zwykle sama, to nagle teraz w tym wielkim, pełnym zakamarków domu poczuła się jeszcze bardziej samotna. Znikła świadomość, że oto wróciła w rodzinne strony.

Tak, zrozumiała, że decyzja o powrocie do Chalcote była pochopna. Przynajmniej w tej kwestii Cam miał całkowitą słuszność. I babcia też miała rację. Helena przypomniawszy sobie każdy szczegół kłótni, jaka nastąpiła po jej powrocie z kancelarii Brightsmith'a. Zasięgnawszy plotkarskich wiadomości u swoich byłych służących, potwierdzających obawy Heleny, starsza pani wręcz umierała z niepokoju. I wyrażała swoje protesty do samego dnia wyjazdu wnuczki.

- Czy jesteś całkowicie przekonana, moja droga, że to mądra decyzja? - spytała po raz piąty tego ranka.

Helena poczuła, jak irytacja zaczyna brać górę nad lękiem, który tak bardzo starała się ukryć.

- Babciu, proszę cię! - powiedziała błagalnie.

- Przecież rozmawialiśmy już o tym tyle razy. Chcę być blisko ciebie! I muszę mieć pracę...

- Tak, i będziesz miała pracę, ale jeszcze nie wiadomo jaką - odrzekła uparcie starsza pani, kiwając znacząco palcem. - Posłuchaj mnie! Ten Camden Rutledge jest synem swego ojca, a to ta sama krew! I jest bogaty. Człowiek nie pnie się tak wysoko, nie z takiego położenia, w jakim był, za pomocą uczciwego postępowania i wykwinnych manier.

Rozzłoszczona Helena pociągnęła sprzączkę podróżnej torby tak mocno, że aż ją urwała, niemalże uszkadzając przy tym bagaż.

- Babciu, nie jestem już małym dzieckiem wymagającym opieki - odparła z naciskiem, wrzucając urwany skórzany pasek do zimnego paleniska.

- Nie tak łatwo omamić mnie nieśmiałym uśmiechem i parą uwodzicielskich oczu. A poza tym, miałam już do czynienia z mężczyznami o wiele bardziej wyrafinowanymi niż nowy lord Treyhern.

Lecz gdy rankiem stanęła w gabinecie Cama, zaczęła wątpić w swoje słowa. Od ich ostatniego spotkania minęło całe życie. W tym okresie ból wywołany jego stratą stopniowo zmalął, w końcu zanikł, aż wreszcie już tylko bardzo rzadko zwracała ku niemu swoje myśli.

No cóż, może troszkę częściej niż rzadko. Lecz pamiętała jedynie to, co mogłaby nazwać dziewczęcym zauroczeniem. I tak właśnie myślała przez całą drogę do Gloucestershire, przekraczając rzekę Coln, mijając bezleśne wyżyny i jadąc krętą aleją, która wiodła prosto do bramy Chalcote Court.

Z każdą milą Helena nabierała coraz większego przekonania, że to, co obecnie czuje do nowego lorda Treyhern, nie jest niczym więcej niżli tylko sympatią do starego przyjaciela.

Nawet gdy pociemniały ze złości Cam wszedł do gabinetu, Helena sądziła, że panuje nad sytuacją. W przeszłości zazwyczaj tak właśnie było. Dopiero po pięciu minutach zrozumiała, że ich role się zmieniły. Teraz już nikt nie był w stanie kontrolować Camdena Rutledge'a. Widziała to wyraźnie. Spozrzegła również, że nieśmiały młodzieniec wyrósł na niebezpiecznie spokojnego mężczyznę.

W dodatku niezwykle przystojnego. Zdawało się, że w wieku siedemnastu lat Camden osiągnął swój maksymalny wzrost, czyli całe sześć stóp, lecz teraz sprawiał wrażenie znacznie wyższego. Ponadto posiadał ową milczącą moc, którą młodzi mężczyźni często przenoszą w dorosłe życie. Gdy Cam w geście uporu położył dłonie na biurku i nachylił się do Heleny, zobaczyła jego męską siłę, która lekkim drżeniem spinała jego szerokie ramiona. Ujrzała na jego obliczu męski gniew, a także chyba nawet pożądanie.

Wciągając nerwowo powietrze, Helena odwróciła się twarzą do poduszki, zaciskając w pięści miękką wełnę narzuty.



Rozdział 3

Ty oczy moje zwracasz w głąb mej duszy

Zanim Cam zdał sobie sprawę, jak daleko zajechał, podniósł wzrok i zorientował się, że pokonał już wszerz całą posiadłość Chalcote, a teraz zatrzymał się na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na przylegający majątek ciotki Belmont. Zawrócił więc konia i natychmiast ruszył z powrotem ścieżką w dół.

Dobry siostrzeniec zapewne wpadłby chociaż na herbatę, lecz on od dnia pogrzebu unikał ciotki ze strony matki i kuzynki. To delikatnie pytające spojrzenie, czające się obecnie w oczach ciotki Belmont, wywoływało w nim siódme poty.

Cam zaakceptował fakt, że jego obowiązkiem jest poślubienie kobiety o niezłomnym charakterze i wzorowym pochodzeniu. A Joan spełniała te wygórowane warunki w sposób więcej niż satysfakcjonujący. Cam musiał przyznać, że stara idea ponownego połączenia obu majątków ma pewne zalety. Mimo wszystko ociągał się z decyzją.

Lecz dzisiaj nie chciał myśleć o swoich natarczywych krewnych. Pomimo wyczerpującej przejażdżki przez łąki i lasy jego myśli zajmował ktoś zupełnie inny. W takiej chwili rozmyślanie o grzechach młodości nie było zbyt racjonalne.

Lecz Helena była jego jedynym grzechem. Czy to z czasów młodości, czy w ogóle całego życia. Zawsze chętny, by drażnić swego rozsądnego syna, Randolph zażartował kiedyś, że Cam jest beznadziejny, a zabawianie się z Heleną Middleton było jego jedyną pomyłką. Lecz po

prawdzie Cam wcale nie stroił sobie z niej żartów. Głupio wierzył, że się z nią ożeni.

W tamtej chwili wcale nie wydawało się to takie absurdalne. Pomimo wszystkich obietnic złożonych matce był najstarszym synem rozpustnego nieudacznika. Nie istniał żaden tytuł, jedynie popadający w ruinę majątek, który ciotka Belmont z rzadka zaszczycała swoją obecnością. Tak, życie było prostsze, zanim została mu narzucona rola zbawcy całej rodziny.

Z westchnieniem Cam ściągnął cugle i pod drzewem zeskokczył z konia. Miał ledwie osiemnaście lat, kiedy Helenę zabrała jej matka. Wtedy zaczęła go pożerać mroczna, rozpaczliwa pustka, która w przerażający sposób przypominała obłąkanie. Przez wiele miesięcy nie mógł opanować, a także znieść, ogarniającego go falami uczucia żalu i gniewu.

Właśnie wtedy naprawdę zrozumiał, jak bardzo musi być podobny do ojca: kierujący się własnym apetytem, przepełniony szalejącym pragnieniem zdobycia czegoś, czego mieć nie powinien. W końcu pojął, jaka jest wartość opanowania i władzy. Uznał prawdziwość powtarzanych często przez matkę ostrzegawczych słów, że on, niczym przysłowiowe jabłko, nigdy nie padnie daleko od jabłoni, jeśli nie będzie umiał opanować wybujałej żądz.

A teraz tamte stare emocje znowu okazały się tak samo znajome, jak gorzki smak krwi w jego ustach. Być może Joan to dobre rozwiązanie. Młoda, uległa żona w jego łóżku pozwoli dać upust jego diabelskim pragnieniom, a zarazem zapewni mu dziedzica. Lecz już raz tego próbował, czyż nie? I związał się z amoralną jędzą. Jednak Joan w niczym nie przypominała Cassandry. Joan byłaby wierną żoną i dobrą matką.

Wszelako, odsuwając na bok kwestie obowiązku i dziedzica, Joan nigdy nie byłaby w łóżku kobietą taką jak Helena. Cam nie mógł się powstrzymać od spekulacji, ilu mężczyzn zaznało rozkoszy w jej ramionach. Kobieta o takim potencjale emocji nie mogła zbyt długo być sama. Czy tak jest w istocie? Dobrze pamiętał, jak kiedyś nie była w stanie oderwać od niego swoich rąk. W ruchu jej podbródka, nadgarstka, nawet w sposobie przemieszczania się po salonie było więcej kobiecości - a raczej zmysłowości - niż większość kobiet była w stanie wydobyć z siebie, leżąc nago w pościeli.

Dręczony takimi myślami, wskoczył z powrotem na siodło. Zbyt długo był poza domem, a przecież tam czekało go dużo pracy. Z utęsknieniem czekał na zakończenie tego koszmarnego dnia, gdy będzie mógł ukryć się w zaciszu swojej sypialni z dobrą książką i kieliszkiem koniaku.

* * *

Helena zawsze wstawała wcześniej, często przed świtem. Zresztą, ostatniej nocy źle spała. Wczorajsze spotkanie z Camem wyprowadziło ją z równowagi w znacznie większym stopniu, niż myślała. Tak więc lepiej było już wstać, szybko zjeść śniadanie i pośpiesznie spakować swoje rzeczy.

Czas było wracać do Hampstead i od nowa rozpocząć poszukiwanie pracy. Bezceremonialnie wcisnęła ostatnią szpilkę w swój prosty kok i przejrzała się w lustrze.

Zobaczyła swoje oczy, z których emanowały szczerłość i uczciwość. Lecz Cam najwyraźniej sądził, iż wróciła do Chalcote w dwuznacznych okolicznościach, która to opinia nie była zupełnie pozbawiona podstaw.

Helena miała przecież całe dwa tygodnie, aby napisać do Cama list i spytać, czy życzy sobie jej przyjazdu. Jednak niczego takiego nie zrobiła. Zamiast tego wzięła na siebie decyzję o przyjeździe, wiedząc, że przywołanie wspomnień ich wspólnej przeszłości będzie dla niego teraz bolesnym i żenującym doświadczeniem.

Teraz Cam był zamożnym arystokratą, wdowcem z dzieckiem i przynajmniej dwoma dużymi majątkami. Co więcej, w następstwie małżeństwa Cam otrzymał znaczną fortunę w postaci dużego kapitału. Pieniądze, które - jak powszechnie mówiono - dynamiczną działalnością zamienił w ogromne bogactwo. Tytuł był jedynie dopełnieniem całego sukcesu. W sferach towarzyskich - według babcinych źródeł informacji - hrabia Treyhern był uważany za gniewliwego odmieńca: był bezwzględny i niezmiennie konserwatywnym odludkiem. Czy Helena naprawdę myślała, że taki człowiek z przyjemnością przyzna się do ich dawnej przyjaźni?

Nie powinna była przyjeżdżać do Cheston-on-the-Water. Co prawda w mieście nudziła się okrutnie, ale przecież z czasem znalazłaby jakąś inną posadę. I pomimo tego, że wmawiała sobie usprawiedliwienie w postaci opieki nad chorą babcią, to przecież Irlandia, Szkocja, a nawet Bretania znajdowały się dostatecznie blisko. Lecz Helena wcale nie szukała pracy w tamtych okolicach.

Wybrała powrót do Chalcote. Pragnęła spotkania z Camem. Musiała zaakceptować tę straszną prawdę. Wsunąwszy stopy w pantofle, ruszyła ku drzwiom. Być może była jeszcze inna, bardziej ohydna prawda, którą należało zaakceptować. Być może bardziej upodobniła się do matki, niż jej

się wydawało. Dobra krew da się poznać, stwierdziła babcia. Cóż, stara prawda działa w obie strony.

* * *

Pomimo nieprzespanej nocy Cam szybko zszedł na dół, żeby wypić kawę i zjeść kromkę chleba z masłem o szóstej rano, tak jak robił to codziennie. Z trudem połykał jedzenie, starając się ignorować fakt, że w jego ustach miało smak popiołu i że oczy piekły go tak, jakby ktoś przetarł je cegłą. W zamyśleniu spoglądał przez duże okno, z którego rozpościerał się widok na trawnik przed frontową fasadą domu. Mroczny świat wydawał się zimny i milczący, jakby zastygły w czasie, oczekujący pierwszego, życiodajnego blasku światła nowego dnia.

Cam czuł się również trochę podenerwowany tą samą niepewnością. Był pełen sprzecznych emocji. Z jednej strony zaniepokojony, lecz zarazem podekscytowany niczym dziecko na Boże Narodzenie. Jako mężczyzna niepoddający się takim niepożądanym stanom ducha, hrabia poczuł się wręcz urażony zaistniałym wewnętrznym rozkojarzeniem. Przetykając ostatni okruszek chleba, zerknął na wyciągnięty z kieszonki zegarek.

Czy Helena zamierza zjeść śniadanie w swojej sypialni, czy też zejdzie na dół? Nie przyszło mu do głowy, aby zapytać. A może zajęła się tym już panna Naffles? Cam poczuł oszałamiające zdumienie, jak zwykle gdy myślał o Helenie. Musiał tego zaprzestać, a co ważniejsze, trzymać się od niej z daleka. Najgorsze, że powinien teraz pilnować, aby nie zbliżał się do niej również Bentley.

Rozwiązanie było proste, zresztą od początku doskonale o nim wiedział. Helenę należało odprawić. I właśnie to zaplanował sobie na

dzisiejszy ranek, aczkolwiek uczyni to z wielkim żalem. Cam zawsze szczylił się tym, że jest człowiekiem rzeczowym, pewnym i szybkim w podejmowaniu bezkompromisowych decyzji. Nie zamierzał zmienić zdania, zresztą wcale nie oczekiwał sprzeciwu ze strony Heleny.

Postanowił, że będzie nalegał, aby zatrzymała otrzymaną zaliczkę i własną kareta wysła ją z powrotem do Hampstead.

Podjąwszy decyzję co do dalszych kroków, zadzwonił po Milforda, który posuwistym krokiem zjawił się w pokoju niczym długi, chudy duch.

- Słucham, milordzie?

Cam nabrał nerwowo powietrza. Nawet upiorny kamerdyner, którego zazwyczaj potrafił zignorować, dzisiaj wywoływał w nim jakiś nieokreślony niepokój.

- Milford, kiedy panna de Severs spożyje śniadanie...

Służący wpadł mu w pół słowa.

- Przepraszam, milordzie. Panna de Severs już wyszła.

- Wyszła? - wybuchnął Cam, skacząc gwałtownie na równe nogi, aż puste naczynia zabrzęczały niebezpiecznie. - Na Boga! Przecież nie mogła wyjść tak wcześnie!

Milford znaczącym gestem uniósł do góry blady jak kreda palec.

- Wyszła, to znaczy z jadalni. Muszę przyznać, że z panny de Severs jest prawdziwie ranny ptaszek.

* * *

Cam odnalazł ją w sali lekcyjnej. Stała w samym środku czegoś, co wyglądem przypominało pobojuwisko po niedawnej burzy. Jak się okazało, niewiele z jej kufrów mieściło ubrania, gdyż zobaczył, iż większość z nich służący przytaszczyli właśnie tutaj. Niektóre zostały już

opróżnione, czego dowodem był tuzin opasłych, mocno podniszczonych tomisk oraz sterta kajetów, rozrzuconych na biurku. Na środku długiej szkolnej ławy stała otwarta skrzynka, a w niej na samym wierzchu leżał drewniany flet i bębenek, pośród innych wysypujących się instrumentów.

Wyglądało na to, że Helena rozpakowuje swoje rzeczy. To było do niej podobne, że wzięła byka za rogi. Krzyżując ręce na piersi, oparł się barkiem o futrynę otwartych drzwi i spoglądał na Helenę. Z początku wcale go nie zauważyła, gdyż grzebała w sfatygowanym kufrze, który leżał na podłodze. Jej wypięta pupa poruszała się w bardzo apetyczny sposób. Cam natychmiast poczuł zagrożenie dla swojego fizycznego spokoju, którego zaznał już ostatniej nocy.

Wiek wzbogacił klasyczne kształty jej figury i uwydatnił piękne rysy twarzy. Dzisiaj Helena była ubrana w strój o barwie ciemnego bursztynu. Tak jak jej wczorajsza ciemnopurpurowa suknia nie była zupełnie czarna, tak samo dzisiejszy bursztyn odbiegał nieco od brązu. Jeśli chodzi o garderobę, to Helena balansowała na granicy stosowności. Nie wątpił, że w innych kwestiach jest dokładnie tak samo.

Zresztą to przecież nic go nie obchodziło, prawda? Helena nie była już wstydliwą i niewinną nastolatką, chociaż to drugie wynikało częściowo z jego winy. Oczywiście jego ojciec nonszalancko wyjaśnił wzburzonej Marie Middleton, że gdyby utrata czci niewieściej Heleny nie nastąpiła w następstwie poczynań Cama, stałoby się tak niechybnie za sprawą kogoś innego - biorąc pod uwagę jej odważną naturę.

Czy to była prawda? Cam poczuł zimny dreszcz na samą myśl, lecz musiał wierzyć, że tak właśnie się stało. W przeciwnym razie...

Nagle Helena wyprostowała się, przyłożywszy jedną dłoń do krzyża, drugą zaś ściskając przybrudzoną lalkę. Miała różowe policzki i wyglądała na rozdrażnioną, gdy dmuchnięciem usunęła z twarzy niesforny kosmyk włosów, który opadł i łaskotał ją w nos.

- Wypakowujesz się? - spytał cicho.

Po raz drugi w życiu zobaczył, jak Helena blednie.

- Wypakowuję? - spytała zdumiona. - Ależ skąd! Przepakowuję. To pan Larkin lub pan Stoots musieli otworzyć te skrzynki. Na pewno nie ja to zrobiłam!

Patrzyła na niego z drugiego końca pokoju, nawet nie mrugnawszy okiem, choć z pewnością trochę zaniepokojona, zaś na Cama spłynęła cała lawina przeróżnych myśli. Pierwsza była taka, że zdenerwowanie Heleny dodawało jej urody. Druga, że naprawdę zamierza wyjechać, a trzecia, że poczytała sobie za obowiązek zapamiętać nazwiska lokajów.

Jakże to do niej podobne. Bez wątpienia już wiedziała, że Crane cierpi na dolegliwości wątroby, że Stoots oddaje się hazardowi w stopniu wykraczającym poza przyjętą normę oraz że pomywaczka Emmie jest beznadziejnie zakochana, a obiektem jej westchnień jest stajenny Cama, Shreeves. Helena, która łatwo zjednywała sobie sympatię ludzi i nawiązywała przyjaźnie, zawsze była niestosownie zbyt wylewna i ciepła.

A Cam... na sam jej widok oblał się potem. Nagle pokój wydał się jakiś ciasny, przegrzany i wypełniony zapachem Heleny.

Oderwawszy się od futryny, przywołał na usta wymuszony uśmiech.

- Nie martw się o otwarte skrzynie. Nie zaznały żadnej szkody.

Dygnęła nieznacznie.

- Dziękuję, milordzie. W mig uprzątnę pozostałe rzeczy.

Wchodząc w głąb pomieszczenia, Cam próbował zaczerpnąć powietrza.

- Więc... zamierzasz wyjechać? — powiedział obojętnym tonem, lecz coś ścisnęło go w piersi.

- Właśnie. - Zawahała się i zmarszczyła swe ciemne, wygięte w piękny łuk brwi, jakby nieco skonfundowana. - Sądziłam, że tego sobie życzysz. - Cam już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz Helena mówiła dalej: - I masz całkowitą rację.

- Rację? - powtórzył bezwiednie, opierając dłonie na biodrach.

Nachyliła się, żeby zamknąć kuferek i postawić go na stoliku.

- Prawdę mówiąc, nie czuję się tu... tak komfortowo, jak oczekiwałam.

- Nie czujesz się komfortowo? - W jego głowie odezwał się niespodziewany alarm. - Czy jesteś niezadowolona ze swojego pokoju? Może jest coś, co mógłbym...

- Nie ma niczego takiego, dziękuję - przerwała mu, odwracając się do biurka, aby pozbierać nie-spakowane jeszcze książki. Skrzynka stała tuż obok, więc po chwili wrzuciła do niej kilka pierwszych woluminów.

Kątem oka obserwowała, jak Cam podchodzi do biurka z maską obojętności na twarzy. Jednakowoż odniosła wrażenie, że jest z czegoś niezadowolony. Ale z czego? Czyż nie kazał jej wyjechać? Lecz gdy się zbliżył, poczuła moc okiełznanej emocji, która aż wibrowała w powietrzu wokół niego.

Zatrzymał się po drugiej stronie wąskiego biurka, splatając dłonie na plecach.

- Panno de Severs, chyba muszę nalegać - urwał nagle, przełykając ciężko. - Chciałem powiedzieć, że pragnę, abyś tu została. Tak jak sama powiedziałaś, muszę przede wszystkim myśleć o tym, czego potrzebuje Ariane.

Helena wrzuciła do skrzyni następną książkę.

- Lecz, milordzie - zaprotestowała zdesperowana - przecież stwierdziłeś, że mój pobyt tutaj byłby niestosowny. I słusznie! Twoja gospodyni, pani Naffles, rozpoznała mnie i nawet pytała o moją mamę! A za jakiś czas ktoś może napomknąć o naszym...

- Nikt o niczym nie napomknie - przerwał lodowatym głosem. - Nikt o niczym nie wie, a gdyby nawet było inaczej, nie ośmieli się puścić pary z ust.

Helena poczuła, jak urażona duma wywołuje w niej falę złości.

- Wszelako moje wielce wątpliwej reputacji pochodzenie...

- To już moja sprawa. Nie toleruję plotkarzy i intrygantów wśród swojej służby.

- Tak, milordzie, lecz tak jak rozmawialiśmy...

- A co do panny Naffles, to wzięwszy pod uwagę eskapady mego ojca, w porównaniu z nimi wszystko inne po prostu blednie. Ten dom przywykł do skandali.

- Ale sam mówiłeś...

- Nieważne, co mówiłem - uciął. Zobaczyła, jak jego usta zaciskają się w wąską linię. Skrzyżował ramiona na szerokiej piersi. - Po prostu wykonaj pracę, do której zostałaś wynajęta, a wszyscy będziemy zadowoleni.

Oparła lekko na blacie koniuszki palców, z uwagą obserwując oblicze Cama. Czuła, jak sama zaczyna się rumienić. I jak w jej wnętrzu zmieszanie walczy z upokorzeniem. Nie była psem tego mężczyzny, żeby na jego rozkaz biegła, siadała czy została na miejscu, tak jak mu podyktuje chwilowy kaprys! Na pewno nie chciała od niego jałmużny. Co do jej reputacji, Cam był pierwszą osobą, która wyraziła głośno swoją troskę. A to nadal sprawiało jej ból.

- Milordzie, nie chcę, żebyś musiał się wstydzić z mojego powodu - powiedziała sztywno. - Przyjechałam tu tylko dlatego, że zgodziłam się na propozycję pana Brightsmitha. - Poruszyła się tak, jakby chciała odejść od stolika.

Szybko, tak jakby zamierzał ją zmusić do spełnienia jego woli, przykrył dłonią rękę Heleny i ścisnął jej palce. O wiele za mocno.

- Nie wkładaj słów w moje usta - nagle ściszył głos, który nabral również chropowatej barwy.

- Nie powiedziałem, że wstydzę się z powodu naszej... przyjaźni. I na przyszłość powstrzymaj się od używania tego słowa.

Gwałtownie uniósł dłoń, ale tylko po to, by sięgnąć do skrzyni i zacząć wyjmować z niej książki. Zaczął je układać w stertę na biurku, tak jakby sprawa była już przesądzona. Ogarnął ją buntowniczy upór.

Wyciągnęła rękę, żeby zabrać książki z blatu.

Skoczył jak kot i pochyliwszy się nad nią, przycisnął stertę tomów do biurka obiema dłońmi.

- Przestań, Heleno - powiedział trochę za cicho.

- Popatrz na mnie. Popatrz na mnie! Odważnie uniosła wzrok, bez strachu spoglądając mu prosto w oczy.

- Zostaw w spokoju moje książki, jeśli łaska - wycodziła zimno. -

Boleśnie zgniatasz moje palce.

- Chcę, żebyś została - powiedział z naciskiem.

- Czyżby? - Uniosła podbródek nieco wyżej.

- A co z moją podupadłą moralnością? A moja grzeszna francuska krew? Nie zapominajmy też o beztroskim stylu życia, jakiemu oddawałam się na kontynencie.

Spojrzał na nią zimno.

- To już twoja sprawa, Heleno. Ja ci tego nie wymawiałem. Chcę, żebyś została.

Jego akceptacja jeszcze bardziej ją rozgniewała.

- Jestem służącą, milordzie, a nie niewolnicą.

- Do diabła, przestań ścierać się ze mną na słowa, Heleno! - syknął przez zaciśnięte zęby. - Już nie jestem twoim posłusznym lubym, abyś mnie mogła wodzić za nos, tak jak ci się zachce. Więc nie roztrząsajmy tej kwestii.

Wciąż zaciskała palce na książkach, a on przytrzymał jej rękę. Powinna była je cofnąć, odsunąć się, lecz miała dłonie uwiecznione w żelaznym uścisku. Przynajmniej tak sobie wmawiała. Lecz Cam nie odrywał wzroku od jej oczu. Teraz wyglądał zupełnie inaczej, wydawał się bardziej zatwardziały niż kiedykolwiek w przeszłości.

- Nie ścieram się z tobą na słowa, mój panie! - odrzekła, spuszczając wzrok na książki.

Nachylił się jeszcze bliżej, aż poczuła ciepło jego oddechu, który poruszał kosmyki włosów na jej czole. Czuła też jego zapach. Cam i żar jego gniewu mieszały się z ostrym, czystym aromatem mydła do golenia. W

stanowczym uchwycie Cama wyczuwała bezwzględna siłę, której wcześniej u niego nie widziała. Czuła na sobie jego intensywny wzrok. Nie знаła tego mężczyzny. A był tak blisko, że gdyby teraz podniosła oczy, czołem na pewno otarłaby się o jego policzek, a ich usta znalazłyby się zbyt blisko siebie.

- Przepraszam - odezwał się sztywno. - Pragnę, żebyś została.

Zła na siebie za swoje myśli, Helena szarpnięciem oswobodziła rękę, zdzierając sobie naskórek z palca. Stanąwszy twarzą do ściany, znajdującej się za biurkiem, przyłożyła skaleczoną dłoń do ust. Zaczynała podejrzewać, co to wszystko oznacza. Poczula odrazę.

Cam jej pragnął. Lecz wstydził się tego pragnienia.

Mężczyźni często jej pożąдали, a ona musiała się nauczyć, że reakcja mężczyzny na pożądanie to rzecz bardzo skomplikowana. Teraz Cam był zły. Na nią. Na siebie. I w odpowiedzi gotów był wysuwać autokratyczne żądania, a potem doprowadzać ją do szału, zmieniając swoje decyzje. I stając zbyt blisko, dotykając jej, oddychając delikatnie tuż przy jej uchu.

Jakże była głupia! Przecież Cam wcale nie chciał jej uwieść! Może przynosiło mu satysfakcję, gdy mógł wywierać na nią nacisk, wykorzystywać męską siłę, żeby chociaż trochę ją onieśmielić. Ale cóż ją to obchodziło? Musiała zarobić pieniądze na życie, a przecież zawsze będzie przed kimś odpowiadać za swoją pracę. Jakie więc miało znaczenie, czy to Cam, czy jakiś inny arogancki arystokrata?

Tak, był krytyczny i nie miał racji, ale przynajmniej w głębi serca zawsze okazywał się dobrym człowiekiem. Co ważniejsze, należało wykonać zadanie - przecież było dziecko, któremu należało zapewnić należyta opiekę i pokrzepić jego duszę. Zresztą, już tutaj dotarła, do

Chalcote, a to jedno z nielicznych miejsc, gdzie w całym swoim życiu czuła się naprawdę szczęśliwa. Czy nie było to jednym z powodów decyzji przyjazdu?

Wtem rozległ się cichy odgłos stłumionego kichnięcia, który przerwał tę niezręczną ciszę.

Cam spojrział groźnie w kierunku staromodnej szafy, która stała w rogu pomieszczenia, wbudowana w jego ściany. Helena podeszła krok bliżej do biurka, lecz Cam zdawał się jej nie zauważyć. Cała jego uwaga była skupiona gdzie indziej.

- Ariane - odezwał się zaskakująco łagodnym głosem. - Wyjdź z szafy, kochanie.

Wszystkie myśli o tym, co właśnie zaszło między nimi, natychmiast wyparowały z głowy Heleny. Cam wzdychając, przeszedł przez salę i otworzył dolną połówkę drzwi. W środku siedziało skulone w kucki, podobne do zjawy jasnowłose dziecko. Dziewczynka nie wydała z siebie żadnego odgłosu. Zresztą wcale nie musiała, gdyż jej ponura mina wyrażała wszystko.

Bez dalszych komentarzy, Cam pochylił się i wyciągnął do niej rękę. Mrugając, oślepiona jasnym światłem, posłusznie podała mu dłoń, a następnie z wyraźną niechęcią wygramoliła się z szafy. Zaskoczona Helena spostrzegła, że małe stopki dziecka są zupełnie bosc. Miała rozczochrane włosy, zaś w drugiej ręce zaciskała mocno jakieś wypchane zwierzątko bliżej nieokreślonego gatunku.

W zupełnej ciszy Cam przyklęknął, aby wziąć małą na ręce, po czym wstał i poprzez zmierzwione włosy córki ujrzał wpatrującą się weń Helenę. Nieopanowane cierpienie, jakie zobaczyła w jego oczach, sprawiło

jej ból znacznie większy, niż byłyby w stanie to uczynić gniewne słowa Cama. Kochał to dziecko, to było zupełnie oczywiste. Na wymownym obliczu mężczyzny dostrzegła całą jego mękę, a także ogrom pytań, na które nie było odpowiedzi.

Poczuła dla niego współczucie, tak jak w przeszłości wielokrotnie szczerze współczuła innym ludziom. I nagle ujrzała go nie jako dawnego kochanka czy aroganckiego arystokratę, lecz jako ojca zatroskanego o swoje dziecko, które z takim wysiłkiem starał się zrozumieć. W końcu oderwał wzrok od Heleny i podszedł do niej, cały czas mocno przyciskając usta do główki dziecka.

Dziewczynka zanurzyła twarzyczkę w ozdobionej apaszką szyi ojca, najwyraźniej nie chcąc spojrzeć na Helenę.

- Ariane - odezwał się Cam łagodnym, lecz rzeczowym tonem - to twoja nowa guwernantka, panna de Severs.

- Dzień dobry, Ariane - powiedziała miłym, ciepłym głosem, idąc za przykładem Cama.

Dziewczynka jeszcze bardziej wtuliła się w szyję taty i mocniej przyłgnęła do jego ciała.

- Kochanie - powiedział cicho Cam - proszę, spójrz na pannę de Severs. Uśmiechnij się do niej choć na chwilę.

W końcu Ariane odwróciła nieznacznie głowę, aby popatrzeć na Helenę przez wąskie szparki oczu, lecz bez uśmiechu. Helena przyglądała się dziecku i z radością stwierdziła, że dziewczynka wydaje się fizycznie zdrowa, a jak na swój wiek jest nawet dość wysoka. Śliczne, kręjące się włosy były tak jasne, że niemal białe, zaś oczy - a przynajmniej to oko, które widziała - miało niesamowity odcień błękitu, kontrastujący z jej

różową, niemal przezroczystą skórą. Buzia dziewczynki była zaokrąglona, słodka i naprawdę piękna. Wyglądała eterycznie, jak aniołek, a nie prawdziwe dziecko.

Helena spojrzała, jak Ariane kurczowo zaciska pobielące piąstki na klapach ojcowskiego ubrania. Miłość Cama do dziecka była równie widoczna jak zagubienie dziewczynki. Po raz pierwszy Helena odczuła wagę oczekującego ją zadania, które tak niefrasobliwie przyjęła. Co będzie, jeśli poniesie fiasko? W takim wypadku sprawi zawód także Camowi, komuś, kogo już teraz uważała za kogoś więcej niż jedynie swojego pracodawcę.

- Nie bój się, Ariane - powiedziała, kładąc delikatnie dłoń na wątlym ramieniu dziecka. - Na pewno masz już dosyć przyuczania kolejnej nowej guwernantki. Ale postaram się być pojętną uczennicą.

Dziewczynka obdarzyła Helenę czymś, co można by uznać za słaby uśmiech, lecz właśnie w tym momencie w drzwiach pojawiła się młoda pokojówka, trzymająca w dłoni parę małych pantofli.

- Och, przepraszam, milordzie! - Symbolicznie skłoniła głowę. - Dziewczynka gdzieś mi uciekła.

Poszłam po jej buciki, a gdy wróciłam, już jej nie było.

- Rozumiem, Martho - odparł spokojnie Cam. Nachyliwszy się, postawił Ariane na podłodze, po czym żartobliwie dał jej ojcowskiego klapsa na pupę. - A teraz idź z Martą, mały chochliku! I ubierz się do końca, abym przy lunchu zobaczył cię w pończochach i pantoflach!

Helena patrzyła, jak wychodzą z pomieszczenia i znikają w korytarzu. W powstałej pustce najpierw poczuła powiew chłodnej bryzy, wraz z którym powrócił niepokój i wiszące między nimi wcześniej

napięciu. Usłyszała za plecami szelest przesuwanych książek, jakby Cam zaczął je przekładać. Jednak nie od razu się odwróciła.

- No więc - odezwał się wreszcie smutnym głosem - teraz sama widzisz, jaka ona jest... niezdrowa.

Stała twarzą do niego.

- Widzę bardzo przestraszone dziecko, milordzie. A czy istnieje po temu jakaś dodatkowa przyczyna, w tej chwili nie potrafię powiedzieć.

Cam uważnie się w nią wpatrywał.

- Zawsze byłem dla niej delikatny - powiedział cicho, z nutą goryczy w głosie. - I wciąż myślę, że moje dziecko nawiedza coś więcej niż zwyczajny lęk.

Skinęła głową, starannie dobierając słowa.

- Przepraszam cię, milordzie. W moich słowach nie kryła się żadna zła intencja. Zaś lęk rzadko bywa objawem o prostym podłożu, szczególnie u dziecka w wieku Ariane, gdy nie można tak łatwo odróżnić wyimaginowanego zagrożenia od tego, co może się stać naprawdę.

Cam spoglądał na biurko i bezwiednie przesunął leżące na nim książki.

- Heleno, czy możesz jej pomóc? - spytał w końcu zaskakująco zmęczonym głosem. - Czy zostaniesz z nami? Proszę.

Wolno kiwnęła głową.

- Zostanę. A co do pomocy twojej córce, to modlę się, aby coś z tego wyszło. Lecz nigdy nie obiecuję... - Zamilkła.

Cam bagatelizująco machnął ręką i podniósł jedną z książek.

- Do licha, a co to takiego? - spytał nagle, jakby chciał przerwać krępującą atmosferę zbytnej zażyłości. Powoli wymówił tytuł książki,

jakby trawił w myślach znaczenie każdego słowa. *-Medyczne badania i obserwacje dotyczące chorób umysłu... ?*

Zrobiła krok w jego stronę.

- Autor, doktor Rush, był Amerykaninem, który studiował w Edynburgu. Pisał o medycynie specjalnej. Chodzi o choroby, które mają wpływ na procesy umysłowe, w odróżnieniu od chorób atakujących ciało.

- Zdaje się, że posiadam pewną wiedzę na temat takiej medycyny, Heleno - odparł - chociaż zapewne w twoich oczach wyglądam na autentycznego wieśniaka.

Nie chwyciła przynęty.

- No cóż - powiedziała żwawo - w każdym razie widzisz, że praca Rusha to książka o chorobach umysłu. Obawiam się, że jest już trochę przestarzała, lecz wielu ludzi kontynuowało jego badania, a dla mnie też stanowi dużą pomoc w mojej... pracy guwernantki.

Przygnębienie Cama, które wcześniej przerodziło się w arogancję, teraz przybrało oblicze gniewu. Bezceremonialnie uderzył książką w blat.

- Moja córka - wycedził przez zaciśnięte zęby - nie jest obłąkana!
Helena zaśmiała się z przymusem.

- No cóż, milordzie, po tym jak ją zobaczyłam, z pewnością nie użyłabym w stosunku do niej terminu „obłąkana” - odparła chłodno. - Jednakże, jeśli ona miewa tak zmienne nastroje jak ty...

- Jak ja? - przerwał jej wyniośle, zwięzając oczy w szparki. Potem wolno, ku wielkiemu zaskoczeniu Heleny, wykrzywił ku górze kącik ust. - Tak! Dobrze! Nich cię diabli, zrozumiałem, co chciałaś przez to powiedzieć. Może i jestem obłąkany.

- Nerwowo przeczesał sobie włosy długimi palcami. - Lecz Ariane taka nie jest i nie pozwolę, żeby była traktowana jak szalona.

Zawstydzona swoim poprzednim sarkazmem, Helena spuściła mocno z tonu.

- Oczywiście, że ona taka nie jest. Zresztą samo pojęcie „obłąkany” jest obecnie coraz rzadziej używane. Pracowałam z takimi lekarzami i ich pacjentami przez kilka lat i nie widziałam więcej niż pół tuzina ludzi, których zgodnie ze stanem faktycznym można by określić mianem „obłąkani”. Ha, raz nawet słuchałam wykładu na Uniwersytecie Wiedeńskim...

- To znaczy w Akademii Medycznej? - przerwał z powątpiewaniem.
- Obecnie kobietom chyba nie pozwala się podejmować takich studiów, prawda?

- Nie do końca - odrzekła wymijająco. - Ale jeśli się ma odpowiednich przyjaciół, można czasem odwiedzać szpitale i dyskretnie posłuchać wykładów lub coś w tym rodzaju.

- Hm - mruknął bez przekonania Cam. Przez chwilę przewracał kartki kolejnej książki. W jego oczach pojawił się błysk ciekawości. - A to co takiego? - usiłował odczytać tytuł. - *Rhapsodien über...*

- Rozprawa o zastosowaniu psychoterapii

- przetłumaczyła Helena z rosnącym entuzjazmem. Przynajmniej Camden Rutledge jeszcze nie powyrzucił jej książek przez okno tak jak jeden z poprzednich pracodawców. - A to - z zapalem wskazała trzecią, mocno już podniszczoną pozycję - napisał mój rodak, *monsieur* Pinel, dyrektor szpitala Bicetre. Odrzucił upuszczanie krwi, lewatywy i blistering jako terapie nieskuteczne w leczeniu zaburzeń psychicznych.

Cam zdumiał się i popatrzył na nią, unosząc brwi.

- Muszę przyznać, panno de Severs, że mnie zadziwiasz. Jakim to sposobem dokonuje się diagnozy zaburzeń psychicznych? Zaczynam się obawiać, że przez ostatnie dwa dni sam cierpiałem na taką przypadłość!

Spojrzała nań z lekką przyganą.

- Ja tylko mam nadzieję, milordzie, że się zgodzisz, iż „zaburzenie psychiczne” jest znacznie lepszym określeniem niż „obłąkanie”.

- A! Jednak czyż nie można mieć obu tych rzeczy jednocześnie? -
Uśmiechnął się ponuro.

Tłumiąc wybuch śmiechu, próbowała zignorować te słowa.

- W rzeczy samej Ariane zdaje się cierpieć właśnie na zaburzenie psychiczne. Nie mogę tego stwierdzić, gdyż nie jestem lekarzem. Lecz jeśli jest inteligentna... ?

Cam parsknął śmiechem.

- Jak lis - odpowiedział i od razu znów spowaźniał. - Lecz to tylko moja opinia laika. Uczni doktorzy twierdzą uparcie, że Ariane jest ograniczona.

Mimo to rok temu zatrudniłem pierwszą guwernantkę, aby nauczyła Ariane trochę czytać i rachować.

- Czy dobrze zrozumiałam, że jako małe dziecko zaczęła normalnie mówić? - spytała, przypominając sobie słowa Brightsmith'a.

- Tak. I wówczas jak na swój wiek miała bardzo szeroki zasób słów.

- Fizycznie wydaje się zupełnie zdrowa - ciągnęła w zamyśleniu Helena. - A czy potrafi się uczyć? Na przykład, czy potrafi wykonać wydane ustnie polecenia? Grać w proste gry? Czy kiedykolwiek okazuje złość albo radość? Czy widać u niej przejawy logicznego myślenia?

Cam się zawahał. Sprawiał wrażenie zakłopotanego i być może zranionego tym gradem pytań.

- Ależ tak, oczywiście. Jestem przekonany, że Ariane nie jest ograniczona, ale po prostu ogarnięta lękiem. Lecz gdy ktoś nie może mówić... ?

- Tak, no właśnie - zgodziła się Helena z nutą współczucia. - Wtedy trudno dowiedzieć się, jaka jest tego przyczyna, prawda?

Postanowiła nie naciskać Cama do chwili, aż spędzi z dzieckiem trochę więcej czasu. Wyraźnie widziała, że ta sprawa jest dla niego bardzo bolesna, a z drugiej strony, na pewno więcej i lepiej dowie się wszystkiego od samej Ariane.

RS

Rozdział 4

Lecz miłość to choroba jest nieuleczalna

Nieoczekiwanie Cam wyciągnął krzesło i usiadł przy biurku, dając Helenie znak, aby uczyniła to samo. Aby utrzymać dystans, Helena zajęła miejsce na krześle za biurkiem. Cam położył łokieć na blacie i oparł podbródek na zwiniętej w pięść dłoni.

- Posłuchaj mnie, Heleno - powiedział wreszcie. Jego zapadające w pamięć, szare oczy były pełne smutku, nieobecne. - Ja tylko pragnę tego, co najlepsze, dla mojej córki. Czy możesz to zrozumieć? Chcę, aby miała szczęśliwe życie. Nie pozwolę, aby czegokolwiek jej brakowało, zarówno emocjonalnie, jak i materialnie. I nie dopuszczę, aby wstydziła się za siebie lub za swoją rodzinę. Nie dam przyzwolenia na to, by Ariane rosła w takich warunkach jak Catherine i Bentley, a więc zawsze na granicy społecznego potępienia, gdy ich szanse na przyszłość zostały znacznie ograniczone przez negatywną opinię całego środowiska.

Helena poczuła się zdezorientowana.

- Cam, nie jestem pewna, czego ode mnie oczekujesz.

Jego policzki nabrały nieco koloru.

- Zawsze bez ceremonii zbaczam z tematu, prawda? - rzekł, uśmiechając się posepnie. - Spadł na mnie obowiązek naprawy rodzinnej fortuny, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Proszę tylko, w imieniu Ariane, abyś pomogła mi określić, w jaki sposób najlepiej zapewnić jej szczęście. Nie przyjmuję do wiadomości, że mojemu dziecku nie można już pomóc! - Uderzył pięścią w blat. - Absolutnie!

Nachyliła się.

- Cam, uczynię wszystko, co w mojej mocy. Obiecuję.

Jakby zażenowany ogromem swoich emocji, zamilkł na dłuższą chwilę.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie - że zraniłem cię w palec.

Położyła dłoń na biurku i przesunęła opuszką palca po zadrapanym kłykciu.

- Może powinnam poprosić o dodatkowe dziesięć funtów za niebezpieczną pracę?

Uniósł jej rękę, aby lepiej zobaczyć zdarty naskórek.

- Myślę, że jakoś to przeżyjesz, Heleno - rzekł sucho, kładąc jej dłoń z powrotem na biurku.

- Na pewno. W życiu odniosłam już znacznie cięższe rany.

Nie skomentował tych słów, znowu pograżając się w chwilowym milczeniu.

- Więc obiecujesz mi, że zostaniesz?

- Jeśli sobie tego życzysz, to tak - odpowiedziała powoli, doskonale rozumiejąc, że nie jest to mądra decyzja. - Zostanę, przynajmniej na te sześć miesięcy, za które mi zapłaciłeś.

Cam westchnął przeciągle z wyraźną ulgą, po czym spojrzał w kierunku pustej szafy, której drzwi wciąż były otwarte.

- Wiesz, Heleno, czasami nie mogę powstrzymać się od myśli, że w pewien sposób to wszystko jest moja wina. Że Ariane jest taka zamknięta w sobie, bo ja jestem... No, chyba sama wiesz, jaki jestem.

Oparła się wygodniej, obserwując go.

- Kiedyś znałam cię całkiem dobrze, ale nie teraz - przyznała cicho. - Jako młody mężczyzna byłeś raczej małomówny. I w ogóle zbyt poważny, co nie wychodziło ci na dobre.

- No widzisz, to właśnie miałem na myśli - przyznał.

Pokręciła głową.

- Wątpię, że tak jest. - Mówiła w równej mierze do siebie, jak do niego. - Chociaż wydaje się, że niektóre typy zaburzeń są dziedziczne, to rzadko należy do nich utrata mowy. Problem Ariane to zapewne objaw tłumionego lęku. A może reakcja na jakąś traumę? Lecz raczej nie jest to cecha otrzymana od rodziców, jak na przykład haczykowaty nos czy niebieskie oczy.

Cam jakby zeszywniał. Ton jego głosu przybrał chłodniejszą nutę.

- Nie mówiłem o problemie natury dziedzicznej. Jestem pewien, że to nie ma tutaj miejsca. Być może lęk, o którym wspomniałaś, to obawa przed tym, że wyrośnie na kogoś podobnego do mnie. Na osobę zbyt poważną i zamkniętą w sobie. Nie mając matki, spogląda na mnie jako na jedyny wzorzec normalności.

Spostrzegła, że mówił to wszystko bardzo serio.

- Och, Cam! - Zaśmiała się uspokajająco. - Przecież to absurd!

Przecież to dziecko naśladować ciebie, robi to, co najlepsze, gdyż w twoim postępowaniu nie ma niczego niewłaściwego. Naprawdę, ja sama zawsze myślałam o tobie, że jesteś bliski ideału. Tak jak mówiłam, jesteś być może zbyt racjonalny, lecz życie zawsze obarczało cię brzemieniem obowiązków.

Zaskoczony, uniósł brwi i spojrzał na nią uważnie.

- Na Boga, Cam! Sądziłeś, że tego nie dostrzegam? Może i byłam młoda, ale na pewno nie głupia. A teraz, gdy jesteś dorosły, naprawdę myślę... - urwała nagle.

Nabrał jeszcze większych rumieńców.

- Dokończ, Heleno - wymamrotał. - Powiedz to. Pokręciła głową.

- To byłoby niestosowne. Westchnął melodramatycznie.

- Heleno, ja sam nie jestem w stanie mówić w jednym zdaniu o tobie i jakiegokolwiek niestosowności - odparł, uśmiechając się szelmowsko kącikami ust. - Powiedz wreszcie i miejmy to za sobą.

- Wybacz, lordzie Treyhern. Zachowałam w sobie wysoko rozwinięte poczucie tego, co stosowne, zresztą bardzo dużym kosztem. Faktycznie, jestem teraz aż nudna. Ale powiem tyle: stałeś się... zimny, tak myślę. I trochę zbyt wybuchowy. Lecz nie widzę, w jaki sposób miałyby to stanowić jakiś problem dla Ariane. No i już. Powiedziałam ci.

Wtedy naprawdę się roześmiał, aż w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. Jego radość zabrzmiała zupełnie naturalnie. Serce Heleny zadrało na ten miły znajomy dźwięk.

- Wybuchowy i zimny? Tylko dwa przymiotniki, Hellie? - spytał, używając zdrobnienia, którym kiedyś ją nazywał. - Obawiam się, że chyba pęknie, jeśli nie powiesz mi wszystkiego. - Jego oczy złagodniały z rozbawienia i nagle wyglądał młodo i delikatnie.

Gwałtownie wstała z krzesła, szorując nim mocno po dębowej podłodze.

- Może innym razem - odparła z pozorną łatwością. - Muszę... muszę się rozpakować. I przygotować się do pracy z Ariane, gdy tylko będzie się dobrze czuła w mojej obecności.

- Tak, oczywiście. - Wstał płynnym ruchem i w zadumie pogładził dłonią boczną ściankę jej starej podróżnej torby, chwilowo zatrzymując palce na sznurku, którym obwiązała bagaż.

- W miasteczku jest bardzo dobry rymarz - powiedział z roztargnieniem. - Daj ją Milfordowi, a on z przyjemnością dopilnuje, aby została naprawiona.

Patrzyła, jak głaskał skórzaną torbę.

- Nie! - odparła, stając nagle na baczność.

- To znaczy... nie, dziękuję. Chciałabym, aby została w takim stanie jak teraz. Przypomina mi o... o czymś, co szczególnie chciałabym zapamiętać.

Znowu się uśmiechnął.

- Tak jak sznurek zawiązany na palcu?

- Właśnie. - Aby się czymś zająć, chwyciła pierwszą z brzegu stertę książek i przeniosła je na sam koniec długiej ławki. - Czy wspominałeś, że będziesz się widział z Ariane podczas lunchu?

- Tak, staram się spożywać razem z nią południowy posiłek, o ile tylko czas mi na to pozwala.

- Popatrzył na nią niepewnie. - Dlaczego pytasz? Chciałabyś do nas dołączyć?

Zdecydowanie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dziękuję, ale nie dzisiaj. Wydaje mi się, że będzie najlepiej, jeśli ona powoli przywyknie do mojej obecności w domu.

- Tak, oczywiście - odpowiedział trochę formalnym tonem.

Helena zajęła się wyjmowaniem małych instrumentów muzycznych z leżącej na stole drewnianej skrzynki.

- Powiedz mi... czy była bardzo przywiązana do poprzedniej guwernantki?

- Nie - odpowiedział bez ogródek. - Poza tym, panna Eggers była kolejną z wielu nieudolnych guwernantek, które niczego jej nie nauczyły. W ciągu ostatniego roku zatrudniłem aż trzy. I wszyscy tutaj jesteśmy już zmęczeni nieustannymi zmianami na tej posiadzie.

Uśmiechnęła się sztywno.

- Daj mi znać, gdy poczujesz, że ona będzie gotowa, aby zostać ze mną sam na sam. Do tego czasu będę ją po prostu obserwować.

Uklonił się.

- Oczywiście - odpowiedział grzecznie. Po czym odwrócił się i energicznym krokiem wyszedł.

* * *

Helena pracowała z zapalem przez całą porę lunchu, wypakowując swoje rzeczy i przemeblowując trochę salę, gdzie miały się odbywać lekcje. Po pierwszym kontakcie z Ariane Rutledge Helena coraz bardziej pragnęła zjednać sobie sympatię dziewczynki i dokonać bliższej oceny tkwiącego w niej potencjału. Co więcej, z taką samą determinacją postanowiła unikać mrocznie przystojnego ojca Ariane.

Po poranku spędzonym najpierw na kłótni, a następnie wspólnych żartach z Camem czuła się z niewiadomego powodu zaniepokojona oraz nieco zakłopotana. Wydawał się dziwnie nieprzewidywalny, często bez wyraźnej przyczyny popadał w zmienne nastroje. Niezdolna wyzbyć się tych stresujących myśli, poszła korytarzem do swojej sypialni. Na zewnątrz nastąpiło chłodne, choć słoneczne późne popołudnie. Nałożyła

pelerynę i botki, aby odbyć długi spacer po okolicy. Świeże powietrze pomoże jej zebrać myśli, poza tym zapragnęła wyjść trochę na zewnątrz.

Wyszła z dworu tylnymi drzwiami i zatrzymała się, aby przez chwilę popatrzeć na ścieżki wiodące z Chalcote do pobliskich miejscowości. Nie chcąc w tym momencie nawiązywać znajomości z obcymi, Helena wyruszyła alejką, która dużym łukiem biegła przez położone niżej pastwiska aż do leżącej za nimi wyżyny. Stamtąd mogłaby nasycić się pięknym widokiem zarówno domu, jak i leżącego w pobliżu miasteczka.

Po półgodzinie żmudnego marszu znalazła idealne miejsce na szczycie urwiska za Chalcote, tak więc usiadła na trawie, aby odpocząć. Teraz, z dużej odległości mogła przyglądać się zgrabnej, dwupiętrowej sylwetce dworu, który wyróżniał się pięknem, acz nie majestatycznością, na tle całego otoczenia. Z oddali ów budynek wyglądał niemal magicznie - ze spadzistymi płaszczyznami dachów, rozciągającymi się na boki skrzydłami i głęboko osadzonymi oknami o licznych małych szybach. Zgodnie ze swoją nazwą, dwór Chalcote Court był otoczony dziedzińcem o nawierzchni wyłożonej ciepłym, jasnym kamieniem, pasującym do kolorystyki budynku, zaś o trawnikach można było powiedzieć tylko jedno - że są zgrabne i eleganckie, niezbyt duże, natomiast tuż za murami okalającymi ogrody rozciągały się na całe mile należące do majątku uprawne pola i lasy.

Helena wiedziała, że Chalcote było terenem rolniczym już od czasów podboju normandzkiego w jedenastym wieku, lecz sam dom został wybudowany o wiele później, około roku tysiąc sześćset dwudziestego, przez jednego z przodków Cama ze strony matki. Aż wzdrygnęła się na myśl o tym, jakie opłakane skutki musiały wyniknąć dla tej ziemi z

powodu zaniedbań Randolpha Rutledge'a, jednak z przyjemnością stwierdziła, że sam dwór nie popadł w ruinę.

Na zachodniej stronie rozpościerał się równie uroczy widok na Cheston-on-the-Water. Stara, kręta droga biegła od dworu w dół ze wzgórza, falując, przecinała starannie utrzymane ogrody, mijając jeszcze niedawno pokryte bujną zielenią drzewa, które teraz szybko zrzucały swe jesienne liście w barwach czerwieni i złota. Miasteczko składało się z wąskiej uliczki, przy której znajdowało się kilka sklepów, skromnego zajazdu, probostwa i około dwu tuzinów domów różnej wielkości, zbudowanych z tego samego jasnobrązowego kamienia co Chalcote Court.

Ze wszystkich podróży, które Helena była zmuszona odbyć w dzieciństwie, Gloucestershire stanowiło jedyne miejsce, dokąd zawsze przyjeżdżała z największą radością. Być może z powodu Cama. Lecz nikt nie mógł zaprzeczyć, że Cotswold jest niewymownie piękną, sielską krainą. Stare, kamienne ściany wiejskich domów wciąż jeszcze były pokryte pnączami i kwieciami późnego lata, które opadało na wybrukowane chodniki.

Na pierwszym planie, niedaleko od zachodniego muru Chalcote, Helena ujrzała kościół Świętego Michała z przysadzistą, saksońską wieżą, która już od prawie dziewięciuset lat wznosiła się na południowo-wschodnim skraju wsi. Pomimo wielu wizyt w Chalcote Helena tylko raz była w środku kościoła, w czasie niecnej eskapady z zamianą książeczek do nabożeństwa. Święta Eucharystia w lokalnym kościele parafialnym nie należała do ulubionych rozrywek Randolpha Rutledge'a, którym oddawał się podczas towarzyskich imprez organizowanych w swojej wiejskiej rezydencji.

Jako dziecko Helena chodziła do kościoła jedynie z rzadka, gdy zabierała ją tam babcia. Lecz nie wiadomo dlaczego, teraz poczuła silne pragnienie, by wejść do tej małej świątyni. Niby dlaczego nie miałyby tego zrobić? Przecież była członkiem Kościoła - choć być może nie praktykowała zbyt regularnie. Tak czy inaczej, miała takie samo prawo wejść do środka, jak każdy.

Z daleka ten stary, zbudowany z kamienia kościół wyglądał spokojnie i zachęcająco, położony zacisznie w małej dolince, zalany promieniami jesiennego słońca. Helena instynktownie poczuła, że wewnątrz tej budowli mogłaby znaleźć balsam dla swoich chaotycznych, niespokojnych myśli. Właśnie tego teraz potrzebowała. Odrobiny spokoju. Tam, w kościele, mogłaby posiedzieć w ciszy i podziękować za wszystko Panu Bogu. Mogłaby skupić się na tym, co naprawdę ważne, na przykład na babci. Mogłaby też pomodlić się w intencji ustąpienia jej reumatycznych dolegliwości.

Z takim postanowieniem Helena skierowała się do miejsca, w którym ścieżka się rozwidlała: odnoga w prawo wiodła z powrotem do dworu, zaś stroma dróżka w lewo prowadziła do miasteczka. Jednakże kierując wzrok w stronę nowego celu swej wędrówki, Helena ujrzała pierwszą skazę na tym bardzo przyjemnym krajobrazie. Oto głęboko między drzewami w lesie, dość daleko za rozwidleniem, zobaczyła zwęglone szczątki małej budowli. Natychmiast rozpoznała ją jako starą leśniczówkę. Kamienny dom przestał być używany jeszcze przed jej przyjazdem do Chalcote - zapewne w okresie, gdy kłopoty Randy'ego Rutledge'a przybrały tak wielkie rozmiary, iż nie był już w stanie pozwolić sobie na opłacanie leśniczego.

W minionych latach Rutledge nie podejmował większych wysiłków, aby na przykład zabijając okna deskami, starannie zabezpieczyć chatę przed wędrującymi tędy Cyganami czy też spotykającymi się na schadzkach kochankami. W końcu zapewne jacyś wandy dopełnili aktu zniszczenia ślicznej leśniczówki. Pozostały z niej tylko kamienne ściany, które wznosiły się apatycznie ze sterty porośniętych chwastami ruin. Na obrzeżach, gdzie poszycie umożliwiało łatwiejszy dostęp, gryzły spokojnie trawę pulchne owce jednego ze stad należących do Cama.

Jedna ze starszych owiec uniosła głowę i zabeczała pytająco na widok przechodzącej w pobliżu Heleny, lecz poza tym cała sceneria była spowita całunem trochę niepokojącej ciszy. Helena odwróciła wzrok, po czym nieco uniosła spódnicę i z wawiej ruszyła dalej ścieżką w kierunku kościoła. Nie mogła dłużej znieść widoku spalonej leśniczówki, gdyż wydawał się on symbolem tego, co pozostało z jej dawnych marzeń: ściany stały pozornie nienaruszone, lecz niegdyś bezpieczne wnętrza zostało doszczętnie zniszczone.

Kiedy Helena stanęła na dobrze utrzymanym podwórzu przed kościołem, mogła się w końcu odprężyć, gdyż udzielił się jej panujący tu spokój. Niski kamienny mur zdawał się wyrastać z samej ziemi, aby otoczyć swymi ramionami kościół i chwiejnie stojące nagrobki, rozrzucone bezładnie w północno-zachodniej części placu. Napawając się panującym wokół spokojem, nagle kątem oka zauważyła w oddali jakiś ruch. Od strony dzwonnicy szła szybkim krokiem przez trawnik młoda dziewczyna odziana w ciemnozieloną pelerynę. Wybrała drogę pomiędzy nagrobkami, kierując się ku szerokiej furtce wychodzącej na główną ulicę miasteczka.

Lecz gdy się odwróciła, by odemknąć zaczep, przesunęła wzrokiem dookoła i wówczas spostrzegła Helenę. Lekki powiew bryzy rozwiął nieco czuprynę gęstych rudych włosów, a dziewczyna otworzyła szeroko oczy, jakby coś ją przestraszyło. Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały. Helena uniosła dłoń w powitalnym geście, lecz tamta odwróciła się szybko i wybiegła, pozostawiając niedomkniętą furtkę, która zaczęła postukiwać.

Helenie przyszło do głowy, że została rozpoznana - i równie szybko odrzucona. Lecz po chwili pomyślała, że dziewczyna w zielonej pelerynie była zbyt młoda, aby pamiętać niegdyś knąbrną Helenę Middleton. Być może jak sama Helena potrzebowała chwili samotności, aby się pomodlić lub oddać żałobnej kontemplacji. Mimo to odczucie niepokoju pozostało jeszcze długo.

Helena poszła ścieżką wzdłuż wewnętrznej strony muru. Jakby pociągnięta niewidzialną siłą, skierowała się powoli ku porośniętemu winoroślą nagrobkowi położonemu najbliżej narożnika. Być może Randolph Rutledge leży w grobie, lecz Helena czuła, że nabierze co do tego całkowitej pewności dopiero wtedy, kiedy ujrzy to miejsce na własne oczy. I dobrze wiedziała, gdzie go szukać.

W końcu znalazła. A więc to prawda. Randolph nie żył. Spoglądała pod nogi, wdychając mocny zapach wilgotnej, niedawno wzruszonej ziemi. Kamieniarz nie miał jeszcze czasu, żeby dokończyć nagrobek, więc grób był nieoznakowany pośród rzędów spoczywających tu Rutledge'ów i Camdenów. Lecz ten bez wątpienia należał do Randolpha.

Uśmiechnęła się w myślach. Być może ktoś wciąż usiłował wymyślić stosowny epitet dla zmarłego hrabiego? Właśnie, bo co napisać na grobie takiego człowieka? Jadł, pił, zażywał przyjemności... ?

Wzruszyła ramionami i ruszyła dalej. Najlepiej zapomnieć o przeszłości. Randolph nie miał zamiaru zrujnować jej życia. Pragnął jedynie chronić swój jedyny skarb - syna. Niech Bóg da pokój jego duszy. Biedak odszedł z tego świata, a myśl o tym wcale nie sprawiła Helenie przyjemności. Spoglądając na gołą, wydeptaną ścieżkę, czuła się bardzo mała. I wtedy jej wzrok padł na sąsiedni grób.

CASSANDRA RUTLEDGE UKOCHANA ŻONA I MATKA

Na wierzchu leżał niewielki, lecz elegancki bukiet świeżych kwiatów, ozdobionych żółtą i białą wstążką. Wyglądało na to, że ktoś zadał sobie dużo trudu, gdyż kwiaty nie należały do tych, które kwitną jesienią, lecz do bardzo kosztownych odmian hodowanych w cieplarni. Spojrzała na daty wyryte na kamieniu, a potem w kierunku furтки, przez którą wyszła dziewczyna. Czy to ona zostawiła tu kwiaty?

Po kilku chwilach głębszego zastanowienia Helena stwierdziła, że to jednak mało prawdopodobne, ponieważ dziewczyna nadeszła od zupełnie innej strony, być może wyszła przez małe drzwi w ścianie samego kościoła. Lecz mimo to należało przyznać, że ktoś z pewnością zachowywał ciepłe wspomnienia o zmarłej pani Camden Rutledge.

Bez wątpienia był to Cam we własnej osobie. Helena przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło i oderwała wzrok od kwiatów. Podobno Cassandra Rutledge była olśniewająco piękna. Cam na pewno był jej bez reszty oddany. Z pewnością było też coś, co sprawiło, że pograżył się w goryczy, że stał się taki twardy. Lecz Helena stwierdziła, że nic jej to nie obchodzi.

Za to obchodziła ją Ariane. Jakże ciężko musi być małej dziewczynce dorastać bez matki! A data śmierci pani Rutledge też nie pomogła niczego wyjaśnić. Ariane straciła matkę w bardzo trudnym etapie

swego rozwoju. Z nadzieją, że będzie w stanie pomóc temu biednemu dziecku, Helena zastanawiała się nad tym wszystkim i uniosła nieco spódnicę, aby ruszyć dalej.

Przeszedłszy jeszcze kilkadziesiąt kroków, zatrzymała się, aby podziwiać pnącą różę, która pokrywała cały mur i sięgała aż poza górną jego krawędź. Małe pączki kwiatów zwiędły od zimna. Wtem powiew chłodnego wiatru załopotał spódnicą Heleny, jednocześnie wzbijając w powietrze cały deszcz wyschniętych, różowych płatków. Te, które nie osiadły na jej pelisie lub wstążkach kapelusza, rozsiały się na pękniętym kamiennym nagrobku u jej stóp.

- Ha, nie mógłbym sobie życzyć bardziej radosnego widoku - odezwał się głęboki, wesoły głos, dobiegający od strony prezbiterium. - A przynajmniej nie obok mojego kościoła.

Helena uniosła wzrok i ujrzała mężczyznę w duchownej szacie, który nadchodził ścieżką. W czarnym płaszczu, wyraźnie rysującym się na tle kładącego się już nad horyzontem, popołudniowego słońca, człowiek ów nie był dobrze widoczny, lecz Helena rozpoznała jego jasne włosy, szerokie ramiona i bardzo przyjazny, miły głos.

- Dzień dobry - powiedział, stając przed nią z wyciągniętą ręką.

Jego oczy o barwie głębokiego błękitu jaśniały promiennym uśmiechem.

- Pani pozwoli, Thomas Lowe, proboszcz parafii Świętego Michała, oferujący swą skromną posługę.

Ujęła jego dłoń.

- Bardzo miło ze strony pastora. Jestem Helena de Severs. Mam być nową guwernantką Ariane Rutledge.

Niespodziewanie Thomas Lowe mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Ależ, panno de Severs. Tyle to ja wiedziałem już wcześniej. Proszę mi wyjawić jakiś pikantny sekret o sobie, abym mógł pohandlować nim przy podwieczorku z panią Wimbley w sklepiku. Płoteczki to bardzo cenny towar!

- Ojej! - zaśmiała się Helena niepewnie, odwiązując wstążki kapelusza, który po chwili uniosła, aby nim potrząsnąć. - Mam nadzieję, że jeszcze nie kwalifikuję się jako temat płotek.

Pastor poczerwieniał.

- Oczywiście, że nie - odparł przepraszająco. - Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo nam miło gościć kogoś nowego w Chalcote Court. - Sięgnął do jej kapelusza. - Proszę pozwolić, pomogę. - Bardzo ostrożnie zaczął strzepywać uschnięte płatki z ciemnobłękitnego aksamitu.

Helena potrząsnęła pelisą, po czym wzięła kapelusz, aby nałożyć go z powrotem na głowę.

- Bardzo dziękuję. Jest pastor nad wyraz pomocny.

Thomas Lowe ponownie obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.

- Ależ nie ma za co! Panno de Severs... ma pani bardzo francusko brzmiące nazwisko! - Uniósł swe piękne, jasne brwi. - Mam nadzieję, że nie jest pani katoliczką!

Uśmiechnęła się, zaciskając usta.

- A czy to takie ważne? Rozłożył szeroko ramiona.

- Po prawdzie, nie ma to wielkiego znaczenia. Chciałem się tylko trochę podroczyć. Lecz jeśli należy pani do dobrego starego Kościoła anglikańskiego...

- Należę - przerwała mu sucho. Pastor jeszcze bardziej rozpostarł ręce.

- Niechaj więc będę pierwszym, który zaprosi panią do wnętrza naszego kościoła i powita w naszej kongregacji.

- Bardzo dziękuję - odparła. Nagle jego duchowna szata wzbudziła w Helenie jakieś wspomnienie. - A wie pastor, że chyba wczoraj go widziałam... na ścieżce w pobliżu Chalcote?

Ściągnął brwi, jakby się zawahał.

- Nie, nie wczoraj, panno de Severs. Chociaż często tamtędy chodzę, zresztą tak jak wszyscy. To bardzo przyjemny skrót do Coin St. Andrews, czyli do sąsiedniej wsi.

- Tak, wiedziałam o tym - odparła z roztargnieniem. - Lecz z pewnością kogoś widziałam. Kogoś ubranego na czarno...

- Naprawdę? - spytał w zamyśleniu. Wtem się rozjaśnił. - To zapewne był mój wikary, pan Rhoades. Przypominam sobie, że mówił coś, iż zamierza udać się w pobliże Coin St. Andrews. - Wzruszył ramionami i ponownie pięknie się uśmiechnął do Heleny. - Ale mógł to być prawie każdy, zważywszy na tę zdumiewająco ładną pogodę. W rzeczy samej, panno de Severs, myślę sobie, że to właśnie pani przywiozła ze sobą odrobinę wiosny do Gloucestershire! A więc, co z moim zaproszeniem?

Wyczuwając w jego głosie jedynie uprzejmość, przyglądała się temu młodemu, przystojnemu mężczyźnie. Był młodszy i w ogóle bardziej pełen życia niż jakikolwiek proboszcz, którego widziała w całym swoim życiu.

- Tak, oczywiście, będzie mi bardzo miło przystąpić do waszej społeczności - odpowiedziała pogodnie. - I jest pastor pierwszą osobą, która mnie o to pyta, bo przyjechałam tu dopiero wczoraj.

- Świetnie! - Podał jej ramię. - Czy mogę panią oprowadzić po kościele i najbliższym otoczeniu? Jesteśmy z niego bardzo dumni. Wieża i prezbiterium pochodzą jeszcze z czasów saksońskich, zaś północne i południowe przeszło są normandzkie...

Tak więc Helena spędziła następne pół godziny z Thomasem Lowe'em. Był naprawdę przeuroczy, lecz zachowywał się stosownie, więc jego towarzystwo okazało się dość zabawne. Pomimo młodego wieku z dużą dozą żarliwości opowiadał o swojej pracy.

Helena wiedziała z doświadczenia, że zbyt wielu Anglików znajdowało w sobie powołanie do stanu duchownego nie ze względu na wiarę, lecz z konieczności ekonomicznej. Z przyjemnością stwierdziła, że Thomas Lowe nie należał do tej kategorii. Najwyraźniej nie dopuścił, by kościelne obowiązki przygniotły swoim ciężarem jego naturalną pogodę ducha. Kiedy powoli szli razem przez chłodne, pachnące stęchlizną nawy kościoła, tu i ówdzie promienie słońca rozchodziły się po wnętrzu, padając z ozdobnych, gotyckich okien.

Lowe wskazał piękne średniowieczne witraże w południowym przejściu, wyjaśniając szczegółowo historię każdego okna. Jego entuzjazm okazał się zaraźliwy. Po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni Helena poczuła się naprawdę odprężona.

Kiedy wycieczka dobiegła końca, proboszcz odprowadził Helenę z powrotem przez cmentarzyk do ciężkich, drewnianych drzwi osadzonych głęboko w kamiennym murze, który oddzielał teren kościoła od pełnego

jabłoni sadu leżącego na tyłach Chalcote. Kiedy je popchnął, zaskrzypiały przeraźliwie zardzewiałymi zawiasami.

- Proszę - powiedział Lowe, chrząkając z zadowoleniem. Czubkiem buta kopnął szybko drzwi, po czym wskazał ścieżkę, która leżała tuż za granicą drzew. - Tamta kręta dróżka zaprowadzi panią wokół wzgórza i dalej aż do kuchennych ogrodów dworu. Stamtąd już chyba pani trafi, prawda?

Przez chwilę wpatrywała się między drzewa, wreszcie odwróciła głowę do pastora, starając się stłumić mimowolny uśmiech. Znała tę ścieżkę tak dobrze, że zapewne trafiłaby nią do Chalcote nawet w ciemną, bezksiężycową noc. Lecz przecież nie mogła wyznać wielebnemu Lowe, że dużą część swej grzesznej młodości spędziła na wspinaniu się na najwyższe drzewo w sadzie i rzucaniu stamtąd zielonymi jabłkami w przykościelne nagrobki.

Oddając się głupim rywalizacjom, w których umiejętności Cama przeciwstawiły się żywiołowej determinacji Heleny, oboje często włączili na jabłonie, aby nawzajem się dopingując, wybierać najodleglejsze - lub najbardziej niedostępne - nagrobki, które byli w stanie dostrzec ze swojej kryjówki pośród listowia.

Tak jak w większości zabaw, Helena była inspiratorką, lecz Cam zazwyczaj okazywał się zwycięzcą. Jednak z biegiem lat oboje zmienili upodobania i po prostu spędzali popołudnia, kryjąc się między gałęziami, dzieląc się sekretami i rozmyślając, czy kiedykolwiek zatęskni za nimi nieszczęsny służący, któremu przydzielono niewielkiego znaczenia zadanie polegające na dopilnowaniu szelmowskiej parki.

Pewnego razu, pięknego letniego dnia właśnie w tym sadzie Helena niechcący poślizgnęła się, schodząc z drzewa i z dzikim wrzaskiem wylądowała prosto w rozpostartych ramionach Cama na rozgrzanej trawie, gdzie oboje upadli pośród furkotu indyjskiego muślinu i białych koronek.

To wspomnienie bardzo silnie wryło się w pamięć Heleny, chociaż podówczas całe powietrze uszło z jej piersi pod wpływem uderzenia. O, tak. Pamiętała, jak Cam niespokojnie pochylał się nad nią, pamiętała jego długie nogi zaplątane w jej spódnicę, pamiętała jego twarz bladą i aż niezdrową z przerażenia. Odsuwając kosmyki włosów z jej czoła, błagał usilnie, żeby coś powiedziała, żeby zaczęła oddychać lub krzyczeć, w ogóle cokolwiek... aż w końcu chwyciła łapczywie powietrze urywanym, drżącym oddechem.

Pobladłe oblicze Cama stopniowo nabrało koloru, w końcu nawet trochę poczerwieniało, kiedy zrozumiał, gdzie znajdują się jego dłonie. A ona, wciąż trochę wystraszona i jak zwykle nierozsądna, gdy chodziło o Cama, przytulała się do niego, a po chwili Cam, jakby wbrew swej woli, powolutku przywarł ustami do jej ust. Jego ramiona drżały, długie, czarne rzęsy wstydliwie opadły, lecz pomimo braku doświadczenia u obojga - całowali się tak, jakby przez całe życie byli kochankami.

Leżąc przy niej, całował ją długo i mocno, podtrzymując jej głowę dłonią, która już wtedy była szeroka i silna od ciężkiej pracy. Helena nigdy nie zapomni, jak rozpustnie wygięła się ku górze, aby wyjść mu naprzeciw, jak on wtedy głąskał opuszkami palców jej włosy na skroni, gdy przesunął swe ciepłe, pełne wargi z jej ust na policzek, brwi, w końcu na kącik oka.

Cały czas jego nozdrza rozszerzały się niecierpliwie, wciągając natarczywie głębokie hausty powietrza, tak jakby mógł się udusić z pożądania. Jakby nie miał jej dosyć. Nawet w tak młodym wieku, gdy leżała w trawie pod jabłonią, Helena już wiedziała na pewno, że jest zakochana.

Zareagowała z głupią desperacją, przysuwając jego usta do swoich, wodząc językiem po jego dolnej wardze, tak jak kiedyś podpatrzyła, gdy matka robiła to z Randolphem, gdy oboje byli trochę wstawieni i przekonani, że nikt ich nie widzi.

Ku jej zaskoczeniu Cam jęknął, jakby nagle poczuł ból, a następnie wsunął swój język w jej usta, aby ją posiąść w tym odruchu dzikiej, pełnej żaru intymnej zażyłości. Raz po raz wciskał się w nią, gdy ona bezrozumnie przyciągała go bliżej i bliżej, aż w końcu położył się na niej całym ciężarem ciała. Przypomniała sobie teraz boleśnie to dziwne ciepło, które wypełniło jej żołądek i wolno spłynęło niżej, aż sama poczuła wstydlive, oszalamiające pożądanie.

Och, cóż to było za szaleństwo! Nawet przez chwilę nie pomyślała, żeby przestać, żeby go odepchnąć. Dopiero teraz naprawdę pojmowała ryzyko, na jakie wówczas się narażała, nie wspominając o torturach zadanych Camowi swoją bezwstydną reakcją. Tak, teraz Helena zdawała sobie sprawę, że ponaglała go i zachęcała, pozwalając, by jej samowolne dłonie zsunęły się z jego ramion, przesunęły poniżej wąskiej talii w poszukiwaniu

- w pragnieniu - czegoś, czego w istocie nie rozumiała, lecz bardzo mocno chciała od niego dostać...

- Panno de Severs? - Zaniepokojony głos Thomasa Lowe dobiegł do niej jakby gdzieś z oddali.

- Panno de Severs, czy dobrze się pani czuje? Nagle zrozumiała, że cały czas bezwiednie gapiała się przez łukowatą bramę na owocowy sad. Płynnym ruchem odwróciła się do proboszcza, czując, jak jej policzki oblewają się rumieńcem zażenowania.

- Ależ tak - powiedziała cicho, machając lekceważąco ręką. - Wszystko w porządku. Proszę mi wybaczyć, pastorze, ale właśnie przypominałam sobie coś... ważnego.

Pan Lowe popatrzył na nią z powątpiewaniem, wreszcie przyłożył koniuszki palców zewnętrzną stroną do jej rozgrzanego policzka.

- Ależ pani ma gorączkę! Myślę, że to od nadmiernego wysiłku spowodowanego długim marszem przez pola. Wikary jest teraz w zakrystii. Czy mam go wysłać po mój powóz?

- Och, nie! Proszę tego nie robić - nalegała Helena, przechodząc szybko na ścieżkę tuż za murem. - Czuję się naprawdę dobrze. Trochę bujałam w obłokach. Tyle mam teraz na głowie...

- Na pewno - odparł gładko, pozornie przyjmując jej zawołane wyjaśnienia. - Na pewno dźwiga pani brzemię doświadczeń i obowiązków... także związanych z przypadłością naszej kochanej Ariane.

Przeniosła na niego wzrok.

- Tak, muszę wyznać, że dużo o niej myślę. Bardzo chcę pomóc Ariane i wierzę, że to mi się uda.

Popatrzył na nią bystro, zdziwiony unosząc brwi.

- Naprawdę? Więc pani wierzy, że dziewczynkę można nauczyć mówić? Toż to prawdziwe błogosławieństwo!

Pokręciła głową.

- Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić, ale na pewno jej nie pomogę, jeśli będę samolubnie tutaj sterczeć. - Uśmiechnęła się z przymusem i wyciągnęła rękę. - Bardzo dziękuję, pastorze. Miło było pana poznać.

Stojąc wyżej od niej, na stopniu, schylił się, aby uścisnąć jej dłoń, po czym nieoczekiwanie nakrył jej rękę swoją w serdecznym geście.

- Panno de Severs - odezwał się nieco drżącym głosem - czy mogę jutro odwiedzić panią w Chalcote i... i dowiedzieć się o pani zdrowie?

Uniosła wyżej daszek kapelusza, żeby lepiej się przyjrzeć duchownemu. Jego ciepłe dłonie, płomienne oczy i dziwna intensywność na obliczu trochę ją zaniepokoiły, tak że po chwili wcale już nie wiedziała, o co ją pytał.

- Przepraszam, jakoś nie myślę... ja i lord Treyhern w zasadzie nie rozmawialiśmy jeszcze... to znaczy, ja dopiero co przyjechałam.

Proboszcz nie ustępował.

- Lord Treyhern to dobry przyjaciel. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko. A ja, proboszcz tutejszej parafii, poczuje, że bezwstydnie zaniedbuję moje owieczki, jeśli się nie upewnię, że po tym wysiłku wróciła pani do pełnego zdrowia.

Była zbyt opanowana przez swoje chaotyczne emocje, aby kontynuować ten spór, więc wymamrotała zgodę, po czym odeszła między rosnące w sadzie drzewa, zostawiając pastora w łukowatej bramie. Wszystkie myśli o przystojnym, młodym proboszczu szybko ją opuściły, gdy szła pod górę ścieżką do Chalcote.

Wizyta w kościele rozbudziła w niej stare marzenia. I coraz większy niepokój w związku z Ariane Rutledge. Miała nadzieję, że jeszcze tego popołudnia spotka się z dziewczynką, choćby tylko na kilka minut. Skoro Helena rzeczywiście miała pozostać w Chalcote, Ariane zasługiwała na jej pełną uwagę. I Helena była na to gotowa.

Niecierpliwie przyspieszyła kroku.

RS

Rozdział 5

Jeśli wyjdiesz od pewników, dojdiesz do wątpliwości

No więc tak! To byłoby tyle na temat pewności, szybkości i bezkompromisowości w podejmowaniu decyzji - pomyślał Cam. Stał przed oknem swojego prywatnego salonu, obserwując Helenę, która właśnie szła pod górę w kierunku ogrodów od strony kuchni. Nowa guwernantka najwyraźniej czuła się w tej okolicy jak u siebie. W brązowej aksamitnej pelisie z dopasowanym kapeluszem zawadiacko założonym na głowę, przedzierała się przez wysoką jesienną trawę rosnącą na obrzeżach trawników Chalcote.

Skierował wzrok na kotkę rozkoszującą się ostatnimi promieniami słońca na szerokim parapecie okna.

- Co ta kobieta w sobie ma, Boudikko - powiedział w zamyśleniu - że mężczyzna już otwiera usta z silnym postanowieniem, by powiedzieć jedną rzecz, a tymczasem przez jego gardło przechodzi coś zupełnie przeciwnego.

Boudikka bardzo mądrze tylko ziewnęła, po czym przewróciła się z gracją na grzbiet, wystawiając do podrapania brzuszki. Lecz Cam jeszcze nie skończył poprzedniej myśli.

- Czyż nie poszedłem dzisiaj rano na górę, zdecydowany powiedzieć jej, żeby stąd wyjechała? Zresztą ona sama chciała to zrobić - mruknął cicho. - Ale chyba muszę odłożyć na bok moje widzimię, skoro ona może pomóc Ariane.

Jakby niechętnie uniósł dłonie, aby oprzeć koniuszki palców na grubej szybie. W dotyku szkło było bardzo zimne, podobnie jak cała reszta domu.

Oczywiście doskonale wiedział, w którym momencie Helena opuściła Chalcote. To prawda, że czuł się niemalże związany z nią jakąś niewidzialną, metafizyczną więzią. Lecz akurat ta wiedza o jej wyjściu nie była wynikiem nadnaturalnego daru przewidywania. Po prostu patrzył przez okno, gdy wychodziła, i poczuł się wtedy jak zostawiony swemu losowi salonowy piesek.

Po prawdzie zaczął odnosić wrażenie, że spędził już zbyt dużą część życia, obserwując je przez szybę - przyglądając się chłodno i nigdy nie wchodząc w bezpośredni kontakt. I po raz pierwszy w życiu poczuł budzący się w nim bunt przeciwko takiemu porządkowi rzeczy.

Na przykład po porannym spotkaniu z Heleną, zamiast tak jak zwykle pojechać na jedną z wydzierżawianych farm, pierwszą część dnia spędził w domu, a potem niespiesznie spożył lunch w towarzystwie Ariane. Lecz cały czas nasłuchiwał szelestu sukni Heleny lub szybkiego postukiwania jej pantofli. To w ogóle nie miało sensu. Pomimo nacierającej go frustracji wciąż czekał blisko okna.

Natychmiast też zrozumiał, o czym mówił jego młodszy, nieznośny brat. Bentley przydybał Helenę obok kuchennego ogrodu, zagroził jej drogę i złożył głęboki, pretensjonalny ukłon nad jej dłonią, zupełnie jakby była Księżną Kentu, a nie guwernantką. Gdyby ów bezczelny diabeł nie pojawił się ze swoim myśliwskim psem i dubeltówką na ramieniu, Cam mógłby przysiąc, że chłopak zaplanował to spotkanie. A może również Bentley obserwował ją z okna? Na samą myśl zdenerwował się, lecz w

sumie nie mógł mieć do brata pretensji. Helena rzeczywiście była piękna, a teraz policzki miała zaczerwienione od długiego spaceru, zaś wiatr poruszał kosmykami jej włosów.

A niech to, młokos cały czas trzyma ją za rękę! Czyżby proponował jej małżeństwo? Wróżył z dłoni? A może pytał o nazwisko jej rękawicznika? Zdegustowany Cam prychnął. Bardziej prawdopodobne, że Bentley po prostu chciał zajrzeć głębiej w jej gorset. Poczul w kroczu nieprzyjemny ucisk, gdy wtem drzwi salonu otworzyły się i stanął w nich Crane. Cam musiał jęknąć raczej donośnie, gdyż starszy mężczyzna szybko znalazł się tuż przy nim.

- Milordzie? - odezwał się zażywny pokojowy zatroskanym głosem. Cam uderzył pięścią w ramę okna, aż przestraszył kotkę.

- Nic, Crane. Po prostu... musiałem odchrząknąć.

- Aha - odpowiedział odruchowo służący. - Bałem się, że źle się pan poczuł, milordzie. - Odłożył na stolik szczotkę do butów i pochylił się, żeby także wyrzeć przez okno, jakby ciekawy tego, co tak przykuło uwagę jego pana. - Ach - westchnął z podziwem. - Piękna, prawda? - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Widzę, że młody Bentham całkiem się w niej zadurzył.

- Bentham często się zadurza - uciał Cam, wsuwając dłonie w kieszenie. - Ale tym razem niech lepiej uważa, bo ona może mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła.

Crane zachichotał.

-I on może właśnie to zrobić, chociaż chyba nie tak szybko. Zdaje się on, jak to mówią, sprzedał duszę diabłu. Ale za bardzo jest podobny do

starszego pana, żeby się do tego wrywać. Tak, pan Bentley pobawi się z diabłem w kotka i myszkę.

- Widzę, że jesteśmy dziś w filozoficznym nastroju - rzucił gderliwie Cam, podejrzliwie spoglądając na Bentleya i jego psa.

- Uhm - odpowiedział wymijająco pokojowy, ciągle gapiąc się przez okno.

A tam, na ziemistej nawierzchni kuchennego ogrodu, zacny obiekt diabelskich łowów przyklęknął właśnie, starając się ze wszystkich sił nakłonić żwawego setera, aby ten podał łapę Helenie. Pies, jako jedyny aktor tej farsy niebędący pod wpływem uroku Heleny, ignorował ich oboje i puścił się między grządki więdnących marchwi, aby je ochrzcić. Po skończonej czynności zaczął biegać dookoła, tu i ówdzie wachając ziemię, a w końcu przykucnął, aby oddać się jeszcze mniej eleganckiej czynności.

Bentley, zaabsorbowany czymś innym, wcale tego nie zauważył. Cam wskazał okno ruchem głowy.

- Crane - spytał ponurym głosem - czy pani Naffles nadal trzyma w ziemi wszystkie korzenne warzywa?

- Tak, *sir* - odparł służący.

Skierował sękaty palec w stronę Heleny, która dzielnie pomagała Bentleyowi stanąć na nogi. Młodzieniec teatralnym gestem złapał się za kolano w udawanej agonii. Helena ze śmiechem odchyliła do tyłu głowę i pociągnęła go, aż się podniósł.

- Jak pan myśli, milordzie? To ciemna purpura? Czy bardziej odcień złocistego brązu?

Cam popatrzył na niego z góry z takim zdumieniem, jakby temu nagle wyrosły skrzydła.

- O czym ty gadasz, Crane?

Służący nadal beznamiętnie patrzył przez szybę.

- O sukni panny de Severs, milordzie. Woli pan odcień ametystu?

Czy też ten dziwny brąz wpadający w złoto? Co do mnie, to myślę, że ametyst lepiej pasuje do jej oczu, lecz z drugiej strony, w połączeniu z tymi gęstymi czarnymi włosami...

- Na Boga, człowieku! - wybuchnął Cam. - Tam w ogrodzie jest dość miejsca dla jeszcze jednego zaurozonego adoratora. No, biegnij tam! Spróbuj, jeśli uważasz, że masz szansę.

- Ależ nie, milordzie. - Starszy mężczyzna żałośnie pokręcił głową. - Ona wcale nie jest w moim typie! Nie, podejrzewam, że niewielu mężczyzn zwróciłoby na nią uwagę. Naprawdę bardzo niewielu.

Powoli wziął ze stolika szczotkę do butów i przystąpił do pracy, a tymczasem Cam znowu zaczął obserwować Bentleya i Helenę.

Po kilku minutach Crane znowu się odezwał:

- Znałem jej matkę - powiedział cicho przez salon. - To była naprawdę piękna kobieta!

- Co? - Cam gwałtownie odwrócił się od okna. Kotka uciekła w popłochu.

- Pamiętam... jej... matkę - powtórzył wolno służący, jakby to Cam, a nie on sam cierpiał na postępującą głuchotę. - Kiedy byłem pokojowym pańskiego ojca, milordzie. I tę dziewczynę też pamiętam, a pan nie, milordzie?

- Tak - odpowiedział Cam stłumionym głosem, krzyżując ręce na piersi. - Tak, pamiętam ją.

Crane ponownie odłożył szczotkę.

- Była taka śliczna i słodka, nawet gdy była jeszcze młodziutka. Cała służba ją uwielbiała. Nigdy nie zadzierała nosa, nigdy nie udawała kogoś lepszego.

Cam miał ochotę zauważyć, że Middletonowie nie musieliby się specjalnie starać, żeby sprawić wrażenie lepszych niż byli w istocie, jednak ta kąśliwa uwaga jakoś uwięzła mu w krtani.

I wtedy nagle waga słów Crane'a uderzyła go niczym potężny gład. Najpierw pani Naffles, a teraz Crane! Niech to diabli, kto jeszcze wiedział o jego związku z Heleną? I co dokładnie wiedzieli? Czy w swoich umizgach był równie przezroczysty jak Bentley? Boże, pewnie wypadł jeszcze gorzej niż jego młodszy brat.

- Zawsze zastanawiałem się - podjął służący - czy nie lepiej byłoby dla pańskiego ojca, milordzie, gdyby po prostu ożenił się z panną Middleton - mruknął jakby do siebie.

Cam podszedł do małego stolika w pobliżu okna i wyciągnął korek z karafki z koniakiem.

- Marie Middleton była wulgarną ladacznicą, która zaniedbywała własne dziecko - powiedział, nie owijając w bawełnę i nalewając bursztynowy trunek do kieliszka.

Na twarzy Crane'a odmalował się prawdziwy ból.

- To bardzo ostre słowa, milordzie! Pani Middleton miała dobre serce, lecz sama była niewiele więcej niż dzieckiem.

- Dzieckiem, powiadasz? - Parsknął śmiechem i wrócił do okna, wychylając połowę zawartości kieliszka. - Nie sędzę. - Oparł mocno podeszwę buta na samym środku szerokiego parapetu.

Nagle Crane znalazł się tuż obok niego.

- Proszę mi wierzyć, milordzie, bo jestem starym człowiekiem, który dużo w życiu widział. Wielu kobietom dane jest być dziećmi do samej śmierci. Mogą mieć tylko nadzieję, że znajdą mężczyznę, jakiegokolwiek mężczyznę, który się nimi zaopiekuje. Ale są też inne - powiedział łagodniej, znowu spoglądając przez okno - które urodziły się... nie są stare, lecz posiadają mądrość wykraczającą daleko poza ich wiek. Już od najmłodszych lat wiedzą, kim są i czego chcą.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedział opryskliwie, odwracając się, aby znowu stanąć obiema nogami na podłodze.

- Naprawdę nie, milordzie? - spytał ze smutkiem Crane. - Jaka szkoda.

Bez słowa komentarza Cam podszedł do dzwonka i energicznie pociągnął za sznurek.

- Milford - powiedział, gdy kamerdyner stanął przed jego obliczem - proszę przekaż panie de Severs, że chcę z nią porozmawiać po kolacji w moim gabinecie, jeśli to nie sprawi jej kłopotu.

- Tak jest, milordzie - odpowiedział śpiewnie Milford najbardziej ponurym głosem, na jaki było go stać. Nie odchodził jednak, ociągając się w drzwiach. - A co mam zrobić, jeśli...

Cam odwrócił do niego głowę.

- Jeśli co? - wybuchnął.

- Jeśli to sprawi jej kłopot?

Cam poczuł, jak znowu ogarnia go złość.

- Nie sprawi, do diabła - powiedział ostro. Wysoka, tyczkowata postać Milforda natychmiast znikła.

Cam z brzękiem odstawił kieliszek i skupił na nim wzrok. Boże, co się z nim dzieje? Nigdy nie pił alkoholu przed kolacją, lecz oto tutaj stoi jego prawie pusty kieliszek. Nigdy też nie odzywał się tak ostro do służących, lecz teraz, w przeciągu kwadransa obraził pokojowego i kamerdynera. Odwrócił się gwałtownie i ruszył w kierunku drzwi.

- Crane? - odezwał się przez ramię, zaciskając dłoń na gałce u drzwi.

- Tak, milordzie? - Służący uniósł głowę znad swojej pracy, mrugając.

Cam spuścił wzrok na wypolerowaną, dębową podłogę.

- Mój sarkazm był niestosowny. Chyba nie jestem dzisiaj sobą.

Przepraszam.

- Wiem, milordzie. - Crane lekko pokiwał głową. - Wiem.

Wciąż w kiepskim nastroju, Cam poszedł długim korytarzem prowadzącym od jego pokoi, obok wejścia, aż do skrzydła zajmowanego przez córkę. Wtem zatrzymał się, chwilę odczekał i gwałtownie ruszył do sali lekcyjnej. Symbolicznie zapukał i wszedł. Martha skoczyła na równe nogi, upuszczając na ziemię trzymaną w dłoniach ręczną robótkę.

Ariane stała na palcach przy wysokim oknie, wychylając się uważnie ku studni i spoglądając w kierunku połaci zieleni ścielących się na tyłach Chalcote. Cam wiedział, że córka nie patrzy w kierunku Bentleya i Heleny, tak jak sam czynił to jeszcze chwilę temu. Wzrok Ariane skierowany był dalej, tam gdzie wiodła ścieżka z Cheston przez Chalcote aż do Coln St. Andrews. Często chodziła tamtędy razem ze swoją matką.

Cam zadumał się. Czyżby to było takie proste? Czy Ariane wciąż przeżywała boleśnie śmierć matki? Po tak długim czasie, Cam wciąż nie

miał co do tego pewności. I bez względu na to, jak bardzo ją błagał, namawiał i beszał, nie umiał zmusić córki do mówienia.

- Dzień dobry, Martho - powiedział cicho. - Co nowego?

Obojętnie uniosła brwi.

- W zasadzie nic, milordzie. Panna Ariane bardzo intensywnie wygląda przez okno. Chyba patrzy na kolorowe liście... są śliczne, takie czerwone i złociste.

Chciał jej przypomnieć, że połowa liści już opadła i że oboje wiedzą, iż Ariane nie poświęca swoich myśli pozostałym. Lecz dostrzegł w mijających się z prawdą słowach Marthy to, co było w nich ukryte: życzliwość. Zresztą, co innego można było powiedzieć? Ariane często patrzyła przez okno, gdy chowała się w komórkach, na strychu czy w spiżarni.

- Dziękuję, Martho - odpowiedział łagodnie. - Może chcesz zejść teraz do kuchni na podwieczorek? Chciałbym posiedzieć trochę z Ariane.

Z wdzięcznością skłoniła głowę i bez słowa wyszła, jako że była to między nimi dość częsta praktyka. Zgodnie ze swoim przyzwyczajeniem, Cam podszedł do stojącego w rogu, starego, dębowego fotela na biegunach.

Jakby dopiero teraz wyczuła jego obecność, Ariane popatrzyła na niego przez ramię. Przywołał ją skinieniem zakrzywionego palca.

- Chodź do mnie, mała kokietko. Dotrzymaj tatusiowi towarzystwa, co?

Z ledwie dostrzegalnym uśmiechem odwróciła się i podeszła do niego, wdrapała mu się na kolana i przytuliła do piersi. Kołysał ją powoli, tak jak czynił to od czasu, gdy była jeszcze niemowlęciem. Przechylając

fotel do tyłu i do przodu w kojącym rytmie, przyłożył policzek do jej jasnych włosów i wspomniał te cudowne, słodkie dni, może nieszczęścia, lecz nadziei, gdy przyszłość Ariane rysowała się w jasnych barwach.

Była kimś więcej niż tylko zdrowym, radosnym dzieckiem. Przed upływem pierwszych sześciu miesięcy Ariane zaczęła raczkować i chwytać Ca-ma za nogawki spodni - a także poruszać w nim czułą strunę. Och, to prawda, że jej nie chciał. Lecz odrzucenie tego ślicznego dzieciątka o błękitnych oczach było wręcz niemożliwe. Potem wydawało mu się, że pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Rozwój Ariane postępował w niezwykłym tempie. Mając dziewięć miesięcy, zaczęła samodzielnie chodzić, a zanim ukończyła pierwszy rok życia, formułowała już pierwsze proste zdania.

- To cudowne dziecko! - często powtarzał stary lekarz rodziny, wesoło czochrając jej jasne, „kukurydziane” włosy. - Musi pan jej zapewnić wszystko co najlepsze, panie Rutledge. Najpiękniejsze książki z obrazkami. Doskonałą guwernantkę. I najlepsze szkoły, bo nie wątpię, że ona będzie naprawdę wyjątkowa! - Zamiast chować się czy płakać, Ariane chichotała, a jej oczy skrzyły się szelmowsko, jakby tylko ona i doktor wiedzieli, na czym polega jakiś zamyślany żart.

- Może pan być pewien, że tak będzie, Masters - obiecał ze śmiechem Cam. - Tak właśnie będzie.

Lecz stary Masters nie żył już od czterech lat. A obietnice, które Cam dał jemu - i Ariane - przeszły do historii, niespełnione. Tak, kupił książki z obrazkami, najął guwernantkę. Lecz co dobrego z tego wynikło dla kogokolwiek, skoro Ariane nie mogła z tego wszystkiego skorzystać?

Z cichym, dławionym jękiem przytulił córkę mocniej do piersi i kołysząc ją, modlił się. To było coraz trudniejsze do wytrzymania.

Błagam, błagam - zaintonował bezgłośnie w rytmie odgłosów skrzypiącego fotela. - Błagam, niech ten jeden jedyny raz moje przeczucia okażą się trafne. Oby Helena wiedziała, co zrobić.

* * *

Helena przesunęła kapelusz odrobinę do tyłu, aby lepiej przyjrzeć się stojącemu przed nią, przystojnemu mężczyźnie. Randolph Bentham Rutledge już teraz dorównywał wzrostem swojemu bratu, był niemal tak samo przystojny, a na pewno dwa razy bardziej czarujący od Cama. Ponadto, jeśli spojrzeć głębiej niż tylko na jego wyszukany uśmiech, na emanującą z oczu młodzieńczą niewinność, to wyglądał na znacznie więcej niż siedemnaście lat, które dawała mu Helena. W rzeczy samej Bentley był zdumiewająco podobny do swego imiennika zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak i urok osobisty.

Jeśli właśnie taki widok ujrzała matka Cama, gdy poznała Randy'ego Rutledge'a, to trudno się dziwić, że biedaczka uległa magii podstępnych komplementów. Młody Bentley nosił ciężkie buty i długi, bury płaszcz. Miał ponad sześć stóp wzrostu. Na zgiętym w łokciu ramieniu przewiesił pięknie zdobioną dubeltówkę na ptaki, zaś pod szerokim rondem kapelusza prezentował uśmiech, który swym ciepłem mógłby stopić całą Arktykę.

Pomimo młodego wieku chłopaka i swojego ciężko zdobytego życiowego doświadczenia Helena poczuła się trochę nieswojo. Przywdziała na usta najbardziej oficjalny z możliwych uśmiechów.

- Niech pan lepiej uda się na swoje polowanie, panie Rutledge, zanim zapadnie zmrok. Zapewniam pana, że bez najmniejszego kłopotu sama trafię do domu, do którego zostało jeszcze tylko jakieś trzysta jardów. - Kiwnęła głową w kierunku tylnej bramy majątku.

Przez moment na twarzy Bentleya odmalowało się wielkie rozczarowanie, lecz promienny uśmiech zaraz powrócił.

- Po prawdzie, to rzeczywiście jest już zbyt późno na polowanie. Jak miło z pani strony, że mi to pani uświadomiła. Chodźmy więc, niech mi będzie wolno cieszyć się pani uroczym towarzystwem jeszcze przez kilka chwil...

- Nie sędzę, panie Rutledge - przerwała stanowczym tonem.

Bentley nieznacznie wysunął do przodu dolną wargę.

- Może partyjkę tryktraka w żółtym salonie? Muszę przyznać, że w Chalcote jest potwornie nudno, więc jestem niezmiernie rad z pani przybycia, bo urozmaici to nasze życie.

- Panie Rutledge, przyjechałam tutaj, aby zająć się pańską bratanicą, a nie urozmaicać czas młodym, przystojnym mężczyznom, którzy mają więcej czasu niż zdrowego rozsądku.

- Och! - wykrzyknął cicho z niekłamany zachwytem. - Lubię takie ogniste kobiety, panno de Severs. Czy mogę zwracać się do pani „Heleno”? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

-Nie.

- Jestem załamany - odpowiedział Bentley Rutledge, lecz jego entuzjazm nie zazał uszczerbku.

- Bardzo w to wątpię, panie Rutledge - stwierdziła sucho. - A teraz życzę panu miłego wieczoru.

Poznanie pana było naprawdę bardzo interesującym doświadczeniem. A także poznanie pańskiego psa. Oraz udzielenie panu pomocy, gdy nie mógł pan samodzielnie stanąć na nogach...

- A, tak. Tylko najwspanialsze kobiety potrafią wyciągnąć mężczyznę z błota, przynajmniej tak mi mówiono.

- Proszę nie przywiązywać do tego większej wagi, panie Rutledge. A teraz proszę odejść.

- Bardzo panią proszę... tylko jedną rozgrywkę tryktraka. A przy okazji może napilibyśmy się po kieliszku sherry? - namawiał ją jak chłopiec, którym niemalże jeszcze był.

Nieoczekiwanie wyczuła w jego tonie leżącą gdzieś głęboko samotność, spostrzegła też, jak bardzo się różnił od starszego brata. Kiedy Cam miał siedemnaście lat, jego siła i dojrzałość pomogły mu znosić nieszczęście ze stoickim spokojem. Lecz Bentley Rutledge nigdy nie będzie typem milczka, będzie głośno domagał się od życia spełnienia swoich pragnień - i zapewne wszystko zdobędzie. Jednak bracia mieli jedną rzecz wspólną: była pewna, że żaden z nich nie miał szczęśliwego dzieciństwa.

Na jej twarzy musiało się odmalować pewne współczucie.

- Och, wspaniale, panno de Severs! - zawołał, klaszcząc w dłonie z zachwytem. - Pożałowała mnie pani. - Zaoferował jej swoje ramię, zaś ona z westchnieniem irytacji wsunęła ostrożnie rękę pod jego łokieć.

- Tylko jedna partyjka, panie Rutledge - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Ale jeśli zgodzi się pan na moje warunki.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Chcę, aby zaprosił pan Ariane - wyjaśniła Helena, gdy ruszyli do bramy. - Chciałabym spędzać z nią czas, lecz ona trochę się mnie boi. Niech pan wykorzysta swój urok i nakłoni ją, aby dotrzymała nam towarzystwa. Wydaje mi się, że dokona pan tego bez większych trudności.

Skinął głową.

- Prawdę mówiąc, ona bardzo mnie lubi.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - spytała sucho. - A w czasie gry wyjaśni mi pan, co student Oksfordu robi w Chalcote w samym środku jesiennego trymestru. Tak długo nie byłam w Anglii, że zapomniałam, jak wygląda studencki kalendarz.

Właśnie zbliżali się do otoczonego murem podwórka, gdy Bentley okazał na tyle przyzwoitości, by oblać się rumieńcem.

- No cóż, widzi pani, w tym tygodniu zostałem odesłany ze szkoły.

- Wcale nie widzę, panie Rutledge - odpowiedziała lakonicznie, gdy skręcili do bramy. - Właśnie o to chodzi.

* * *

Wraz z bezgwiezdą nocą, na Chalcote opadła fala chłodu. Cam siedział w półmroku swego gabinetu na przynależącym do Boudikki fotelu obok kominka, drapiąc kotkę i bez powodzenia usiłując zażywać przyjemności z ciepła płonącego ognia.

W tym momencie zegar wybił ósmą. Cam sprawdził jeszcze godzinę na wydobytym z kieszonki czasomierzu.

- Helena się spóźnia - obwieścił kotce.

Odczuwał niejaki zdziwienie, gdyż pomimo całej swej lekkomyślności Helena zawsze była punktualną, obowiązkową kobietą.

Był to kontrast, nad którym jakoś nigdy się nie zastanawiał. Istotnie, w ciągu lat rozłąki Helena stała się istotą pełną sprzeczności. Była taka intrygująca, niebezpieczna. Spoglądając w głąb mrocznego pokoju, Cam usiłował przypomnieć sobie, że jednym ukradkowym spojrzeniem tych ciemnoniebieskich oczu Helena de Severs kiedyś była w stanie uczynić zeń zadurzonego głupca.

Chyba właśnie to zrobiła z Bentleyem, chociaż trzeba przyznać, że ten był już w połowie urobiony, kiedy stanęła na jego drodze. Cam zaczynał się obawiać, że jeśli chodzi o Helenę, to jego samodyscyplina jest tyle samo warta co samodyscyplina brata. Obserwując ich przez okno, powtarzał sobie, że martwi się właśnie o Bentleya i Helenę, że ona na własne nieszczęście jest zbyt dobra, a on ma za mało zdrowego rozsądku, co może być niebezpieczne dla nich obojga. Lecz gdy zastanowił się nieco głębiej, musiał przyznać, że jednak przede wszystkim odczuwał zazdrość.

Wcześniej, po wyjściu z pokoju Ariane, wciąż nie mogąc uporządkować swych emocji, zabrał się do pracy. Zszedł na dół, żeby jeszcze raz przemyśleć plany budowy kilku nowych domów dla dzierżawców, lecz wkraczając do swego sanktuarium w gabinecie, poirytował się jeszcze bardziej, gdy usłyszał śmiech Heleny i Bentleya, dobiegający z sąsiedniego żółtego salonu. Brzmiało to nienaturalnie, jakby nie na miejscu.

Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że śmiech stał się zbyt rzadko spotykanym towarem w Chalcote. Lecz w tym momencie nie odczuł w sercu ani cienia wdzięczności, gdyż był irracjonalnie zły, że to jego brat - a nie on sam - czerpie przyjemność z miłego towarzystwa Heleny.

Szarpięciem otworzył drzwi łączące oba pomieszczenia, minął pokój kredensowy i wszedł do salonu. Zobaczył, jak nachylają głowy nad stolikiem do gry w karty, który został wykorzystany na, jak się zdawało, niezwykle wesołą rozgrywkę tryktraka.

Aby jeszcze bardziej zaognić ból Cama, Bentley obejmował w pół Ariane, podrzucając ją lekko na kolanie i wylewnie opowiadając, jaką to „nieziemską guwernantką będzie panna Helena!”. W pomieszczeniu wyczuwalna była ciepła, rodzinna atmosfera, zaś dziewczynka - którą jeszcze tego ranka trzeba było prawie siłą wyciągać z szafy - wyglądała na niemal zadowoloną! I obserwowała Helenę z wyraźnym zainteresowaniem.

Zresztą Helena również to spostrzegła. Już niedługo potem udało się jej zwabić Ariane, żeby przeszła na jej stronę stolika. I chociaż odmówiła zajęcia miejsca na kolanach Heleny, to stała tuż obok niej, uważnie słuchając kobiety, która wyjaśniała zasady gry. W przeciwieństwie do poprzednich nauczycielek, Helena używała słów prostych, lecz w żadnym razie protekcyjnych.

Cam spędził chyba kwadrans, usiłując poczuć się częścią tego towarzystwa, a zarazem obserwując, jak Helena roztacza cały swój czar przed roześmianym Bentleyem. I wtedy Cam gwałtownie odwrócił się na pięcie i wyszedł. Sam nie wiedział, dlaczego uczynił to w takim pośpiechu.

Wiedział tylko tyle, że gdy obserwował, jak Helena wprawnie porusza dłonią po planszy, jak stojąca u jej boku Ariane nieśmiało się uśmiecha - to wtedy cała ta scena przykuła jego uwagę narastającą powoli emocją, która zadawała mu na swój sposób przyjemne cierpienie. Czuł...

coś o wiele silniejszego i zniewalającego niż fizyczne pożądanie, podczas gdy nie pragnął czuć w ogóle niczego, przynajmniej w związku z Heleną.

- Czy czarownicy mają zaklęte w zwierzętach duchy? - Od strony pogrążonych w głębokim cieniu drzwi odezwał się gardłowy, uwodzicielski głos, który momentalnie zburzył koncentrację Cama.

Ku wielkiemu niezadowoleniu kotki wstał gwałtownie z fotela.

- Co proszę? - spytał, gdy Helena posuwistym krokiem zjawiała się w kręgu światła.

- Bo wyglądasz tak mrocznie i ponuro - odparła beznamiętnie. - I dość przerażająco, gdy kryjesz się gdzieś tam, w głębokim cieniu. A ponieważ to czteronożne stworzenie nie odstępuje cię na krok...

- Wcale bym się nie zdziwił, gdybym się dowiedział, że Boudikka posiada jakieś nadprzyrodzone właściwości - powiedział sucho Cam. Przeszedł przez gabinet i stanął za biurkiem. - Niestety, ja sam jestem bardzo śmiertelny. Nie usiądziesz? - Wskazał krzesło stojące naprzeciwko.

Po wymianie zdawkowych grzeczności, Cam oparł się wygodniej, aby dokładniej przyjrzeć się Helenie nad lśniącym blatem biurka. Pomimo tego, że wcześniej wyraził życzenie, aby wieczorem porozmawiać z Heleną, teraz postanowił zachować dystans. Nie mógł sobie pozwolić na powtórkę tego, co się stało w sali lekcyjnej. Mówił sam do siebie, że pragnie, by Helena pozostała w Chalcote: Ponieważ Ariane potrzebowała nauczycielki. Lecz nie chciał śmiać się tak spontanicznie, z wdzięczności uśpić swą czujność, czy też tak szybko i łatwo w pełni zaufać Helenie. Ona sama nieświadomie zachęcała go do tego i do jeszcze gorszych rzeczy. To przez nią poczuł dawno zapomniane ukłucie pożądania. To przez nią zaczął tęsknić za czymś, czego nie śmiał nazwać słowami.

Być może obaj z Bentleyem byli po prostu zbyt podobni do swojego ojca. Podstawowa różnica polegała na tym, że Cam z tym walczył, a Bentley wręcz się tym afiszował. W obecności Heleny, ta walka Cama okazała się o wiele trudniejsza. Istotnie, wczorajszego popołudnia zupełnie nieoczekiwanie poczuł się przy niej jak młody chłopak. Jego emocje szalały, rozsądek ulotnił się, prawie nie mógł oddychać, jakby za bardzo uciskał go zapięty pod szyją kołnierzyk.

A ostatniej nocy - pogrążywszy się we wspomnieniach - gdyby nie zdjął ubrania i nie naciągnął nocnej koszuli, to również jego spodnie okazałyby się o wiele za ciasne. I to w nieodpowiednim miejscu. To było piekło - gorąca, bezsenna noc, więc nie miał zamiaru po raz kolejny przeżywać tego samego. Jednak musiał omówić z nową guwernantką kilka ważnych spraw i uznał, że najlepiej będzie uporać się z tym bez dalszej zwłoki.

- Zapewne zastanawiasz się, dlaczego cię tutaj zaprosiłem? - zaczął, nie spuszczając z niej wzroku.

Tego wieczoru gęste, czarne włosy Heleny lśniły w blasku ognia niczym jedwab. *Piękna jak noc...* Pobudzające wyobraźnię słowa Byrona wciąż kołatały mu się w głowie. Pełen podziwu przesunął wzrok niżej, powiódł nim po długiej szyi, po staniku sukni, kusząco ukrytym pod koronkami. W końcu spojrzał na biurko i począł starannie układać leżące na nim przedmioty, ustawiając w równym rzędzie wzdłuż krawędzi blatu kaganek, pojemniczek z piaskiem oraz inne biurowe akcesoria.

Helena z widoczną uwagą obserwowała jego palce.

- Wcale nie, milordzie - odpowiedziała na jego pytanie głosem dość chłodnym i beznamiętnym. - Zatrudniłeś mnie, więc zakładam, że są

rzeczy, które powinniśmy omówić. - Uniosła wzrok, spoglądając mu w oczy z malującym się na twarzy wyrazem uprzejmego zainteresowania.

- Właśnie - przyznał, dusząc w sobie głupie uczucie rozczarowania. Przeniósłszy wzrok na stertę korespondencji, zaczął przekładać listy. - Miałem wrażenie, że nie dokończyliśmy naszej rozmowy na temat Ariane. Rozmawiałem z nią trochę przed kolacją. Wyjaśniłem, że nie jesteś zwykłą guwernantką. I że jesteś moją... przyjaciółką.

- Naprawdę tak powiedziałeś? - Wydawała się zaskoczona.

- Tak - potwierdził. Zamilkł na chwilę, aby równo ułożyć papier kancelaryjny na skraju biurka, a potem odkładając kolejne kartki, aż utworzyły elegancki rząd wzdłuż lewej krawędzi. - I to chyba pomogło. Poza tym, wyglądało na to, że dziś po południu czuła się w twoim towarzystwie dość swobodnie.

- Owszem, to wielka ulga - stwierdziła cicho.

- Ja także. Więc może od jutra rozpoczniemy już pracę w sali lekcyjnej? Nie widzę potrzeby dalszego czekania, chyba że Ariane stawi stanowczy opór.

- Dziękuję. - Zrobiła krótką pauzę dla nabrania powietrza. - Ale najpierw, milordzie, chciałabym jeszcze o coś zapytać...

- Ależ bardzo proszę - odpowiedział, przenosząc na nią wzrok. Jej głos zabrzmiał dość niepewnie.

- Co możesz mi powiedzieć o okolicznościach, w jakich Ariane straciła zdolność mówienia? - spytała łagodnie. - Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ani otwierać starych ran, ale byłam na cmentarzu przy kościele...

- Na cmentarzu? - powtórzył ostro. - W jakim celu?

Patrzyła, jak jej pracodawca wyciąga nożyk i zaczyna ostrzyć jedno z kilku gęsich piór.

- Poszłam na spacer.

Przyglądała się precyzyjnym ruchom jego palców. Miał zaiste perfekcyjne dłonie: nieco zbyt duże i kanciaste jak na artystę, lecz mimo to zwinne i pełne gracji. Jednak jego potrzeba panowania nie tylko nad sobą, ale i nad niemal wszystkim dookoła, była widoczna w każdym jego ruchu.

Wzięła głęboki, uspokajający haust powietrza, następnie przeniosła wzrok wyżej, koncentrując się teraz na jego oczach.

- Szłam przez cmentarz i zobaczyłam nagrobek twojej niedawno zmarłej żony. Szczególnie data zwróciła moją uwagę. Zważywszy wiek Ariane, nie można nie zauważyć, jak bardzo ta data zbiega się z...

- Tak - przerwał jej, energicznie wyciągając szufladę biurka. - Wiem, co chciałaś powiedzieć. Masz rację. Ariane przestała mówić zaraz po śmierci matki.

- Biedne dziecko. To musiał być dla niej straszny szok.

Na chwilę przestał układać leżące na biurku rzeczy. Na jego obliczu odmalował się głęboki, pełen żalości smutek.

- Z początku tak się wydawało - zgodził się cicho. - Lecz im bardziej usiłowaliśmy ją wypytywać, tym mniej się odzywała. Z czasem jej szok stopniowo ustępował, lecz zdolność mówienia nie powróciła.

- Wobec tego mamy tu do czynienia z czymś o wiele bardziej złożonym niż sam tylko smutek - stwierdziła Helena.

Skinął głową.

- Zgadza się. Poza tym Ariane i jej matka nie były ze sobą szczególnie blisko.

- Nie były ze sobą blisko? - Helena myślała, że słuch ją myli. -
Wybacz, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić...

Jego szerokie ramiona jakby trochę opadły, lecz nadal mówił pewnym siebie głosem.

- Smutna prawda jest taka, że moja żona nie czuła się zadowolona ze swojej życiowej roli. Z perspektywy czasu teraz zdaję sobie sprawę, że Cassandra nie była gotowa zostać matką. Nie była też zainteresowana rolą żony wiejskiego dziedzica, a ja właśnie nim jestem.

-I mimo to wyszła za ciebie? Rzucił jej cyniczne spojrzenie.

- Mój teść pragnął, aby jego rodzina uzyskała szlachecki tytuł. Ojciec był dziedzicem hrabiowskiego tytułu swego stryja, który był stary, nieżonaty i schorowany. - Uśmiechnął się krzywo.

- Całość przeprowadzono dość zgrabnie, lecz rodzina Cassandry zmusiła ją do poślubienia mnie, tak samo jak mój ojciec zmusił mnie do tego ożenku.

- Zmusił? Nie rozumiem.

- Chodziło o pieniądze, Heleno. - Zaśmiał się gorzko. - Czyż zawsze nie chodziło o pieniądze?

- Twoja matka, mój ojciec... byli jak niesforne dzieci puszczone luzem w cukierni, bez żadnego poczucia samodyscypliny.

Gdy nie odpowiedziała, podniósł z narożnika biurka cienką książkę ze złotymi ornamentami. Przebiegł wzrokiem po kartkach.

- Jak to powiedział kiedyś nasz drogi Byron? *Bierzmy wino, kobiety, śmiejmy się, weselmy; A z rana kazanie wodą popijemy!* - Zatrzasnął książkę i bezwiednie zapatrzył się gdzieś w cień. - Chociaż mój ojciec nigdy nie doczytał do tego miejsca o kazaniu i wodzie - dodał cicho.

Wyczuła w nim bolesny smutek.

- A czy Cassandra po prostu nie mogła ci odmówić?

Prychnął sarkastycznie i rzucił książkę z powrotem na biurko.

- Jej ojciec był człowiekiem aspirującym do większych rzeczy, chciał mieć szlachetnie urodzone wnuki oraz dobre stare nazwisko. I postanowił kupić sobie usługi ogiera, potrzebne do osiągnięcia tych celów.

Zażenowana tymi słowami Helena poczuła, jak coś dusi ją w gardle. Obraz odmalowany przez Ca-ma był wręcz prostacki, lecz nosił wszelkie znamiona prawdy.

- Milordzie, szczegóły dotyczące twego małżeństwa mnie nie interesują, lecz czy mogłabym zadać jedno pytanie o śmierć twojej żony? - starała się mówić tak łagodnie i ugodowo, jak tylko umiała. - Czy ta śmierć miała w sobie coś, co mogło być... zbyt traumatyczne i wykraczające poza granice zrozumienia, Ariane? Czasami dzieci bywają wystawione na bodźce... na rzeczy, które wywołują ich zamknięcie się w...

Nie dokończyła. Cam wpatrywał się w nią z pełnym bólem obliczem. W gabinecie nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Czy chciałaś przez to powiedzieć - odezwał się wreszcie - że człowiek może zobaczyć coś, co go przeraża, a w następstwie utracić zdolność mówienia?

- Nie utracić, lecz... nieświadomie ją stłumić, jeśli dostrzegasz różnicę.

Znieruchomiał.

- Przypuszczam, że to mogło mieć coś wspólnego z pożarem - powiedział, wrzucając z powrotem do szuflady nóż, który upadł z głośnym brzękiem.

- Co takiego?

Wypuścił gwałtownie powietrze, jakby nagle otrzymał cios w żołądek.

- Moja żona, Cassandra, zginęła w pożarze. Ariane mogła to widzieć albo też zobaczyła coś jeszcze gorszego. - Jedną dłonią przeczesał niedbale włosy, w końcu zapominając o gęsich piórach i kartkach papieru.

Nachyliła się do przodu i mocno oparła dłonie na blacie.

- Czy to się stało tutaj, w Chalcote? Czy Ariane odniosła jakieś obrażenia? Muszę to wiedzieć.

Po dłuższym milczeniu, Cam ponownie przeniósł na nią swój pełen emocji wzrok, jakby zapomniał o obecności Heleny.

- Nie, nie tutaj - powiedział nieoczekiwanie beznamiętnym głosem. - Ariane miała wtedy ledwie trzy lata. Pewnego dnia, późnym popołudniem, jeden z dzierżawców znalazł ją, gdy wędrowała leśną ścieżką. Wydało mu się, że w głębi lasu dostrzegł dym, lecz najpierw zabrał stamtąd Ariane, aby uchronić ją od niebezpieczeństwa. Oczywiście wróciliśmy tam, lecz wtedy ogień rozszalał się na dobre i było już za późno.

- Za późno?

- Za późno, aby uratować moją żonę - odpowiedział bez mrugnięcia.

- Cassandra zginęła w płomieniach. W starej leśniczówce.

- Tak... przypominam sobie - wyszeptała z trudem.

- Nie wiedzieliśmy, i dotąd nie wiemy, co się stało. Jakim sposobem Ariane znalazła się w leśniczówce albo czy w ogóle tam była. Kiedy została znaleziona, wyglądało na to, że szukała drogi do domu.

- Ale przecież to całą milę stąd! Trzyletnie dziecko samodzielnie raczej nie zaszłoby tak daleko.

Twarz Cama pozostała bez wyrazu.

- Raczej nie. Jednakże tą właśnie ścieżką wielokrotnie chodziła w towarzystwie matki. Cassandra lubiła spacerować po lesie razem z Ariane. To była jedna z niewielu rzeczy, które ich łączyły. - W głosie Cama zabrzmiała gorycz.

Przez głowę Heleny przelatywało mnóstwo trudnych pytań, lecz nie chciała ich zadać. Miała już pewne pojęcie o traumie Ariane - tak jak wcześniej przypuszczała, obecny stan dziewczynki wynikał nie tylko z żalu po utracie matki. Ale co Cassandra Rutledge robiła w leśniczówce? Skąd wziął się ten pożar? Czy Ariane była w tamtej chwili z matką? A może próbowała ją znaleźć?

Lecz najmniej stosownym pytaniem byłoby teraz, czy Cam kochał swoją żonę. Czy to żal tak bardzo zmienił mężczyznę, którego niegdyś kochała? Z determinacją odegnała od siebie tę myśl. Rozważniej będzie zapamiętać sobie, że cierpienie Cama nie powinno ją interesować. Natomiast cierpienie Ariane - wręcz przeciwnie.

- Jeszcze jedno pytanie, milordzie, jeśli wolno. Ilu lekarzy badało Ariane?

- Trzech - rzucił krótko.

- Jakie postawili diagnozy?

- Możesz sobie wybrać - odpowiedział ostro.

- Moja córka nie reaguje lepiej na lekarzy niż oni na nią, co oznacza całkiem irracjonalne zachowanie. Będziesz musiała ją zobaczyć, gdy ma jeden ze swoich napadów złości, dopiero wtedy zrozumiesz, jaka może być niepoohamowana.

- Ale ona jest przerażona! To oczywiste, że źle się zachowuje.

- Właśnie to usiłowałem im wytłumaczyć - zgodził się Cam, patrząc na nią z wdzięcznością.

- Ale dla nich ona jest albo nieposłuszna, niedorozwinięta, albo chora umysłowo. Oni nie mają w sobie ani krzty współczucia, a zakres stosowanych przez nich sposobów terapii sięga od upuszczania krwi, chłostania i zamknięcia w odosobnieniu aż po odprawianie pełnych egzorcyzmów. Jeden najbardziej zaradny zaproponował zastosowanie wszystkich czterech sposobów, tak dla pewności.

Helena była wstrząśnięta, wspominając swój własny niefrasobliwy wykład o doktorze Pinel. Nic dziwnego, że wtedy Cam aż zasyczał z niezadowolenia i zmienił temat. Kiedyś takie drastyczne terapie były całkowicie akceptowane w leczeniu przeróżnych zaburzeń umysłowych. Jednak żadna z nich nie okazała się skuteczna.

A w przypadku Ariane, każda z nich mogłaby wyrządzić potworną szkodę. Helena nerwowo nabrała powietrza.

- Ale ty chyba nie...

- Do licha, oczywiście że nie - przerwał jej głosem pełnym gniewnej frustracji. - Odesłałem diabłów z torbami. Razem z ich pijawkami, ograniczeniami i narkotykami. Ich przyjazd okazał się niepotrzebnym stresem, a każdy kolejny był jeszcze gorszy od poprzedniego. A biedne dziecko musiało znosić cierpienia zadawane przez obcych ludzi, którzy ją badali, szturchali i przymilali się do niej.

Nagle spojrzał jej prosto w oczy, a cała zebrana w nim złość ustąpiła miejsce wyraźnie widocznemu zmęczeniu.

- Heleno - powiedział cicho - ja po prostu nie wiem, co dalej robić. To rozdziera mnie od środka. A jeśli ja nie mogę tego znieść, to co musi czuć Ariane?

Jakby błagając o pomoc, wyciągnął ręce i położył otwarte dłonie na biurku. Helena musiała zwalczyć w sobie nagłe pragnienie, by wstać i do niego podejść. Stłumiła słowa pociechy i w niezamierzony sposób odezwała się dość chłodno, rzeczowo, profesjonalnie.

- Nie ma wątpliwości, że to jest dla Ariane bardzo ciężkie i bolesne. Ale nastąpi poprawa. Będziemy cierpliwi i konsekwentni.

Osunął się bezwładnie na fotelu, jakby nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

Helena zrozumiała, że powinna odejść, że pozostawanie w takiej bliskości z Camem jest nierozważne. Wstała więc, wygładzając spódnice sukni, gdy zegar właśnie wybił połówkę godziny.

- Robi się późno, milordzie - powiedziała cicho. - Pójdę już, jeśli nie masz do mnie innych spraw.

Rozdział 6

W którym Treyhern smakuje gorzkość miłości

Cam spoglądał na nią przez moment, po czym przez jego twarz przemknęło coś, co wyglądało na kapitulację.

- Ja... nie. Heleno, proszę, zostań jeszcze - odpowiedział z lekką desperacją. Wyglądał na człowieka, który nie chciałby zostać sam na sam z dręczącymi go duchami. - Męczy mnie to mówienie o swoich kłopotach. Usiądź i opowiedz mi o sobie. Nie rozmawialiśmy jeszcze o twoich studiach i o tym, jak zostałam nauczycielką.

Niechętnie zajęła miejsce.

- Czy chciałbyś jeszcze dokładniej sprawdzić moje kwalifikacje? - spytała niepewnie.

Nagle poczuła się tak, jakby pokój zmienił się w nieprzyjemne, zamknięte pomieszczenie. Cam na moment odrzucił swą nieprzeniknioną determinację, a wtedy spostrzegła samotność wpisaną w mocne, surowe rysy jego twarzy. Lecz nie mogła sobie pozwolić na to, by dać mu coś więcej niż tylko opiekę nad córką.

Wolno pokręcił głową.

- Nie, mam wszystkie twoje dokumenty i referencje - powiedział cicho. - Chciałbym wiedzieć, gdzie byłaś, co robiłaś. Opowiedz mi... o swoim życiu od czasu, gdy my... gdy wyjechałaś.

Helena była kompletnie zaskoczona. To niezwykle, by człowiek, który wzniósł się do godności hrabiego Treyherna, interesował się jej losami. Jego widoczny smutek i mroczna uroda stanowiły dość niepokojące połączenie dla kobiety wykształconej w dziedzinie udzielania pociechy zbolełym duszom.

Wędrowała wzrokiem po jego twarzy i sylwetce. Chociaż spożył dzisiaj obiad jedynie w towarzystwie brata, wciąż był ubrany jak do posiłku: nosił ozdobny czarny surdut i kamizelkę barwy kości słoniowej. Mimo modnego stroju wciąż wyglądał na mężczyznę twardego, a nawet trochę niecywilizowanego. Gdy ubierał się w szorstką wełnę i zwykłe płótno, dla Heleny ten kontrast był mniej uderzający. Lecz dzisiaj, podkreślone formalnym ubraniem, rysy jego twarzy przybierały wyraz wręcz nieco dziki.

Zauważyła, że jego czarne włosy są przydługie, na policzkach zaś kładzie się cień gęstej brody. Miał twardo zarysowane kości policzkowe zaś opalona skóra szyi ostro kontrastowała z elegancko zawiązaną apaszką.

Szczupły, pełen duszonej w sobie energii i zmiennych, raczej ponurych nastrojów, Cam przypominał jej wielkiego, dzikiego kota, którego kiedyś widziała na festynie w Bawarii - było to ogromne, niespokojne stworzenie trzymane w zamknięciu niepasującym do jego natury, cierpiące z powodu utraty czegoś, co było trudne do określenia.

Jednakże, pytanie pracodawcy nie było pozbawione sensu. Helena ponownie otarła spocone dłonie o spódnicę i przywołała na usta dość neutralny uśmiech.

- Od czego mam zacząć? - spytała najbardziej swobodnym tonem, na jaki było ją teraz stać.

- Na pewno wiesz, że kształciłam się w Szwajcarii, w dość prestiżowej szkole dla dziewcząt?

- Tak, obilo mi się to o uszy - wtrącił. Głupio zaczęła. Oczywiście, że wiedział. Ona jednak nigdy nie poznała jego odczuć związanych z jej

wyjazdem. Czy się z tym pogodził? A może doznał ulgi? Czy w ogóle za nią tęsknił?

Lecz teraz to nie miało wielkiego znaczenia, w ich osobnych, jakże różnych światach.

- Było to bardzo pouczające doświadczenie - podjęła ze sztucznym entuzjazmem. - Miałam wokół siebie doskonałych pedagogów, którzy dawali upust mojej naturalnej ciekawości i energii.

- Naprawdę? - spytał ściśniętym, neutralnym głosem. - Zawsze bardzo to lubiłaś.

- Edukacja umożliwiła mi ucieczkę od stylu życia, do którego się nie nadaję, milordzie - odparła, starając się, by nie wyczuł goryczy w jej głosie.

- Ponadto szkoła pomogła mi zrozumieć, że mam w życiu jakiś cel.

- A jakież to może być cel, Heleno? - rzucił cynicznie. - Być guwernantką dzieci innych kobiet?

- Na pewno wiesz, że to oznacza o wiele więcej - rzekła w odpowiedzi. - Pomagam dzieciom, którym coś dolega, a dawanie radości istotom dotkniętym cierpieniem przynosi mi ogromną satysfakcję.

- A co z twoim życiem, Heleno? - spytał nagle.

- Czy zaznałaś radości? Czy jedynie tej wspomnianej przed chwilą satysfakcji?

- W żaden sposób nie czułam się nieszczęśliwa, milordzie. Praca jest moim sposobem na życie.

- Tak, twoja praca - powtórzył jak echo. - Przyznaję, że mnie to zaskakuje.

- Dlaczego? Dla mnie to nie jest niespodzianka. Już dawno temu zrozumiałam, że sama będę musiała zarobić na swoje utrzymanie.

- Tak, lecz dlaczego właśnie taka praca? To pytanie trochę ją rozzłościło.

- Kobiety mają dość ograniczony wybór. Miałam szczęście, że moja wychowawczyni była córką znanego lekarza. Potrzebował on... pewnego rodzaju nauczycielki i opiekunki dla młodego pacjenta. Mogłam pracować w Wiedniu, co mi odpowiadało, gdyż wtedy nie chciałam wracać do Anglii.

- A po Wiedniu? - Patrzył na nią intensywnie, jakby szukał wzrokiem czegoś, co nie zostało wypowiedziane.

W demonstracyjny sposób wzruszyła ramionami.

- Zmieniałam jedną pracę na kolejną, aż zdobyłam coś na kształt reputacji wśród lekarzy leczących choroby psychiczne, a była to zupełnie inna reputacja od tej, jaką niewątpliwie zyskałabym, gdybym pozostała w Anglii - dodała zjadliwie.

Cam poruszył się z zażenowaniem, podniósł stertę listów i znowu zaczął bezmyślnie układać je w innej kolejności.

- Muszę powiedzieć, Heleno, że byłem zaskoczony - powiedział cicho - darem przewidywania twojej matki, która zapewniła ci tak dobre wykształcenie. Nigdy bym nie uwierzył, że ona... - urwał nagle.

Helena opanowała nagły przypływ gniewu.

- Nie wierzyłeś w to, że ona potrafi właściwie ocenić wartość takiego wykształcenia? To miałeś na myśli?

Cam nieco pobladł.

- Nie... lecz taka szkoła jest kosztowna.

- Niezwykle przenikliwe spostrzeżenie, milordzie - wycedziła. - Lecz przypomnij sobie, że nie miałam dużego wyboru. Więc zdecydowałam się na najlepszą szkołę, jaką udało mi się znaleźć, gdyż jasne było, że od tego zależy cała moja przyszłość. A co do kosztów... to musiałeś wiedzieć, że stał za tym twój ojciec. Popatrzył na nią w niemym zdumieniu.

- Mój ojciec? Wybacz, ale chyba nie rozumiem.

- Naprawdę? - spytała gorzko. - O mojej matce można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że była głupia. W jej pojęciu stałam na skraju przepaści, a istniały dwa sposoby, aby to zmienić. Pierwszy... cóż, na to twój ojciec nigdy by się nie zgodził. A drugi sposób polegał na tym, że po prostu musiałam wyjechać z Anglii.

- Ale dlaczego, Heleno? Nawet gdybym okazał się zwykłym draniem, a wcale nim nie byłem, to chyba nie mogłaś uwierzyć w to, że powiedziałbym cokolwiek, co mogłoby ci zaszkodzić.

Helena zamrugnęła, aby odgonić cisnącą się do oka łzę, po czym wstała i podeszła do okna po drugiej stronie pokoju.

- Wybacz, że to mówię, milordzie, ale Randolph miał tendencję do popełniania niedyskrecji. Śmiem twierdzić, że uważał to za świetny dowcip, zwłaszcza gdy sobie popił. Moja matka najbardziej obawiała się właśnie o niego - powiedziała, odwrócona do niego plecami.

- Heleno, proszę...

- O, tak - przerwała mu cicho. - Twój ojciec jasno się określił.

Teraz, gdy nie stała twarzą do niego, umiała wylać z siebie wezbraną żołąć.

- Jego najstarszy syn ożeniłby się tylko z panną arystokratycznego stanu, która mogłaby zappełnić rodzinną szkatułę. A nie z jakąś zubożoną

francuską smarkulą, której jedyny przodek z jakimś rodowodem, czyli jej ojciec, był tak bezmyślny, że pozwolił wcisnąć swoją głowę pod ostrze gilotyny.

- Heleno, wybacz mi...

- I to twój ojciec - mówiła dalej twardym, pełnym goryczy głosem, ignorując jego przeprosiny - sfinansował moją edukację. - Musiałeś o tym wiedzieć. Moja matka nie dała mu wyboru. Taka była jej cena. Chociaż myślę, że jego sakiewka, z której czerpał pieniądze na hazard, doznała pewnego uszczerbku.

Nastąpiła cisza, w której Helena usłyszała skrzypnięcie krzesła. W kominku cały czas syczały węgle, zaś wiszący na przeciwległej ścianie stary zegar z orzechowego drewna powoli odmierzał niekończące się minuty.

- Na Boga, Heleno. Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem! - wyszeptał w końcu Cam. Zaskoczona zorientowała się, że stanął tuż za nią.

Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Ja chyba myślałem... że twój wyjazd był jedynie tymczasowy. Zawsze byłem przekonany, że gdy tylko będziesz w stanie, to wrócisz do domu. Do Anglii. Przepraszam cię.

-I ja przepraszam, milordzie. - Teraz, gdy złość jej trochę przeszła, uświadomiła sobie, że wypowiedziane przez nią słowa nie były zbyt rozważne. Czy to możliwe, że Cam mówi prawdę? Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. - Dziękuję ci za współczucie - dodała - ale nie jest mi ono potrzebne. Wszystkie rzeczy zawsze wychodzą mi na dobre.

Zmieniła pozycję, lecz on najwyraźniej nie zamierzał się odsunąć. W końcu przestała odczuwać na ramieniu ciepło jego dłoni.

- Czy wiesz, że pisałem do ciebie? - wyszeptał z wahaniem. - Czy wiedziałaś?

- Pisałeś do mnie? - spytała z niedowierzaniem, patrząc na niego przez ramię.

- Bóg mi świadkiem, Heleno, wiedziałem, że to nie było właściwe, lecz pisałem do ciebie co miesiąc przez cholernie długie dwa lata. Czy nie otrzymałaś żadnego z moich listów?

Teraz stał obok niej. Odwróciła się, aby na niego spojrzeć. W jej głowie kłębiły się tysiące pytań.

- Niczego nie dostałam.

Chrząknął dziwnym, zduszonym głosem, który miał wyrażać niedowierzanie lub złość, lecz tego nie mogła być pewna. Wyciągnął rękę i położył ją na ramie okna, pochylając się przy tym, jakby szukał oparcia. Ciemne włosy opadły do przodu, przesłaniając mu twarz.

- Dwa razy ukradłem ojcowski powóz - wyszeptał ochryple. - Raz pojechałem aż do Hampstead, lecz dom twojej matki był zamknięty, kołatka zdjęta i nikt nie wiedział, dokąd mieszkańcy wyjechali. - Zaśmiał się z goryczą. - Boże, musiałem wyglądać jak ostatni głupiec.

- Nie słyszałam o żadnej wizycie - odpowiedziała, starając się uspokoić drżenie głosu. - Jeśli przyszły jakieś listy, to zapewne moja matka je spaliła.

- Jeśli przyszły listy? - Nagle chwycił ją za ramiona i szarpnięciem pociągnął ku sobie. - Zapewniam cię, że przyszły, Heleno! Jak, na Boga, ona mogła tak okrutnie postąpić?

Helena poczuła znużenie wywołane falą smutku.

- Nie mogłeś dać mojej matce tego, czego chciała - odparła łagodnie, odsuwając się, by nie czuć ciepła jego dotyku. - Nie byłeś pełnoletni i nie mogłeś zapewnić mi ochrony swoim nazwiskiem. A gdybyś nawet zdołał to uczynić, twój ojciec wyraźnie zapowiedział, że pozbawi cię majątku i wydziedziczy cię w każdy możliwy sposób.

- W każdy sposób? - Potrząsnął nią gwałtownie i ponownie przyciągnął. - Co za nonsens! - Patrzył na nią z góry. Jego oczy płonęły złością niedającą się ujarzmić złością, której ogień szybko przeistaczał się w coś zupełnie innego.

- Ja... nie wiem, co masz na myśli. - Usiłowała się cofnąć, lecz on uparcie przytrzymał ją za ramiona.

Uniósł dłoń i ujął szorstkimi palcami jej podbródek, aby po chwili unieść jej głowę i zmusić do spojrzenia mu prosto w oczy.

- Mój majątek, moje dziedzictwo, a nawet ten dom, Heleno, wszystko to było wkładem matki w małżeński kontrakt - zachrypiał. - Ojciec nie mógł tego tknąć, bo w przeciwnym razie już dawno wszystkie te rzeczy poszłyby na konto jego wierzycieli.

Z jego słów przebijała bolesna prawda. Czyżby jej, a nawet jego marzenia zostały obrócone w niwecz za sprawą kłamstw tego starego egoisty? Helena poczuła w piersi narastający, wywołujący zawrót głowy żal, równie bolesny jak ten, z którego powodu cierpiała ponad dziesięć lat temu. Boże, nie mogła mu się znowu poddać.

- Nasi rodzice nie żyją - powiedziała Helena z mocą, odwracając głowę w bok. -1 być może już nigdy nie poznamy prawdy. Być może moja

matka rzeczywiście została wprowadzona w błąd, ale to teraz nie ma wielkiego znaczenia.

Poruszył się tak szybko, że tylko jęknęła, gdy wbił palce w jej ramię, a drugą rękę przycisnął do krzyża, aby szarpnięciem przyciągnąć ją do siebie.

- Na Boga, Heleno, dla mnie to ma ogromne znaczenie - powiedział cicho, przyciskając usta do jej ust.

Uniosła ręce, aby z nim walczyć, odepchnąć, lecz niesforne palce same zacisnęły się na gładkiej koszuli Cama. Jego płomienny gniew, zaprzeczenie niewinności - a po prawdzie faktyczna utrata opanowania - wywołały u niej doznanie niepokojącej przyjemności.

Oślepiąca potrzebą, której zaspokojenie od tak dawna nie było jej dane, pozwoliła, by oblata ją fala jego żaru i złości, nawet gdy przywarł do jej ust. Nowy smutek zlał się w jedno z przebrzmiałymi marzeniami, w niekontrolowany, bolesny sposób paląc jej trzewia. Usta Cama były pewne siebie, a jego dotyk pełen żądzy, gdy przycisnął ją do swojej piersi. Odchylił jej głowę do tyłu, pocierając jej skórę ostrym zarostem swej brody.

W przeciwieństwie do chłopaka, którego niegdyś znała, ten oto mężczyzna nie był ani delikatny, ani nieśmiały. Jednak niewiele ją to obchodziło. Nie była w stanie się oprzeć. I nie chciała. Wbiła się palcami w jego pierś, aby przyciągnąć go jeszcze bliżej. Ciepły męski zapach uderzył ją w nozdrza, język Cama wypełnił jej usta. To było tak, jakby te lata pustki w ogóle nie miały miejsca. Jakby jakiś potworny błąd został naprawiony. Poczwała w sercu ogromną ulgę i namiętność.

Bez słowa, bez krzty rozsądku, błagała go o więcej. W pełnej harmonii z jej myślami, szeroka dłoń Cama przesunęła się z ramienia na pierś Heleny, by nasycić się jej pełnym kształtem. Kiedy poruszył się, aby zdjąć cienką chustę, dyskretnie okrywającą jej szyję, aż zadrżała, przywierając do niego.

Cam zrozumiał, że powinien przestać. Ostrzegło go to drzenie, które wstrząsnęło ciałem Heleny, jednak było już za późno. Zupełnie jakby runął mur wyznaczający nieprzekraczalną wcześniej granicę, długo tłumione pożądanie wyrwało się na światło dnia. Niecierpliwie zsunął Helenie suknię z jednego ramienia. Gdy wyczuł jej przyzwolenie, gdy wyprężyła ku niemu swe ciało, doznana ulga podziałała niczym wachlarz, rozpalając nieśmiały płomyk w wielki ogień.

Wciąż go pragnęła. Wciąż była gotowa się oddać.

Tak. Lecz tym razem zamierzał ją wziąć. Przebóg, tym razem już nikt go nie powstrzyma.

Zachowywał się lekkomyślnie, a nawet niebezpiecznie. I po raz pierwszy w życiu zignorował ten fakt. Biorąc Helenę w ramiona, usadowił się na ławie pod oknem. Delikatny jedwab zsunął się jeszcze bardziej, odsłaniając całą pierś. W jego pamięci biust Heleny był perfekcyjny: wysoki i mały, z bladoróżowymi sutkami. A teraz widział nabrzmiałe, pełne piersi o ciemnoróżowych sutkach, stwardniałych z podniecenia, proszących o pieśczętę, o to, by ssaniem doprowadził je do stanu, gdy przyjemność i ból zleją się w jedno cudowne doznanie.

Jęcząc cicho z żądz, dotknął językiem sterczącego czubka piersi, aż Helena zaczęła się wić w jego objęciach.

- Och... ! - Zawołała cicho w jego włosy. Pragnęła go, a on gotów był w tej chwili iść w piekielny ogień, aby dać jej rozkosz. Bez wątplenia zbyt długo była sama. On również.

Puściwszy w niepamięć wcześniejsze postanowienia, Cam zdecydował, że tak będzie dobrze.

Nie chciał się spieszyć. Zapragnął dać jej pełną przyjemność. Z walącym mocno sercem przesunął dłoń po odzianej w pończochę nodze Heleny, podciągając rąbek spódnicy powyżej podwiązek, jednocześnie muskając satynową skórę wewnętrznej strony uda. Półożąc mu na kolanach, poruszyła się kusząco. Jaka... jaka słodka! Boże, jeśli jej zaraz nie posiadzie, to chyba wybuchnie.

W odpowiedzi, Helena wsunęła rozchylone palce w jego włosy.

- Ach... - westchnęła, gdy odsunął palcami miękką bawełnę jej reform, by wsunąć się w jedwabiste, wilgotne ciało.

Helena poczuła, że opada z sił. Stała się jeziorem gorącego pożądania. Szorstkie lecz delikatne palce wsunęły się między jej uda, aby ująć i pieścić jej najbardziej skryte miejsce. Jak zawsze, w obecności Cama nie odczuwała żadnego wstydu. Krew pulsowała mocno w jej żyłach, przenikając całe jej ciało odczuciem, że wszystko jest właśnie tak, jak być powinno. W grzesznym odruchu otworzyła się dla niego, smakując wilgoć własnej żądz. Dobrze rozumiała, w pełni ogarniała sygnały swego ciała, którymi zapraszała Cama. Chciała, żeby zobaczył dowody jej pragnienia, żeby się nimi napawał.

Ledwie pojmowała, że jej postępowanie jest lekkomyślne, lecz bezmyślna żądza wygrywała z rozsądkiem. Palce Cama wnikały coraz dalej, badały coraz głębiej, aż w końcu wszedł do środka i wsunął kciuk w

najgorętsze rejony, aby odszukać najczulszy punkt rozkoszy. Przygryzła wargi, by powstrzymać okrzyk wywołany niesamowitym doznaniem, lecz Cam nie cofnął dłoni.

Bezwstydnie wyprężyła się pod jego dłonią, pragnąca, pożądliva, aż zaczął pieścić jej najśłodsze miejsce, póki nie wstrząsnęło nią przenikające do szpiku kości drzenie, które wyrzuciło ją poza niewidzialną krawędź prosto w jasną światłość rozkoszy tak niezwyklej, że Helena przestała myśleć, przestała nawet oddychać.

Gdy wyczuł, że się uspokoiła, musnął wargami jej czoło, po czym uniósł ją i skierował się ku drzwiom. Jednym wprawnym ruchem przekręcił tkwiący w zamku klucz, po czym odwrócił się, aby położyć Helenę na miękkim dywanie przed płonącym kominkiem.

Legł obok niej. Przez chwilę ogarnął go strach, że mógłby zrobić jej krzywdę. Lecz gdy zajrzał jej w oczy i ujrzał ich lśnienie, gdy poczuł, jak zapraszająco przyciąga go rękami ku sobie, wszelki rozsądek znikł.

Była taka niewinna. Tym razem musiała jednak zrozumieć. Musiał ją mieć. Gwałtownie chwycił jej dłoń i położył ją sobie na spodniach, tam gdzie u zbiegu nogawek powstało wyraźne wybrzuszenie.

- Heleno - wydyszał, pokrywając jej twarz pocałunkami. - Pragnę cię. Niech Bóg mi pomoże, ale nie potrafię myśleć o niczym innym. - Nakrył rozchyłonymi wargami jej usta i znowu wniknął w jej rozgrzane wnętrze językiem natarczywie, zmysłowo imitującym jego intencje.

To pragnienie nękało go od momentu jej przyjazdu. A w tej chwili ona była w jego ramionach, miała roznamiętione oczy, każdym gestem błagała, by ją posiadał.

Miał już pewność, że wystarczająco długo nacierpiał się bez niej. Zrzucił surdut i kamizelkę, szarpnięciem wyciągnął koszulę ze spodni. Przestał mieć znaczenie fakt, że Helena sprawiła, iż poczuł się tak bezmyślnie chciwy jak jego ojciec. Tracił samokontrolę. Tonął. Z zapalem zanurzał się w szaleństwie, które Helena zawsze umiała stworzyć.

Był świadomy tylko jednego - że zżera go pragnienie, aby poczuć ją pod sobą. To była czysta żądza, w najprostszej postaci. I tym razem zamierzał ją zaspokoić. Helena jęknęła cicho, wsuwając dłoń pod jego koszulę, aby musnąć jego brzuch i przesunąć się jeszcze niżej.

I wtedy sobie przypomniał.

Niech to piekło pochłonie! Joan!

Do diabła. Joan. Co za mętlik. Lecz tym będzie musiał zająć się później. Szarpnął apaszkę na swojej szyi. Jego myśli, a właściwie to, co z nich pozostało, gnały jak oszalałe. Musiał mieć Helenę.

Lecz ta piekielna apaszka zasupłała się na dobre. Nagle poczuł, że się dusi, jakby sam diabeł nałożył mu na szyję stryczek ukrecony z pożądania i poczucia winy. W tym momencie Helena kusząco objęła dłońmi jego żebra. Poczuł na skórze dreszcz. Wielkie nieba! Helena chciała go doprowadzić do szaleństwa. A przecież on miał poślubić Joan. Mimo wszystko pożądał Heleny. Więc żona i... i co? Kochanka?

Tak. Niektórzy mężczyźni mają i żonę, i kochankę. Usiłował zerwać upartą apaszkę, bliski uduszenia.

Kochanka! Jezu, czy on postradał zmysły? Tak. Nie! Po prostu musiał przekonać... tylko kogo? Helenę? Siebie samego? Och, zawsze unikał chaosu, jaki mogłaby stworzyć obecność kochanki. Lecz zdawał sobie sprawę, co by się z tym wiązało: dom, kareta, prezenty.

Być może... tak, być może dałoby się to zρέcznie zorganizować. Z niecierpliwym jękiem Helena wsunęła swe wygłodniałe dłonie w jego spodnie. Na Boga, to trzeba zρέcznie zorganizować! Ostatnim gwałtownym szarpnięciem zerwał w końcu apaszkę i zaczął rozpinać sobie rozporek.

Tak, jego ślub można przełożyć na późniejszą datę. Będzie nalegał na długi okres narzeczeństwa. Bardzo długi. A może Joan znajdzie kogoś innego. Może diabeł porwie i uprowadzi jego ciotkę.

Chwycił ostatni guzik, usiłując uwolnić go z dziurki. Tak, mógłby pogodzić się z ustanowieniem Bentleya jako swego dziedzica. Mając Helenę za kochankę - dostępną, lecz utrzymywaną na odległość - być może uniknąłby całkowitej ruiny, do której doprowadziłaby go ta nieokiełznana żądza.

Gdy ściągnął z siebie ubranie, uwolniony fallus wystrzelił sztywno do góry spomiędzy pogniecionych warstw materiału. Pożądanie Cama nie miało granic. Helena ochoczo powróciła do przerwanych pieszczot i przesuwała dłoń po jego rozpalonym, obnażonym ciele.

Tym razem Cam wydał przeciągły, gardłowy charkot, wyrażający nieodparte pożądanie. Przesunęła dłoń z powrotem w górę, a jemu pozostała już tylko modlitwa, aby się nie skompromitować.

-Ach... Heleno... ! - wykrztusił chrapliwie, delikatnie gładząc ją po policzku zewnętrzną stroną palców.

Lecz nagle miejsce pożądania zajął wynikły nie wiadomo skąd strach przed utratą Heleny, niepewność. Nie mógł osiąść jej jeden raz, a potem już nigdy więcej. Tylko nie to!

Zaczerpnął powietrza.

- Proszę cię... kochana! - zaczął błagalnie.

- Musisz wiedzieć, że to coś więcej niż tylko nieokiełznana żądza. Pragnę cię. Nie tylko dziś w nocy, lecz na zawsze. Zaopiekuję się tobą. Zapewnię ci utrzymanie. Proszę, zgódź się. Zgodzisz się, Heleno? - wyszeptał natarczywie. - Zechcesz mnie? A nie kogoś innego?

-*Ma foi!* - Wydyszała lekko, szeroko otwierając oczy. - Ty chcesz, żebym została twoją... przyjaciółką?

Delikatnie ujął ją za podbródek.

- Moją kochanką, Heleno. I przysięgam ci, kochana, że będę cię traktował jak żaden inny mężczyzna w twoim dotychczasowym życiu.

Zacisnęła powieki.

- Ha... muszę przyznać, że nie mam co do tego cienia wątpliwości - powiedziała cicho, coraz bardziej roztrzęsionym głosem.

Już nie czuł ciepła jej dłoni. O Boże! Tracił ją. Znowu. Lecz tym razem nie mógłby tego znieść.

- Heleno - odezwał się z desperacją, biorąc ją za rękę. - Dobrze się tobą zaopiekuję. Pieniądze nie stanowią problemu. Niczego ci nie zabraknie. Wystarczy, że powiesz...

Zawiesił głos. Helena odsunęła się gwałtownie i położyła na plecach.

Podparłszy się na łokciu, spoglądał na nią z góry, patrzył, jak oddycha, niepewny, nawet trochę zażenowany. Słodka obietnica namiętności znikła. Helena zapragnęła go przez moment, lecz teraz niemalże słyszał, jak intensywnie się zastanawia. Pomimo otepiałego pożądanego Cam zdawał sobie sprawę, że to zły znak.

- Cam, mój drogi - powiedziała twardo, energicznie nakładając stanik sukni. - Niechcący cię sprowokowałam. - Usiadła i zdecydowanymi ru-

chami zaczęła wygładzać rękawy. - Nie interesuje mnie rólka twojej kochanki. W rzeczy samej, nie mam na to czasu. Przeszkadzałoby to... w wypełnianiu obowiązków. Obowiązków nauczycielki - wyjaśniła, poprawiając piersi wewnątrz gorsetu.

- Heleno... ! Nie! - zaprotestował cicho.

Lecz ona patrzyła gdzieś ponad jego głowę, szybko mrugając i zamaszystym ruchem wbijając sobie szpilki we włosy.

- Chyba oboje pomyliliśmy się co do mojego miejsca w tym domu - podjęła przerwany wątek głosem tak chłodnym, jakby rozważała prawdopodobieństwo wystąpienia opadów deszczu. - Jesteś pracodawcą, a ja pracownicą, Cam.

-Tak, ale...

-I otrzymuję wynagrodzenie za nauczanie, a nie za leżenie na plecach w celu zapewnienia ci przyjemności, *n'est-ce pas?* Lepiej będzie, jeśli jasno postawimy tę sprawę.

W niemym szoku, Cam patrzył, jak Helena zgrabnie wstaje, wkłada na stopy pantofelki, które jakimś sposobem zsunęły się z jej nóg, a następnie wygładza fałdy na halce i sukni.

Głowa Cama, który wciąż leżał rozciągnięty na dywanie, opadła do tyłu z głuchym odgłosem. Chwilowo zapomniał, że leży na podłodze. Nie mógł zebrać myśli. Zupełnie się pogрузzył. Zapomniał o wygniecionych połach swej koszuli, o rozpiętych spodniach.

Helena odchodziła. A niech to piekło pochłonie! W nieświadomości powiedział lub zrobił to, czego nie powinien; tym samym spełnił się najgorszy z jego młodzieńczych koszmarów. Uniósł głowę, aby jeszcze

ubłagać Helenę, lecz zdążył jedynie zobaczyć, jak przekreśliła klucz, a następnie szeleszcząc suknią, wyszła.

Do diabła - pomyślał, spoglądając na rzeźbiony, gipsowy sufit. Helena Middleton ponownie mu to zrobiła. Rzuciła na niego urok, stłamsiła mu rozsądek, skusiła do lekkomyślności, a potem porzuciła, zostawiając wszystko - z wyjątkiem napięcia - w bezładnej pogniecionej stercie na podłodze.

Wtem z cienia wyłoniła się Boudikka, przysiadła na dywanie koło wyciągniętego ramienia swego pana i z zadowoleniem zaczęła mruczeć.

- Wynos się! - warknął, podciągając spodnie.



Rozdział 7

Co? Mam jeszcze sama przyświecać memu wstydowni?

- **R**ozmawiasz z kotem? - odezwał się od drzwi czyjś rozbawiony, podpity głos. - A może gadasz do tej żalösnej namiastki erekcji, która musi być bardzo bolesna?

Kompletnie upokorzony Cam ujrzał Bentleya, który podpity wszedł do gabinetu z szerokim, chytrym uśmieszkiem na twarzy i opróżnionym do połowy kieliszkiem w dłoni.

Z gracją, która zadawała kłam jego oczywistej nietrzeźwości, płynnym ruchem nachylił się, żeby podnieść coś z dywanu, a po chwili, wyprostowany, trzymał w palcach koronkową chustę Heleny. Cam zaklął pod nosem i w mało elegancki sposób skoczył szybko na nogi, jakby Bentley właśnie wymierzył mu kopniaka prosto w krocze. Szybkimi ruchami zaczął upychać poły koszuli w spodnie, podczas gdy Bentley kontynuował swe pijackie szyderstwa.

Cam próbował zebrać myśli. Oczywiście chłopak musiał zauważyć Helenę wybiegającą z gabinetu, jakby goniło ją stado wygłodniałych wilków. Nikt, nawet pijany żul nie mógłby się pomylić co do przyczyny jej zdenerwowania. A niech to diabli, przecież nie miał zamiaru jej obrazić, ani też otwarcie upokorzyć. Jednak udało mu się dokonać obu tych rzeczy. Przebóg, czy w życiu może się zdarzyć coś jeszcze gorszego?

- Ha, oto i święty Cam - zarechotał Bentley, podsuwając bratu chustę pod sam nos. - Coś mi się widzi, że ta piękna dziewczyna odrzuciła twoją propozycję! Jaka szkoda! Może więc pozostań przy swojej cennej cnotce, a tymczasem ja udam się za nią na górę i pokażę jej, jak to należy zrobić?

Biorąc pod uwagę cały fatalny wieczór, była to kropla, która przepełniła czarę. Cam powalił chłopaka jednym potężnym ciosem w pierś. Kieliszek Bentleya poszybował z dużą prędkością prosto na marmurowy kominek, obsypując ich obu deszczem kawałków rozbitego kryształu. Przewrócili się na podłogę splątani w gwałtownej szamotaninie przy wtórze głośnych stęknień.

W pewnym momencie Camowi udało się owinąć chustę Heleny wokół szyi Bentleya. Był na najlepszej drodze do uduszenia go, lecz delikatny materiał nie sprostał temu zadaniu, rozrywając się z nieprzyjemnym trzaskiem. W odpowiedzi Bentley wyprowadził gwałtowny cios kolaniem z zamiarem pozbawienia starszego brata resztek męskości. Lecz Cam był trzeźwy i szybki jak błyskawica. Niemal bez wysiłku przewrócił Bentleya na brzuch, chwycił go za włosy i zaczął uderzać jego twarzą w puszysty dywan. Jednak Bentley nie czuł bólu. Dobrze obliczonym szarpnięciem za wystającą połę koszuli Cama udało mu się wydostać spod brata i teraz on był na górze. Zaczęli się tarzać bezładnie, kopiąc w meble, strasząc kotkę i bezlitośnie piorąc się nawzajem, jednak bez trwałego skutku. Bentley był zbyt pijany, żeby stanowić jakieś poważne zagrożenie, zaś Cam walczył bez większego przekonania i zacięcia.

Chociaż po prawdzie miał ochotę kogoś udusić. Samego siebie.

Po kilku solidnych ciosach z obu stron każdy z braci już miał rozcięte usta.

Cam wstał z dywanu, strzepnął z siebie kawałki szkła i poszedł na górę, aby popaść w głębszą zadumę. Poczul, że chyba nie warto dać Bentleyowi porządnego wycisku, na który całkowicie sobie zasłużył.

Czym tu się w ogóle przejmować? Nawet półtrzeźwy, chłopak natychmiast rozpoznał, co się stało. Więc prócz cierpienia dochodziło jeszcze upokorzenie.

* * *

Helenie udało się zachować spokój na tyle długo, by wbiec po schodach na górę i otworzyć drzwi swojej sypialni. Oparła się o nie, przyciskając wilgotne dłonie do zimnego, gładkiego drewna. Oddychała w sposób niebezpiecznie przypominający głębokie, wstrząsające całym ciałem łkanie.

Ostrożnie przyłożyła jedną rękę do ust i uniosła wzrok, by przez pograżony w półmroku pokój spojrzeć na swoje odbicie, widoczne w złoconym lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie. Oblana rumieńcem twarz, zmierzwiłone włosy, prawie odsłonięte piersi wciąż drżące od wzburzenia... tak, wszystko to stanowiło widomy dowód tego, czego niemal dokonała. Albo też - kim niemal się stała.

Nałożnicą Rutledge'a.

Kiedyś usłyszała te słowa wyszeptane za plecami swojej matki. A teraz zalała się gorącymi, gorzkimi łzami. Płynęły po jej nosie, policzkach, lecz Helena nie była w stanie poruszyć się i oderwać wzroku od swojego odbicia w lustrze. Dobry Boże, przecież próbowała. Podjęła wysiłek, by zostać naprawdę kimś w życiu, kimś innym, niż wyznaczyło jej przeznaczenie.

Od ostatniej dużej pomyłki sprzed lat Helena usilnie starała się zdobyć wykształcenie, zyskać zawodową reputację i stłumić - na ile to było w ludzkiej mocy - swoją impulsywną naturę. I udało się jej osiągnąć to wszystko w godny podziwu sposób. Do teraz.

Do chwili, gdy podjęła tę głupią decyzję o przyjeździe do Chalcote Court. Do Camdena Rutledge'a. Lecz, na litość boską, przybyła, aby uczyć jego dziecko! Dziecko, które bardzo jej potrzebowało i któremu ona sama bardzo chciała pomóc. I być może - ale tylko być może - Helena również potrzebowała Ariane.

Lecz teraz pozwoliła, by wszystkie te lata wypracowanej samodyscypliny obróciły się w niwecz. Co też ona sobie myślała? W każdym razie oczywiste było, co on sobie myślał. Jego obrzydliwa sugestia stanowiła bolesną aluzję do nowej dysproporcji w jej sytuacji.

A jednak, nie zawsze tak było. W czasach Randy'ego Rutledge'a angielskie społeczeństwo postrzegało ich rodziny w takim samym świetle; jako marginalnie zadowolające i prawie niewypłacalne. Nigdy nie byli przyjmowani w najlepszych salonach, z drugiej strony towarzystwo rzadko odcinało się od nich w bezpośredni sposób. Lecz teraz ich ścieżki się rozeszły. Jego nowa życiowa droga wynikała ze zrządzenia losu, gdy ożenił się z majątną żoną i odziedziczył tytuł, zaś życie Heleny było efektem świadomego wyboru, gdy zdecydowała się zostać kimś innym niż jej matka.

W głębi duszy chciało jej się śmiać z tego, jak głupio kiedyś planowali razem swoje wspólne życie. A gdy wydarzyło się najgorsze, jej matka wiedziała, że nie należy wymuszać na Ranolphie Rutledge'u ślubnej obrączki dla Heleny. Kiedy okazał się na tyle szczwany, aby uniknąć przekazania swej lubej takiego symbolicznego znaku, to niby dlaczego miałby to zrobić dla jej córki? Bez wątplenia była to bardzo szczęśliwa transakcja. Honor dziedzica Randolpha pozostał nienaruszony małżeńskim wstydem, a ponieważ Helena została bezpiecznie wyekspediowana na

kontynent, to mamusia mogła odjąć sobie kolejnych pięć lat od swojego wieku.

Żadnej ulgi nie przyniosła świadomość, że Cam nadał jej pragnie. Nie w sytuacji, gdy uznawał ją za odpowiednią jedynie do roli kochanki. Jego kochanki! Na taką sugestię czuła tylko gniew, choć musiała przyznać, że nie po raz pierwszy mężczyzna złożył jej taką propozycję. Kiedy kobieta znajdowała się w roli służącej, mężczyźni szybko zbyt wiele sobie wyobrażali. Jednakże — nie wiadomo dlaczego - propozycja Cama zabrzmiała o wiele bardziej wulgarnie i nachalnie niż wszystkie inne, które wcześniej odrzuciła.

Ale czego się spodziewała? Co myślała o zamiarach Cama, kiedy położył ją sobie na kolanach i obnażył jej piersi dla swych ust? Kiedy dotykał jej tak intymnie i wywołując pożądanie, doprowadził niemal do szaleństwa? Gdyby nie padły te wstrętne słowa wypowiedziane w momencie, gdy Helena zachowywała jeszcze ostatnie resztki rozsądku, to teraz Cam byłby głęboko w niej. A gdy już by się nią nasycił, Helenie pozostałby jedynie wstyd.

Panika i oburzenie dodały jej sił, aby wstać z podłogi, zachowując jeszcze jako taki spokój. Tak, wyglądała jak jej matka, a jej nieszczęściem było to, że miała podobny do matczynego apetyt. Lecz nie była - i nigdy nie będzie - taka jak Marie Middleton.

Wierzchem dłoni otarła wilgotne policzki i po omacku poszukała chusteczki. Jutro porozmawia z Camem o swoim wyjeździe. Będzie nalegała, aby zwolnił ją z umowy i pozwolił jej wrócić do Hampstead.

Jednak wtedy przypomniała sobie o Ariane. Boże, jak bardzo chciała jej pomóc!

Przypomniała sobie coś jeszcze - twarde, zimne spojrzenie oczu Cama. Dziś wieczorem zyskała nad nim pewną przewagę, ale raczej krótkotrwałą. Cam stał się nieustępliwym, wymagającym, silnym człowiekiem. I desperacko pragnął jakoś pomóc swemu dziecku. Co będzie, jeśli po prostu nie pozwoli jej odejść?

Po części wierzyła, że pomimo całej swej szorstkości, Cam jest mimo wszystko człowiekiem honoru. Lecz ciało Heleny pamiętało jego ognisty dotyk, pożądlive dłonie. Czy naprawdę sądziła, że kiedykolwiek mogłaby wygrać współzawodnictwo na silną wolę z Camdenem Rutledge'em?

Nagle dalszy ciąg jej myśli przerwał jakiś cichy odgłos - słaby świst, który dobiegał jakby spod łóżka. Helena z wdzięcznością spojrzała na tłącą się lampę, którą pozostawiła pokojówka, po czym zaczęła wyteżać wzrok w panującym w sypialni półmroku.

Coś poruszyło się pod łóżkiem. Helena oderwała się od drzwi i podeszła bliżej. Odgłos powtórzył się, tak samo cicho, ale o pomyłce nie mogło być mowy.

- *Mon Dieu!* - wyszeptała. - Kto tu jest?

Po długiej chwili ciszy, spod narzuty wysunęły się najpierw dwie małe rączki, a zaraz potem cała postać Ariane płynnym ruchem przeczołgała się na dywan.

- Och, Ariane! - Helena przysiadła na brzegu łóżka z uczuciem ogromnej ulgi. - Dziecko, śmiertelnie mnie wystraszyłaś!

Błada i milcząca niczym duch, Ariane chwiała się niepewnie na nogach w nocnym przyodziewku. Nagle, jakby podjęła jakąś decyzję, wsunęła jedną dłoń głęboko w kieszeń szlafrocza. Niczym niespokojna

wiewiórka, rzuciła się do przodu, cisnęła chusteczkę na kolana Heleny i biegiem wróciła na poprzednie miejsce. Stojąc ze splecionymi na plecach dłońmi, wbiła w Helenę wzrok.

A Helena zachowywała całkowity spokój. Wiedziała, że jakkolwiek gwałtowny ruch miałby taki skutek, że Ariane natychmiast uciekłaby z powrotem pod łóżko, wślzłaby do szafy albo - Boże uchowaj - wyskoczyłaby przez okno. Zmusiwszy się do uśmiechu, uniosła skrawek płótna, aby otrzeć nim policzki.

- Dziękuję ci, Ariane - powiedziała cicho.

Nie wiadomo skąd pojawił się nagły powiew, który poruszył połami nocnej koszuli dziewczynki. Helena niemal gotowa była uwierzyć, że dziecko jest zjawą, która może zniknąć z jej każdym kolejnym oddechem. Żółtobiałe, jedwabiste włosy Ariane okalały jej twarz i opływały wątłe ramiona, sięgając prawie do pasa. Dziewczynka miała szeroko otwarte oczy, których jaskrawy błękit nawet w ciemności sprawiał przerażające wrażenie.

- Trochę tęsknię za moim domem, Ariane - powiedziała wymijająco Helena łagodnym głosem. - Czy odgadłaś mój sekret?

Dziewczynka nie odpowiedziała, więc Helena postanowiła mówić dalej.

- Ariane, podglądałaś mnie, prawda?

Tym razem zarumieniła się lekko, uniosła wzrok i niepewnie poruszyła głową, co zapewne miało oznaczać skinienie. Tak, Ariane Rutledge rozumiała praktycznie wszystko, co się do niej mówiło - i bez wątpienia również to, co zdołała podsłuchać. Wziąwszy pod uwagę jej wyjątkowy talent do ukrywania się oraz fakt, że niektórzy ludzie

traktowali ją jak głuchą i niedorozwiniętą - Bóg jeden raczy wiedzieć, jakież to rzeczy mogły dotrzeć do jej uszu.

I nagle, ku zdumieniu Heleny, Ariane postąpiła jeden krok, potem następny i zatrzymała się przed łóżkiem. Z wdziękiem uniosła rączkę, dwoma wyciągniętymi palcami dotknęła swego bladego policzka tuż pod okiem, spoglądając pytająco na Helenę.

Sens tego pytania był oczywisty. Helena powtórzyła jej gest.

- Tak - powiedziała cicho. - Byłam smutna. Ale już mi lepiej. Dzięki tobie.

Z ulotnym uśmiechem Ariane Rutledge znikła, płynnie okrążywszy łóżko, minęła garderobę i poszybowała do sali lekcyjnej.

* * *

Cam obudził się szarym świtem z uczuciem duszącej winy, które wydawało się ciężać o wiele bardziej niż sterta kołder chroniących go przed chłodem poranka w Cotswold. Gdyby zdał sobie sprawę, że zasnął, na pewno odczułby jeszcze większą złość.

Lecz Cam niczego nie zauważył, gdyż przez całą noc prawie wcale nie spał. Co więcej, żałował, że niekiedy zapadał w drzemkę, gdyż nękały go erotyczne sny o tym, jak jego Kirke wije się pod jego ciężarem naga i nienasycona, kusząc go bez ustanku do samego świtu.

Zrozumiał, że właśnie na to sobie zasłużył. Wypęłzył spod pościeli i w stroju Adama dotarł do miednicy, gdzie stanął niepewnie na nogach i spojrział w lustro.

- Ale świnia z ciebie - poinformował wynędzniałe indywiduum z podkrążonymi oczami, które spozierało nań ze szklanej tafli. - Świnia, idiota i libertyn.

Tak, to było mniej więcej adekwatne podsumowanie. Przyznał to teraz, gdy pożądanie już wywietrzało mu z głowy. Odsuwając od siebie emocjonalną burzę, którą niewątpliwie wywołałby romans z Heleną, jedynie libertyńska, kretyńska świnia mogłaby podjąć próbę uwiedzenia guwernantki swojej córki, zwłaszcza w sytuacji, gdy Ariane tak bardzo jej potrzebowała.

Na litość boską, co mu strzeliło do głowy? Czy naprawdę zaproponował Helenie miejsce w miłosnym gniazdku? Wstydział się, że upadł tak nisko, by ją o to prosić. I był przybity, że mu odmówiła. Przy okazji powinna była porządnie dać mu w zęby. A mocne uderzenie w policzek również teraz wyszłoby mu na dobre.

No cóż! Dręczyła go jeszcze jedna straszna myśl. Ostatnio wyrobił w sobie jakieś niepokojące umiłowanie do cierpienia, a w obecnej chwili łaknął go wyjątkowo silnie. Nagle w jego wyobraźni pojawił się erotyczny wizerunek Heleny - w wyzywającej czarnej sukni, postukiwała rytmicznie w udo skórzanym pejcem. Cam poczuł w kroczu narastające podniecenie. O Boże! Schował twarz w dłoniach. Czy naprawdę jest aż tak stuknięty? Nachylił się w kierunku lustra i dość brutalnym ruchem odsunął sobie włosy z czoła, aby lepiej widzieć własną twarz. Jak w rzeczywistości wygląda zdeprawowany zboczeniec? Prychnął głośno. Podejrzewał, że musi być bardzo podobny do Randolpha Rutledge'a.

Lecz Cam wyglądał tak jak zwykle o tak wczesnej porze. Jednak dzisiaj jego charakterystyczne spojrzenie spode łba było dodatkowo wzbogacone przez żółtawy siniak i strużkę wyschniętej krwi - widomy dowód celnego ciosu Bentley'a. Cam wyprostował się i w zamyśleniu

podrapał w goły brzuch. Przebóg, to chyba prawdziwy cud, że Helena w ogóle kiedykolwiek go pragnęła.

Z westchnieniem odwrócił się od lustra i pociągnął sznur dzwonka, wzywając Crane'a. Musiał zająć się swoimi sprawami. Bez względu na to, kim Helena była kiedyś dla niego - i bez względu na to, kim była lub nie była dla innych mężczyzn - obecnie należała do grona jego pracowników. Namiętna natura Heleny nie usprawiedliwiała jego niekulturalnego zachowania. Czyż nie nauczył się tej lekcji już dawno temu?

Mimo wszystko był na Helenę zły. Za dwie rzeczy: że go skusiła i że odrzuciła. Lecz ten gniew był tak samo nieracjonalny jak jego zachowanie, a on gotów był to po męsku przyznać. Jakby chciał odkupić swe grzechy, oblał sobie głowę zimną wodą.

Wyprostowawszy się po doznanym szoku termicznym, zaczął się zastanawiać, czy istnieje jakieś tajemne prawo fizyki, które uniemożliwia zachowanie rozsądku w obecności Heleny. Wcale by się temu nie dziwił. W końcu sam celowo postanowił zachować do niej dystans, a tymczasem wystarczyło kilka minut, by pociągnął ją na swoje kolana, zmiął jej suknię i obmacał, jakby była tanią dziwką z przydrożnej tawerny.

To było niemal śmieszne. Jediną rzeczą, do której Cam zachował dystans, był jego kodeks honorowy. Teraz nastał czas na naprawienie wyrządzonej szkody, a żeby tego dokonać, będzie musiał spożytkować wszystkie zasoby własnej samokontroli. Wszelako będzie musiał przeprosić Helenę, z nadzieją, że ona go nie opuści, a przede wszystkim nie opuści Ariane.

Boże, tylko nie to.

Ariane była już zaintrygowana osobą nowej guwernantki. To przecież dobry znak. Zauważył, że dziewczynka podgląda Helenę przez zasłony, z cienia, zza rosnących w donicach palm. Co więcej, podczas wczorajszej gry w tryktraka zachowywała się niemal swobodnie. Tak, była więc nadzieja - o ile on sam jej nie zniszczył.

Po drugiej stronie sypialni drzwi bezgłośnie otworzyły się do środka.

- Dzień dobry, milordzie - powiedział Crane. Na jego grubym ramieniu wisiał złożony równo czysty ręcznik, w drugiej ręce niósł lśniący, mosiężny dzban z wodą.

- Dobry - odparł z nutą niechęci Cam i klapnął na krzesło, żeby poddać się goleniu.

Służący nachylił się, aby z głośnym stęknieniem postawić dźwigany ciężar, po czym spojrzał na twarz swojego pana.

- To brzydki siniak, milordzie, jeśli wolno mi zauważyć.

- Nie wolno.

Crane wzruszył ramionami i przechylił mosiężny dzban, aby nalać trochę wody do porcelanowej misy.

- Nie będzie łatwo ogolić wokół tej wargi - mruknął ostrzegawczo.

- Wierzę w ciebie i masz moje pełne zaufanie - warknął Cam.

Crane uśmiechnął się, po czym płynnym ruchem nadgarstka rozwinął ręcznik.

- A czy młody pan Bentley wygląda jeszcze gorzej? - ośmielił się spytać, otwierając brzytwę, którą zaraz odłożył na bok.

- Trochę gorzej - przyznał Cam, prychnąwszy z satysfakcją. Kiedy pokojowy układał ręcznik wokół jego szyi, Cam zmarszczył brwi. - Jak skończymy, proszę, przygotuj moje brązowe spodnie i surdut - dodał.

- Tak jest, milordzie. - Służący nachylił się, żeby namydlić mu twarz.

- Planuje pan, milordzie, pomagać w uprzążaniu południowych pól? - spytał po chwili.

Cam wyprostował się na krześle.

- Być może. Dlaczego pytasz?

Crane wzruszył ramionami, unosząc wysoko błyszczące ostrze brzytwy.

- Bo ma pan tę specyficzną minę, milordzie - odparł, przykładając narzędzie do twarzy Cama. Po chwili jednym płynnym ruchem pociągnął je w dół.

Cam spojrzał ostro na służącego, lecz nie ruszał się do chwili, aż tamten odsunie od jego twarzy niebezpieczne ostrze.

- Jaką minę, do licha ciężkiego? Służący cmoknął uspokajająco.

- To taka raczej skruszona mina, którą czasami widać na pańskiej twarzy, milordzie - wyjaśnił Crane, wykonując kolejne, mistrzowskie pociągnięcie. - A oznacza ona bez wątpienia, że zamierza pan chwycić się za najbrudniejszą, najbardziej męczącą robotę, jaką tylko da się znaleźć. A to trochę niepodobna dla człowieka pańskiej pozycji. Jednakże dziś wypada dzień zbierania polnych kamieni na ogrodzenia, a ja wiem...

- Do diabła, Crane, zajmij się goleniem! - przerwał mu Cam ze złością. - Gdybym potrzebował służącego wróżbiarza, to sprowadziłbym sobie cygańską dziwkę.

* * *

Zanim Cam zszedł na dół na śniadanie, zdał sobie sprawę ze spóźnienia, a to wcale nie poprawiło mu nastroju. Dziś był najgorszy z możliwych dni na wczesne wstawanie. Bez względu na plan zajęć Ca-ma,

zawsze było pewne, że skończy swój posiłek na długo, zanim Bentley zwlecze się z łóżka.

Tak więc z ogromnym zaskoczeniem i złością Cam ujrzał w jadalni młodszego brata, który pochłaniał gruby plaster szynki oraz coś, co jeszcze przed chwilą miało postać pełnego bochenka chleba.

Biorąc pod uwagę wszystkie okropności poprzedniego wieczoru, Cam zdecydował, że Bentley stanowił jeszcze najmniejszy z problemów. Prócz nieuniknionych drwin, Bentley nie będzie rozmawiał o Helenie, gdyż był dość kłopotliwym połączeniem drania i dżentelmena. Jeśli chodzi o Ca-ma, to prawda, że został upokorzony szyderstwami młodszego brata. Lecz dość szybko dochodził do wniosku, że upokorzenie, gdy jest zasłużone, dobrze robi na duszę. Ponadto, w przeszłości często widywał Bentleya z najgorszej strony, i nie był to miły widok.

Dlatego zdecydował się ignorować młodszego brata. Jeśli Bentley nadal będzie uprzykrzał mu życie, to Cam wyciągnie go na cały dzień do roboty przy kamieniach. Być może zostaną przy tej pracy na resztę tygodnia. Cam nie miał jeszcze pewności, jak duża pokuta się należy - każdemu z nich.

Zacisnąwszy mocno zęby, odważnie wkroczył do jadalni. Siniaki Bentleya rzeczywiście były dobrze widoczne.

- Hm - chrząknął Cam, idąc do szczytu długiego, mahoniowego stołu. - Widzę, że zaczęliśmy wstawać z pierwszym pianiem koguta, co?

Bentley nasmarował obficie masłem kolejny kawałek chleba, po czym sugestywnie uniósł brwi.

- A może nie należy z góry zakładać, że w ogóle poszedłem spać, braciszku?

- Odwal się ode mnie - warknął Cam jedwabistym, ściszym głosem, siadając na krześle. - W przeciwnym razie twój chudy tyłek spędzi resztę tygodnia na południowych pastwiskach. A poza tym jesteś już na tyle trzeźwy, żeby dostać porządny wycisk.

Bentley tylko wyszczerzył zęby, po czym energicznie wbił je w kolejny kęs chleba. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Cama. Zawsze denerwowała go niesłabnąca zdolność brata do marnowania wieczorów na rozpuście i pojawiania się w wybornej formie następnego ranka. Dziś był szczególnie rozzłoszczony, bez wyraźnej przyczyny na sam widok jedzenia czuł mdłości, podczas gdy jego brat zażerał się niczym wygłodniały wilk.

Gdy Cam wciąż patrzył spode łba na Bentleya, ten przestał się uśmiechać i z głośnym brzękiem odłożył nóż.

- Musiałem wstać trochę wcześniej - wyjaśnił w końcu - gdyż dziś zabieram ciotkę Belmont do Cheltenham.

- Do Cheltenham? - Cam skinął na lokaja, żeby ten podał mu grzanki. - Po co?

Popatrzył na leżący przed Bentleyem talerz wypełniony aż po brzegi. Na Boga, czyżby chłopak w ogóle nie odczuwał zdrowotnych następstw nadmiernego spożywania alkoholu?

- Chodzi o konie - wymamrotał Bentley, żując kolejny duży kęs szynki. Jednocześnie mieszał widelcem smażone jajka. - Dawson ma parę siwków, których chce się pozbyć, więc pomyślałem, że lepiej z nimi pojedę. - Mrugnął do Cama. - Przecież muszę obronić damy przed możliwym oszustwem, prawda?

W tym momencie na stole położył się wąski cień. Cam podniósł wzrok i ujrzał w drzwiach Helenę.

- Och - powiedziała, w dziewczęcy sposób chwytając swoje dłonie. - Myślałam, że będę pierwsza.

Cam i Bentley natychmiast wstali, lecz tylko młodszy z braci złożył jej głęboki, teatralny ukłon.

- Cóż za radosny promyk porannego słońca! - zawołał. - Prosimy do nas, panno de Severs, niechże rozświetli pani stół swym blaskiem.

Zawahała się.

- Nie, naprawdę! Nie chciałabym... przeszkadzać. Zwykle spożywam śniadanie w samotności.

- No tak, ale wtedy my będziemy bardzo cierpieć z powodu doznanej straty, prawda, Cam? - odparł Bentley, uśmiechając się bezwstydnie do brata.

W odpowiedzi Cam chwycił oparcie najbliższego stojącego krzesła i odsunął je od stołu z głośnym zgrzytem.

- Ależ oczywiście. Proszę usiąść, panno de Severs.

- Tak, oczywiście - powtórzył jak echo Bentley, zasiadając z powrotem na swoim miejscu, gdy Helena niechętnie zajęła wskazane krzesło. Nie czekając na polecenie, lokaj podszedł z kawą, zaś Bentley znowu uśmiechnął się przez stół do brata.

Po kwadransie zdawkowej rozmowy, której głównym animatorem był Bentley, młodzieniec zabrał z kolan Inianą serwetę i wstał.

- Dziękuję za niezwykle miłe towarzystwo, panno de Severs. A w ogóle to wpadłem na świetny pomysł! Może codziennie zaszczyci nas pani swoim towarzystwem przy kolacji?

- No cóż... ja...

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Myślę, że powinna się pani zgodzić, zamiast pozostawiać nas, dwóch kawalerów, pławiących się w braterskiej samotności. - W jego głosie zabrzmiało wręcz błaganie, gdy przyłożył wiotką dłoń do swego czoła. - Powinna pani ulitować się nad moim młodym wiekiem i żywym temperamentem, *madame!* Cam to potworny nudziarz. W jego kompanii po prostu marnieję.

Już i tak zażenowana Helena oblała się gorącym rumieńcem, grzecznie czekając, aż Cam przyjdzie jej z odsieczą i wygłosi jakiś dyplomatyczny interdykt. Nie czuła się powołana do tego, by informować młodego Bentleya, że jego brat nigdy sam nie zaprosił jej na wspólny posiłek w rodzinnym gronie. Ponadto, taca w sypialni stanowiła znacznie lepszą alternatywę niż jedzenie przez ściśnięte gardło pod zimnym spojrzeniem Cama. I rzeczywiście, niemalże zakrztusiła się kawą, słysząc jego słowa:

- To doskonały pomysł - powiedział bez zająknięcia. - Kolacja będzie o siódmej, panno de Severs, o ile ta godzina pani odpowiada.

Cam zauważył chwilowe przerażenie, które odmalowało się na twarzy Heleny; patrzyła, jak Bentley bierze jabłko ze srebrnej patery i wychodzi niedbałym krokiem z jadalni, wycierając owoc o rękaw surduta. Helena wyglądała jak myszka szykująca się na pierwsze starcie z wygłodniałym kotem. Cam również czuł się dość nieszczególnie. Myśl o wspólnych posiłkach z Heleną, teraz i w przyszłości, nie była dlań zbyt zachęcająca.

Jednak propozycja Bentleya nie wywołała u niego konsternacji, która zapewne była zamysłem młodszego brata. Cam zdecydował, że będzie musiał mieć oko na kontakty Bentleya z Heleną. Z początku zbagatelizował groźbę młodszego brata, dotyczącą uwiedzenia nowej guwernantki. Teraz już nie był taki pewien, czy to słowa bez pokrycia. Poprzedniego wieczoru, poprzez szyderstwa i pijacką gadkę Bentleya przebijało coś na kształt niezadowolenia i urazy. Lecz dlaczego młodszy brat miałby być o niego zazdrosny? To musiało mieć coś wspólnego z Heleną, gdyż była ona jedyną kobietą, w której Cam był... zadurzony.

Tak, trzeba będzie zwrócić uwagę na tych dwoje. W rzeczywistości był to jego obowiązek, czyż nie? Żadnych kolejnych ukradkowych partyjek tryktraka, żadnych spacerków po ogrodzie - jeśli tylko Camowi uda się pokrzyżować im szyki. Spojrzeniem nakazał lokajowi wyjść.

- Proszę się uspokoić, panno de Severs - powiedział, obserwując oddalającego się służącego.

W oczach Heleny płonęła złość, jednak się nie odezwała. - Wobec tego proszę o wybaczenie - rzekł sztywno, wstając z krzesła. - Proszę zjeść śniadanie, ale później chciałbym z panią porozmawiać. - Przełknął ślinę przez ściśnięte gardło.

- Chyba muszę panią przeprosić. Opanowanym ruchem uniosła filiżankę z kawą.

- Dobrze.

Przez chwilę taksował ją wzrokiem. Siedziała sztywno wyprostowana przy stole. Goszczące zwykle w jej oczach ciepło teraz ustąpiło miejsca chładowi o barwie błękitnawej szarości. Dumnie uniosła podbródek.

Tego dnia ponownie włożyła purpurową suknię, lecz brakowało jej sznytu elegancji. Ujrawszy to, Cam poczuł niemiłe ukłucie w sercu, gdyż właśnie on sam mógł być tego przyczyną. Helena to kobieta, której pisane było olśniewać otoczenie swym blaskiem i urodą, a zamiast tego dziś wyglądała na wymizerowaną i bladą. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy też naprawdę jej dłoń lekko drży, trzymając filiżankę kawy?

- Panno de Severs - odezwał się zniecacka - czy nadal jeździ pani konno?

To ją zaskoczyło.

- Trochę, ale bardzo słabo.

- To może zgodziłaby się pani odbyć ze mną przejażdżkę po śniadaniu. Chciałbym z panią porozmawiać na osobności.

Poczerwieniała. A Cam zdławił wzbierającą w nim falę gniewu. W końcu usiłował uwieść zatrudnioną przez siebie kobietę, która - w pewnym stopniu - była skazana na jego łaskę. Lecz Helena nie należała do tych, które wyraziłyby zgodę na dłuższe uzależnienie od woli mężczyzny. Co do tego Cam nie miał cienia wątpliwości.

- Heleno, mam szlachetne intencje - powiedział cicho.

Spuściła wzrok na swój talerz.

- Dziś rano będę zajęta pracą z Ariane, milordzie. Proszę sobie łaskawie przypomnieć, że to jest moje zajęcie... o ile mam tu zostać.

Doskonale o tym wiedział. Ponownie wystraszył się, że ją straci.

- Znakomicie. Wobec tego pojedziemy powozem razem z Ariane. Świeże powietrze dobrze jej zrobi. - Zastanowił się przez chwilę. - Czy znasz ten łukowaty most, który przecina rzekę Coln po zachodniej stronie?

Wierzchem dłoni odgarnęła kosmyk włosów. Wciąż wydawała się podenerwowana.

- Tak. Chyba go pamiętam.

- Często jeździmy tam z Ariane. Uwielbia bawić się przy wodospadzie. Wtedy będziemy mogli przez chwilę swobodnie porozmawiać. - Energicznie wsunął krzesło na swoje miejsce przy stole.

- Nie sądzę - odparła z lekkim napięciem w głosie. - Przygotowałam się do zajęć w sali lekcyjnej. Poza tym ranek jest zbyt zimny, żeby wybierać się na przejażdżkę bryczką.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że Helena ma zupełną rację. Rzeczywiście, Ariane na pewno przemarzłaby do kości, a przy okazji oni również. Wszelako ten jesienny dzień wciąż jeszcze napawał nadzieją.

- Oczywiście, masz słuszość - zgodził się. - Musimy poczekać do popołudnia.

Bezceremonialnie odstawiła filiżankę i wbiła w niego wzrok.

- Przepraszam, milordzie, lecz nie mogę dotrzymać wam towarzystwa. Mam pewne plany na dzisiejsze popołudnie.

- Planu? - załkał niemal płaczliwie, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

Spokojnie uniosła podbródek.

- Popołudnia mam dla siebie, prawda? Takie odniosłam wrażenie. W każdym razie oczekuję wizyty wielebnego Lowe.

- Lowe? - Cam był kompletnie zaskoczony.

- Thomasa Lowe?

- Jak najbardziej, chyba że padłam ofiarą jakiegoś dziwnego żartu - odparła głosem tak nonszalanckim, że Cam zapragnął porwać ją w ramiona i do utraty zmysłów całować jej bezczelne usta.

- Tak chyba nazywa się wasz proboszcz, prawda?

- No... tak - przyznał, ponownie starając się zachować opanowanie. - Ale to dość niezwykle! Zwykle Lowe nie rwie się, żeby osobiście witać nowych parafian.

- Nie? - Uniosła lekko brwi, aż Cam poczuł jakieś dziwne ciepło w żołądku. Do licha, jak to możliwe, by kobieta wzniecała w nim taki ogień samym tylko delikatnym ruchem brwi?

- Może powinnam wyjaśnić, że spotkałam się z nim wczoraj rano - podjęła Helena. - Był tak miły, że oprowadził mnie po parafii. Chyba uznał, że jestem zmęczona podróżami, a teraz po prostu chce być uprzejmy.

- Tak, oczywiście. Uprzejmy... - powiedział z namysłem Cam. Zrobił kilka kroków po jadalni, w końcu stanął koło drzwi i odwrócił się, patrząc płomiennie na Helenę. - Dobrze. Niedługo przyjdę do sali lekcyjnej razem z Ariane. A spotykamy się we trójkę w holu o wpół do pierwszej. Jutro.

Nie zostawiwszy jej czasu na odrzucenie propozycji, wyszedł szybko na korytarz i udał się do swego ukochanego sanktuarium w gabinecie.

* * *

Ta nowa pani, panna Helena, jest inna... - pomyślała Ariane, obserwując, jak nauczycielka krząta się po sali, porządkując rzeczy po porannej lekcji. Panna Helena nie rysowała znaków na tablicy, a potem nie patrzyła pytająco na Ariane, jakby w oczekiwaniu jakiejś inteligentnej reakcji. Zamiast rysowania znaków, panna Helena przyniosła... gry.

Tak, to zdecydowanie były gry. Lecz niepodobne do gry Bentleya, zwanej tryktrak. To była jej ulubiona gra. Nie dlatego, że umiała w nią grać, lecz dlatego, że podobało się jej brzmienie tego słowa w jej własnych ustach.

Tryktrak. Tryktrak. Nie po prostu tryk, jak zwykle mawiała mama, gdy papa zwracał się do niej: Kocham cię, Cassandro.

Cassandra, tak nazywała się jej mama. Było to słowo, które w myślach brzmiało niemal tak samo piękne jak tryktrak.

Lecz panna Helena przyniosła gry. Małe kółka i bryły, i inne kształty - nie znała ich nazw - które pasowały do dziurek w dużej tablicy. Panna Helena rozłożyła te kształty na stole, a potem przyglądała się, jak ona i jej papa na wyścigi próbują umieścić kształty w odpowiednich otworach.

Po jakimś czasie papa poklepał ją po głowie i wyszedł, zostawiając je same. Panna Helena była bardzo, bardzo szybka. Nie dała Ariane wygrać, lecz jeden raz, gdy panna Helena upuściła kółko na podłogę, potoczyło się ono aż pod szafę, a wtedy Ariane udało się zwyciężyć. Panna Helena śmiała się i śmiała, i klaskała w dłonie. Papa miał rację. To bardzo miła pani.

A potem obie malowały! Ariane rozumiała, na czym to polega. Lubiała chodzić po długiej galerii i oglądać wiszące tam obrazki. Malowidła, jak powiedział jej papa dawno temu, wskazując je palcem i uśmiechając się oczami.

Czasami brał ją za rękę i chodzili wzdłuż galerii, a papa mówił jej imiona wszystkich osób widniejących na obrazach. Był tam dziadek Camden i cioteczna babcia jakaś tam, i kuzyn niegdyś usunięty z... czegoś.

Nie pamiętała, z czego został usunięty. Ale to nie było ważne. Ariane po prostu uwielbiała oglądać malowidła.

Na Wielkanoc w zeszłym roku papa zabrał ją aż do Salisbury. Tam widziała, jak jeden pan siedział w zaułku i malował kościół. Papa nazywał go katedrą, co oznaczało bardzo stary kościół. Salisbury było jej ulubionym miejscem na całym świecie. Cóż, było to niemalże jedyne miejsce, które odwiedziła, ale i tak bardzo je ukochała.

Pan malujący obraz uśmiechnął się do niej, a papa pozwolił jej stać i przyglądać się tak długo, jak tylko chciała. Tym właśnie sposobem nauczyła się, co to jest malowanie.

W każdym razie, malowidło Ariane, zresztą podobnie jak dzieło panny Heleny, nie przypominało żadnego z widzianych przez nią dotąd obrazów. Ale była to dobra zabawa. I panna Helena powiedziała, że wcale nie muszą być wielkimi malarkami, aby malować i mieć z tego przyjemność. Powiedziała, że powinny malować to, co czują, a nie to, co widzą. A potem panna Helena namalowała wielkie czerwone koło i przecinające je linie, jak błyskawice, tyle że czarne.

- Tak się czuję, gdy jestem rozgniewana - powiedziała.

Z tych kształtów i kolorów Ariane odgadła, co czuła panna Helena. Zastanawiała się, co mogło ją tak bardzo rozgniewać. Ariane pomyślała, że ona sama też czasami czuje gniew. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj była... hm, nie знаła słów, żeby opisać stan swojego ducha. Więc po prostu namalowała różne kształty w barwach błękitu, bieli i żółci.

Panna Helena powiedziała, że to są obłoki, ale to nie były tylko obłoki. To była jej mama idąca do nieba. Wysoko, ponad chmury, jeszcze

wyżej, niż sięgała iglica katedry w Salisbury. Papa kiedyś powiedział, że tam właśnie jest niebo.

Ariane pomyślała sobie, że gry i malowanie z panną Heleną są czymś właściwym. Czyż nie? A cóż złego mogło z tego wyniknąć? Przecież nie robiła niczego, co było zabronione. Nic nie mówiła. Nie zdradzała tajemnic. Ona po prostu... dobrze się bawiła. Tak nazwałby to Bentley.

* * *

Gdy Ariane ocierała wierzchem dłoni swój zadarty nosek, Helena wstała, pociągnęła za sznur dzwonka i kazała Marcie przynieść z dołu dzbanek gorącej wody. Ariane była po łokcie usmarowana żółtą farbą, której smugi widniały nawet na jej podbródku. Ale uśmiechała się i postukiwała stopą w nogę od krzesła, jakby wyznaczała rytm muzyki, którą tylko ona sama była w stanie usłyszeć. W tym samym czasie pulchnymi paluszkami rozłożyła cały sznur papierowych lalek, które Helena właśnie wycięła nożyczkami.

Porządkując salę lekcyjną, Helena stwierdziła, że w sumie był to bardzo udany poranek. Z westchnieniem wyprostowała się po wytarciu stołu i spojrzała ponad jego zniszczonym blatem na swoją nową uczennicę. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że Ariane Rutledge była uznawana przez niektóre osoby za niedorozwiniętą lub szaloną.

To prawda, że z początku dziewczynka zaniepokoiła się, gdy Cam zostawił ją samą w sali lekcyjnej. Z pewnością Ariane cierpiała na różne stany lękowe. Lecz po półgodzinie wszystkie jej obawy znikły i dziewczynka chętnie zaangażowała się w gry i zabawy, których cel

chwytła tak szybko jak inne dzieci, z którymi Helena miała dotąd do czynienia.

Lecz na dziś lekcje dobiegły końca. Po lunchu miały wyjść na dwór, gdzie Helena będzie mogła obserwować umiejętności ruchowe Ariane, chociaż nie oczekiwała tu żadnych problemów. Zaś nazajutrz Helena chciała podjąć próbę określenia, czy dziewczynka identyfikuje kolory i potrafi rozwiązywać proste zadania na liczbach. Z pewnością dziecko nie umiało czytać ani pisać, lecz niewielu jej rówieśników posiadało te umiejętności w stopniu choćby tylko dostatecznym.

Gdyby Ariane nauczyła się mówić - a być może nawet bez tej zdolności - to przy pewnej dozie cierpliwości możliwe byłoby nauczenie jej czytania i pisania. Wszelako te umiejętności nie były najważniejsze. Helena doszła do wniosku, że właśnie w tym punkcie poprzednie guwernantki Ariane poniosły klęskę.

Teraz najważniejsza była ocena zdolności Ariane do przyswajania informacji i wyrażania emocji. Helena chciała ponownie posłużyć się sztuką, muzyką i gramami, z których większość sama wymyśliła. Kiedyś odkryła, że dzieci znacznie lepiej uczą się poprzez obserwację. Na przykład dzisiaj najgorsze obawy Heleny zostały w większości rozwiane. Dowiedziała się, że Ariane chętnie wykonuje proste polecenia, że jest bystra i ma w sobie dawkę zdrowej ambicji. Lecz co najważniejsze, Helenie udało się ujrzeć uśmiech na twarzy dziewczynki.

Kiedy wróciła Martha, aby umyć ręce i buzię Ariane, Helena przyglądała się swojej podopiecznej. Dziś była starannie ubrana, włączając odpowiednie pantofle i pończochy, zaś gęstwina jasnych włosów została spleciona w zgrabny warkocz, jednakowoż żadna z tych rzeczy nie była w

stanie przyćmić tych błękitnych oczu- Po raz kolejny Helenę uderzyła myśl, jak bardzo Ariane niepodobna jest do swego ojca. Tak samo jak nie przypominała Bentleya, Catherine czy jakiegokolwiek innej - znanej Helenie - osoby z rodziny.

Podobno żona Cama była niezmierną piękną, więc Helena zaczęła przypuszczać, że Ariane jest wiernym odbiciem Cassandry Rutledge. I zaczęła się zastanawiać, co o tym wszystkim sądzi Cam.

RS

Rozdział 8

Patrzcież, oto zwykły, prosty człowiek

Stękając z wysiłku, Cam mocnym ruchem rzucił kolejny płaski kawałek skały na obiekt, który wybrał do wyzwolenia swojej frustracji - a mianowicie na niski kamienny mur oddzielający pochyłe pole od biegnącej nad nim drogi. Po drugiej stronie znajdującego się za jego plecami ścierniska kukurydzy pochyleni robotnicy kilofami i łopatami wydobywali kolejne kamienie. Kilka jardów w dół jeden z dzierżawców Cama starannie układał podobny mur.

Cam otarł rękawem koszuli pot, który spływając po czole, groził lada chwila zalaniem mu oczu, a następnie popatrzył krytycznie na wybudowane ogrodzenie. Doszedł do wniosku, że odwalili dziś kawał dobrej roboty. Satysfakcjonujący, namacalny rezultat ciężkiej pracy, równie dobrej jak każdy inny sposób rozładowania frustracji. Nowy mur biegł w idealnie prostej linii, a po kolejnych trzech dniach równie wyęźzonego wysiłku zostanie skończony, zaś robotnicy będą mogli rozpocząć kolejną pracę lub przejść na nowe pole. Cam uniósł rękę, żeby skinąć na chłopca roznoszącego wodę, po czym spojrzał nieco wyżej, z zadowoleniem licząc owce pasące się w dużym stadzie na zboczu.

Wiosną wykociło się mnóstwo owiec, potem nastąpiło urodzajne lato. Zebrali dużo siana, a stada dobrze wypasły się przed nadchodzącą zimą. Nabierając głęboki haust świeżego powietrza, po raz pierwszy od wielu dni Cam zaznał poczucia prawdziwego spokoju.

Rodzina nie rozumiała jego palącej potrzeby kontaktu z ziemią. Ojciec w ogóle ją lekceważył, mimo że podczas chudych lat wysiłki Cama znacznie przyczyniły się do przetrwania całego majątku. A teraz jego

obecność w tym miejscu znaczyła niewiele dla wszystkich poza nim samym. Choć tutejszy majątek nie dorównywał wielkością tytułarnej posiadłości w Devonshire, to zawsze uważał Chalcote za swój dom. Ktoś mógłby powiedzieć, że pan na włościach nie miał żadnego interesu w ciężkiej pracy na polu jak zwykły chłop. Istotnie, ciotka Belmont, mimo swojego pełnego wzgardy stosunku do konwenansu, częstokroć rugała go za takie zachowanie.

Właśnie podszedł chłopiec z wodą, dysząc i potykając się o zwały świeżo skopanej ziemi.

- Świeża woda, milordzie - powiedział nieco zbyt radośnie, odzyskując równowagę. Nie uronił przy tym ani kropli.

Gdy Cam odchylił głowę do tyłu i zaczął pić chłodną wodę z chochli, kątem oka spostrzegł, że chłopak zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę.

- Co jest, Jasper? - Cam otarł usta wierzchem dłoni, drugą zaś wrzucił chochlę z powrotem do wiadra.

Chłopiec spojrzał na niego, mrużąc oczy w ostrych promieniach słońca.

- Przyjechała wielka kareta, milordzie. Stary Angus widział, jak skręcała z drogi do Cheltenham, kiedy przywoził wodę. Zaraz będzie na zakręcie. Cam aż jęknął.

- To na pewno pani Belmont wraca do domu.

- Tak. - Jasper współczująco kiwnął głową. - Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć.

Kiedy chłopiec odszedł z wiadrem, Cam z trudem powstrzymał się, żeby mu nie towarzyszyć. Jego wierzchowiec czekał przywiązany do

palika na położonej nieco niżej łące. Mógłby wrócić do domu. Lecz w Chalcote przebywała Helena. Pewnie częstowała podwieczorkiem pastora, który bez wątpienia rozplýwał się w zachwytach nad jej czarującym dowcipem i cudownymi błękitnymi oczami, podczas gdy Cam stoi tutaj i poci się w słońcu. Nie, nie mógłby znieść tego widoku.

A teraz za minutę albo dwie karetka ciotki Belmont niezawodnie pojawi się na drodze na wzgórze i będzie mijać właśnie to miejsce. Poczucie satysfakcji sprzed kilku minut znacznie osłabło, gdy ujrzał stary powóz wynurzający się z zakrętu i rozpoczynający wspinaczkę po pochyłości.

Camowi nie brakowało śmiałości, aby miał podkulić ogon i uciekać. Postanowił, że zostanie na miejscu i stawi czoło konsekwencjom. Z rezygnacją poddał się losowi i podniósł kolejny kamień. Nie miał wątpiwości, że ciotka go rozpozna, mimo że stał na skraju pola, bez kapelusza i surduta, odziany w znaczoną plamami potu skórzaną kamizelkę.

No i rzeczywiście rozpoznała go. Zważywszy na stromiznę wzniesienia, nie było trudno zatrzymać karety w odległości kilku jardów od stojącego za murem Cama.

- Prrr - zawołał stangret, pośród dźwięków pobrzękiwania i skrzypienia uprzęży. Lokaj – sądząc z wyglądu, nowy nabytek - zeskoczył na ziemię i otworzył drzwi karety, aby odebrać polecenia swojej pani, zanim jeszcze pojazd przestał się kołysać.

Ukloniwszy się usłużnie osobie w środku, lokaj spojrział przez ramię na Cama i zrobił bardzo zdumioną minę. Widocznie nie rozpoznając w osobie Cama człowieka, z którym jego pani mogłaby wdać się w

rozmowę, nieszczęsny młody służący miał czelność odwrócić się jeszcze raz, jakby chciał uzyskać potwierdzenie wydanego mu rozkazu.

- Biedak - mruknął Cam pod nosem. Niemal natychmiast z karety wysunął się kościsty palec, żeby dźgnąć lokaja prosto w nos.

- Powiedziałaś, żebyś powiedział temu człowiekowi, aby natychmiast tutaj podszedł! - ryknął władczo damski głos z wnętrza pojazdu. - I pośpiesz się no! Muszę zjeść podwieczorek punktualnie o czwartej, bo w przeciwnym razie zaraz wrócisz do tej kopalni węgla w Kornwalii, z której się wydostałeś!

Przyodziany w perukę, przerażony lokaj odwrócił się do Cama. Jedną ręką sięgnął do szyi, jakby chciał powstrzymać jakąś niewidzialną pętlę, po czym ruszył w kierunku ogrodzenia. Skazany na to, co było już nieuniknione, Cam wsunął ubłocony but w występ w murze, przeskoczył na drugą stronę, podszedł do karety i odważnie odchylił drzwi.

Ciotka Belmont spoczywała sztywno na tylnej kanapie, podczas gdy jego kuzynka, Joan, siedziała skulona na gorszym miejscu z przodu. Cam uklonił się grzecznie obu paniom.

- Dzień dobry, ciociu. Witaj, Joan.

Ciotka jednym płynnym ruchem otworzyła lorgnon, po czym zimnym wzrokiem obejrzała sobie Cama od stóp do głów. Cam wiedział, że była to poza obliczona na zastraszenie go, gdyż starsza pani miała oczy jak drapieżny jastrząb. Nie bawiąc się w żadne powitalne formułki, od razu rzuciła się na swoją ofiarę.

- Na miły Bóg, co ty wyprawiasz, Camdenie Rutledge? Wyglądasz w tych łańkach jak pańszczyźniany chłop. - Wciąż trzymając okulary w

pogotowiu, pochyliła się nieznacznie do przodu i szybko cofnęła, z obrzydzeniem marszcząc nos. - Ależ ty śmierzisz... tym... tym...

- Potem? - odpowiedział Cam.

- Camden! - rzuciła ostrzegawczo ciotka. - Coraz bardziej niepokoi mnie ta twoja skłonność do fizycznej pracy. - Kiwnęła głową w kierunku Joan. - Co inni sobie o tobie pomyślą? To sprawia bardzo złe wrażenie! Bardzo!

- Przepraszam, jeśli mój wygląd obraża twoją niezwykłą wrażliwość, *madame*.

- Niezwykłą? Ha! Twój wygląd nawet w połowie nie jest przyczyną. Chodzi o twój upór. Ale czyż nie rozmawialiśmy o tym już wiele razy? - spytała wyniośle.

- To ty rozmawiałaś, *madame*. A ja słuchałem. - I mimo to się upierasz?

Wykrzywił usta w uśmiechu.

- Mogę być jedynie wdzięczny, że kochasz mnie pomimo moich przywar, ciociu. I przyznaję, że krąbnym ze mnie typ.

Wyrzuciła z płuc powietrze.

- Tak samo jak ten diabeł, który cię pocałował - zauważyła ściszym głosem. - Ten zatwardziały utracjuszek, którego poślubiła moja siostra! A ty nie odziedziczyłeś takich cech po rodzinie z naszej strony, to pewne. Naprawdę! Często ubolewam nad tym, że do niczego nie doszedłeś.

Ze względu na szacunek dla ciotki Cam powstrzymał się od uwagi, że w swoim mniemaniu jednak do czegoś doszedł. Prócz tytułu i majątków, które zesłał mu los, potroił zyski z ziemi i zgromadził wielką fortunę jedynie z pomocą własnej pomysłowości i dużego posagu.

Pani Belmont miała świadomość tych sukcesów, które jednak bladły w porównaniu z wadami Cama - a największą z nich była odmowa podporządkowania się jej żelaznej woli. Rzeczywiście, jego spokój wyprowadzał ją z równowagi. Lecz ostatnio najważniejszą przyczyną ciotczych wybuchów złości było znamienne ociąganie się Cama z ogłoszeniem swoich zaręczyn.

Bez wątpienia ciotka Belmont dowiedziała się już o nowej guwernantce. Być może nawet poznała tożsamość Heleny. Cam zachowywał jednak cień nadziei, że jeszcze do tego nie doszło, chociaż było to jedynie kwestią czasu, ale wtedy już Cam jakoś sobie z tym poradzi. Nawet wyniosła ciotka nie ośmielała się stawiać Camowi ultimatum. W żadnej kwestii.

Tymczasem pani Belmont delikatnie zmieniła taktykę.

- Podobno twój brat znowu zdomowił się w Chalcote. - Z rozdrażnieniem potrząsnęła fałdami sukni. - Ten nicpoń miał czelność zaproponować mi dzisiaj swoją pomoc w sprawie, którą miałam do załatwienia w Cheltenham. Rozumiem, że został już na dobre wyrzucony z Oksfordu?

- Obawiam się, że tak - przyznał Cam. Zastanowił się, co wobec tego przydarzyło się bratu.

- Więc Bentley nie towarzyszył wam dzisiaj?

- Przebóg, nie! A jakież pożytek ja i Joan mogłyśmy mieć z takiego przymilnego chłystka?

- A czy dokonałaś zakupu dwóch dobranych siwków, ciociu? - spytał obojętnym tonem, opierając się o drzwi karety.

- Skądże! Dawson to albo oszust, albo też kompletny dyletant jeśli chodzi o konie. Para dobranych siwków, dobry żart! Zgarbione w kłębie, wychudzone zady, a poza tym wcale niedopasowane. - Przyjrzała się Camowi. - Zdaje mi się, że Dawson uważał mnie za idiotkę, podobnie jak miody Bentham, ale śmiem twierdzić, że postawiłam ich obu na baczność.

Cam zakasłał dyskretnie w zwiniętą dłoń, tłumiąc wybuch śmiechu. Być może starsza pani była wiedźmą, ale na pewno nie brakowało jej rozumu, którą to lekcję otrzymał dziś Bentley, zapewne ku swojemu dozgonnemu żalowi.

Nieoczekiwanie pani Belmont przyjęła łagodny ton, co zwykle zwiastowało niebezpieczeństwo.

- No cóż, Camden, dawno cię nie widziałyśmy. Jutro zjesz z nami kolację - zdecydowała, po czym wyciągnęła rękę, aby z pewnym wahaniem pogłaskać go po wilgotnych włosach. - Jeśli chcesz, możesz nawet przyprowadzić ze sobą tego nicponia, Bentleyya.

Cam szybko zdjął przybrudzoną rękawiczkę, ujął i pocałował dłoń ciotki.

- Bardzo dziękuję, *madame*, ale muszę odmówić. Pilne sprawy zatrzymują mnie w Chalcote.

- Naprawdę? - Następne słowa pani Belmont potwierdziły jego podejrzenia. - A właśnie, niedawno dowiedziałam się, że macie w Chalcote nową służącą - powiedziała, wychylając się trochę bardziej z głębi karety.

- To nie służąca - poprawił łagodnie. - To nauczycielka, która przyjechała z kontynentu, żeby pracować z Ariane.

- Phi! Marnujesz czas w każdy możliwy sposób, Camden! To dziecko jest odmieńcem.

- Przykro mi nie zgodzić się z twoim cennym zdaniem, *madame* - powiedział Cam złowroźnie ściszonego głosem - ale muszę nalegać, abyś raczyła uważać na swoje słowa. Ariane to twoja bratanica. I moja córka.

Pani Belmont wyprostowała się.

- Naprawdę? - spytała cicho. - Mogę przysiąc, że nigdy nie byłam tego pewna, zważywszy na to szemrane towarzystwo, w jakim obracała się Cassandra.

- Wybacz, pani, ale widzę, że twoja taktowność znacznie ucierpiała na skutek odbytej podróży - rzekł sztywno Cam. Oparł dłoń na drzwiach karety, jakby chciał je zamknąć. - Bo w przeciwnym razie jestem pewien, że nie wypowiedziałabyś tych słów. Zwłaszcza w obecności służby. Muszę się pożegnać.

Z niechęcią osoby pokonanej w słownym pojedynku, pani Belmont sztywno skłoniła głowę.

- Wybacz - powiedziała, przywdziewając kamienny wyraz twarzy. Popatrzyła ponad jego ramieniem, by po chwili znowu obrzucić Cama swoim ostrym, wyrachowanym spojrzeniem. - Oczywiście, musisz wypełniać swoje obowiązki wobec córki, tak samo jak wobec nas wszystkich. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że zawsze byłeś dobrym synem i bratankiem. I wiem, że nigdy w żaden sposób nie sprawisz zawodu swojej rodzinie.

- To prawda, *madame* - odparł poważnie. - Nie sprawię.

Zupełnie jakby doszli do milczącego porozumienia, ciotka uśmiechnęła się z satysfakcją, potem królewskim gestem uniosła rękę, dając znak, że rozmowa dobiegła końca.

- Ruszaj! - zawołała do stangreta.

Cam z wdzięcznością zatrzasnął drzwi karety.

* * *

Helena z przyjemnością stwierdziła, że - zgodnie z zapowiedzią Cama - poranny listopadowy chłód ustąpił miejsca ciepłemu popołudniowemu słońcu. O drugiej godzinie zrobiło się niemal ciepło. Pomimo wcześniejszej stanowczej zapowiedzi Helena nie miała nic przeciwko spędzaniu popołudnia z Ariane, więc teraz obie zawzięcie kopały piłkę w ogrodzie, gdy w pewnym momencie zjawił się kamerdyner.

- Dzień dobry, Milfordzie - powiedziała lekko zdyszana Helena, odgarniając z czoła kosmyk włosów.

Milford, jeszcze bardziej poblady niż zwykle, trzymał ręce za plecami i najwyraźniej się wahał.

- Przyjechał do pani pan Lowe - powiedział wreszcie, gdy Ariane posłała piłkę do Heleny przez całą szerokość trawnika.

- O, to świetnie! - Helena kopnęła ją szybkim, lecz niecelnym uderzeniem tak mocno, że ta poleciała aż do sąsiedniego, starannie pielęgnowanego ogrodu. - Czy byłbyś tak miły i poprosił go, żeby do nas dołączył?

Ariane puściła się między krzaki po piłkę. Milford znowu jakby się zawahał.

- *Madame*, nie wypada mi o tym mówić, ale powinna pani wiedzieć, że panienka nie lubi gości. A niektórych osób nie lubi bardziej niż innych.

- Co masz na myśli?

- Panienska Ariane w ogóle nie lubi obcych.

- Zmieszany odchrząknął. - Lecz zawsze rzucało mi się w oczy, że szczególnie nie lubi mężczyzn. Naprawdę, niektórych wręcz nie cierpi, a przykro mi stwierdzić, że jest wśród nich również proboszcz. Jest jeszcze jego młodszy kuzyn...

- Panna Rutledge nie lubi kuzyna proboszcza? - spytała Helena, niepewna, czy dobrze zrozumiała.

- To wikary, pan Rhoades - wyjaśnił niechętnie.

- Panienska Ariane bardzo go nie lubi. Jest jeszcze ten adwokat z Londynu, pan Brightsmith...

- Panna Rutledge nie lubi pana Brightsmith'a? - przerwała mu.

W tej kwestii Ariane miała pełne współczucie Heleny.

- Nie, *madame!* - Milford pokręcił głową.

- W ogóle na niego nie zważa! Chodzi o jego sekretarza, młodego pana Kelly. Na jego widok dziecko dostaje ataku. Jest jeszcze sędzia pokoju, który mieszka niedaleko Coln St. Andrews. Kiedyś go ugryzła.

- Ugryzła? - powtórzyła jak echo. - Zębami?

- No tak! Biedak nachylił się, żeby ująć ją za podbródek, jak to mają w zwyczaju robić rubasznicy, arogancy ludzie. A ona natychmiast go ugryzła. - Milford jeszcze bardziej pobladł. - Aż do krwi.

Helena wzdrygnęła się na samą myśl.

- No cóż, nie możemy odesłać z kwitkiem naszego pastora, prawda? Ale z drugiej strony nie możemy dopuścić, żeby został ugryziony. Przyślij tu Marthę, niech pobawi się z panną Rutledge, a proboszcza zaprosz do żółtego salonu. Niebawem tam pójde.

Służący wciąż się ociągał.

- *Madame...* proboszcz przyszedł w towarzystwie paru... młodych osób.

- Młodych osób? To znaczy swoich dzieci?

- Ależ nie, *madame* - odpowiedział kamerdyner takim tonem, jakby chodziło o rzecz oczywistą. - Pan Lowe jeszcze się nie ożenił. Te młode osoby to chyba jego siostrzenice, w wieku sześciu i ośmiu lat. Zdaje się, że przyjechały na dłuższy pobyt do probostwa.

Cichy szelest zarośli tuż obok jej łokcia powiedział Helenie, że Ariane jeszcze nie wyłoniła się spomiędzy krzaków, z piłką w dłoniach.

- No dobrze, Milford - powiedziała głośno. - Ja bardzo lubię pana Lowe i chętnie poznam również te młode damy. Może więc zaprosz ich do oranżerii? Tym sposobem będę mogła obserwować Ariane w ogrodzie. I sama zadecyduje, czy zechce wejść i przywitać się z gośćmi, czy też woli pozostać na zewnątrz.

Milford sztywno skłonił głowę.

- Tak jest, proszę pani.

* * *

Po odjeździe ciotki Cam ze zdwojoną energią wrócił do pracy przy kamiennym murze. Dopiero po dłuższym czasie - po tym jak wyładował złość na kolejnej warstwie ogrodzenia - zdał sobie sprawę, że prócz zdawkowego powitania nie wypowiedział ani jednego słowa do swojej przyszłej narzeczonej, ani ona do niego. Śliczna młodzieńka Joan jeszcze bardziej kuliła się w głębokim cieniu, zarówno dosłownie, jak i w przenośni, za każdym razem, kiedy ją widział.

Oprócz tytułu i bogactwa nie miał czym zaimponować, zwłaszcza dziewczynie o dwanaście lat młodszej. Był dość przystojny, przynajmniej tak o nim mówiono, lecz nie w sposób zgodny z kanonami najnowszej mody, gdyż był wysoki i ciemnowłosy, nie zaś gibki i jasnowłosy, co stanowiło obecnie wymarzony wzorcowy wizerunek. Z pewnością nie był mężczyzną eleganckim. Miał szorstkie dłonie i umięśnione ramiona.

Jednak najgorsze, że Cam był pełnym zadumy, pracowitym człowiekiem, można nawet powiedzieć, że trochę nudnym. W jego pojęciu udany wieczór polegał na tym, by zasiąść przed kominkiem z butelką wina, tomikiem poezji i pięknym, grubym kotem, nie zaś by tańczyć do białego rana z hordą ludzi, którzy wszystko mają w nosie. Być może Joan już nie chciała wydać się za niego, o ile w ogóle kiedykolwiek miała taki zamiar. Lecz ta pełna nadziei konkluzja przyniosła Camowi niejaką pociechę. Joan także musiała wypełnić swój obowiązek. Wciąż niepokojony myślami o Helenie, Cam zdał sobie sprawę, że jest bardzo zmęczony i że zrobiło się już dość późno.

Teraz, leżąc na plecach pod rozłożystym dębem, dawał odpoczynek spracowanemu na polu, brudnym dłoniom, palił przedni tytoń, z przyjemnością popijał z dzbana chłodny cydr, który przechodził z rąk do rąk. Na trawie naprzeciwko Cama młody Jasper nachylił się i podał dzbanek mężczyźnie, który siedział obok niego.

- Co pan ma dziś w kieszeni, milordzie? - spytał z zapalem chłopiec, spoglądając ukradkowo na swojego pana. - Może jakiś tomik poezji?

Cam odłożył na bok fajkę z korzenia wrzośca, uśmiechnął się i zaczął obmacywać kieszenie rzuconego na ziemię surduta.

- Może znajdzie się jakiś mały - przyznał, wyciągając cienką książeczkę.

Zachęcony chóralnymi prośbami zaczął przewracać podniszczone kartki, po czym uroczyście odchrząknął i poważnym głosem przeczytał:

Dzwon o zmroku ogłasza koniec dnia, co mija,

Ryczące stado wolno po polanie kroczy,

Oracz z pola schodzi po znoju długich chwilach...

- Nie tak szybko, milordzie! - zawołał stary Angus, machając sękatą ręką. - Za dużo tu o robocie! Nie chcę słuchać o jakimś tam starym oraczu, gdy sam jestem zmordowany!

- Ale ja lubię Thomasa Graya - zaprotestował Jasper. - Już tak dawno nie słuchaliśmy jego wierszy! - Lecz gdy popatrzył na zmęczonego, starego Szkota, tylko wzruszył chudymi ramionami. - Angus chyba ma rację, milordzie. To był długi dzień. Więc może coś żywszego, coś z Byrona, milordzie?

Cam pokręcił głową i znowu zaczął przewracać kartki. Nie miał ochoty czytać Byrona, gdyż taka poezja wywoływała w nim myśli o Helenie. W końcu znalazł to, czego szukał.

- Aha! - zapowiedział. Podniósł wzrok na zgromadzonych i z uśmiechem mrugnął jednym okiem. - Przez wzgląd na wybredne gusta literackie starego Angusa, przeczytam wam coś, od czego z pewnością żywiej zabije serce nawet najbardziej znużonego Kaledończyka!

Szkoci, coście się z Wallace'em wykrwawili,

Szkoci, coście dzielnie pod Bruce 'em walczyli,

Witajcie na krwawym łożu waszej śmierci,

Lub ku zwycięstwu idźcie jako pierwsi!

Nadeszła nasza godzina, nadszedł nasz dzień;

Gdy na losy bitwy spada mroczny cień;

Dumna armia Edwarda nadciąga z północy

-Z nią nasza niewola, łańcuchy przemocy.

Kto się okaże zdrajcą bez godności?

Kto tchórzem zginie w obliczu wielkości?

Kto zaś w niewoli odnajdzie swą rolę?

Niechaj już teraz ucieka przez pole.

Porywający wiersz ciągnął się przez kilka kolejnych strof, a gdy Cam skończył, mężczyzna siedzący na trawie obok Angusa nachylił się i walnął starego Szkota w ramię.

- No to masz, co chciałeś, więc siedź cicho, stary pierniku - rzucił drwiąco ze szkockim akcentem.

- Tak, dobrze by było! - odparł Angus z udawanym upokorzeniem. - Nie zdarza się często, coby angielski pan czytał mi *Marsz Roberta Bruce'a do Bannockburn!*

Całe towarzystwo wybuchło śmiechem, znowu puszczając w obieg dzban z cydrem. Cam oparł się o drzewo i odłożył książkę. Obstukując głośno wygasłą fajkę o obcas buta, patrzył, jak popiół osiada na trawie, myślał o tym, co teraz może robić Helena.

Prychnąwszy głośno, jeszcze raz mocno uderzył fajką. Pewnie nalewa herbatkę temu apodyktycznemu pastorowi. A Lowe przymila się i komplementami toruje sobie drogę do jej łask, jak to czynił z każdą kobietą w wieku od ośmiu do osiemdziesięciu lat. Był dość miłym człowiekiem, o ile ktoś lubił taki typ... Bardzo ujmujący i zdecydowanie zbyt przystojny...

Czy Helena również widziała w nim przystojnego mężczyznę? Zapewne. A co do proboszcza, to każdy mężczyzna - duchowny czy nie - na pewno znajdował się pod urokiem Heleny, jeśli tylko w jego żyłach jeszcze płynęła choćby kropla krwi. Proboszcz był w takim wieku, gdy mężczyźni poważnie myślą o założeniu rodziny. Lowe zawsze nawiązywał przyjazne relacje z guwernantkami zatrudnionymi w Chalcote. No ale przecież był przyjacielski wobec wszystkich.

Czując wzbierającą, przyprawiającą niemal o mdłości obawę, Cam wsunął fajkę do kieszeni surduta i podniósł książkę. Czas wracać do domu. Czas stanąć twarzą w twarz z Heleną, poczuć przeszywające spojrzenie jej pięknych oczu, poczuć mieszaninę pożądania i winy, które płonęły w jego piersi. Thomas Lowe stanowił teraz najmniejszy z jego problemów.

* * *

- Tu jest naprawdę bardzo przytulnie! - stwierdził proboszcz, szerokim gestem zataczając po wnętrzu oranżerii.

Odwrócił swoje oblicze do Heleny i zrobił kilka kroków po wyłożonej kafelkami podłodze, pomiędzy rosnącymi w donicach palmami i paprociami. Dwie śliczne, jasnowłose dziewczynki deptały mu po piętach.

- Dzień dobry, panie Lowe - powiedziała Helena, podchodząc do niego.

- Droga panna de Severs! - Ukłonił się z gracją.

- Widzę, że niepotrzebnie martwiłem się o pani zdrowie! Wygląda dziś pani wspaniale, *madame*.

Podziękowała pod nosem, tymczasem Lowe przywołał swoje siostrzenice.

- To są Lucy i Lizzie Fane, córki mojej siostry
- wyjaśnił, a Helena wskazała gościom przygotowane krzesła.

Tak jak przewidział Milford, młode damy miały odpowiednio sześć i osiem lat, zwichrzone jasne włosy oraz bezczelne uśmieшки na ustach. Ubrane były jednakowo - w błękitne muślinowe sukienki, których kolor idealnie pasował do ich oczu. Faktycznie, bardzo przypominały swego wuja, który bez wątpienia nie miał łatwego zadania, opiekując się takimi dwiema dziewczynkami, które już na pierwszy rzut oka wyglądały na bardzo energiczne.

Wzmiankowany wuj usiadł na krześle i położył dłoń na kolanie.

- A jak miewa się dzisiaj panna Ariane Rutledge? - spytał. - Czy spotkamy się z nią? Moje siostrzenice bardzo chciałyby ją poznać, oczywiście o ile pani uzna, że nie ma w tym niczego złego.

Helena zastanowiła się nad pytaniem proboszcza. Z pozoru sam pomysł wydawał się doskonały. Lecz czy Ariane miała już doświadczenie w kontaktach z innymi dziećmi? Jeszcze nie rozmawiała o tym z Camem. Teraz widziała przez szybę, jak stojąca w zaroślach ogrodu Ariane bez entuzjazmu rzuca piłką do góry. Helena była przekonana, że dziewczynka nie chciałaby przyjść do oranżerii, chociaż wcześniej z pewnością podsłuchiwała rozmowę Heleny z Milfordem.

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że koleżeństwo z rówieśnikami stanowi nieodłączny element dorastania, więc szybko opowiedziała dziewczynkom o nieśmiałości Ariane. Obie radośnie kiwnęły głowami, po czym Helena zaprowadziła je do ogrodu. Ariane popatrzyła z niepokojem na Lucy i Lizzie, lecz kiwnęła lekko głową, gdy Helena poleciła jej pograć wspólnie w piłkę z gośćmi. Z lekkim

niepokojem wróciła do oranżerii, z zamiarem uważnego obserwowania zabawy dzieci.

- Proszę mi powiedzieć, panno de Severs, jak ona się ma? - spytał Lowe cicho. - Czy to dobrze, że pobawi się z dziewczynkami? Nie chciałbym, żeby przez nas zaznała jakieś niewygody.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze - mruknęła Helena, siadając na krześle, z którego mogła swobodnie obserwować ogród. - Zobaczymy, jak sobie poradzi. Może się zaprzyjaźnią.

Lowe znowu się uśmiechnął.

- Lucy i Lizzie byłyby zachwycone. Muszę wyznać, że od przyjazdu tutaj trochę się nudziły. A sama musi pani wiedzieć, jakim wyzwaniem mogą być znudzone dzieci. - Proboszcz rozłożył ręce z bezradnym obliczem.

Roześmiała się na widok jego zakłopotanej, jednak ujmująco uroczej miny.

- Rozumiem, że przyjechały tu na dłuższy pobyt?

Przestał się uśmiechać.

- Tak, lecz z żalem muszę przyznać, że jest to wynik smutnego zdarzenia. Moja siostra właśnie owdowiała. I razem z córkami zamieszka u mnie przez jakiś czas.

Helena bez trudu zrozumiała to, co nie zostało wypowiedziane. Bez wątpienia po śmierci męża siostra proboszcza poznała smak ubóstwa. Jak to dobrze, że ma brata, który w dodatku chętnie przyjął pod swój dach i ją, i jej córki. Tym samym Thomas Lowe znacznie zyskał w oczach Heleny.

Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że siostra pastora znalazła tu przyjaciół?

Odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

- Jeśli o to chodzi, panno de Severs, bardzo bym chciał, aby poznała panią. Czy uczyni nam pani ten honor i odwiedzi nas w niedzielę w porze podwieczorku? Mam nadzieję, że nie uzna pani tego zaproszenia za zbyt śmiałe.

- Ależ skąd - odparła, mile zaskoczona. - Będzie mi bardzo miło. To musi być cudowne, mieszkać razem z rodziną.

- Zaiste! Większość naszej rodziny mieszka w Norfolk.

- Tak, ale chyba ma pan tutaj kuzyna, prawda? Nachylił się do niej poufale.

- Oczywiście. Ale ciekawe, skąd pani o tym wie. Mój wikary, pan Rhoades, to daleka rodzina. - Jeszcze bardziej ściszył głos. - Biedny Basil to bardzo dobry człowiek, panno de Severs. Lecz chyba zbyt nieśmiały, aby wykonywać służbę dla naszego Pana. Oczywiście, wszystko okaże się z czasem.

- Tak, oczywiście.

Zastanawiała się, czy Thomas Lowe miał kiedykolwiek w życiu jakąś dłuższą styczność ze zjawiskiem „nieśmiały”.

- A jak pani się tutaj czuje, panno de Severs? Pani lekko francuski akcent jest naprawdę cudowny.

Próbowała odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Moi rodzice byli paryżanami, lecz po śmierci ojca razem z mamą zamieszkałyśmy w Anglii. Ojciec zginął jako ofiara rewolucji.

- Bardzo mi przykro. Machnęła bagatelizująco ręką.

- Nigdy go nie poznałam. A tutaj czuję się jak w domu. Miałam dwóch ojczymów, Anglików.

- A gdzie się pani wychowywała? I kim byli ojczymowie? Muszę przyznać, że pani osoba wywołuje moją ciekawość.

Od powrotu z Bawarii cały czas szykowała się na to pytanie. I przyrzekła sobie, że powie prawdę. Jeśli teraz proboszcz zechce okazać pogardę dla jej przeszłości, niech i tak będzie.

- Wychowywał mnie drugi mąż matki, kapitan Henry Middleton, marynarz. Zamieszkaliśmy blisko Hampstead Heath, lecz on często wypływał w morze i zmarł, gdy jeszcze byłam małą.

- Ach, znam to nazwisko! Zginął na służbie, prawda? Pamiętam, że był odważnym człowiekiem.

- Tak, zawsze uważałam go za niezwykle dzielnego - zgodziła się Helena.

I było to zgodne z prawdą. Chociaż kapitan Henry Middleton nie żył od ponad dwudziestu lat, nigdy nie zapomniała, jak huśtał ją na kolanach i przywoził świecidełka ze wszystkich zakątków świata.

Matka wyszła za niego, gdy Helena miała około pięciu lat, w rok po śmierci drugiego męża, niesławnego londyńskiego dandysa, który bardziej dbał o swojego służącego niż o pasierbicę i niebawem zginął w pojedynku, stając w obronie czci nowo poślubionej żony. Helena wzdrygnęła się na myśl, co też matka musiała zrobić, aby sprowokować taką sytuację.

Marie miała szczęście, że zdołała znaleźć kolejnego męża po wynikłym skandalu, nawet jeśli Henry Middleton był trochę nieokrzesanym człowiekiem. Lecz mimo to zapewnił im dach nad głową i zgodził się dać Helenie swoje nazwisko. Często zastanawiała się, jakie byłoby ich życie, gdyby kapitan wciąż żył. Być może takie samo. Może

matka swoimi mało dyskretnymi flirtami doprowadziłaby również kapitana Middletona do pojedynku na szpady.

- Przypominam sobie, jak ktoś wspominał, że pani matka była bliską znajomą milorda - głos Lowe'a sprowadził Helenę na ziemię, niczym kubeł zimnej wody. - Chodzi mi o poprzedniego lorda Treyherna.

Mimo że trochę spięta, zmusiła się do uśmiechu.

- W pewnym momencie była to nawet bardzo bliska znajomość - odparła wymijająco.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Machnął ręką.

- Ja oczywiście byłem jeszcze na uniwersytecie. Lecz jeśli o mnie chodzi, panno de Severs - nachylił się kłębująco blisko - to myślę, że musi pani uznawać swoją matkę za osobę, której sprzyjał los. Wie pani, milord nie był dobrym materiałem na męża.

- Nie? - spytała sztywno, wstając. - Proszę mi wybaczyć, zajrzę do Ariane.

- Ależ proszę. - Wskazał kępę rododendronów. - Na pewno wdały się w jakieś dziewczęce figle. Widziałem je jakieś dwie minuty temu.

Z rozpaloną twarzą Helena wyszła i po chwili znalazła w ogrodzie Lucy i Lizzie wbijające patyki w opuszczone ptasie gniazdo, które udało im się ściągnąć z wyższych gałęzi. Tuż za nimi stała Ariane, przyglądając się tej scenie szeroko otwartymi z ciekawości oczami.

Helenie zachciało się śmiać z samej siebie. Ariane była najwyraźniej zafascynowana nowymi koleżankami i nie potrzebowała pomocy Heleny, która sztywno uniosła podbródek i wróciła do oranżerii.

- Wszystko w porządku - obwieściła, siadając na swoim miejscu z wymuszonym uśmiechem.

Thomas Lowe natychmiast nachylił się i zanim się domyśliła, o co chodzi, ujął jej dłoń i przytrzymał ją namiętnie.

- Moja droga panno de Severs, jestem pani winien przeprosiny. Nie chciałem nikogo obrazić, mówiąc o zmarłym lordzie Treyhernie. W ogóle nie powinienem był wypowiedzieć tych słów. Po prostu chodzi o to - urwał, przymykając swe długie, jasne rzęsy - że tak swobodnie się z panią rozmawia, co niejako skłania do zwierzeń, czego jednak nie powinienem czynić po tak krótkiej znajomości, ale... ale...

Wtem rozległ się szelest poruszanych liści.

- A, tu pani jest, panno de Severs! - W oranżerii rozbrzmiał donośny, radosny głos Bentleya Rutledge'a i po chwili jego głowa wynurzyła się gwałtownie spomiędzy gęstych liści jednej z doniczkowych palm rosnących wokół miejsca, gdzie znajdowały się drewniane ławy i krzesła. Jego oczy płonęły złośliwą, bezbożną satysfakcją. - Wszędzie pani szukałem! Mamy do rozegrania partyjkę tryktraka, jeśli pani pamięta.

Ciężkie buty Bentleya zastukały głośno na terakocie, gdy wyszedł zza ściany roślin. Ogarnąwszy wzrokiem całą sytuację, przybrał fałszywie zdziwioną minę.

- A kogóż my tu mamy? Przecież to nasz pastor!

- Podeszedł bliżej, żeby wyciągnąć do niego rękę.

- O, przepraszam, panie Lowe. Nie chciałem przeszkadzać.

Lecz proboszcz już wstał, wyraźnie nieswój.

- Pan Rutledge! Jak miło. Chyba nie miałem przyjemności widzieć pana w kościele od... chyba od pogrzebu pańskiego ojca.

Bentley uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ha! Rozumiem, do czego pastor pije, ale byłem daleko stąd, w szkole. Przecież trzeba zdobyć dobre wykształcenie. - Zatarł siarczyście rękę.

- No więc, czemu zawdzięczamy tę przyjemność, panie Lowe?
Nie czekając na zaproszenie, rzucił się na szezlong, blisko Heleny. Jednak proboszcz nie przyjął jego słów za dobrą monetę.

- Niestety, na mnie już czas - stwierdził rzeško, podnosząc kapelusz i laskę. - Pan Rhoades i ja mamy do załatwienia nasze kościelne sprawy, a potem muszę wrócić do domu.

Helena wstała, a zaraz za nią Bentley uczynił to samo.

- Wobec tego odprowadzę pastora - powiedziała uprzejmie.

- Nie musi pastor odchodzić ze względu na mnie - dodał wspaniałomyślnie Bentley. Lowe ukłonił się sztywno.

- W żadnym razie nie odchodzę ze względu na pana, panie Rutledge. Proszę nie wstawać, panno de Severs. Zabiorę moje siostrzenice i wrócę do kościoła tylnymi ogrodami.

- Oczywiście - rzekła cicho. - Proszę znowu je do nas przyprowadzić.

- Tak, dziękuję. Może pojutrze? - Znowu uśmiechnął się ciepło.

Kiwnęła głową i skrzyżowała ręce na piersi.

Thomas Lowe wyszedł na dwór, by w promieniach popołudniowego słońca wziąć za ręce swoje małe kuzyneczki. Ariane, która wcześniej znowu zaszyła się w zaroślach, teraz wyjrzała, odprowadzając je wzrokiem z dość żalną miną.

Helena powoli odwróciła się do Bentleya.

- Czego tak naprawdę pan tutaj chciał, panie Rutledge? - Usiłowała zachować poważny wyraz twarzy. - Nie mamy żadnych planów na

dzisiejsze popołudnie. A poza tym dano mi do zrozumienia, że wyjechał pan na cały dzień do Cheltenham.

Bentley poczerwieniał na twarzy z ledwie tłumionej wesołości.

- A ja doszedłem do przekonania, Heleno, że jest pani prawdziwą *femme fatale!* - zaśmiał się, ignorując jej pytanie. - Biedny stary Lowe niemalże był na kolanach.

Stłumiła uśmiech.

- Panie Rutledge, dla pana jestem panną de Severs. A pańskie słownictwo jest niegodziwe. Biedny pan Lowe po prostu...

- ... robił z siebie dupka - dokończył Bentley, zaśmiewając się. - Proszę szczerze wyznać, *madame*. Wyglądał jak żałośnie zadurzony stary piernik. I założę się, że odczuła pani ogromną ulgę, kiedy wynurzyłem się z tych chaszczy. - Nachylił się, żeby zajrzeć jej w oczy. - O, tak! Widzę to wyraźnie, blask wdzięczności w tych pięknych oczach!

Helena mocno przygryzła dolną wargę. Ten bezczelny szczeniak miał rację. Lowe to miły człowiek, lecz w tamtym momencie miała życzenie, aby ziemia rozstała się i wessała jedno z nich. Pytania proboszcza na temat związku jej matki z Rutledge'em były bardzo kłopotliwe.

- No właśnie - powiedział miękko, ujmując ją za łokieć. - Ten uśmiech jest nieskończenie bardziej czarujący niż pani zmarszczone czoło guwernantki. A ponieważ ciotka Belmont nie chciała skorzystać z mojej pomocy, jej strata będzie pani nagrodą. Chodźmy, przejdźmy się po oranżerii - nalegał, kierując ją między zielone listowie.

- Proszę mnie wyedukować! Bo cierpię na ogromny brak wiedzy w dziedzinie ogrodnictwa, a pani na pewno zna nazwy tych wszystkich pnączy. I tych doniczkowych roślinek też, prawda?

Nachylił się, żeby obejrzeć jedną z nich, po czym spojrział na nią z ukosa, delikatnie pieszcząc zielony liść między palcami.

- Pańskie zachowanie było nie na miejscu - nie ustępowała, spoglądając na jego długie palce, tak podobne do palców brata. -I pańskie słowa w niczym nie zmieniają mojej opinii.

- Niech się pani strzeże naszego pobożnego pastora, *madame*. Jego intencje mogą nie być bardziej honorowe od moich. A powiedziałbym nawet, że są od moich niższe.

Niechętnie weszła z nim dalej między rośliny oranżerii.

- Panie Rutledge, jest pan niepoprawny. Zaśmiał się szorstko, cynicznie.

- Tak, to jedno z łagodniejszych określeń, jakimi opisuje mnie mój brat. - Teraz od reszty ogrodu oddzielała ich zasłona z paproci. - Proszę mi powiedzieć, panno de Severs, czy uważa pani, że jestem już niereformowalny? Bo zapewniam panią, że tak właśnie myśli mój brat.

- Jest pan jeszcze bardzo młody - odparła. - Ma pan wiele lat, aby stać się tym, kim pan chce. Nie powinnam mówić, że jest pan niepoprawny, nawet jeśli to miała być kpina. Ale też pański brat nie powinien nazywać pana niereformowalnym, gdyż nie jest pan ani jednym, ani drugim.

- A jeśli chcę taki być, panno de Severs? - Jakby zbity z tropu jej uprzejmością, mrugnął do niej beczelnie. - A może wcale nie jestem taki

młody ani niedoświadczony, jak pani myśl. - W jego głosie wyraźnie zabrzmiała męska arogancja.

Helena zatrzymała się.

- Za dużo pan sobie pozwala, panie Rutledge - stwierdziła zimno.

- O! Czy zostanę powieszony za swe nieczyste myśli? - spytał, unosząc pytająco brew. - Jeśli mam wisieć, to niech przynajmniej wiem za co.

Nagłym szarpnięciem przyciągnął Helenę do swej piersi i wcisnął się wargami w jej usta.

Pomimo dużego doświadczenia w unikaniu takich katastrofalnych sytuacji Helena została całkowicie zaskoczona, z ramionami zwisającymi wzdłuż ciała. Bentley przesunął zmysłowo wargi po jej ustach w pocałunku, który był głęboki, grzeszny i znamionujący bogate doświadczenie. Z żalem stwierdziła, że jego smak, zapach i ogólne odczucie było podobne jak u brata. Na króciutką chwilę zmysły wzięły górę nad rozsądkiem.

Gdy wodził językiem po jej ustach, niemal się zapomniała, aż usłyszała cichy jęk rozkoszy wydobywający się gdzieś z czeluści jego gardła, aż poczuła, jak Bentley kładzie rękę na jej krzyżu, by mocniej doń przywarła. Korzystając z momentu względnej swobody, szarpnęła się mocno i wyprowadziła cios kolanem, niemal trafiając go prosto w jądra.

Skutek przyszedł natychmiast. Bentley rzucił się do przodu w konwulsjach, po czym odepchnął ją mocno. Z jego szeroko otwartych oczu przebijał dotkliwy ból. Jedną ręką zakrył sobie usta, zupełnie jakby ugryzł się w język. Dla lepszego efektu Helena poprawiła jeszcze sążnistym policzkiem, który opadł na twarz Bentleya z głośnym klaśnięciem.

- Aaa, Jezuuu... ! - wykrztusił.

Drugą rękę przyciskał do brzucha. Widziała, że młodzieniec dzielnie opiera się pokusie, by przytrzymać sobie krocze.

Żeby jeszcze bardziej go pograżyć, Helena chwyciła Bentleya za ucho i pociągnęła go przez gąszcz paproci. Jednym pchnięciem ręki w pierś powaliła chłopaka na szezlong.

- To było skandaliczne, panie Rutledge - powiedziała z wyrzutem, spoglądając na leżącą bezładnie postać. - A teraz przestań kłąć i wyjaśnij mi dokładnie, o co ci chodzi.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Helena usiadła na krześle. Oczy Bentleya błyszczały, a Helenie przyszło do głowy, że być może jego łzy zostały wywołane nie tylko fizycznym bólem. Gwałtownie odwrócił wzrok.

- Daj spokój, Heleno - warknął. - Chciałem tylko ukraść ci pocałunek.

Delikatnie dotknął swojej twarzy w miejscu, gdzie otrzymał uderzenie. Helena z przerażeniem zobaczyła, że jej cios spowodował większą od zamierzonej szkodę, gdyż policzek młodzieńca nosił już ślad wcześniejszego siniaka.

- Myślałem, że też miałaś z tego przyjemność - warknął.

Spoglądała na niego z przeświadczeniem, że chyba postradała zmysły, ze względu na to, co zamierzała mu powiedzieć.

- No więc, miałam przyjemność, panie Rutledge - obwieściła, obserwując jego zboląłą minę, która szybko przybrała wyraz podejrzliwości. - A raczej miałabym, gdybym była zainteresowana twoim

pocałunkiem. Ale niestety, pomimo twoich wybitnych umiejętności, w najmniejszym stopniu nie jestem zainteresowana.

Przygnębiony, osunął się na szezlongu.

- Nie próbuj mnie zwodzić, Heleno - powiedział cicho.

Jego oczy wciąż błyszczały z emocji.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że młodzieniec niemalże wdarł się w jej usta swoim językiem, Helenie trudno było nalegać, żeby jednak nie mówili sobie po imieniu. Westchnęła ze znużeniem, po czym kilkoma szybkimi ruchami poprawiła sobie suknię i włosy. Niestety, takie działania były często konieczne, jeśli spędzało się dużo czasu w domu Rutledge'ów.

- Posłuchaj, Bentley - powiedziała w końcu, wbijając szpilkę we włosy i spoglądając nań z irytacją. - Jesteś przystojnym chłopcem, przyznam, że pełnym uroku. Ale nie mam ochoty kochać się z tobą, a ty obrażasz mnie, zakładając, że skoro jestem u was na służbie, to możesz robić ze mną, co chcesz.

Wyglądał, jakby spotkała go jakaś zniewaga.

- Ale to nie...

- Cicho bądź - przerwała mu, wskazując palcem jego nos. - Poza tym, nie mogę uwierzyć, że naprawdę moja osoba cię interesuje. Przecież tak nie jest, prawda? Aż opadła mu szczeka.

- Jesteś bardzo ładna - przyznał, lekko się rumieniąc. - I wiem, że pozwoliłaś się całować Camowi. Temu nie zaprzeczysz.

Zamarła, lecz opanowała się.

- Nie potwierdzę, ani nie zaprzeczę - upierała się. - To nie twoja sprawa, co robię z twoim bratem. Powinnam powiedzieć ci do słuchu...

-I powiedziałaś, Heleno! - Uniósł głowę. Na jego twarzy powoli pojawił się znajomy, szeroki, czarujący uśmiech. - To nie przejdzie! Kobieta nie może całować tak namiętnie jak ty, a potem oczekiwać, że mężczyzna przyjmie reprimendę z tych samych ust!

- Bentley, twoje nieustanne flirtowanie nie podziała na mnie. - Odprężyła się i przyjęła inną taktykę. - Po prawdzie to myślę, że jesteś zbyt dżentelmeński, aby najpierw ocalić mnie przed rzekomymi podchodami proboszcza, po to by następnie osaczyć mnie za zasłoną paproci i wymusić pocałunek. Pocałunek, który tuzin innych kobiet chętnie by ci podarowało. Więc powiedz, co miałeś nadzieję uzyskać?

Zastanowił się.

- Nie wiem. - Przyglądał się jej podejrzliwie, delikatnie gładząc się po szczęce. - Dziękuję ci, moje zęby jeszcze mi się przydadzą.

- Odpowiedz!

Skrzywił się w reakcji na jej natarczywość.

- Nie lubię tego Lowe. Nie podobało mi się, jak na ciebie patrzył, z opuszczonymi rzęsami, jak chwycił cię za rękę, niemal dyszał...

- To godne pochwały - rzekła sucho - lecz Thomas Lowe nie zaciągnął mnie za paprocie i nie zmuszał do znoszenia jego zalotów.

Bentley poczerwieniał jak burak.

- Przepraszam - wymamrotał. - Pewnie chcesz opowiedzieć o wszystkim Camowi?

Oparła dłonie na biodrach i dłuższą chwilę taksowała go wzrokiem.

- Ciekawe dlaczego odnoszę wrażenie, że właśnie tego chciałbyś najbardziej?

Bentley siedział z łokciami na kolanach, opuszczając głowę w dłoń, jakby nagle chwyciła go jakaś przemożna niemoc.

- Nic mnie nie obchodzi, co powiesz świętemu Camdenowi. On i tak myśli i robi, co chce.

- Twój brat cię kocha.

- Ha - rzucił ze wzgardą. - Jeszcze nawet nie zaczęłaś rozumieć mojego brata. Znasz go od kilku dni, a ja jestem z nim przez całe życie. To napuszony, obłudny, zadufany w sobie skromniś.

Helena poczuła silne pragnienie, aby mu powiedzieć, że te epitety są zupełnie niepotrzebne, a ponadto rozmijają się z rzeczywistością. Chciała mu powiedzieć, że знаła Camdena Rutledge'a przez prawie dwanaście lat i że nawet jako chłopiec Cam wciąż niepokoił się o losy swojej rodziny. Odpowiedzialność za nich wszystkich spoczywała na jego barkach, a on dźwigał ją chętnie, z poświęceniem, które przeczyło jego wiekowi.

Powoli wysunęła rękę i lekko dotknęła kolano Bentleya.

- O co chodzi, Bentley? Dlaczego jesteś taki zły na brata?

Twierdzisz, że ja go nie znam, ale to nie jest prawda. Dawno temu, gdy byłeś jeszcze mały, znałam go bardzo dobrze. Moja matka przyjaźniła się z waszym ojcem, jako dziewczynka często przebywałam w tym domu. Nawet wtedy było oczywiste, jak bardzo kochał ciebie i Catherine.

Przeszłość Heleny zdawała się nie wzbudzać jego zainteresowania.

- Naprawdę? - spytał bez przekonania.

- Tak, naprawdę - potwierdziła. - Wiem, że często sprawia wrażenie upartego i nieczułego, lecz w rzeczywistości bardzo mu zależy, abyś był szczęśliwy. Bardziej, niż myślisz. Czy nie możesz z nim porozmawiać? Albo ze mną?

- Nie - odparł nieprzejednany. - Nie ma o czym. I ty w niczym nie możesz pomóc.

- A może mi powiesz i wtedy zobaczymy?

Przez chwilę nie mógł się zdecydować, prowadząc jakąś wewnętrzną walkę. Jednak powściągliwość zwyciężyła.

- Po prostu, on chce nami rządzić, to wszystko. Najpierw była Catherine. Rozstawiał ją po kątach, aż w końcu wyszła za mąż wbrew jego woli.

- Wbrew jego woli?

- Tak, za syna dziedzica Wodeway. Cam uważał, że mogła znaleźć kogoś znacznie lepszego, lecz ona pragnęła pójść własną życiową drogą.

Więc mała Catherine wyszła za Wodeway? Ta wiadomość zaskoczyła Helenę, gdyż doskonale pamiętała wszystkich sześciu synów owdowiałego Wodeway; hałaśliwą zgraję niemalże oprychów, którzy nawet nie usiłowali zachowywać pozorów dobrych manier, czy w ogóle jakiegokolwiek obowiązkowości. Nic dziwnego, że Cam miał obawy co do wydania siostry za takiego człowieka, mimo faktu iż ich rodzina wcale nie była uboga, zaś matka była ponoć kobietą o wysoko sięgających koneksjach i dobrym pochodzeniu.

Helena nie wiedziała, co o tym myśleć. Wcześniej Cam powiedział jej, że siostra młodo wyszła za mąż, co było prawdą, gdyż zdaje się miała jedynie kilka lat więcej od Bentleya.

- Chyba nie do końca rozumiem. Więc oni uciekli? Może do Szkocji? I co twój ojciec mówił o tym związku?

Bentley pokręcił głową.

- Nie, pobrali się w kościele Świętego Michała. Ojciec niewiele powiedział, a jeszcze mniej go to obchodziło. Zresztą dlaczego miałyby być inaczej? Lecz to Cam trzymał łapę na rodzinnej kasie, więc Cat przeszła przez piekło, żeby go przekonać.

- Kiedy był ślub? - spytała.

- Nie pamiętam - mruknął. - Chyba jakieś pięć lat temu.

Helena dokonała w myślach szybkich obliczeń.

- Na Boga! Przecież ona miała wtedy ledwie siedemnaście lat!

Doskonale rozumiem obawy Ca-ma.

Wzruszył ramionami z zaciętą miną.

- Nie musisz nic więcej mówić. Powinienem być wiedzieć, że weźmiesz jego stronę.

- Nie biorę niczyjej strony, Bentley - stwierdziła z nutą stanowczości.

- Nienawidzę go - wyrzucił z siebie. Tym razem odezwał się jak chłopiec, nie jak mężczyzna, za którego chciał uchodzić. - I nie chcę więcej o tym rozmawiać. Jeśli chcesz opowiedzieć świętemu Camdenowi, że próbowałem cię uwieść, to proszę bardzo, zrób to. A on będzie nawet zadowolony, że ma pretekst, aby mnie wyrzucić na pysk, bo już mi tym groził.

- Bentley, nie potrzebuję twojego brata, aby pilnował mojej cnoty. - Młodziak był niemal irracjonalnie wściekły na brata, a Helena wyczuła, że u podłoża tego gniewu musi leżeć jakaś przygnębiająca historia. Być może Bentley w końcu jej zaufa. - No - powiedziała łagodnie, wyciągając do niego rękę. - Zostańmy przyjaciółmi, co ty na to?

Minęła długa chwila, zanim Bentley powoli ujął jej palce swoją dużą dłoń.

- Dobrze - odezwał się niespodziewanie delikatnym głosem. -
Zostańmy przyjaciółmi.

Trzymając jego rękę, Helena spoglądała w zamyśleniu na ogród. Cienie wydłużyły się znacznie, a na drugim końcu trawnika ujrzała Ariane, która szła w kierunku drzwi, trzymając pod łokciem piłkę. Helena upuściła dłoń Bentleya, żeby do niej pomachać, gdy nagle dziewczynka uniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko na widok stojącej w oknie nauczycielki. Był to słodki, cudowny uśmiech, pełen nadziei i obietnicy na przyszłość.

- Wiesz co, zimno się tu zrobiło - powiedziała Helena w zadumie, gdy Ariane otworzyła drzwi. - Może rozpalimy w kominku w salonie, cała nasza trójka, a potem ty i ja rozegramy tę partię tryktraka.

Rozdział 9

Och, Hesperusie! Obudź życzenie i roztop serce!

Wieczorny wiatr szumiał i wirował pośród drzew otaczających Chalcote. Zmęczony dniem spędzonym na polach Cam rzucił się na łóżko i natychmiast padł w objęcia Morfeusza. Jednak teraz wiatr wybudzał go co chwilę z kojącego snu i prznosił w pełne marzeń zamroczenie.

Lecz przecież on wcale nie chciał spać. Tak, teraz sobie przypomniął. Chciał tylko podrzemać na narzucie łóżka i zaczekać, aż dom jego ojca pograży się w ciszy.

Leżał bez ruchu w ciemności, delikatnie głaszcząc dłonią znajdujące się pod poduszką, aksamitne pudełko. To były urodziny Heleny. Wiedział o tym, tak samo jak wiedział, że Marie Middleton zapomniała o tym ważnym dniu. Nie miał pojęcia, dlaczego to było takie ważne dla Heleny, lecz po prostu dziewczęta były inne niż chłopcy. Helena próbowała udawać, że to nieważne, gdy dzień dobiegł końca, a ona dostała od matki jedynie nową wstążkę do włosów. Lecz wtedy widział jej łzy. I cierpiał razem z nią.

Znowu przesunął palcami po pudełku. Ciepły, czerwony aksamit, tak jak usta Heleny. Poczł skurcz w żołądku, wywołany niepokojem. Być może to było złe, że wtedy się całowali, dotykali i pieścili. Zwłaszcza że mieli zostać jedynie przyjaciółmi. Lecz przez bardzo długi czas ona była dla niego kimś znacznie ważniejszym. Nie licząc brata i siostry, Hellie była całym jego życiem.

Zresztą ona również pragnęła czegoś więcej niż przyjaźni. Pragnęła go w taki sposób. I nie ukrywała swego pożądanja poprzez złośliwe

drażnienie go i zadawanie mu tortury. Z jego strony, pomimo kłopotów, w jakie zawsze go wpędzała, Cam nikogo nie kochał tak bardzo jak jej. Niedługo, tak czy inaczej, wezmą ślub.

Och, ojciec zaczynał zrędzić na temat jego przyjaźni z „tą dziką smarkułą”, jak pogardliwie określał Helenę. Były też jakieś niezbyt poważne groźby o wiosennych studiach w Oksfordzie. Lecz Cam wiedział, że to wszystko spali na panewce, gdyż zanim nadejdzie dzień opłaty czesnego, papa nie będzie miał już grosza przy duszy. Sezon myśliwski też doprowadził go niemal do ruiny - zresztą czego się można było spodziewać, skoro nabył trzy nowe wierzchowce, zaś połowa pasożytów z towarzyskiej śmietanki przez wiele dni raczyła się winem z piwnic Chalcote.

Lecz być może on sam jest niewiele lepszy od przyjaciół ojca? Objął palcami aksamitne pudełko, chwycił je mocno i pomyślał o rzeczach, o jakich dżentelmen myśleć nie powinien. Pod nocną koszulą jego fallus obudził się do życia. Cam nie mógł się powstrzymać i wsunął rękę pod materiał, żeby się dotknąć. Lecz to było już niewystarczające.

Ach, Heleno! Poczul pod skórą gorącą krew, ściskający go dziki, natarczywy ból. Tak strasznie jej pożądał, z wielu powodów. Tylko nikt tego nie rozumiał. Uważali, że jest zbyt młody, aby wiedzieć, co dla niego dobre. A on wcale nie był za młody. Pomimo że trochę nieśmiały - nudny i ponury, jak kiedyś powiedział o nim ojciec - Cam był pewien swojej miłości do Heleny, tak samo jak swoich możliwości.

Tak, być może był nudny i ponury, lecz w tym roku gospodarstwo przyniosło zysk dwa razy większy niż w poprzednim, a Cam wiedział, że stało się tak dzięki jego ciężkiej pracy i umiejętności liczenia. Mimo to

ojciec śmiał się, szydząc z niego, gdy nie chciał brać udziału w organizowanych w Chalcote frywolnych zabawach.

Poprzedniego wieczoru Randolph wpychał w jego ramiona piersiastą wdowę, z tak nieprzyzwoitą sugestią, że wstydził się również za tę kobietę. Lecz ją uraził jedynie jego brak zainteresowania. Randolph odwrócił się do nich plecami. „To nie mój syn” - powiedział na tyle głośno, że usłyszało go pół tuzina gości.

Dzisiejsze przyjęcie, odbywające się dwa piętra niżej, było jeszcze bardziej hałaśliwe. Najpewniej zwinięto dywany, by zorganizować improwizowany parkiet do tańca, gdyż pijacka zabawa odbijała się głośnym echem w całym holu. A więc nie trzeba było zachowywać się cicho. Postanowił zaryzykować. Bezgłośnie ześlizgnął się z łóżka i wyszedł na korytarz.

Tak jak oczekiwał, spod drzwi pokoju Heleny nie wydobywało się żadne światło. Zapukał w umówiony sposób i przemknął do środka. W cienkim snopie księżycowego światła zobaczył, jak Helena odrzuca na bok kołdrę i siada na materacu. W milczeniu podszedł bliżej i przysiadł koło niej na zgiętym kolanie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - wyszeptał.

Nachylił się jeszcze bliżej, wciskając jej w dłoń małe pudełeczko.

Wpatrywała się w niego krótką chwilę, lecz zaraz otworzyła aksamitne wieczko. Z pełnym zachwytem westchnieniem uniosła zdobny łańcuszek, wbijając wzrok w wielki szmaragd obsadzony w filigranowej oprawie. W słabym świetle zobaczył, jak Helena przygryza dolną wargę i prawie niedostrzegalnie kręci głową.

- Cam, *mais non!* Nie możesz mi tego dać - wyszeptała delikatnym, melodyjnym głosem. - Ależ to jest cudne.

- Należy do ciebie - odpowiedział, bezwiednie przesuając palec po jej policzku. - Matka mi to zostawiła, więc jest moje i mogę z tym zrobić, co tylko chcę. - Wyjął wisiołek z jej dłoni. - Odwróć się, Hellie.

Drżącymi rękami przesunął na bok gruby warkocz i zapiął łańcuszek na szyi dziewczyny. Kiedy się odwróciła ku niemu, rozluźniła zawiązaną tasiemkę nocnej koszuli i spuściła wzrok na pierś. W ciemności ledwie widział naszyjnik na tle jasnej skóry. Ale to nie miało znaczenia. Dobrze wiedział, jak wygląda jej skóra.

- Co o tym myślisz, Cam? - spytała z dziewczęcym śmiechem. - Gdybym nosiła go z jedwabną balową suknią, to jak bym wyglądała?

Popatrzyła na niego wielkimi oczami. Miała pełne, wydatne usta, na których pojawił się dobrze mu znany, szelmowski uśmiech. Uwielbiał go i bał się zarazem.

Przełknął ciężko i nachylił się, żeby ją delikatnie pocałować.

- Pewnego dnia, Hellie, dam ci też jedwabną suknię. Szmaragdową, żeby pasowała do tego kamienia. Pragnę, abyś zawsze nosiła intensywne, ciemne kolory, bo do ciebie pasują.

Uklękła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- *Merci*, Cam - szepnęła, obsypując delikatnymi pocałunkami jego twarz. - To najcudowniejszy prezent w całym moim życiu!

Przesunął dłonie na jej plecy, gdy znowu odnalazł ustami jej usta. Poczuł, jak Helena ociera się o niego pierściami, gdy przewrócili się na pościel, tym razem nie śmiejąc się, jak to niegdyś mieli w zwyczaju. W

którymś momencie skończyli chichotać, a potem rzeczy przybrały bardzo poważny obrót. Znowu ją całował, wargami i językiem.

Zapraszająco rozchyliła usta, wydając ciche westchnienie, przyjmując go. Rozkosznie słodki pocałunek zdawał się trwać bez końca. Minęli już punkt, gdzie kończy się zażenowanie, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała taka granica. Cam niczego takiego sobie nie przypominał. Pamiętał jedynie, że jej pożądał, czuł, że pragnie ją mieć na zawsze. Położył się na niej, kolanem zadzierając do góry nocną koszulę Heleny.

- Heleno - wykrztusił w końcu, niemalże nie odrywając od niej ust. - Może powinniśmy przestać.

- *Non, non !* - zawołała cicho, wyginając ku niemu swe ciało. Jednocześnie wsunęła palce w jego włosy. - Proszę, Cam! Kocham cię. Będę cię kochała aż do śmierci. Ty czujesz tak samo, *n'est-ce pas?*

- Och, Heleno, wiesz, że tak - muskał ustami jej czoło. - I pewnego dnia będę miał pełne prawo, żeby... żeby być z tobą tak jak teraz. Ale jeszcze nie. Nie w tej chwili.

- Nonsens - szepnęła. Miała płytki, przyspieszony oddech. Niecierpliwie szarpnęła w górę jego koszulę. - Jeśli będę musiała, zaczekam na ciebie całe życie, lecz dlaczego mamy czekać? I na co? Kto wie lub kogo obchodzi, co robimy?

I nagle Cam zdecydował, że się z nią zgadza. Rzeczywiście, w głębi serca oczekiwał takiej właśnie reakcji Heleny. Może przyszedł do jej sypialni nie tylko, aby pocieszyć przyjaciółkę, lecz aby się z nią kochać - tak jak pragnął od chwili, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Przez długi

czas wstydział się swojego pożądania. Lecz teraz je zrozumiał i już nie czuł, że to coś złego.

W bladym świetle wyobraził sobie szelmowski błysk w jej oczach. A po chwili wsunęła dłoń pod nocną koszulę Cama, obejmując długimi, sprawnymi palcami jego nabrzmiałą męskość. Nie był w stanie stłumić jęku pełnego słodczy bólu.

- Cam, czy mogę cię dotykać? - spytała. - Czy mogę dać ci rozkosz... no wiesz... tak jak kobieta daje rozkosz kochankowi w tej książce twojego taty ze sprośnymi rysunkami? - Uniosła się na materacu i żartobliwie ugryzła go lekko w ucho ostrymi, białymi zębami.

Poczuł, jak jego twarz zalewa gorący rumieniec. Doskonale wiedział, o którą książkę i o który rysunek chodzi Helenie. Był naprawdę sprośny. I bardziej podniecający, niż teraz był w stanie wytrzymać. Niezręcznie wyprostował się na kolanach i ściągnął sobie koszulę. Chociaż już wcześniej na przestrzeni wielu lat mnóstwo razy widzieli się nawzajem w różnych stadiach negliżu, to teraz usłyszał stłumiony okrzyk Heleny, patrzącej na jego nagie, bezwstydną podniecenie. I nagle żarty się skończyły. Przesunął dłoń po jej udzie, sięgając rąbka nocnej koszuli.

- Zdejmij to, Heleno - usłyszał własny chropowaty głos, który wydobywał się przez gardło ściśnięte narastającym pożądaniem.

Wsunął palce pod białe płótno i poczuł znajome ciepło między nogami Heleny. Zaczął ją pieścić; oddychała jeszcze szybciej.

Dobrze wiedział, co się zaraz stanie. W ciągu ostatniego roku przynajmniej pół tuzina razy byli już bardzo blisko tego punktu. Lecz teraz Hellie miała siedemnaście lat, a w tym wieku wiele dziewcząt miało już mężów. Cam liczył lat osiemnaście - i miał własny rozum. Gdyby to było

konieczne, natychmiast by się z nią ożenił. I prawie miał nadzieję, że taka konieczność nastąpi, bo to uprościłoby wiele rzeczy.

- Zdejmij to, Hellie - powtórzył, a ona zsunęła koszulę, odsłaniając swe kształtne biodra i piersi, które w świetle księżyca wyglądały jak małe, piękne brzoskwinie.

Chociaż już nieraz ich dotykał, teraz wrażenie było zupełnie inne. Sutki Heleny stwardniały, odcinając się ciemnym konturem na tle jasnej skóry, brzuch miała biały i gładki, swawolne nogi, z widocznymi liniami mięśni.

Przesuwał wzrok po jej całym ciele, nie zaprzestając pieszczot. Jego serce przepełniało dziwnie spokojne uczucie radości, która była silniejsza nawet od nieokiełznanego pożądania. Cieszył się. Oto nadszedł czas, a Cam miał już dosyć powściągliwości. Kochał ją, prawdziwie i głęboko.

I nagle rozległo się energiczne stukanie do drzwi.

Nie mieli nawet chwili, żeby się schować, ani żeby ukryć to, co robili. Marie Middleton weszła do pokoju w obłokach kwaśnego wina i zwietrzałych perfum, dzierżąc w lewej dłoni zawiązane wstążką pudełko. Była pijana.

Ale nie kompletnie pijana. Jedno szybkie spojrzenie i matka Heleny upuściła prezent, rzuciła się przez pokój i jednym silnym uderzeniem dłoni trafiła Cama w twarz.

Stukanie nie umilkło, nawet w chwili gdy Cam przewrócił się na bok blisko skraju łóżka, starając się zasłonić ich nagość. Coraz głośniejsze stukanie, gdzieś dalej, a jednak bardziej natarczywie. Coś wdierało się w jego świadomość. Co, do licha... ? Dlaczego ktoś wali w drzwi? Przecież już za późno, za późno.

Gdy zanurzał się coraz głębiej w uczucie nieuniknionej katastrofy, obraz Marie Middleton i wywołująca cierpienie fala wspomnień powoli bladły w świetle dnia.

Znowu stukanie.

- Milordzie?

Cam zaklął w poduszkę.

- Milordzie? - powiedział cicho Crane. - Proszę wstawać! Znowu pan zaspał.

* * *

Jeszcze przed południem Helena przemyślała z właściwej perspektywy swoje spotkanie z Bentleyem, a także wizytę wielbnego Lowe'a. Stwierdziła, że nie musi się obawiać żadnego z nich, a może mogła nawet zyskać ich przyjaźń.

Po śniadaniu proboszcz przysłał liścik z potwierdzeniem zamiaru złożenia kolejnej wizyty nazajutrz. Do listu dołączona była książka o historii słynnych kościołów w Cotswolds, wybudowanych z dochodów uzyskanych z handlu wełną.

Tego popołudnia Helena prawie wcale nie widziała Cama. Pomimo zdecydowanego działania wobec Bentleya jej odwaga jakby osłabła. Kontakty z Camem to zupełnie inna bajka. Ogarnięta uczuciem niepokoju Helena przekazała wiadomość, że niestety dostała migreny i nie będzie mogła spożyć kolacji w towarzystwie obu braci.

W zaistniałej sytuacji takie posunięcie wydawało się Helenie najbardziej właściwe. Zresztą od dłuższego czasu naprawdę bolała ją głowa. Nawet teraz czuła dolegliwe pulsowanie, lecz wiedziała, że tego popołudnia nie uda się jej uniknąć spotkania z niezłomnym lordem

Treyhernem. Wbrew rozsądkowi, wysłała Marthę, aby ta pomogła Ariane nałożyć najcieplejsze ubranie do jazdy powozem. Potem zabrała dziewczynkę do holu, gdzie spotkały Cama punktualnie o wpół do pierwszej. Czuła się tak, jakby szła na własną egzekucję.

Tak jak oczekiwała, Cam potraktował ich wyprawę całkowicie poważnie. U podnóża schodów czekał już powóz zaprzężony w dwa czarne, zadziorne wałachy. Podczas półgodzinnej jazdy Helena i Cam przez wzgląd na Ariane prowadzili zdawkową, lecz przyjazną rozmowę. W końcu przybyli w bardzo malownicze miejsce na obrzeżach majątku Chalcote.

W dzieciństwie Helena i Cam często wymykali się tutaj, na zakręt rzeki Coln, żeby trwonić popołudniowe godziny. Na przestrzeni kilkunastu jardów płytka rzeka obniżala swe dno, spowalniając nurt, a gdy Helena wpatrywała się w lśniąca wodę, nie mogła powstrzymać kielkującego w myślach pytania, czy Cam jeszcze pamięta. Tęskna część jej duszy pragnęła, aby tak było, aby te wspomnienia były dlań równie słodkie jak dla niej.

Kiedy wysiedli z powozu, Cam wszedł na pagórek i rozłożył gruby koc pod sękatą jabłonią. Ariane natychmiast pobiegła tanecznym krokiem, aby pobawić się na brzegu rzeki, a niezręczna rozmowa pomiędzy dorosłymi urwała się nagle, gdy usiedli na kocu.

Cam wyciągnął się wzdłuż jego skraju i podparł na łokciach, aby popatrzeć na rzekę.

- No więc, Heleno - odezwał się, krzyżując nogi w kostkach. Nosił dziś buty z długą cholewą. - Jesteśmy na miejscu.

- W rzeczy samej - powiedziała beznamiętnym głosem. - Jesteśmy na miejscu.

Na trawie, kilka jardów dalej, uszczęśliwiona Ariane wrzucała liście do wirującej w tym miejscu wody.

- No właśnie, jesteśmy tutaj - powtórzył Cam, trochę mniej entuzjastycznie, gdy Helena starannie wygładziła spódnicę swej sukni.

- Już to mówiłeś - powiedziała cicho. Nieoczekiwanie usiadł, zdjął kapelusz i rzucił go na róg koca.

- No dobrze, Heleno! Nie zamierzasz mi tego ułatwić, prawda? - powiedział ochryple, odsuwając włosy z twarzy.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, zacisnąwszy usta w cienką linię. Po chwili, nieoczekiwanie, jego oblicze złagodniało. Szybko odwrócił głowę i przeniósł wzrok na rzekę.

- I rzeczywiście, nie powinnaś mi ułatwiać - mruknął, bardziej do siebie niż do niej. - Nie powinnaś. Ja... przepraszam cię, Heleno. Przedwczoraj potraktowałem cię okropnie i Bóg mi świadkiem, że tego żałuję. Daję ci słowo dżentelmena, że to się już nie powtórzy.

Nie spuszczała z niego oczu. Popołudniowe słońce uwydatniało ostre rysy jego twarzy, czyniąc ją jeszcze przystojniejszą. Nagły powiew poruszył włosami Cama, niesforny kosmyk znów opadł mu na czoło. W jasnym świetle dnia jego czarne włosy lśniły, ukazując gdzieś tam pasmo najczystszej srebra - oznakę minionego czasu, a być może i zgryzoty. Oparła się impulsowi, by dotknąć ich dłonią.

Zamiast tego, odprężyła się. Pośród nagich gałęzi nad jej głową smygła para strzyżyków, swiergocząc zawzięcie i pusząc swe piórka w podmuchach lekkiego wiatru. Z oddali dobiegał delikatny pomruk rzeki.

Wokół nich ostre jesienne powietrze przesycone było aromatem opadłych jabłek, które fermentowały w trawie. Po drugiej stronie rzeki trzy krowy porykiwały na siebie, idąc ścieżką wzdłuż zakola ku widocznej w oddali kamiennej obórcie.

Sceneria była idylliczna, stanowiła kwintesencję angielskiej wsi. Helena pamiętała całe mnóstwo takich widoków ze swych młodzieńczych eskapad w towarzystwie Cama. Trochę przestraszyła się nagłego nawału emocji, jakie wywołał ten obraz - obraz, który kiedyś chciała zapomnieć. Tak, kiedyś często zmuszała się, by postrzegać wiejskie widoki Gloucestershire poprzez pryzmat nużącego życia na kontynencie. Mówiła sobie, że sielski spokój był czymś potwornie nudnym. Gardziła tym, czego mieć nie mogła.

Lecz jaki miała wybór? Zaledwie siedemnastoletnia, była osamotniona w swych wspomnieniach o tym miejscu - i o miłości - które jej odebrano. Człowiek robi to, co musi. Była młoda, lecz jej cierpienie okazało się jak najbardziej prawdziwe.

A jednak uroda tej scenerii - i uroda siedzącego obok mężczyzny - wciąż działały na instynkty Heleny. Jakże często jej dusza tęskniła za spokojem tego miejsca, za cichym, nienarzucającym się towarzystwem Cama. Z pewną dozą niechęci oderwała od niego wzrok, przenosząc go na przylegającą do rzeki łączkę. Przypomniła sobie, jak obraził ją swoją nieprzyzwoitą propozycją.

Krowy zniknęły już za zakrętem. W popołudniowym słońcu Ariane wciąż bawiła się uszczęśliwiona, wrzucając do leniwie płynącej rzeki różne „statki”. Jakby ktoś popatrzył na nich z zewnątrz, cała trójka mogła wyglądać na rodzinę, która korzysta z ostatnich chwil pięknej pogody

przed nastaniem zimy. Na tę myśl, smutną od kilku ostatnich dni Helenę ogarnęło jeszcze większe przygnębienie.

Odsunęła się od Cama.

- Twoje przeprosiny zostały przyjęte - powiedziała, z trudem wydobywając z siebie te słowa. - Ja również cię przepraszam. I nie mówmy o tym więcej.

Siedzący obok niej na kocu Cam podciągnął kolano do piersi i oparł na nim ramię, pogrążając się w zadumie. Teraz, gdy rysy jego twarzy złagodniały, ku zaskoczeniu Heleny znowu wyglądał bardzo chłopięco. No, może nie na siedemnaście lat, lecz na młodego mężczyznę, którego kiedyś kochała.

Odwrócił się i spoglądał na nią przez długą chwilę, która wydawała się wiecznością.

- Razem stanowimy niebezpieczną parę, Heleno - odezwał się, jakby czytał w jej myślach. - Tak jak dawniej, ale wtedy byliśmy zbyt głupi, żeby dostrzec to niebezpieczeństwo.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Wzruszył ramionami, jednocześnie rozprostowując się, jakby nagle surdut okazał się zbyt obcisły.

- Myślę, że wiesz - powiedział cicho z ponurą miną. - Mówię o nas, Heleno. Nie możemy ignorować faktu, że nawzajem mocno na siebie działamy. Kiedy na ciebie patrzę, staję się szalony i nieodpowiedzialny. A ty się roznamiętniasz.

- Na litość boską, Cam! - Ze złości przymknęła oczy.

Zignorował ją jednak.

- Czy ty nigdy nie myślisz o naszych rodzicach? Jacy byli lekkomyślni i nieprzewidywalni? - Gwałtownie wyrzucił z płuc powietrze.
- Jesteśmy ich dziećmi. Być może dopisało nam szczęście, że uniknęliśmy ich losu.

Ta wyważona przestroga i ukryte potępienie dotknęły Helenę.

- Co za brednie - ucięła ostro. Być może jakaś mądrzejsza kobieta przestraszyłaby się mrocznej emocji, widniejącej na jego twarzy, lecz Helena, ogarnięta tą samą lekkomyślnością, której właśnie się wyrzekła, nie mogła powstrzymać ciętego języka. - Naprawdę w to wierzysz? Naprawdę tak cierpisz na myśl o tym, czym możesz zostać? - *Mon Dieu, Camden!* Każdy widzi, jaki jesteś nieszczęśliwy.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Jego oczy błyszczały nieustępliwie.

- Uważaj, Heleno - powiedział tonem niewróżącym nic dobrego. - Owszem, chciałbym, aby między nami zapanował pokój. Ale twoim jedynym obowiązkiem jest Ariane. Ja nie potrzebuję twojej pomocy.

- Całe szczęście. - Wbiła w niego wzrok. - Bo twoje obsesje przewyższa jedynie twoja arogancja. - Helena siedziała sztywno, opierając ciężar ciała na ramionach. Jej dłonie spoczywały płasko na kocu.

Powoli płomień w oczach Cama nieco przygasł, ustępując miejsca rezygnacji. A Helena doznała silnego rozczarowania. Boże! Czyżby pragnęła wdawać się z nim w kłótnie? Może i tak. Kiedy byli młodzi, szukała każdej sposobności, by rzucić mu wyzwanie i prowokować go ponad wszelką miarę. Spłynęła na nią fala wstydu.

Jednak Cam spuścił oczy.

- Mówisz o moich obsesjach - zaczął cicho, wyciągając palec, by pogłaskać ją po nadgarstku - ale być może to ty jesteś moją obsesją, Heleno. W końcu jestem synem mojego ojca.

Ta prosta, nieoczekiwana pieszczota wywołała u Heleny dreszcz przyjemności. Rozzłoszczona swoją reakcją, szybko cofnęła rękę.

- Ta rozmowa do niczego nie prowadzi - stwierdziła sucho. - Nie jesteś swoim ojcem w większym stopniu niż ja jestem swoją matką.

- Chciałbym, żeby to była prawda - odpowiedział głosem gładkim jak jedwab. - Ale przy tobie szybko sprawię, że mój ojciec będzie się wydawał święty.

Zmusiła się, żeby odwrócić od niego spojrzenie. Gdyby był swoim ojcem - albo w ogóle jakimkolwiek innym mężczyzną - potraktowałaby taki komentarz jako błyskotliwą próbę flirtu. Lecz w słowach Cama brzmiało to jak wyznanie. Zwalczyła chęć, by wyciągnąć do niego rękę, poczuć przyspieszone bicie serca pod jego dotykiem, powiedzieć mu, że on ma rację, że rzeczywiście ona jest lekkomyślna, a on szalony. I że żadna z tych okoliczności nie ma znaczenia, gdyż go pragnęła. Od zawsze.

Lecz nie mogła go dotykać. Nie śmiała dać mu odczuć, że się nie pomylił.

- Żadne z nas nie jest podobne do naszych rodziców - powiedziała z łagodną perswazją, jakby chciała przekonać i jego, i siebie. - Jeśli sama w to nie wierzę, jeśli nie mam pewności, że jestem sobą, to jestem nikim.

- To słowa godne podziwu, Heleno, ale czy nie widzisz, że masz w sobie to...

- Co takiego... ?

Zbliżył się odrobinę, a ona na moment przestała oddychać.

- Och, Heleno! Potrafisz doprowadzić do szaleństwa każdego mężczyznę. - Potarł dłonią policzek. - Na Boga, sam nie wiem, co mnie wtedy opętało. Chyba zapomniałem o tym, czego potrzebuje moja córka, a myślałem tylko o sobie.

- Cam - powiedziała zniecierpliwiona - czy to nienaturalne, że mężczyzna odczuwa pożądanie? Pożądanie, które może wystawić na próbę nawet najbardziej...

Przerwał jej, jakby w ogóle puszczał te słowa mimo uszu.

- Ariane potrzebuje cię jako guwernantki, a ja... zaśmiał się gorzko - nie mam absolutnie żadnego interesu w tym, żebyś została moją kochanką.

Te słowa ją zabolaly. Lecz przeprosiny Cama, tak samo jak jego zakłopotanie wydawały się zupełnie szczerze. Mimo to, nie wiadomo dlaczego, poczuła się dotknięta. Co za głupota. Jakich słów od niego oczekiwała? Szczelniej okryła się pelisą.

- Już mnie przeprosiłeś, więc nie ciągnijmy tego tematu.

Musiał zauważyć jej formalny ton.

- Tak, oczywiście. - Popatrzył na nią niepewnie.

- Ale jest jeszcze jedna mała rzecz, o którą muszę spytać. Coś bardzo ważnego.

- Proszę bardzo - odparła zimno, mierzając go wzrokiem.

Zmieszany, przełknął ślinę.

- Chodzi o to, Heleno... Proszę, żebyś trzymała się na dystans od Bentleya. Ostrzegam cię. Tak będzie najlepiej.

- Ostrzegasz mnie? - powtórzyła jak echo. Z wysiłkiem przeniosła wzrok na brzeg rzeki, nie spuszczając z oczu bawiącej się Ariane. Poczuła

w piersi wzbierającą złość, a zaraz potem zimną falę paniki. Serce Heleny zaczęło bić coraz szybciej.

Czyżby Bentley coś mu powiedział? A może jakiś służący zobaczył, jak się obejmowali? To było ziszczenie się najgorszego koszmaru guwernantki, zaś w takich okolicznościach czyjaś niewinność miała niewielkie znaczenie. Ostro zaczerpnęła powietrza i wyprostowała ramiona.

- O co dokładnie ci chodzi?

- Mój brat jest młody, Heleno - zaczął Cam - mimo że wygląda na dwadzieścia pięć lat. Jest wyjątkowo głupi. A kobieta taka jak ty stanowi zbyt silną pokusę dla takiego... takiego...

- Takiego kogo, Cam? - Nagle znowu wpadła w gniew. Do diabła, przecież nie zrobiła nic złego!

- Czy uważasz swojego brata za jakieś niewiniątko? Nie wyobrażam sobie, żeby był nowym adeptem czynów niegodziwych lub nierządnych. Jednakowoż zapewniam cię, że oprę się pokusie, żeby go wprowadzić w dorosłe życie.

- Heleno - warknął niecierpliwie, chwytając ją za nadgarstek. - Celowo źle mnie zrozumiałaś.

Znam mojego brata. Po prostu ostrzegam cię jak przyjaciel: trzymaj się wobec niego na dystans. Wstała.

- Zaczynam cię rozumieć, Cam. Ale bez względu na to, co o mnie myślisz, nie mam zamiaru być uwiedzioną przez młodego chłopca. Ani w ogóle przez nikogo.

- Myślę, że tę lekcję dostałem już dwa dni temu. I wcale nie sugerowałem, że masz chrapkę na mojego brata. Lecz Bentley nie wyznaje takich szczytnych zasad.

Zaśmiała się gorzko.

- Chyba umiem sobie poradzić z napalonymi młodzikami - rzuciła ze złością. - Nauczyłam się tego w twardej szkole życia. Nie miałam wyboru.

- Cieszę się, że to słyszę - zachrypiał. Szybko wstał, objął ją delikatnie za ramię i przyciągnął bliżej do siebie. -I mam nadzieję, że mogę z tego wywnioskować coś jeszcze: że nie pozwolisz proboszczowi mdleć u twoich stóp?

- Proboszczowi? - Wyrwała rękę. Jednak Cam nachylił się jeszcze bliżej.

- Dobrze wiem, że Lowe znowu chce cię odwiedzić - powiedział z mroczną miną. - Ten głupiec chyba się zadurzył. A dziś rano przysłał ci prezent. Widziałem, jak lokaj go przynosił.

Gwałtownie nabrała powietrza.

- *Ma foi*, Camden! - Zwinęła dłoń w pięść. - Mój dobór przyjaciół to nie twoja sprawa. Chyba że w jakiś sposób wpływa na wykonywaną przeze mnie pracę. A nie wpływa, prawda?

- Nie - spojrzał na nią spode łba.

-I nie będzie. Na litość boską, przecież jesteś jego dobroczyńcą! On tylko chce, żebym zaprzyjaźniła się z jego siostrą. A poza tym sądzę, że lepiej spożytkujesz swoją energię, jeśli spróbujesz naprawić relacje z bratem. Wyglądał jak gradowa chmura.

- Moje relacje z Bentleyem?

- Cam! - Przyłożyła sobie palce do skroni, gdyż ból głowy stawał się coraz bardziej dotkliwy. - Czy ty nie widzisz, że chłopak potrzebuje twojej pomocy? Jak ci się wydaje, dlaczego on tak źle się zachowuje?

- Być może dlatego, że jest zły. Bóg wie, że zarobił sobie na taką opinię. A teraz usiądź, bo Ariane na nas patrzy. - Pociągnął ją lekko za ramię, a ona posłusznie usiadła na kocu.

Oczywiście miał rację. Widok ich kłócących się nie wyszedłby Ariane na dobre. Lecz gdyby miała być szczerą, musiałaby przyznać, że ścierając się z Camem, czuła się znacznie bardziej pełna życia.

- Cam, proszę cię - powiedziała w końcu. - To, jaki był wasz ojciec, nie ma nic wspólnego z tym, kim obaj teraz jesteście. Mimo to myślisz o nim wszystko, co najgorsze. A czy musisz zakładać wszystko, co najgorsze, również wobec mnie? - Wyciągnęła rękę, by go delikatnie dotknąć, lecz cofnęła ją zaraz, czując pod palcami jego napięte, twarde mięśnie.

Rozdział 10

W którym lord Treyhern zapomina o rozsądku

Kiedy zabrała swe ciepłe palce z jego przedramienia, przestał słyszeć jej słowa, mimo że wciąż poruszała ustami. Chciał jej wyjaśnić, że źle go zrozumiała; że doskonale wiedział, czego od niej chce rozpustny braciszek, gdyż Cam pragnął dokładnie tego samego.

Z jednej strony chciał powiedzieć, że to o nią głównie się boi. Dobre intencje Heleny mogły nie ochronić jej przed sprytnymi uwodzicielskimi zabiegami Bentleya. A jednak, ku jego ogromnej irytacji, Helena wciąż pieklila się i bez końca mówiła o braterskiej miłości, cnocie i zrozumieniu.

Nie wiedzieć dlaczego, chciał ją przytrzymać i całować, aż skutecznie zamknie jej usta. Chciał objąć jej długą, jasną szyję, unieść kciukami jej podbródek i uciszyć ją w zupełnie inny sposób. Swoimi silnymi ustami, swoim... dobry Boże, co się z nim dzieje?

Przywiózł tu Helenę, żeby ją przeprosić. A jednak w ciągu kwadransa znowu zdołali się pokłócić, nie raz, lecz dwa lub trzy. A teraz, obserwując jej ponętne usta i błyszczące oczy, czując swój coraz płytszy oddech, miał już tylko jedną intencję - nie w głowie jednak, ale między nogami.

Straszna prawda była taka: nie mógł znieść myśli, że jego brat, czy jakikolwiek inny mężczyzna, mógłby dotykać Helenę. A teraz, pomimo złości i niepokoju, aż trząsał się z pożądania, pragnienia, by obalić ją prosto w trawę, zadrzeć jej spódnice i parzyć się z nią w biały dzień jak zwierzę.

Zawstydzony spuścił głowę i odwrócił wzrok. Czyżby przeszłość niczego go nie nauczyła? Czy spotkanie z Heleną wieczorem dwa dni temu nie nauczyło go rozumu?

Odpowiedź brzmiała: nie. Niczego się nie nauczył.

- Czy kiedykolwiek przychodzi ci do głowy, że może jesteś zbyt sztywny?

Sztywny? To słowo w końcu przebiło się przez strumień żądy i nienawiści do samego siebie. Uniósł głowę, przez chwilę nie mogąc do końca pojąć, co miała na myśli. Lecz przecież ona wciąż broniła jego brata. Oby się tylko nie dowiedziała, jak bardzo teraz jest sztywny.

Zmieszany, poprawił sobie surdut, zaś Helena kontynuowała przemowę stanowczym, chłodnym głosem nauczycielki.

- Nie można zawsze mieć kontroli nad każdą zaistniałą sytuacją, Cam. Często trzeba robić...

- Heleno! - przerwał jej szorstko. Uniósłszy do góry smukły palec, zamilkła. -Tak?

- Czy mogłabyś... czy byłabyś tak dobra i... uciszyła się na chwilę?

Zmarszczyła brwi, a Cam próbował przypomnieć sobie poprzedni wątek ich rozmowy, a zarazem zignorować pulsujące podniecenie między nogami.

- Ależ, Cam - zaprotestowała. - Ja chcę tylko zwrócić twoją uwagę na prosty fakt, że Bentley nigdy nie zaznał matczynej miłości. I raczej wątpię, by wasz ojciec okazał się w tej materii cokolwiek lepszy. Cam oburzył się.

- Co ty mówisz? Ja zawsze zajmowałem się Bentleyem i Catherine. Mój brat wie, że go kocham, że gdyby trzeba było, oddałbym za niego życie.

Popatrzyła na niego z irytacją.

- Bentley wie tylko tyle, że chcesz tego, co według ciebie jest dla niego najlepsze.

- Z tego wynika, że spędziłaś z Bentleyem znacznie więcej czasu, niż myślałem - stwierdził chłodno. Jego rozdrażnienie szybko przeradzało się w złość. - Najwyraźniej wyrobiłaś sobie bardzo dogłębną opinię na temat jego charakteru.

Uniosła podbródek, lecz milczała. Zdenerwowany wydał policzki, by po chwili wolno wypuścić powietrze,

- No dobrze, Heleno. Co według ciebie mam zrobić? Sugerujesz, że powinienem pozwolić Bentleyowi buszować po okolicy, kochać się z kim popadnie? Nie ingerować w jego życie?

- Nie, ja tylko myślę...

- I pozwolić mu przegrać jego część majątku - przerwał jej. - Heleno, na litość boską. On jeszcze nie ma osiemnastu lat.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Sugeruję, że powinienes mu okazać, jak go kochasz. Czy ktoś w ogóle go słucha? Czy nie możesz pozwolić mu mówić, zamiast siec go swoim ostrym jak brzytwa językiem? Chyba sam przyznasz, że nie jesteś w stanie go kontrolować, tak samo jak wszystkiego wokół ciebie.

- Tak, mówiłaś już o tym - odparł lakonicznie.

- Kontrola i miłość to nie to samo, milordzie.

- Widzę, że zamierzasz dać mi wykład. - Spojrzał na nią spode łba. -
Lecz bez względu na to, jak bardzo jestem bezrozumny w twoich oczach,
to jednak nie jestem twoim studentem.

Nastało ciężkie milczenie, gdy nagle Cam nachylił się i przykrył
dłonią jej rękę, przyciskając ją do koca.

- Do diabła, Heleno, nie kłóćmy się! Musimy współpracować ze
względu na Ariane.

Stłumiła dreszcz, gdy ciepło Cama rozeszło się po jej dłoni, potem
wzdłuż ramienia, zmieniając się w zdradzieckie gorąco. Niechętnie zabrała
rękę.

- Tak, masz rację.

Znowu zamilkli. Cam wciąż na nią spoglądał, ale po chwili odezwał
się znacznie łagodniejszym głosem.

- Przywiozłem cię tutaj, aby prosić o wybaczenie. I próbowałem. A
teraz chciałbym porozmawiać o Ariane. Jak się układa między wami? -
Tym razem powiedział to tonem pozbawionym niechęci. Znikła ona także
z jego oblicza.

- Myślę, że wszystko idzie dobrze - odpowiedziała, wdzięczna za
próbę pojednania.

Odegnała swe frustracje w związku z Bentleyem i przez następne
piętnaście minut wyjaśniała swoją wstępną ocenę Ariane. Cam podjął
kilka istotnych kwestii i nie wahał się pytać, jeśli czegoś nie rozumiał.
Wyraźnie pragnął zapewnić dziecku każdą możliwą szansę. W końcu
Helena przedstawiła mu swój plan, polegający na wykorzystaniu
rysunków i muzyki jako środków emocjonalnej ekspresji. Miała nadzieję,

że niedługo będzie mogła zacząć naukę podstaw liczenia i rozpoznawania liter.

W końcu Cam wydawał się usatysfakcjonowany.

- Muszę przyznać - stwierdził powoli - że Ariane bardzo szybko cię polubiła.

Uśmiechnęła się słabo.

- Była trochę zagubiona, gdy wczoraj wyjechałeś, ale to naprawdę rezolutne, cudowne dziecko.

- W takim razie jesteś pierwszą guwernantką, która to powiedziała - odparł ponuro.

- Nie trać nadziei, milordzie! Być może Ariane nie można uczyć konwencjonalnymi metodami. Przynajmniej na razie. Ale dostrzegam u niej coraz więcej zdolności. Zanim stąd wyjadę, na pewno przyswoi pewne umiejętności komunikowania się.

- Zanim wyjedziesz? - powtórzył, ściągając brwi. - Ale przecież Ariane będzie potrzebowała guwernantki do końca swojej edukacji.

Pokręciła głową.

- Myślałam, że rozumiesz... - zaczęła słabo. - To prawda, że Ariane będzie potrzebowała nauczycielki przez pewien czas. Ale nie takiej, jak ja. Jeśli zrobi postępy, nie będziesz musiał płacić mojej niebotycznie wysokiej pensji. Wtedy zwykła guwernantka w zupełności wystarczy.

- Jak długo? - spytał dziwnie stłumionym głosem. - Jak długo będę... ona będzie ciebie potrzebowała?

Zakłopotana, przypatrywała mu się dłuższą chwilę.

- Trudno przewidzieć. Może rok? Albo dwa? Nigdy nie byłam dłużej na jednej posiadzie.

Pokręcił głową, jakby chciał jej zaprzeczyć.

- Nie mogę udawać, że cię rozumiem, Heleno... te wszystkie zmiany.

Czy nie chciałabyś osiąść gdzieś na stałe? Mieć swoje własne życie?

- Guwernantka nie osiada. I nie ma swojego życia. Nie w takim sensie, jaki masz na myśli. – Nie zdołała stłumić cichego westchnienia. -
Trudno mi to wyjaśnić. Porozmawiajmy o czymś innym.

O szczęśliwszych czasach.

- Szczęśliwsze czasy - powtórzył, patrząc jej prosto w oczy. - Czy wiesz, że moje najszczęśliwsze lata to te, które spędziłem z tobą? Lecz mimo to nie jest zaszczytną rzeczą wyznanie, że czerpało się tak wielką przyjemność z gnuśności i figli.

Zaśmiała się nerwowo. To wyznanie Cama wstrząsnęło nią bardziej, niż chciała dać po sobie poznać.

- Ale wtedy byliśmy tacy młodzi. A życie w każdym wieku należy smakować. Odrobina gnuśności i figli może być czymś dobrym.

- To luksusy, na które nie mogę sobie pozwolić - powiedział.

- Nie jesteś swoim ojcem - powtórzyła jeszcze raz, łagodniejszym tonem. - Mam wrażenie, że już to przerobiliśmy.

- Masz rację, Heleno, gdyż mój ojciec był utracjuszem, który nie dbał o nikogo. - Uśmiechnął się do niej posepnie. - Ale przecież ty zawsze o tym wiedziałaś, prawda? Nawet we wczesnej młodości, w tych szczęśliwych czasach, które wspominasz z taką nonszalancją, byłaś chodzącą mądrością. Wtedy wydawało mi się to bardzo niestosowne, że tak młoda osoba ma taką wiedzę. Lecz mimo to zazdrościłem ci - powiedział cicho.

Powoli resztki napięcia między nimi stopniały, a miejsce pod drzewem wypełniło się atmosferą ciepłej intymności, uczuciem wykraczającym poza zmysłową świadomość. Znowu spojrzeli sobie w oczy, a wtedy śpiew ptaków i szmer rzeki zupełnie ucichły. Czuli się tak, jakby ich eteryczna, nieprzemijająca przyjaźń, która kiedyś między nimi istniała, teraz wróciła, przynajmniej na tę jedną ponadczasową chwilę.

Helena poczuła, jakby znowu była młodą, lekkomyślną dziewczyną.

- Czy ja cię demoralizowałam, Cam? - spytała zaczepnie, czując rumieniec na twarzy. - Muszę wyznać, że często miałam taki zamiar. Byłam bardzo zła, prawda? Za to ty byłeś taki idealny, nieustępliwy. I niesamowicie kuszący. Niemalże pozbawiłam cię niewinności, a ty mnie. I w jednym masz rację: nie zdawaliśmy sobie sprawy z ryzyka.

Cam poczerwieniał, by po chwili wybuchnąć śmiechem.

- Boże - jęknął gardłowo. Oparłszy głowę na kolanie, sięgnął, by położyć rękę na jej dłoni. - Czy ty wiesz, że ojciec nigdy nie dał mi zapomnieć o tym incydencie? Przez jakiś czas ten fakt wręcz napawał go nadzieją. Do tamtego momentu byłem jedynie rozczarowaniem. W rzeczywistości nigdy nie umiałem zadowolić żadnego z moich rodziców.

- Jak to?

- Na pewno słyszałaś plotki w Chalcote - odpowiedział, unosząc kącik ust w półuśmiechu. - Chyba byłem zbyt podobny do Rutledge'ów, żeby się spodobać matce, i miałem zbyt wiele powściągliwości Camdenów, żeby zyskać akceptację ojca.

- Lecz przecież matka bardzo cię kochała. Wszyscy tak mówili.

- Kochała? - Niemal niedostrzegalnie pokręcił głową, jakby zaskoczony własnym pytaniem. - Nie jestem tego pewien. Myślę, że po prostu mnie potrzebowała.

- Naturalnie - powiedziała łagodnie. - Byłeś jej dzieckiem.

- Byłem jej nadzieją - odparł bezbarwnie. - Ona obsesyjnie bała się o przyszłość swoich dzieci i swojego domu. Ty nie możesz wiedzieć, jaka może być taka kobieta.

Roześmiała się, tym razem bez cienia goryczy.

- Jakże się mylisz, Cam. Moja matka była taka sama, mniej więcej.

- Twoja matka? - Spojrzał na nią, uśmiechając się ciepło, lecz sceptycznie. - Marie Middleton miała dużo tupetu.

- Takie chciała sprawiać wrażenie! Lecz naprawdę mama ciągle usilnie poszukiwała kolejnego męża, kolejnego kochanka. Nie dostrzegałeś tego? Nie widziałeś, że śmigała od jednego mężczyzny do drugiego z powodu braku poczucia bezpieczeństwa?

Zastanawiając się nad tymi słowami, Cam zerwał długie źdźbło trawy i bezwiednie włożył je w usta.

- Tak myślisz?

- Och, Cam! - znów się zaśmiała. - Siwy włos, najmniejsza zmarszczka... każda drobnostka mogła zepsuć jej humor, ponieważ ona nie miała poczucia bezpieczeństwa. Tak jak twoja matka. Jako dziewczynka poprzysięgam sobie, że nie będę do niej podobna.

- Więc postanowiłaś zdobyć zawód.

- Właśnie - odparła z mocą. - A gdy moja uroda przeminie, ja wcale nie stanę się gorsza. Śmiem twierdzić, że wyjdzie mi to na korzyść.

Zaśmiał się cicho i podparł na łokciu, gryząc źdźbło.

- Taka uroda jak twoja nigdy nie przeminie, Heleno - stwierdził. W jego głosie brzmiała szczerość. - Ani twoja determinacja. Wiesz, często wydawało mi się, że ty nikogo nie potrzebujesz. Jesteś silna. Szkoda, że moja matka taka nie była.

Chciała mu wyjaśnić, że wcale nie jest silna, lecz słaba. I coraz słabsza z każdym dniem spędzonym blisko niego. Ale nie mogła tego wyznać.

- Twoja matka kochała cię, Cam. Na pewno tak było.

Powoli kiwnął głową.

- Może. Lecz nawet jako dziecko miałem już przeznaczoną mi rolę wybawcy rodziny. Nie było dnia, żeby matka nie uświadamiała mi, jakie są opłakane skutki ojcowskiego stylu życia. Mówiono mi, że to powinna być dla mnie nauuczka. Cały czas balansowaliśmy na skraju bankructwa, tak twierdziła. Byłem jej jedyną nadzieją. Bo kiedyś miałem zostać obarczony odpowiedzialnością nie tylko za jej dobrobyt, ale również za Bentleya i Catherine.

- To było dość okrutne wobec małego chłopca.

- Nie sądzę, żeby ona celowo starała się być okrutna - odparł zamyślony. - Stanowiłem centralny punkt w jej życiu. I dobrze przyswoiłem dawane mi lekcje. Już ona tego dopilnowała.

- Tak - powiedziała cicho, unikając oskarżycielskiego tonu. - Lecz nie mam całkowitej pewności, że wyszło ci to na dobre.

- Być może tak trzeba było zrobić, Heleno - stwierdził po prostu. - Ktoś musiał się zająć Bentleyem i Catherine. Sama wiesz, jaki był mój ojciec.

Zmieszana, poruszyła nogami, starannie ukrywając je pod suknią. Nie chciała zburzyć powstałej między nią i Camem harmonii. Lecz nigdy nie byłaby w stanie zgodzić się, że to, co pani Rutledge zrobiła swojemu najstarszemu synowi, było dobre, a nawet konieczne. Zatem najrozsądniej było zmienić temat.

- Właśnie coś sobie przypominałam - powiedziała gładko. - Czy dobrze zrozumiałam Bentleya, że Catherine wyszła za jednego z synów Wodewaya? Byłam zaskoczona. Czy to prawda?

- Prawda - odparł, patrząc na nią z ukosa z lekko szyderczym uśmiechem. Podniosłość poprzedniej chwili natychmiast znikła. - Wzięła ślub w dniu swoich osiemnastych urodzin. Z drugim synem Wodewaya. Chyba dość dobrze go pamiętasz, prawda?

Roześmiała się, czując na twarzy ciepły rumieniec.

- O, nie! Chyba nie wyszła za Williama? Tego bezczelnego nicponia ze strzechą rudych włosów?

- Właśnie za niego. I zaprawdę wielki z niego nicpoń, o ile sobie przypominasz.

- Pamiętam go dość dobrze - przyznała. - Przypominam sobie także, że kiedyś na trawniku w miasteczku rozkwaślił mi nos.

- Broniąc twego honoru, *madame*. Ogarnęły go ciepłe wspomnienia, gdy patrzył, jak twarz Heleny zmienia barwę na głęboki odcień różu.

- Broniłś mego honoru? - spytała z fałszywą niewinnością. Dobrze wiedział, że Helena udaje. - Chyba nie pamiętam. A co ja zrobiłam?

- Och, Heleno! - znów się uśmiechnął. - Łatwo godzisz się z poczuciem winy, co? Tak, kłopoty wynikły, jak zwykle, z twojego powodu.

- Jak to? - Naiwnie zamrugała oczami.

- Nieznośna chłopczyca! Wdałaś się w ostrą kłótnię z Freddie Wodewayem, a potem wepchnęłaś go w końskie odchody na drodze do stajni.

Roześmiała się.

- Nie wierzę ci.

- A powinnaś! Bo to zrobiłaś. A potem, żeby uniknąć konsekwencji swojego postępu - zmrużył oczy, jakby się zastanawiał - co, o ile mnie pamięć nie myli, wiązało się z zastosowaniem przejrzałego owocu i celnego oka, musiałaś wdrapać się na drzewo na placu, tym samym eksponując swoje... swoją bieliznę zebranej poniżej gawiedzi.

Zrobiła przerażoną minę.

- A jaką rolę odegrał w tym wszystkim William?

- Ha - Cam uśmiechnął się bezwstydnie. - Jeśli o to chodzi, stary Will był na tyle głupi, że zajrzał ci pod spódnicę, żeby później barwnie opisać, i to ze szczegółami, co zobaczył, to znaczy falbanki, koronki i takie tam, a uczynił to bardzo głośno. Oczywiście - dodał Cam, uśmiechając się jeszcze szerzej - byłem zmuszony trzasnąć go w twarz za takie niegodne dżentelmena zachowanie.

Znowu się roześmiała, pełnym, melodyjnym głosem, aż zdumiony Cam pokręcił głową.

- Wiesz, Heleno, często myślę, że to prawdziwy cud, że przeżyłem naszą przyjaźń, nic sobie przy tym nie łamiąc, poza moim głupim młodzieńczym sercem. - Cam celowo wypowiedział te słowa swobodnym tonem, przybierając równie swobodny wyraz twarzy.

Powoli przestała się uśmiechać, przyglądając się Camowi z nieodgadnioną miną.

- Zawsze byłeś dżentelmenem, milordzie - powiedziała cicho. - A ja byłam trzpiotką, niewartą takiego wspaniałego człowieka.

Nagle wstała jednym płynnym, pełnym wdzięku ruchem. Cam wyczuł, że tym razem nic jej nie powstrzyma. Chciała odejść. Jego pół godziny upojnego rozkoszowania się towarzystwem Heleny dobiegło końca.

- Przepraszam cię - powiedziała, okrywając się swoją czarną pelisą. - Powinnam zajrzeć do Ariane.

Poczuł gwałtowne ukłucie w piersi, obserwując, jak ona odwraca się i schodzi po łagodnej pochyłości do jego córki. Poruszała się z pełną harmonii elegancją; spódnica ciemnowiśniowej podróżnej sukni kołysała się miarowo z boku na bok, dotykając krótkiej trawy. Helena zmierzała ścieżką ku rzece. To przypominało oglądanie czerwonego zachodu słońca zimą - ze świadomością, że z nastaniem ciemności nadejdzie również mróz.

Nad głową Cama nagie gałęzie drzew postukiwały o siebie w powiewach bryzy. Z głębokim westchnieniem podniósł rzucony na koc kapelusz i nałożył go na głowę. Czyżby pozwolił, aby sprawy - a także jego uczucia - przekroczyły granicę tego, co roztropne?

Był jej winien przeprosiny za sprawioną przykrość, ale nie za miłosny akt, gdyż oboje go pragnęli. Lecz starając się poprawić, czy nie pozwolił sobie na zbyt dużą poufałość? Być może nadszedł już czas, by pogodzić się z faktem, że ona zawsze będzie dla niego kimś więcej; że on

nigdy nie zdoła uodpornić się na to, iż sam dźwięk jej imienia wywołuje u niego gwałtowny przypływ pożądania, czułość i chaos.

A teraz Helena mówiła o wyjeździe. Ta rzucona lekkim tonem uwaga mocno nim wstrząsnęła. Ale dlaczego tak się stało? Jakiego dalszego ciągu Cam oczekiwał? Czy myślał, że Helena zostanie tu na zawsze? Że po zakończeniu nauki Ariane pozostanie z nimi i potem będzie uczyła dzieci, które zapewne urodzą się z małżeństwa Cama z Joan? Na tę myśl poczuł zimny dreszcz.

Nie, to niemożliwe. A myśl o wyjeździe Heleny też była niewyobrażalna. Podobnie jak myśl o ożenku z Joan. Cały ten bałagan wydawał się wręcz niedorzeczny. A jednak był przeznaczony tej dziewczynie. Istniało porozumienie. Ojciec Joan nie żył. Teraz obowiązek opieki nad Joan spadał na Cama. Nie było odwrotu.

A może był?

Boże, musiało istnieć jakieś wyjście.

Ujrzał nad sobą widmo przyszłości w postaci mglistego, dusznego oparu. Czyż jeszcze kilka dni temu nie widział zupełnie wyraźnie kierunku swojej życiowej drogi? A teraz, z każdą chwilą, której przemijania Cam nawet nie zauważał, ta prosta droga zaczynała skręcać, pochylać się i rozszerzać w szeroki gościniec niepewności, wiodący ku rozstajowi, za którym kryła się wielka niewiadoma. Faktycznie nie był już pewien, czy kierunek tej drogi wciąż jeszcze zależał od jego wyboru.

Ta niepewność powinna wywołać niepokój. I tak się stało. Lecz po raz pierwszy od bardzo dawna Cam poczuł dziwne zaintrygowanie. Nagle obudziła się w nim ciekawość życia i tego, co ono jeszcze przyniesie. A w

obecności Heleny czuł coś więcej. Nie tylko zmieszanie i irytację, lecz coś o wiele silniejszego od pożądania, coś bliskiego euforii.

Do licha, czuł, że żyje. I to być może żyje niebezpiecznie.

Patrzył bezwiednie na scenę nad brzegiem rzeki. Ledwie zauważył, że Ariane z determinacją ciągnie coś, co wyglądało na długą winorośl zwisającą ze starego dębu tuż przy rzece. Drzewo rosło pod dziwnym kątem, niebezpiecznie pochylone do przodu, jakby lada chwila miało przewrócić się i wpaść do wody.

Gdy Ariane próbowała oderwać winorośl od kory, Helena stanęła tuż obok i delikatnie położyła dłoń na ramieniu dziewczynki. Zaś Ariane, zamiast się odsunąć, obdarzyła Helenę uśmiechem. Na ten widok spinający Cama ból przeszedł w uśpioną i trudną do określenia tęsknotę, która leżała mu ciężarem na ciele.

Ze swojego miejsca na szczycie pagórka nie słyszał słów Heleny, lecz gdy Ariane trzymała jeden koniec rośliny, spoglądał w zamyśleniu, jak Helena zaczęła odrywać kosmyki czerwono-brązowej liany, przytrzymującej winorośl do pnia. Z introspekcyjnej zadumy wyrwał go niesiony wiatrem melodyjny śmiech Heleny. Za późno zrozumiał, co naprawdę znalazła Ariane.

One wyplątywały z gałęzi starą huśtawkę Heleny! To nie mogło być nic innego!

Lecz przecież urządzenie musiało już dawno przegnić. W każdym razie przypominał sobie ten upalny dzień sprzed lat, gdy Helena namówiła go, by wykradł ze stajni kawałek nowej liny. Niewielka psota w skali moralnych wykroczeń. A gdy Helena z nim skończyła, Cam przez dwa tygodnie miotał się nocami na łóżku, dręczony poczuciem winy.

Helena wymyśliła ten plan w pewne sierpniowe popołudnie, podczas jednej z cieszących się złą sławą, tygodniowych imprez dla gości. Jako swój wkład w realizację pomysłu ukradła jedną deskę orzesznika z podpałki pani Naffles. Za pomocą starego dłuta - oczywiście skradzionego z jakiegoś warsztatu na terenie majątku - zrobili prowizoryczną huśtawkę na linie i zbiegli nad rzekę.

Otrzymawszy zadanie powieszenia huśtawki, Cam starannie przywiązywał linę co dwie stopy, po czym wdrapał się jeszcze wyżej na najgrubszy konar, żeby ją zabezpieczyć. Następnie Helena sprawnie przywiązała na końcach przygotowaną deskę, na której można było stanąć. Po przetestowaniu wytrzymałości liny, która to operacja polegała na wykonaniu kilku przelotów nad lustrem wody, Cam stwierdził, że cała operacja zakończyła się wielkim sukcesem.

Lecz wówczas oboje byli już zgrzani i zmęczeni od wysiłku. Kiedy Helena wymknęła się w krzaczki, aby zaznać chwili prywatności, Cam nie zwrócił na to uwagi... Do czasu, aż wybiegła z powrotem, rozebrana do halki.

W statecznym wieku lat szesnastu na jej widok Cam przeraził się, a zarazem został urzeczony. Nie zważając na zasady przyzwoitości, Helena chwyciła linę i znowu pozeglowała ponad wodą. Lecz tym razem po prostu spadła w punkcie największego wychylenia prosto do rzeki Coln.

Wciąż jeszcze słyszał jej radosny wrzask, widział małe stopy przebierające pod halką, gdy dziewczyna przebiła lśniące lustro wody i zniknęła w głębinie. W tym miejscu pozostałości po starej zaporze w niższym biegu rzeki spowalniały nurt, więc woda płynęła tu spokojnie i

wolno. Po kwadransie perswazji w końcu namówiła Cama, żeby do niej dołączył. I było to naprawdę wspaniałe przeżycie.

Brykali w wodzie jak ryby, lecz wynurzenie się niosło ze sobą nieuniknione - i niemoralne - konsekwencje. Mokra halka Heleny zrobiła się niemal zupełnie przezroczysta. Cienka bawełna przylegała do każdej krągłości jej ciała, ukazując różowe, nabrzmiałe sutki oraz pięknie ukształtowane piersi i biodra. Cam, który na ten widok odczuł wstydliwą reakcję własnego ciała, wyglądał nieco lepiej w długiej koszuli i kalesonach.

Helena po prostu roześmiała się, żartując z ich wyglądu. Lecz dla niego sprawa okazała się o wiele poważniejsza. Był jeszcze nieopierzonym nastolatkiem, ale właśnie wtedy zapragnął chwycić Helenę, popchnąć ją na pachnącą nadbrzeżną trawę, całować jej śmiejące się usta i zrobić jeszcze dużo, dużo więcej.

Znał już tajemnice dotyczące seksualności. Jego doświadczenie zebrane na gospodarstwie - nie mówiąc o rozwiązłych obyczajach ojca - zapewniły mu dość gruntowną edukację. Więc, pomimo młodego wieku, dobrze wiedział, co chciałby robić z Heleną. A nieprzyzwoitość tego pożądania napełniała mu duszę głębokim wstydem. Przecież nie wypadało pragnąć realizacji takich rzeczy z osobą, która była najlepszym przyjacielem.

Teraz już nie byli najlepszymi przyjaciółmi, ale Cam odnosił wrażenie, że poza tym niewiele się zmieniło. Nawet teraz - gdy obserwował, jak Helena wyciąga ręce, żeby szarpnięciem uwolnić linę, gdy patrzył na jej wypukłe piersi, napawał się jej dźwięcznym śmiechem - poczuł, jak to dawne pożądanie wybija się na pierwszy plan.

Kiedy widział, jak z wdziękiem Helena odwraca głowę, żeby uśmiechnąć się do Ariane, jego serce zareagowało przyspieszonym biciem. Krew Cama jakby zgęstniała. Słabnące popołudniowe światło rozświetlało ich włosy, ocieplając ciemne loki Heleny i połyskując na jasnych warkoczach Ariane, w pięknym kontraście słońca i księżyca. Razem przypominały mu o artystycznej interpretacji...

Niech to szlag!

Zobaczył, jak Helena zaciąga linę z powrotem i wtedy zrozumiał, co chciała zrobić.

- Nie! - zawołał głośno. - Nie, Heleno! Nawet o tym nie myśl!

Eksplodowała jego paternalistyczna arogancja, która przyćmiła niedawną żądzę. Już po chwili rzucił się na dół, zanim jeszcze mózg zdołał pojąć, co robią jego nogi.

Do diabła! Helena nie może zawisnąć nad rzeką na tej linie! Ale przecież od zawsze wiedział, że ona jest szalona. Przecież mogła się zabić. Lub Ariane. A znając Helenę, może nawet jego.

W kilka sekund był już na miejscu. Wyrwał linę z dłoni totalnie zaskoczony Heleny. Jej stopa ześlizgnęła się z deski, a na otwartych ustach wyraźnie malowało się osłupienie.

- Na Boga! - niemalże krzyczał. - Czy ty nie masz rozumu? Ta lina już dawno przegniła.

W kąciu jej ust pojawił się pobłażliwy uśmiezek. Cofnęła się, wskazując palcem drewnianą deskę.

- Przyjrzyj się uważniej, milordzie, a zobaczysz, że zarówno deska, jak i lina są nowsze, niż moglibyśmy przypuszczać.

Trzęsąc się ze złości, zignorował jej słowa.

- Ale to nie jest bezpieczne! Czy zawsze musisz być taka lekkomyślna? Za chwilę dasz Ariane pobujać się na tym ustrojstwie! A ja na to nie pozwolę, ani tobie, ani jej, słyszysz mnie?

- Tak, milordzie. - Skromnie spuściła wzrok. - Zrobimy, jak każesz.

- Bo tak powiedziałem, dlatego nie... - nagle urwał.

Zrozumiał, że oczekiwał sprzeciwu Heleny albo zachęty do jakiejś psoty. Lecz kobieta zachowywała się jak posłuszna guwernantka w każdym calu. Przekornie, ta jej uległość wydała mu się podejrzana. Wypuścił linę, która swobodnie poszybowała w powietrzu.

- Przepraszam, że krzyczałem, panno de Severs. Z ulgą stwierdzam, że to nie było konieczne.

- Ta troska daje poczucie bezpieczeństwa - odparła śmiesznie skromnym tonem.

Ta nowa Helena była dla Cama zupełnym zaskoczeniem. Chłopczyca, którą niegdyś znał, już dawno dałaby mu po uszach i pewnie wrzuciłaby go do rzeki. Lecz nowa Helena wciąż mówiła tym swoim uspokajającym głosem guwernantki.

- Jednak jeśli sprawdzisz linę i wytrzymałość deski, co właśnie robiłam, to zobaczysz, że są w dobrym stanie. Chyba ktoś je wymienił od czasu, gdy my... od czasu, gdy ostatni raz z niej korzystałeś.

Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Nic mnie to nie obchodzi, Heleno, nawet gdyby to był nowiutki łańcuch zrobiony dziś rano przez mojego własnego kowala. To jest niebezpieczne dla Ariane. I dla ciebie też.

Uwagę Cama zwrócił szelest ocierającej się o trawę sukienki Ariane. Stanąwszy obok Heleny, dziewczynka skrzyżowała ramiona na piersi i

wydeła usta w charakterystyczny sposób wyrażający niezadowolenie, którą to miną bez namysłu i z pełną premedytacją uraczyła swego ojca.

Boże, jakaż wymowna twarz! Pomimo milczenia Ariane i otwartego posłuszeństwa Heleny Cam poczuł się osaczony przez te sprytne kobiety. Lecz uczciwy aż do bólu, zmusił się, by rozważyć argumenty Heleny. Natychmiast tuż nad nim pojawił się jakiś złowroźbny cień.

Coś niemiłego - i niebezpiecznego - miało się wydarzyć lada chwila. Jak zmiana pogody lub grzmienie przed uderzeniem błyskawicy. Wyczuwał to. Ariane jeszcze bardziej wydeła nadaśane usteczka. Helena zaczęła postukiwać stopą o ziemię.

Niecierpliwym gestem wysunął rękę, by przyciągnąć linę.

- No cóż... być może... tak, wydaje się całkiem nowa, tyle muszę przyznać.

Mina dziewczynki nieznacznie złagodniała.

- Rzeczywiście - dodała Helena. - I drewno też wydaje się dość mocne...

- Dość mocne? - zaprotestował, obserwując linę, przesuwaną się w jego dłoniach. - Dość mocne na co? - Nagle pomyślał o linczu, lecz zaraz tę wizję zastąpiła inna, jeszcze bardziej erotyczna. Fantazja o Helenie w czarnych skórach. Do diabła!

Uniół głowę i puścił linę, jakby to była jadowita żmija.

- Dość mocne na co? - powtórzył. Ariane chwyciła wirującą deskę w dłonie.

- Na to, żeby się na niej pohuścić - przyznała Helena.

- Heleno! - Oparł dłonie na biodrach. - Ty mnie doprowadzisz do obłądu. Przecież jedna z was może zostać ranna. A nawet utonąć w rzece. Lina może się zerwać, a wtedy będzie z tobą koniec.

- Z całym należnym szacunkiem, milordzie - odezwała się uspokajająco - ta woda nie jest ani dostatecznie głęboka, ani też rwąca, żeby w niej utonąć. Owszem, na pewno jest nieprzyjemnie zimna. Na pewno nikt nie miałby ochoty na taką kąpiel, chyba że byłoby gorąco i parno. Ale czy można tu utonąć? Bardzo wątpię.

Cam mógłby na wszystko przysiąc, że Helena de Severs mrugnęła doń porozumiewawczo. Lecz jej twarz pozostawała anielsko spokojna. Zmusił się, żeby to bagatelizować.

- Ariane nie umie pływać - stwierdził bez ogródek.

- Naprawdę? - spytała filuternie.

- Naprawdę.

- Więc jedno z nas powinno ją nauczyć, gdy się ociepli. - Dotknęła ramienia dziewczynki i uśmiechnęła się, zaciskając usta. - A ja pływam doskonale. O ile pamiętam, ty też. Więc gdyby wpadła do wody, co jest bardzo mało prawdopodobne, jedno z nas musiałoby ją wyłowić.

Przeczcucie nadchodzącego nieszczęścia znacznie się przybliżyło, lecz towarzyszyła mu odrobina radosnego podniecenia.

- No tak... A jeśli takie dalekie huśtanie się nad wodą przestraszy Ariane?

Lekceważąco wzruszyła ramionami.

- *Mais oui*, pewnie, że ją przestraszy! Przecież właśnie o to chodzi, prawda?

Ariane zaczęła unosić się i opadać na palcach. Wydawało się, że wręcz entuzjastycznie pragnie utonąć. Tłumiąc pokusę, Cam pokręcił głową.

- Jeśli się zmoczy, to na pewno złapie przeziębienie. Albo poobciera sobie dłonie liną.

Helena ponownie wzruszyła ramionami. Dla Cama to zachowanie zaczynało stawać się denerwujące.

- Cóż, jeśli o mnie chodzi - stwierdziła z szelmowskim uśmiechem - to zamierzam umrzeć w ciekawszy sposób niż z nudy.

- Śmierć to zawsze śmierć, panno de Severs. - Lecz przecież zaczął już dostrzegać logikę kryjącą się w jej słowach. Do diabła, w ustach Heleny nawet to, co nierozważne, brzmiało dziwnie rozsądnie.

- Ach! Gdybyż tak doświadczyć prawdziwej radości życia przed śmiercią, lordzie Treyhern! - Nagle wybuchnęła śmiechem i zaczęła kręcić się w kółko, strzelając palcami w powietrzu niczym cygańska tancerka. - Przecież to cała tajemnica, *n'est-ce pas?* Chodź! - Klasnęła w dłonie nad głową. - Bądź spontaniczny! Bądź zuchwały!

W jej ciemnoniebieskich oczach pojawiły się bezczelne ogniki.

A niech to, wyraźnie rzucała mu wyzwanie. Jak zawsze.

Oczywiście, ta nowa Helena nie mogła długo tłumić swej dawnej żywiołowości. Jednak jej entuzjazm był zaraźliwy, a w obliczu takiego wyzwania Cam zaczął się łamać w swoim postanowieniu.

Boże, mieć znowu szesnaście lat! Jakie to byłoby uczucie? Być ślepo szczęśliwym i wolnym, choćby tylko przez kilka ulotnych sekund?

Zawisnąć nad połyskującą wodą, wyzbywając się powiązań ze stałym lądem? To brzmiało tak głupio. Ale też... ekscytująco.

Ariane musiała wyczuć jego kapitulację. Przestała nadymać usta i rozjaśniła się.

- No dobrze już! - powiedział zrzędliwie, ściągając rękawiczki, które zamaszystym ruchem położył w dłoniach Heleny. - Dajcie mi tę przekłętą linę.

Szarpnąwszy mocno, wykonał test polegający na obciążeniu jej całą wagą swojego ciała, po czym odciągnął huśtawkę nieco wyżej wzdłuż brzegu i odwrócił się twarzą do wody. Co ja robię? - myślał, spoglądając w dół. Musiał wyglądać jak skończony głupiec, stojąc na skraju rzeki i trzymając w ręku tę linę. Lecz woda lśniła tak kusząco, zaś Helena i Ariane wyczekująco zadzierały głowy, z minami wyrażającymi radosne napięcie. Więc, jaki miał wybór?

W obliczu argumentów Heleny, zaczął się czuć jak wiecznie niezadowolona zrzęda, psująca wszystkim dobrą zabawę, podczas gdy ona, jak zwykle, brzmiała niczym głos rozsądku. Pokusa. Teraz, gdy już przystał na ich plany, okazałby się wysoce nieodpowiedzialny, gdyby pozwolił komukolwiek korzystać z tego urządzenia, nie sprawdzwszy wcześniej jego działania osobiście. Faktycznie, jeśli ta rzecz wytrzyma jego masę równą niemal stu kilogramom, to wtedy na pewno utrzyma każdą z nich osobno lub nawet razem.

Pozbywszy się już wcześniej kapelusza i rękawiczek, zastanowił się, czy nie zdjąć również butów, tak na wypadek, gdyby jednak lina pękła i pogrążyła go w odmętach rzeki. Doszedł do wniosku, że lepsze oparcie uzyska, stojąc na desce, nie zrzucił więc obuwia. Stanąwszy mocno lewą stopą na lewej stronie deski, mocno odepchnął się prawą.

I nagle pofrunął... w chłodną, czystą przestrzeń.

Zielona murawa nabrzeża, rozłożyste konary dębu i w końcu zlana promieniami słońca woda - wszystko to zaczęło zbliżać się w zawrotnym tempie. Ujrzał lśnienie pod stopami, gdy lina zatoczyła krąg nad rzeką, coraz wyżej i wyżej, niczym wahadło zegara. Migąca mu przed oczami cała otaczająca ich przyroda, słyszał w uszach świst jesiennego powietrza. Gdy huśtawka wychyliła się w swoje maksymalne położenie, lina zajęczała, konar zaskrzypiał, a jego ogołoczone z liści gałązki uderzyły o siebie z chrzęstem niczym suche kości.

I wtedy, przez okamgnienie, Cam się zatrzymał, zawieszony w przestrzeni i czasie, kiedy to lina szarpnęła mocno za konar.

Frunąc na fali euforii, poczuł przyływ dawnych instynktów. Uśmiechnięty, przesunął ciężar ciała na jedną stronę, wprawiając huśtawkę w niekontrolowany ruch wirowy. Kiedy się obrócił, ujrzał przelotnie Ariane, która stała na brzegu z rozdziawioną w niemym śmiechu buzią, przyciskając dłonie do różowych policzków. I wtedy zaczął opadać, nie na żarty.

Frunął ponad wodą. Powiew targał mu włosy i poły surduta, bawił się tym, co pozostało z niegdyś starannie zawiązanego fularu. Helena, Ariane i zielony brzeg zbliżały się do niego w zawrotnym tempie, a on w pewnym momencie puścił linę i z gracją zeskoczył z huśtawki... jednak źle wymierzył.

Przewrócił się na plecy, prosto w leżące na murawie liście, lecz w końcu odzyskał równowagę i ze śmiechem usiadł. Ariane rzuciła mu się na szyję, znowu przygniatając go do trawy. Helena z uśmiechem przyklękała tuż obok. Nachyliła się, żeby wyjąć Camowi z włosów zeschnięty liść i wtedy poczuła na sobie jego wzrok.

- Świetnie sobie poradziłeś - rzekła cicho.

Miała śmiejące się oczy, które były zarazem skryte, pełne introspekcyjnej zadumy. Ale to wystarczyło, ta słodka, ponadczasowa chwila beztroskiej intymności. Uśmiech Heleny i niema radość Ariane sprawiły, że warto było to zrobić. I niech diabli wezmą wszelkie konwenanse - naprawdę była to świetna zabawa!

Spędzili kolejną godzinę na wesołych igraszkach nad rzeką, huśtając się na linie i hasając na trawie. A gdy nadszedł czas, by zwinąć koc i wracać do Chalcote, Helena poczuła wewnętrzny spokój. Cam również był szczęśliwy. Wyraźnie to widziała. I pomimo ostrych słów, które padły między nimi wcześniej tego samego dnia, jego zadowolenie sprawiało Helenie ogromną przyjemność.

Wydawało się, że minęli zakręt. Być może udało się uśpić kilka starych demonów przeszłości. Być może Helena i Cam znowu mogli być przyjaciółmi. Na samą myśl zrobiło się jej cieplej, nawet gdy tęsknie pragnęła więcej.

Kiedyś, dawno temu Helena była marzycielką. A teraz niemądre chciała powrotu swych marzeń. Och, mogłaby poświęcić pozostałe lata opiece nad cudzymi dziećmi - czyniąc dla nich przy tym nieskończenie dużo dobrego. Lecz one nigdy nie zajęłyby miejsca tych dzieci, które chciała mieć z Camdenem Rutledge'em.

Przez krótką chwilę rozważała propozycję Ca-ma, by zostać jego kochanką. Lecz była to zaiste chwila bardzo krótka. Tak, pragnęła go, lecz nie na warunkach, jakie zaproponował. I nie kosztem swojej reputacji i kariery.

Rozdział 11

Gorzki powrót do domu i smutna prawda

Przez kolejne dwa tygodnie Ariane dużo rozmyślała o tym, co widziała nad rzeką. Nie chodziło o samą zabawę na huśtawce, chociaż to było wspaniałe uczucie, gdy leciała tak wysoko w mocnych ojcowskich ramionach. Najwięcej myślała o swoim papie. O tym, jak wyglądał z panną Heleną.

Niektórzy ludzie uważali, że jej papa jest zbyt surowy i poważny. Uparty, jak kiedyś powiedział dziadek. Nudziarz, tak określił go stryj Bentley. Lecz Ariane wcale nie myślała, że jest nudny, gdy w pobliżu znajdowała się panna Helena. Zaś uparty... cóż, Ariane nie była pewna, co to słowo oznacza, lecz w ustach dziadka zabrzmiało jak wyrzut. Więc doszła do wniosku, że wobec tego wcale taki nie jest.

W każdym razie, papa w ostatnich dniach wyglądał zupełnie inaczej. Wyraz jego twarzy ciągle się zmieniał. Czasem wyglądał na zagniewanego, czasem na szczęśliwego. A niekiedy wydawał się niepokojny. Lecz cały czas spoglądał na pannę Helenę.

Zazwyczaj papa całą swoją uwagę skupiał na Ariane. Lecz, o dziwo, wcale jej nie przeszkadzało, by trochę się podzielić ojcowskim zainteresowaniem. Codziennie chodziła do sali lekcyjnej z panną Heleną. Prawie zawsze towarzyszył im papa. Przez jakiś czas.

Niekiedy po prostu zaglądał przez drzwi, gdy było już po lekcjach, proponując wspólny spacer po ogrodzie, przejażdżkę lub podwieczorek. Czasami odwiedzał ich proboszcz z dwiema jasnowłosymi dziewczynkami. Lecz wtedy papa zamykał się w swoim gabinecie. Ariane

wiedziała, co tam robił. Ukrywał się. A Ariane już przestała się chować. No, może prawie przestała.

W sali lekcyjnej robiły coś, co nazywało się „liczenie”. Nie miała pewności, co to takiego. Ale miało związek z małymi kupkami fasolek i guzików. Dwie fasolki i dwa guziki nazywały się razem cztery. Nie było to zbyt trudne. Lecz Ariane nie zdecydowała jeszcze, czy chce się bawić w tę zabawę. Może lepiej nie. Bo wynikałyby z tego pytania, tak jak zwykle. A Ariane wiedziała, że po pytaniach powinny następować odpowiedzi. Dlatego udawała, że nic nie rozumie.

Och, jakie to wszystko było trudne! Czasami dla odmiany to ona chciałyby zadać jakieś pytania. Czasami męczyło ją to siedzenie, milczenie i udawanie głupiej. Teraz chciałyby dowiedzieć się o wielu rzeczach. Na przykład, czy papa ożeni się z panną Heleną. Usłyszała, jak Crane mówił pani Naffles, że to powinno być już przed wielu laty „gdyby pewni ludzie nie wtrącali się do spraw, których nie rozumieli”.

No cóż, Ariane też niewiele rozumiała. Lecz jeśli papa by się ożenił, to czy ona miałaby nową mamusię? Bo przecież trzeba się słuchać mamy, prawda? Jeśli nowa mama ci powie coś innego od pierwszej mamy, to co wtedy zrobić? Mówić? Czy nie? Ariane była zdezorientowana. Bo coraz trudniej było zachować te pytania dla siebie i uważać, żeby nie wyfrunęły z jej ust.

* * *

Po ich przygodzie nad rzeką Helena stwierdziła, że dni w Chalcote płyną bardzo leniwie, przenikają się wzajemnie, aż pewnego ranka Cam poprosił Helenę i Ariane, żeby pojechały razem z nim do odległej chaty jednego z dzierżawców, gdzie miał coś do załatwienia. Był ładny,

słoneczny dzień, więc pani Naffles przygotowała koszyk jedzenia dla żony dzierżawcy, która właśnie powiła bliźniaki. Zatem wyprawa - wraz z podróżą w obie strony - okazała się bardzo przyjemna.

W drodze powrotnej czas mijał im szybko. Ariane trzymała Helenę za rękę, podczas gdy Cam śmiał się, żartował, a w pewnym momencie nawet zaczął gwizdać irlandzką gigę. Kiedy znaleźli się na długim podjeździe, Helena spostrzegła w oddali nieznanego jej stajennego, który prowadził do stajni krępego konia pociągowego i brykającego, długonogiego kasztanka.

Cam, wciąż w szampańskim nastroju, chyba nie zauważył tego służącego. Zeskoczywszy na ziemię, ujął w talię Ariane i zakręcił nią w powietrzu, by dopiero po chwili postawić jej małe stóпки na żwirowej drodze. Helena także wysiadła i uniosła podbródek, żeby odwiązać wstążkę kapelusza.

W tym momencie zauważyła kątem oka jakąś ciemną plamę mającą w okolicach wejścia. Obróciwszy głowę, dostrzegła nieznaną jej młodą kobietę, która stała zaraz za progiem wielkiego holu. Na widok Cama rozpromieniła się, zaś Helena poczuła dziwne ukłucie zazdrości.

Kobieta natychmiast wyszła na zewnątrz i ruszyła w ich kierunku równym, sprężystym krokiem. Miała na sobie szarą, z czarnymi lamówkami, staromodną suknię do konnej jazdy, podniszczony, czarny kapelusz, zawadiacko przekrzywiony na niesfornych, lśniących, brązowych włosach. Uśmiechała się radośnie.

- Ariane! - zawołała, na co dziewczynka natychmiast do niej pobiegnęła i rzuciła się w jej objęcia.

- Stary Will znowu cię wyrzucił? - spytał Cam, nachylając się ponad głową Ariane, żeby mocno ucałować przybyłą w policzek. Potem obrócił się na pięcie, stając twarzą do Heleny. - Panno de Severs, proszę pozwolić przedstawić sobie moją siostrę, lady Catherine Wodeway...

- Proszę mi mówić Cat - przerwała młoda kobieta. Wysunąwszy się z objęć Ariane, wyciągnęła rękę do Heleny. - Witam, panno de Severs. Miło mi poznać.

Wszelka zazdrość od razu znikła. Catherine miała ciepły uśmiech i szczery głos. Na jej ślicznej twarzy nie było widać cienia wyniosłości czy maski pozorów.

-I mnie jest bardzo miło - odpowiedziała Helena. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Przez chwilę poczuła się niezręcznie, gdy długie, zimne palce wysunęły się z jej dłoni. Lecz siostra Cama najwyraźniej nie rozpoznała Heleny, w najmniejszym stopniu nie okazała też lekceważenia.

Helena odetchnęła z ulgą. Może wcale nie należało się dziwić, że jej nie rozpoznała. Co prawda Helena na pewno nie poznałaby siostry Cama, gdyż ta była jeszcze bardzo młodziutka w chwili wyjazdu Heleny.

Catherine była już prawie dwudziestotrzyletnią kobietą o tradycyjnej, niemal klasycznej urodzie. Była pełna życia i energii, ubrana w sposób, który Helenie nieodmiennie kojarzył się z eleganckim angielskim stylem mieszkańców wsi. Taki widok można było zobaczyć wszędzie od Sussex do Szkocji - szczerze, kompetentne kobiety, które nie poddając się kanonom panującej mody czy własnej próżności, spędzały popołudnia na konnych przejażdżkach, polowaniach, a czasami również na pracy w gospodarstwie. Niewątpliwie ów rozbrykany kasztanek należał do

Catherine, a Helena nie miała wątpliwości, że siostra Cama żywołowością co najmniej dorównywała swemu wierzchowcowi.

- Czy przyjechałaś aż z Aldhampton, kochanie? - spytał Cam, w ojcowskim geście strzepując z jej rękawa źdźbło siana.

Zmarszczyła nos.

- Tak, i to okrężną drogą! Miałam pecha, bo wczoraj w Cheltenham natknęłam się na ciotkę Belmont. Kazała mi zjeść dzisiaj lunch w jej towarzystwie, więc sam rozumiesz, że nie mogłam odmówić.

- Mądra dziewczyna - mruknął sucho Cam.

- Mam nadzieję, że przywiozłaś swojego stajennego?

- Bądź spokojny, święty Camdenie! - Uśmiechnęła się zalotnie i wykonała żartobliwy ukłon.

- Chyba wiem, co przystoi kobiecie o takiej pozycji. Lady Catherine Wodeway! Wysoko postawiona osobistość! Tylko wybaczyć, ale muszę zeskrobać z pantofli poranne świńskie łajno, aby twoi służący mogli lizać...

- Nie traktuj mnie jak głupka - powiedział z wyrzutem, obejmując ją ramieniem. - Już prawie ciemno!

Lady Catherine tylko się uśmiechnęła. W milczeniu cała czwórka weszła do dworu. Sytuacja wydawała się opanowana, gdy Cam zatrzymał się na progu.

- A wiesz, wątpię, czy wy się pamiętacie - powiedział nagle, odwracając się ku obu kobietom.

- Cat, panna de Severs to nasza stara przyjaciółka. Czy nie wydaje ci się znajoma?

Catherine popatrzyła pytająco na Helenę.

- Ojej! - wykrzyknęła, przykładając dłoń do policzka. Przez jej twarz przemknęło mnóstwo różnych emocji, a ostatnią z nich była wyraźna ulga.

- Helena! Helena Middleton! Nie mylę się, prawda? Ależ piękna! Tak śliczna jak mama! Jakże się cieszę z pani powrotu.

Na ten zdumiewający wybuch radości Helena oblała się rumieńcem.

- Miło mi - wybąkała.

Kiedy szli przez hol, Catherine jakby zapomniała o swoim bracie i jego córce, biorąc Helenę za łokieć.

- Wie pani, panno de Severs, że bardzo lubiłam pani mamę. Lecz nie widziałam jej od czasu, gdy... chyba gdy miałam dziewięć czy dziesięć lat.

- Pani Middleton zmarła, Cat - powiedział cicho Cam za ich plecami. Na tę wiadomość jego siostra wyraźnie posmutniała.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała. - Zawsze była taka pełna życia. W dzieciństwie uważałam ją za najpiękniejszą kobietę na świecie.

- To bardzo miłe, lady Catherine, że tak ciepło wspomina pani moja mamę.

Catherine delikatnie położyła dłoń na ramieniu Heleny.

- Panno de Severs, wie pani, kiedyś miałam nadzieję, że mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Często leżałam nocą w łóżku, marząc, że chciałabym mieć kogoś tak pięknego jak moja mama. - Zaśmiała się lekceważąco, delikatnie potrząsając dłonią. - Tak, wiem, dziecinne fantazje. Prawie nie pamiętam mojej mamy, więc zapewne to była naturalna reakcja?

- Jak najbardziej naturalna - odparła gładko Helena, skrywając zdumienie. Catherine wyraźnie akceptowała zarówno ją, jak i jej matkę, która przecież nie cieszyła się dobrą sławą. Czy naprawdę pragnęła mieć

matkę w osobie Marie Middleton? Helena nigdy nie widziała swojej rodzicielki w takim świetle.

- Cat - odezwał się Cam ciepłym głosem, w którym jednak dała się wyczuć nuta przestrogi - może jednak nie powinniśmy odnawiać starych wspomnień?

Jego siostra zrobiła taką minę, jakby dostała policzek.

- A dlaczego nie? Pani Middleton dość długo była częścią życia naszego taty. I sam przyznasz, że tata był... no, sama nie wiem... bardziej ustatkowany w jej obecności.

- Ojciec nie przeżył ani jednego dnia, kiedy to można by adekwatnie określić go słowem „ustatkowany” - odpowiedział Cam sardonicznie. - Może przejdziemy do salonu, moje panie? Milford przyniesie nam dzbanek herbaty albo po kieliszku cydru, jeśli macie ochotę.

Helena cofnęła się o krok.

- Dziękuję, ale powinnam pójść z Ariane na górę.

- E tam! - Catherine odwróciła się, żeby popatrzeć na Cama i Ariane.

- Na pewno była pani na ich łasce przez cały dzień, panno de Severs. Mogę powiedzieć, że oni wezmą panią w niewolę, jeśli tylko im na to pozwolisz. Martha... o, już tu jest... Martha zaprowadzi Ariane na górę. A pani musi się napić herbaty i odpocząć.

Gdy Martha zeszła ze schodów, by wykonać polecenie, Cam splótł dłonie na plecach i żartobliwie uklonił się Helenie.

- No proszę, panno de Severs! Oto przemówiła Jej Wysokość, królowa Catherine.

Helena niepewnie spoglądała to na nią, to na niego.

- Ale nie chciałabym...

- Może i nie - wpadł jej w słowo. - Jednakże jest to konieczne.

Proszę się zgodzić na herbatę, zanim moja lady Tupet krzyknie „ściąć jej głowę!” albo rozkaże, by wycierać jej obłocone buty. Sam nie wiem, co byłoby gorsze.

Z chłopięcym uśmiechem odskoczył na bok, by uniknąć siostrzanego kuksańca.

-I jeszcze jedno, Cat! - zawołał, odwracając się do niej, jakby nagle przypomniał sobie coś ważnego. - Mam dla ciebie zadanie.

- Jakie? - spytała ostrożnie.

- To naprawdę proste. Milford wspomniał mi, w sposób oględny i jak najbardziej stosowny do jego pozycji, że zasłony w salonie obrażają jego wrażliwość. Zostawiłem próbki materiałów, które przysłał bławatnik.

Wybierz, co ci się podoba,

Roześmiawszy się z ulgą, dotknęła dłonią jego policzka.

- Oj, nie wydaje mi się, Cam! To zadanie najlepiej powierzyć Joan.

A jeszcze lepiej, niech sam

Milford dokona wyboru. Zapewniam cię, że nie mam dobrego oka, gdy chodzi o ozdóbki.

- Nie gadaj głupot, Cat. - Na jego twarzy odmalowało się niezadowolenie. - To tylko materiał. Z pół tuzina skrawków. Każdy może wybrać pomiędzy...

- Lordzie Treyhern? - Zza ich pleców w holu rozległ się echem donośny głos Milforda. Cam odwrócił się. W prostokacie słonecznego światła, które wpadało przez wciąż otwarte drzwi, ubrany na czarno, chudy kamerdyner wyglądał tak, jakby zatrzepotał nieistniejącymi skrzydłami.

To podmuch wiatru z zewnątrz poruszał połami jego ubrania.

- O co chodzi, Milfordzie?

- O pana Kelly'ego, milordzie. Pięć minut temu przyjechał z Londynu. Zaprowadziłem go do gabinetu. Pan Brightsmith przesłał jakieś dokumenty do podpisu. Przybył też umyślny z Devon. Chyba powinien się pan pośpieszyć, milordzie.

Catherine odwróciła się od Milforda i swojego brata.

- No więc wszystko jasne. Chodźmy, panno de Severs - powiedziała, ujmując Helenę za ramię. - Niech Cam pozałatwia swoje sprawy, a my razem wypijemy herbatę. Musi mi pani opowiedzieć o swojej pracy z Ariane. A ja opowiem wszystkie miejscowe plotki!

Helena cichym głosem niechętnie wyraziła zgodę. Catherine odwróciła się, żeby cmoknąć Cama w policzek, po czym zakręciła spódnicą swej szarej sukni, kierując się do salonu. Jednak po sekundzie stanęła i jeszcze raz spojrzała na brata.

- Cam, przyjechałam jeszcze po to, żeby porozmawiać o przyjęciu...

- Przyjęciu? - Wciąż stał z rękami na plecach. Zmarszczył czoło.

Catherine tupnęła niecierpliwie.

- No chyba nie zapomniałeś o moich urodzinach? Obiecałeś, że w tym roku wyprawisz je dla mnie tutaj, w Chalcote.

- A! - odparł, najwyraźniej zdumiony. - Faktycznie! Czy powiedziałaś już pani Naffles?

- Oczywiście.

- Więc na pewno wszystko zostanie przygotowane, jak należy - odparł wymijająco.

- Ale rozesłałeś zaproszenia? - nie ustępowała.

- Zaproszenia? - Cam spojrzał niepewnie na Milforda.

- Dwa tygodnie temu, milordzie - odpowiedział kamerdyner.

Na twarzy Cama widać było ogromną ulgę.

- No widzisz, wszystkim się zająłem. Siostra nie wydawała się przekonana.

- Więc, do kogo je wysłałeś? Zawahał się.

- No przecież do wszystkich, którzy byli na twojej liście. Na pewno do ciotki Belmont. I... Joan, oczywiście. Do proboszcza i jego siostry...

-I... ? - spytała niecierpliwie.

- Do wikarego - szepnął dość głośno Milford.

- A! - podjął Cam - Do wikarego... to taki cichy i spokojny człowiek. Jakże on się nazywa?

- Rhoades - podpowiedział kamerdyner. - Wielebny Rhoades.

- No właśnie! Rhoades. Nieliczna grupa gości, stosownie do naszej żałoby.

W milczeniu powtarzając ruchem warg ich imiona, Catherine zaczęła liczyć na palcach.

- Więc z Bentleyem i Willem będzie nas dziewięcioro. Och, Cam! Będziemy mieli przy stole nieparzystą liczbę osób. - Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. - Ha! Ależ jestem głupia. Panno de Severe, pani też musi przyjść, i to nie tylko ze względu na to, by dopełnić liczbę gości.

- Ależ, lady Catherine - zaprotestowała grzecznie.

- Wystarczy Catherine. Albo Cat. Helena uśmiechnęła się.

- No więc, Catherine. To bardzo miło z twojej strony, ale myślę, że...

- A ja chcę, żebyś przyszła - przerwała jej Catherine. - To moje urodziny. Proszę, obiecaj, że przyjdiesz. - Mówiła w sposób bardzo

podobny do swojego młodszego brata. - Umieściłabym cię na liście już od samego początku, ale nie wiedziałam, że przyjechałaś!

Cam odszedł z Milfordem, zaś Helena ruszyła za Catherine do salonu. Z nonszalancją właściwą osobie, która mieszkała we dworze przez całe życie - i wciąż uważała, że tak jest - Catherine pociągnęła za sznur dzwonka i kazała przynieść herbatę. W jej przekonaniu sprawa urodzinowego przyjęcia była zakończona.

Pomimo słonecznej pogody stare kamienne ściany Chalcote nagrzewały się powoli, więc Milford kazał rozpalić w kominku. Usiadły na krzesłach po obu stronach paleniska. Catherine zdjęła sfatygowany kapelusz i rzuciła go na pobliski stolik.

To jasne, że siostra Cama była zaciekawiona osobą Heleny, która ze swojej strony odniosła wrażenie, że Catherine jest kobietą, która nie owija w bawełnę. Jakby czytając w myślach Heleny, Catherine nabrała głęboko powietrza i powiedziała:

- Musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co się z tobą działo od naszego ostatniego spotkania. Z tego, co wiem, wyjechałaś do szkoły gdzieś daleko? - Uśmiechnęła się wyczekująco.

- Tak, trzy lata spędziłam w Szwajcarii. - Miała nadzieję, że Ariane nic nie wie o jej wyprowadzce z Chalcote. - A potem wyjechałam do Wiednia, żeby nauczać.

Nieoczekiwanie, Catherine uśmiechnęła się krzywo.

- To musiało być cudowne... wydostać się z Chalcote - powiedziała z namysłem. - Ja nie mam prawie żadnego wykształcenia. Wykształcenie dla dziewcząt, zresztą dla chłopców też, nie leżało w kręgu priorytetów naszego taty.

Helena wcale nie była zdziwiona.

- Ale miałaś guwernantkę, prawda?

Lecz ledwie wypowiedziała to nietaktowne pytanie, już знаła odpowiedź. Jeśli pamięć jej nie myliła, w Chalcote nigdy nie było guwernantki. Ani też nauczyciela dla Cama, poza proboszczem, który nie zaglądał tu zbyt często. Była tylko łatwo wpadająca w gniew opiekunka, która głównie ganiała za małym Bentleyem.

- Nie. - Catherine pokręciła głową. - Nie, tata nie wierzył w sens kształcenia. Czasami byłam wysyłana do ciotki Belmont, żeby uczyć się razem z moją kuzynką, Joan. Ale ona jest ode mnie o cztery lata młodsza.

Helena odczuła wyrzuty sumienia. Czyżby interes ubity przez jej matkę z Randolphem Rutledge'em pozbawił wykształcenia jego własne dzieci? Rozsądek podpowiadał jej odpowiedź. Jej wykształcenie mogło okroić wpływy zaopatrujących Chalcote handlarza winem i sprzedawcy wyrobów pasmanteryjnych. Lecz dzieci Randolpha ucierpiałyby bez względu na to.

- Catherine, przepraszam - powiedziała cicho. Siostra Cama beztrąsko pokręciła głową.

- To nie była wielka strata, bo zapewniam cię, że nigdy nie miałam akademickich inklinacji.

- Uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawiła się radość, podkreślając jej zdrową, świeżą urodę, czym ponownie przypomniała Helenie Bentleya.

- Popatrz! - Nagle zerwała się z krzesła i przyniosła próbki materiału. - To chyba na te zasłony. Chyba powinnam coś wybrać. - Przygryzła wargę i ponownie usiadła, rozkładając na stole kawałki tkaniny.

Nadeszła pora, by zmienić temat. Przy całej jej wesołości, wspomnienie egoizmu ojca musiało ją zabołec, co było widać jak na dłoni.

Helena pochyliła się, by przesunąć dłonią po jednym ze skrawków.

- Wszystkie wyglądają pięknie. Który z nich wybierzesz, Catherine?

Siostra Cama przebiegała wzrokiem po kolejnych próbkach.

- To jest mało istotne - rzekła sucho - gdyż Jo-an na pewno zakwestionuje mój gust i dokona własnego wyboru. - Zaśmiała się bez nuty goryczy.

- Wiesz, Heleno, ona i tak zna się na tym lepiej ode mnie. Ale powiedz mi, który tobie się podoba?

Joan miała wybierać? Już po raz drugi Catherine wypowiedziała komentarz w tym tonie. Aby zyskać na czasie, Helena położyła sobie próbki na kolanach, jedną obok drugiej. A co wspólnego z Chalcote miała Joan Belmont? Nagle poczuła lodowate zimno, które ciężką bryłą przygniotło jej serce.

Była ledwie świadoma istnienia kuzynki Cama. Joan była młodocianą córką ciotki ze strony matki. Obie rodziny mieszkały blisko siebie. Lekko drżącą ręką Helena podniosła pierwszą z lewej strony próbkę. Był to ciężki adamaszek w kolorze kości słoniowej z szerokimi żółtymi paskami w czerwone prążki.

- Myślę... że zdecydowanie to - powiedziała w końcu. W jej głosie czaił się niepokój. - Wybrałabym ten materiał. To znaczy, jeśli on chce zachować ten dywan. Bo w tej sytuacji nic innego nie będzie dobrze pasowało.

- Właśnie tak, *madame!* - odezwał się zza jej pleców głęboki, pełny melancholii męski głos.

Helena pisnęła, przestraszona, odwracając się gwałtownie. Pozostałe próbki sfrunęły na dywan, gdy tuż koło niej pojawił się Milford. Nie mogła pojąć, jak mógł tak bezgłośnie wejść do salonu z ciężką tacą, na której stał dzbanek z herbatą i filiżanki.

- Postaw tacę tutaj - powiedziała szybko Catherine, zachowując całkowity spokój.

Lekko poklepała w blat stolika. Kamerdyner sprawnie postawił tacę i przyklęknął obok Heleny, żeby zebrać skrawki materiału. Podawał je jedną po drugiej.

- Proszę wybaczyć moją impertynencję, *madame*, ale ma pani znakomity gust. Starłem się wyjaśnić milordowi, że do tych tureckich dywanów najlepiej pasują czerwone prążki... lecz on nie rozumiał.

- Czy mam uwierzyć, że w ogóle wyraził jakąś opinię? - spytała ze śmiechem Catherine, nalewając herbatę. - Tylko mi nie mów, Milfordzie, że wybrał ten okropny odcień pomarańczy! – Rzuciła okiem na szczególnie ohydny kawałek materiału, który leżał koło jej łokcia.

Kamerdyner ponuro pokręcił głową.

- Nie, milady. Obawiam się, że lord Treyhern nie wyrobił sobie żadnej opinii. Rozłożył próbki, obrzucił je pojedynczym spojrzeniem i mruknął coś, że musi iść do stajni.

Helena ledwie słyszała przyjazną rozmowę kamerdynera z Catherine, gdyż wciąż usiłowała zrozumieć sens tych uwag, jakie siostra Cama wyowiadała na temat Joan Belmont. Po wyjściu Milforda nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- Obawiam się, że nie miałam jeszcze przyjemności poznać waszej kuzynki, Catherine. Czy panna Belmont często odwiedza Chalcote?

Catherine podała jej filiżankę z herbatą.

- Na pewno nie tak często, jak chciałaby tego jej matka. -

Uśmiechnęła się figlarnie. - Ale chyba mieszam się w nie swoje sprawy.

- Mieszasz się?

- No cóż, jestem niesprawiedliwa, przyznaję się do tego otwarcie!

Ale właśnie przyjechałam prosto od ciotki i miałam już po dziurki w nosie jej subtelnych aluzji. Czy i kiedy mój brat zamierza ogłosić swoje zaręczyny, to jego własna decyzja, a nie moja.

Helena poczuła, jak jej palce, w których trzymała filiżankę, najpierw sztywnieją, a potem stają się lodowato zimne. Z głośnym brzękiem odstawiła spodek.

- Czy dobrze zrozumiałam, że twój brat... jest związany?

Catherine zamyśliła się, marszcząc swe wysokie czoło.

- Nie, myślę, że ze strony mojego brata nie ma tu zaangażowania, ale... istnieje bardzo wyraźne oczekiwanie. Życzeniem mojej zmarłej matki było połączenie Cama z kuzynką z rodziny Belmontów, które to życzenie z zapalem wskrzesiła moja ciotka. - Catherine wybrała kanapkę z ogórkiem i podniosła ją z tacy. - Muszę przyznać - ciągnęła w zadumie, obserwując smakowity kąsek - że jak dotąd Cam odnosił się przychylnie do tych planów.

- Tak? - spytała słabym głosem Helena. - Wobec tego panna Belmont musi być wymarzoną kandydatką na żonę.

Catherine odruchowo pokiwała głową, połykając kawałek kanapki.

- Pewnie tak. Jest ładna i otrzymała bardzo staranne wychowanie. Jej zmarły ojciec pochodził z arystokratycznej rodziny po obojgu rodzicach, którą to okoliczność nasza ciotka z upodobaniem nam przypomina.

Według mnie, Cam potrzebuje żony, gdyż nie ma dziedzica poza Bentleyem, a jego nie interesują sprawy związane z zarządzaniem majątkiem. Poza tym, ciotka Belmont ciągle ostrzega Cama, żeby nie powtórzył błędu, który wyniośle nazywa „ożenkiem poniżej swego stanu”.

- Poniżej swego... stanu?

- No tak. Joan pobierała jeszcze nauki, gdy Cam uznał... konieczność wstąpienia w pierwszy związek małżeński. Rodzina Cassandry zajmowała się kupiectwem, ale byli bardzo zamożni. W tym czasie ciotka Belmont nie uznawała tego związku za wielki mezalians, gdyż Cam nie był podówczas aż tak dobrą partią. - Dwuznacznie wzruszyła ramionami. - Wszyscy wtedy byliśmy na równi pochyłej. Nie było żadnej gwarancji co do tytułu, a tata wciąż przysparzał nam wstydu kolejnymi skandalami.

- Ale teraz jest inaczej.

- To prawda! - Catherine z brzękiem odstawiła filiżankę i nachyliła się nad stolikiem. - Teraz, gdy Cam jest bogaty i utytułowany, ciotka Belmont z wielkim entuzjazmem odnosi się do ich związku. Nagle stał się on ostatnim życzeniem jej kochanej siostry i tak dalej. Ostrzega nas, że nasza rodzina nie może sobie pozwolić na kolejny skandal ani na kolejne haniebne małżeństwo.

- A twój brat wierzy w jej szczerą?

- Ależ skąd! - Zachichotała, po czym zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Lecz z silnego poczucia obowiązku słucha ciotki. Jego pierwsze małżeństwo, cóż, nie było dobrym związkiem. Chociaż mimo jej ostrzeżeń mezalians nie miał nic wspólnego z faktem, że ojciec Cassandry był kupcem.

Helena starała się opanować drżenie głosu.

- Ale o ile pamięć mnie nie myli, wasza kuzynka jest jeszcze bardzo młoda.

- Ma dokładnie tyle lat co Bentley. Dopiero jakieś pół roku temu skończyła edukację. W tym sezonie towarzyskim ma mieć swój debiut na salonach. Jeśli Cam nie ogłosi ich zaręczyn, co ciotka dała mi dziś wyraźnie do zrozumienia.

- Aha. - To była jedyna odpowiedź, na jaką zdobyła się Helena.

W zadumie Catherine popijała herbatę, spoglądając na wiszący nad kominkiem portret.

- Szczerze mówiąc, wygląda to wszystko dość ironicznie.

-Tak?

- W ciągu ostatniego roku złe prowadzenie się taty powstrzymywało ciotkę od nalegania na ten związek. Lecz teraz, gdy pożegnał się z tym światem, nasza roczna żałoba tymczasowo wyklucza małżeństwo. Za kilka miesięcy mój brat mógłby już bez większych konsekwencji ogłosić zaręczyny, jak sądzę... ale nie może ożenić się, dopóki nie zrzucimy czarnych szat. - Przeniosła wzrok znad kominka na ogień. - Cóż, Joan jest bardzo ładna. Ale, o ile się orientuję, Camowi wcale nie jest na rękę ta zwłoka.

- Nie znasz jego odczuć w tym względzie? Pokręciła głową, jakby nie zwracając uwagi na ciekawość Heleny.

- Mój brat nikogo nie pyta o radę. Zawsze tak było. Lecz przecież wy znacie się od dawna, więc pewnie sama o tym wiedziałaś.

- Tak. - Helena spoglądała bezwiednie w okno ponad ramieniem Catherine. Dusila ją trudna do wyjaśnienia fala goryczy. - Tak, to bardzo skryty człowiek.

- Wybacz mi, Heleno. Pewnie śmiertelnie się nudzisz, wysłuchując tych plotek o naszej rodzinie.

-Ależ... wcale nie.

- Rzecz w tym, że Cam i ja... zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Po śmierci matki, gdy Bentley był jeszcze mały... często byliśmy sami, opuszczeni. Przynajmniej takie mieliśmy wrażenie. On zawsze się mną opiekował. A ja nim, jak tylko umiałam. Jesteśmy ze sobą bardzo blisko związani.

- Zazdroszczę wam tego - odpowiedziała cicho Helena. - Ja byłam jedynaczką i często brakowało mi brata lub siostry.

Catherine pokiwała głową.

- Rozumiem. Jest jedna dobra strona tego ożenku Cama z Joan. Bardzo się niepokoję o Ariane, a nie wątpię, że rodzeństwo byłoby dla niej pociechą.

Helena chciała dodać, że to może być zależne od macochy, lecz ugryzła się w język. Przecież to nie jej sprawa. Panna Belmont na pewno będzie idealną żoną dla mężczyzny o pozycji Cama.

Walczyła z kolejną falą ogarniającej ją rozpacz. Z pewnością panna Belmont będzie kochać i chronić Ariane, jakby ta była jej własnym dzieckiem. Dziewczynka będzie zarówno jej kuzynką, jak i pasierbicą.

- Tak - zgodziła się w końcu. - Co więcej, jestem przekonana, że Ariane bardzo skorzysta na obecności macochy. Mam wrażenie, że głęboko odczuwa brak rodzonej matki.

- Tak? Chyba nie zastanawiałam się nad tym - odparła z roztargnieniem. - To zrozumiałe, że dziecko tęskni za matką, choć po prawdzie nie była z nią tak blisko, jak można by oczekiwać.

- Tak właśnie mówił mi lord Treyhern. Catherine uniosła brwi.

- Naprawdę?

- Tak, rozmawialiśmy o tym - mruknęła Helena.

- Musisz zrozumieć, Catherine, że jestem tu po to, żeby pomóc temu dziecku. To raczej oczywiste, że trauma i utrata mowy u Ariane mają jakiś związek z jej matką. On pewnie uznał, że powinnam dobrze zrozumieć ich relacje.

- Heleno, nie zrozum mnie źle! Moje zaskoczenie nie miało żadnego podtekstu. Po prostu Cam... cóż, nawet gdy jego stosunki z Cassandrą nie układały się najlepiej, w żaden sposób jej nie krytykował. Więc gdy słyszę, że wspominał o jej wadach, nawet w zawoalowany sposób, to jest to niezwykle.

Helena poczuła, jak smutek jeszcze bardziej zaciążył na jej sercu.

- Wobec tego rozumiem, że milord głęboko kochał swoją żonę.

Catherine, która właśnie pociągała łyk herbaty, niemalże się zakrztusiła. Szybko zasłoniła dłonią usta.

- Ależ nie! - zawołała. - To było małżeństwo z rozsądku w dosłownym znaczeniu tego słowa. Śmiem twierdzić, że Cassandra była jeszcze mniej zadowolona niż on sam. Była naprawdę nieszczęśliwa i unieszczęśliwiała nas wszystkich. Pierwszy rok goszczenia Cassandry i jej koterii pod naszym dachem okazał się istnym piekłem.

- Mówisz o okresie poprzedzającym twoje małżeństwo?

- Tak, młodo wyszłam za mąż, prawda? Will i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Tak często u nas bywał, że nasze małżeństwo wydawało się rzeczą zupełnie oczywistą. A mieszkanie pod jednym dachem z naszym tatą i moją szwagierką przypominało mieszkanie w magazynie prochu.

Ciągle coś wybuchało. - Uśmiechnęła się posepnie. - Jak widzisz, czasami zachowuję się trochę niepolitycznie. Wystarczy powiedzieć, że Cassandra i ja nigdy się nie zgadzałyśmy. A ja dowiedziałam się, że większość jej podejrzanych przyjaciół niewiele się różniło od przyjaciół taty, co się okazało z czasem.

- Jak to?

- Ciągle tu siedzieli, tańczyli, pili, strzelali, no i wyczyniali różne inne harce. - Lekko wzruszyła ramionami i ponownie napełniła swoją filiżankę. - Cassandra gardziła życiem na wsi. A chociaż Cam często jeździł do miasta w interesach, to nie czynił tajemnicy ze swojej odrazy do tego miejsca. Lecz Cassandra tęskniła za podziwem i pochlebstwami swych przyjaciół, więc po prostu zapraszała ich do Chalcote. To przypominało królową i jej dworzan.

-I twój brat się temu nie przeciwstawiał?

- Z początku nie - odpowiedziała wolno Catherine. - Myślę, że uznał to za uczciwy kompromis wobec Cassandry. A co do niej, to pewnie byłaby bardziej zadowolona, gdyby on wpadał w złość. Kiedyś skarżyła mi się, że Cam nie jest o nią zazdrosny. A ja myślę, że jego emocjonalna powściągliwość doprowadzała ją do szału. Czyż to nie jest perwersja?

- Tak, ale ona była młoda. I być może nie miała poczucia bezpieczeństwa... ?

Catherine ściągnęła usta, kiwając głową.

-Jesteś spostrzegawcza, Heleno. Tak, ona właśnie taka była.

Cassandra wymagała ciągłego potwierdzania swojej wartości. Myślę, że jej pochodzenie, to, że nie była ze szlacheckiej rodziny i inne bzdury, cały czas wywoływało w niej jakiś wewnętrzny niepokój.

- Lecz z pewnością owi przyjaciele dawali jej pewność, że nie ma się czego obawiać.

Nieoczekiwanie, Catherine się zmieszała.

- Tak - rzekła powoli - do czasu, aż Cam zabronił im przyjeżdżać. - Urwała. Przeniosła wzrok ze stołu na twarz Heleny, jakby chciała ocenić jej reakcję. - Zachowanie Cassandry stawało się czasami nie do zniesienia. Jednego wieczoru strasznie się pokłócili, a potem... no cóż, nigdy nie pytałam o to mojego brata, ale przyjęcia w naszym domu się skończyły.

- Zupełnie?

- Jak najbardziej. - Catherine przewróciła oczami. - A jeśli już przedtem było prawdziwe piekło, to sytuacja pogorszyła się wielokrotnie, gdy Cassandra została pozbawiona swoich wielbicieli. Potwornie się nudziła, a czasami wręcz przeciwnie, tryskała energią. Nocą biegała po domu, a za dnia po lasach. Lecz po pewnym czasie ogłosiła, że jest brzemienna i na jakiś czas trochę się usatkwowała.

- Ale do tego czasu ty już opuściłaś Chalcote?

- Tak. Cam w końcu wyraził zgodę na mój ślub z Willem, a tatę nic to nie obchodziło.

- Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa - powiedziała niepewnie Helena.

Nie czuła się zbyt dobrze, rozmawiając o przeszłości Cama.

- Jestem zadowolona - odpowiedziała Catherine. - Teraz bardziej zależy mi na szczęściu brata niż na moim własnym.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Catherine uważnie popatrzyła na Helenę. Dopiero po dłuższej chwili wyjaśniła:

- Dobrze znałaś mojego ojca, prawda?

Helena potwierdziła.

- Wobec tego nie zaskoczy cię wiadomość, że Cam nie miał wielkiego wyboru i musiał ożenić się z Cassandrą. Jej ojciec zaoferował pokaźny posag, zaś Cam uznał za swój obowiązek uregulowanie długów taty i przywrócenie dobrego nazwiska naszej rodzinie. Za co, oczywiście, jestem mu bardzo wdzięczna. Lecz mówiąc prawdę, wolałabym, aby wtedy zaznał prawdziwego szczęścia. I nadal tak uważam.

- A czy panna Belmont nie będzie mu w stanie tego zapewnić? - spytała cicho Helena.

Miała nadzieję, że nie okazuje na zewnątrz swego cierpienia i goryczy. Catherine niepewnie pokręciła głową.

- A któż to może wiedzieć? Od dzieciństwa życie Cama było obciążone brzemieniem odpowiedzialności. Jego pierwsze małżeństwo miało bardzo podobny charakter, lecz ufałam, że drugim razem ożeni się z miłości. Przecież to uczyniłoby go naprawdę szczęśliwym, nie sądzisz? Wszyscy bardzo lubimy Joan, ale według mnie on jej nie kocha.

Wtem rozległo się energiczne pukanie drzwi i po chwili do salonu wkroczył Cam. Stanął przed nimi, ściskając w dłoniach kapelusz.

- Bardzo was przepraszam - mówił, szybko wyrzucając słowa - ale obawiam się, że muszę was prosić o wybaczenie. Nagła sytuacja wzywa mnie pilnie do Devonshire.

- Devon? - Catherine skoczyła na równe nogi. - Tak nagle?

Cam sztywno kiwnął głową, a Helena ujrzała na jego twarzy wyraźnie malujący się niepokój. Wszelkie oznaki wcześniejszego dobrego nastroju znikły.

- Tak, Cat - odpowiedział. - To nagła sprawa. Przez zamek Treyhern przeszła zaraza. Połowa służby i dzierżawców została przykuta do łóżek, a dwie osoby już zmarły.

- Boże święty - wyszeptała Catherine, odsuwając się od krzesła. - Co za straszna wiadomość!

- To prawda. - Cam był rzeczywiście przybity, jego palce coraz mocniej zaciskały się na kapeluszu. Wydawał się wstrząśnięty i zmęczony. - Wygląda to coraz gorzej. Hastings, stary zarządca stryja, zaniemógł trzy dni temu, i chyba nie przeżyje. Natychmiast muszę do niego jechać. Crane szykuje moje rzeczy. To naprawdę bardzo poważna sytuacja.

- Będzie musiał spakować również moje - odezwał się głos od strony korytarza. Po chwili głowę do salonu wetknął Bentley. - Chcę jechać z tobą. Myślę, że powinienem.

Cam spojrzał przez ramię, kompletnie zaskoczony.

- Będę wdzięczny - odpowiedział.

Bentley mruknął coś o szykowaniu koni i pognął korytarzem ku tylnym drzwiom wychodzącym na stajnie.

- Cam, jak mogę ci pomóc? - spytała Catherine. - I kiedy wrócisz? Pokiwał głową.

- Rzeczywiście, potrzebuję twojej pomocy. Nie będzie mnie co najmniej dwa tygodnie, więc obawiam się, że muszę cię poprosić, żebyś zajęła się Chalcote. Czy Will wytrzyma trochę czasu bez ciebie?

Zaśmiała się.

- Mamy sezon polowań. Na pewno nikt nie będzie za mną tęsknić.

- To dobrze. Czy mogłabyś przyjeżdżać tu dwa razy w tygodniu, żeby sprawdzić, co się dzieje? Zajrzyj do dzierżawców, przekaż bieżące

dokumenty Brightsmithowi, dopilnuj, by budowa ogrodzeń przebiegała zgodnie z planem, tego typu rzeczy. Prowadzenie domu zostaw pani Naffles, a o pozostałych sprawach, z którymi sobie nie poradzisz, zawiadamiaj Brightsmitha. Zresztą na dzisiejszą noc możesz tu zostać. Wyślij lokaja z wiadomością do Aldhampton.

- Tak, oczywiście - powiedziała Catherine. Podbiegła do brata i pocałowała go w policzek.

- Znacznie lepiej powierzyć mi dogłądanie twoich owiec niż decydowanie o materiale na zasłony.

- Uśmiechnęła się figlarnie. - Zresztą w tej ostatniej kwestii zostałam całkowicie zaćmiona. Milford twierdzi, że gust panny de Severs jest *comme il faut*. Więc to ją należy obarczyć tym zadaniem pod twoją nieobecność. Chyba poproszę ją o zmianę wystroju tego pokoju.

O dziwo, ten plan zyskał aprobatę Cama. Salon wyglądał na szary i zaniedbany. A Helena miała wyjątkowe wyczucie koloru i piękna.

- Dobry pomysł, panno de Severs. - Skinął jej głową.

Lecz nagle uświadomił sobie, że wcale nie chce zostawiać tu Heleny i Ariane. Popołudnie spędzone razem nad rzeką stanowiło jakby punkt zwrotny, a w następnych dniach czuł się... zupełnie inaczej. Helena zawsze umiała go sprowokować, rzucić mu wyzwanie, a teraz zdołała go nakłonić, żeby spojrzeć na rzeczy, których wolałby nie widzieć. Jednak, nie wiadomo dlaczego, tych kilka ostatnich tygodni podziałało na jego rany niczym balsam.

No więc w końcu się przyznał. Bardzo chciałby jak najczęściej odwiedzać salę lekcyjną, słuchać śmiechu Heleny przy kolacji. Poznawać jej zdanie. A być może nawet przyjmować reprimendy.

Cam, który nie był przyzwyczajony do luksusu prowadzenia poufalej rozmowy, poczuł się dziwnie lekko. Przestając z Heleną, zawsze miał wrażenie, że można mówić i robić wszystko. Być może była to tylko iluzja, ale Helena - choćby tylko na krótką chwilę - dawała mu poczuć się wolnym od codziennych ograniczeń, tak jak wtedy, gdy pofrunął w powietrzu na tej głupiej huśtawce. Tym samym, kierując się chwilowym impulsem, Cam zastanawiał się nad możliwością zabrania Heleny i Ariane do Devonshire.

Lecz szybko odrzucił tę myśl. Byłoby to wysoce nieodpowiedzialne, gdyż zaraza szalejąca w tam tym regionie najwyraźniej nosiła znamiona choroby zakaźnej. Bał się zabrać nawet Bentleya, lecz w tym wypadku odmowa byłaby potraktowana jako niewybaczalna obraza.

Lecz skoro nie mógł zabrać Heleny i córki, to postanowił pożegnać się z nimi jak należy.

- Panno de Severs - powiedział nagle - czy moglibyśmy zobaczyć się za kilka minut w klasie? Muszę pożegnać się z Ariane, chciałbym też zapoznać się z planem nauki na okres mojej nieobecności.

Wstała z krzesła. Jej twarz o barwie kości słoniowej nie wyrażała żadnej emocji, jej spojrzenie tkwiło gdzieś w oddali za jego plecami.

- Oczywiście, milordzie - odpowiedziała.

Nawet wzięwszy poprawkę na obecność Catherine, Cam uznał jej ton za bardzo chłodny. Dłuższą chwilę obserwował ją z uwagą, po czym szybko skinął głową i się odwrócił. Nie wyglądała na uszczęśliwioną. Postanowił, że pozna tego przyczynę.

Jego myśli krążyły na przemian wokół tragedii w Devon i smutnego oblicza Heleny. Przeszedł przez główny hol, kierując się do sali lekcyjnej,

lecz gdy skreślił, zatrzymał się, ujrawszy, jak Milford wpuszcza do dworu Thomasa Lowe. Od razu zrobił się czujny. Ale przecież to nie było w porządku. Ten człowiek był jego proboszczem. Mimo wszystko Cam miał już dosyć jego nieustannego nadszarpnięcia Helenie. Duchowny, który zachowywał się niczym zadurzony szczeniak.

- Dzień dobry, Treyhern - przywitał się Lowe radosnym głosem, podając Milfordowi swój kapelusz. Podszedł bliżej i wyciągnął dłoń do Cama, któremu nie pozostało nic innego, jak tylko uścisnąć mu prawicę.

- Można by nawet powiedzieć „dobry wieczór”, panie Lowe - odparł sucho Cam, czując pod palcami gładką, niemalże delikatną dłoń duchownego. - Już prawie wpół do szóstej.

Jednak Lowe nie dał się zbić z tropu.

- A, rozumiem, co pan chciał przez to powiedzieć, milordzie. Będę się streszczał, bo właśnie wracam od starego Claphama... - Proboszcz spuścił wzrok i smutno pokręcił głową. - Jak zwykle, to jego chore serce. W każdym razie, przypadkowo wracałem właśnie tędy i pomyślałem, że wstąpię na chwilę, żeby porozmawiać z panną de Severs.

- Z panną de Severs? - powtórzył słabo Cam. Thomas Lowe uśmiechnął się błogo.

- Właśnie! Chodzi o nasze wspólne plany.

- Wasze wspólne plany? - Cam obniżył tembr głosu o jeszcze jedną nutę.

- Tak, na juto! - potwierdził młody, przystojny pastor, nie przestając się uśmiechać. - Umówiliśmy się, że dzieci mogłyby znowu pobawić się razem po południu. Lucy i Lizzy bardzo lubią Ariane.

- Jak miło - odparł Cam tonem bardziej szorstkim, niż zamierzał. - A teraz proszę mi wybaczyć. Zaraz wyjeżdżam do Devon.

- O tej porze? - zdumiał się proboszcz.

Cam energicznie skinął głową i wskazał mu miejsce na krześle.

- Zaraza spadła na mój majątek, a wiele osób zachorowało.

Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku szerokich, dębowych schodów.

- Będziemy się za nich modlić - powiedział Lowe. - Z Bogiem, milordzie.

Łagodne słowa proboszcza płynęły za Camem, gdy zaczął wchodzić po schodach, czując się podle i stanowczo niechrześcijańsko. Było to bardzo nieprzyjemnie, lecz głęboko zakorzenione wrażenie, które napawało go niejakim wstydem. Z podestu na piętrze patrzył, jak Thomas Lowe usadawia się na krześle w oczekiwaniu na Helenę. Niech to diabli!

* * *

Z ogromną niechęcią Helena zatrzymała się przed klasą. Podniosła rękę, żeby zapukać w drzwi, ale te były już uchylone. W środku zobaczyła Ca-ma w podróżnym surducie.

Na jego kolanach siedziała trzymająca w jednej ręce szmacianą lalkę Ariane i pilnie obserwowała twarz swojego taty.

- Musisz być grzeczna, kochanie - mówił łagodnie, dotykając palcem czubka jej nosa. - Dwa tygodnie szybko miną, obiecuję. Rób wszystko, o co poprosi cię panna de Severs. I zawsze pamiętaj, że papa cię kocha.

Spoglądając gdzieś w dal, pocałował córkę w czubek głowy, a ona zjechała z jego kolan i stanęła na podłodze. Kiedy zaczęła odchodzić,

chwycił ją jeszcze za rękę i z głośnym cmoknięciem ucałował jej otwartą dłoń.

- Rób wszystko, o co ona cię poprosi, dobrze, Ariane? - Tym razem spojrzał głęboko w jej błękitne oczy. - Wszystko - podkreślił ochryplym nagle głosem. - Chciałbym, żebyś tym razem bardzo się postarała. Czy zrobisz to dla mnie, kochanie?

Zupełnie jakby nic do niej nie dotarło, Ariane uśmiechnęła się z roztargnieniem i tanecznym krokiem odeszła, cały czas trzymając w dłoni szmacianą lalkę. Gdy dziewczynka oddaliła się do swojej sypialni, Helena zapukała w futrynę.

- Proszę. - Cam szybko wstał.

- Chciałeś ze mną porozmawiać? - spytała Helena beznamiętnym głosem, pchnięciem otwierając drzwi.

Czuła się jak intruz, który stał się świadkiem bardzo intymnej, rodzinnej sceny. Z przerażeniem stwierdziła, że jeszcze trudniej podtrzymać złość wobec ojca, który tak otwarcie kochał swoją córkę. Lecz gdyby nie czuła złości, musiałaby pogрузić się w smutku. A tego nie mogłaby znieść. Nie po raz kolejny.

Cam patrzył, jak Helena wchodzi niepewnie do klasy. I właśnie niepewność okazała się jedyną emocją, którą wyczytał z jej powściągliwego zachowania. Jakby między nimi wyrosła nagle zimna ściana formalności - w miejscu, gdzie niedawno istniała cicha zażyłość.

Dziś znowu nosiła podróżną suknię w kolorze wiśniowym, która to barwa wydawała się jeszcze cieplejsza w blasku ognia, gdy Helena z gracją podeszła do biurka. Cam wpatrywał się w jej oblicze, usiłując wyczuć jej nastrój. W przeciwieństwie do niegdysiejszej, młodzieńczej

Heleny, dorosła Helena potrafiła skrywać swe emocje jak każda inna dama z towarzystwa.

Wyczuł powstały między nimi dystans. Zmrużywszy oczy, zatrzymał przez chwilę wzrok na jej grzesznie pełnych wargach. Z pewnością już zauważyła tego przekłętą proboszcza w holu na dole. Mimo to nie sądził, by to osoba duchownego stała się powodem zmiany w jej zachowaniu.

A może to jego siostra zmęczyła ją swoim towarzystwem? Owszem, Helena była pełna życia, lecz niespożyta energia Catherine już nieraz wysysała życiodajną krew z mniej wytrzymałych śmiertelników. Być może Catherine niechcący obraziła uczucia Heleny czymś, co powiedziała lub zrobiła. Ha, wystarczy wspomnieć, co niemalże palnęła o Joan! Cat umiała być szczerą do bólu.

Powoli wypuścił powietrze, pocierając dwoma palcami dzisiejszy szorstki, ciemny zarost. Boże, jakież to był długi, wyczerpujący dzień. Nie chciał wyjeżdżać do Devon po ciemku, a z pewnością nie chciał opuszczać Heleny.

Pragnął odzyskać uczucie - wmawiał sobie, że to przyjaźń - które zaczęło ich łączyć. Czy to było możliwe?

- Czy i ciebie muszę upomnieć, żebyś była grzeczną dziewczynką? - spytał przekornie, zwalczając w sobie chęć objęcia Heleny, głaskania jej karku, przywarcia wargami do jej ust.

Jednak wszystko to spaliło na panewce. Lodowaty wzrok Heleny zmroził jego rękę i usta. Cofnęła się o krok i dosłownie znieruchomiała.

- Możesz na mnie liczyć, że zaopiekuję się Ariane - odparła spokojnie.

Przyglądał się Helenie, czując, jak ogarnia go przejmujący do szpiku kości strach, Coś tutaj było nie tak. Coś bardzo cennego wymykało mu się z rąk, pozostawiając jedynie rozpaczliwe uczucie niepokoju.

I nagle, pośród tego zmęczenia, strachu i bólu, straszna prawda jak nóż wbiła mu się prosto w serce. Wciąż kochał Helenę.

Głęboko. Beznadziejnie. Wydawało się, że wiecznie. Świadomość tego faktu spadła nań nagle, pewnym, ostrym cięciem z szybkością katowskiego miecza. Wzdrygnął się, gdy ta mglista myśl przybrała kształt najgorszego sennego koszmaru. Oraz jego jedynej nadziei.

Boże, proszę cię - powiedział w myślach. - Nie, nie, nie! Nie Helena.

Pożądanie mógłby jeszcze znieść, chociaż bardzo jej pragnął. A wspólne spędzanie czasu, co musiał z żalem przyznać, wciąż sprawiało mu ogromną przyjemność. Lecz nie mógłby przeżyć ponownej miłości do Heleny. O ile w ogóle kiedykolwiek przestał ją kochać. Boże. Chyba przestał, prawda? A jednak nie.

Zarówno wtedy, jak i teraz, Helena była ucieleśnieniem wszelkich niebezpieczeństw, jakie w wyobrażeniu Cama kryły się w kobiecie: zbyt lekkomyślna, zbyt pełna życia, i na własną zgubę zbyt piękna. Poczuł, jak jego uporządkowana egzystencja wymyka się spod kontroli, w mroczny świat niepewności.

To właśnie najbardziej go gryzło. Gdy chodziło o Helenę, tracił opanowanie. Była ostatnią kobietą na świecie, którą mógłby świadomie obdarzyć miłością. Lecz zaczęła do niego docierać bolesna i wprawiająca w zakłopotanie nauczka, którą przyswoił sobie podczas dziesięcioletniej samotności: mężczyzna nie zawsze mógł dokonywać wyboru. Bez Heleny

czuł się niepełny. Była to prosta prawda, którą znał, lecz której do końca nie rozumiał.

Wielkie nieba, potrzebował czasu! Żeby sobie to wszystko jakoś uporządkować. Gdzieś daleko, za zamkniętymi drzwiami, korytarzem przeszedł jakiś służący, pobrząkując pękiem kluczy. Dzwon na wieży kościoła Świętego Michała wybił kolejną połówkę godziny. Ledwie słyszał te odgłosy, tak bardzo pograżył się we własnych pragnieniach, obawach i nadziejach.

Lecz Helena wydawała się całkowicie nieświadoma targających nim emocji. Beznamiętnie patrzyła na niego, otwierając oprawiony w skórę dziennik, który leżał na blacie. Przelatujące jedna po drugiej białe kartki przywróciły Cama do rzeczywistości.

- Co mogłabym ci powiedzieć o planach naszych lekcji, milordzie?

Czar prysł. Cam zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi i zamknął je.

- Heleno. Myślę... moja droga, że musimy porozmawiać.

I w tym momencie po prostu zabrakło mu słów. Patrzył na nią niewidzącymi oczami. A jej spojrzenie pozostawało niezmienione. Zbliżył się, dotykając dłonią swojej skroni.

- Posłuchaj, Heleno... czy... wszystko w porządku? Wydajesz się... jakaś inna.

- Ze mną wszystko w porządku, milordzie. - Minęła go, by stanąć za biurkiem. Gdy przechodziła obok, poczuł zapach jej włosów.

Oparł jedną rękę na biodrze, drugą przecesał nieco już zmierzwiłone włosy, po czym zmrużył oczy, taksując Helenę wzrokiem.

- Posłuchaj mnie... to mi wygląda bardzo podejrzanie. Jeszcze niecałą godzinę temu znowu byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. A teraz... teraz...

- Wiesz, Cam - powiedziała z wahaniem - ja nie mam pewności, czy powinniśmy być przyjaciółmi. - Mówiła cichym, łagodnym głosem z delikatnym odcieniem słodko-gorzkiej emocji. - Teraz jestem twoją pracownicą.

Obszedł biurko, żeby znaleźć się tuż obok niej.

- Moją pracownicą? - powtórzył głucho. Spojrzał jej w twarz, która ciągle nie wyrażała żadnych emocji, lecz w tych pełnych wyrazu oczach... o, tak. Dojrzał to. W bezdennej głębi tych ciemnoniebieskich oceanów czaił się autentyczny smutek.

Na Boga, nie spodziewał się, że zobaczy coś takiego. I nie był przygotowany, żeby coś z tym zrobić. Podrapał się po twarzy, lecz nic nie pomogło. Zrozumiał, że Helena nie jest zła, chociaż ze złością umiałby sobie poradzić. Tak, co innego było zostać ostrzelanym przez błyskawice zimnego jak lód spojrzenia, a zupełnie co innego ujrzeć te same oczy przygasłe nieprzeniknionym przygnębieniem.

Nagle Cam poczuł, że w tej chwili nie byłby w stanie znieść myśli o rozstaniu z Heleną. Ani też bolesnej tęsknoty i dzielącej ich odległości. Między nimi było zbyt wiele niewyjaśnionych rzeczy, podobnie jak w jego myślach. Wyciągnął rękę, lecz Helena odwróciła głowę. Cierpiała. Chciał ją wziąć w ramiona i pocieszyć.

Lecz od razu stało się jasne, że Helena nie oczekuje jego pociechy. Stawiła niemy opór, gdy Cam bezceremonialnie wziął ją w objęcia, nie mogąc już dłużej się powstrzymać. Wiedząc, że później będzie żałował

swojego zachowania, zwalczył jej protesty i nachylił głowę, by przycisnąć usta do jej ust. Półprzytomnie wywnioskował, że tym sposobem zdoła ukoić nie tyle smutek Heleny, co ten dziwny, nowy chłód.

Pragnął znów poczuć jej smak od chwili, gdy wyszła z jego gabinetu tamtej nocy, pozostawiając go samego i zdesperowanego. Teraz mógł to przyznać, gdy znowu przywarł do jej warg. Ach, jakież były miękkie i słodkie. Dobrze je pamiętał.

Uwięziona w ramionach Cama, Helena wciąż zaciskała jedną pięść na jego fularze. Lecz pod jego pocałunkiem rozchyliła już usta, dając mu wstęp do swego ciepłego, wilgotnego wnętrza w tej zaprawionej kroplą goryczy pieszczocie.

Pocałunek Heleny był wszystkim, co pamiętał, był jednak czymś więcej. Jej opór czynił go jeszcze słodszy. Jednak nie ruszyła się, gdy wsunął dłoń w jej włosy tuż nad karkiem i przyciągnął jeszcze mocniej, by nasycić swe usta.

Jęknęła i uniosła się, by jeszcze mocniej przylgnąć do jego ciała, przez co materiał sukni zsunął się nieco, uwypuklając jedyny biust. Puściła fular, by przesunąć dłonią po biodrze i silniej przycisnąć go do siebie. Oddała mu pocałunek z ognistą, niemalże rozziewającą serce namiętnością.

Świadomość, że Helena wciąż go pożąda, lotem błyskawicy rozpałała mu lędźwie. Całował ją jeszcze bardziej zaborczo, z odwagą, którą rościł sobie do niej prawo w najbardziej intymny sposób, w jaki mężczyzna może zawładnąć swoją kobietą. Myśl o pocieszeniu Heleny już wywietrzała mu z głowy. Czuł w spodniach twardą jak kamień erekcję.

To się nie mogło dobrze skończyć. W sumie powinien przyjąć to do wiadomości. Mógł się skupić tylko na jednym: że musi zabrać Helenę z tego pomieszczenia. Do swojej sypialni. Rozebrać ją. I uczynić swoją.

Fakt, że znajdował się na najlepszej drodze do nieszczęścia, jakoś uszedł jego uwadze. Przesunął dłonią po plecach Heleny, po kształtnych biodrach, by przyciągnąć ją ku sobie, zarazem jeszcze mocniej wpijając się w jej usta. Było to tak zmysłowe doznanie, że Cam aż się wystraszył. Myślał, że eksploduje, zanim jeszcze w nią wejdzie.

Tym razem naprawdę zamierzał w nią wejść. Tak pomyślał, zadzierając do góry ciężki aksamit jej sukni na biodrach. Nic na świecie nie było w stanie zmienić jego...

Pukanie do drzwi podziałało na Helenę niczym kubeł lodowatej wody.

Zesztywniała, a ramię Cama uparcie wędrowało coraz wyżej, tym bardziej ograniczając jej ruchy. Jednak po chwili szarpnęła się do tyłu. I dopiero wtedy jego mózg zarejestrował przestrach Heleny. Oderwał się od jej ust, a wtedy kątem oka dostrzegła Crane'a, pokojowego, który dyskretnie wycofywał się z klasy.

Cam również go zobaczył, gwałtownie nabierając łyk powietrza.

- Crane, do cholery! Czego chcesz? - ryknął, brutalnie odsuwając od siebie Helenę.

Na dźwięk tych słów starszy mężczyzna znieruchomiał. Najpierw ostrożnie odchrząknął, a potem odwrócił się, nie wypuszczając z dłoni klamki.

- Chodzi o pańskie kufry, milordzie. Oraz lekarstwa i jedzenie.

Wszystko załadowane do powozu. Młody pan Rutledge już czeka na dole.

- Po tych słowach niewzruszony służący zamknął za sobą drzwi.

Cam przeniósł wzrok na Helenę. Na jego twarzy malowały się różne emocje: konsternacja, gniew, zduszone pożądanie. Powinna była odepchnąć go, uderzyć prosto w te bezczelne usta, gdy przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze raz, tym razem twardo i szybko. Zawstydzona, nawet nie usiłowała protestować.

- Nie martw się o Crane'a - powiedział, muskając ustami jej włosy. Mówił ochryple i szorstko, jednocześnie przyciskał Helenę do swojej piersi. - Ręczę ci, że jest uosobieniem dyskrecji.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz on po prostu pocałował ją jeszcze raz, uniemożliwiając oddychanie. W końcu powiedział:

- Muszę jechać, Heleno. Z bożą pomocą wrócę za dwa tygodnie. A wtedy będziesz mogła bezkarnie wyżywać się na mnie. Ale uporządkujemy ten cały bałagan, obiecuję ci.

Pokręciła głową. Łzy upokorzenia wezbrały w jej oczach, grożąc szybkim wylewem.

- Niczego nie uporządkujemy. Moje stanowisko nie uległo zmianie. Nie zostanę twoją kochanką bez względu na to, jak bardzo cię pragnę.

Dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Wielkie nieba, zaczynam wierzyć, że niemal wszystko zepsułem - odpowiedział w końcu. - Boże, jakże bym nie chciał teraz cię opuszczać. Ale muszę.

Dość bezczelnie pocałował ją po raz trzeci, po czym ruszył do drzwi na korytarz, głośno postukując o podłogę butami do konnej jazdy. Kiedy znalazł się przy drzwiach, gwałtownie przystanął.

- Za dwa tygodnie, Heleno - powiedział, odwracając się do niej, aż poły płaszcza zawirowały wokół jego nóg. - Jeśli sprawy w Devon nie dadzą się poukładać, pozostawię tam Bentleya, a sam wrócę do Chalcote. Przysięgam.

Po chwili już go nie było, a Helena została w klasie sama, pełna wstydu i złości, przyciskając palce do opuchniętych warg.

RS

Rozdział 12

Panna de Severs odkrywa smak burzy i walki

Nieustępliwy, rześisty, nieprzyjemny deszcz zaczął padać tego wieczoru, przemieszczając się nad Kanałem Bristolskim i w górę rzeki Severn, pogrążając w strugach wody Anglię od Peterborough aż po Penzance. Znalazłszy się w centrum niespotykanej o tej porze roku burzy, Cotswolds przyjęło na siebie cały impet tego kaprysu matki natury. Niedługo po północy strumienie w dolinie wystąpiły z brzegów.

Helena nie mogła spać. Rozsunęła ciężkie kotary z adamaszku w oknie swojej sypialni, gdy zegar na podeście schodów wybił godzinę trzecią. Wpatrując się w ciemną noc, pomyślała, że skoro Cam pojechał drogą na południowy zachód, to bez wątplenia dostał się w samo oko tego cyklonu. Niespokojnie zacisnęła dłoń w pięść i zaczęła pocierać szybę, bezskutecznie. Noc była tak ponura i czarna jak nastrój, który nękał ją przez cały wieczór. Za szybą nic nie było widać, jeśli pominąć odbicie jej własnej surowej twarzy.

Za jej plecami ogarek świecy, którą zapaliła, wstając, dogorywał, pogrążając pokój w ciemności przepełnionej ciężkim zapachem stopionego wosku.

Lecz niebawem i ten aromat zanikł. Nie było żadnego światła, żadnego dźwięku, w Chalcote panowała przytłaczająca cisza. Helena czuła się pochłonięta przez tę martwość. Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna i opuszczona. A także zawstydzona.

Wraz z kolejnym powiewem burzy przycisnęła palce do chłodnej szyby, po prostu żeby poczuć coś innego. Próbowwała nie martwić się o to,

gdzie się teraz znajduje Cam. Zresztą w ogóle nie miała powodów, żeby się nim interesować. Lecz chyba jednak pokierował się rozsądkiem i stanął na noc w jakimś zajeździe przy drodze do Devonshire? Jadąc wierzchem, pomimo peleryn, on i Bentley przemokliby do suchej nitki.

Poza tym był jeszcze woźnica, lokaj, no i Crane. Ich powóz, załadowany ziołami pani Naffles, eliksirami i jedzeniem, mógł być już po osie unurzany w błocie. Pozwoliła dłoni powoli opaść z wilgotnej szyby i odwróciła się do łóżka, zła na samą siebie. Pozwoliła Camowi, by pozbawił ją snu na kolejną noc, pozbawił ją dumy, a także... tak, duszy.

Przygnębiona, opuściła bezwładnie ręce. Jedynym dźwiękiem był teraz nieregularny szum ulewnego deszczu, który zmieniał kierunek, uderzając od czasu do czasu rozpryskującymi się strugami o szybę.

I wtedy to usłyszała...

Cichy, przenikliwy, niemalże niesłyszalny jęk. Instynktownie wyteżyła słuch, jak zwykle szybko dostrajając się do dźwięków. Odgłosy wydawane przez niespokojne dzieci zawsze przyciągały jej pełną uwagę. Czyż istniał odgłos bardziej rozdzierający serce niż płacz dziecka bojącego się ciemności? Albo dziecka dręczonego sennym koszmarem?

Narzuciła szlafrok na nocną koszulę i pobiegła korytarzem; minęła klasę, wreszcie znalazła się przed drzwiami do sypialni Ariane. Otworzyła je i podeszła do łóżka dziewczynki, skąd dobiegało ciche łkanie.

Najwyraźniej dziewczynka odczuwała teraz skutki stresującego wieczoru. Widać było, że od dłuższego czasu wierciła się i przewracała na łóżku. Czy można było się dziwić? Po pierwsze, nieoczekiwany wyjazd ojca, a teraz jeszcze ta gwałtowna burza.

Nagle dziewczynka zacisnęła jedną piąstkę na pościeli, odwracając się do Heleny, i cicho jęknęła.

-Nie...

Zaczęła kopać nogą w ścianę.

- Nie, nie! Nie zostawiaj mnie! - Znowu zanosła się płaczem. - Nie, nie powiem... Nie powiem! - wyszeptała żałośnie. - Nie zostawiaj mnie!

Słowa dziewczynki były przesiąknięte cierpieniem.

W końcu Helena zdała sobie sprawę, że są one wymawiane bezbłędnie, z idealnym akcentem. Zszokowana, zasłoniła sobie dłonią usta i przykucnęła obok łóżka. Nie wiedziała, co dalej robić. Niemal jednocześnie otworzyły się jeszcze dwie pary drzwi. W jednych stanęła Martha, trzymając w górze skwierczącą świecę. Zaś od strony korytarza weszła Catherine we flanelowej koszuli, która kiedyś była dobrze dopasowana, lecz teraz wyraźnie zbyt obcisła.

Ariane wciąż rzucała się na łóżku, a Catherine jednym rzutem oka ogarnęła całą sytuację.

- Miała zły sen? - szepnęła, nachylając się z niepokojem nad łóżkiem.

- Bardzo przepraszam, lady Catherine - powiedziała cicho półprzytomna Martha. – Właśnie usłyszałem, jak ona płacze, biedactwo! Strasznie mocno waliła w ścianę. - Pokojówka zbliżyła się, unosząc lichtarz wyżej, aby oświetlić łóżko.

Ariane obudziła się niemal natychmiast i zamrugła jak sowa oślepiąca blaskiem. Usiadła, popatrzyła na trzy pochylone nad łóżkiem twarze, po czym gwałtownie łapiąc powietrze, rzuciła się w ramiona Heleny, niemalże powalając je obie na plecy.

- Już dobrze - powiedziała cicho Helena, podnosząc dziewczynkę z łóżka i przenosząc na pobliskie krzesło. - To tylko zły sen. Zły sen. - Posadziła sobie Ariane na kolanach i uspokajająco poklepała ją po plecach. - Wszystko już dobrze. To tylko burza. Deszcz i trochę hałasu, ale nie ma się czego bać.

Helena mruczała do niej cicho, a Ariane bez słowa przytuliła się jeszcze mocniej, jak gdyby tak naprawdę w ogóle się nie rozbudziła. Helena popatrzyła na Marthę i skinieniem głowy dała znak pokojówce, żeby ta podała jej koc z łóżka, którym okryła szczupłą postać dziecka. Tymczasem Catherine zajęła się wyrównywaniem stłamszonej pościeli, zaś pokojówka zapaliła kilka świec, aby w sypialni zrobiło się widniej.

- Martho - odezwała się Catherine po kilku chwilach ciszy. - Bądź tak dobra, zjedź do kuchni i podgrzej trochę mleka. Chyba bardzo by się tu przydało.

Gdy dziewczyna wybiegła wykonać polecenie, Catherine wygładziła ostatnią zmarszczkę na pościeli Ariane i niespokojnie spojrzała na Helenę.

- Myślę, że ona już zasnęła - powiedziała Helena ponad głową Ariane. - Może to mleko nie będzie konieczne?

Siostra Cama przyjrzała się jej z bardzo bliska.

- To mleko miało być dla nas - odparła Catherine. - Coś mi się zdaje, że tej nocy nie spałaś wcale lepiej ode mnie, bo inaczej nie byłabyś teraz na nogach.

Nawet jeśli Catherine była zazdrosna, że jej bratanica rzuciła się w objęcia Heleny, nie dała tego po sobie poznać. Zamiast tego szybko odwinęła pościel, gdy Helena wstała, by położyć dziewczynkę z powrotem do łóżka. Potem Catherine delikatnie przykryła Ariane, która od razu

zaczęła ssać sobie kciuk i położyła się na boku, wciskając się mocno w materac. Jej jasne, jedwabiste włosy rozsypały się szerokim wachlarzem po poduszce. Jeszcze przez jakiś czas obie kobiety stały przy łóżku, w ciszy spoglądając na dziecko.

Helena wciąż nie była w stanie pojąć tego, co się wydarzyło, zanim Catherine i Martha weszły do pokoju. Lecz jedno było pewne. Ariane przemówiła! Było to błogosławieństwo, spełnienie najgorętszych modlitw, mimo to nie wiedziała, czy ma o tym komuś powiedzieć, nawet Catherine.

Dlaczego? Helena nie miała pewności, ale to było tak, jakby dotrzymywała tajemnicy, jaką Ariane skrzętnie ukrywała przed całym światem. Z przyczyn, których Helena do końca nie rozumiała, wydawało się jej niewłaściwe obwieszczenie światu, że dziecko uważane za nieme umie mówić. Nie obwieści tego, dopóki nie pozna powodów tak długiego milczenia.

Zresztą było jeszcze wiele innych pytań domagających się odpowiedzi. Czy Ariane może mówić tylko nieświadomie? Helena nie miała wątpliwości, że to jest możliwe. A może dziewczynka celowo ukrywała swoją zdolność? A jeśli tak, to dlaczego?

- Nie ma żadnego podobieństwa, prawda?

- Niewinny komentarz Catherine wyrwał Helenę z zamyślenia.

-*Millepardon... !* - odpowiedziała bezwiednie.

Uniosła głowę, żeby spojrzeć na siostrę Cama, lecz ta już kierowała się do klasy.

Helena energicznie poszła jej śladem. Catherine usiadła na krześle przy długim stole i zaczęła skrobać paznokciem kciuka po inicjałach

wyrytych w starym blacie przez jakiegoś dawno zmarłego przodka Camdena. Helena wyczuła, że coś nie daje Cat spokoju.

- Wypijmy mleko tutaj, dobrze? - poprosiła cicho Catherine.

Helena zajęła miejsce naprzeciwko niej. Lecz niemal natychmiast Catherine skoczyła na równe nogi i zaczęła przechadzać się po sali.

- Tyle dawnych wspomnień - szepnęła, spoglądając na nieuporządkowaną kolekcję morskich muszli.

Helena nie odpowiedziała, więc Catherine podeszła z kolei do wiszącego po drugiej stronie klasy obrazka, żeby wyrównać go na ścianie; wreszcie przebiegła palcem po grzbietach leżących na półce, zniszczonych książek.

Nieoczekiwanie odwróciła się do Heleny.

- Wybacz mi, nie powinnam była tego mówić - stwierdziła z nieprzeniknionym obliczem. Zdezorientowana Helena podniosła wzrok.

- Stare wspomnienia? - Zaśmiała się cicho.

- Obawiam się, że wszyscy je mamy. Catherine zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała natarczywie, wracając do stołu. Nachyliwszy się, położyła dłonie na blacie. - Proszę, błagam cię, Heleno. Nigdy nie powtarzaj moich słów Camowi. Za nic w świecie nie chciałabym go zranić.

- Mówisz o tym, co powiedziałaś mi na temat Ariane?

Siostra Cama w milczeniu kiwnęła głową i ciężko usiadła na krześle.

- Oczywiście, że nie powtórzę - obiecała Helena, kładąc rękę na jej dłoni w uspokajającym geście. - I co to oznacza, Catherine? Masz rację, Ariane nie jest podobna do swojego ojca. Lecz przecież twój brat też ma

oczy i na pewno sam to zauważył już dawno temu. Ona po prostu jest podobna do matki, to wszystko.

- Nie - rzekła ponuro Catherine. - Wcale nie jest. Może włosy... ale nawet one nie są takie same. Kocham ją, lecz Ariane często sprawia wrażenie, jakby była... duchem.

- Duchem? Moja droga, co chcesz przez to powiedzieć?

W tym momencie Martha wróciła z kuchni, więc przestały rozmawiać.

Helena popijała mleko, rozmyślając nad słowami Catherine, która wyraźnie była czymś zaniepokojona. Jakby coś ją gnębiło. Chciała o tym porozmawiać, lecz nie była pewna, komu może zaufać.

Lecz Helena nie rwała się, by zachęcać Catherine do zwierzeń. Miała dużo sympatii do siostry Cama, lecz pamiętała o swojej niepewnej pozycji w domu rodziny Rutledge'ów. Wcześniejsza rozmowa z Catherine pokazała jej to zupełnie wyraźnie i nawet teraz Helenie trudno było ukryć ból. Cam miał pojąć za żonę swoją młodszą kuzynkę. Helena była jedynie guwernantką. Nie powinna się angażować w rozmowy o ich rodzinnych sprawach, nawet z Catherine.

Podjeżdżała, że Catherine musi być rzeczywiście zdesperowana, skoro gotowa była sformułować swe obawy, choćby nawet w tak zawoalowany sposób. Nie, wyraźnie było widać, że siostra Cama uwielbia Ariane i gotowa jest zrobić dla niej bardzo wiele.

W milczeniu dopiły mleko.

- No cóż. - Catherine odstawiła kubek, spoglądając nieco dłużej na Helenę. - Idę do łóżka, chyba że mogłabym jeszcze w czymś pomóc?

Chwila ich zażyłości minęła. Pomimo trawiącej ją ciekawości Helena wiedziała, że tak będzie najlepiej.

- Nie. Ariane już zasnęła. I dziękuję ci, Catherine. Cieszę się, że zostałeś na tę noc w Chalcote. Świadomość, że tu jesteś, na pewno bardzo pomaga Ariane. Bo mnie pomaga bardzo.

* * *

W czasie długich godzin przed świtaniem Cam walczył z własnymi demonami, wierząc się nerwowo pod wilgotną i zimną pościelą. Godny pożałowania stan pościeli wynikał częściowo z jego własnej winy, podobnie jak sny, odbierające mu odpoczynek. Wieczór dłużył się bez końca, nawet zanim rozpadało się na dobre.

Z początku miał silne postanowienie, żeby przeć do przodu, bez względu na pogodę. Lecz w końcu został pokonany przez aurę. Tak więc po drugiej w nocy, zmęczony, mokry i przemarznięty stanął przed gospodą „Pod Łabędziem” i waleniem pięścią w drzwi obudził właściciela. Dostał ostatni wolny pokój, a w zasadzie komórkę z nierównym materacem. Natychmiast rzucił się na łóżko w nadziei, że szybko przeniesie się w błogi niebyt.

Lecz sen nie przychodził. Teraz zdał sobie sprawę, że wyjazd do Devon przed samą burzą - burzą na niebie i w jego sercu - nie był dobrą decyzją. Z każdą kolejną milą Cam nabierał przekonania, że źle uczynił, pozostawiając Helenę. Była w podłym nastroju, a sprawy między nimi wciąż pozostawały niewyjaśnione.

Przez całą podróż dręczyły go wątpliwości i niepokój, a także trudne do opanowania pragnienie bycia razem z nią. Wciąż nie wiedział, co powinien zrobić. Dziwne. Nigdy dotąd nie był tak niezdecydowany. Lecz

w klasie doświadczył czegoś na kształt objawienia, zaczął rozumieć, że małżeństwo z Joan byłoby straszną pomyłką. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

W czasie podróży zdał sobie także sprawę, że musi również brać pod uwagę inne osoby. Odnosił wrażenie, jakby brzemień odpowiedzialności za sprawy rodziny przytłaczało go swym ciężarem z ogromną siłą, a on zaraz spadnie na ziemię prosto pod końskie kopyta. Potem drobny deszcz zmienił się w prawdziwą ulewę, więc musieli zostawić za sobą powóz gdzieś na północ od Bath.

Mimo to Cam za wszelką cenę chciał jak najszybciej dojechać do Devon, głównie po to, by następnie jak najwcześniej wrócić do domu. Tak więc parł naprzód, pozostawiając Crane'a i pozostałych służących w ciepłym wnętrzu przydrożnego zajazdu. Lecz Bentley - w jakimś głupim uporze, by spróbować dorównać swą męskością Camowi - nalegał, aby mu towarzyszyć. Razem dotarli tylko do Wells i musieli się poddać.

Właśnie rozległo się głośne szorstkie chrapanie, przypominające mu o obecności brata. Cam z kwaśną miną spojrzał na drugi skraj wąskiego materaca, gdzie spał jego uroczy towarzysz łoża, po czym solidnie dźgnął go łokciem w żebra. Irytowało go, że Bentley śpi sobie smacznie niczym niewinne dziecko, zaś on sam wciąż miota się na jawie. W obecnym nastroju Cam wolałby chyba spać w stajni, lecz nawet tam nie było już miejsca.

Bentley chrapał donośnie jeszcze raz, tym razem wręcz zacharczał, jak ciągnący pług pod górę koń starego Angusa. Wtem Camowi stanęła przed oczami straszna wizja - wizja młodszego brata umierającego na zapalenie płuc. Nie powinien był zabierać go w taką szaleńczą podróż!

Lecz już po chwili Bentley zamaszystym ruchem położył rękę na piersi Cama, przytulił się zalotnie i westchnął słodko prosto w ucho brata. Zdegustowany Cam odrzucił jego ramię, ale śpiący głębokim snem Bentley cmoknął dwa razy, poklepał go delikatnie po piersi i zaraz zakopał się pod kocem.

Cam się odwrócił. Próbując ignorować brata, chciał skupić się na sprawach, które nie dawały mu spokoju podczas podróży. Przez pierwsze osiem mil jazdy Cam celowo zajął miejsce w karecie razem z Crane'em, gdzie trochę rozmawiali, chociaż w niezbyt swobodnej atmosferze.

Cam niewiele wiedział o życiu Heleny w okresie ich rozłąki, lecz z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu, jej przeszłość szybko traciła na znaczeniu. Wszelako Cam bardzo niepokoił się o przyszłość. Nie mógł dopuścić, by jej dobre imię ucierpiało za sprawą jego postawy. I chociaż ufał bezgranicznie staremu służącemu, to wiedział, że należy mu się jakieś wyjaśnienie w związku z kompromitującą sytuacją, w jakiej zobaczył Cama i Helenę.

Wielka kareta z głośnym dudnieniem pędziła na południe, a Crane w milczeniu obserwował swojego pana. A po tym, jak Cam wydukał wyraźnie zmyśloną opowiastkę, jak wredny komar wpadł pannie de Severs prosto w oko, służący wciąż spoglądał nań beznamiętnie, jeśli pominąć nieznaczny uśmiezek w kąciku ust.

- O, tak - zgodził się cicho, gdy Cam nerwowo szukał po kieszeniach fajki. - Kontuzja oka to zaiste rzecz bardzo irytująca, wymagająca pielęgnacji.

Lecz gdy Cam był zajęty dokładnym czyszczeniem główki fajki, stary służący zaczął zadawać pytania.

Więc milord został poproszony o podejście bardzo blisko, nieprawdaż, aby pomóc panie de Severs uporać się z natrętnym owadem? Crane z właściwą sobie subtelnością dodał jeszcze, że dla nieorientowanego obserwatora mogło to wyglądać tak, jakby milord mógł całować zatrudnioną przez siebie guwernantkę!

- Wcale tak nie było! - warknął Cam. Znowu nerwowo przetrząsał swoje kieszenie, tym razem w poszukiwaniu tytoniu.

- Jasne, że nie! - zgodził się służący, zdecydowanie zbyt łatwo. - Panna de Severs to dama w każdym calu. Nigdy nie całowałyby się z mężczyzną, któremu nie byłaby w całości oddana.

- Właśnie - rzekł Cam. I nagle, dawszy sobie spokój z fajką, dłuższą chwilę przyglądał się Crane'owi spod zmrużonych powiek. - Co chciałeś przez to powiedzieć? - wyrzucił z siebie w końcu. - Sugerujesz, że ona... że jakaś kobieta... nie chciałaby mnie pocałować? To znaczy... gdybym miał szlachetne intencje? I gdybym był wolny, aby to zrobić, i tak dalej?

Crane tylko wzruszył ramionami, spoglądając przez okno.

- O to powinien pan spytać pannę de Severs, milordzie - odparł cicho.

Na te słowa Cam aż poczerwieniał ze złości.

- To było retoryczne pytanie, Crane - powiedział z naciskiem.

Do licha, co też on wyczynia? Już wcześniej gadał z własnym kotem. A teraz prosi własnego pokojowego o sercową poradę dla usychającego z miłości kochanka. Jakież to żałosne.

Minęła dłuższa chwila, zanim służący ponownie się odezwał.

- Mnie też coraz bardziej podoba się ta młoda dama. Zawsze mi się podobała, gdy była jeszcze małą, psotną dziewczynką. Zawsze myślałem,

że ma w sobie tyle uroku i życia. - Odchrząknął. - I panu też ona się podoba, prawda, milordzie?

Cam spojrział na niego spode łba.

- A co to ma do rzeczy? Służący nieznacznie uniósł brwi.

- Ależ milordzie! Ja tylko próbuję podtrzymać rozmowę. O ile pamiętam, milordzie, to pan przywiązał swojego wierzchowca do karety i wsiadł do środka, żeby „zapalić fajkę i pogadać”, jak sam pan powiedział.

- Tak - przyznał Cam lakonicznie, wsuwając z powrotem do surduta fajkę i kapciuch z tytoniem. - Masz rację. I owszem, bardzo mi się podoba panna de Severs. Jest wspaniałą... nauczycielką i, jak słusznie zauważyłeś, prawdziwą damą.

Crane przyjrzał się znacząco swojemu panu.

- Czy coś jest nie tak, milordzie? - spytał w końcu. - Ostatnio jakby nie jest pan sobą.

Cam spoglądał na czubki swoich butów.

- Nie, Crane. Tylko Bentley ostatnio gra mi na nerwach.

- Tak? - Białe, krzaczaste brwi służącego uniosły się gwałtownie. - A więc to młody pan Bentham wpędził pana w tak podły nastrój? A ja myślałem... chociaż może się myliłem... że to panna de Severs.

W tym momencie dla Cama stało się oczywiste, że służący za dużo sobie wyobraża, więc postanowił sprowadzić go na ziemię.

- Nie wiem, co usiłujesz imputować, ale chyba wiesz, że zaraz po zakończeniu żałoby mam ogłosić swoje zaręczyny. I mam pojąć za żonę pannę Belmont, która jest śliczną dziewczyną. Nie przeszłoby mi przez głowę, żebym miał ją w jakikolwiek sposób zranić.

- Proszę mi wybaczyć, że to mówię, milordzie - odpowiedział łagodnym tonem Crane - ale panna Belmont jeszcze nie jest pańską żoną. A wasze zaręczyny też nie zostały ogłoszone. To oczywiście nie jest moja sprawa, ale to ciekawe, czy omówił już pan z pańską ciotką Belmont wszystkie ustalenia i szczegóły dotyczące małżeństwa? Można by się nawet zastanawiać, czy jest to kwestia wyimaginowanej powinności, czy też autentycznego uczucia.

- Znam Joan od dziecka. Oczywiście, że mam do niej uczucie.
Crane zmarszczył czoło.

- No cóż, milordzie, powiem tak: czy złożył pan propozycję pannie Belmont? I czy została przyjęta?

- Chodzi ci o oświadczenia? Nie. Ale to rozumie się samo przez się.

- Rozumie się przez kogo? - Crane zmrużył powieki. - Przecież nie żeni się pan z panią Belmont, milordzie. A może młoda panna Joan pragnie wyjść za mąż z miłości? W końcu nie żyjemy już w mrocznym średniowieczu.

- O co ci chodzi, Crane?

- Tylko o jedno, milordzie. Gdy honorem mężczyzny jest jego słowo, a honor należy zachować ponad wszystko, to trzeba mieć pewność, że się wie, co się czyni danym słowem.

Na tę uwagę Cam walnął pięścią w dach karety, wysiadł i wskoczył na grzbiet wierzchowca. I od tamtej chwili nie zaznał choćby kilku sekund spokoju. A teraz, w mrocznym świetle budzącego się dnia, Bentley stęknął cicho i przytulił się do jego pleców, po czym uwodzicielsko pogłaskał starszego brata po biodrze.

Jak to często bywa, dni po burzy przyniosły nad Cotswolds piękną, słoneczną pogodę, jednak Helena wciąż była nachmurzona. Pocieszające było to, że Catherine zaglądała do Chalcote bardzo często. W czasie drugiej wizyty podzieliła się z Heleną treścią listu otrzymanego od Cama. Sprawy w Devonshire ulegały poprawie, więc zgodnie z wcześniejszymi planami pragnął wrócić do domu w ciągu dwóch tygodni.

Nieco radości w życiu Heleny wносиły też wizyty Thomasa Lowe'a, który odwiedzał ją po południu co drugi dzień. Chociaż obie jego siostrzenice sprawiały wrażenie raczej hałaśliwych, to spełniały jedno ważne zadanie: wyciągały Ariane - być może nieco na siłę - z jej zamkniętej skorupy. Jednego razu, gdy dziewczynki bawiły się w chowanego, Helena mogłaby przysiąc, że usłyszała cichy chichot śmiejącej się do siebie córki Cama.

Jeśli chodzi o Helenę, pod nieobecność Cama czas bardzo się jej dłużył. Stwierdziła też, że obsesyjnie nęka ją dwie zupełnie odmienne obawy. Dlaczego Ariane nie odzywa się, skoro najwyraźniej może mówić? I co Cam miał na myśli w swoich ostatnich słowach przed wyjazdem do Devonshire?

Co do pierwszej sprawy, Ariane doskonale radziła sobie podczas lekcji, a Helena coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jej wstępna ocena dotycząca dziewczynki była trafna. Zaczęła nawet się zastanawiać, czy nie powinna po prostu temu dziecku powiedzieć, że wie o jego umiejętności mówienia. Powstrzymywała ją jedynie niewiedza dotycząca przyczyn takiego zachowania, gdyż nie chciała podejmować ryzyka przysporzenia małej dodatkowych cierpień.

Lecz gdy chodziło o Cama, umiejętność mówienia na niewiele się zdała, gdyż Helena nie miała pojęcia, co oznaczały jego słowa. Wróć... i uporządkujemy ten cały bałagan. Tak powiedział. A jednak, gdy wciąż powtarzała, że nie zostanie jego kochanką, on nie odpowiadał. Wciąż ją całował, a ona wciąż mu na to pozwalała, a przecież powinna była dać mu w twarz.

Bolało ją do żywego, że Cam wabił ją do swojego łóżka, a przecież miał poślubić Joan Belmont, który to związek był od dawna ustalony. Boże, niewiele brakowało, a wtedy kochaliby się na podłodze w jego gabinecie! Co też ona sobie wyobrażała? Że on się z nią ożeni?

Teraz, w świetle tych zaręczyn, słuszne oburzenie Heleny wręcz nie dawało jej spać. Jak on śmiał ją prosić, by została jego utrzymanką? Może to grzeszne zachowanie Heleny dało mu przyzwolenie na taką propozycję, ale świadomość, że uczynił to w okresie oczekiwania na własny ślub, czyniło tę sprawę jeszcze trudniejszą do przyjęcia. Takie zachowanie było zupełnie niepodobne do mężczyzny, za jakiego miała Camdena Rutledge'a. A naprawdę myślała, że go zna. Chociaż Bentley naśmiewał się z nadmiernej powagi i sztywności brata, to jednak życie jeszcze nauczy młodziana - tak jak nauczyło Helenę - że należy cenić człowieka, który samą siłą woli potrafił postawić obowiązek i honor ponad wszystko inne.

Nawet w okresie dorastania, niezachwiany charakter Cama był w dużej mierze tym, co tak bardzo przyciągało do niego Helenę. Jego siła i stałość wybijały się pośród całego morza wszechobecnej nonszalancji i ludzkiej słabości. Kiedy Cam ręczył swoim słowem, to zawsze go dotrzymywał. Była to godna szacunku zaleta, która jednak czyniła obecną sytuację jeszcze bardziej stresującą.

Faktem jest, że jako bardzo młoda dziewczyna celowo drażniła go i kusiła, lecz tak naprawdę pragnęła zwrócić na siebie jego uwagę, a w końcu zdobyć jego miłość. Nie chciała jego upadku. Nigdy. I nadal chciała, by ją pokochał! Cierpiała na myśl, że być może jednak nie jest człowiekiem, za jakiego go uważała. Jej serce krzyczało, że Cam się nie zmienił, lecz Helena bała się słuchać głosu swego serca.

Jesienne słońce przyjemnie ogrzewało przez ciemną pelerynę, lecz Helena była tak zagłębiona w swoich rozmyślaniach, że ledwie słyszała śmiechy dziewczynek biegających dookoła w wesołej zabawie.

- Panno de Severs?

Siedziała na ławeczce w ogrodzie. Na dźwięk głosu uniosła głowę i zobaczyła Thomasa Lowe'a, który zbliżył się do niej po następnej kolejce zabawy w ciuciubabkę.

- Obiecała mi pani pokazać owalny ogród, prawda? - powiedział radośnie, podając jej ramię.

- Dziewczynki mogą pobawić się trochę same.

Z wymuszonym uśmiechem Helena wyraziła zgodę. Razem przeszli przez trawnik na tyłach dworu i tunelem z winorośli i innych zielonych roślin dostali się do ogrodu w kształcie dużego kręgu. Na zewnątrz dziewczynki biegały dookoła w jakiejś dziwnej odmianie zabawy w kółko graniaste, piszcząc i śmiejąc się w głos. Przez zarośla widać było niekiedy fruujące w łopocie rąbki ich spódnic i halek.

- A my wszyscy bęc! - zawołała Lucy.

Przez coraz cieńszą ścianę krzewów Helena patrzyła, jak uszczęśliwione dzieci, razem z Ariane, przewracają się na trawę. Thomas Lowe ciepło skomentował udział Ariane we wspólnej zabawie, lecz po

chwili Helena znowu zagłębiła się w swoje myśli. Kiedy szli po dużym okręgu, stanęła na chwilę, aby ułamać gałązkę, która wystawała ze starannie przyciętego żywopłotu.

Wtem poczuła na ramieniu ciepłą dłoń Lowe'a.

- Panno de Severs, chciałbym pani jeszcze raz podziękować za to, że wczoraj przyszła pani na herbatę - powiedział, odwracając ją delikatnie do siebie.

- Nawet pani nie wie, jakie to było ważne dla mojej siostry. I dla mnie - dodał po krótkim wahaniu.

Uśmiechnęła się sztucznie, usiłując ignorować ciepło jego ręki. Przypuszczała, że ta druga wizyta w probostwie nie przyniosła siostrze duchownego więcej przyjemności niż pierwsza. W sumie to nie wiedziała, dlaczego Lowe tak nalegał, by ich odwiedziła.

Została przedstawiona pani Fane zaraz po uczestnictwie w swym pierwszym niedzielnym nabożeństwie, a przyjęcie, z jakim się spotkała, można by określić jako chłodne. Gdy po mszy parafianie przebywali jeszcze wokół kościoła, proboszcz z dużą dozą entuzjazmu ponownie zaprosił ją na herbatę. Jednak jego siostra zachowywała się sztywno, formalnie i zdecydowanie wykazywała brak entuzjazmu.

Sytuacja niewiele się poprawiła przy drugiej wizycie w probostwie. Pani Fane zajęła się nalewaniem i serwowaniem herbaty, wciąż biegała do kuchni, mimo że tuż obok stała beczynnie pokojówka. A kiedy pani Fane nawiązała rozmowę, odnosiła się do swojego brata jako „drogiego Thomasa” i przy każdej sposobności podkreślała, jakież on ma udane i pobożne życie.

- Och, drogi Thomas jest bez reszty oddany Kościołowi, panno... eee... panno de Severs. Tak, dla niego Bóg jest zawsze na pierwszym miejscu, tak jak być powinno! Och, Thomas tak uwielbia mój jabłecznik. Mówi, że nikt nie ma tak dobrego przepisu jak ja. Oczywiście Thomas mną również zajmuje się jak najlepiej potrafi! A także Lucy i Lizzie. Mamy też dwie starzejące się ciotki w Norfolk. Drogi Thomas jest dla nich taki dobry! Zresztą to widać gołym okiem, że mój brat to człowiek, który rozumie swoje powinności wobec rodziny. A nikt bardziej niż on nie jest obarczony większym rodzinnym obowiązkiem...

Helena nie była głupia, więc przyjęła tę kokieterijną paplaninę jako subtelne ostrzeżenie, zgodnie z intencją rozmówczyni. Lecz ta pozbawiona poczucia bezpieczeństwa wdowa postanowiła dmuchać na zimne, a w tym konkretnym przypadku chciała jednym dmuchnięciem na dobre zgasić u swojego brata zainteresowanie ożenkiem.

Helena z trudem się powstrzymała, by nie pochwycić dłoni biedaczki ze słowami: „Proszę spać spokojnie. Jestem zbyt frywolna na to, by zakochać się w tak porządnym proboszczu o złotym sercu. W rzeczy samej wolę mężczyzn, którzy są zimni, nieczuli, a szczególnie tych o znacznie wyższej pozycji od mojej, którzy nigdy nie chcieliby zrobić ze mnie uczciwej i dobrej kobiety”.

Oczywiście nie wypowiedziała tych słów. Zamiast tego zachowywała się w sposób możliwie przyjazny i powiedziała pani Fane, jakie to ma cudowne, śliczne córeczki. Obdarzyła ją jeszcze tuzinem innych komplementów, karmiła ją frazesami, wychwalała pod niebo jabłecznik, po czym uciekła do Chalcote Court, aby ukryć się w swoim pokoju i wcisnąć mocno twarz w poduszkę.

- Panno de Severs? - Głos Thomasa Lowe'a przywrócił ją do terażniejszości. - Wizyta u nas sprawiła pani przyjemność, prawda? Zdaje sobie sprawę, że moja siostra wydaje się trochę chłodna. Chyba wciąż opłakuje w sercu zmarłego męża. Ale żywię szczerą nadzieję, że ją pani polubi.

Helena niezupełnie wiedziała, co odpowiedzieć, więc przysiadła na małej kamiennej ławie w tylnej części ogrodu. Lowe zajął miejsce obok i ujął dłoń Heleny.

- Proszę obiecać, że mogę na panią liczyć, Heleno - powiedział cicho. - Moja siostra potrzebuje pani przyjaźni, tak samo jak jej córki potrzebują przyjaźni Ariane. A co najważniejsze, ja sam również potrzebuję pani przyjaźni.

Poza odgradzającą ogród ścianą zieleni dziewczynki wciąż bawiły się wesoło, ich okrzyki dźwięczały radośnie w rześkim, jesiennym powietrzu, lecz wewnątrz żywopłotu zapadło milczenie. Helena spoglądała na ich splecione dłonie, nie bardzo wiedząc, co proboszcz miał na myśli.

Wtem Lowe zerwał się na równe nogi.

- Och, nie mam prawa prosić panią o takie rzeczy - powiedział beznamiętnie, oddalając się o kilka kroków. - Pewnie uważa pani, że jestem bezczelny!

Zdezorientowana, podniosła wzrok.

- Ależ skąd, wcale tak nie myślę.

- Naprawdę? - spytał z nową energią, szybko wracając do ławki. - Jestem bardzo wdzięczny, panno de Severs. Nie darowałbym sobie, gdybym w jakikolwiek sposób podkopał naszą przyjaźń.

- Niemal ze znużeniem przesunął dłoń po twarzy.

Helena pochyliła się do przodu, spoglądając nań bacznie.

- Czy dobrze się pan czuje, panie Lowe? Proboszcz wyglądał bardzo mizernie, jakby dręczyły go jakieś niepokojące myśli.

- Po prostu Thomas - powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy. - Czy byłoby trudne, Heleno, gdyby zwracała się pani do mnie po imieniu, gdy jesteśmy sami? Niekiedy miano proboszcza trochę mi ciąży. I czasem chciałbym być po prostu... Thomasem.

- Oczywiście - zgodziła się cichym głosem.

- Lecz jeśli naprawdę mamy zostać przyjaciółmi, Thomasie, to musisz mi powiedzieć, co cię gryzie.

Sam wiesz, że to jedna z najważniejszych zasad przyjaźni. A ty wyglądasz tak, jakbyś spędził bezsenłą noc. - Uśmiechnęła się żałośnie. - Chyba znam takie objawy.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza, Heleno - spojrzał na nią z wdzięcznością. - I bardzo troskliwa. W mojej służbie docenia się takie cechy. Proboszcza często wzywa się, aby udzielał pociechy, podczas gdy rzadko zachodzi sytuacja odwrotna. I masz rację... wczoraj długo nie spałem, gdyż do późna zajmowałem się naszym parafianinem w potrzebie.

- Tak? Mam nadzieję, że wszystko się udało? Proboszcz wypiął pierś i rozprostował ramiona, których barczysta budowa raczej nie pasowała do osoby duchownej. Westchnął głęboko.

- Mówiąc szczerze, byłem z moim wikarym, moim młodszym kuzynem imieniem Basil.

- Tak, widziałam go w kościele. Chyba nawet jesteście do siebie podobni.

- Odrobinę - przyznał ze smutkiem. - Wiem, że mogę polegać na twojej dyskrecji. Często młodzi z wielkim trudem odnajdują drogę do Boga. Wiem, że otaczają nas pokusy diabła, lecz czasami trudno jest rozpoznać nikczemność, gdy ktoś nie ma życiowego doświadczenia.

Było to najbardziej żarliwe stwierdzenie, jakie usłyszała z ust proboszcza. Nagle zrozumiała, że zabrzmiało to o wiele zbyt poważnie i nieco nie na miejscu. Lecz przecież miała do czynienia z osobą duchowną.

Zaśmiała się nerwowo.

- Mówisz, jakbyś był muzealnym eksponatem, Thomasie, a przecież jesteś jeszcze całkiem młody. W ogóle to jesteś najmłodszym księdzem, jakiego znam. Co prawda nie poznałam ich zbyt wielu - dodała bez przekonania. Thomas Lowe również parsknął śmiechem.

- Ja już nie jestem młody, moja droga.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- A co z twoim kuzynem? Obawiasz się, że zбочzył z drogi wiodącej do Boga?

- Ależ nie - zaprzeczył gwałtownie. - Chyba do tego nie doszło. Lecz Basil często staje w obliczu pokusy. A jako młody mężczyzna jeszcze nie rozumie, że wszyscy mamy w życiu jakieś miejsce. Nasze pozycje, jeśli wolisz. Rozumiesz to, Heleno?

- Chyba tak.

- Więc - ciągnął - wszyscy mamy jakieś pozycje w życiu. A marzenie o czymś więcej przynosi nam jedynie cierpienie. Basil ma wszelkie cechy dobrego wikarego, ale nie posiada własnej ziemi i w ogóle jest ubogi. Musi zaakceptować drogę, którą wyznaczył mu Pan, i zrozumieć, że inne

ścieżki są dla niego zamknięte. Musi pamiętać o swojej pozycji w społeczeństwie.

Helena przestała rozumieć, co Thomas próbuje jej powiedzieć. A może rozumiała aż za dobrze. Być może proboszcz mówił nie tylko o pokusach czyhających na wikarego. Po prawdzie jego uwagi nosiły wyraźne znamiona zawołanego ostrzeżenia - bardziej subtelne i pełnego współczucia niż ostrzeżenie, które padło z ust jego siostry. Ale czy faktycznie były to przestrogi?

I nagle Lowe odezwał się ponownie, spoglądając gdzieś daleko.

- Heleno, czy mogę cię spytać... czy kiedykolwiek byłaś zakochana?

RS

Rozdział 13

W którym lady Catherine staje się bohaterką tragedii pomyłek

Było to szokująco niestosowne pytanie, lecz - o dziwo - Helena odpowiedziała mu bez wahania.

- Tak, jeden raz. Bardzo dawno temu. Popatrzył na nią badawczo.

- Czy to się skończyło tragicznie? - Lekko dotknął jej policzka. -

Och, przepraszam. Domyślam się, że tak.

Zaśmiała się trochę drżącym głosem, po czym spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Wtedy wydawało mi się to wielką tragedią. Ale wyszło mi to na dobre. Tak jak większość rzeczy w życiu, jak sam wiesz.

Powoli kiwnął głową i znowu popatrzył gdzieś w bok.

- Wobec tego chyba wiesz, co mam na myśli, Heleno, gdy mówię o rozczarowaniach i pokusach, na jakie narażeni są młodzi ludzie. I dlaczego tak martwię się o mojego kuzyna.

- Może tak - przyznała cicho.

Wtedy Thomas uśmiechnął się i zmienił temat.

- Nie mówmy już o żalach Basila za utraconą miłością. A jak tam panienka Ariane? Jak ci się podoba ta praca?

Helena uśmiechnęła się z ulgą, że nie musi dłużej rozmawiać na ten niezręczny temat. Wnikliwe komentarze Thomasa wywoływały u niej jakiś niepokój.

- Całkiem dobrze. To bardzo rezolutna dziewczynka, robi stałe postępy w nauce.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia będzie umiała się porozumiewać - powiedział łagodnie.

Helena zaśmiała się cicho.

- Ależ ona umie się porozumiewać. Uśmiecha się, marszczy brwi, robi nadaśaną minkę, aż owinie sobie tatę wokół małego paluszka. Chociaż jeszcze nie potrafi używać słów, aby coś powiedzieć, to jestem pewna, że niedługo to się zmieni. A do tego czasu są inne sposoby porozumiewania się. Po prostu musimy słuchać.

- To prawda! - Poważnie kiwnął głową. Helena spojrzała przez ścianę zieleni na bawiące się dziewczynki.

- Zaczęliśmy już pracować nad podstawami alfabetu, który Ariane przyswaja sobie znakomicie, to znaczy, gdy ma na to ochotę!

- Byłoby cudownie - stwierdził Thomas - po prostu cudownie, gdyby udało się przywrócić to dziecko do normalności. Ona zasługuje na szczęśliwe życie. Zawsze jej tego życzyłem i zawsze modliłem się o nią.

Ponownie Helena wzruszyła się jego troską. Wyglądało na to, że proboszcz uwielbia dzieci. Lecz Ariane, ku wielkiemu żalowi Heleny, nie mogła całkowicie przezwyciężyć swojego lęku przed mężczyznami. Ledwie dwa dni wcześniej ukryła się w pokoju kredensowym Milforda, gdy w Chalcote zjawili się dwóch krzepkich, jasnowłosych szklarzy, aby naprawić okna przed nadchodzącą zimą.

Obaj byli bardzo mili, a jednak gdy jeden z nich spojrzał z dobrotliwym uśmiechem na Ariane, dziewczynka pobladła i po raz pierwszy od tygodnia uciekła, żeby się ukryć. Teraz, po kilku wizytach Lucy i Lizzie przestała chować się przed Thomasem, lecz nadal zachowywała bezpieczny dystans.

Kierując uwagę z powrotem na gościa, Helena odwróciła się i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. Wciąż sprawiał wrażenie człowieka przygniecionego brzemieniem wielkiego smutku.

- Nadal myślisz o Basilu, prawda? Widzę, że się o niego martwisz.

Nagle Lowe odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jak ty mnie dobrze znasz, Heleno! Muszę stwierdzić, że Treyhern świetnie ulokował swoje pieniądze, gdyż twoja zdolność zrozumienia ludzkiego umysłu jest imponująca!

- Mam nadzieję, że to komplement - mruknęła.

- Oczywiście - odpowiedział, wstając z ławki i patrząc na Helenę z góry. - A teraz przejdźmy się dookoła jeszcze raz, bo potem będę musiał pozbierać moje skrzaty i wracać do domu.

Poczuła się trochę rozczarowana. Nic chciała zostać sama, pogrążona w myślach na temat Cama.

- Nie możecie zostać na podwieczorek? Wolno pokręcił głową.

- Nie, nie! Nie mogę ryzykować potępienia ze strony waszego kamerdynera! W tym tygodniu już cztery razy zostawałem na podwieczorku. Ponadto... - urwał, żeby wskazać długi podjazd - jeśli się nie mylę, właśnie nadjeżdża lady Catherine, żeby dotrzymać ci towarzystwa. Nikt nie siedzi na koniu tak elegancko jak ona! Tak więc pożegnam się i wpadnę znowu za dzień lub dwa.

Gdy odszedł ścieżką przez ogród ze swoimi siostrzenicami, Helena ruszyła w kierunku domu razem z Ariane, która trzymała ją mocno za rękę i nie odstępowała na krok.

Tuż przed drzwiami do oranżerii Helena zatrzymała się, żeby spojrzeć dziewczynce prosto w oczy.

- Ariane - zaczęła łagodnym głosem - zrobisz coś dla mnie? Coś bardzo ważnego?

Ariane lekko skinęła głową.

- To dobrze. Chciałabym, abyś zaprzyjaźniła się z panem Lowe'em. On bardzo cię lubi. Nie bój się obcych, Ariane. Musisz pamiętać, że gdy twój tata lub ja jesteśmy w pobliżu, nic ci nie grozi. Rozumiesz to, prawda?

Tym razem skinienie głową nie wypadło już tak przekonująco. Helena zobaczyła, jak stajenny Catherine prowadzi dwa konie w stronę stajni.

- No to chodź - powiedziała wesoło. - Twoja ciocia przyjechała na podwieczorek. Musimy się trochę odświeżyć.

* * *

Dziesiątego dnia po wyjeździe Cama, Helena towarzyszyła Catherine na spacerze do Che-ston-on-the-Water. Droga nie była daleka, wiodła w dół po pochyłości wzgórza, obok kościoła, a minęła jeszcze szybciej dzięki pełnym wdzięku, długim krokom Catherine. Chociaż było dość zimno, Helena czuła wdzięczność za sposobność chwilowej ucieczki z Chalcote, ucieczki przed natarczywymi myślami o Camie. Razem odwiedziły po kolei wszystkie sklepy, gdzie Catherine musiała porozmawiać z każdą napotkaną osobą.

Catherine kupiła piękną szpicrutę do konnej jazdy dla swojego męża oraz wstążki dla Ariane, zaś Helena zatrzymała się tylko na poczcie, aby nadać list do babci. W drodze powrotnej do Chalcote Court siostra Cama zaproponowała, aby pójść przez przykościelny cmentarz i dalej przez ogrody leżące na tyłach dworu.

Kiedy szły pod górę ku żelaznej furtce, osadzonej głęboko w kamiennym murze, Helena przypomniła sobie o swojej wcześniejszej wizycie w tym miejscu i o ślicznej dziewczynie, która ukradkiem przemykała między nagrobkami.

- Chodźmy tędy - powiedziała Catherine, pokazując narożnik kościoła. - Chcę zobaczyć, czy postawili już nagrobek u taty.

- Dobrze. - Helena uniosła nieco spódnicę sukni, ruszając za siostrą Cama. - Chociaż niczego nie widziałam, gdy byłam tu ostatnim razem.

- Odwiedzałaś rodzinne groby? - Catherine lekko przeskoczyła pień drzewa.

- Tak - przyznała Helena, nieco zażenowana. Próbowała zmienić temat. - Przypomniałam sobie coś dziwnego. Prawie wyleciało mi to z głowy. Tamtego dnia widziałam tutaj niezwykłą kobietę, która na mój widok uciekła. Młoda, rudowłosa, bardzo piękna...

- Gdzie to było? - przerwała jej ostro Catherine. Zatrzymała się gwałtownie, aż rąbek jej spódnicy zatoczył w powietrzu szeroki krąg nad zmarzniętą trawą.

Helena popatrzyła na nią w milczeniu, wreszcie wskazała palcem na tył kościoła.

- To tam. Chyba wyszła z za narożnika, minęła groby i wybiegła przez furtkę, tę samą, przez którą właśnie weszliśmy. Była odziana na zielono i o ile pamiętam miała jasne, rude włosy.

Na wzmiankę o włosach Catherine zaśmiała się i ruszyła dalej.

- Była jasnoruda? Ależ mam wyobraźnię. Przez moment myślałam, że opisujesz Cassandrę. Ona często wędrowała po cmentarzu, ale to musiał być po prostu ktoś z miasteczka.

- No cóż - podjęła niechętnie Helena - ta była na pewno z krwi i kości. Ale nigdy więcej jej nie widziałam. Poza tym była dość dobrze ubrana.

- Więc to jakaś dziewczyna, tak? - Catherine zaczęła ponownie zawiązywać sobie pod szyją wstążki od czepka.

- Raczej młoda kobieta - wyjaśniła Helena. Doszły do grobu Randolpha. Catherine uklękła i szybkimi, płynnymi ruchami zaczęła odgarniać zwiędłe liście z nowego nagrobka.

- Możemy się więc pocieszyć, że to nie była Cassandra, która powstała z grobu, żeby nas nękać - powiedziała cicho, z gorzkim uśmiechem unosząc wzrok na Helenę.

Jednak ciekawość nie dawała Helenie spokoju.

- Wybacz moją impertynencję, ale z tego, co mi mówiłaś, to pani Rutledge raczej nie należała do osób, które przesiadywały w kościele.

- W tej kwestii bardzo się mylisz - odparła Catherine. Zgrabnie wstała i otrzepała rękawiczki z brudu po liściach. - Cassandra chodziła wszędzie, dniami i nocami. Wędrowała również po lasach i ogrodach. A jeśli Cam wyrażał swój niepokój albo proponował jej swoje towarzystwo, to narzekała, że usiłuje ją ograniczać i że Chalcote wysysa z niej resztkę życia.

- Lecz przecież nie ma piękniejszego miejsca na świecie!

- Biedna Cassandra była niespokojnym duchem. Zwłaszcza po tym, jak jej towarzystwo zostało wygnane z dworu. Za ten uczynek zaczęła gardzić moim bratem. Myślę, że nawet darzyła go nienawiścią.

- Ale przecież mieli razem dziecko - powiedziała z niedowierzaniem Helena. - Jak mogła nie szanować, nie podziwiać mężczyzny, który był tak przykładowym ojcem?

Catherine dość długo nie odpowiadała. Znowu zaczęła bezwiednie poprawiać czepek, wreszcie odwróciła się plecami i ruszyła zdecydowanym, sprężystym krokiem w stronę grobu Cassandry Rutledge. Atmosfera wyraźnie zgęstniała; Helena stała nieruchomo, niczym wrośnięta w ziemię, tuż koło nagrobka Randolpha.

W końcu odezwała się do niej przez ramię.

- Widzę, że jak dotąd nie odgadłaś, na czym polega nasz ponury, rodzinny sekret - powiedziała cicho.

Nagle odwróciła się na pięcie z płonącymi oczami, zdumiewająco podobnymi do oczu brata. Helena w milczeniu pokręciła głową.

- Więc ci powiem - rzekła Catherine niskim głosem. - Po tym, co zobaczyłam, uważam, że masz prawo wiedzieć.

- Nie - wyszeptała Helena, ponownie kręcąc głową. - Sprawy waszej rodziny nie są dla moich uszu. Jestem tylko guwernantką.

Catherine westchnęła z niecierpliwością.

- Nie oszukuj samej siebie, Heleno! Nigdy nie byłaś tylko guwernantką. Na pewno nie byłaś nią od powrotu do Chalcote. - Siostra Cama zmrużyła powieki, nachylając się ku Helenie. - Więc ja ci powiem, a jeśli to się nie spodoba Camowi, do diabła z nim. Ariane nie jest jego córką.

Ziemia zakołysała się pod stopami Heleny, więc oparła się ręką o nagrobek Randolpha, żeby odzyskać równowagę.

- Nie jest jego córką? Więc... czyją? Skąd... skąd możecie mieć pewność?

Jakby żałując, że wyrzuciła to z siebie tak wprost, Catherine zbliżyła się jeszcze bardziej i położyła dłoń na rękawie ciężkiego płaszcza Heleny.

- Cam jest tego pewien. To po prostu niemożliwe, by w żyłach Ariane płynęła jego krew. - Znowu uśmiechnęła się znacząco, z goryczą. - A co do ojcostwa, to śmiem twierdzić, że sama Cassandra nie miała pewności. Wśród jej licznych wielbicieli było kilku dżentelmenów, a użyłam tego słowa w dość szerokim znaczeniu, którzy wyglądali na możliwych kandydatów. Istnieje nawet pewne prawdopodobieństwo, że Ariane jest córką mojego ojca, chociaż wątpię, by nawet Cassandra była aż tak zdesperowana.

Helena poczuła, jak powoli odzyskuje jasność myślenia. Lecz straszna prawda ciążyła okropnie: Ariane nie jest dzieckiem Cama! To było niemal tak przerażające, jak tragiczne. A jednak należało to wziąć pod uwagę, przyglądając się rysom twarzy i kolorowi oczu i włosów dziewczynki. Zresztą Catherine nawiązała do tych rzeczy nie po raz pierwszy.

Uniółszy podbródek, Helena spojrzała jej prosto w oczy.

- Kto jeszcze o tym wie, Catherine? Nie jest to tajemnica, którą można swobodnie rozpowiadać na prawo i lewo.

- Wiedziałam, że też to zauważysz, w przeciwnym razie nigdy bym ci nie powiedziała - stwierdziła asekuracyjnie siostra Cama. - A jeśli chodzi o to, kto zna prawdę, to znam ją tylko ja. To oczywiste, że inni czegoś się domyślają. Być może Cam powie prawdę Bentleyowi, gdy ten nieco dorośnie i stanie się bardziej odpowiedzialny.

- Dlaczego więc zdecydowałaś się powiedzieć o tym właśnie mnie? - spytała zupełnie już zdezorientowana Helena.

- Naprawdę nie wiesz? - spytała. Gdy Helena milczała, Catherine po prostu wzruszyła ramionami, otuliła się szczelniej płaszczem i odchyliła głowę, aby popatrzeć na ponure, szare niebo.

Nagle wydała się bardzo znużona. W słabym popołudniowym świetle rysy jej twarzy nabrały wyraźnych, ostrych linii; spoglądała na nagie gałęzie, które kołysały się i postukiwały nawzajem o siebie. W podmuchach zimnego wiatru uschnięte liście frunęły i wirowały wokół ich stóp.

Poważne oblicze i ciemne oczy, takie jak u Cama, a także czarna wełniana peleryna, która wydymała się nad źdźbłami zwiędniętej trawy - sprawiały, że Catherine wyglądała niczym pogańska kobieta Celtów, przywołująca długie, zimowe miesiące przed nastaniem wiosny.

- Pytałaś - powiedziała w końcu, nie spuszczać wzroku z gałęzi - o to, czy Cassandra okazywała szacunek mężczyźnie za bycie dobrym ojcem. Ale czy teraz rozumiesz, jakim piekłem musiało być jej życie?

- Chyba cię nie rozumiem.

Catherine popatrzyła znacząco na Helenę.

- Zastanów się. Urodziła swojemu mężowi bękarta, prawdopodobnie kierując się czystą złośliwością. A mimo to on nic nie robi? Nie okazuje zazdrości. Nie karze jej. Nie pomstuje. Po prostu przyjmuje to dziecko jako swoje i daje mu całą swoją miłość, miłość, której nigdy nie czuł do swojej żony. A którą ona wzgardziła i której nie próbowała zdobyć.

- Co ty mówisz?

- Czyż to nie jest sprawiedliwa kara, Heleno? Mieć tę świadomość każdego dnia swojego życia? Wiedzieć, że popełniłaś wobec męża najbardziej niegodziwy uczynek? A on uniósł się ponad to? Na jej miejscu też zastanawiałabym się nad samobójstwem.

- Catherine! - wyszeptała Helena. - Nie wolno ci tak mówić. Jestem pewna, że nie chciała ze sobą skończyć! To niemożliwe. Przecież zdarzył się wypadek. Wypadek! Cam... lord Treyhern... tak mi powiedział.

- Możesz sobie wierzyć, w co chcesz - odparła Catherine lodowatym tonem. - Ale nieczęsto się zdarza, by ktoś zanosił srebrny lichtarz do opuszczonej chaty i przypadkowo rzucał go na stertę śmieci.

Helena nie była w stanie powstrzymać cichego okrzyku przerażenia.

- Lecz przecież tam była Ariane! Cassandra... zabrała ze sobą swoje dziecko! Żadna kobieta nie mogłaby posunąć się do takiego szaleństwa!

Catherine powoli przeniosła wzrok na nagrobek Cassandry Rutledge. Przez długą, bolesną chwilę milczała.

- Jest mi coraz bardziej zimno - wyszeptała wreszcie. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym już wracać do Chalcote.

* * *

Było szare, ponure popołudnie, gdy dokładnie dwa tygodnie po swoim wyjeździe lord Treyhern i jego młodszy brat powrócili z Devon. Coraz bardziej zimowa pogoda czyniła ich podróż na północ męczącą i nieprzyjemną. Kiedy Cam wjeżdżał na długi podjazd wiodący do dworu, myślał już tylko o Helenie i Ariane.

Po prawdzie przez ostatnie dwadzieścia mil nie myślał o niczym innym. Mając już za sobą problemy, jakie udało się rozwiązać w zamku Treyhern, w czasie całodziennego jazdy odczuwał coraz większy chłód. Był

przemarznięty do szpiku kości od chwili opuszczenia Heleny i myślał sobie, że prawdziwego ciepła zazna jedynie wtedy, gdy do niej wróci.

W każdym razie uświadomił sobie jedno. Nie mógł ożenić się z Joan Belmont. Już niebawem - czyli nazajutrz rano - zamierzał udać się do ciotki i udzielić jej stosownych wyjaśnień. Oczywiście będzie wściekła, lecz niewiele go to obchodziło. Wybuchy gniewu ciotki Belmont były przecież codziennością.

Bardziej martwił się o swoją piękną kuzynkę, choć być może niepotrzebnie. Ten wścibski stary diabeł, Crane, zapewne miał rację. Joan była bardzo młoda, a młodzi zasługiwali na to, by znaleźć prawdziwą miłość. Któż lepiej od niego poznał gorzki smak małżeństwa z rozsądku? Te długie tygodnie z dala od Heleny uświadomiły mu, że pomimo wszystkich cierpień, jakich zaznał w okresie młodości, nie zamieniłby tych cudownych wspomnień na nic innego na świecie.

Jego romans z Heleną był chyba jedyną miłością, jaką poznał w całym swoim życiu. A teraz musiał znaleźć sposób, żeby tę miłość przywrócić, bez względu na chaos, jaki to wywoła w jego życiu. Zabrało mu ponad tydzień, żeby zdać sobie sprawę z niepokojącej prawdy: otóż sprawy przybrały taki obrót, jakiego się obawiał. Zrozumiał, że nie jest w stanie żyć - tak, właśnie żyć - bez Heleny.

Zrozumiał coś jeszcze. Świat dalej będzie się kręcić wokół swojej osi, nawet jeśli on, Cam, przyzna się do swojej miłości. Przecież nagle nie spadnie piorun z nieba i nie rozpląta go na pół. Chalcote nie rozpadnie się na poszczególne kamienie. Zaś resztę życia uda się utrzymać w jako takim porządku.

Co ważniejsze, Cam przestał walczyć ze swoimi emocjami, zaprzestał też usiłowań, aby je zrozumieć, albo choćby uzasadnić je w obliczu osób trzecich. Przynajmniej w tym aspekcie jego nieszczęsna wyprawa do Devon była warta każdego dnia przygnębienia i samotności.

Zatrzymawszy się przed szerokimi schodami dworu, Cam zwinnie zsunął się z siodła i ruszył do holu, zostawiając Bentleya przy koniach. Podjął decyzję. Nazajutrz rano pojedzie do Belmont i przekaze wiadomość ciotce w sposób tak delikatny i zarazem stanowczy, jak tylko będzie umiał. A ona w sumie niewiele będzie mogła na to poradzić. Mimo wszystko był jej winien tę rozmowę, a do czasu jej odbycia przyzwoitość wymagała, aby nikomu nie zwierzał się ze swoich zamiarów. Nawet Helenie.

Zastanawiając się, czy jutrzejszy ranek w ogóle nadejdzie, wszedł głębiej do pogrążonego w półmroku, pustego holu, powoli przyzwyczajając oczy do ciemności.

- Dzień dobry, Treyhern! - odezwał się głośno znajomy głos.

Cam podniósł wzrok i zobaczył Thomasa Lowe, który wstał z krzesła, stojącego tuż obok spiralnych schodów. Z tego samego krzesła, które proboszcz zajmował przed samym wyjazdem Cama do Devon.

To było dość irytujące, że przez ostatnie dwa tygodnie Lowe rozbił sobie stały obóz w Chalcote. A może ten bezczelny typ zamierzał wprowadzić się na stałe? Cam rozejrzał się, jakby się spodziewał, że obok krzesła zobaczy podróżną torbę proboszcza.

- Dzień dobry, Lowe - odpowiedział w końcu, zdejmując rękawice do konnej jazdy. - Przyszedł pan do nas z kolejną wizytą?

Proboszcz wstał gwałtownie.

- W rzeczy samej! Helena... chciałem powiedzieć, panna de Severs i Ariane wyraziły chęć odbycia dzisiaj wycieczki do Fairford, aby obejrzeć mszę w intencji Miłosierdzia Pańskiego w kościele Świętej Marii Dziewicy. Pomyślałem, że zabiorę je dziś po południu moim powozem. - Urwał na moment. - Chyba nie ma pan żadnych obiekcji?

- Obiekcji? - powtórzył Cam.

Do diabła, oczywiście, że miał obiekcje. W ogóle nie powinien był wyjeżdżać z Gloucestershire. Życie towarzyskie Heleny najwyraźniej uczyniło wielkie postępy. Bezwiednie rzucił rękawice na pobliski stół.

- Obiekcji, że składam osobistą wizytę osobie z pańskiego personelu, milordzie - wyjaśnił Lowe.

Cam rzucił kapelusz na rękawice i obrzucił proboszcza ostentacyjnym spojrzeniem.

- Czy właśnie po to pan tu przyjechał? Z osobistą wizytą? A nie z wizytą duszpasterską?

Lowe się zaczerwienił.

- Tak, Treyhern. Myślę, że dosyć szybko do tego doszło. Może nawet zbyt szybko, ale bardzo polubiłem pannę de Severs.

- Doprawdy? - rzucił Cam wyniośle. I czy pańskie upodobanie spotkało się z wzajemnością?

Proboszcz spoważniał.

- Tak, milordzie, takie odnoszę wrażenie - powiedział tonem, którego często używał do przekazywania złych wieści. - I chciałbym uzyskać pańskie pozwolenie na ubieganie się o jej względy.

Cam poczuł ucisk w żołądku.

- Moje pozwolenie? - wykrztusił z pozorną uprzejmością. - Nie sądzę, aby ono było panu potrzebne. W końcu to jest dorosła kobieta.

Na twarzy proboszcza pojawiła się chwilowa żalność, która jednak szybko zniknęła.

- Nie jestem głupcem, milordzie. Z pańskiej to łaski zostałem proboszczem miejscowego kościoła, a Helena... panna de Severs, jest pańską służącą.

- Nie jest moją służącą - odparował Cam, ledwie panując nad złością.
- Jest nauczycielką Ariane. I uważam ją również za... za dobrą przyjaciółkę.

- Zaiste - powiedział dwuznacznie Thomas Lowe.

Cam przeczesał palcami włosy.

- Niech pan posłucha. Czy zdaje pan sobie sprawę, w co pan się pakuje? - Dźgnął proboszcza palcem w pierś. - Przecież jest pan proboszczem, a Helena to... to...

- ... bardzo wartościowa kobieta, Treyhern - dokończył Lowe z nutką groźby w głosie. - Chyba domyślam się, co pan ma na myśli. To prawda, że panna de Severs ma zupełnie inny rodowód niż ja, lecz pod każdym względem to dobra kobieta. Nie martwi mnie jej brak... koneksji.

Cam poczuł się tak, jakby ktoś wyssał mu z płuc całe powietrze. Najwyraźniej Lowe mówił zupełnie szczerze.

Energicznym ruchem podniósł kapelusz.

- Wobec tego życzę panu owocnych zabiegów o jej względy - wydusił, zabierając także rękawiczki. - Być może ona zdecyduje się przyjąć pańskie awanse. A teraz proszę mi wybaczyć, mam pilne sprawy wymagające mojej uwagi. Życzę miłej podróży do Fairford.

- A więc do wieczora. - Lowe uklonił się nieznacznie.

- Do wieczora? - Stojący już na trzecim schodku Cam odwrócił się do proboszcza.

- Tak - Lowe uśmiechnął się sarkastycznie. - Przecież zaprosił mnie pan, milordzie, na urodzinową kolację lady Catherine. Mam nadzieję, że żadnym uczynkiem nie zasłużyłem sobie na status *persona non grata*?

Cam pokręcił głową. No tak, przekłeta kolacja z okazji urodzin Catherine! Do diabła! Zupełnie wyleciało mu to z głowy.

Lowe cały czas spoglądał na niego z niepewną miną.

- Proszę nie być nedorzecznym - powiedział wreszcie. - Po prostu zapomniałem. Jak zwykle będzie pan mile widzianym gościem.

Kiedy proboszcz z powrotem zajął miejsce na krześle, Cam wspinał się na schody, czując narastające, bolesne rozczarowanie. Cała ta karkołomna jazda powrotna do domu poszła na marne. Nie dane mu było spędzić choćby chwili sam na sam z Heleną. Co gorsza, nie będzie miał możliwości, by się dowiedzieć, co zaszło między nią i proboszczem. I nie chodziło o to, że Cam nie miał pojęcia, w jaki sposób dżentelmen miałby o coś takiego zapytać. A najwyraźniej do czegoś między nimi doszło. Lowe wydawał się bardzo pewny siebie.

Coraz szybciej biegł po schodach. Przebóg, jak to możliwe, że wszystko wydarzyło się tak szybko? Ale czy w ogóle się wydarzyło? Przypomniawszy sobie, że Helena często bywała wręcz niestosownie przyjacielska, otwarta i miła dla wszystkich, czy to służących, mieszkańców miasteczka, czy też osób o jej pozycji. Lowe musiał mylnie zinterpretować jej ciepłe zachowanie.

Czy na pewno mylnie?

Pokonał ostatni zakręt, z trudem się opanowując, by nie wyrwać ostatniego słupka poręczy i nie cisnąć nim z całej siły. Do diabła! Musiał zachować samokontrolę. Ledwie dwie minuty przebywał pod tym samym dachem co Helena, gdy już szaleńcze emocje zaczynały dawać o sobie znać. A teraz ona jeszcze wybierała się w towarzystwie jego córki na wspólną wycieczkę z proboszczem, a Cam musiał zostać i martwić się, czy nic im się nie stało i czy obie choć trochę za nim tęsknią.

Otworzył drzwi swojej sypialni i szybko podszedł do okien wychodzących na front domu. Boudikka zeskoczyła z łóżka na podłogę, z wyraźną radością mrucząc na powitanie - zapewne było to jedyne ciepłe powitanie, jakiego mógł się spodziewać. Z podjazdu usunięto już jego karetkę, aby zrobić miejsce dla powozu Thomasa Lowe'a. Pojazd właśnie podprowadzano od strony stajni. Dość ironiczna symbolika tej sceny nie uszła uwadze Cama i wcale nie poprawiła mu nastroju.

* * *

Kwadrans przed umówioną godziną wyjazdu, Helena zeszła na dół od strony sali lekcyjnej i przekonała się, że Thomas przybył na miejsce już znacznie wcześniej. Na jedno ramię założyła swoją ciężką podróżną pelerynę, zaś drugą ręką prowadziła Ariane po krętych schodach do holu. Uśmiechnięty Lowe natychmiast wstał i szybko podszedł bliżej.

- Chwileczkę - powiedziała z roztargnieniem, gdy sięgnął po jej pelerynę, aby pomóc Helenie ją nałożyć. - Dziś po południu oczekiwany jest przyjazd milorda. - Zaczęła grzebać w kieszeni, by po chwili wyjąć złożoną kartkę. - Muszę mu zostawić wiadomość, aby wiedział, gdzie jesteśmy razem z Ariane.

- Niech mi będzie wolno - powiedział ciepło, odbierając od niej płaszcz i kartkę. - To bardzo ładnie, że pamięta pani o innych, panno de Severs, ale Treyhern już wrócił jakiś kwadrans temu. I pozwoliłem sobie poinformować go o naszych planach.

Ta informacja zaskoczyła Helenę. Miała nadzieję, że zaraz po przyjeździe Cam zechce jej poszukać. A przynajmniej spyta o postępy poczynione przez Ariane w ciągu ostatnich dwóch tygodni. To rozczarowanie wyraźnie odmalowało się na twarzy Heleny.

Thomas niepewnie odchrząknął.

- Treyhern musiał natychmiast oddalić się w jakiejś pilnej sprawie. Powiedział, że spotkamy się wieczorem przy kolacji.

- Wieczorem? No tak, oczywiście.

Proboszcz rozejrzał się, jakby czegoś szukał, po czym niedbale wsunął kartkę do kieszeni, ponownie wziął pelerynę i narzucił ją na ramiona Heleny. Po chwili elegancko podał jej swoje ramię.

- A więc, wyruszamy do Fairford, moje panie?

- spytał radośnie, rzucając Ariane uspokajające spojrzenie. - Jednemu z moich koni obłuzował się hufnal, ale stajenny Treyherna już to naprawił, więc powóz czeka gotowy do drogi.

- Oczywiście - odpowiedziała Helena, zawiązując pod brodą tasiemki kapelusza.

- Ależ ze mnie szczęściarz! - stwierdził proboszcz, gdy wyruszyli. - Spędzę miłe popołudnie w towarzystwie dwóch najpiękniejszych dam w całym Gloucestershire!

Nie spuszczając ani na sekundę wzroku z powozu, Cam nachylił się, aby podnieść kotkę, która ocierała się o jego nogi. Przynajmniej ona oczekiwała jego powrotu. Teraz wspięła się po rękawie, aby legnąć na jego barku, mrużąc z wyraźnym zadowoleniem. Usłyszał, jak za jego plecami Crane każe lokajowi wnieść kufry pana do garderoby. Nie odwrócił się jednak.

- Dobry Boże - mruknął po wyjściu Crane'a.

- Co też ona w nim widzi?

Kotka odpowiedziała mrużeniem, ugniatając mu ramię łapkami. W zapamiętaniu przebiła jednym pazurkiem materiał, a Cam poczuł bolesne ukłucie, równie przykre jak odczuwane rozgoryczenie.

Nie będzie miał sposobności, żeby powiedzieć Helenie o wszystkim, co sobie umyślił, chociaż po prawdzie to sam nie wiedział, jakimi słowami to wyrazić. Czuł się niezręcznie. I był wściekły. Doskwierało mu poczucie, że jest odrzucony i strasznie niedoświadczony.

- Tak, masz rację, że wbijasz we mnie pazury - powiedział do kotki. - Nie mam wątpliwości, że nawet Bentley lepiej by sobie poradził. A dziś wieczorem trzeba będzie za to zapłacić dużą cenę.

Tak, dziś wieczorem będzie musiał patrzeć na swoją ciotkę i na Joan siedzące przy jego biesiadnym stole! Będzie musiał odgrywać rolę miłego gospodarza wobec Lowe'a, jego służalczej siostry i tego milczka Basila Jak-mu-tam. A teraz będzie jeszcze musiał patrzeć, jak jego młodszy brat znowu zaczyna przymilać się do Heleny na wyścigi z proboszczem.

Przez całą drogę do domu Bentley wiele razy powracał do tematu Heleny, najwyraźniej nią zafascynowany. Chociaż ten arogancki szczeniak

powstrzymał się od jakichkolwiek niestosownych uwag, jego komentarze świadczyły o tym, że zamierzał się z nią zaprzyjaźnić. Zaś Cam musiał przyznać, że nie ma dobrego powodu, by mu tego zabronić.

Wciąż nie wiedział, dlaczego jego brat towarzyszył mu w podróży do Devon, lecz mimo wszystko był mu za to głęboko wdzięczny. Bentley okazał się bardzo pomocny, lecz napięcie istniejące między nimi nie ustąpiło. W końcu Cam zrozumiał, co to może być. Chodziło o staromodną, męską zazdrość.

Zazdrość o Helenę? To nie miało sensu, gdyż Bentley był zręczliwy na długo przed jej przyjazdem. Camowi przyszło do głowy, że on sam jest chorobliwie, irracjonalnie zazdrosny. Dobrze o tym wiedział, lecz nie był w stanie się powstrzymać.

Po raz pierwszy w swoim życiu Cam pożałował, że nie ma trochę więcej doświadczenia w obcowaniu z kobietami. Nawet Bentley zapewne zaciągnął do łóżka więcej kobiet, a z pewnością próbował dokonać większej liczby podbojów. Ta myśl powinna go zirytować, lecz, o dziwo, tak się nie stało. Cam w całym swoim życiu nigdy nikogo nie uwiódł. Dlaczego?

Ponieważ tak naprawdę nigdy nie pragnął innej kobiety niż Helena.

No więc stało się. Wyszło szydło z worka. Musiał drgnąć w bolesnej konwulsji, gdyż Boudikka prychnęła niezadowolona i zeskoczyła z jego ramienia, przy okazji jeszcze raz zatapiając pazurki w ciele swojego pana. Lecz on prawie tego nie zauważył.

Patrzył, jak przed domem proboszcz przenosi Ariane i wsadza ją do powozu. Helena stała z boku, uśmiechając się do nich. W odpowiedzi Cam

sięgnął do stolika i nalał sobie szczodłą porcję brandy, której połowę wychylił jednym haustem.

* * *

Helena niechętnie zeszła na kolację w swojej najlepszej sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu, ozdobionej czarnymi paciorkami. Catherine entuzjastycznie wybrała ją spośród ubrań wiszących w szafie Heleny, chociaż być może suknia była nieco zbyt ostentacyjna jak na pozycję jej właścicielki. Jednak siostra Cama uparła się i przywiozła z Aldhampton własną pokojówkę, żeby ta uczesała Helenę.

Wszystko na próżno. Helena czuła w sercu lęk i smutek ciężący niczym wielki kamień. Nie widziała się z Cameni od tamtego fatalnego dnia, kiedy pocałował ją na do widzenia i wyruszył do Devon. Nie miała ochoty go oglądać - zwłaszcza z Joan Belmont na jego ramieniu. Lecz jaki miała wybór, poza bajeczką o bólu głowy lub jakąś inną wyraźnie sfabrykowaną wymówką? Zresztą nie mogła być niemiła dla siostry Cama, którą przecież bardzo polubiła.

Tak więc Helena zebrała w sobie całą odwagę i po cichu zeszła na dół. W żółtym salonie był już mąż Catherine, lokaje podawali gościom po kieliszku wina przed kolacją. William Wodeway okazał się potężnie zbudowanym mężczyzną o jasnych, kędzierzawych włosach, który ciepło przywitał się z Heleną, lecz nie okazał, że ją rozpoznaje. Helena z ciekawością stwierdziła, że Catherine również nie przypomniała mu o ich dawnej znajomości.

Cam stał po drugiej stronie salonu, rozmawiając cicho z siostrą Thomasa Lowe'a. Wyglądał olśniewająco przystojnie w formalnym, wieczorowym stroju. Helena odwróciła od niego wzrok, ponownie

spoglądając na męża Catherine. Wodeway niemal natychmiast nawiązał rozmowę ze stojącym po prawej stronie szczupłym, jasnowłosym mężczyzną na temat sezonu polowań. Helena słuchała dość obojętnie, sama mówiła niewiele, gdy mąż Catherine wyjaśniał, jak to w tym roku znacząco zmniejszyła się liczba łownego ptactwa. Wyglądało to jeszcze gorzej niż w poprzednim roku. Helena dowiedziała się również, że obecnie nikt nie umie wyhodować odpowiedniej krzyżówki psa gończego rasy foxhound. Niedobra postawa, za długie uszy...

Wodeway gadał bez końca, podczas gdy młody mężczyzna - kuzyn proboszcza, pan Rhoades, którego Helena już wcześniej poznała w kościele

- uprzejmie zgadzał się z każdą pełną narzekaną uwagą swojego rozmówcy. Tymczasem Helena pochwyciła spojrzenie stojącego po drugiej stronie salonu wielebnego Lowe. Jego oczy wyraźnie błyszczały wesoło. Natychmiast też podszedł do niej.

- Nie interesują panią psy myśliwskie Wodewaya, panno de Severs? - szepnął, uśmiechając się uwodzicielsko. - Obawiam się, że Basil musi pocierpieć jak zwykle w milczeniu, lecz w obecności Willa milczenie całkowicie wystarczy.

- Uniósł kieliszek w kierunku pani Fane.

- Ośmielę się zaproponować, by dołączyła pani do mojej siostry.

Helena spojrzała w kierunku, którego do tej pory starannie unikała.

- Wydaje mi się - podjął Lowe - że moja siostra chce zaimponować Treyhernowi swoją wiedzą o uprawie ziemi i chowie zwierząt. Zmarły pan Fane zajmował się rolnictwem, więc ona zna i lubi tę pracę.

Pani Fane spoglądała ze swego miejsca na stojącego obok Cama, który uprzejmie nachylał się nad jej krzesłem, zaciskając w dłoni pusty kieliszek po winie. Lecz dokładnie w tym momencie całe zainteresowanie, jakie miał dla siostry proboszcza, gdzieś znikło. Jakby wyczuwając obecność Heleny, podniósł wzrok i popatrzył ponad głową pani Fane, napotykając spojrzenie Heleny. Dłuższą chwilę intensywnie patrzyli sobie w oczy.

Thomas natychmiast położył dłoń na ramieniu Heleny.

- O, proszę popatrzeć! - zawołał, odwracając ją w kierunku drzwi. - Przyjechała pani Belmont z córką! Zwykle uczestniczą w nabożeństwach w Coln St. Andrews, więc przypuszczam, że nie została im pani jeszcze przedstawiona.

Wyznała cicho, że nie miała jeszcze tej przyjemności. Zanim zdążyła się zorientować, Thomas już prowadził ją ku nowo przybyłym. Helena ujrzała młodą kobietę stojącą sztywno u boku pani Belmont.

To była dziewczyna z przykościelnego cmentarza!

Znowu założyła na siebie bladozieloną suknię stanowiącą piękną oprawę dla jej jasnych, rudych włosów. Podczas gdy pani Belmont swiergotała niczym królowa do swoich dworzan, jej córka nagle uniosła nieśmiało, błękitne oczy i rozejrzała się po salonie, jakby kogoś szukała. Niemal natychmiast spostrzegła Helenę i oblała się gorącym rumieńcem.

Thomas zdążył już przeprowadzić Helenę przez tłum gości, aby dokonać stosownej prezentacji. Pani Belmont otworzyła srebrny *lorgnon* i przyjrzała się jej, wypowiadając kilka zdawkowych, chłodnych słów powitania, gdy tymczasem Joan aż skuliła się w sobie. Oczy dziewczyny otworzyły się szeroko w niemym przerażeniu, a gdy Helena podała jej

rękę, na twarzy młodziutkiej kobiety pojawiła się niemal błagalna desperacja.

Wszystko było jasne. Joan Belmont obawiała się, że Helena ją rozpoznała i teraz mogła napomknąć coś o tamtym dniu, gdy widziała ją na cmentarzu.

Mimo własnego przygnębienia w głębi serca Helena nie potrafiła być oschłą i okrutna.

- Już dawno chciałam panią poznać, panno Belmont - powiedziała wyraźnym, dźwięcznym głosem. - Żałuję, że nie spotkałyśmy się wcześniej.

W tym momencie znalazła w sobie dość siły, by uśmiechnąć się do przyszłej żony Cama. Jednak zaraz smutek i żal znowu chwyciły ją za gardło, uniemożliwiając mówienie, chociaż przecież nie powinna się niczego obawiać. Pani Belmont od razu przeniosła uwagę na Thomasa Lowe'a, a wtedy na twarzy Joan pojawiła się jakby lekka ulga.

Helena wykorzystała ten moment, aby odejść do stołu, na którym Milford postawił kilka butelek wina i kieliszki. Tuż obok stał Bentley, z obliczem pociemniałym jak gradowa chmura. Nalewając sobie trunku, rozglądał się po salonie. Stał na rozsuniętych nogach i z zaciśniętymi mocno szczękami pożerał wzrokiem kobiety znajdujące się przy drzwiach. Nie było wątpliwości, że młodzieniec nie jest w najlepszym nastroju. Z głośnym brzękiem odstawił butelkę.

Coś było nie tak. Helena zatrzymała się obok i dotknęła jego ramienia. Gwałtownie odwrócił głowę i popatrzył na nią, jakby ujrzał zupełnie obcą osobę.

Obejmując wzrokiem tę scenę, Cam uniósł kieliszek i energicznym ruchem opróżnił jego zawartość. Kątem oka zobaczył, jak Helena kładzie dłoń na ramieniu jego brata i spogląda na jego twarz z tak wielką troską, że Cam poczuł nieprzyjemny ucisk w sercu.

Co gorsza, idąc w kierunku Bentleya, nie zwróciła uwagi, że depta jej po piętach, nie odstępując jej na krok niczym wierny pies, zadurzony w niej proboszcz. Porzucił już towarzystwo pani Belmont i jej córki, aby jak najszybciej znowu znaleźć się u boku Heleny. Lecz ona już zdążyła zaciągnąć Bentleya w kierunku wolnego rogu salonu, gdzie mogliby swobodniej porozmawiać.

Dla oczu Cama tego było już za wiele. Oddałby połowę majątku, aby móc spędzić ten wieczór sam na sam z Heleną. Tyle rzeczy pozostało niedopowiedzianych. Choć po prawdzie Cam nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć. Lecz gdyby mógł być sam z Heleną, odpowiednie słowa na pewno by się znalazły. Tylko przy niej potrafił być sobą. A wtedy często słowa po prostu nie były konieczne.

Patrzył, jak Lowe wtrąca się do wyglądającej na poważną rozmowy Heleny z Bentleyem. Otaksował proboszcza wzrokiem. Dzisiaj po południu bardzo zaskoczyły go słowa Milforda, który poinformował swojego pana, jak często Lowe gościł w Chalcote pod jego nieobecność. Jedyną pociechą, chociaż dość słabą, było to, że Helena poddała się urokowi Thomasa, a nie Bentleya. Użył terminu poddała się, gdyż z pewnością Lowe nie zdobyłby się na sugestię ubiegania się o jej względy, gdyby w jakiś sposób nie został przez Helenę zachęcony. A może by się zdobył?

Teraz Lowe śmiał się wesoło, poklepując Bentleya po plecach. Proboszcz zajął strategiczną pozycję między Heleną a Bentleyem w sposób, który sugerował, że to on ma do niej największe prawo. Cam poczuł w sobie płomień nienawiści, gdy pomyślał o tym, jak to Thomas delectuje się towarzystwem Heleny. A może zdążył już delectować się czymś więcej? Jeśli tak, wszystko stawało się jasne. Owszem, Thomas był proboszczem, ale był także mężczyzną. A mężczyźnie wystarczyło jedynie musnąć wargami usta Heleny, żeby stracić poczucie rzeczywistości.

Podszedł do stołu, by ponownie napęlić kieliszek. Tak, Thomas Lowe jest przystojnym mężczyzną - pomyślał Cam. - Proboszcz miał miłą aparycję, dobre maniery oraz urok osobisty, którego Cam nigdy w sobie nie wykształcił. Z towarzyskiego punktu widzenia taki związek nie byłby zbyt rozsądny, gdyż w mniemaniu Cama Helena niewiele mogła wnieść do małżeństwa, poza domem w Hampstead i reputacją swojej matki, co prędzej czy później musiało przecież wyjść na jaw.

Tak czy inaczej, pozycja Thomasa w kościelnej hierarchii była solidna. Jego życie było nierozdzielnie związane z Chalcote, a pomimo obaw proboszcza Cam nigdy by się nie zdobył na to, żeby z powodu powstałej antypatii zakazać mu wstępu do swojego domu. Małżeństwo z Heleną mogłoby spowolnić karierę Thomasa, lecz na pewno nie doprowadziłoby go do ruiny. A mógłby na nim wiele skorzystać. Jego żona nigdy nie utraciłaby swego blasku. Ani ognia.

Znowu popatrzył na Helenę i zadał sobie pytanie, czy mógłby ją winić za to, że z upodobaniem przyjmuje zaloty duchownego. Jakież inne miała perspektywy, skoro jej obecne życie wygląda tak, jak wygląda? Lata pracy za niskie wynagrodzenie w domach ludzi, których tak naprawdę

niewiele obchodziła? Którzy nie doceniliby jej umiejętności, jej ciepła i uczciwości?

Kiedyś Helena musiała pragnąć normalnego życia, założenia własnej rodziny. Przecież jest jeszcze dość młoda, aby to zrobić. Czy Thomas Lowe jest pierwszym mężczyzną na świecie, który gotów był przymknąć oko na jej niezbyt przykładne wychowanie?

Nagle Cam poczuł, jak oblewa go fala gorącego wstydu. On sam spośród wszystkich ludzi miał najmniejsze prawo patrzeć krzywo na propozycję Thomasa Lowe'a. Pomimo wniosków, do jakich niedawno doszedł, co sam miał jej do zaproponowania? Prawie nic. Nie, gorzej. Jego propozycja była przecież obraźliwa!

Zamiast delikatnie zdobywać jej względy, tak jak czynił to teraz Lowe, zaczął zrywać z niej ubranie i rzucił się na jej ciało z łapami jak napalony uczeń, po czym w swojej hojności zaoferował, że uczyni z niej swoją kochankę. Swoją kochankę! Aż dziw, że nie wyjechała pierwszym pocztowym dylizanssem. Bo on w zupełności sobie na to zasłużył.

Lecz może i zasłużył na coś gorszego - pomyślał, obserwując, jak Helena idzie przez salon płynnym krokiem z właściwą sobie gracją. Może zasłużył na to, by patrzeć, jak Thomas Lowe idzie pod ramię z Heleną do ołtarza w kościele Świętego Michała. Myśl, że przez resztę życia musiałby w każdą niedzielę zasiadać w kościelnej ławce naprzeciwko Heleny, wydawała się bardziej wizją piekła na ziemi niż religijnego przeżycia. Tego po prostu by nie zniósł.

Patrzył, jak Helena ciągnie Bentleya do stojących obok siebie foteli. Niebieski jedwab sukni przylegał do jej kobiecych kształtów w sposób zarazem pełen wdzięku i niezwykle ponętny. Udało się jej pozbyć

towarzystwa proboszcza. Ciekawe, co też sobie myślała. Co też przyszło jej do głowy, gdy dziś w salonie po raz pierwszy z daleka spojrzała mu w oczy? Czy w ogóle za nim tęskniła? Nie potrafił odgadnąć.

Tak, Helena niewątpliwie przysporzy proboszczowi kłopotów, lecz w końcu być może uda im się zbudować udany związek. Jednak gdy zjawił się Milford, aby zaprosić wszystkich do stołu, Cam zdał sobie sprawę, że - na Boga - wcale nie musiał ułatwiać Thomasowi zadania. Szybkim gestem odprawił kamerdynera i ruszył przez salon w kierunku Catherine.

* * *

W momencie, gdy Milford pojawił się w drzwiach, aby zaanonsować kolację, Helena ujrzała, jak Cam podchodzi do swojej siostry i mówi jej coś do ucha. Nieco zaskoczona Catherine kiwnęła głową, po czym zaczęła dobierać towarzystwo w pary, które miały przejść do głównej sali jadalnej. Zdziwiona Helena znalazła się u boku pana Rhoadesa, małomównego wikarego, zaś przy stole jej drugim sąsiadem został mąż Catherine. Helena widziała wcześniej naszkicowany przez Catherine plan miejsc, ale najwyraźniej Cam w ostatniej chwili poprosił ją o dokonanie pewnych zmian. Dlaczego?

Miała dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać, gdyż kolacja ciągnęła się bez końca. Pomimo wysiłków Heleny wikary odpowiadał na jej pytania monosylabami, podczas gdy Will Wodeway gadał wciąż o zbiorach, pogodzie oraz wypowiadał się na wałkowany już przedtem temat myśliwskich psów i polowań.

Podano kilka dań, otwarto wiele butelek wina, pół tuzina razy wznoszono toast za zdrowie Catherine. Zanim kolacja dobiegła końca i

kobiety wstały, aby przejść do salonu, wszyscy panowie poza wikarym byli już dość mocno wstawieni. Obyczaje Bentleya nie były niczym nowym, lecz Helena ze zdumieniem obserwowała, jak Cam i proboszcz kieliszek po kieliszku dotrzymują tempa w picciu potężnemu Willowi.

Panowie nie zatrzymali się zbyt długo nad kieliszkami porto, a potem goście oddali się typowym wiejskim rozrywkom. Pannę Belmont poproszono o zaprezentowanie swych umiejętności gry na fortepianie. Zaczęła grać naprawdę pięknie, chociaż nieco bojaźliwie. Catherine posłała wikarego, żeby przerzucił dla niej strony z nutami, a sama zaczęła szukać chętnych do partyjki wista. Nadąsany Bentley oparł się tej propozycji, ale mąż Catherine oraz Thomas Lowe i jego siostra ulegli namowom i utworzyli wymaganą czwórkę. Helena usiadła obok Bentleya na dużej skórzanej sofie i ponownie spróbowała nawiązać z nim rozmowę.

Cam stał samotnie plecami do kominka. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, oparł jeden obcas o mosiężną osłonę paleniska. Kiedy gracze zasiedli do kart, Cam powoli zsunął but z osłony i odwrócił się do ciotki. Pomimo dość znacznej odległości jego głos dobrze niósł się po salonie.

- Coś mi się widzi, *madame*, że wszyscy moi goście są już zajęci - powiedział bardzo spokojnie i pewnie, jeśli wziąć pod uwagę ilość wypitego alkoholu. - Czy moglibyśmy przejść na chwilę do mojego gabinetu i chwilę porozmawiać na osobności?

Pani Belmont wstała z uśmiechem samozadowolenia na ustach, po czym oboje wyszli z salonu przez pokój kredensowy do gabinetu. Joan od razu zaczęła się mylić przy klawiaturze i na chwilę przerwała grę. Bentley odstawił pusty kieliszek z taką siłą, że aż złamał jego nóżkę. Siedzący nieco dalej karciarze zdaje się w ogóle nie zauważyli, że nagle atmosfera

bardzo zgęstniała. Wikary dzielnie przełożył kolejną kartkę z nutami, a Joan podchwyciła przerwana melodię.

- Można się domyślić, co tu się święci - syknął Bentley, wskazując ruchem głowy gabinet.

Podniósł ułamaną nóżkę i zaczął się nią bezwiednie bawić.

- Mnie nawet nie chce się zgadywać - stwierdziła Helena, zabierając mu kawałek szkła z dłoni. Położyła go na stoliku. -I to nie jest nasza sprawa.

Bentley zmrużył oczy w wąskie szparki. Nagle sprawiał wrażenie zupełnie trzeźwego.

- Nie nasza? - spytał chropowatym, niskim głosem. - Czy ty masz serce z kamienia, Heleno?

Kiedy tak mu się przyglądała, Joan zakończyła grać sonatę. Helena ledwie miała świadomość, że dziewczyna wstała od fortepianu i pośpiesznie opuściła salon. Siedząca w przeciwległym rogu Catherine pisnęła radośnie i zgarnęła kolejną lewą, zaś całe towarzystwo przy zielonym stoliku gruchnęło śmiechem. Pan Rhoades szybkim krokiem zbliżył się do kominka. Tykanie stojącego tam zegara rozlegało się coraz głośniej i głośniej. Nie mogąc dłużej znieść tego napięcia, Helena odwróciła się do Bentleya.

- No dobrze - odezwała się z nieustającym wstydem. - Więc jak myślisz, co tu się święci?

- Mój ukochany braciszek właśnie finalizuje swe małżeńskie plany - odpowiedział przez ściśnięte gardło. - A uczucia Joan nic dla niego nie znaczą. A przecież ona nie może go kochać! I sam wiem, że go nie kocha.

Znam ją całe życie. Gdyby kochała Cama, na pewno by mi powiedziała!
Mówię ci, Heleno, że ja się na to nie zgodzę! I Joan też nie!

Jednak młodzieniec mówił tak, jakby chciał przekonać samego siebie, a nie Helenę. Czyżby to było źródłem goryczy Bentleya? Czy Cam zamierzał poślubić dziewczynę, którą kochał jego młodszy brat? Nagle Helena poczuła, że znajduje się zbyt blisko paleniska. W salonie zrobiło się gorąco, jakby zupełnie zabrakło powietrza.

Czy Bentley mówił prawdę? Czy ona miała mieszkać pod jednym dachem z Camem i jego nową żoną, przynajmniej do czasu zakończenia swojej pracy z Ariane? Patrząc, jak Cam z małżonką rozpoczynają wspólne życie? A może nawet obserwować, jak Joan Belmont robi się coraz grubsza, gdyż zostanie brzemienna z mężczyzną, którego Helena kocha ponad życie? To byłoby nie do zniesienia. Pokręciła niepewnie głową.

I nagle zerwała się z sofy na równe nogi.

- Wybacz mi, Bentley - wykrztusiła. - Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

Zanim Bentley zdążył zaproponować jej swoje towarzystwo, wybiegła z salonu i dalej korytarzem w kierunku pokoju wypoczynkowego dla kobiet. Lecz gdy wpadła przez drzwi, została nagle zaskoczona przez pannę Belmont, która gwałtownie wstała od toaletki. Coś białego ślizgało się między fałdami szerokiej spódnicy.

- Och... panno de Severs! - Zakryła sobie dłonią usta. - Wystraszyła mnie pani.

Pomimo własnego zdenerwowania Helena zauważyła, że ręka Joan wyraźnie się trzęsie. Było oczywiste, że młoda kobieta przed chwilą

płakała. Lecz zanim Helena zdążyła odpowiedzieć, Joan minęła ją i wybiegła z pokoju. Chyba uznała, że jej los został przypieczętowany i wcale nie była z tego powodu szczęśliwa.

Rozdarta między współczuciem dla uciekającej dziewczyny a uzalaniem się nad sobą, Helena popatrzyła na swoją twarz w lustrze i po chwili poddała się, opadając na krzesło, które przed chwilą zwolniła Joan. Powoli nachyliła się, opierając czoło na przedramieniu i zmusiła się, by nabrać kilka dużych haustów powietrza. W pokoju było cudownie chłodno, więc po chwili krew znowu zaczęła dopływać jej do głowy.

Bentley chyba dobrze odgadł. Biedna Joan musiała się zgodzić. A wzięwszy pod uwagę raczej nerwową reakcję ich obojga na spotkanie Cama z panią Belmont, Helena nie miała już wątpliwości co do przyczyny obecności Joan na przykościelnym cmentarzu tamtego jesiennego dnia. Przecież to miejsce znajdowało się bardzo blisko tylnej furtki terenu wokół kościoła wiodącej prosto do sadów Chalcote Court. Znalazłszy się na terenie majątku, można było odbyć romantyczną schadzkę w dziesiątkach różnych miejsc. Któż o tym wiedział lepiej niż Helena? Na jej ustach pojawił się gorzki uśmieszek; poczuła spływającą po nosie ciepłą łzę. Zawstydzona, że nie potrafi się opanować, uniosła głowę i dopiero wtedy spostrzegła leżący pod toaletką skrawek papieru. Bez namysłu podniosła go i od razu zauważyła nakreślone tam słowa.

Moja najdroższa Joan -To musi stać się jutro. Błagam Cię. Nie możemy już tego odwlekać. Wszystko będzie przygotowane w wyznaczonym czasie i miejscu. Twoja matka po prostu musi nam wybaczyć.

Kochający na wieki -B. R.

Papier był pognieciony, napisane męską ręką litery widniały w nierównych rzędach, jakby autor napisał ten list w wielkim pośpiechu. Wnioski były oczywiste, a Helena nie miała wątpliwości, kim był autor tego pisma. Bentley miał zamiar uciec razem z Joan Belmont - prawdopodobnie do Szkocji, gdyż żadne z nich nie osiągnęło jeszcze pełnoletności.

Dobry Boże! Bentley chciał uprowadzić pannę młodą sprzed nosa swojemu bratu, tym samym skazując siebie i Joan na wieczne potępienie i na dozogoną wściekłość jej matki. A Cam z pewnością go zabije.

Kartka w dłoni Heleny drżała niczym uschnięty liść. Wzdrygnęła się na myśl, co musi teraz zrobić. Jeśli zwróci się do Bentleya, ten wszystkiemu zaprzeczy. Jeszcze raz przeczytała list. To musi stać się jutro. Dzięki Bogu miała trochę czasu, żeby się zastanowić.

Być może uda się jej porozmawiać rozsądnie z Bentleyem nazajutrz, kiedy będzie całkowicie trzeźwy. Może byłaby w stanie przekonać go, aby jej zaufał. A jeśli nie... cóż, pozostawało tylko jedno wyjście. Będzie musiała przekazać tę kartkę Camowi. Czy go to mocno zrani, gdy się dowie, jak jego brat i kuzynka spiskowali przeciwko niemu? Bez względu na to, co między nimi zaszło, Helena nagle zrozumiała, że nie chciałyby, aby Cam cierpiał. Życie i tak okrutnie się z nim obeszło.

Tak, zwrócenie się do Cama będzie ostatecznością. Mówiąc szczerze, miała dużo sympatii dla urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą kochanków. Gniew Cama był rzeczą straszną, a niewątpliwie to Bentley wzięłby na siebie cały impet tego wzburzenia, gdyż i tak był w niełasce. Jednak Helena rzuciłaby Bentleya na pożarcie wilka tylko wtedy, gdyby nie miała innego wyjścia. Mimo że kochała Cama - a kochała go całym

sercem - nie mogła stać bezczynnie i patrzeć, jak brat rujnuje mu życie, a także sobie i tej niewinnej, łatwowiernej dziewczynie.

Z tym postanowieniem Helena przesunęła dłonią po sukni i nagle zaklęła cicho. To była jedna z nielicznych jej sukni, które nie miały żadnej kieszonki, a ponieważ kolacja miała miejsce w Chalcote, Helena nie zabrała ze sobą nawet torebki. Starannie złożyła kartkę i ukryła ją w dłoni, lekko podenerwowana odgłosem zegara wybijającego już jedenastą. Zdecydowanie zbyt długo przebywała poza salonem. Rozejrzała się po pokoju, szukając jakiegoś bezpiecznego zakamarka, jednak bez rezultatu.

I wtedy Helena coś sobie przypomniała. Nieco wcześniej widziała, jak pani Fane i Catherine wchodzi do gabinetu, żeby przynieść jakiś tomik poezji z księgozbioru Cama, by wyjaśnić spór powstały podczas kolacji. Teraz książka leżała zapomniana na bocznym stoliku.

Odetchnęła głęboko, aby się trochę uspokoić, po czym pchnęła drzwi i wyszła na korytarz. Od razu poraził ją powiew zimnego powietrza. Od strony wielkiego holu dobiegały odgłosy krzątania, następnie rozległ się turkot powozu podjeżdżającego od stajni pod drzwi dworu. Bogu dzięki. Ten straszny, dłużyący się wieczór niebawem dobiegnie końca.

* * *

Ariane pochyliła się nad poręczą na pierwszym piętrze, aby popatrzeć na służących, którzy kręcili się po wielkim holu na dole. Obserwowanie kolorowych liberii przypominało obserwację rybek pływających w stawie. Lokaje biegali tu i tam. Na bruku przed drzwiami widać było zbliżającą się od strony powozowni karetę cioci Belmont. Tuż przy łukowatym wejściu Milford podawał Larkinowi płaszcze i peleryny.

Dobrze! Przyjęcie dobiegło końca.

Ariane myślała i myślała bardzo intensywnie. I bardzo długo. Była pewna, niemal pewna, że on jest blisko. Wspomnienia już trochę się zatarły. Słowa gdzieś zniknęły, uciszone tysiącami szeptów krążących w jej głowie. Lecz czasami we śnie powracały. Do momentu, gdy się budziła. Sama. W ciemności. Czekając na Helenę, która znała jej tajemnicę... a przynajmniej część tajemnicy.

Helena chciała, żeby ona zaczęła mówić. Ale co powiedziała mamusia? „Nie mów!” Lecz mamusia nie znała Heleny. Gdyby ją znała, na pewno by zrozumiała. Tak, na pewno. Helena była inna niż wszyscy.

Ariane cicho przykucnęła za balustradą, obserwując wychodzących gości.

RS

Rozdział 14

W którym z pani Belmont wychodzi wiedźma

Gwałtowny odgłos rozdieranego papieru rozległ się donośnie w gabinecie hrabiego. Ze zdumiewającą jak na jej wiek zwinnością Agnes Belmont skoczyła na równe nogi i podeszła do kominka i wrzuciła do ognia to, co zostało ze sporządzonego przez Cama naprędce dokumentu. Po chwili energicznie odwróciła się do siostrzeńca.

- Słuchaj no, Camdenie Rutledge - powiedziała wyraźnie, wskazując wyciągniętym, kościstym palcem płomień - będziesz dokładnie tak samo palił się w piekle, jeśli sobie myślisz, że możesz złamać obietnicę małżeństwa.

Ponieważ ciotka uznała za stosowne zerwać się z krzesła, Cam z szacunkiem również powstał.

- Proponuję - powtórzył cicho - że będę opiekunem Joan przez cały sezon towarzyski, a nawet dwa lub trzy, jeśli nie znajdzie sobie odpowiedniego męża. Poza tym zaproponowałem posag trzykrotnie wyższy od tego, który zostawił twój niedawno zmarły małżonek. Jako głowa rodziny nie mógłbym zrobić mniej.

- To, co zrobisz, młody człowieku - rzuciła pani Belmont, wciąż potrząsając sękatym palcem – to wywiążesz się z danej obietnicy i zabierzesz tę dziewczynę do małżeńskiego łóża albo poniesiesz konsekwencje. Cam skłonił głowę.

- Przykro mi, że cię zdenerwowałem, ciociu. Ale jak już wcześniej powiedziałem, nie mogę z czystym sumieniem poślubić Joan, jeśli moje serce nic do niej nie czuje. Zdaję sobie sprawę, że niejednokrotnie

rozmawialiśmy o tym ślubie jako dogodnym rozwiązaniu, ale dobrze wiem, że czasami serce nie jest zbyt mądre, a małżeństwo z rozsądku może się stać jednym, niekończącym się pasmem nieszczęścia.

- Nieszczęścia? - zasyczała pani Belmont. - A co ty wiesz o nieszczęściu?

- Wystarczająco, abym nie chciał nikogo unieszczęśliwić, a zwłaszcza tak drogiej mi osoby jak moja kuzynka.

- Piękne słowa, mój chłopcze! Ale jesteś marzycielem. - Zmrużyła oczy. - Rozumujesz jak głupiec.

- Nie. W końcu postrzegam rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. A czy ty w ogóle zadałaś sobie trud, aby spytać Joan, czego ona sobie życzy? Ona już nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy! To, co kiedyś było dobroduszną sympatią, zostało zastąpione przez nagi strach. A po prawdzie to zastanawiam się, czy jej sympatia nie skierowała się ku komuś innemu.

Dwoma długimi susami pani Belmont pokonała szerokość dywanu i stanęła przed siostrzeńcem. Przez ułamek sekundy wyglądała tak, jakby miała ochotę go uderzyć.

- Co ty sugerujesz, Camden? Moja córka jest czysta jak świeży śnieg, już ja tego dopilnowałam! Ani przez chwilę nie uciekła spod mojej kurateli!

Cam uniósł ręce.

- Uciekła? - wyszeptał szorstko. - Prosiłbym, abyś lepiej dobierała słowa, *madame*. To jest młoda kobieta, a nie więźniarka!

Oczy pani Belmont stały się jeszcze węższe.

- Lepiej będzie, milordzie, jeśli zajmiesz się swoimi sprawami, a mnie pozostawisz moje. Chciałbyś, abym dała Joan pełną swobodę, taką jaką ma ten nicpoń, twój braciszek? Czy w twoim pojęciu właśnie na tym polega odpowiednie wychowanie? - Zatoczyła ramieniem szerokie koło. - Bogu dzięki, że moja siostra nie żyje i nie widzi, do czego doprowadziłeś.

Odszedł od biurka, gwałtownie wsuwając krzesło pod jego blat.

- To, do czego doprowadziłem, *madame*, to przynoszący dochody majątek, wyciągnięty moim wysiłkiem i ciężką pracą znad krawędzi bankructwa. Zająłem się wychowaniem brata i siostry, jak najlepiej umiałem. I nie zamierzam o tym z tobą dyskutować. Przedstawiłem moją propozycję. To, że wrzuciłaś ją do ognia, nie zmienia mojego pragnienia, aby zadbać o przyszłość Joan.

- Musisz się z nią ożenić! Sam nie wiesz, co robisz!

Nie mógł się powstrzymać od ponurego uśmiechu.

- Jesteś bliżej prawdy, niż gotów bym to przyznać. Ale niebawem uporządkuję swoje życie.

Uśmiechnęła się z pogardą.

- Nie wyobrażaj sobie, mój chłopcze, że nie wiem, co tu się dzieje. Chcesz sobie wziąć tę francuską dziewczkę jako kochankę. Ale Joan nie jest taka głupia. Ona wie, że mężczyźni muszą czasem zrobić coś na boku.

Cam powstrzymał się, żeby jej nie udusić. Jej bezduszość przyprawiała go o mdłości.

- Joan zasługuje na coś lepszego niż niewierny mąż - podsumował cicho. - A moja guwernantka jest damą.

Pani Belmont oparła czubek palca na narożniku biurka.

- Helena Middleton, mój panie, to córka damy z półświatka!

Fakt, że użyła poprzedniego nazwiska Heleny, nie uszedł uwagi Cama. Stał, mocno zaciskając dłonie na oparciu krzesła i gotując się ze złości.

Ciotka się zaśmiała.

- Och, Camdenie, mój chłopcze! Jesteś aż tak głupi? Tak łatwo przyszło odkryć jej skandaliczną przeszłość! Latała po całym kontynencie z każdym, kto mógł sobie pozwolić na jej tak zwaną pensję! Ha! Wystarczy na nią popatrzeć, żeby dostrzec rodzinne podobieństwo do matki i tę samą demoralizację.

Długimi, pełnymi złości krokami Cam podszedł do drzwi i jednym ruchem otworzył je na oścież. Pomimo niemal oślepiającego gniewu, zobaczył gości zebranych wokół Catherine która siedziała przy fortepianie i śpiewała wraz z innymi wesołą pieśń.

- Powtórz Joan, co powiedziałem - odezwał się Cam lodowatym głosem. -I zrób to jeszcze dzisiaj, na wypadek gdyby miała się rozchorować. Albo gdyby miało się wydarzyć coś jeszcze gorszego. - Wpatrywał się niewidzącymi oczami w głąb salonu. - Nasza rozmowa dobiegła końca.

Spojrzał na swoje kłyckie, pobielające na tle mosiężnej gałki. Przeraziła go siła własnego gniewu, pragnienie, by podejść i uderzyć ciotkę w twarz.

Zacisnął oczy. Ogarnął go paniczny lęk. Tracił panowanie. Tracił kontrolę nad tym, co się dzieje. I to coraz częściej.

Pani Belmont podeszła do niego i położyła swoją chudą dłoń na jego ręce. Otworzył oczy.

- Dobiegła końca? - spytała cicho, patrząc na tłoczących się przy wejściu gości. - Bardzo wątpię. Chyba że życzysz sobie, aby twoja ukochana została upokorzona. Wystarczy kilka słów wypowiedzianych donośnym głosem, a wszyscy od razu skupią na mnie całą swoją uwagę.

Cam poczuł, że zaraz urwie klamkę.

- Tak - powiedziała słodko - będzie ciężko, gdy oni poznają prawdę o tej tak zwanej guwernantce. Co za brudna sprawa! Jedyne dziecko hrabiego Treyherna oddane pod opiekę wielkiej kurtyzany!

- Panna de Severs wcale taka nie jest - odparł, zmuszając się do spokoju.

Boże! Oczekiwał, że reakcja ciotki będzie ostra, ale to przekraczało wszelkie granice.

- Ha! - zawołała szyderczo pani Belmont. - Czy choć przez chwilę sądziłeś, że ja nie wiem o tym, co między wami zaszło? Miałam relację z pierwszej ręki od twojego nic niewartego ojca.

- Mój ojciec nic nie wiedział - mruknął Cam.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Ależ wiedział! I wszystko wypaplał! A potem ze śmiechu aż klepnął się w kolano na wieść o waszej ucieczce! A teraz ty chcesz się rzucić do stóp kobiecie, którą można mieć za psie pieniądze? Kobiecie, którą miałeś i ty, i tuzin innych mężczyzn? To tylko dowodzi, co wszyscy od dawna podejrzewali: że jesteś w każdym calu takim samym głupcem jak twój ojciec.

Zignorował jej kłamstwa. A co do prawdy... cóż, nie było sensu zaprzeczać uczuciom do Heleny. Nie wierzył, że opis jej przeszłości, który

podawała ciotka, jest całkowicie dokładny. Lecz niemal przestało go to obchodzić.

- Nic nie wiesz o charakterze panny de Severs, *madame* - rzekł ponuro. - I dobrze ci radzę, trzymaj język za zębami.

- Nie jest nikim więcej niż córką ladacznicy! - Pani Belmont tupnęła nogą w dywan. - Nie jest i nigdy nie była nikim lepszym.

- Koniec rozmowy, *madame* - powiedział cicho. Wściekłość osłabiła rodzącą się w nim obawę.

Bez względu na to, jaką burzę ciotka wywoła, on i Helena wyjdą z tego razem.

- Nie! Jestem twoją krewną! Zrobisz, co każę, albo poniesiesz konsekwencje.

Cam spostrzegł, że ciotka traci poczucie rzeczywistości. Czy naprawdę małżeństwo córki z mężczyzną mającym i utytułowanym miało dla niej aż tak wielkie znaczenia? Nadeszła pora, aby przekazać jej brutalną prawdę.

- Masz rację. Kocham Helenę. Kimkolwiek mnie to czyni, a możesz mnie obrzucać obelgami wedle swego uznania, to twierdzę, że panna de Severs jest damą. Kocham też Joan, ale nie w sposób, w jaki mężczyzna kocha kobietę, którą pragnie poślubić. Powiedziałem ci, co chcę dla niej zrobić. To musi wystarczyć. - Ponownie otworzył przymknięte uprzednio drzwi.

- Camden - odezwała się głębokim, chrapliwym głosem, dobiegającym jakby z piekielnych czeluści. - Proszę cię! Błagam! Jestem twoją jedyną ciotką ze strony matki. Nasza rodzina jest osłabiona, niemal

zniszczona niemoralnymi ekscesami. Jej ocalenie zależy od nas!

Bezwiednie odwrócił się do niej.

- Chyba jestem już zmęczony narzuconą mi rolą zbawcy. Rodzina musi brnąć dalej beze mnie. Ale uczynię wszystko, co mogę, dla ciebie i dla Joan. Wezmę ją pod moje skrzydła, a nawet przyjmę do mego domu, gdyby tego chciała. Catherine zabierze ją do miasta i wprowadzi w towarzystwo. Lecz nie mogę się z nią ożenić. Moje serce jest już zajęte. Przykro mi.

- Nie! - wycharczała szeptem. - Nie możesz... nie śmiałyś ożenić się z tą kobietą... !

Cam jeszcze szerzej otworzył drzwi.

- To ladacznica! - syknęła ciotka. - Camden, ja się dowiadywałam! Nie ma wątpliwości! Być może byłeś jej pierwszym mężczyzną, ale na pewno nie będziesz ostatnim! Ona myśli, że jesteś takim samym głupcem, jak twój ojciec. Zabierze wszystko, co tylko zdoła, a potem spowoduje rozpad waszego małżeństwa. W jakim innym celu miałaby tu wrócić po tylu latach? Czy zadałeś sobie to pytanie?

Wyszedł z gabinetu, pozostawiając ciotkę w przejściu. W jej oskarżeniach było wystarczająco dużo prawdy, żeby zaprzątnąć mu myśli. Ale to nie była prawda o Helenie, lecz o nim samym.

Zawsze kończyło się na tym, że Cam popadał w zwątpienie co do samego siebie. Nie ulegało wątpliwości, że Helena namąciła mu w głowie. Cała jego samodyscyplina i dobre intencje ulatywały przez okno, gdy tylko w pomieszczeniu zjawiała się ona. I to już nigdy się nie zmieni.

Stojąca za jego plecami ciotka milczała. Bogu dzięki. Zmęczonymi oczami patrzył, jak Helena wraca do salonu, bierze książkę ze stolika

i szybko podchodzi do brata Cama, wciąż siedzącego niedbale na sofie. Jego wiecznie niezadowolona mina była jeszcze bardziej ponura.

Tym razem oblicze Heleny nie było już takie nieprzeniknione. Wyglądała na zaniepokojoną, gdy przysiadła na sofie i nachyliła się do Bentleya. Cam był tak bardzo zaabsorbowany obserwowaniem wymieniających znaczące spojrzenia Heleny i swojego brata, że ledwie zauważył, iż goście odszedłszy od fortepianu, zaczęli powoli żegnać się z jego siostrą.

Właśnie w tym momencie Helena przesunęła się i odwróciła do Bentleya w taki sposób, że Cam nie widział jej twarzy. Zupełnie irracjonalnie znowu poczuł się boleśnie odrzucony, jakby został wykluczony z jej życia, które powinno być ich wspólnym życiem, gdyby tylko los sobie z nich nie zadrwił.

Wciąż dźwięczały mu w głowie pełne złości słowa ciotki. Czy naprawdę pragnął poślubić Helenę? Tak. Jeśli tylko ona go zechce.

I jeśli nie była zakochana w proboszczu, którą to możliwość ciotka z pewnością by lekceważyła, to pozostawały jedynie dwie możliwości. Albo jej miłość do Cama przetrwała, tak jak jego miłość do niej. Albo też Helena jest tak nieszczerą i interesowną, jak twierdzi jego ciotka, i wróciła tylko po to, żeby sprawdzić, czy Cam wciąż jest takim samym głupcem, jak ten chłopak, którego kiedyś zostawiła.

Nie wierzył w tę drugą możliwość, ale po prostu już przestało go to obchodzić. Ciotka nazwała po imieniu nie tylko jego obawy, ale też kształt jego przyszłości. Ale on będzie miał Helenę, bez względu na cenę.

W tym momencie do Heleny podszedł proboszcz i skłonił się głęboko nad jej dłonią. Jej nieco oschły śmiech niósł się po całym salonie. W końcu Cam zrozumiał, że dzieje się coś złego.

Nagle widok na sofę przesłoniła mu pani Fane, która podeszła do niego, żeby się pożegnać. Z udawaną uprzejmością ujął jej dłoń i podziękował za miłe towarzystwo. Jednak bezustannie skupiał całą swoją uwagę na Helenie.

Helena położyła rękę na rękawie surduta Bentleya. Wyglądało na to, że o coś go prosi. Dlaczego dziś wieczorem poświęca Bentleyowi tyle uwagi? Jak by zareagowała na oświadczyzny Cama? Czy roześmiałyby mu się prosto w nos? Gdyby mu odmówiła - być może z niewieściej dumy lub jakiegoś irracjonalnego pragnienia niezależności - nalegałby tak długo, na ile wystarczyłoby mu śmiałości. Tym razem zamierzał złożyć taką propozycję, której żadna będąca przy zdrowych zmysłach kobieta nie mogłaby się oprzeć.

Śmiech Catherine przywrócił go do rzeczywistości. Podniósłszy głowę, stwierdził, że Helena gdzieś znikła. Larkin podawał gościom ich okrycia.

Bogu dzięki, przyjęcie dobiegło końca. Będzie mógł zamknąć się w swoim gabinecie i pozwolić sobie na rzadki luksus upicia się na umór. Teraz podszedł do Joan i pomógł jej nałożyć pelerynę. Już nie mógł się doczekać, kiedy obie panie Belmont opuszczą jego dom.

* * *

Było sporo po północy, gdy Helena zdała sobie sprawę, że opuszczając w pośpiechu salon, zostawiła w książce tajemniczy liścik Joan. Tylko która to była książka? W zdenerwowaniu Helena nie

zauważyła nawet tytułu, nie zwróciła też uwagi na kolor skórzanej oprawy. Wielkie nieba! Jak to możliwe?

Nasunęła satynowe pantofelki i pośpiesznie zeszła schodami na dół. Kiedy pokojówka położy książkę z powrotem na półce, Helena już nie będzie w stanie jej odnaleźć. Ale prędzej czy później ktoś znowu weźmie ją do ręki, a wtedy pojawienie się listu może się okazać bardzo kłopotliwe dla Bentleya, może zrujnować życie młodej Joan. I z pewnością sprawi ból Camowi. Być może nawet chciała, żeby tak się stało, lecz w głębi serca nie mogłaby tego zrobić.

Gdy uchyliła drzwi do salonu, ogień w kominku już przygasł, pozostawiając po sobie kupkę popiołu. Z ulgą stwierdziła, że w pomieszczeniu jest pusto. W słabym świetle żarzących się jeszcze węgli zobaczyła cienką książkę leżącą na stoliku, tam gdzie Helena ją zostawiła. Wbiegła do środka, zgarnęła tomik poezji ze stołu i wrzuciła go szybko do kieszeni szlafroka, po czym odwróciła się, by wracać.

- Szukasz świętego Camdena, moja droga? - odezwał się z mroku ponury głos.

Odkręciła się szybko i ujrzała chudą postać, pólężącą na ławie pod oknem. Jego twarz była ukryta w głębokim cieniu. Jednak leniwy głos powinien był ją ostrzec przed tym, czego nie mogły oświetlić przygasające węgle.

Brat Cama siedział, opierając się plecami o boczny parapet, jedną nogę miał wysoko na przeciwległej ścianie. Na kolanach trzymał niemal pusty kieliszek. Miał poluzowany fular, rozpiętą kamizelkę, ciemne włosy opadły mu na twarz, pograżając ją w jeszcze głębszym cieniu. Wyglądał dość przerażająco, jak młodsza wersja swojego ojca.

- Bentley, idź do łóżka - poleciła Helena surowym tonem. - Jesteś pijany.

Z wdziękiem zadającym kłam jej oskarżeniu, Bentley usiadł prosto, a po chwili podszedł do niej, pozostawiając kieliszek z reszką brandy. Zatrzymał się tuż przed nią, zdecydowanie za blisko jak na jej gust.

- Pytałem - powtórzył, wsuwając palec pod jej podbródek - czy szukasz tu świętego Camdena? Bo jeśli tak, moja droga, to nie wyjdzie ci to na dobre.

- Bentley, na litość boską - syknęła. - Jesteś nie tylko pijany, ale też agresywny. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Lecz Bentley był szybszy. Dopadł Helenę, objął ją swym silnym ramieniem i przytrzymał zamknięte drzwi. Serce skoczyło jej do gardła.

Naparł na nią, przyciskając jej ciało do drzwi. Poczowała na piersiach chłodne drewno. Słyszała tuż nad uchem jego sapanie, doszła ją woń alkoholu. Zaśmiał się niskim, złośliwym śmiechem, prosto w jej skroń.

- Myślisz, że nie widzę, jak on na ciebie patrzy, gdy myśli, że nikt tego nie widzi? W czasie kolacji zauważyłem, jak dwa razy wsunął rękę pod stół, żeby sobie trochę ulżyć. Podobno roztopiłaś mu serce.

- Jesteś strasznie wulgarny. Puść mnie natychmiast.

Ale on znowu parsknął śmiechem.

- Doprowadzasz go do szaleństwa, moja droga. Pomyśl tylko! Mój świętoszkowaty braciszek z nieuleczalną erekcją.

Helena strategicznie przesunęła nieco ciężar swego ciała, lecz on przytrzymał się drzwi drugą ręką, przyciskając jej twarz do twardego, dębowego drewna.

- Puść mnie, Bentley - powtórzyła z naciskiem.

- Nie interesują mnie twoje spory z Camem. Lekko już przestraszona, Helena wiedziała, że nie może okazać strachu. Bentley chciał ją zastraszyć, to wszystko. Chłopak był zdezorientowany; wściekły na brata, nieszczęśliwy z powodu swojego losu. Zapewne nie chciał uczynić jej krzywdy, lecz gdyby zareagowała zbyt silnie i zaczęła się z nim szamotać, to wtedy spotkałoby ją coś znacznie większego niż krzywda. Każda guwernantka była w niebezpieczeństwie, gdy dochodziło do takich sytuacji, lecz Helena - zwłaszcza w tym domu - była narażona na znacznie większe ryzyko.

- Ach, Heleno... - wyszeptał w jej włosy zbolalym głosem. - Jesteś tak cholernie piękna. Rozumiem, dlaczego on tak się tobą podnieca. Ale nigdy się z tobą nie ożeni. Wiesz o tym, prawda?

- Na litość boską, Bentley. Zgniatasz mnie - szepnęła głosem na tyle spokojnym, na ile była w stanie się zdobyć. - Cofnij się i daj mi odetchnąć. Lecz on jakby jej nie słyszał.

- O, tak. On cię pragnie, słodka Heleno. Lecz nasz milord spełni swoją powinność, bez względu na to, komu przysporzy cierpienia. Ożeni się z Joan, i niech diabli porwą wszystkich, którym to się nie spodoba.

- To nie jest moja sprawa - skłamała cicho. - Zadajesz mi ból. Puść mnie.

- To Cam zadaje ci ból, Heleno. Myślisz, że tego nie widzę? Krzywdzi nas oboje. Ale może moglibyśmy się nawzajem trochę pocieszyć?

Nagle objął ją na wysokości obojczyka, jakby chciał zedrzeć szlafrok z jej ramion. Nie udało mu się, więc podniósł rękę nieco wyżej, chwytając

ją za szyję. Niemal bezwiednie zaczął pociągać za wstążki, przytrzymując jej rękę drugą dłonią.

Była coraz bardziej przerażona. Bentley przyparł ją do drzwi, po czym szybko - i dość zwinnie - zabrał się do jej nocnej koszuli. Choć nie był tak mocno zbudowany jak jego brat, to na pewno znacznie przewyższał ją wagą. Gdyby poważnie zabrał się do rzeczy, nie byłaby w stanie go powstrzymać.

- Bentley, puść mnie - syknęła.

Wyraźnie czuła na pośladkach twarde wybrzuszenie, jakie urosło w jego kroczu.

Być może Bentley był pijany i rozżalony ze względu na Joan, lecz jego męska żądza jakoś na tym nie ucierpiała. Dobry Boże, zachowuje się jak typowy mężczyzna. Postanowił zrzucić z siebie napięcie i pożądanie, wykorzystując pierwszą osobę, jaka mu się nawinęła. A kobiety wcale nie są takie niewinne. Ona powinna to wiedzieć najlepiej.

Jednak Bentley w najmniejszym nawet stopniu nie przejmował się jej odczuciami. Niecierpliwymi palcami rozwiązał kolejną wstążkę, po czym liznął ją wzdłuż brzegu ucha.

- Chodź, Heleno - zasapał, pozostawiając wilgotny ślad na jej skórze. - Zemsta może być bardzo słodka. Nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała. I wcale nie jestem niedoświadczony.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał w taki sposób - powiedziała niemal płaczliwie. Usiłowała uderzyć go łokciem w żebra, jednak bezskutecznie.

- Myślałam, że jesteś dżentelmenem. Niech cię diabli! Myślałam, że jesteś moim przyjacielem!

Podziałało.

Rozluźnił uchwyt; po chwili poczuła, jak jego mięśnie ogarnął chwilowy skurcz. Zsunął dłonie na wysokość jej talii, wstrząsany kolejnym dreszczem. W jednej chwili oparł się o nią bezwładnie, przykładając czoło do czubka jej głowy.

- O Boże - jęknął prosto w jej włosy. - Heleno. Och, Heleno! Co ja robię? Chryste, przepraszam cię. Strasznie przepraszam...

Uwolniona z uścisku, lecz wciąż w jego ramionach, odwróciła się, aby stanąć z nim twarzą w twarz. Ich spojrzenia spotkały się. Zbolałym wzrokiem szukał w jej oczach przebaczenia.

Uniosła dłonie i położywszy je na jego piersi, popchnęła. Odstąpił natychmiast.

- Bentley - wyszeptała. - Czy naprawdę tak bardzo ją kochasz?

W milczeniu pokiwał głową. Nabrzmiąte łzami oczy wciąż lśniły w blasku przygasających węgla.

- Tak... tak, jestem tego pewien. Już wiem, że kochałem Joan przez całe moje życie. A teraz jest za późno.

W spontanicznym odruchu wzięła go za ramiona i potrząsnęła nim lekko.

- Bardzo mi przykro. Ale to nie może dobrze się skończyć. Nie możesz zachować się nierozważnie, a wiem, że bierzesz to pod uwagę. Zbyt wiele osób będzie cierpiało. Musisz być silny. Joan będzie twoją siostrą i...

- Nie! - warknął ostro. - Tego bym nie zniósł! Nachyliła się bliżej, patrząc mu prosto w oczy.

Kciukiem delikatnie otarła mu z policzka wilgotny ślad.

- Zniósłbyś, Bentley - szepnęła łagodnie. - Nie mamy pojęcia, co nasze serce może znieść, do momentu, aż stajemy w sytuacji...

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi łączące salon z gabinetem. Szybkim ruchem zabrała dłoń z półeczka Bentleya.

W przejściu stał Cam, trzymając świecznik w wysoko uniesionej ręce. Oświetlony od tyłu migotliwym światłem sączącym się z gabinetu, wyglądał jak szatan wychodzący z piekielnych czeluści. Jeśli Bentley wyglądał rozpustnie, to Cam wyglądał... złowrogo.

Helena patrzyła, jak Cam ogarnia wzrokiem całą scenę. Najpierw doznał szoku, potem na jego twarzy pojawiła się wściekłość.

- Co tu się dzieje, do stu diabłów? - szepnął. Jego głos przeciął ciszę jak naostrzony nóż.

- Ja... zapomniałam zabrać książkę - wyjąkała, starając się mówić spokojnym głosem. Jednocześnie odepchnęła Bentleya. Cam powoli wszedł do salonu. Każdy jego krok dźwięczał niesamowicie głośno na pokrytej grubym dywanem podłodze.

- Książkę... ? - powtórzył.

Patrzył zmatowiałymi, czarnymi oczami i zbliżał się.

- Tak... książkę - powtórzyła, świadoma faktu, że jej nocna koszula i szlafrok są w totalnym nieładzie. - Wcześniej ją czytałam, a teraz zesłam na dół, aby ją zabrać.

Zatrzymał się przed nimi, cały czas trzymając uniesiony lichtarz. Omiótł wzrokiem Helene, jej włosy, koszulę i szlafrok. Potem spojrział ponuro, beznamiętnie na brata. Jednak gdy się odezwał, słowa już nie były wyzute z emocji.

- Tym razem - szepnął złowróźnie - posunąłeś się za daleko.

Wynocha. Wynoś się z tego pokoju. Wynoś się z mojego domu. Zanim cię zabiję.

- Posłuchaj mnie, Cam! - zaczął Bentley, unosząc dłoń w uspokajającym geście. - To nie tak! Ja tylko... ja... Helena próbowała...

- Wynocha. I niech cię piekło pochłonie. - Głos Cama był zimny jak lód.

Helena szczelniej owinęła się koszulą i szlafrokiem, czując coraz silniejsze drżenie w dołku. Zimnymi palcami bezwiednie dotykała swojej szyi.

- Idź, Bentley - szepnęła niepewnie, kładąc drugą dłoń na jego ramieniu. - Nic mi nie jest. Idź do łóżka. Jutro wszystko wyjaśnimy.

Bentley gwałtownie wypuścił powietrze, jakby chciał się kłócić, lecz się zreflektował. Wykonał gwałtowny obrót i ruszył w kierunku drzwi wiodących do holu.

Rozdział 15

W tym szaleństwie jest metoda

Cam nawet się nie obejrzał za wychodzącym bratem. Pijaństwo Bentleya już go nie interesowało. Sam również wypił więcej, niż powinien, lecz był ponad to. Teraz popatrzył na obnażone ramię Heleny.

Boże, czy oni uważali go za głupca? Lecz nawet największy głupiec - zadurzony i zaślepiony, taki jak on - musiał rozumieć, co tutaj miało się stać. Tutaj. W jego własnym domu. Jego własny brat. Z kobietą, której pragnął ponad wszystko na świecie. Lecz na pewno Helena nie... A jednak głaskała Bentleya po policzku. Natychmiast przypomniał sobie ostrzegawcze słowa ciotki, które teraz zadały mu szczególnie dotkliwy ból. Które przedtem bez chwili namysłu gotów był uznać w połowie za przesadę, a w połowie po prostu za kłamstwa. Nie, w większości za kłamstwa! A teraz dzikie, irracjonalne myśli, wirując szaleńczo, przelatywały mu przez głowę niczym miotane wiatrem uschnięte liście. Ręka Cama drżała, gdy patrzył, jak światło świec migoce na pięknej, jasnej skórze Heleny. Taka śliczna, taka kusząca. Jak zawsze.

Przez nieuwagę przekrzywił lichtarz; kropla rozgrzanego wosku skapnęła mu na nadgarstek. To przypomniało mu, że w żyłach Heleny również płynie gorąca krew, która mogłaby sparzyć mężczyznę, i to sparzyć bardzo dotkliwie.

Lecz jego odtrąciła. I to dla kogo? Dla takiego fajtlapy jak Lowe, który jednak miał odwagę zrobić to, na co Cam nie mógł się zdobyć.

Z pewnością nie pragnęła Bentleya, który miał ciało mężczyzny, lecz moralność libertyna i powściągliwość małego dziecka. Na pewno nie

miała ochoty na bezmyślne awanse kolejnego młodocianego adoratora. Kogoś, kogo mogłaby poprowadzić stromą ścieżką w dół ku emocjonalnej ruinie, tak jak niemalże zrobiła to z nim. I może wciąż mogłaby to zrobić, gdyby знаła całą prawdę.

Ta straszliwa prawda dźgnęła go w gardło niczym ostry odłamek szkła. Właśnie taki wpływ miała na niego Helena. Na chwilę zamknął oczy i pokręcił głową. Lecz obraz Heleny pozostał, wciąż stała, tak samo przytrzymując pod szyją rozchełstane ubranie. Znowu poczuł przyływ złości, przyćmiewającej swoją siłą ból. To niemożliwe, by Helena z własnej woli brała udział w tej farsie. Lecz dlaczego nie krzyczała?

Patrzył, jak jego własna ręka wędruje ku Helenie i odsłania jej obojczyk. Zupełnie jakby jego palce należały do innego mężczyzny. O dziwo, Helena tylko patrzyła na niego, gdy szarpnął jej szlafrok. Jej piękne oczy szerokie ze zdumienia. Całkowicie nierozumiejące. Sycił swój wzrok jej widokiem, z zadowoleniem widząc, jak porażona jego ogniem przełyka ślinę.

- Cam, to nie było tak, jak wyglądało - szepnęła głucho.

- Czy on chciał cię zmusić, Heleno? - Zimny, dobiegający jakby z oddali głos również nie należał do niego. Jakże pragnął, by odpowiedziała „tak”.

Lecz gdy milczała, zacisnął palce na tkaninie szlafroka i przyciągnął Helenę do siebie.

- Do diabła, powiedz mi prawdę! - wycedził.

- Nie broń go!

Niepewnie oblizwała wargi, wyraźnie szukając odpowiednich słów.

- Nie zmuszał mnie - powiedziała w końcu, odwracając wzrok. - I cokolwiek to było, to moja sprawa. A teraz daj mi odejść.

Jej sprawa?

Gdzieś tam, w głębi swoich myśli, Cam dojrzał ironiczny symbolizm jej ubrania. Sama biel. Symbol czystości i niewinności. W jego grzesznych snach o ich ognistej fizycznej miłości Helena przychodziła do niego w ozdobionych klejnotami jedwabiach - czerwonych, zielonych i złotych. Kusząca szata ślizgała się ponętnie po jej udach, gdy siadała na nim okrakiem i nadziewała się na jego pał.

W tych snach Helena zawsze ciągnęła go ku bezkresnej przepaści, popychała poza granice tego, co był w stanie pojąć, poza granicę emocjonalnej równowagi, którą bał się przekroczyć. Lecz teraz to on trzymał ją w swojej władzy. Głęboko w jej oczach widział błyski jakiejś nowej emocji. Znowu oblizwała usta, dotykając ich kącików czubkiem języka.

W odpowiedzi zsunął szlafrok z jej drugiego ramienia i patrzył, jak okrycie upada na dywan wokół jej stóp. Poczul się dziwnie obojętny. Jędrna pierś wystawała mocno do przodu. Z pełną premedytacją wyciągnął rękę, owinał sobie wstążkę wokół wskazującego palca i pociągnął mocno w dół, odsłaniając ją dla swoich oczu.

Sięgnął zdecydowanym, nawet brutalnym ruchem, widząc, jak Helena opuszcza powieki. To dziwne, ale oczekiwał... nie, wręcz pragnął, aby trzasnęła go w twarz za taką bezczelność. Lecz Helena nie robiła nic. Tylko delikatne płatki nosa poruszały się w rytmie jej oddechu. Czy się bała? A może to było coś innego?

Cam mruknął gardłowo, jak wygłodniały wilk.

Nagle coś w nim pękło. Boże, wcale nie był lepszy od swojego brata. Zabrał rękę, która jeszcze przez moment zatrzymała się przy pięknym owalu jej twarzy. Nie! Nie zrobi tego. Wciąż trzymając lichtarz, pochylił się niedbale i podniósł z dywanu jej szlafrok.

- Wracaj do swojego pokoju, Heleno - zachrypiał, rzucając jej okrycie. - Proszę. I wyjdź, zanim wezmę sobie to, co chciał wziąć Bentley.

Odeszła.

Zostawiła za sobą otwarte drzwi, za którymi widać było tylko ciemność. Cam zaklął jeszcze raz i z wściekłością postawił lichtarz na stoliku tak mocno, że jedna zapalona świeca potoczyła się po blacie. Gdy knot w końcu przygasł, Cam zabrał ze stołu butelkę brandy i wrzucił korek do kominka.

Gdy wybiła trzecia w nocy, w końcu zrozumiał, że alkohol nie stłumi ani jego żądy, ani też niesmaku do samego siebie. Wciąż kołatały mu się po głowie okropne słowa ciotki, wywołując cierpienie, które jednakże nie mogło się równać z bólem, jakiego doznawał na wspomnienie Heleny w objęciach swojego brata.

Zanim zegar wybił wpół do czwartej, Cam podjął decyzję. Nic się nie zmieniło. Helena będzie jego, tak czy inaczej. I zamierzał wyciągnąć z niej odpowiedzi na swoje pytania! Będzie musiała wyjaśnić swoje intencje wobec.. właśnie, kogo? Wobec niego? Bentleya? Lowe'a? Sam nie miał pojęcia.

Zerwawszy się z krzesła, poszedł korytarzem, a potem wspiał się po schodach na piętro. Nie do końca świadomy, co zamierza zrobić, trzema dużymi krokami dotarł do sypialni Heleny i szarpnięciem otworzył drzwi. O dziwo, użycie większej siły nie okazało się konieczne. Skrzydło drzwi

odchyliło się bezgłośnie do środka, a po chwili równie cicho powróciło do zamkniętej pozycji.

Bez butów, podszedł po dywanie do łóżka i spojrzał. Pomimo słabego żaru w kominku i chłodu panującego w pokoju Helena leżała odkryta pośród skopanej pościeli. Jej długie włosy rozsypały się szerokim wachlarzem na poduszce. Na ten widok Cam poczuł przejmujący dreszcz pożądania. Pełne złości pytania przerodziły się w żądę.

Och, Boże... ! Ile czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz wsuwał dłonie w jej gęste włosy? Zbyt wiele. Zdecydowanie zbyt wiele. A ta piekielnica wyglądała o wiele bardziej kusząco we śnie niż w świetle dnia. Odstawił kieliszek z brandy na nocny stolik i ukucnął obok łóżka, uważając, żeby jej nie obudzić.

Wodził wzrokiem po jej postaci. Leżała na plecach, z rozłożonymi szeroko ramionami, uniesionymi wysoko piersiami, niemal nagimi między wstążkami, których nie chciało się jej na powrót ściągnąć i zawiązać. W powłóczystej nocnej koszuli wyglądała jak malowidło przedstawiające anioła - ciemnego, lecz urzekającego anioła - który jakby zstąpił z nieba prosto na osnuty woalem z obłoków i chmur, średniowieczny ołtarz. Lecz, przebóg, jakież miała opuchnięte oczy. W ich kącikach wciąż zalegał mokrymi plamkami widomy dowód płaczu.

Jej koszula w okolicach szyi wyglądała na wilgotną, jakby Helena nie umiała opanować łez. Cam znowu poczuł wzbierającą złość, gdy pomyślał, jak Bentley dotykał jej swymi palcami, odsłaniał jej ciało, by nasycić się jego widokiem. Niech go diabli porwą! Jak on śmiał?

W tym momencie w ogóle nie pomyślał, że to być może wcale nie lubieżne dłonie Bentleya były powodem jej płaczu, ale jego, Cama,

nieopanowany gniew. Prawe kolano Heleny było zgięte i wysunięte w górę, przez co biała batystowa tkanina koszuli zsunęła się w tym miejscu do połowy uda. Cam chciwie wodził wzrokiem po jej nodze.

W kominku jeden z węgli trzasnął i zapłonął żywszym ogniem, omiatając jej ciało złocistym blaskiem. Wymamrotała coś niespokojnie przez sen i przewróciła się na bok w jego kierunku, tym samym obniżając jeszcze bardziej dolną linię dekoltu koszuli, przez co obnażyła czubek jędrnej piersi. Była to wysoce nieprzyzwoita poza.

Pragnął przesunąć palcami po wewnętrznej stronie jej uda, podciągnąć brzeg koszuli jeszcze wyżej. Niepewnie wysunął przed siebie rękę, lecz natychmiast cofnął ją gwałtownie, jakby użądliła go osa. Nie! Nie będzie jej kusił podczas snu, aby rozbudziła się podnieceniem, niepewna, czyj dotyk tak ją rozpalił. Gdyby ją podniecił - i posiadał, szybko i brutalnie - ona wiedziałaby, że to się dzieje za jego sprawą. Był już zmęczony tym swoim ciągłym nienasyceciem, nieustającym pragnieniem czegoś, czego mieć nie mógł.

Ledwie kilka tygodni temu Helena wiła się w jego ramionach, ogarnięta niepohamowaną namiętnością, jaką posiadały tylko nieliczne kobiety. Postanowił, że znowu wyzwoli w niej tę namiętność.

Tak, zrobi to dla własnej przyjemności. I jej również da przyjemność. Lecz tym razem, gdy już skończy, Helena poczuje się tak nasycona i spełniona, że już nigdy nie pomyśli o innym mężczyźnie.

Nie miało znaczenia, że tak długo przebywał z dala od niej i teraz nie znał jej upodobań, nie wiedział, co sprawia jej rozkosz. Natomiast ważne było co innego: smak jej skóry, odgłosy pożądania, zapach jej podniecenia.

Tak, posiadzie ją. Przekona. Z pożądania i wstydu trzęsły mu się ręce.

Dotykając opuszkami sutka Heleny, patrzył, jak ten nabrzmiewa, nawilżany złocistym trunkiem. Helena zareagowała przez sen, odwracając się ku niemu, rozchylając usta, z których uleciało ciche westchnienie.

Wstał i jeszcze bardziej zsunął jej koszulę, aby wyeksponować piękne ciało Heleny. Zamoczył palce w brandy i zaczął masować drugi sutek, obserwując, jak rośnie ogarnięty pożądaniem. Cam oparł ręce po obu stronach leżącej Heleny i nachylił się. Zaczął zlizywać lśniące kropelki, szorując brodą po jej delikatnej skórze, wreszcie wciągnął sutek głęboko w swe ciepłe usta.

Zaskoczony zobaczył, jak Helena przewraca się na plecy i ujmuje w dłonie jego głowę. Nie widział, lecz słyszał szelest pościeli, gdy zaczęła przesuwać po niej stopą, w górę i w dół, niczym kotka domagająca się pieszczoty.

- Ach... Cam, *mon amant*... - mruknęła sennie.

Zdumiał się, słysząc te słowa. I nagle Helena się obudziła.

Cam usiadł. Cofnęła się z cichym okrzykiem, podciągając kolana pod brodę, przywarła do wezgłowia, zebrała fałdy nocnej koszuli, aby zakryć swą nagość. W słabym świetle widział jej szeroko otwarte, pełne złości oczy.

- Rozbierz się, Heleno - powiedział, starając się opanować drzenie głosu. - Przysięgam ci, że już dłużej tego nie zniosę. - W ciemności usłyszał, jak gwałtownie nabrała powietrza, gdy zdjął już wcześniej poluzowany fular, który swobodnie opadł na podłogę.

- *Non!* - szepnęła, wyciągając przed siebie rękę w obronnym geście. - Nie! Co ty sobie wyobrażasz? Wynoś się!

- Och, Heleno. Zmęczyłem się już tą zabawą, w którą gramy. Jesteś mi przeznaczona. A teraz rozbierz się.

Zdał sobie sprawę, że chce na to patrzeć. Gwałtownie wyciągnął sobie koszulę ze spodni. Chciał widzieć, jak Helena trzęsie się z niepewności, kiedy się dla niego rozbiera. Władza. Tak, chciał mieć władzę nad Heleną Middleton. Władzę, która sprawi, że będzie drżała pod jego ciężarem i że będzie go błagała o litość.

Wiedział, że to do niego niepodobne. Że tak silna żądza jest czymś złym - a zapewne nawet obłąkańczym. Lecz teraz nie robiło mu to różnicy. Jakby coś w nim wreszcie pękło pod naciskiem tej ogromnej siły pożądania. Całe życie cierpienia. Lata wyżywania swych zwierzęcych frustracji na innych kobietach, tylko po to, by potem wstać z jakiegoś zimnego cudzego łóżka, uspokojony, lecz nie usatysfakcjonowany. Wiele razy.

Nadszedł czas, aby również Helena pocierpiała w taki sam sposób. Tym razem to on wciągnie ją w realizację swego niecnego planu; w intrygę nieskończenie bardziej niebezpieczną niż to, co młoda i lekkomyślna Helena kiedykolwiek wymyśliła. Zawładnie nią swoimi palcami, językiem i swoją męskością, aż rozkoszą doprowadzi ją do szaleństwa.

- Nie wierzę, że ośmieliłeś się przyjść do mojej sypialni - szepnęła. - Mam już dosyć twoich zniewag.

- Jeszcze nie tak dawno temu mój dotyk wcale nie wydawał ci się znieważający - odparł gorzko.

- Powiedz mi, Heleno, czy jestem już zbyt stary i nieczuły, żeby przyjść do twojego łóżka? Czy zmieniłaś upodobania i teraz wolisz bardziej beztraskich kochanków?

Ze złością potrząsnęła głową.

- W moich oczach zniewagą jest mężczyzna, który proponuje *carte blanche*, podczas gdy jest zaręczony z inną kobietą! A co do moich preferencji odnośnie do kochanków, to nie twoja rzecz. Widziałeś coś, ale wyciągnąłeś bardzo mylne wnioski.

- Czyżby? - spytał głucho i wyciągnął rękę, aby obnażyć jej ramię.

- Owszem! Bentley jest... jest... - Pokręciła głową i odtrąciła jego dłoń. - On jest w rozpacz i nie myśli trzeźwo. Wstrząsnęła nim wiadomość o twoim ślubie.

- Tak ci powiedział? - rzekł z pogardą Cam. - Gdybym się powtórnie ożenił, to rzeczywiście mogłoby być dla niego niewygodne. Ale zmartwił się przedwcześnie. Rozmawiałem już z ciotką. Nie ożenię się, żeby sprawić przyjemność jej lub komuś innemu. Ożenię się z własnego wyboru. Mam już dosyć poświęcania się dla tej przeklętej rodziny.

Helena z wysiłkiem starała się pojąć sens tych słów.

- Ale my widzieliśmy... Bentley myślał... Cam zaśmiał się, odchylając głowę do tyłu.

- Rzeczywiście! Czy on w ogóle myślał, moja droga? Może swoim kutaskiem. Tak jak ja teraz.

- Napawasz mnie obrzydzeniem - syknęła.

- A ja sądzę, że kłamiesz - stwierdził cicho, ocierając wierzchem dłoni jej sutek, który znowu natychmiast stwardniał.

- Wynoś się, zanim zrobisz coś, czego nie da się odwrócić. Jesteś tak samo żałośnie pijany jak twój brat.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Bardzo bym chciał, Heleno - odparł spokojnie, delikatnie bawiąc się sutkiem przez materiał. Klęczała, oparta plecami o wezglowie łóżka. - Pożadam cię i mam już dosyć czekania oraz kuszenia mnie ponad wszelką miarę.

Pobladła i mocno uderzyła go w rękę.

- Ja nie kuszę... nie kusiłam cię! Zabieraj ode mnie swoje łapy. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Naprawdę? - Zdarł z siebie koszulę, rzucił ją na podłogę, po czym na czworaka zaczął się zbliżać do Heleny.

Próbowała wycofać się jeszcze bardziej, chociaż i tak była już oparta plecami o drewnianą barierkę na końcu łóżka.

- Chodź! - powiedział drwiąco. - Nie bądź nieśmiała. Przecież nigdy taka nie byłaś.

Nagle ukląkł, chwycił Helenę i mocno przyciągnął do swojej piersi, jednocześnie wdzierając się wargami w jej usta.

Krótką chwilę walczyła z nim jak dzika kotka, wbiła paznokcie w jego barki, przeciągnęła nimi po jego plecach, lecz było mu wszystko jedno. Ten ból był cudownym cierpieniem. Całował ją nachalnie, aż powoli, prawie niezauważalnie, Helena oderwała się od wezglowia i weszła w jego objęcia.

Z poczuciem triumfu zostawił w spokoju jej usta i zaczął wędrować wargami wzdłuż owalu jej szczęki, delikatnej szyi, i dalej ku piersi. Helena jęknęła, wsuwając palce we włosy Cama.

- Heleno - zachrypiał, popychając ją na poduszki. Czując na swoim ciele te żarliwe usta, zadrżała w jego objęciach. Wtedy spojrział w jej oczy, które były wielkie i jakby przezroczyste, wpatrzone w pieszczące ją palce Cama.

- Pragniesz mnie, prawda? - To nie było pytanie, lecz ogłoszenie zwycięstwa.

- Tak... nie... niech cię diabli - wydyszała przez ściśnięte gardło, odrzucając głowę do tyłu.

Czuł, jak jej gniew narasta, by po chwili ustąpić miejsca pozbawionemu wszelkiej logiki pragnieniu.

Nie mógł odmówić sobie przyjemności obserwowania jej twarzy.

- Ciii - szepnął, przesuwając powoli dłoń na brzuch Heleny. - Pozwól mi cię kochać. Tak jak zawsze tego pragnąłem. - Przesunął rękę niżej, żeby popieścić przez materiał koszuli zagłębienie u nasady uda.

Cam poczuł się tak, jakby opuściły go wszystkie zasady moralne. Jeszcze nigdy nie był taki podniecony. Widział bezradną żądzę na twarzy Heleny, słyszał ją w jej oddechu, czuł w drzeniu jej ciała. Miała czerwone, rozgrzane policzki, nie patrzyła mu w oczy, gdy jej dotykał. Nie potrafił przeniknąć jej myśli. Był tak blisko. Niemalże ją posiadał.

Czy ona go powstrzyma? Czy on sam siebie powstrzyma? Stwierdził, że w obydwu wypadkach odpowiedź będzie przecząca. Czuł się jak nawiedzony. Na ruszcie paleniska węgle rozsypały się, a języki ognia wzbily się nieco wyżej.

Z kolejnym gardłowym jękiem wyprężyła ciało, wychodząc naprzeciw jego dłoni.

Zbyt długo nie byli ze sobą. Ta noc mijała zbyt szybko. Krew coraz szybciej krążyła im w żyłach. Z kominka padało na nich migotliwe światło przeplatane cieniem. Wciąż jej dotykał, przesuwał dłońmi po skórze, pieścił ustami. Wielbił Helenę swoim pożądaniem, starając się nie naruszyć swego serca, zatrzymać cząstkę siebie, zarazem biorąc to, czego tak chciwie pożądał.

Ale tak się nie dało. Poznał to po jej kolejnym oddechu. Nachylił głowę, by pochwycić wargami jej szyję, zafascynowany reakcją Heleny na jego dotyk. Jak u chętnej klaczy, jej ciałem co chwila wstrząsał dreszcz, gdy czuła swym ciałem zęby Ca-ma, gdy przesuwał usta z szyi na pierś, dalej na brzuch i z powrotem.

W pewnym momencie zmusił się, żeby przestać. Przysiadł na piętach, opinając materiał spodni na umięśnionych udach i nabrzmiałej erekcji. Helena oddychała szybko i płytko. Miała rozchełstaną koszulę, rozsypane w nieładzie włosy, dyszała grzesznym pożądaniem. Cudowny widok podnieconej kobiety.

Spoglądał na nią z niekłamaną przyjemnością. Zmuszając się do uspokojenia własnego oddechu, zobaczył, że twarz Heleny ponownie spąsowiała. Z fałszywą skromnością pociągnęła za swoją koszulę i opuściła czarne rzęsy, niczym szerokie wachlarze z piór. Wilgotny materiał lepił się do jej uniesionych piersi. Co za podniecający widok.

- Boże, jakaś ty cudowna, Heleno - powiedział. - Niewymownie piękna. Pełna dzikiej, nieokiełznanej żądz.

Otworzyła oczy, w których zapłonął gniew. Niemal słyszał, jak coś w niej pękło.

- Czy to właśnie o mnie myślisz, Cam? - szepnęła. Przepętniony bólem głos ugodził go niczym ostrze noża. - Przecież w końcu jestem taka sama jak moja matka... Czy nie umiesz cieszyć się kobietą, wiedząc, że jesteś dla niej ważny? Że ona pożąda tylko ciebie?

Aby uciszyć słowa, których nie mógł znieść, przycisnął jej ramiona do wezłowia i znowu przywarł do jej ust, tym razem bardziej brutalnie. Przytrzymując Helenę jedną ręką, drugą szarpnął do góry brzeg jej koszuli. Siłą wsunął palce w wilgotne, gorące miejsce między jej udami i stwierdził, że to nie Helena doznała szoku, lecz on sam.

Była gotowa. Poczul w nozdrzach słodki, przejmujący zapach jej podniecenia, który niemalże pozbawił go resztki samokontroli. I chciał ją stracić, z mocą wcisnąć się w jej ciało. Oddać się Helenie. Lecz nie umiał.

Bardzo powoli wsunął dwa palce do środka. Była wąska, bardzo wąska.

Usłyszał jej kolejny jęk. Popatrzył na nią znacząco. Wykonała krótki, niepewny gest ręką i odwróciła wzrok.

- Weź mnie, Heleno - szepnął. - Nic już nie mów.

Tym razem to ona spojrzała mu głęboko w oczy.

- Chcesz, żebym dla ciebie zachowywała się jak grzesznica? Chcesz się ze mną po prostu parzyć, dając upust swej żądzy bez odrobiny intymności i szczerości? - Gdy nie odpowiadał, szarpnęła się mocno, uwalniając sobie ręce. - Tylko tego chcesz? Tylko to jesteś w stanie zaakceptować? - rzuciła, patrząc nań błyszczącymi od wilgoci oczami.

Jej cierpienie było jego klęską.

- Nie wiem - wyznał. - Wiem tylko, że cię potrzebuję. I żeby cię zdobyć, mógłbym ci zapłacić, ożenić się z tobą albo sprzedać duszę samemu diabłu.

- Pakt z diabłem na jego warunkach, Cam. A oto moje warunki. Możesz sobie zatrzymać swoje pieniądze, swoją duszę i ślubną obrączkę!

Chwyliła brzeg koszuli i ściągnęła ją przez głowę. Teraz klęczała przed nim zupełnie naga. Cam nie mógł oddychać. Ani myśleć.

Zaczęła ściągać mu spodnie.

- Myślę, że boisz się prawdy - szepnęła. - Jestem grzeszna, Cam, ale przynajmniej uczciwa. Tak, pragnę cię. I będę twoją nałożnicą. Nawet mam pewne pojęcie, na czym to polega, pamiętasz?

Z tymi słowy objęła dłonią jego męskość i wciąż klęcząc, pochyliła się.

Nabrał gwałtownie powietrza i chwycił mocno wezgiem łóżka za swymi plecami, gdy wzięła go w usta, z początku dość niewprawnie. Lecz szybko robiła się coraz bardziej zachłanna. Długie, faliste czarne włosy leżały zmysłowo szerokim wachlarzem na jej plecach, ocierając się o pośladki i różowe pięty.

- Och... Heleno... ! - Wypowiedział jej imię zduszonym głosem, starając się nie krzyknąć, gdy sięgnęła między jego nogi i pieściła go jeszcze pełniej.

Dotykała go nieśmiało, potem z coraz większą pewnością siebie. Kiedy bezwiednie przywarł do niej ustami, bezceremonialnie odrzuciła go na zmierzwioną pościel, lecz nie zaprzestawała pieszczot, szybko wynosząc go ponad krawędź oślepiająco białego światła, które pędziło ku niemu z oszalamiającą prędkością.

Chiał... chciał... jakże bardzo chciał... Zacisnął pięści na pościeli, szamocząc się, dysząc ciężko z głową opartą na materacu i... O Boże... był tak blisko... tak blisko zatracenia się. Blisko wybuchu w jej ciepłe wnętrze. Blisko szaleństwa. Blisko... utraty samokontroli.

Nagle poczuła, jak Cam się cofa. Nie wiadomo jak, znalazła się na plecach, przygnieciona jego brutalną siłą i ogniem rozpalonego spojrzenia.

- Nie, Heleno - szepnął uwodzicielsko, uśmiechając się drwiąco. - Nie tak szybko.

Zrozumiała, że nie da się już odwlec tego, co nieuniknione. Mimo to walczyła w jego uścisku, a on sapiąc cicho, wepchnął kolano między jej uda.

- Otwórz się dla mnie, najśłodsza.

Jeszcze nigdy nie była taka przerażona, ani też tak bardzo zafascynowana. Lecz w perwersyjny sposób bała się... samej siebie, a fascynowała się nim. Jego nagim, nieposkromionym pięknem. Już dawno wypaliła się jego zwykła rezerwa i wyszukana uprzejmość.

- To już zaszło za daleko, Heleno - powiedział cicho z naciskiem. Wyciągnął dłoń, żeby znowu ją popieścić. - Nie możesz dać mi jedynie posmaku pełnej rozkoszy. Wpuść mnie do środka. Przekonasz się, że nie jestem takim nowicjuszem.

Drżała, wiedząc, że nie zdoła mu się oprzeć zbyt długo. On chciał zamknąć jej miłość razem z głębią swych własnych emocji. Lecz mimo to nadal go pragnęła.

I nawet chyba chciała oddać się mu na jego ograniczonych warunkach. Pozwoliła, żeby się na niej położył, czuła, jak jedwabista męskość ociera się o jej uda, wodzi po skórze.

O, tak! Pragnęła go. Nie chciała, żeby on wiedział, jak bardzo go pragnęła.

Patrzyła na niego odważnie. Był wspaniały, jakże wspaniały - ten mężczyzna, którego tak strasznie pożądała! Twardy i mocny, każdy cal jego ciała to były mięśnie i widoczne pod skórą napięte ścięgna. To męskie piękno, czysta uroda, zupełnie ją rozbroiły.

- Rozsuń nogi, Heleno - rozkazał cicho. - A potem powiedz mi, że chcesz... że strasznie chcesz... poczuć mnie w sobie.

Te sprośne słowa spłynęły po niej jak ciepły jedwab, podniecając ją w sposób całkowicie niezrozumiały. Odetchnęła głęboko, koncentrując wzrok na poruszającej się szybko piersi Cama. W przeciwieństwie do chłopaka, którego niegdyś kochała, ten mężczyzna miał na torsie miękkie, czarne włoski.

- Widzę, że muszę być bardziej stanowczy. Puścił jej ręce, po czym - ku jeszcze większemu zawstydzeniu Heleny - przesunął dłonią po jej brzuchu i zatrzymał się między udami. Kciukiem rozłożył miękkie fałdki i zbliżył swe usta. Język Cama wsunął się w gorące wnętrze, pograżając Helenę w grzesznym doznaniu.

Wstrząsnęło nią pożądanie, ścisnęło jej brzuch, ciągnąc mocno do samego środka. Tego było już za dużo, za dużo... Próbowwała go odepchnąć.

- Nie - rozkazał, by po chwili chwycić delikatnie zębami skórę na wewnętrznej stronie uda. - Chcę, żebyś dla mnie płonęła, tak jak ja płonąłem z tęsknoty za tobą przez te wszystkie lata.

Poddając się naporowi zmysłowych doznań, czuła, jak coraz bardziej pogrąża się w otchłani. Jego zdecydowane palce wsunęły się do środka. Ponaglił ją, by rozsunęła nogi. Zszokowana krzyknęła cicho.

Drżała, a on nie przestawał jej dotykać. Zatraciła resztkę opanowania. To zaszło dalej, znacznie dalej niż ich najśmielsze młodzieńcze pragnienia. Cam był zdradziecki. I posiadzie ją, gdyż ona chciała mu się oddać. Bez oporu.

Już nie próbowała się bronić, także przed zniewagą czy bólem. Mógł ją osiąść. A ona tylko musiała mu się poddać... i czuła, że zbliża się szybko do granicy bezkresu. Tak. Jak słodko, jak już blisko...

I nagle Cam znieruchomiał. W ciemności słyszała trzask i syk dogasającego paleniska.

- Powiedz mi, Heleno - powiedział. - Powiedz mi, że jesteś moja!

Wzdrygnęła się, czując ból tak głęboki, jakby była bliska śmierci.

- Proszę cię... - wyszeptała. - Nie przestawaj.

- Jesteś moja - powtórzył, przysuwając usta do jej skroni. - Należysz do mnie! I jak mi Bóg miły, uduszę każdego mężczyznę, który na ciebie spojrzy, słyszysz mnie?

Próbowała kiwnąć głową, lecz bezskutecznie. Przesunął zęby po jej szyi ku piersi.

- Heleno - powiedział drżącym szeptem. - Moja słodka Heleno... co ja mówię? Chyba oszalałem z zazdrości. Jestem chory z pożądania. Za bardzo cię kocham. Za bardzo.

Gdyby mu się teraz oddała, nie byłoby już odwrotu od Cama. Lecz czy w ogóle kiedykolwiek był? Nie. Nigdy.

Objęła go w pasie, uniosła kolana i pociągnęła go do siebie.

Jakież to cudowne. Jeszcze wspanialsze niż jego usta.

Wysunęła biodra do góry, aby wyjść mu naprzeciw, czując w duszy coraz większą, dziwną pustkę. Cam zacisnął powieki. W półmroku ledwie widziała długie, ciemne kosmyki włosów rozsypane na jego policzkach. Na usta przywdział uśmiech gorzkiej satysfakcji.

Wbił się w nią, popychając szybko i głęboko do samego końca.

Nagle zmarł.

Otworzyła szeroko oczy, czując ostry ból. Stłumiła krzyk. Ogień pożądania, ogarniający jej ciało, przygasł, a jego miejsce zajęła chwilowa agonia.



Rozdział 16

W którym nieszczęście odkrywa cnotę

Cam jeszcze nigdy nie pozbawił dziewictwa żadnej kobiety. Nawet jego żona nie okazała mu tej łaski. Lecz gdy poczuł, że wdziera się w Helenę gwałtownym szarpnięciem, miał pewność, że właśnie dokonał takiego aktu.

Ale to przecież było zupełnie niezrozumiałe. Podobnie jak całe jego zachowanie od chwili, gdy wszedł do jej sypialni. Czas zwolnił swój bieg, a potem zupełnie stanął. Cam zamarł w bezruchu i zdumiony spoglądał na kobietę, którą, jak sądził, dobrze znał.

Ona zaś pobladła. Słyszał głośne dudnienie swego serca, szum krwi. Przerazająca konstatacja, znaczenie tego, co Helena właśnie mu oddała - wszystko to nagle przygasło w porównaniu z jej osobą.

Zamrugła, przełknęła głośno ślinę. Czar prysnął.

- Dokończ, Cam - powiedziała dziwnie spokojnym głosem.

Uginający się pod brzemieniem wstydu i pożądania, opuścił lekko głowę, dotykając czołem jej czoła.

- Dokończyć? - wyszeptał, oddychając głęboko, aby zrzucić z piersi ciężki kamień. - Na Boga, Heleno. To, co zacząłem... ?

Poruszyła się, unosząc biodra, by wciągnąć go jeszcze głębiej, jakby w słodkim ucieleśnieniu swojego pragnienia. Pomimo łez, które cisnęły mu się do oczu, stwierdził, że jego ciało od pasa w dół jest zbyt słabe, aby jej odmówić. Wciąż rządziły nim zwierzęce instynkty.

Westchnęła. Jakby za sprawą jej woli, zaczął poruszać się w jej wnętrzu. Wiedział, że nie ma do tego prawa.

Lecz krok po kroku Helena dopasowała się do jego rytmu. Unosiła się, by wyjść mu naprzeciw, a on wspierał ciało na wyciągniętych ramionach i spoglądał na nią z góry, raz po raz wypełniając ją posuwistymi ruchami bioder. Zaczęła pieścić jego tors, potem przesunęła dłonie na krzyż i na twarde, umięśnione pośladki pod spodniami. Jeszcze mocniej nadziewała go na siebie.

Zamknęła oczy. Oddychała krótkim, płytkim oddechem.

- Kocham cię, Hellie. - Wydyszał w ciemność, czując, jak Helena porusza się jeszcze szybciej. Objęła go nogami w pasie, palce wbijała mocno w silne, atakujące ją biodra. Potem - a zdawało się, że to potrwa w nieskończoność - pozostał już tylko wzlot dwóch ciał, jęki rozkoszy, pomruki uniesienia. Jego czy jej? Nie wiedział.

Noc wypełniały odgłosy namiętności. Kochał ją. Kochał ją tak bardzo. Zawsze, nawet gdy doprowadzała go do szaleństwa frustracji lub do obłądu zazdrości. Helena będzie jego śmiercią. Zawsze to wiedział, a mimo to zawsze ją kochał. Zniżył głowę, przysunął usta do jej ucha i jeszcze raz powtórzył te same słowa.

Jej spełnienie zjawilo się szybko jak błyskawica. Cam trzymał ją w objęciach. Krzyknęła cicho, przytulając się doń tak słodko, że do oczu Cama napłynęły niepohamowane łzy miłości i poczucia winy. Zawołała jego imię, które dobiegało gdzieś z bardzo, bardzo daleka... I nagle wstrząsnął nim spazm rozkoszy, który po chwili uniósł go wysoko, by zaraz wciągnąć w swe wzburzone głębie.

Minęła długa chwila, nim Cam zsunął się z Heleny i bezwładnie legł na brzegu łóżka. Nasycony, powinien poczuć senność, lecz daleko mu było do tego. Zaczęły go nachodzić dręczące myśli. Helena. Wielkie nieba,

taka elegancka, światowa kobieta, niestroniąca od niewieścich sztuczek - a jednak była dziewczicą?

Nie miał jednak wątpliwości, co uczynił. Kim ona była. Przez te wszystkie lata, które teraz wydały się latami straconymi. Znaczenie tego faktu nie umknęło jego uwagi. A teraz zabrał jej coś cennego. I to w brzydki, brutalny sposób. Z poczuciem głębokiego wstydu odwrócił się na bok, żeby popatrzeć na Helenę.

Leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Powoli przesunął sobie ręką po twarzy, ale rzeczywistość nie uległa zmianie. Helena wciąż tam była, obok niego. Drżała.

- Przykro ci? - spytała, nie otwierając oczu.

- Na Boga - szepnął, unikając odpowiedzi. - Co myśmy... co ja zrobiłem? - Uniósł się nieco, żeby na nią spojrzeć. Gdyby jeszcze pozostał w nim cień wątpliwości, dowód jego winy był wciąż widoczny w postaci czerwonej smugi na udzie Heleny.

- Co myśmy zrobili? - powtórzyła. - To, co mieliśmy zamiar zrobić już dawno temu.

- Heleno - powiedział błagalnie. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- A czy byś mi uwierzył? - mówiła głosem ochryłym z namiętności.

- Tak... - odparł z nadzieją, że mówi prawdę. - Oczywiście. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Obróciła się ku niemu i nagle zobaczył w jej oczach łzy.

- Wiesz co, Cam? Myślę, że powiedziałam ci wszystko, dawno temu. Kocham cię. Będę cię kochała do śmierci. Będę na ciebie czekała. Nie będzie dla mnie nikogo innego, tylko ty. Nic z tego nie zapamiętałeś?

Był w stanie tylko patrzeć.

- Nie, oczywiście, że nie - Bezwładnie opuściła głowę na poduszkę. - Ty ułożyłeś sobie życie. A jeśli ja nie... nie wybrałam tej samej drogi, to była wyłącznie moja decyzja.

- Och, Heleno! - zawołał cicho. Przytulił się do niej mocno. - Powiedz mi, czy ty... czy jesteś jeszcze w stanie... mnie kochać?

- Nie mów do mnie o miłości. To nie jest konieczne. Nie wszystkie dziewczice są niewinne. Oboje o tym wiemy.

Przewrócił się na plecy, zakrywając dłonią twarz.

- Niech to wszyscy diabli. Będę płacił za ten błąd przez resztę mojego życia. I słusznie.

Helena milczała.

- Doszedłem do przekonania, że opuściłaś mnie z własnej woli. Że odrzuciłaś nasze marzenia dla czegoś lub kogoś innego. Stwierdziłem, że tak musiało być, bo w przeciwnym razie wróciłabyś do mnie. Zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu. A teraz cię zrujnowałem. Nie możemy odkładać naszego małżeństwa.

- Zrujnowałeś? - Zaśmiała się gorzko, wpatrując się w baldachim. - Kobiety o tak wątpliwej reputacji jak ja nie można zrujnować. Ani nie daje się jej ślubnej obrączki jako rekompensaty za naiwność. Sądziłam, że twój ojciec wyjaśnił to już dawno temu.

- Mój ojciec może zgnieć w piekle. - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Pobierzemy się, i to niedługo. I nie z powodu tego, co teraz zrobiliśmy.

- Więc dlaczego - spytała podejrzliwie. - Jeszcze wczoraj interesowałeś się zupełnie kimś innym.

- Nie interesowałem się nikim innym poza tobą od momentu, gdy tu przyjechałaś i sprawiłaś, że moje małżeństwo z kimkolwiek innym stało

się niemożliwe - powiedział uparcie, delikatnie muskając wargami jej usta.
- Jechałem jak wariat na łeb na szyję z Devon, żeby ci o tym powiedzieć.
Bo bez względu na to, jak daleko wyjechałaś i co robiłaś, nigdy nie przestałem cię kochać.

Pocałował ją.

- Och, Cam. Chyba nigdy cię nie zrozumiem do końca - stwierdziła, wtulając się w jego objęcia.

Może właśnie ją zdobywał, ale bał się mieć nadzieję. Westchnął.

- Posłuchaj mnie. Bardzo żałuję, że wyciągałem pochopne wnioski. Ale nie będę kłamał i nie powiem, że żałuję końcowego efektu. Wiem, że musimy wyjaśnić wiele rzeczy. Staralem się to powiedzieć.

Patrzyła na Cama, niemal nie mrugając. Uśmiechnął się krzywo.

- Tak, Heleno. Po części twój gniew jest usprawiedliwiony. Czy mi zaufasz, jeśli zechcę wszystko naprawić? Czy chociaż dzisiaj możesz zapomnieć o swojej złości? Oboje zostaliśmy mocno zranieni, odczuwamy emocjonalne rozdrażnienie. Czy przez kilka godzin możemy udawać, że jesteśmy kochankami, jedynymi istotami na świecie, i że nic nas nie dzieli? Że jest tak jak dawniej?

Nie wiedziała, co ma zrobić. Tym razem zrobiła po prostu to, na co miała ochotę; wtuliła się w jego ramię, wdychając jego ciepły, znajomy zapach, wsłuchując się w jego uspokajający, usypiający oddech.

Dobrze wiedziała, że Cam ją skrzywdził, ale słowami, nie uczynkiem. Akt fizycznej miłości nastąpił z winy ich obojga. Helena знаła tuzin sposobów, żeby zniechęcić nachalnego adoratora, lecz dzisiaj nie wykorzystwała żadnego.

Zamiast tego została w swoim łóżku, częściowo zafascynowana, częściowo oburzona, i po prawdzie trochę przestraszona. Jak zwykle, z przyjemnością spierała się z Camem. Odczuwała niemal radość, podważając jego postanowienia, doprowadzając go do myślowego chaosu. Ich związek zawsze był nieprzewidywalny i pełen emocji. Przynajmniej w tym aspekcie nic się nie zmieniło.

Długą chwilę leżała bez ruchu, wsłuchując się w odgłosy nocy.

- Heleno? - usłyszała jego senny szept.

- Tak? - zbliżyła się.

- Twoje usta... - wymamrotał powoli przez ściśnięte gardło. - Twoje usta są tak perwersyjnie piękne. Dotykasz mnie tak... wyjątkowo. Tak niewinnie... i grzesznie.

Nie było wątpliwości, o czym mówił. Helena poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła na wspomnienie swego śmiałego zachowania. Bo zachowała się jak kurtyzana. Mama mówiła jej, że tak robią tylko kurtyzany. Ale tak bardzo chciała zadać Camowi to rozkoszne cierpienie. I jeszcze raz przekonała się, że życie u boku matki nauczyło ją rzeczy, o których szanująca się kobieta nie miała zielonego pojęcia.

Przypomniała sobie z głębokim poczuciem wstydu, jak to kiedyś razem z Camem odkryli u Randolpha kolekcję sprośnych obrazków, które zostały na wierzchu w salonie po kolejnej nocy rozpusty. W wieku lat czternastu Helena nie zastanawiała się nad tym, że są rzeczy, o których młode damy nie rozmawiają, więc odważnie spytała matkę szczególnie o jeden rysunek.

Mama jak zwykle bez przekonania zrugła ją za grzebanie w cudzych rzeczach, po czym ze śmiechem wyjaśniła, że to, co Helena

widziała, przedstawiało coś, co mężczyźni uwielbiają, ale kobiety tego nie lubią.

- Chyba że - dodała szybko mama - zrobiły coś bardzo złego, na przykład wydały więcej pieniędzy, niż miały.

Helena wzięła sobie to wyjaśnienie do serca i powtórzyła słowo w słowo Camowi. Przez jakiś czas uznawali to za bardzo śmieszne, a zarazem nieprzyzwoite. Ale to było kiedyś, zanim sprawy uległy zmianie. Zanim sprawy między nimi przybrały poważny obrót.

Nagle Helena poczuła jakiś nieokreślony niepokój.

-Cam?

Głośno oddychał, ale nie odezwał się. Trąciła go łokciem. -Cam!

Leżąc częściowo na brzuchu, uniósł lekko głowę i popatrzył na nią półprzytomnie przez kosmyk czarnych włosów.

-Co?

Znowu oblała się rumieńcem, lecz musiała zadać to pytanie, musiała wiedzieć.

- Czy podobało ci się, gdy ustami... to znaczy... czy myślałeś, że to, co zrobiłam, było... - zabrakło jej słów.

Z głębokim pomrukiem Cam przewrócił się na plecy, zakrywając twarz poduszką.

- O, Boże, Heleno - wydusił spod spodu. - Nie ma rzeczy, której byś nie powiedziała albo nie zrobiła. To żenujące.

Jednak Helena postanowiła nie ustępować.

- Odpowiedz na moje pytanie.

Ściągnął z twarzy poduszkę i popatrzył na Helenę. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Powiem ci tylko tyle, że jeśli za mnie wyjdiesz, będziesz mogła robić ze mną i z pieniędzmi, co tylko zechcesz. - Na widok jej zdumionej miny, odchylił głowę do tyłu i niemal wybuchnął głośnym śmiechem, lecz po chwili przyciągnął ją do siebie. - A teraz śpij. Nic już nie mów. Całe życie czekałem na to, by zasnąć w twoich ramionach.

* * *

Helena nie wiedziała, jak długo drzemała w objęciach Cama, głaszcząc dłonią jego owłosioną pierś i balansując na granicy snu. Minęła chyba godzina, gdy jakiś żalostny głos obudził ją na długo przed świtem. Od razu rozbudziła się, wstała z łóżka i zaczęła szukać swojego ubrania na podłodze.

Płaczliwe zawrodozenie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze i bardziej lękliwe. Helena nie miała czasu, żeby zastanowić się nad ryzykiem związanym z faktem, że zasnęła w ramionach Cama, ani też żeby czynić sobie wyrzuty z powodu swojego lekkomyślnego zachowania. Nie mogła się mylić - to płacz Ariane, który rozchodził się cicho, lecz wyraźnie dobiegał od strony klasy.

W ciemności znalazła szlafrok i nałożyła go na ramiona. Cam wciąż spał na środku łóżka, oddychając spokojnie i głęboko. Nie mając lampy ani świecy, wyszła szybko na korytarz i przez klasę dostała się do pokoju Ariane. Popchnąwszy drzwi, przypomniała sobie, że Marthy nie ma we dworze, gdyż jej matka zachorowała w miasteczku. Tak więc tej nocy poza Heleną nikt nie mógłby usłyszeć płaczu Ariane.

Poruszając się po omacku, usłyszała łkanie dziewczynki - głębokie, ledwie słyszalne odgłosy przerażonego dziecka.

- Ariane - powiedziała uspokajająco, podchodząc do łóżka. -

Wszystko dobrze, kochanie. To tylko zły sen.

Przysiadła na łóżku, a dziewczynka od razu rzuciła się jej w ramiona i przytuliła bardzo mocno, przestraszona, zdesperowana. Wsłuchując się w słowa pociechy, dziecko się uspokoiło, a wtedy Helena odszukała dłonią świeczkę na nocnym stoliku. Zapaliła ją i ujrzała wystraszoną twarzyczkę.

Nachyliła się nad łóżkiem, unosząc lekko czubkiem palca podbródek dziewczynki, by zajrzeć w jej oczy.

- Biedactwo - szepnęła cicho. - Małe biedactwo. Jakże bym chciała, abyś powiedziała mi, co cię tak przeraża.

Dziewczynka popatrzyła na pościel i mocno zacisnęła pięści. Jednak Helena nie ustępowała.

- Przecież możesz mi powiedzieć, Ariane. Wiem, że możesz.

Ariane w milczeniu pokręciła przecząco głową, co i tak było dużym osiągnięciem. Helena parła dalej.

- Ty już odgadłaś, że ja znam twoją małą tajemnicę, prawda? Tak, znam ją. Wiem, że możesz mówić. Słyszałam cię, tylko raz czy dwa razy, ale to wystarczyło, żebym dowiedziała się, jaka jesteś sprytna.

Ariane otworzyła szeroko oczy, wyraźnie przestraszona, lecz wtedy Helena uspokajająco położyła dłoń na jej kolanie.

- Nie obawiaj się, kochanie. Nie zdradzę twojej tajemnicy. Ale chciałabym, abyś mi się zwierzyła. Bo ja wiem tylko tyle, że się boisz.

Dziewczynka opuściła głowę i znowu nią potrząsnęła, uparcie i zdecydowanie, co tylko potwierdzało, że nie zamierza ustąpić. Helena delikatnie poklepała ją po kolanie.

- No dobrze. Nie musisz nic mówić do czasu, aż sama tego zechcesz.

Czy teraz już zaśniesz?

Ariane potarła sobie piąstką jedno oko.

- Wobec tego już pójdę, kochanie. Ale jeśli znowu się przestraszysz, musisz głośno zawołać albo przejdź przez klasę i zapukaj w drzwi mojej garderoby. - Pochyliła się, żeby ją pocałować na dobranoc. - Zostawię ci zapalone światło. Lampa będzie się paliła aż do świtu.

Po zamknięciu drzwi sypialni Ariane, weszła do klasy prosto w objęcia Cama. Stłumiła okrzyk, czując na sobie jego ramiona, którymi mocno ją przytulił. W ciemności szukał jej warg, na których złożył mocny, stanowczy pocałunek.

Po chwili przysunął usta do jej ucha.

- Co to było? - spytał cicho. - Czy ona źle się czuje? A może się przestraszyła?

Odsunęła się i poprowadziła go z powrotem do swojej sypialni, zamykając starannie drzwi.

- To zły sen, ale już się uspokoiła - szepnęła, czując, jak jego napięcie powoli ustępuje. - Słyszałeś wszystko?

- Tak. Czy to prawda? - spytał.

W ciemności czuła, jak szuka wzrokiem odpowiedzi na jej twarzy.

- O tym, że słyszałam, jak ona mówi? Tak, to prawda.

- Kiedy to było? - spytał Cam z niepokojem. Jego niepokój był tak silny i szczery, że nikt by nie odgadł, iż to dziecko nie jest jego.

- Tamtej nocy, gdy wyjechałeś do Devon - wyjaśniła szybko. - Miała nocny koszmar. I w ostatnim tygodniu dwa razy słyszałam, jak szeptała do siebie w ogrodzie, kiedy myślała, że jest sama.

- Więc wszystko z nią w porządku? - spytał z nadzieją.

Pokręciła głową.

- Tego nie mogę stwierdzić. Ale doszłam do wniosku, że to nie jest nic strasznie poważnego. Owszem, jest wylękniona i skonfundowana, ale jej umysł w żaden sposób nie jest upośledzony, co do tego mam pewność. Musimy okazać cierpliwość.

Kiwnął głową i głęboko zamyślony zaczął gmerać pogrzebaczem w palenisku. Węgłe zajarzyły się słabym płomieniem, oświetlając jego nagość.

Jego ciemne włosy były trochę za długie, bo ostatni raz przycinał je na długo przed wyjazdem do Devon. Kiedy odwrócił się od kominka, ocierały się ponętnie o jego policzki. Wyprostował się płynnym, pełnym gracji ruchem atlety, a migoczące płomienie oświetlały jego mocne nogi i pięknie umięśnione pośladki.

Syciła się jego widokiem, gdy podchodził do niej pewnym krokiem. Był spokojnym mężczyzną, mężczyzną, który znacznie bardziej wierzył w swoje ciało i jego umiejętności niż w puste słowa i bezprzedmiotową konwersację. Miał ręce farmera i duszę poety. A jednak sam siebie nie znał. A jeśli nawet kiedyś było inaczej, to zakręty losu wycisnęły z niego całą tę wiedzę.

Lecz być może jeszcze nie wszystko było stracone. Spoglądając na Helenę drapieżnym wzrokiem, objął ją w talii, przylgnął do niej swoją nabrzmiałą męskością i wsunął dłoń w jej włosy, aby wpić się w te piękne usta. Nastąpił długi, głęboki pocałunek. Każdy ruch Cama był świadectwem jego pewności siebie.

Po dłuższej chwili odsunął się i spojrzał pytająco na Helenę.

- To był wieczór bardzo brzemienny w wydarzenia - powiedział cicho.

Podszedł do łóżka, odwinął pościel i głową dał jej znak, żeby się położyła.

- Już prawie ranek - zawahała się. - Chyba lepiej będzie, jeśli już pójdziesz.

Wciąż trzymał w dłoni brzeg pościeli.

- Tak, niedługo pójde. Po tym, jak ustalimy parę rzeczy. A teraz chodź. Jest za zimno, żebyś stała w samym szlafroku.

Nie zamierzał zmienić zdania. Wiedziała o tym i ustąpiła. Położył się obok niej, a wtedy jego bliskość dała jej chwilowe poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia. Czy to jest właśnie odczucie, gdy noc po nocy dzieli się łoże z ukochanym mężczyzną? Nie wiedziała, ale nie miała ochoty zastanawiać się nad tą kwestią.

Objął ją i wciągnął głęboko pod ciepłą kołdrę.

- Dziękuję ci - powiedział, całując ją delikatnie w czubek nosa. - Dziękuję, że opiekujesz się moim dzieckiem. I dziękuję za wszystko, czym podzieliłaś się ze mną tej nocy.

Nie odpowiadała, a wtedy ujął dłonią jej twarz i odwrócił ją ku sobie.

- Posłuchaj mnie, Heleno. Jestem prostym człowiekiem i moje słowa też są proste. Jestem poryw-czy i dość brutalny, ale chcę wiedzieć, czy pomimo tych wad wyszłabyś za mnie. Myślę, że powinnaś.

Odsunęła się i pokręciła głową.

- Cam, to nie jest... konieczne.

- O! - powiedział domyślnie. - Nie jest konieczne. A dla kogo konieczne? Dla ciebie? Dla mnie? Albo dla dziecka, które być może już nosisz pod sercem? Ja mogę odpowiedzieć za nas oboje.

- Odpowiadaj za siebie, Cam. Nie ma żadnego dziecka.

Uśmiechnął się ponuro.

- Tego nie możesz wiedzieć, moja droga, ale ustąpię ci i odpowiem w swoim imieniu. Jesteś mi tak samo potrzebna jak powietrze i woda. Zawsze tak było. Jesteś moją najbardziej wyszukaną przyjemnością. I moją najbardziej wyszukaną torturą.

- Co za bzdury. - Bezwiednie pociągnęła za pościel. - Przez wiele lat doskonale sobie radziłeś beze mnie. Może mi wybaczysz, ale zakładam, że nie spędzałeś nocy samotnie w łóżku.

Westchnął słabo.

- Heleno, jestem już od dawna wdowcem. Owszem, miałem w tym czasie kobiety, ale nieliczne. Przynosiły mi ulgę, ale nie dawały pociechy. Na litość boską, przecież jestem mężczyzną. Co więcej mogę powiedzieć?

- Nie o to mi chodzi. Nie chcę znać listy kobiet, z którymi spałeś. - Pokręciła głową. - Obawiam się, że dla nas może być już za późno. Może zawsze było za późno.

- To ty nie rozumiesz - odezwał się chropowatym głosem. - Ja na ciebie czekałem. Być może gdy mnie opuszczałaś, wyglądałem na zupełnie zielonego chłopaka, ale wiedziałem, czego chcę. Być może ta miłość do ciebie nie była rzeczą rozsądną, ale kochałem cię. I czekałem.

- Dlaczego cały czas mnie męczysz, Cam? Nie chcę tego słuchać. I nie mam siły w to wierzyć.

- Przycisnęła palce do skroni, jakby chciała ode-gnać złe wspomnienia.

- Uwierz w to, Heleno - rzekł niemal z goryczą.

- Żałuję, że wieczorem rozmawiałem z tobą w takim gniewie.

Wypowiedziałem wiele nikczemnych słów. Ale zawsze cię kochałem.

Pisałem do ciebie przez dwa długie lata. Do czasu, aż nie było już

wątpliwości, że twoja edukacja dobiegła końca. Po mojej wycieczce do

Hampstead ojciec mnie wyśmiał i powiedział, żebym ułożył sobie życie.

-I może powinieneś był to zrobić. Pokręcił głową.

- Nie, miotałem się i czekałem jeszcze dwa lata, próbując coś z siebie zrobić, walcząc o ocalenie Chalcote przed popadnięciem w kompletną ruinę. I czekałem na twój powrót. Zastanawiałem się, czy mnie nienawidzisz. I w końcu zrobiłem to, co musiałem. A czego nigdy nie powinienem był zrobić. Pozwoliłem, by rozsądek zniszczył moje marzenia.

- Ożeniłeś się, żeby ratować rodzinę - powiedziała cicho.

- Tak, uczyniłem to, co uznałem za właściwe. I poszedłem do małżeńskiego łóża, do dwudziestotrzyletniej dziewczycy. Wyobraź sobie mój szok, gdy odkryłem, że jestem w nim zupełnie sam.

Te słowa zdumiały Helenę, ale wiedziała, że Cam mówi prawdę.

- A jednak byłeś jej wierny, prawda? Poczwała, jak kiwnął głową.

- Stałem w kościele i ślubowałem Cassandrze moją wierność, mój honor i wszystkie moje doczesne dobra, które wtedy nie były zbyt wiele warte. I owszem, dotrzymałem danego słowa.

- To do ciebie podobne.

Wiedziała, że Cam jest człowiekiem honoru, że dotrzymywał obietnic. Lecz teraz wydawało się, że złamał swoją wcześniejszą ugodę z panią Belmont. Nagle zrozumiała, ile to go musiało kosztować. Dlaczego to zrobił? Dla niej? Dla nich? Nie mogła zebrać myśli. Jednak była pewna, że Joan poczuje wielką ulgę, chociaż Cam nie będzie mógł o tym wiedzieć. Tak samo jak nie mógł wiedzieć, jakim piekłem okaże się jego małżeństwo.

- A jednak - odezwała się z wahaniem - twoja żona nie była tobie tak samo wierna, prawda?

- Na Boga, Heleno! Czy jest cokolwiek, czego ty nie zauważysz? Czy też znowu powinienem podziękować mojej siostrze?

- Nie obwiniaj Catherine - odparła łagodnie. - Ja ciebie bardzo dobrze znam. I widzę też, że Ariane w każdym istotnym aspekcie jest twoją córką.

Przewrócił się na bok i usiadł na brzegu łóżka, chowając twarz w dłoniach.

- Nie chcę, żeby między nami były jakiegokolwiek tajemnice, Heleno - wyszeptał po chwili. - Cieszę się, że o tym wiesz. Ale Ariane to niewinne dziecko i nie jest odpowiedzialna za grzechy swoich rodziców w stopniu większym, niż ty i ja byliśmy odpowiedzialni za grzechy naszych.

Uklękła za jego plecami, objęła go i oparła głowę na szerokich barkach Cama.

- Ja wiedziałem, Heleno - odezwał się po dłuższym milczeniu. - Ja wiedziałem i Cassandra również wiedziała, że dziecko w jej brzuchu nie było moje. Nie spałem z nią od wielu miesięcy. A jednak nic jej nie

powiedziałem. Patrząc wstecz, myślę, iż uznałem to za moją karę za poślubienie kobiety, której nie kochałem... której nie mogłem kochać.

- Och, Cam! - powiedziała ze smutkiem. - Dlaczego myślałeś, że musisz zostać ukarany?

Zaśmiał się krótko.

- W przeciwieństwie do Cassandry, poszedłem do małżeńskiego łóżka jako dziewica. Ale zabrałem ze sobą serce, które było tak pęknięte, jak jej dziewicza błona. I tak się zastanawiam, Heleno, czyja wina była większa?

Położyła się.

- Nie popełniłeś żadnego grzechu. Czasami małżeństwa zawiera się bez miłości. Ale nie dają się one utrzymać bez wierności.

Nagle wstał, podszedł do okna i odciągnąwszy zasłony, zaczął wpatrywać się w ciemność. Dłuższą chwilę trwał tak w milczeniu.

- W ciągu godziny nadejdzie świt - powiedział wreszcie. - Muszę zaraz iść, bo w przeciwnym razie jeszcze bardziej cię skompromituję, Heleno. - Odwrócił się do niej. - Zajmę się teraz sprawą naszego małżeństwa.

- Nie! - Uniosła dłoń, odgarniając na ramię swe gęste, zmierzwione włosy. - Nie pozwolę się do niczego zmusić! Rzeczy uległy zmianie.

- A dokładnie jakie rzeczy? Co masz na myśli?

- Ja już ułożyłam sobie życie, tak samo jak ty swoje. Wybacz mi, że nie chcę w pośpiechu z tego wszystkiego zrezygnować.

- Nie ufasz mi, że się tobą zaopiekuję? - Spojrzał na nią zbolalym wzrokiem.

- Muszę ufać samej sobie. Tak jak to było zawsze. - Urwała niepewnie. - Powiedz mi coś, Cam: kiedy dziś przyszedłeś do mojego łóżka, czy miałaś choć odrobinę wiary w mój honor? Albo w moją cnotę?

Widziała jego sylwetkę na tle okna, usłyszała ciche przekleństwo.

- Więc chcesz, żebym cierpiał? Wiem, że na to zasługuję.

- Nie, żebyś cierpiał! - Uniosła obie ręce w geście wzburzenia. - Ale wydaje mi się, że dość nagle twoje intencje uległy bardzo dużej zmianie.

Podszedł do niej.

- Nie - wyszeptał. - Wcale nie nagle. - Stał nad nią, wpatrując się w głębię jej oczu. - To było powolne i dokonane z pełnym przekonaniem stwierdzenie, że nie mogę bez ciebie żyć. Boże, przecież to rozrywało mi serce.

Okryła się kołdrą, a Cam przysiadł na brzegu łóżka.

- Chyba próbowałem pogodzić się z moją rosnącą desperacją - mówił dalej, przesuwając dłonią po twarzy. - Starłem się znaleźć jakiś honorowy sposób wydostania Joan i siebie samego z tej nieszczęsnej perspektywy wspólnej przyszłości. Czy nie mówiłem ci przed wyjazdem, że gdy wrócę z Devon, wszystko uporządkujemy?

Chciała mu przerwać, ale powstrzymała ją gestem.

- Ale - podjął uparcie - wczorajszego popołudnia, ledwie postawiłem nogę we własnym domu, od razu spotkałem tego przeklętego proboszcza, który zaczął mnie raczyć opowieściami o waszej wzajemnej fascynacji i ślubował wieczne uwielbienie dla twojej osoby. Teraz wiem, że w jego słowach było znacznie więcej nadziei niż prawdy. Helena odchrząknęła, ale Cam mówił dalej:

- A jakby tego było mało, patrzę i widzę, jak pieścotliwie głaszczesz tego nicponia, mojego brata. Owszem, myślę, że na siłę raczył cię swoją atencją i przypuszczam, że ty go chronisz, a ja wciąż czuję, że chyba go uduszę. Ale chodzi mi o to, że po prostu straciłem nad sobą panowanie. W sposób godny najwyższego potępienia.

- Proboszcz? - zaśmiała się, ignorując całą resztę jego wypowiedzi. - Mówisz o biednym Thomasie? To ma być jakiś żart? - Usiadła.

- Biedny Thomas, akurat! - powtórzył za nią Cam. - Sam mi o tym powiedział.

Pokręciła głową.

- Chyba coś źle zrozumiałeś.

Odgarnął włosy z czoła i wbił w nią wzrok.

- Nie - odparł ponuro. - Lowe całkiem otwarcie poprosił o moje pozwolenie, żeby mógł zabiegać o twoje względy. A ja... niech to diabli... wpadłem w furję. Sama myśl, że gdy byłem sam z moim nieszczęściem w Devon, a wy tutaj razem... - Zamknął oczy, gdyż zabrakło mu słów.

Znowu upadła na poduszki.

- Thomas Lowe to miły człowiek i lubię jego towarzystwo. Ale jemu nie zależy na mnie w taki sposób, ani mnie na nim.

- Więc być może to Pan Bóg wykorzystuje go, żeby mnie dręczyć - mruknął ponuro. - Nie mogę znieść myśli, nie mówiąc o widoku...

Popatrzyła na niego niepewnie. Od razu wyczuł, że coś źle powiedział.

- Cam, źle zrozumiałeś to, co widziałeś wieczorem - powiedziała cicho.

- Częściowo - zgodził się sucho. - Ale wiem jedno. Nie pozwolę, żeby mój brat zachowywał się niehonorowo wobec ciebie lub jakiegokolwiek innej kobiety pod moją opieką. To powinny być moje pierwsze słowa. Wstyd mi, że takie nie były.

- Och, Bentley był bardzo zdenerwowany. Owszem, trochę zbyt śmiały, ale przede wszystkim pijany i pogrążony w depresji.

Cam wyczuł, że ta historia ma o wiele szersze podłoże, niż Helena gotowa była mu powiedzieć. Nie ufała, że wysłucha jej spokojnie. I miała ku temu powody.

- No dobrze, Heleno. Chroń Bentleya, jeśli musisz, ale pozwól, że zakwestionuję głębię jego depresji. Mój brat za bardzo kocha samego siebie, żeby cierpieć.

- Mylisz się co do niego. Myślę, że on kocha Joan Belmont.

- Naprawdę? - zdumiał się Cam.

Spoglądał na Helenę, która wydawała się mówić zupełnie poważnie. Czyżby to było możliwe? Czy właśnie ta rzecz ostatnio tak bardzo denerwowała jego brata? Czy Bentley nie przeżywał odsunięcia go od dziedziczenia, lecz bardziej męczyła go myśl, że Joan ma poślubić kogoś innego? Fakt, że oboje bardzo się lubili jako dzieci...

- Więc Bentley stanął do przetargu o naszą kuzynkę?

- To takie dziwne? Zastanowił się.

- No... tak. To prawda, że chodził za nią jak wierny pies, gdy byli młodzi, i często mówił o tym, że zamierza się z nią ożenić. Oczywiście, gdy ja miałem siedem lat składałem podobne deklaracje pani Naffles i dałem jej bukietek kwiatów, żeby przypieczętować moje oświadczenia. Kiedy dorosłem, oczywiście wszystko odwołała, z właściwym sobie

wdziękiem. - Usłyszał cichy śmiech Heleny i sam uśmiechnął się do niej. - Kochanie, jeśli Bentley rzeczywiście poważnie myśli o Joan, jeśli naprawdę bierze to pod uwagę i chce poprosić o jej rękę, na pewno nie będę go odstręczał.

- Więc dałbyś mu swoje błogosławieństwo? - spytała Helena z nadzieją, podpierając się na łokciu.

- A jakże miałbym mu odmówić? Skoro ją kocha i chce obdarzyć ją szczęściem? Śmiem twierdzić, że moja ciotka nie da się tak łatwo przekonać, ale wzięwszy pod uwagę osobisty urok Bentleya, mój braciszek na pewno wpłynie na jej decyzję.

Helena odetchnęła z ulgą.

- Czy powiesz mu o tym jutro? Przy śniadaniu? Proszę cię, obiecaj mi to.

Przygarnął ją do siebie.

- Dobrze, kochanie, porozmawiam z nim przy śniadaniu. Ale chcę cię ostrzec. Nie wiem, dlaczego wiążesz tak duże nadzieje z tym małżeństwem; przypomnij sobie, że mój brat w najmniejszym nawet stopniu nie jest święty...

- Co ty mówisz? Obawiasz się, że Joan nie odwzajemni jego uczucia? Jeśli tak, to zapewniam cię, że ona... że każda młoda kobieta uznałaby go za czarującego - dokończyła z trudem.

Popatrzyła na nią z góry.

- To wszystko wydaje mi się jakieś dziwne.

- Jak to? - uniosła brwi.

W zamyśleniu potarł wierzchem dłoni szczecinę zarostu.

- No cóż, od czasu gdy Bentley skończył dwanaście lat i odkrył, do czego może służyć jego, wybacz to słowo, ptaszek, to jego zainteresowanie nie ograniczało się tylko i wyłącznie do Joan Belmont. Z tego, co zauważyłem, to wcale nie zwracał na nią uwagi. Zachowywał się jak pies ogrodnika. Kiedy się dowie, że odwołałem oświadczyzny, całe jego zainteresowanie jej osobą osłabnie.

Helena poruszyła się, jakby nagle poczuła jakiś dyskomfort, jednak milczała.

- Ale dosyć o Bentleyu, moja droga. - Z uśmiechem przysunął się jak namiętny kochanek. - Jeśli za mnie nie wyjdiesz, to przynajmniej kochaj się ze mną jeszcze raz, zanim mnie odrzucisz.

- Nie! - zaprotestowała słabo.

Lecz on zaczął już subtelnie podgryzać gładką skórę na jej szyi, by po chwili przesunąć wargi niżej.

I nagle poczuł, jak Helena oddaje mu się całkowicie.

Posiadł ją znowu. Powoli i delikatnie, podczas gdy na horyzoncie pojawił się pierwszy poblask nowego dnia.

Poczuł się jak młokos. Aż zachciało mu się płakać. Przez ulotną chwilę odniósł wrażenie, że Helena odwzajemnia jego miłość. Spełniając się w jej wnętrzu, pomyślał, że jest najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi.

Rozdział 17

W którym panna de Severs ponosi pewne konsekwencje

W klasie panowała cisza, jeśli nie liczyć postukiwania kredy, którą Ariane próbowała pisać cyfry na swojej tabliczce. Helena siedziała przy wąskim stoliku, obserwując jej pracę.

- Ariane? - Helena odwróciła tabliczkę i wskazała palcem jedno z działań. - Tu jest pomyłka. Widzisz ją?

Dziewczynka z pytającym spojrzeniem podniosła głowę, po czym znowu popatrzyła na liczby. Helena sięgnęła do leżącej na stole sterty guzików. Ułożyła siedem z nich w rzędzie.

- Zobacz - powiedziała spokojnie. - Wyobraźmy to sobie. - Odsunęła cztery sztuki, pozostawiając trzy na miejscu. Z trudem stłumiła westchnienie. Postępy w nauce były wolniejsze ze względu na odmowę mówienia, lecz dziecko przynajmniej już nie symulowało, że nie słyszy.

Powoli dziewczynka rozjaśniła się i starła z tablicy szóstkę, wpisując na jej miejscu siódmkę. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł Milford.

- Przepraszam, ale milord pragnie porozmawiać z panią w swoim gabinecie.

Helena zaniepokoiła się, ale skinęła głową i podała Ariane kilka następnych działań.

- Dokończ je, moja droga - powiedziała, otrzepując palce z kredy. - Niedługo wrócę.

Helena schodziła na dół do gabinetu, po drodze poprawiając sobie włosy. Zatrzymała się na podeście, żeby uspokoić przyspieszony oddech, dokładnie gdy szafkowy zegar wybił godzinę dziesiątą. Spojrzała na dłonie i z przerażeniem stwierdziła, że nie potrafi opanować ich drżenia.

Nie widziała Cama od chwili, kiedy przed świtem opuścił jej sypialnię. O dziwo, teraz wcale nie miała ochoty go oglądać. Lecz z drugiej strony tęskniła za jego widokiem.

Taka emocjonalna chwiejność była do niej zupełnie niepodobna. Nigdy przedtem nie wątpiła w to, co czuje. A teraz ogarniała ją coraz większa wątpliwość. Co też się stało?

Camden Rutledge wywrócił jej świat do góry nogami, ot co. Wiedziała, że tak będzie, jeśli tylko pozwoli mu się dotknąć. Westchnęła i ruszyła dalej po schodach. Ten piękny chłopiec, jakiego kiedyś kochała, wyrósł na przystojnego mężczyznę, który wciąż posiadał tę odrobinę młodzieńczej niewinności oraz całą swoją nieustępliwą arogancję. Zabójcza kombinacja.

Ostatnia noc była burzą przeróżnych emocji: złości, pożądania, goryczy i namiętności. Rano czuła się wyzuta z emocji, mocno zdezorientowana i pełna obaw, co mogą przynieść kolejne chwile. Cam przysięgał, że ją kocha - że zawsze ją kochał - a przecież ona czekała na te słowa całe życie.

Czy teraz będzie próbował to odkręcić? Czy w świetle dnia pożałuje tego niezwykłego dla siebie, pochopnego zachowania? Wiedziała, że to jest możliwe. U pewnych ludzi. Ale nie u Camdena Rutledge'a.

Zacisnąwszy mocno usta, zapukała cicho w drzwi, otworzyła je i weszła do środka.

- Chciałeś mnie widzieć? - spytała formalnym tonem.

Stał plecami zwrócony do okna. Na ławie przed oknem ruda kotka leżała w snopie słonecznego światła. W kominku płonął mały ogień, a na stoliku przed paleniskiem stała taca z serwisem do kawy. Cała scena sprawiała wrażenie pełnej domowej harmonii.

Cam popatrzył na nią poważnie, lecz dość długo milczał. W końcu wokół jego oczu pojawiły się mimiczne zmarszczki i uśmiechnął się.

- Podobno rozstanie sprawia, że bardziej lubimy osobę nieobecną - powiedział cicho. - Po tych samotnych godzinach spędzonych od świtu muszę stwierdzić, że jest to prawda.

Helena odczuła ogromną ulgę. Weszła głębiej do pokoju, starając się opanować rumieniec.

- Jesteś dziś w poetyckim nastroju - zauważyła. Popatrzył na drzemiącą kotkę.

- O, słyszałaś, Boudikka? Ta dama uwielbia poezję. Jak myślisz, czy uda się nam ją oczarować?

Powoli zbliżył się do Heleny. W prawej dłoni trzymał małą książkę, przytrzymując palcem zaznaczone miejsce. Otworzył tomik.

- Niech no zobaczę...

Chodziła ze mną wczoraj w nocy

Pod baldachimem, w świetle oczu...

A miłość nasza i jej blask

Zbliżyły ciała nasze wraz...

Helena nie zdążyła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem, na próżno zakrywając palcami usta.

- Nie sędzę, mój panie - wydusiła z trudem - by lord Byron napisał dokładnie coś takiego!

Cam rzucił książkę i podszedł bliżej, jakby chciał ją objąć.

- Może i nie. Ale on nie miał przyjemności... - urwał nagle ze skruszoną miną. - Och, Heleno, zapominam się, prawda? Teraz nie jest dobry czas ani miejsce.

- Nie - odparła, nieco rozczarowana.

Cam zaproponował jej kawę, po czym wskazał miejsce na jednym z dwóch krzeseł stojących przed kominkiem. Sam również usiadł i spoważniał.

- Wczorajszej nocy wyprosiłaś u mnie pewną przysługę - zaczął delikatnie. - A ja skrzętnie wykonałem powierzone mi zadanie. Dziś rano, gdy już wyjaśniłem Bentleyowi, że nie zamierzam go zamordować za jego wczorajsze zachowanie, posadziłem go na krześle i próbowałem porozmawiać na temat jego afektu wobec Joan.

- Naprawdę? - Helena była zaskoczona. Wyglądało na to, że bardzo poważnie potraktował jej prośbę.

- Tak jak obiecałem. - Spuścił oczy na kawę.

- Ale kac mocno dawał mu się we znaki i przyjął wiadomość o odwołaniu moich zaręczyn z wyjątkowym spokojem. Śmiem twierdzić, że jego nie-umiarkowanie w picciu wreszcie trochę go trafiło.

- I co dalej? - Nachyliła się, nadstawiając ucha. Wzruszył ramionami.

- Dalej... nic. Chociaż zapewniłem go, że jeśli rzeczywiście żywi uczucie do Joan, to będę naciskał ciotkę Belmont, by zaakceptowała ten związek. Ale wychodzi na to, że on nie chce mi zaufać.

Helena przypomniała sobie wczorajsze łyzy Bentleya i zdumiona otworzyła usta.

- O nic cię nie prosił? Niczego nie wyznał... nie zwierzył ci się?

Cam pokręcił głową z pobłażliwym uśmiechem.

- Przypominał mi Boudikkę z okresu jej młodości. Kiedy w końcu udawało się jej chwycić własny ogon, zaczynała się niepewnie rozglądać, jakby nie wiedziała, co z tym fantem począć.

- No cóż. Sama nie wiem, co powiedzieć.

Cam nachylił się, opierając łokcie na kolanach i luźno splótł dłonie.

- Moja droga, Bentley nie wyglądał mi na prawdziwie zakochanego. A myślę, że w tej dziedzinie mogę być autorytetem.

Helena niepewnie chwyciła fałdy spódnicy. -I co jeszcze... wyjaśniłeś Bentleyowi? Uśmiechnął się półgębkiem i popatrzył na płomień w kominku.

- Chyba nie mogę sobie pozwolić, żeby powiedzieć mu cokolwiek, co mogłoby go chociaż pobieżnie interesować. Naprawdę mam związane ręce. Wczoraj w nocy związałaś mi je dość ściśle. Oczekuję na twoje pozwolenie, zanim ogłoszę cokolwiek więcej.

Oblała się gorącym rumieńcem. Podniosła głowę i zobaczyła, że Cam uważnie się jej przypatruje.

- Tak - wydusiła, po czym w desperacji zmieniła temat. - A czy Bentley mówił, jakie ma plany na dzisiaj?

Cam oparł się wygodniej, przesuwając dłonią po twarzy.

- Zapowiedział, że na dzień albo dwa wyniesie się do Catherine, rzekomo aby chodzić z Willem na polowania. Zabrał zmianę ubrania i brzytwę, no i wyjechał nie dalej jak przed dwoma kwadransami.

Helena zaniepokoiła się, co z pewnością było widoczne na jej twarzy. Cam westchnął z rezygnacją.

- Heleno, najlepiej będzie, jeśli wszystko mi wyznasz. Zbyt dobrze cię znam, moja droga.

Przygryzła wargę. Co powinna zrobić? Czy Bentley rzeczywiście pojechał w odwiedziny do Wodewayów? Czy Joan trochę oprzytomniała? A może dowiedzieli się czegoś o rozmowie Cama z panią Belmont i tym samym zrezygnowali z ucieczki? Kartka w kieszeni niemalże wypalała dziurę w bieliźnie Heleny.

Bezceremonialnie wsunęła rękę pod spódnicę i podała Camowi skrawek papieru.

- Wczoraj wieczorem Bentley dał to Joan. Ona upuściła liścik na podłogę w damskiej toalecie.

Cam zręcznie otworzył kartkę i przeczytał. Gdy podniósł głowę, spojrzał Helenie prosto w oczy.

- Czy właśnie o tym próbowałaś z nim wczoraj rozmawiać? Czy obawiałaś się, że to mnie rozgniewa?

W milczeniu potwierdziła ruchem głowy. Długo nic nie mówił.

- Może i bym się rozgniewał - rzekł cicho - gdybym żywił do Joan jakieś uczucia. Ale w takiej sytuacji, myślę, że może i dobrze się stało. Uspokój się, Heleno. Bentley wyjechał w swoim najgorszym surducie, zabierając jedynie sprzęt myśliwski. Teraz na pewno nie ciągnie Joan do ołtarza. O ile w ogóle zechce ją poślubić.

- Myślisz, że nie? Wzruszył ramionami.

- Skoro wytrzeźwiał i już wie, że nie został odsunięty na bok, to może stwierdzić, że cierpienie jego serca oraz uczucie do Joan nieco osłabły.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - mruknęła.

- Pragnę jedynie jego szczęścia.

- Tak samo jak ja twojego - obrzucił ją nieprzeniknionym spojrzeniem.

Nagle wstał i podszedł do paleniska, gdzie pogrzebaczem zaczął dość energicznie rozgarniać płonące węgle. Helena przypomniała sobie, jaki był piękny ostatniej nocy.

Po chwili oparł jedną rękę na kominku.

- Jutro muszę jechać do Londynu - powiedział, spoglądając w ogień.

- To będzie krótka wyprawa. Najwyżej cztery dni. - Gdy nie odpowiadała, dodał:

- Mówiłaś o szczęściu, Heleno. Gdy będę w Londynie, zastanów się, co tak naprawdę uczyniłoby cię szczęśliwą. I jeśli to będzie w mojej mocy, otrzymasz to. Nie będę cię więcej naciskał. Nie mam prawa.

Skinęła głową, lecz nie odpowiedziała. Wyczuła, że spotkanie dobiegło końca i Cam nie miał nic więcej do powiedzenia.

Gwałtownie odłożył pogrzebacz, podszedł do Heleny i szybko pocałował ją w rękę. Oparła się pragnieniu, by wpaść w jego objęcia, szybko wstała i pożegnała się.

Pobiegła na górę, nie mogąc zebrać myśli. W jej głowie i sercu dźwięczało pytanie Cama: co uczyniłoby ją szczęśliwą?

Camden. To była odpowiedź. I nigdy nie było innej.

Trzymał się na dystans. Wcale nie była tak zadowolona, jak powinna, z jego powściągliwości. O dziwo, rzeczy, które spowodowały, że wczoraj w nocy mu odmówiła - a więc jej praca, życie, a także oburzenie spowodowane jego uprzedzeniami - wszystko to zaczęło blednąć w świetle poranka. Dziś była w stanie myśleć bardziej racjonalnie.

Dotarła do klasy, lecz nie mogła się zmusić, żeby wejść. Ociągała się długą chwilę, spoglądając przez wysokie okna na końcu długiego korytarza. Widziała w oddali pięknie utrzymane ogrody Chalcote, które przechodziły dalej w sady i pola, teraz leżące odłogiem przed nadejściem zimy. Wraz z tym słodko znajomym widokiem powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Po raz kolejny zdała sobie sprawę, że chociaż nie mogła wybaczyć Camowi jego zachowania, to w pewnym stopniu potrafiła je zrozumieć.

Jednak teraz nie była już tamtą lekkomyślną dziewczyną. Lecz Cam zawsze potrafił wydobyć z niej wszystko, co najgorsze.

A może to, co najlepsze? Nadal chciała rzucać mu wyzwania, szokować. I chociaż ta wada wyraźnie uwydatniła się wczoraj w nocy, to w najmniejszym stopniu Camowi nie przeszkadzała.

Co do samego aktu miłosnego, Helena była pewna, że nikt z wyjątkiem jej samej nie rozpoznałby mężczyzny, który ostatniej nocy kochał się z nią tak brutalnie, a zarazem delikatnie. Gdy jego legendarna powściągliwość legła w gruzach, światło dzienne ujrzała czysta zmysłowość. I był to widok piękny, wcale nieprzeróżający.

Tak, zewnętrznymi byli biegunowymi przeciwieństwami. W rzeczywistości stanowili bratnie dusze.

I może cała prawda była właśnie taka prosta.

Helena nie rozmawiała już z Camem ani tego dnia, ani następnego, który obudził ją ciepłym słonecznym porankiem. Przed południem Cam wyprawił się do Londynu - bez służących i bez powozu. Ledwie opadł kurz wzbity kopytami jego wierzchowca, gdy na krótko przed lunchem przyjechała Catherine, zupełnie jakby celowo nie chciała spotkać się z bratem.

Helena właśnie odświeżała się w swoim pokoju, gdy zobaczyła, jak Catherine podjeżdża do dworu. Siedząc na swym wyraźnie zmęczonym gniadoszu, tym razem przybyła sama, bez asysty stajennego. Pośpiesznie zeskoczyła z konia i wbiegła na schody.

Zaciekawiona, co mogło być przyczyną takiego pośpiechu Catherine, Helena szybko obmyła sobie twarz wodą, przeczesała włosy i wyszła z sypialni. I wtedy sobie przypomniała. Bentley pojechał do Wodewayów. A może uciekli razem z Joan? Helena stłumiła ogarniającą ją falę niepokoju i szybko zbiegła na dół, gdzie Catherine zupełnie obojętnie rozmawiała w Milfordem.

Lecz Helena nie dała się zbić z tropu. Już na odległość dało się wyczuć, że Catherine rozpira energia. Ujrawszy Helenę, podeszła do schodów. W dłoni wciąż zaciskała szpicrutę i rękawiczki do konnej jazdy.

- Jakże się cieszę, że zastałam cię w domu! Will i Bentley zanudzili mnie na śmierć, więc porzuciłam ich towarzystwo i przyjechałam na lunch do ciebie. - Wykonała teatralny gest drugą ręką. - Czy mnie nakarmisz?

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Helen, nieco zdziwiona. - A Bentley... czy to oznacza, że jest w Aldhampton?

Catherine popatrzyła na nią dziwnie.

- Naturalnie, dziś mają się wybrać razem z Willem na polowanie. A gdzie indziej miałyby być?

Helena mruknęła jakąś niewyraźną odpowiedź i odwróciła się do Milforda, prosząc, żeby południowy posiłek podano im w żółtym salonie. Catherine ruszyła tam przodem, potem starannie zamknęła drzwi i oparła na nich dłonie, jakby w obawie, że mogą się same otworzyć.

- Och, Heleno! - Powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Czy to prawda? - W jej oczach płonęły jakieś diabelskie ogniki.

Helena, która właśnie wysuwała dla niej krzesło, gwałtownie odwróciła głowę.

- O czym mówisz?

Catherine zostawiła drzwi w spokoju i szybko podeszła do niedużego stołu, niemalże potykając się o własną suknię. Oparwszy ręce na lśniącej blacie, pochyliła się do przodu i zaczęła paplać.

- Czy to prawda, że Cam zerwał z Joan? Prawda? Bentley mówi, że tak! A moja pokojówka, Betty, to siostra lokaja Larkina, dowiedziała się od pani Naffles, że była straszna awantura między Camem i ciotką Belmont.

Helena kręciła głową, lecz Catherine mówiła dalej.

- Ale to musiało się odbyć właśnie tutaj! Podczas mojej urodzinowej kolacji! Widziałam, jak oni wychodzili do gabinetu. A Cam... ! -

Przewróciła oczami. - Cały wieczór był w parszywym nastroju, prawda?

Nie wiesz nawet połowy tego, co się działo - pomyślała cierpko Helena.

- W każdym razie, jak myślisz, co się stało?

- Catherine wyprostowała się. - No, powiedz mi wreszcie.

Helena udawała, że jest zajęta przenoszeniem wazonu ze stołu na parapet okna.

- Może powinnaś porozmawiać ze swoim bratem, Catherine...

- Teraz to jest raczej niemożliwe, prawda?

- Obeszła stół, żeby zbliżyć się do Heleny. - On wyjechał do miasta i zostawił mnie tutaj, żebym umierała z ciekawości. Ja wiem, że ty wiesz, Heleno, więc lepiej mi powiedz, bo cię zanudzę na śmierć. - Uśmiechnęła się, a jej mina świadczyła o tym, że nie zamierza ustąpić.

Helena oparła rękę na biodrze i przyjrzała się siostrze Cama. W złości była podobna do starszego brata, lecz gdy starała się kogoś o czymś przekonać, wydawała się bliźniaczką Bentleya. A to oznaczało, że nie można się jej było oprzeć.

- No dobrze! - zawołała Helena, siadając ciężko na krześle przy stole.

- Chociaż powinnam być zwolniona z posady za plotkowanie o rodzinie.

- Bzdury! - Catherine machnęła lekceważąco ręką i zajęła miejsce naprzeciwko. - Przecież my jesteśmy rodziną, głuptasie. Mów wreszcie!

Helena spuściła wzrok na blat stołu.

- Z tego, co zrozumiałam, lord Treyhern doszedł do wniosku, że on i panna Belmont nie są dobraną parą. Rozmawiał o tym z panią Belmont po kolacji, a ona zgodziła się z jego zdaniem.

- Zgodziła się? Ha! - wykrzyknęła Catherine. - Bardzo wątpię!

Helena uniosła brwi.

- To wszystko, co wiem.

Catherine uśmiechnęła się bezwstydnie.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Ale zachowaj dla siebie swoje tajemnice, jeśli to sprawi ci przyjemność!

Wtem rozległo się pukanie i po chwili w salonie zjawił się Milford.

- Proszę o wybaczenie, lady Catherine, panno de Severs, ale właśnie przybył pan Lowe...

Zza jego pleców wynurzył się proboszcz, ominął służącego i wszedł do salonu. Na widok Catherine stanął jak wryty.

- ... w bardzo pilnej sprawie - dokończył Milford wyniośle, rzucając gościowi niemiłe spojrzenie.

Helena popatrzyła dookoła niepewnym wzrokiem. Co miało oznaczać to bezceremonialne wtargnięcie Thomasa?

- Proszę wejść, panie Lowe - powiedziała w końcu, co było zresztą niepotrzebne, jako że gość zdążył już to uczynić. - Milford, proszę przynieść trzecie nakrycie.

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział płynnie lokaj i zamknął za sobą drzwi.

Wciąż ubrany w gruby płaszcz, Lowe położył kapelusz na stole, spoglądając to na jedną, to na drugą kobietę.

- Nie mogę zostać na posiłek - rzucił wreszcie. - Proszę mi wybaczyć to najście, ale wydarzyło się coś bardzo ważnego i ja... - zawahał się, przeniósł wzrok na Catherine.

Ta uniosła brew i wstała, jakby chciała ich opuścić.

- Nie - powiedziała stanowczo Helena. - Zostań, Catherine. To jest twój dom, nie mój. Poza tym nie ma powodu, żebyś nie mogła usłyszeć wszystkiego, o czym ja i proboszcz rozmawiamy.

- Uśmiechnęła się spokojnie do Thomasa.

- Ależ oczywiście! W rzeczy samej - zgodził się natychmiast.

Jeśli Thomas czuł się rozczarowany stanowiskiem Heleny, nie dał tego po sobie poznać. Usiadł na krześle przy stole i przeczesał dłonią gęste, jasne włosy.

- Mówiąc prawdę, ta wiadomość jest przeznaczona bardziej dla pani, lady Catherine - zaczął posepnie. - Obawiam się, że przynoszę złe wieści. Bardzo złe. Pomimo moich wysiłków stało się najgorsze. - Zniżył głos do pełnego udreki szeptu.

- Nie ma wątpliwości, że w końcu Treyhern się mnie pozbędzie. - Pokręcił głową wyraźnie przygnębiony i zamilkł.

- Co takiego? - wykrzyknęły razem Catherine i Helena.

- Chodzi o... Basila - wyjąkał Thomas, unosząc smutne oczy. - On wyjechał. Nie spał w swoim łóżku. Nie ma jego bryczki. I jestem pewien... - z każdą sylabą stukał pięścią w stół - że on ją zabrał do Gretna Green.

- Kogo? - spytały chórem.

Rozległy się kolejne dwa uderzenia, po których pomarańcza spadła z patery i potoczyła się po stole.

- Pannę Belmont! - zawołał proboszcz, nie zwracając uwagi na owoc. Na jego twarzy miejsce niepokoju zajęła złość. - Mój kuzyn... mój wikary... uciekł z przyszłą żoną milorda! Tak, wiedziałem o planach małżeńskich Treyherna. Powiedziała mi o nich osobiście pani Belmont. A teraz... och... ! To koniec ze mną. Już po mnie!

- Basil Rhoades uciekł z Joan? - Catherine niemalże zachichotała, lecz Thomas zdawał się tego nie zauważyć. - Chyba nie mówi pan tego poważnie!

- Najzupełniej poważnie - jęknął. - A to jeszcze nie wszystko.

- Proszę, słucham! - poganiała go Catherine, najwyraźniej w swoim żywiole.

Helena patrzyła na nich na przemian, czując się jak niechciana aktorka w kiepskiej farsie. Thomas uniósł wysoko brwi.

- Oni spotykali się potajemnie - wyszeptał ochryple. - Umawiali się na schadzki! I to w zakrystii!

- Schadzki? - syknęła Catherine, wyraźnie zafascynowana.

I wtedy Helena przypomniała sobie podpis na kartce, którą zgubiła Joan Belmont. B. R. - Basil Rhoades! Od razu zrozumiała, dlaczego Joan tak uciekała wtedy na cmentarzu i dlaczego tak bardzo starała się ukryć ten fakt przed matką. To nie miało nic wspólnego z Bentleyem! Niewinna młoda Joan figlowała z wikarym parafii Świętego Michała!

Zacząła się zastanawiać, kto jeszcze mógł to podejrzewać. Chalcote było kwintesencją angielskiej prowincji, co oznaczało, że połowa mieszkańców i połowa służących niewątpliwie wiedziała o tym niemoralnym związku.

Thomas pokiwał głową i nabrał głęboko powietrza.

- A co gorsza, ona jest... przynajmniej on twierdzi, że ona jest... - urwał i z trudem przełknął.

Helena w milczeniu przygryzła wargę, z przerażeniem oczekując nieuchronnych słów. Lecz Catherine najwyraźniej nie miała takich skrpułów.

- Chyba nie jest brzemienna? - spytała.

Proboszcz zacisnął powieki i potwierdził ruchem głowy.

- A teraz dowiaduję się, że lord Treyhern wyjechał do Londynu, a ja nie wiem, co mam począć. Czy mam wyruszyć za nim? A może za nimi?

Może powinienem złożyć wizytę pani Belmont i wyznać moje podejrzenia?

Po długim milczeniu Catherine nachyliła się do proboszcza i władczy gestem poklepała go po ramieniu.

- Proszę o tym nie myśleć - powiedziała słodko.

- Wszystko będzie dobrze. Mój brat i Joan niedawno zdecydowali, że nie pasują do siebie! Więc ona i Basil stworzą dobraną parę, a Cam będzie im życzył wszystkiego najlepszego. Naprawdę.

Thomas Lowe nagle zrobił się czujny.

- Co to ma znaczyć? Więc nie było żadnych ślubnych planów?

- Właśnie - odparła Catherine, kiwając głową.

- Nie ma się pan czym martwić. Po prawdzie to od dawna podejrzewałam, że mój brat interesuje się zupełnie kimś innym, chociaż nie jestem pewna, czy ta dama odwzajemnia jego uczucie. - Siostra Cama spojrzała znacząco i odważnie w oczy Heleny. W oczach Catherine tliła się iskra ciepłego uśmiechu, ale i wyzwania.

Jednak Thomas zrobił przygnębioną minę.

- Lecz co z panią Belmont? Trzeba to wziąć pod uwagę. Nie da się uniknąć jej gniewu. - Spojrzał zaniepokojony przez ramię, jakby wspomniana osoba mogła lada chwila wyskoczyć z serwantki.

Catherine znowu poklepała go uspokajająco.

- Proszę zostawić mnie te nieprzyjemne obowiązki, Thomasie.

Przecież zawsze pod nieobecność brata działałam w jego imieniu, czyż nie? I chyba wiem, jak trzeba postąpić z moją ciotką, więc proszę się uspokoić. A teraz niech proboszcz wraca do domu i pocieszy siostrę. Domyślałam się, że biedna pani Fane mocno to przeżywa.

Thomas nie wydawał się przekonany, ale wstał i spoglądając niepewnie na obie panie, podniósł swój kapelusz.

- Muszę pani podziękować, lady Catherine. Jest pani niezwykle uprzejma. - Wykonał szybki ukłon i ruszył do drzwi.

Jeszcze zanim drzwi zamknęły się za jego plecami, Helena skoczyła na równe nogi.

- Catherine! - syknęła. - To mi się wcale nie podoba. Co masz na myśli, mówiąc, że wiesz, jak trzeba postąpić z twoją ciotką?

- Bo wiem! - odparła słodko. - Tę starą wiedźmę należałoby utopić w beczce taniej whisky. Niestety, nie mam do tego serca.

Helena obeszała stół, zbliżając się do niej.

- Więc powiedz mi, proszę, co zamierzasz zrobić? Catherine wzruszyła ramionami i machnęła lekceważąco ręką.

- Zrobię to, co Cam by zrobił. Czyli nic! Skoro Joan w końcu wzięła życie w swoje ręce, to dlaczego mamy się w to mieszać? Ona nie jest głupia, Heleno. A Basil to spokojny, dobry człowiek, podczas gdy ciotka Belmont jest wstrętną tyranką.

- Ale dokąd oni pojedą? Jak będą żyć? Catherine wstała i podeszła do okna. W końcu rzuciła Helenie ostre spojrzenie przez ramię.

- Czy naprawdę straciłaś wszelką wiarę w potęgę młodszej miłości? - powiedziała z wyraźną goryczą. - Joan i Basil poradzą sobie. Zawsze jest jakiś sposób, jeśli nie porzuca się swoich marzeń.

- Tak sądzisz? - spytała niespokojnie Helena, nie wiedząc, o czym i o kim teraz rozmawiają. Poczowała się bardzo nieswojo.

- Tak sędzę. - Odwróciła się szybko od okna. - Za kilka lat Joan będzie miała prawo do swoich pieniędzy, a do tego czasu mogę

powiedzieć w imieniu Cama, że w razie potrzeby on na pewno ich wspomógł. Nie martw się o nich, ale o siebie, Heleno.

Zaskoczona uniosła głowę.

- O siebie? - Odczuwała coraz silniejszy dyskomfort. - W jakim względzie? Proszę, mów jaśniej.

- Och, Heleno, czy uważasz, że jestem tak głupia i nie zauważyłam, co się dzieje w tym domu od ostatnich kilku tygodni?

Helena poczerwieniała.

- Ja naprawdę nie wiem, co masz na myśli.

- Mój brat jest i zawsze był w tobie bez pamięci zakochany. Nigdy cię nie zapomniał. I nie doszedł do siebie po rozstaniu z tobą. Jak myślisz, dlaczego najął cię do pracy?

Siostra Cama naprawdę dużo wiedziała. Helena walczyła z narastającą paniką.

- To niemądre, co mówisz - odparła, oddychając coraz szybciej. - Zapewniam cię, że lord Treyhern nie miał pojęcia, kim jestem.

- Jest jeszcze jedna rzecz, w którą bardzo wątpię, Heleno - rzekła sucho Catherine. - Helena nie jest zbyt popularnym imieniem, prawda? A de Severs brzmi zdecydowanie po francusku. Te dwa fakty oraz twój wiek i wykształcenie w Szwajcarii... cóż, nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, żeby zacząć coś podejrzewać. A przynajmniej żywić nadzieję, choćby podświadomą.

Helena trochę się obruszyła.

- Tak sądzisz? Mogę cię zapewnić, że nie miałam pojęcia...

- Pax, Heleno! - przerwała jej Catherine, unosząc dłoń. - Jestem pewna, że nie wiedziałaś. Ale ja wiedziałam od chwili, gdy po raz

pierwszy ujrzałam, jak Cam na ciebie patrzy. Wiedziałam, jaki wielki wpływ wywarła na niego twoja obecność. I powoli wszystko do mnie dotarło. Heleno, skoro ja pamiętałam, więc jak mógł nie pamiętać mój brat? Kochał cię ponad życie.

Zatrzymała się obok okna i zaczęła przesuwając dłoń po ciężkiej zasłonie z adamaszku, którą sama pomagała Helenie wybrać. Podczas pobytu Cama w Devonshire Catherine napisała do niego, sugerując, że trzeba zmienić wystrój wszystkich pomieszczeń na dole, a zadanie to należy powierzyć Helenie. I nagle kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce. Jak zwykły pionek, sunący wolno po szachownicy, by stanąć na pozycji królowej, Helena została celowo umieszczona w tym miejscu przez Catherine, aby zajęła miejsce jej kuzynki.

- Niestety, biedna Joan w porównaniu z tobą bardzo cierpi - powiedziała cicho Catherine, odwracając się z diabelskim uśmiechem na ustach. - Znam mojego brata i doskonale wiem, jak perwersyjnie działa jego umysł.

- Odnoszę wrażenie, że twój też - zauważyła sucho Helena.

Siostra Cama zignorowała ten przytyk.

- A co więcej, ja mam bardzo dobrą pamięć. Kiedy cię odesłali, miałam ile... dziewięć lat? Dziesięć? Ale byłam dużo starsza, nim mój brat przestał opłakiwać utratę ciebie. Po jakimś czasie, nie jest to coś, czego nie zauważa podatna na wpływy, młoda dama.

- Ale... ale czegoś tu nie rozumiem. Pierwszego dnia... dlaczego wtedy powiedziałaś mi wyraźnie, że Cam i Joan mają się pobrać...

Catherine parsknęła śmiechem.

- Rzeczywiście! Stwierdziłam, że im szybciej ta tajemnica ujrzy światło dzienne, tym szybciej całej sprawie da się ukreślić łeb. Ty musiałaś się o tym dowiedzieć, Heleno. I wcale nie jest mi przykro, że ci powiedziałam.

Helena spojrzała na nią z ukosa.

- Tak samo jak uznałaś za właściwe powiedzieć mi o Ariane?

- Tak - odparła dobitnie. - Tylko nie myśl sobie, że Cam nie kocha Ariane. Albo że ja jej nie kocham. Jeśli jej pochodzenie wywoływało u ciebie niepewność, z którą nie mogłaś się pogodzić, to znowu musiałaś...

- ... musiałam się o tym dowiedzieć?

- Wszyscy musieliśmy.

Dalszą rozmowę przerwało otwarcie drzwi. Do salonu weszła służąca, która zaczęła nakrywać do stołu, a po chwili zjawił się Larkin z tacą pełną półmisek. Helena powitała ich z niemałą ulgą.

Ponownie siostra Cama zasiała w Helenie ziarno niepokoju tymi swoimi czarnymi, wszytkowidzącymi oczami i swoją podstępnie gładką mową. A czy Helena kiedyś nie myślała o niej, że jest jedynie dobroduszną angielską damą? Jakże się pomyliła. Ponownie.

Poniewczasie Helena odkryła, że nic w Chalcote nie jest takie proste, jak się z początku zdawało.

Rozdział 18

W którym Treyhern wypełnia od dawna oczekiwaną misję

W przeciwieństwie do przebywania w swym ukochanym domu na wsi, zamieszkiwanie jesienią w Londynie zawsze Cama przygnębiało, a to z powodu dymu, który nieustannie spowijał miasto niczym wełniany koc o barwie musztardy. Jednak tego popołudnia nic nie było w stanie zepsuć mu nastroju, więc praktycznie wcale nie zwrócił uwagi na ponure niebo. Jednakże nastąpiło już popołudnie, gdy był w stanie zająć się drugą z trzech ważnych spraw, które przywiodły go do Londynu.

Przybył zbyt późno, żeby otworzyć swój dom przy Mortimer Street, a gdy zszedł rano do lobby w hotelu, posłał po swojego konia. Stojąca po drugiej stronie pokojówka uśmiechnęła się do niego, kokieteryjnie poruszając biodrami. Z wdzięcznością odpowiedział jej uśmiechem, lecz od razu odwrócił wzrok w kierunku okna.

Po kilku minutach stajenny przyprowadził jego wierzchowca, w ciągu godziny Cam minął Cheapside, bank i stłoczone jedna przy drugiej witryny rozmaitych instytucji finansowych, których całe mnóstwo gnieździło się w londyńskim City. Jednak dzisiaj nie zwracał na to wszystko uwagi. W końcu dotarł do znajomych rejonów Threadneedle Street, gdzie mieściły się biura firmy Brightsmith, Howard and Kelly. Młody Kelly zginał się i płaszczył w powitalnych ukłonach, po czym zaprosił go do gabinetu głównego prawnika firmy. Po kolejnej rytualnej wymianie uprzejmości pan Brightsmith wstał i cicho stękając, dźwignął i postawił ostrożnie na biurku należący niegdyś do matki Cama kuferek z mosiężnymi okuciami, ozdobiony godłem rodziny Camdenów.

- Zgodnie z instrukcjami zawartymi w pańskim liście - powiedział ponurym tonem adwokat, jakby oddawał swe pierworodne dziecko - dziś rano klejnoty zostały przyniesione ze skarbcza. - Sękatym palcem uniósł wieko. - Jak pan widzi, wszystko jest nienaruszone, z wyjątkiem naszyjnika, którego już tu nie było, gdy powierzono nam pieczę nad tymi klejnotami.

- Wiem, gdzie on jest - odparł niecierpliwie Cam, przesuając dłoń nad kufrem. Wzrokiem sprawdził zawartość i nabrał głęboko powietrza, gdy znalazł to, czego szukał. - Przyjechałem po ten przedmiot.

Z namaszczeniem uniósł klejnot, aż ten znalazł się w promieniach słońca wpadającego do gabinetu. Obaj patrzyli z podziwem na pół tuzina przepięknych, rozświetlonych szmaragdów. Cam delikatnie obracał szeroki złoty pierścień na wszystkie strony, przyglądając się błyszczącym refleksom.

- To pierścień pana prababki, milordzie? - spytał Brightsmith, nie spuszczać wzroku z kamieni. Był wyraźnie podniecony. - Chciał pan zabrać tylko to?

- Na razie tylko ten pierścień - odparł z roztargnieniem, ogarnięty nagle wspomnieniami. Jednak zaraz zmusił się, by wrócić do terażniejszości i przeniósł wzrok na prawnika. - Złoży mi pan życzenia szczęścia, panie Brightsmith? Tak się składa, że być może niedługo powtórnie się ożenię.

- Naprawdę?

- Tak. - Cam zamknął wieko kuferka i wstał. - A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę kupić przy Bond Street kupon zielonego jedwabiu.

W Gloucestershire po południu zrobiło się pochmurno, a z północy powiał chłodny wiatr, zapędzając mieszkańców okolic Cheston-on-the-Water do szaf po ciepłe okrycia oraz przed nagrzane kominki. Jednak w domu na wzgórzu ponad kościołem Świętego Michała Helena wcale nie myślała o pogodzie. Chodziła po swoim pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, gdy odgłosy mocnych podmuchów wiatru niosły się we wnętrzach głuchym, pustym wyciem.

W Chalcote też panowała wyczuwalna pustka. Dzisiejsze lekcje z Ariane już dobiegły końca. Bentley nadał oddawał się polowaniom ze swoim szwagrem. Catherine nie odwiedziła Chalcote od czasu swojej pamiętnej wizyty, zaś Cam przebywał w Londynie.

I właśnie to było prawdziwą przyczyną jej niezadowolenia. W Chalcote było pusto, gdyż Cam wyjechał. Bez niego jej egzystencja była pozbawiona sensu. Pragnęła, żeby jak najszybciej wrócił do domu.

Dom. To jedno słowo niosło ze sobą prostą prawdę. Gdyż domem zawsze było Chalcote, tam gdzie mieszkał Cam. Kiedy to zrozumiała, przestała chodzić po sypialni i stanęła nieruchomo przed łóżkiem. Patrzyła na nie, takie puste i starannie pościelone. Lecz pamiętała. Dobrze pamiętała, co jej zrobił w tym łóżku ledwie trzy noce temu. To ją zgubiło.

Poczuła zmysłowy dreszcz, który przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa, gdy pomyślała o jego silnych, pewnych siebie dłoniach. Podobnie jak on sam, stanowiły dla niej tajemnicę. Były smukłe, jak na arystokratę przystało, a jednak wtedy aż drżała pod ich władczym dotykiem, syciła się ich szorstką pieścizotą, gdy przesuwiał je po udach i jeszcze wyżej.

Czy pamiętała? Żadna kobieta nie mogłaby tego zapomnieć.

Oblała ją fala gorąca. Na Boga, takie wspomnienia mogły ją doprowadzić do obłędu. Lepiej będzie, jeśli wyjdzie z domu. W okamgnieniu zrzuciła domowe pantofelki i włożyła trzewiki, a na ramiona narzuciła najgrubszą pelerynę. Jeśli wspomnienia nie doprowadza ją do szaleństwa, to może to uczynić niemające ujścia pożądanie. Długa wędrówka po wzgórzach i lasach dobrze jej zrobi. A przy dzisiejszej pogodzie, na pewno nikogo nie spotka.

Nie wiedziała, jak długo szła w przejmującym zimnie, jak długo odpoczywała, siedząc na niskim kamiennym murze naprzeciwko spalonej chaty, wspominając, jak razem z Camem ukrywali się tu w czasach młodości. Podciągnęła stopy niemalże pod spódnicę, opierając je na kamieniu, który wygodnie wystawał z pionowej ściany. Lecz pomimo podszytych futerkiem rękawiczek miała zziębnięte dłonie. Zdała sobie z tego sprawę dopiero w momencie, gdy usłyszała głęboki głos za swoimi plecami, którym ktoś wypowiedział jej imię.

Podskoczyła, niemal spadając na ziemię.

- Thomas? - Stała na ziemi pokrytej krótką trawą.

Podszedł szybko i nachylił się, a jego jasne włosy wystające spod kołnierza miały się w silnych powiewach.

- Moja droga, musisz schronić się przed tym wiatrem. -

Zaniepokojony zmarszczył brwi. - Co przyгнаło cię aż tutaj w tak paskudny dzień?

Chciała go zapytać o to samo, gdyż pośpiesznie przyszedł od strony już dawno zniszczonej i przerdzewiałej od zawiasów furtki. Dzisiaj nie miała ochoty na spotkanie z proboszczem. Chciała być sama. Lecz faktycznie przemarzła do kości, a gdy Thomas ujął ją za ramię i

poprowadził do małego domku za spalonymi ruinami, zrozumiała, że zbyt długo siedziała na zimnie.

Niska szopa była wbudowana w zbocze, które dawało wystarczającą osłonę z trzech stron przed deszczem i wiatrem. W środku było jednak dość ciasno, gdyż sam Lowe zajmował swoją osobą dużo miejsca. Jego bliskość sprawiła, że Helena poczuła pewien dyskomfort.

To dziwne. Złościły ją uwagi Cama na temat proboszcza, gdy on po prostu źle zinterpretował jeden z beztroskich, niewinnych komplementów Thomasa. Jakże proboszcz, mógł chcieć zabiegać o jej względy? Ten pomysł wydawał się wręcz śmieszny.

- Ogrzej się, moja droga, a potem odprowadzę cię, żebyś bezpiecznie wróciła do domu. Dziś nie jest dobry dzień na przechadzkę.

Zaczęła rozcierać dłonie.

- A jednak sam również wyszedłeś na spacer - odparła dość ostrym tonem, przyglądając mu się badawczo. - Martwisz się o Basila?

- Nie jestem już w stanie pomóc mojemu kuzynowi - odpowiedział dwuznacznie. - A teraz powiedz mi, dlaczego siedziałaś na tym pagórku i na tym murze, gdzie wieje najzimniejszy wiatr.

- Uśmiechnął się czarująco. - Nie chciałbym, żebyś zachorowała, moja droga.

Wzruszyła ramionami.

- Często tędy chodzę, kiedy chcę zażyć trochę ruchu. Ale dzisiaj myślałam o kłopotach Ariane. I o jej matce. Podobno Cassandra Rutledge właśnie tutaj umarła. Bardzo bym chciała wiedzieć, co Ariane widziała tamtego dnia. - Zaśmiała się. - Może pomyślałam, że te ruiny do mnie przemówią, jeśli okażę dużo cierpliwości.

- W tej kwestii chyba niewiele jest do powiedzenia.

- A czy rozumiesz, że ja muszę wiedzieć, co tutaj się stało? -

wyjaśniła. - Jeśli się nie dowiem, to być może nigdy nie będę w stanie jej pomóc.

Na te słowa Lowe zbliżył się jeszcze bardziej i położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu. Nawet przez grubą pelerynę jego ręka wydawała się bardzo ciężka.

- Posłuchaj mnie, Heleno! Cassandra Rutledge była złą kobietą - szepnął, a jego słowa zawisły w lodowatej ciszy. - Była grzeszna i niewierna. I najlepiej o niej zapomnieć, przez wzgląd na Ariane.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Znałeś ją? Czy już wtedy mieszkałeś przy tutejszym kościele?

Pokiwał głową.

- Znałem ją dość dobrze. Na tyle dobrze, aby się na niej poznać.

- To brzmi w twoich ustach bardzo zimno.

- W jej oczach pojawiło się jakby błaganie. - Czy ona nigdy nie chodziła do kościoła? Czy nie była otwarta na... na...

- Na co, Heleno? - przerwał. - Na ocalenie swojej duszy? - Odchylił głowę do tyłu, jakby miał się roześmiać, lecz zamiast tego kilka razy szybko zamrugał. - Tak Heleno - przemówił po chwili.

- Moim chrześcijańskim obowiązkiem było udzielić jej pomocy w drodze przez życie. Starłem się jak najlepiej, lecz ona nie potrzebowała pomocy. Ledwie dwa lata wcześniej ukończyłem seminarium, byłem naiwny, młody, krzykliwy i żałośnie nieświadomy. - Spojrzał Helenie prosto w oczy.

- I poniosłem porażkę. Sromotną klęskę. I pozostawiłem Ariane samą, by cierpieła za grzechy swojej matki.

- Thomas, nie możesz siebie obwiniać... Ze złością strzelił palcami.

- Być może ktoś bardziej doświadczony odniósłby sukces. Lecz Bóg w swojej nieskończonej mądrości uznał za stosowne przysłać tutaj właśnie mnie. I można powiedzieć, że zawiodłem ich oboje.

Przysunęła się bliżej i nachyliła w jego stronę.

- Jestem pewna, że to nieprawda! Nikt nie obarcza cię za to odpowiedzialnością.

Nie odpowiedział. Wiatr zmienił kierunek, dmuchając z nową siłą w poprzek wejścia do szopy. Przez długą chwilę milczeli, aż wreszcie Thomas zbliżył się i ku wielkiej uldze Heleny zmienił temat.

- Wiesz - odezwał się ze smutkiem, omiatając wzrokiem nierówne, kamienne mury - często łapię się na tym, że tęsknię za czymś... czego nie bardzo potrafię określić. A jednak zwawy spacer może ukoić wiele życiowych smutków. Mamy podobny zwyczaj, prawda?

Zmusiła się do słabego uśmiechu.

- No, tak - mruknęła. Patrzył na nią otwarcie szczerym, ciepłym wzrokiem. Delikatnie ujął jej obleczoną w rękawiczkę dłoń.

Chociaż ten gest sam w sobie był przyjazny, to jednak w świetle niedawnych ostrzeżeń Cama ta bliskość sprawiła, że Helena poczuła się nieswojo. A gdy Thomas znowu na nią spojrział spod swych długich brązowych rzęs, zrozumiała, że słowa Cama noszą wszelkie znamiona prawdy. Proboszcz usiłował z nią flirtować.

- Heleno. - Thomas zacisnął palce na jej dłoni.

- Wiem, że moje słowa wydadzą się zbyt nagłe, ale dłużej nie mogę milczeć. Myślę, że ty i ja mamy ze sobą o wiele więcej wspólnego niż upodobanie do spacerów. - Zniżył głos do szeptu. - A to wystarczy, żeby zacząć coś wspólnie budować.

Cofnęła rękę.

- Bardzo sobie cenię twoją przyjaźń, Thomasie

- powiedziała niepewnie. Odchrząknął.

- Heleno, przez ostatnie kilka tygodni nasza przyjaźń pogłębiła się i rozwinęła w coś bardzo cennego, i myślę... a raczej żywię nadzieję... że nie jesteś obojętna na moją sympatię.

- Thomasie, nie sędzę... Delikatnie położył palce na jej ustach.

- Ciii... Heleno! Pozwól mi powiedzieć, zanim opuści mnie odwaga.

- I wtedy popłynęły słowa, których nie była w stanie słuchać. - Jako kobieta, nauczycielka dzieci i chrześcijanka masz w sobie wszystko, czego mógłbym pragnąć od małżonki.

- Ależ...

Znowu jej przerwał.

- Wiem, że nie jestem bogaty, ale mogę ci zapewnić kilka życiowych udogodnień. Chciałbym, abyśmy się pobrali, Heleno, i to szybko. Wiem, że lubisz córkę Treyherna, ale chciałbym cię mieć w moim domu, abyś uczyła nasze dzieci. Wystarczy, że się zgodzisz, a już nigdy nie będziesz uzależniona od obcych ludzi. Będę się tobą opiekował do końca życia. Mówił tak szczerze, że poczuła, jak pęka jej serce.

- Och, Thomasie, czynisz mi wielki zaszczyt!

- odpowiedziała niepewnym głosem. - To wielkie szczęście dla mnie jako kobiety, że obdarzyłeś mnie swoim uczuciem. Ale nie mogę cię poślubić.

Cofnął się gwałtownie i podszedł do wyjścia z szopy. Stał tam, nieruchomy i milczący, spoglądając na rozpościerającą się poniżej dolinę. Widziała, jak oddychał szybko, przez chwilę nawet z trudem.

- Czy mam przez to rozumieć - odezwał się wreszcie równym, pozbawionym emocji głosem - że twoje uczucia są ulokowane gdzieś indziej? Nie wiedząc, co odpowiedzieć, podeszła bliżej.

To oczywiste, że jej uczucia były ulokowane gdzie indziej. Od zawsze. Ale czy wolno jej było zaspokoić ciekawość Thomasa?

- Obecnie jestem poświęcona Ariane - rzekła cicho. - Teraz ona musi być w centrum mojego zainteresowania, a potem sama nie wiem, co przyniesie mi przyszłość. Ale przecież ty musisz wiedzieć... - Urwała, czując, jak oblewa się rumieńcem. Przełknęła ciężko. - Musisz wiedzieć, że wiele osób uznałoby mnie za niegodną ciebie. Jestem francuskiej krwi, mój ojciec zginął tragicznie. A co do matki, cóż, nie cieszyła się dobrą reputacją w społeczeństwie.

Odwrócił się energicznie, mocno splatając dłonie za plecami.

- Więc, mówiąc krótko, po prostu mnie nie chcesz? - odpowiedział. - Czy do tego zmierzają twoje wymówki? Bo sama zauważ, że nie pytałem cię o twoją przeszłość, ani o pochodzenie. To dla mnie nic nie znaczy. Kocham cię.

Poczuła się zawstydzona, spuściła wzrok, spoglądając na czubki swoich butów.

- Nie, nie pytałeś. I masz rację, nie przyjmuję twoich oświadczeń, ale czynię to nie bez żalu, gdyż jesteś bardzo wartościowym człowiekiem.

Thomas wyglądał tak, jakby zupełnie opadł z sił.

- No cóż! - westchnął. - Jeśli to nie ma się zdarzyć, muszę się pocieszyć twoją przyjaźnią. Czy możemy zostać przyjaciółmi, Heleno? Czy możemy kontynuować naszą znajomość jako najlepsi przyjaciele?

Helena odniosła wrażenie, że jego rozczarowanie w dużej części już minęło, jakby zabrał je ze sobą północny wiatr.

- Ależ oczywiście - wydusiła odpowiedź. Odczuła ulgę, że jego zachowanie tak szybko wróciło do normy. - Mam nadzieję, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

- Bogu dzięki - odpowiedział, znowu się uśmiechając. - Byłbym niepokieszony, gdyby się okazało, że moimi słowami zniszczyłem naszą przyjaźń. - Stał obok i podał jej swoje ramię. - Chodźmy, Heleno. Odprowadzę cię do Chalcote. Przed piątą zrobi się ciemno, zwłaszcza przy tak pochmurnym niebie.

Zmuszając się do uśmiechu, wzięła go pod rękę, ale gdy dotarli do furtki w murze okalającym spaloną chatę, Thomas się zatrzymał.

- Aha, jeszcze jedno. Stary pan Clapham powiedział mi, że jutro będzie jeden z ostatnich ciepłych dni tej jesieni. Ponieważ jego prognozy pogody niemal zawsze się sprawdzają, czy przypieczętujesz swoją obietnicę przyjaźni i wybierzesz się ze mną na przejażdżkę po okolicy? Oczywiście razem z Ariane.

Niepewnie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz chyba wahała się odrobinę zbyt długo. Zatrzymał ją na środku ścieżki i zrobił zakłopotaną minę.

- Twoje milczenie przeraża mnie, Heleno. Czyba cię nie obraziłem? - spytał z obawą. - Powiedz mi, że nie zniszczyłem wszystkiego, mówiąc do ciebie prosto z serca!

- Oczywiście, że nie - odparła z przekonaniem. - Nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. I chętnie wybiorę się z tobą jutro na przejażdżkę.

* * *

Ariane westchnęła w ciemności. Panna Helena wróciła ze spaceru, tak jak obiecała. Ale papa nie wrócił. Zmrok nadszedł szybko, kolacja dobiegła końca. Teraz dom był pogrążony w ciszy i powoli układał się do snu.

Zwykle to była jej ulubiona pora, gdyż papa zawsze przychodził, żeby ją okryć i utulić do snu. Potem kładł się na łóżku obok i opowiadał historie o królu Arturze. Albo o czarodziejskich wrózkach mieszkających w lesie i o tańczących druidach. Raz opowiedział jej nawet głupią historię o śpiewającej śwince. Oczywiście w nią nie uwierzyła, ale i tak się śmiała - oczywiście w myślach.

Papa nigdy się nie gniewał, że nie odpowiadała, nie zadawała pytań o te historie. Chociaż często pragnęła zadawać pytania, i to bardzo. Miała je już na końcu języka, ale nigdy ich nie wypowiedziała.

Papa często odgadywał jej pytania i mówił je głośno. Jakimś sposobem zawsze wiedział, o co ona chciała spytać.

- Aha! - wołał. - Dobrze wiem, co teraz myślisz, Ariane! W jaki sposób dzielny rycerz ocalił królową przed smokiem ziejącym ogniem? - To pytanie wypowiadał cichutkim szeptem, właśnie tak, jak zrobiłaby to Ariane.

Jak to dobrze mieć papę, który rozumie takie rzeczy. Każdego wieczoru miał dla niej inną opowieść. Lecz dzisiaj nie było go w domu, a ona nie wiedziała, kiedy wróci.

„Może za dwa dni, *madame*” - podsłuchiwała, jak Milford mówił dzisiaj po południu do rozdrażnionej ciotki Belmont. Jej wizyta w Chalcote była dość nieoczekiwana. Po tym, jak panna Helena wyszła na spacer, Ariane usłyszała zbliżający się powóz ciotecznej babci.

Wyjrzała przez okno klasy i zobaczyła chmurę pyłu. Kareta poruszała się bardzo szybko, podobnie jak sama ciocia, gdy tylko pojazd stanął przed wejściem do dworu.

Ciotka Belmont wyskoczyła z powozu i prędko pognała po schodach. Wyglądała jak królik uciekający z klatki ku najbliższej kępie krzaków.

To był sygnał. Ariane pobiegła na balkon. Jeśli chodzi o dorosłych, zawsze potrafiła przewidzieć, kiedy zdarzy się coś ciekawego. Szybko chodzili, mówili głośno. A pani Belmont mówiła rzeczywiście bardzo donośnie. Żadne słowa Milforda nie były w stanie jej powstrzymać.

Z powodów, których Ariane nie rozumiała, pani Belmont bardzo się rozzłościła na Milforda. W holu na dole wrzeszczała jak sroka i skakała jak królik, a milczący Milford pobladł jeszcze bardziej niż zwykle. Gdyby nie kamerdyner, Ariane uznałaby tę całą sytuację za bardzo śmieszna. Papa powiedział kiedyś cioci Cat, że damy nigdy nie chodzą szybko i nigdy nie krzyczą. Ale ktoś zapomniał o tym powiedzieć cioci Belmont.

W końcu przez oranżerię wróciła Helena. Ciocia Belmont obrzuciła ją lodowatym spojrzeniem, wskoczyła z powrotem do swojej karety i odjechała tak samo szybko, jak się zjawiała.

A teraz, gdy już dawno zapadł zmierzch, gdy w domu zapanował spokój, a papa wciąż nie wracał, Ariane stała przy oknie w swojej sypialni, spoglądając na spowite ciemnością ogrody za domem. Jednak panna Helena była bardzo blisko. I nawet mimo odciągniętych na boki zasłon Ariane czuła się bezpieczna.

Już nie pamiętała, jak on wygląda z bliska. Ale wiedziała, że gdzieś tam jest. Obserwator. Tak jak obiecał. Widywała go w świetle dnia i o zmierzchu. Widziała go sto razy, a dwa razy częściej wyczuwała jego obecność. Tak jak dzisiejszego wieczora. Nawet w ciemności. Czał się w lesie i na ścieżkach w okolicy Chalcote, krążył wokół domu jak Boudikka, pilnująca mysiej nory. Ariane czuła się właśnie jak taka mysz.

Ale czego on chce? Zawsze tylko patrzył, i to z daleka. Czasami Ariane widywała kogoś, kto podchodził bliżej, kto mógł być nim. Wtedy się chowała. Lecz w końcu zawsze przychodził jakiś dorosły - papa, stryj Bentley albo panna Helena - i wyciągali ją z ukrycia i mówili, że ta osoba jest bezpieczna. Że to nie jest zły człowiek.

Kiedy była bardzo mała, Ariane bardzo lękała się tego obserwatora. Wyobrażała sobie, że on wyskoczy spod łóżka albo pochwyci ją w ogrodzie i zmusi, żeby wszystko powiedziała - albo też, żeby niczego nie mówiła. Nigdy.

Teraz, gdy była większą dziewczynką, Ariane nie miała pewności, czego on chce. Rzeczy, które kiedyś powiedział, plątały się z tym, co mówiła mamusia. Tak jak większość tego, co kiedyś wiedziała, słowa i wspomnienia zacierały się, tworząc jeden wielki zamęt. Wspomnienia, niegdyś wyraźne, w większości stały się... odczuciami.

Teraz już się nie bała, że obserwator schował się pod łóżkiem. A może w ogóle przestała odczuwać przed nim strach? No, nie do końca. Lecz ostatecznie, wysłuchawszy słów i pytań panny Heleny, bardziej niż obawę odczuwała złość.

I coraz częściej, kiedy panna Helena brała ją za rękę i patrzyła jej głęboko w oczy, Ariane odczuwała potrzebę, żeby wszystko jej powiedzieć. Czasami słowa cisnęły się ze ściśniętego miejsca w jej brzuszku, tak jakby mogły wystrzelić przez gardło.

Lecz gdyby je wypuściła, już nie mogłaby niczego ukryć. Gdyby przemówiła, nie mogłaby dotrzymać danej obietnicy. I co wtedy?

* * *

Następnego ranka Helena obudziła się lekko rozdrażniona. Już po chwili przypomniawszy sobie, co jest tego przyczyną, gdy odsunęła zasłony i ujrzała piękne, błękitne niebo. Tak jak przewidywał Thomas Lowe, nad Cotswolds nastał słoneczny dzień.

Naprawdę nie miała ochoty na tę przejażdżkę z Thomasem. Wolała zostać w domu i czekać na powrót Cama, chociaż było mało prawdopodobne, by zjawił się w ciągu najbliższych godzin.

Lecz dzisiaj problemem nie był Cam, lecz Thomas. Chociaż stanowczo temu zaprzeczała, jego niespodziewana propozycja małżeńska wszystko zmieniła w ich wzajemnej relacji. Przyjaźń, którą dotąd go darzyła, ustąpiła miejsca czemuś o wiele mniej przyjemnemu. Co gorsza, wina leżała po jej stronie, gdyż w obliczu jej odmowy Thomas zachowywał się uprzejmie i miło.

Helena zadzwoniła, żeby podano jej kawę, i zaczęła szykować się do długiego dnia. Wbrew rozsądkowi uległa perswazji Thomasa, żeby

odwołać lekcje dla wycieczki do starego saskiego miasteczka Cricklade. Tam we trójkę mieli zrobić sobie piknik niedaleko obronnych szaniec, a potem zwiedzić stary kościół z epoki Tudorów. Początkowo Helena była przeciwna zabraniu Ariane na tak daleką wyprawę, lecz Thomas słusznie zauważył, że wycieczka może świetnie spełnić funkcję edukacyjną.

O wyznaczonej godzinie Helena zabrała Ariane na dół. Thomas najwidoczniej już przybył, gdyż jego powóz stał na zewnątrz, zaprzężony w czwórkę pięknych karych koni. Lecz samego proboszcza nigdzie nie było widać. Nieco zdziwiona, Helena zostawiła Ariane koło wejścia i ruszyła na poszukiwanie Thomasa. Główny korytarz, salon i gabinet Cama były pogrążone w ciszy, jednak na samym końcu przejścia, gdy skręciła w prawo do skrzydła dla służby, usłyszała cichy trzask otwieranych drzwi pogrążonych w półmroku. Cofnęła się o kilka kroków i wyjrzała za narożnik. Proboszcz właśnie wychodził z gabinetu Cama.

- Thomas! - zawołała, biegnąc w jego kierunku. - Właśnie się zastanawiałam, gdzie jesteś...

- Och, panno de Severs! - Odwrócił się gwałtownie.

- Przepraszam. Widzę, że cię przestraszyłam.

Kątem oka zauważyła, jak z żółtego salonu wychodzi Milford, który przelotnie zerknął na plecy proboszcza i nie zatrzymując się, poszedł dalej korytarzem.

Thomas złożył Helenie elegancki ukłon.

- Nie przestraszyłaś, moja droga! - odpowiedział gładko. - Po prostu zachwyła mnie twoja uroda. Ale rzeczywiście myślałem, że korytarz jest pusty. Chyba trochę bujałem w obłokach. - Obrócił się, żeby służyć jej ramieniem. - Tak, rozmyślałem o książce, którą właśnie przywiozłem, i

odłożyłem z powrotem na miejsce na półce w gabinecie. Czy wiesz, Heleno, że Treyhern posiada wspaniały zbiór tomików współczesnej i dawnej poezji? I chętnie je pożycza. Myślę, że człowieka można ocenić także po tym, jakie czyta książki. Co o tym sądzisz?

Ten monolog o literaturze i osobowości trwał do chwili, aż znaleźli się w holu, skąd zabrali Ariane.

Wciąż mówił o tym samym, gdy schodzili do powozu.

- Och! - wykrzyknęła Helena, zatrzymując się na podjeździe. - Nie widziałam się z Milfordem. Powinnam mu powiedzieć, dokąd jedziemy.

- Rozmawiałem z nim zaraz po przyjeździe - zapewnił ją Thomas. - I powiedziałem, że wyjeżdżamy na całe popołudnie do Cricklade.

Podziękowała mu i popatrzyła na czekający powóz.

- Widzę, że na dzisiaj przygotowałeś mocny zaprzęg - zauważyła, gdy pomagał jej wsiadać. - Ruszamy w wielkim stylu!

Promieniejąc z radości, Thomas nachylił się, żeby podnieść Ariane, która wyglądała na jeszcze bardziej smutną niż poprzedniego dnia.

- To prawda - odpowiedział. Wsiadł jako ostatni i chwycił lejce. - Zmęczyło mnie to ciężkie stapanie w podwójnym zaprzęgu. Kupiłem te dwa konie w zeszłym tygodniu. Czyż nie są świetnie dobrane, panienko Ariane?

Odwrócił się, żeby pogłodzić ją pod brodą, lecz dziewczynka nie miała na to ochoty. Przysunęła się do Heleny. Thomas zrobił urażoną minę, jak zwykle, gdy Ariane odrzucała jego przyjazne gesty. Helena spróbowała skierować jego uwagę na coś innego.

- Rzeczywiście, wyglądają wspaniale - powiedziała, spoglądając na energiczne zwierzęta. -I świeżo. Wobec tego myślę, że dojedziemy do Cricklade w rekordowo krótkim czasie!

Natychmiast przeniósł na nią swe ciepłe spojrzenie.

- Więc, ruszamy, moja droga? Odpowiedziała mu uśmiechem i już po chwili jechali po zboczu wzgórza, oddalając się od Chalcote.

* * *

Po nocy spędzonej w przydrożnym zajeździe i kilku godzinach męczącej jazdy lord Treyhern i jego zdrożony wierzchowiec wrócili dzień wcześniej do domu, który okazał się pogrążony w grobowej ciszy i pusty. Było to duże rozczarowanie dla Cama, który podczas długiej i samotnej podróży wciąż myślał o rozgrzanym kominku i domowym cieple. Miał nadzieję, że przy drzwiach powita go chociaż Ariane, jeśli nie Helena.

Przynajmniej ten proboszcz nie siedział koło schodów. Marna pociecha. Cam rzucił kapelusz na stolik w holu i zaczął ściągać rękawiczki, gdy pojawił się Milford.

- Gdzie są wszyscy, do stu diabłów? - spytał Cam z kwaśną miną. - Czy tak długo nie było mnie w domu, że mam samotnie stać w holu, zapomniany przez służbę i rodzinę?

- Przepraszam, milordzie - wymamrotał Milford, odbierając od niego okrycie. - Byłem w skrzydle dla gości i liczyłem pościel razem z panią Naffles. A co do rodziny, to o ile mi wiadomo, pan Rutledge przebywa u pana siostry w Alderhampton...

- A reszta? - przerwał mu Cam, natychmiast żałując swego ostrego tonu. - Gdzie moja córka i panna de Severs? Nie zeszły jeszcze na lunch?

- Nie, milordzie. Wyjechały pół godziny temu. Myślę, że minął się pan z nimi w okolicy miasteczka.

Poczuł się bardzo rozczarowany.

- Nikogo nie widziałem w Cheston. Dokąd pojechały?

Milford się zawahał.

- Pojechały w powozie pana Lowe'a, milordzie. A dokąd, tego niestety nie wiem.

Rozżalenie Cama jeszcze bardziej się pogłębiło. Po raz kolejny Helena nie powitała go na progu jego domu. Wszystkie jego plany - żeby od razu wziąć ją w ramiona, wyznać szeptem dozgonną miłość, powtórzyć oświadczyzny - wszystkie te przyjemności musiały poczekać. A dlaczego?

Z powodu tego cholernego proboszcza! Znowu.

Lecz przecież Helena kochała jego, nie Lowe'a. Zmusił się, żeby o tym pamiętać. Nie było powodu do niepokoju, a jednak nie potrafił się opanować. Denerwował się. Dlaczego nie poczekała na niego w domu?

Bo byłeś na tyle głupi, że nie przysłałeś umyślnego z wiadomością o swoim wcześniejszym powrocie - odpowiedział sam sobie.

Tak, chciał sprawić Helenie i Ariane niespodziankę. Ale one wyjechały. Nie mógł na to nic poradzić, chyba że miałby ochotę pogonić za nimi jak barbarzyńca i zaciągnąć je z powrotem do domu. Kusząca myśl. Ale to nie zdałoby się na nic.

Zacisnął zęby i z ponurą miną zaczął chodzić po holu.

- Milford, będę w gabinecie. Mam dużo pracy. Kamerdyner kiwnął głową.

- A lunch, milordzie?

- Chyba nie mam apetytu - rzucił przez ramię. -Dziękuję.

Jednak cisza panująca w gabinecie była jeszcze bardziej dotkliwa. Ponieważ nikt nie oczekiwał jego powrotu, kominek był wygaszony. W tej sytuacji nawet kotka uciekła w cieplejsze miejsce. Zapewne położyła się w kąciku za piecem w kuchni. Z rezygnacją rozsunął zasłony i usiadł, żeby przejrzeć pocztę.

Na środku biurka leżała złożona kartka zapisana ręką Heleny.

Wiedziony złym przeczuciem zauważył, że nie ma pieczęci. A więc nie była to osobista wiadomość. Sam nie wiedział, czy to dobrze, czy źle...

Z niepokojem rozłożył papier. Krótka notatka zawierała informację, że Helena i Ariane pojechały do Fairford z Thomasem Lowe'em i wrócą późnym popołudniem.

Znowu Fairford? A co tam było takiego ciekawego? Z jednego do drugiego końca miasteczka można było dorzucić kamieniem. Z pewnością obejrzały wszystko, co było do obejrzenia, podczas poprzedniej wycieczki!

Sfrustrowany, odłożył liścik na biurko i zaczął oglądać korespondencję. Jako pierwszą otworzył kopertę pokrytą prawie nieczytelnym pismem ciotki Belmont. Z nagryzmołonego na wierzchu nazwiska adresata zorientował się, że wciąż była w wojowniczym nastroju. Kolejna okropna perspektywa.

Postanowił, że zajmie się tym później. Odsunął listy na bok i znowu zaniepokojony popatrzył na kartkę od Heleny. To dziwne, że zostawiła mu taką wiadomość - w dodatku sformułowaną w kilku chłodnych słowach - skoro jego powrót do Chalcote był oczekiwany dopiero następnego dnia. A jednak wyraźnie celowo nie powiedziała nic o swoich planach osobom,

którym powiedzieć należało: służbie. To było niepodobnie do Heleny, która zawsze pamiętała o takich rzeczach.

Niecierpliwie odwrócił kartkę w kierunku okna i przeczytał jeszcze raz. Słowa wydawały się dość niewinne, papier też był zwykły, można go było znaleźć w całym domu. Kartka była trochę pognieciona, kilka razy składana i rozkładana. I znowu stwierdził, że to do Heleny niepodobne.

Zabrał list i wyszedł do holu. Na środku stał Mil-ford, zdejmując przybrudzoną pelerynę z ramion Bentleya. Chłopak miał zaczerwienione oczy, pomięte ubranie, najwyraźniej dopiero co wrócił od Willa Wodewaya, a ich wspólnie spędzony czas nie wyszedł na dobre odzieniu. Teraz Bentley spojrział zaskoczony na Cama.

- Dzień dobry, Cam - wymamrotał.

Cam odpowiedział mu z roztargnieniem i podszedł do służącego.

- Milford, czy wiesz cokolwiek o ponownym wyjeździe panny de Severs do Fairford?

Kamerdyner zeszywniał.

- Milordzie, jak już mówiłem, po prostu odjechała z panem Lowe'em. Z tego, co mi powiedziała, to mogli się wybierać nawet do Singapuru.

Bentley, który wytrwale otrzepywał cholewy butów z końskiego włosia, nagle uniósł głowę.

- Helena znowu pojechała do Fairford? - spytał zdziwiony. - Po diabła? Tam nie ma nic ciekawego poza kościołem pełnym witraży i rzeźb.

- Wiem - uciał Cam, nie mogąc stłumić złości spowodowanej zainteresowaniem Bentleya osobą Heleny. - Ale z tej notatki wynika, że właśnie tam się udała. Razem z Ariane wyjechały w towarzystwie proboszcza pół godziny temu.

- Na pewno nie skierowali się do Fairford - odparł Bentley, spoglądając na grudę błota przyklejoną do swego buta. - Chyba że naszemu anielskiemu proboszczowi wyrosły skrzydła i po drodze przefrunął nad Aldhampton.

- Jak to? - Cam i Milford spytali jednocześnie. Bentley popatrzył na nich trochę lekceważąco.

- Ponieważ - wymówił to słowo tak, jakby powątpiewał w ich inteligencję - ja właśnie przyjechałem z Aldhampton. To po drodze do Fairford. Przypomnij sobie, że nie prowadzi tam żadna inna dogodna droga.

Cam poczuł, że robi mu się mdło.

-I zauważyłbyś powóz Lowe'a, gdybyś go wymijał? - spytał z narastającym niepokojem.

Czyżby zdarzył się jakiś wypadek?

Bentley uniósł brew i spojrzał na brata z ledwie skrywaną pogardą.

- Nie odmawiaj mi tej odrobiny wiedzy, Cam. Znam każdy powóz i każdy dyliżans stąd do Bath.

- To prawda, milordzie - odezwał się kamerdyner. - Nie można było nie zauważyć proboszcza, bo miał zaprzęg złożony z czterech koni, a nie jak zwykle dwóch.

Cam odwrócił się do niego kompletnie zaskoczony.

- Czterokonny zaprzęg do starej kolaski Thomasa? Na Boga, pewnie zamierzał odbyć dłuższą podróż. Może rzeczywiście przefrunął nad Aldhampton!

Zapadło nerwowe milczenie. Bentley i Milford patrzyli na Cama, zastanawiając się, co robić. Jednak to służący przemówił pierwszy, dziwnym, niespokojnym głosem.

- Było coś jeszcze, milordzie. Tuż przed ich wyjazdem widziałem, jak proboszcz wychodził z pana gabinetu. Uznałem to za trochę dziwne, ale widocznie wpuściła go tam jedna z pokojówek. I panna de Severs też go spotkała, jak stamtąd wychodził.

Cam poczuł ucisk w gardle. W sumie zachowanie Lowe'a nie było aż takie zdumiewające. Gabinet znajdował się na parterze i był otwarty dla każdego, kto chciałby z niego skorzystać. Zresztą proboszcz często tam zaglądał. Czasami nawet pożyczał sobie książki, chociaż w ostatnim czasie tego nie robił.

- Chyba muszę pojechać w kierunku Fairford - powiedział w końcu Cam. - Na całej trasie nie ma ani zajazdów, ani kuźni. Może zjechali z głównej drogi, żeby naprawić zdartą podkowę lub coś takiego.

- Pojadę z tobą - rzucił stanowczo Bentley. - Zobacz, Shreeves prowadzi nasze konie do stajni. Każę mu przełożyć siodła na wypoczęte wierzchowce.

Cam w milczeniu kiwnął głową. Bentley ruszył do wyjścia.

- Aha, Milford - odezwał się jeszcze przez ramię. - Bądź tak dobry i włóż do mojej torby trochę chleba i sera. Mam piekielnego kaca, ale bez posiłku zagłodzę się na śmierć.

Przez chwilę Cam stał nieruchomo, a wokół niego rozpoczęła się krzątanina. W końcu poszedł na górę po świeżą koszulę, obmył sobie również twarz i pierś zimną wodą. Kiedy uniósł głowę znad miednicy, ujrzał w lustrze swoje blade odbicie i zawahał się.

Boże, co się z nim dzieje?

Przecież nie było powodu, by podejrzewać, że stało się coś złego. Ani też powodu, by ściszało go w dołku i by ogarniał go paraliżujący, niewytłumaczalny niepokój.

Helena po prostu zabrała Ariane na wycieczkę z proboszczem, człowiekiem, którego dobrze znał, i któremu w dużej mierze ufał. Jakie miało znaczenie, dokąd pojechali, czy Helena zostawiła wiadomość, i czy ktoś ich widział po drodze? Przecież Helena kochała tylko jego.

Pociągnął energicznie za poły koszuli i zawiązał fular w prosty węzeł, przekonując się w myślach, że wszystko jest w porządku. Wszak znajdowali się w Gloucestershire, a nie w Whitechapel, gdzie ludzie często ginęli bez śladu.

Odwrócił się od miednicy, nałożył kamizelkę i surdut, po czym pogrzebał w szafie i znalazł to, czego szukał. Z niemal bezgłośnym szelestem stali przesuwanej po skórze, wyciągnął lśniący nóż z pochwy, żeby sprawdzić, czy jest ostry. Zadowolony, wsunął broń z powrotem na miejsce i umieścił w cholewie buta.

Nie wiadomo dlaczego, ta czynność uspokoiła go, zwłaszcza gdy przypomniiał sobie, że ma przy siodle jeszcze dwa pistolety, które zabrał, aby bezpiecznie przywieźć z Londynu pierścień dla Heleny. Bentley zaś miał strzelbę na ptaki oraz zapewne jeden lub dwa pistolety.

Pomyślał, że powinien czuć się jak idiota, gdyż zbroi się po zęby, aby wyruszyć na poszukiwanie zaginionego powozu proboszcza. Jednakowoż nie miał takiego odczucia.

Rozdział 19

Wielka bomba

Wystraszone przepiórki wzbiły się w powietrze, gdy wczesnym popołudniem powóz wielebnego Thomasa Lowe'a przejechał z dużą prędkością przez środek stada, mijając zakręt do Cricklade. Nie zwalniając na skrzyżowaniu, konie gnały dalej wzdłuż żywopłotu rosnącego koło drogi do Swindon.

W normalnych okolicznościach Helena być może nawet nie zauważyłaby przechylonego i zniszczonego drogowaskazu, który stał na skraju gościńca, gdyż jej znajomość geografii południowej Anglii była dość pobieżna. Lecz dziś podróży nie towarzyszyły żadne atrakcje, jeśli nie liczyć tego stada spłoszonych przepiórek oraz faktu, że Thomas powoził tak, jakby sam diabeł deptał mu po piętach.

Od Chalcote prowadzili zdawkową, banalną rozmowę, zupełnie inaczej niż poprzednio, kiedy to żywo komentowali każdą mijaną wioskę i kościół, niemalże każdą oborę w pobliżu drogi.

Położyła rękę na odzianej w rękawiczkę dłoni Thomasa trzymającej lejce. Wyczuła mocno napięte mięśnie.

- Czy nie minęliśmy właśnie zakrętu do Cricklade? - spytała.

Thomas siedział w milczeniu, jeszcze bardziej poganiając konie. Prędkość już teraz wydawała się niebezpieczna, lecz proboszcz wyraźnie nie zamierzał zwolnić. Po drodze zatrzymali się tylko raz, żeby dać odpocząć zwierzętom. Z początku Helena próbowała usprawiedliwić jego zachowanie faktem, że chciał jak najszybciej pokonać cały dystans ze względu na Ariane, lecz w połączeniu z jego milczeniem nawet takie wytłumaczenie zdawało się nie mieć podstaw. Zaniepokoiła się.

- Thomas? - powtórzyła przez ściśnięte gardło.

- Czy coś się stało? Nie jedziemy do Cricklade? Wydaje mi się, że minęliśmy zakręt.

Gwałtownie odwrócił się do niej. Na jego twarzy ujrzała ponurą desperację.

- Moja droga, jedziemy do Southampton - powiedział ledwie dosłyszalnym głosem.

Kiedy zaskoczona otworzyła usta, śmiałym gestem objął ją, boleśnie wbijając palce w jej ramię. Nie był to przyjazny gest.

Coś było nie tak. I to bardzo.

- Jutro dotrzemy do Southampton, Heleno - szepnął ponad głową dziewczynki - i najlepiej zachowaj spokój, żeby nie zaalarmować Ariane.

Lecz Helena była pewna, że jest już za późno. Spuściła wzrok i zobaczyła, że Ariane kurczowo trzyma ją za fałdy peleryny, zaciskając rączki tak mocno, aż pobielaly jej kłykcie. Siedziała spokojnie między nimi, z nieprzeniknionym obliczem wpatrując się w drogę widoczną między końskim łbami. Jednak Helena знаła tę jej minę, chociaż ostatni raz widziała ją kilka tygodni temu.

- Natychmiast zatrzymaj powóz - powiedziała ściszoneg głosem.

Lecz Thomas jedynie krzywo się uśmiechnął. Wyciągnęła drżącą rękę i wskazała rosnący przy drodze mały zagajnik.

- Zatrzymaj powóz! *Ma foi*, musisz mi wyjaśnić, co się dzieje. I zrobisz to tam, między tymi drzewami, bo inaczej nie odpowiadam za moje czyny.

Zabrał rękę, przełożył lejce w drugą dłoń i rozpiął płaszcz. W wewnętrznej kieszeni sterczał pistolet.

- Dobrze, Heleno - powiedział spokojnie.

- O ile się rozumiemy.

Pistolet! Serce Heleny zaczęło bić coraz szybciej, przestała wyraźnie widzieć. Zauważyła, jak spojrział na nią z ukosa, wyhamowując powóz.

Co tu się dzieje? Kim on jest? Przecież to nie jest ów uprzejmy, miły proboszcz, który tak otwarcie zabiegał o jej przyjaźń. To zupełnie ktoś inny. Teraz miał zaciśnięte zęby, nieprzejednaną minę i zimne, półprzymknięte oczy. Ostrożnie zatrzymał konie na skraju zagajnika.

Straciła z widoku krzewy rosnące wzdłuż drogi. Nie pamiętała nawet, jak głęboko weszła między drzewa i jak odwróciła się do niego w napadzie złości.

Miała świadomość obecności Ariane obok koni na skraju drogi. Stała twarzą w twarz z Thomasem Lowe'em i miała ochotę rzucić się na niego z pięściami.

Wbiła sobie paznokcie w dłonie, pamiętając, że okazanie paniki może zaniepokoić Ariane.

- Cóż to wszystko ma znaczyć, panie Lowe? - spytała ostro, siłą woli zmuszając się, żeby nabrać powietrza. - Jaką nikczemność masz w zamyśle, że machasz mi przed nosem pistoletem jak pospolity rozbójnik? *Mon Dieu*, przecież jesteś księdzem! Podszedł do niej powoli.

- Moja była profesja nie wytrzymała próby czasu, Heleno. Jedziemy do Southampton. Niestety, nie zostawiłaś mi dużego wyboru, kiedy...

Przerwała mu gwałtownie, tupiąc nogą.

- Chyba postradałeś zmysły, mój panie, jeśli właśnie tak chcesz mnie ukarać za to, że ci odmówiłam. Co z ciebie za człowiek, że wylewasz swoje żale, wciągając w to niewinne dziecko?

- Nie pochlebiaj sobie, moja droga - zaśmiał się. - To prawda, że tak czy inaczej muszę przejąć nad tobą kontrolę...

Pośród drzew rozległ się głośny trzask.

Nie wiedziała, że go uderzyła, do chwili, gdy z kącika jego ust zaczęła się sączyć krew. Niebezpiecznie zmrużył oczy i zatoczył się do przodu, jakby chciał skoczyć i udusić Helenę. Jednak coś go zatrzymało, być może gest stojącej w oddali Ariane. Cofnął się o krok

Przechylił lekko głowę, ocierając krew wierzchem dłoni.

- Posłuchaj mnie, Heleno - zaczął lodowatym głosem. - I to posłuchaj bardzo uważnie, bo nie będę się powtarzał. Jeśli stawisz mi opór, będę musiał coś ci zrobić. I to nie będzie przyjemne. Nie doprowadzaj nas po raz kolejny do tak niezręcznej sytuacji. Bo ucierpi na tym dziewczynka.

- Ależ z ciebie potwór! Nie śmiałyś zrobić krzywdy niewinnemu dziecku, ty...

- Wolałbym jej nie krzywdzić i mam nadzieję, że nie zmusisz mnie, by moja ręka wykonała jakiś pochopny lub zbyt śmiały ruch.

Aż się zatrzęsała ze złości.

- Przysięgam na Boga, Thomasie Lowe, że kiedy Camden Rutledge cię schwyci, drogo zapłacisz za wystraszenie jego córki! Zawieź ją z powrotem do domu, słyszysz mnie?

Jakby w zamyśleniu potarł miejsce, gdzie otrzymał uderzenie.

- No cóż, mamy tu pewien problem, Heleno. Otóż to dziecko nie jest jego, lecz moje.

Helenie zabrakło tchu.

- Twoje? - wyszeptała cicho. W jej głowie kłębiły się dziesiątki myśli.

Próbowała doszukać się w jego słowach jakiegoś sensu, lecz kawałki układanki nie chciały wskoczyć na swoje miejsca.

Zaśmiał się niemal ze smutkiem.

- Przestań, Heleno! Jesteś kobietą światową! Z pewnością widzisz, że nie ma żadnego podobieństwa między Treyhernem a dziewczynką. A on musi wiedzieć, że Cassandra go oszukiwała, chociaż po prawdzie to podziwiam go za to, że przełknął swoją dumę i dał dzieciakowi dach nad głową.

Zrobiła energiczny krok w jego stronę.

- Dom, z którego ją porwałeś, ty oszukańczy draniu! Twierdzisz, że ona jest twoja? Widząc coraz wyraźniej całą twoją nieprawość, wcale nie wątpię, że byłbyś zdolny do takiego niecnego uczynku. Ale powiedz mi jedno, proboszczu, czy nie wystarczy ci, że zaciągnąłeś do łóżka żonę porządnego człowieka, popełniając cudzołóstwo za jego plecami? Musisz mu jeszcze odebrać dziecko? Bo Ariane jest jego dzieckiem. W jedyny sposób, jaki jest ważny dla Boga. I dla mnie również.

Przez chwilę wydawało się, że Lowe zrobi zboląłą minę, jednak się opanował.

- Ojej - powiedział cicho. - Widzę, że bardzo ci na nim zależy, co? Tego się obawiałem. Wobec tego zawołowane ploteczki, jakie rozpuszczała lady Catherine, przypieczętowały twój los.

Obrzuciła go najbardziej pogardliwym spojrzeniem, na jakie było ją stać.

- Słucham?

W promieniach słońca przystojny, jasnowłosy Thomas Lowe wyglądał niemal jak anioł zła. Efekt stał się jeszcze silniejszy, gdy uniósł jedną brew i uśmiechnął się kpiąco, jakby szydził z naiwności Heleny.

- Treyhern nieźle się natrudził, żeby znaleźć dobrą guwernantkę, co? Ale potem przyjechałaś ty, a ja od razu dostrzegłem związane z tym ryzyko. Byłaś inteligentna i cierpliwa. Jednak gdy mogłem cię obserwować, nie widziałem powodów do paniki.

- Paniki? - zawołała. - Święty Boże! Co ja wiedziałam o twojej perfidii? Albo o Ariane?

Zignorował ją.

- Musiałem zyskać twoją przyjaźń, a może nawet twoje względy. - Obrzucił ją pełnym zachwyty spojrzeniem. - I wcale nie było to z mojej strony takie duże poświęcenie. W rzeczy samej chętnie zaciągnąłbym cię do łóża, kiedy tylko opuścimy Anglię. I oddalimy się od Treyherna, tego zimnego, pozbawionego ludzkich uczuć drania. I mam już dosyć obserwowania mojej córki z daleka, martwienia się o to, co ona może powiedzieć lub pamiętać.

- Ty... ty chcesz nas porwać?

- Jakież to ostre słowa, moja droga. - Lowe wydawał się dotknięty. - Po prostu proponuję tobie i Ariane lepsze życie, z dala od tej sztywnej struktury klasowej, która panuje w Anglii. Kanada, Ameryka, tylko pomyśl!

Urwał, żeby popatrzeć na jej przerażoną minę, po czym zaśmiał się, odchylając głowę do tyłu.

- Przestań, Heleno! Na pewno nie jesteś taką głupią romantyczką, jak siostra Treyherna! Nie mogła cię przekonać, że on ci się oświadczy. Tak,

może przyjąć cię do swojego łóża, o ile już tego nie zrobił. Ale ten zadufany w sobie arystokrata nigdy nie uczyni córki paryskiej ladacznicy panią swego ukochanego Chalcote. Nigdy nie zechce zrobić dla ciebie tego, co zrobię ja, czyli uczynić z ciebie uczciwej kobiety.

Z arogancką pogardą, właściwą chyba tylko Francuzom, Helena splunęła mu pod nogi.

- *Pourceaul* Ty brudna świnio! Nigdy za ciebie nie wyjdę!

Wtedy podszedł, chwycił ją mocno za podbródek i przysunął jej twarz do swojej. Czuła na policzku ciepło jego oddechu. Próbowwała się odwrócić.

- Musisz dobrze zrozumieć, co ci proponuję, Heleno - wyszeptał aksamitnym głosem - zanim bezmyślnie to odrzucisz. Mogę cię pożądać, ale w żadnym razie nie jestem w tobie zakochany, moja śliczna. Więc mój wybór jest bardzo prosty: ożenię się z tobą albo cię zabiję. Każde z tych rozwiązań zapewni mi twoje milczenie. Lecz bez względu na to, co sobie o mnie słusznie myślisz, że jestem grzesznikiem, cudzołożnikiem czy kłamcą, wolałbym cię nie zabijać. I nie niepokoić dziecka. Lecz jeśli będę musiał, zrobię to.

- Camden Rutledge dopilnuje, żebyś za to zawisł na szubienicy, głupcze! - powiedziała z naciskiem. - O ile nie zastrzeli cię na miejscu.

Thomas uśmiechnął się ponuro i puścił jej podbródek.

- Znowu zawodzi cię inteligencja. Jeśli zostanę, on z pewnością mnie powiesi. To już nieuniknione.

- Nie rozumiem cię. Chyba straciłeś wszelki rozsądek.

Obrzucił ją miażdżącym spojrzeniem.

- Jeśli Treyhern odprawił z kwitkiem narzeczoną, żeby zatrzymać cię w swoim łóżu, to znaczy, że jesteś ustawiona w Chalcote na czas nieokreślony. Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Jesteś zbyt sprytna. Dziewczynka już zaczęła się zmieniać. W końcu zaczniesz mówić. A ja nie wiem, co mogłaby powiedzieć.

Bezwiednie popatrzył na dolinę, gdzie potężnie zbudowany chłop usiłował zabezpieczyć przed wiatrem snopek zboża.

- Nie jestem nawet pewien, czy ona cokolwiek pamięta - mruknął.

Helena gwałtownie nabrała powietrza, nagle tknięta intuicją. Lecz Thomas nie przestawał mówić.

- Jeśli zabiorę cię od Treyherna, nie tylko uniknę stryczka, ale będę miał piękną żonę, która ogrzeje moje łóżo i która wyleczy moje dziecko. - Wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu. - Mówiąc krótko, jesteś dobrym zakończeniem do złej gry, moja droga, a to jest o wiele lepsze od stryczka.

- To ty ją zabiłeś - wyszeptała Helena, cofając się o krok. - Boisz się, że ta tajemnica wyjdzie na jaw. Zamordowałeś Cassandrę Rutledge! I to na oczach waszego dziecka! Przyznaj się, ty diable!

Lowe gwałtownie pokręcił głową i po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się autentyczny żal.

- Nie, Heleno - wyszeptał. - Nigdy! Cassandra sama się zabiła! A zrobiła to tak samo, jak robiła wszystko w swoim życiu, z czystą, bezwzględną mściwością. - Zamrugnął szybko. - Owszem, byłem tam! Zapaliłem świece i jak zwykle czekałem. Lecz ona coraz bardziej się oddalała. Unikala mnie. Więc musiałem ją nacisnąć. Miałem prawo spotykać się z nią. I z dzieckiem. Lecz gdy w końcu przyszła, od razu

zauważyłem, że coś jest nie tak. Była zbyt zimna. I wyniosła. I mówiła różne straszne rzeczy.

- Walczyłeś z nią? - spytała z niedowierzaniem Helena.

- Z początku to była tylko kłótnia - przyznał szorstkim głosem. Był niebezpiecznie pobudzony, wyrzucając z siebie słowa. - Chciała położyć kres naszym spotkaniom! Powiedziała, że już nie będzie przyprowadzała do mnie Ariane, że dziecko jest na tyle duże, by zacząć mówić, bo trajkocze coraz więcej. Powiedziała, że mimo jej stanowczych przestróg prędzej czy później Ariane powie o wszystkim ojcu, miała na myśli Treyherna, to znaczy o naszych spotkaniach.

Zbita z tropu pełnym żalu opowiadaniem proboszcza i zaskoczona jego treścią, Helena ze strachem patrzyła na twarz Thomasa. Ani na chwilę nie przestawała myśleć o tym, by szybkim ruchem zabrać mu broń. Tymczasem on westchnął głęboko i mówił dalej.

- Stwierdziła, że stałem się nudny. I że zamierza przeprowadzić się do domu Treyherna w mieście, i że wieś wysysa z niej całe życie. W związku z tym chciała zostawić nas wszystkich w Chalcote, łącznie z Ariane. Ale ja jej nie zabiłem.

- Wierzę ci, Thomasie... - powiedziała cicho Helena. - Naprawdę. Cam również ci uwierzy.

Teraz patrzył jej prosto w oczy.

- Jakież byłem głupi, że tak ją kochałem. - Zaśmiał się gorzko. - Powiedziała, że to była dobra heca, uwieść proboszcza! Czasowy środek zaradczy na nudę, skoro nie miała nikogo innego. Teraz dostrzegam to, czego nie widziałem wtedy, że ona była testem. Testem mojej wiary. Oblałem go z kretesem, a co gorsza, niech Bóg ma mnie w swojej opiece,

zrobiłbym to jeszcze raz. Ponieważ Cassandra umiała skusić świętego słowami samego diabła.

- Przykro mi, Thomasie - szepnęła Helena.

- Bardzo mi przykro. Ale teraz musimy zrobić to, co będzie najlepsze dla Ariane. Proszę cię! Musimy myśleć o dobru dziecka.

Na te słowa coś w nim pękło. Spojrzał jej w oczy i po chwili znowu powiał od niego przejmujący chłód.

- Uwielbiam to dziecko, Heleno. Ale nie dam się dla niej powiesić.

- Przecież to był wypadek - powiedziała błagalnie. Chyba usiłowała przekonać samą siebie.

- Mówiłeś, że to wypadek. Ariane na pewno to pamięta, prawda? Stanowczo pokręcił głową.

- Nie, Heleno. Nie mogę tak ryzykować. A co do pamięci Ariane, któż to może wiedzieć? Nawiedzają ją różne wizje, często przerażające. Ale czy może potwierdzić, że Cassandra rzuciła się na mnie z lichtarzem? Nie mogę podjąć takiego ryzyka.

- Ona... zaatakowała cię? - spytała. Postanowiła, że musi poznać prawdę i jak najdłużej odwlekać ucieczkę Lowe'a.

- O, tak! Ta suka chciała mnie zabić i uciszyć na zawsze. Mówiłem jej, że ją kocham, że nigdy nie pozwolę, żeby mnie zostawiła. I co bym zrobił, gdyby spróbowała. Wtedy, w ataku wściekłości, cisnęła we mnie lichtarzem, rozrzucając po podłodze pół tuzina świec. A potem rzuciła się z pięściami, drapiąc mnie i dusząc.

- Lord Treyhern na pewno to zrozumie - powiedziała żalonym tonem Helena. Lecz Thomas wcale jej nie słuchał.

- Przysięgam na Boga, nie widziałem, jak jedna ze świec potoczyła się na stertę śmieci. Po chwili stare zasłony stanęły w płomieniach, a ona wciąż ze mną walczyła. W końcu jej suknia zajęła się ogniem. Nagle cały pokój zmienił się w piekło. Ledwie udało mi się zabrać stamtąd Ariane. I taka jest prawda. Każdy świadek takiego strasznego zdarzenia byłby przesłuchiwany, pytany, jak to się stało. Lecz co powie przerażone dziecko? - Pokręcił głową. - Nie mogę ryzykować. Nawet gdybym został oczyszczony z zarzutów, Treyhern by mnie zniszczył.

Znowu mówił nieprzejednanym głosem. Nagle Helena poczuła, jak kolana uginają się pod nią. To ciągły strach i zmęczenie.

- Thomasie, przecież nie możesz zabrać nas do Southampton! Dlaczego nie chcesz wyjechać bez nas? - spytała błagalnie. - Nie jesteśmy ci potrzebne. Będziemy tylko spowalniać twoją ucieczkę.

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie wyblągasz u mnie niczego, Heleno. Nie porzucę wszystkiego bez żadnej rekompensaty. Treyhern ma wszystko, ale nie będzie miał mojego dziecka, jedynej rzeczy, jaka została po Cassandrze na tym ziemskim padole. I ciebie też nie będzie miał.

Głośno wciągnęła powietrze.

- O, tak - powiedział cicho, z diabelskim błyskiem w oku. - Pomożesz mojemu dziecku. Naprawisz całe zło, które wyrządziła ta dziwka, jej matka, rozumiesz? A od tej pory do chwili, aż opuścimy Anglię, będziemy... panem i panią Smith! Ale zabawa! A jeśli sprawisz mi kłopoty, to jednego możesz być pewna. To będzie ostatni błąd w twoim życiu.

Brutalnie popchnął ją w kierunku powozu.

Cheston-on-the-Water było pogrążone w śmiertelnej ciszy. Dwaj jeźdźcy dojechali do miasteczka w kilka minut i niczego się nie dowiedzieli. Tam też, aby zaoszczędzić na czasie, Cam wyruszył drogą w kierunku Fairford, zaś Bentleya wysłał, żeby sprawdził drogi wiodące na zachód i południe.

Niemal godzinę trwało, zanim Cam potwierdził, że żaden pojazd odpowiadający opisem powozowi Thomasa Lowe'a nie był widziany na drodze z Cheston do Fairford. Ze względu na wyjątkowo ciepły dzień nie miał kłopotu ze znalezieniem chłopów przycinających krzewy ani ich żon myjących schody przed chatami. Wszyscy znali proboszcza i wszyscy byli przekonani, że tamtędy nie przejeżdżał.

Koło czwartej chaty Cama coś tknęło i zrozumiał, że marnuje tu czas. Zawrócił konia i w tumanach pyłu ruszył z powrotem w dół ku Cheston. Z wdzięcznością pomyślał o Bentleyu. Dobrze, że wysłuchał rady brata i polecił mu sprawdzić inne drogi.

Nie minęło pięć minut, gdy okazało się, jak trafna to była decyzja. Bentley nadjechał z przeciwnego kierunku, na jego twarzy malował się wyraz zaciętrzewienia i złości. Spiał wierzchowca, który zakręcił się dookoła, kopiąc kopytami w ziemię i niespokojnie przestępując z nogi na nogę. Cam domyślał się, jak bardzo zawiedzione musi się czuć zwierzę.

- Gościniec, którym jeżdżą dylizanse - wydyszał Bentley, gdy tylko Cam się z nim zrównał. - Widział ich stajenny z przydrożnego zajazdu. Pojechali na południe jakieś dwie godziny temu. Podobno w wielkim pośpiechu. Wygląda na to, że w ogóle nie wyruszyli w kierunku Fairford.

- Miałeś rację. I bardzo mi się to wszystko nie podoba.

Oba konie jednocześnie zawróciły i ruszyły z kopyta.

Później Cam nie umiał powiedzieć, w którym momencie podczas ich długiej jazdy trawiący go niepokój przerodził się w panikę. Może wtedy, gdy dowiedzieli się, że pędzący powóz przewrócił wózek jakiegoś chłopca niedaleko Latton.

Zanim dotarli do rozstaju koło Cricklade, żeby porozmawiać z innym chłopcem, który ustawiał snopki zboża, Cam już wiedział, że poleje się krew. A konkretnie krew Thomasa Lowe'a, bowiem po ostrożnej perswazji chłop zeznał, że zaprzężony w czwórkę koni powóz zatrzymał się na skraju zagajnika, a potem kobieta zdzieliła towarzyszącego jej mężczyznę ręką w twarz.

To musiał być ten diabeł. Lowe. A kobietą - Helena. Cam nie miał wątpliwości. Dobrze wiedział, że w odpowiednich okolicznościach nie zawahałaby się zrobić czegoś takiego. Lecz jakże Lowe mógł być złoczyńcą w całej tej eskapadzie? Może po prostu na zbyt wiele sobie pozwolił? Gdyby nie wyraźnie nikczemny charakter zajścia, ta sytuacja byłaby wręcz śmieszna. Jeśli pobożny, zbyt pewny siebie proboszcz chciał wykraść całusa i dostał w twarz, tym lepiej. Ale to na pewno było coś gorszego. Cam czuł to w kościach. Pięć minut później bracia znowu siedzieli w siodłach i ruszyli w dalszą drogę. Kilka mil dalej Bentley wyraził na głos obawy Cama.

- Jeśli ten drań skrzywdził Helenę lub Ariane - powiedział ponuro - to przysięgam, że pozbawię go męskości gołymi rękami.

Cam był już dostatecznie rozdrażniony.

- Niczego takiego nie zrobisz, Bentley - uciał.

- Jeśli trzeba będzie się z nim rozprawić, a to jest pewne, to nie dam sobie odebrać tej przyjemności.

- Popatrzył uważnie na brata. - Chcę się ożenić z Heleną, jak tylko ten koszmar się skończy.

- Do diabła, Cam! - zawołał Bentley, spoglądając na cugle, które mocno trzymał w dłoniach.

- Przecież ja o tym wiem.

Cam nie spuszczał z niego oczu, chociaż złość przyćmiewała mu nieco wzrok.

- Wiedziałeś o tym? Wiedziałeś? I mimo to ośmieliłeś się jej dotykać? Obmacywałeś moją przyszłą żonę jak jakąś ladacznicę w przydrożnej karczmie? I nie próbuj się chować za spódnicą Heleny, bo i tak prędzej czy później wydobędę z niej prawdę!

- Uspokój się! Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem - wymamrotał Bentley, jakby mówił do swojej znoszonej apaszki. - Jedna rzecz to przeciwstawiać się twoim aroganckim rozkazom, ale zabawiać się z kobietą, którą naprawdę kochasz, to zupełnie co innego. Myślisz, że taki ze mnie drań? Na Boga! Wczoraj Cat wszystko mi opowiedziała. - Popatrzył gniewnie na Cama. - Ostrzegła mnie, żebym więcej tego nie próbował. O Joan też mi powiedziała.

- Co to znaczy: „O Joan też mi powiedziała”? Nie wierzyłeś mi, gdy mówiłem, że nasze zaręczyny są zerwane?

- Ależ głupiec ze mnie - stwierdził Bentley ze zboląłą miną. - Przecież właśnie wróciłeś z miasta, prawda? Pewnie jeszcze nie słyszałeś...

- O czym nie słyszałem? - spytał Cam podejrzliwie.

Z każdą kolejną miłą ten dzień robił się coraz trudniejszy do zniesienia.

Bentley patrzył na drogę niewidzącymi oczyma ponad końskim łbem.

- Nie uwierzysz. Ja sam z trudem mogłem w to uwierzyć. Więc kuzynka Joan... zabawiała się z wikarym. W zakrystii. A teraz ona jest... - Znowu skierował wzrok na gościniec. - Wystarczy powiedzieć, że niebawem powitamy na łonie naszej rodziny dwie nowe osoby.

- Nie - wydyszał Cam. - Nie może to być! - Pokręcił głową i wtedy przypomniał sobie zawołowane uwagi swojego pokojowego. Staruszek wiedział. A przynajmniej podejrzewał. - Crane - mruknął gniewnie - ty stary diable.

Bentley rzucił mu z ukosa cyniczne spojrzenie.

- Nie, jestem niemal pewien, że to robota Basi-la. Joan nie zabawiałaby się ze służącymi.

* * *

Patrząc prosto przed siebie na drogę, Ariane siedziała cicho na kanapie w powozie bez najmniejszego ruchu, chociaż parę razy mocno swędział ją nos. Z doświadczenia wiedziała, że im spokojniej będzie się zachowywała, tym mniej dorośli cokolwiek zauważą. A z pewnością nie będą zadawali pytań.

Wiedziała również, że im spokojniej się zachowa, tym więcej usłyszcy. Dzisiaj usłyszała bardzo dużo. A jeszcze więcej się domyśliła. Była w tym dobra. Od dawna podejrzewała, że proboszcz to zły człowiek. Z tych najgorszych. Przy nim zawsze czuła mdłości. Ale podobnie było w towarzystwie innych osób, więc do tej pory to nie miało dużego znaczenia.

Lecz teraz zorientowała się, że to właśnie proboszcz jest obserwatorem. Była tego prawie pewna. I niemal przypomniała sobie... coś. Coś złego.

Panna Helena była rozgniewana. Rozgniewana, bo proboszcz chciał je zawieźć do Southampton. Ariane nie wiedziała, dlaczego musieli tam jechać. Konie proboszcza były bardzo zmęczone. Panna Helena błagała go, żeby je zmienił. Lecz on jeszcze mocniej poganiał je batem.

Z daleka zobaczyła coś wysokiego i srebrnego, lśniącego w promieniach popołudniowego słońca. Czy to już Southampton?

Nie, to było coś, co znała! Zapomniała, że powinna zachować spokój. Przesunęła się na skraj siedziska, obserwując niebo, gdy powóz mijał kolejną chłopską chatę. A potem drugą i jeszcze jedną. Tak, to było to. Jej ulubione miejsce na całym świecie. Nie było wątpliwości, że to strzelająca wysoko w niebo wieża katedry w Salisbury. Papa mówił, że ta wieża sięga do samego Pana Boga, więc pomyślała sobie, że gdyby udało się jej tam wejść, to może Pan Bóg mógłby popatrzeć z góry i odszukać jej tatusia. A wtedy tatuś po nie przyjedzie. Wiedziała, że to niemądre. Ale trzeba było udawać, że tak się stanie. Zaś Ariane bardzo dobrze umiała udawać.

Już niebawem powóz proboszcza wjechał między domy miasta. Wieża katedry często skrywała się za wysokimi domami i sklepami. Potem skręcali i strzelista iglica znowu spoglądała na nich z góry, tak jak Boudikka wychylająca się zza mebli. Na niektórych skrzyżowaniach Ariane widziała jakby znajome miejsca. Na przykład dom z niebieskimi drzwiami. Sklep z dzbankami do herbaty na wystawie. Być może kiedyś tu była?

A może nie. Może była tylko głupiutką małą dziewczynką. Pokręciła głową i opanowała cisnące się do oczu łzy. Ale nie dopuści, żeby zobaczyć, jak płacze. To zły człowiek. Nie wolno jej o nim mówić. Kiedyś mamusia przez niego płakała.

Przez niego? Coś błysnęło w jej pamięci, lecz zaraz znikło, tak jak wieża katedry za kolejnym skrzyżowaniem.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział w końcu proboszcz, zatrzymując konie.

Zatrzymali się na szerokim, ale niezbyt ruchliwym rynku, pełnym sklepów. Na samym środku stał duży krzyż, a po drugiej stronie znajdował się zajazd. Próbowwała odczytać szyld, poruszając bezgłośnie ustami przykrytymi szalikiem.

- „Sarni Udziec” - przeczytała Helena głosem nauczycielki, jakby to było coś ważnego.

A może po prostu powinna to zapamiętać? Ariane nie była pewna, ale wiedziała, że ta nazwa na pewno nie umknie z jej pamięci. W tych dniach starała się bardzo dokładnie zapamiętać wszystko.

Lecz proboszcz już wyjmował podróżną torbę i przekazywał konie brudnemu, niskiemu mężczyźnie, który podszedł do nich z przeciwległej strony ulicy.

- Ładne miejsce - stwierdził proboszcz, wciąż uśmiechając się do nich, jakby wszystko było w porządku. Jakby wybrali się na przyjemną wycieczkę, a przecież wcale nie była przyjemna. - Pokoiki na górze są małe, ale za to mają świetne jedzenie. Na pewno będzie wam tutaj wygodnie.

Panna Helena spojrzała na niego ze złością, ale się nie odezwała.

- O - powiedział wesoło, biorąc Ariane za rękę. - Widzę, że pan i pani Smith będą skłóconym małżeństwem. Chodźmy! Odegrajmy naszą farsę przed właścicielem gospody.

* * *

Oslaniając dłonią oczy, Cam odwrócił się w siodle, żeby popatrzeć ponad ramieniem Bentleya na zachodzące słońce, płonące szkarłatem na tle zachodniego horyzontu. Chłód późnego popołudnia przenikał ich ubrania. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że to wyścig z czasem. Będzie już ciemna noc, zanim dotrą do Salisbury, a przecież stamtąd rozchodziło się pół tuzina dróg. To z pewnością bardzo skomplikuje dalsze poszukiwania.

Cam nie miał już wątpliwości, że Helena i Ariane zostały porwane. Właściciel zajazdu w Boscomb potwierdził, że widział całą trójkę nieco ponad godzinę przed przyjazdem Cama i Bentleya. Opis powozu i jego pasażerów nie pozostawiał złudzeń.

Cam pokręcił głową. Człowiek ów opisał konie jako ledwo żywe, co oznaczało, że proboszcz gonił zwierzęta bez wytchnienia. Ale dlaczego? Przecież Helena na pewno nie...

Nie! Oczywiście. Już kiedyś w nią zwątpił i drugi raz tego nie zrobi.

Thomas porwał Helenę i Ariane wbrew ich woli. Myśl była niedorzeczna, lecz Cam przypomniał sobie, że ten człowiek był w Helenie zadurzony. Ale żeby ją porwać? I Ariane? To nie miało sensu. Lecz przecież to właśnie się stało. Cam miał szczerą ochotę zamordować go za ten uczynek. Nachylił się, żeby wyciągnąć nóż z pochwy w cholewce buta. Ostry jak brzytwa zaśnił w czerwonych promieniach słońca.

Bentley przerwał tok jego myślenia.

- Cam, gdybyś był porywaczem, dlaczego pojechałbyś właśnie tą drogą?

- Co? - Odwrócił się, żeby popatrzeć na brata. Ściągnąwszy brwi, Bentley wpatrywał się w trakt.

- To znaczy, zakładając, że Thomas stracił rozum i porwał Helenę w przyływie zazdrości, dlaczego wybrał tę drogę? Dokąd zamierzał jechać?

Cam aż wzdrygnął się na te słowa, będące wyrazem jego własnych myśli.

- Jeśli je porwał - odparł ponuro - to musi być szaleńcem, a tacy nie kierują się logiką.

Bentley taktownie odchrząknął.

- Tutaj mamy nieco odmienne zdanie. Spotkałem w życiu kilku jeszcze większych desperatów niż ty, bez obrazy.

Cam uniósł brwi, spoglądając na brata z lekkim rozbawieniem.

- Nie obraziłem się. Ale co masz na myśli?

Bentley kiwnął głową i zmrużywszy oczy, popatrzył w niebo.

Chłopak wydawał się o wiele bardziej poważny i dojrzały niż kiedykolwiek wcześniej w swoim życiu.

- Dlaczego skierował się na południe? - spytał. - A nie do Londynu, gdzie o wiele łatwiej się ukryć? Albo nawet do Szkocji. Jeśli Lowe chciał zażądać okupu albo, uchowaj Boże, skrzywdzić je... zrobiłby to tu i teraz.

Słowa zawisły w powietrzu na dłuższą chwilę. Cam z trudem opanował drżenie głosu.

- Masz jakąś teorię? - spytał.

- Myślę, że ten drań jedzie do portu.

- Southampton? Chyba nie sądzisz, że mógłby... - Myśl była zbyt straszna, żeby brać ją pod rozwagę.

Bentley poważnie kiwnął głową.

- Codziennie tuzin statków wypływa stamtąd we wszystkich możliwych kierunkach. Ale my dogonimy ich w Salisbury. Tak samo dyszę zemstą jak i ty, Cam. I mam większe doświadczenie w ucieczkach przed komornikami. - Zrobił posępną minę. - Konie proboszcza są już niemal zdechłe. Musi je zmienić lub dać im odpocząć. Na trasie będą tylko cztery zajazdy obsługujące zaprzęgi.

Cam spojrzał prosto w pełne determinacji oczy brata. Nagle uderzyła go myśl, że mają ze sobą wiele wspólnego. Również jeśli chodzi o temperament.

- A jeśli ten drań zdołał dojechać do Salisbury, ile tam jest miejsc, gdzie może zdobyć wypoczęte konie? - spytał.

- Co najmniej trzy, może więcej.

- Dobrze, więc rozdzielimy się i spotkamy na południowych rogatkach miasta. Jeśli on zechce wymienić zaprzęg i ruszyć dalej, my uczynimy to samo. W przeciwnym wypadku staniemy na odpoczynek i wyruszymy przed świtem. Nie ucieknie daleko, jeśli zmierza do portu. Tam prowadzi tylko jedna droga.

- Bardzo możliwe - mruknął Bentley, wypluwając z ust pył. - Lecz nigdy nie wiadomo, którądy wąż zechce pełznąć.

Cam chrząknął, potwierdzając, że myśli podobnie. Zmęczeni *jeźdźcy* zamilkli, pogrążając się we własnych myślach. Jeśli nie liczyć paru psów lub nielicznych dwukołówek, wsie i miasteczka Wiltshire sprawiały przygnębiające wrażenie zupełnie wyludnionych. Bracia pokonywali

kolejne mile, lecz nie było widać ani śladu powozu Thomasa Lowe'a. Cam stopniowo popadał w coraz silniejszą apatię. Pocieszało go tylko jedno. Ariane będzie bezpieczna z Heleną. Tak bezpieczna jak to tylko możliwe. Tego był pewien. Ufał, że dobrze oceni sytuację i będzie czujna, że jeśli tylko potrafi ochronić Ariane, to na pewno tak uczyni. Albo próbując, zginie.

O Boże! To była właśnie rzecz, którą Helena by zrobiła - dałaby się zastrzelić, żeby ochronić jego córkę. Ta bolesna myśl oraz zrozumienie wynikających z niej następstw sprawiły, że nagle pojawiły się w jego oczach łzy.

Czy potrzebny był aż taki kryzys, żeby zrozumiał to, co od dawna było faktem? Owszem, być może Helena jest trochę nierozważna. Ale nie lekkomyślna. Nigdy w naprawdę ważnych sytuacjach. Nie wtedy, gdy na szali leżało czyjeś bezpieczeństwo.

Cam przełknął ślinę przez ściśnięte gardło i przyznał się przed samym sobą do prawdy, która od wielu tygodni nie dawała mu spokoju. W Helenie nie ma niczego złego. Owszem, jest pełną werwy, namiętą kobietą. Lecz ta niegdyś pełna życia, nierozsądna dziewczyna dojrzała, stała się kobietą rozważną, o dobrym sercu i niezłomnym charakterze. To nie Helena była problemem, lecz on sam. Jego własny dwoisty charakter, namiętą naturą, która go przerażała. Czyż nie udowodnił tego, gdy posiadał Helenę w jej własnym łóżu? Boże!

Jego frustracje i lęki nie miały nic wspólnego z Heleną. Ona była tylko kluczem, który otworzył jego bolesne pragnienia, a w zasadzie jego duszę. Zawsze była takim kluczem.

Z Heleną nie było mowy o udawaniu, o ukrywaniu się przed prawdą czy przed samym sobą. Cam musiał się w końcu przyznać, że istnieje część jego osobowości, której po prostu nie umie kontrolować. Dotychczas nie potrafił tego zaakceptować.

Kiedy zabrano mu Helenę, potwierdziły się słowa jego matki. A potem, obawiając się, że będzie takim samym człowiekiem jak ojciec, Cam stłumił wszelkie emocje, przyjemności i niemalże całą swoją miłość. Aż stał się kimś jeszcze gorszym. Być może Bentley miał w dużej mierze rację. W oczach świata Cam wyglądał jak despotyczny, nieczuły drań. Tylko miłość do Ariane stanowiła dowód, że nie wyzbył się jeszcze wszystkich ludzkich uczuć. Niemal zmarnował całe swoje życie! Bał się obdarzyć kogoś pełną miłością, obawiając się, że to przyniesie mu ujmę. Jednak Helena ogarnęła swoje emocje, pragnienie życia i swoją zdolność do odczuwania żądzy i miłości.

A jednak Helena nigdy nie była nierozsądna lub lekkomyślna, które to cechy tak lekko jej przypisywał, nonszalancko rzucając słowa. Mimo wszystkich przeżyć, mimo tego, co osiągnęła, jej duch namiętności pozostał nienaruszony.

Jakież to szczęście, że znał i kochał taką kobietę. Jakie szczęście, że po raz drugi ją odnalazł, tę swoją lepszą połowę. Zanim było za późno.

A teraz musiał ją odnaleźć jeszcze raz.

Rozdział 20

A poprowadzi ich małe dziecko

Ariane obudziła się i stwierdziła, że w pokoju nastąpiła nocna cisza.

Ale była to zupełnie inna cisza od tej, która panowała w Chalcote. Tutaj dało się wyczuć oczekiwanie, słychać było skrzypienie schodów, łoskot powozów jadących po ulicy. Raz jakiś mężczyzna stanął pod ich oknem, śpiewając głośno bardzo brzydką piosenkę. Ariane знаła większość słów, ponieważ często śpiewał ją również Bentley. Zresztą tak samo fałszował.

Bardzo ostrożnie usiadła i spojrzała na łóżko, które zostało przesunięte pod ścianę po tej samej stronie pokoju. Wezgiłowie było bardzo wysokie, więc Ariane musiała ostrożnie przeczołgać się w nogi łóżka i ześliznąć się tam, gdzie było niżej. Zrobiła krok nad wysuniętą częścią, cały czas pilnując, żeby on się nie obudził. Potem zbliżyła się do okna, by wyrzucić na ulicę. Była daleko w dole. W świetle księżyca widziała stojący na środku rynku kamienny krzyż, a także wystające zza niego obute nogi mężczyzny, zapewne tego śpiewaka.

Wcześniej proboszcz powiedział właścicielowi zajazdu, żeby dał im jeden duży pokój na najwyższym piętrze.

-I wysuwane łóżko dla mojej małej - dodał.

Nie jestem żadną twoją małą! - Chciała wykrzyknąć. Nawet otworzyła już usta, ale panna Helena zakryła jej usta rękawiczką, po czym zaniósła Ariane do pokoju. Panna Helena chciała, żeby Ariane się nie odzywała. Więc milczała. A potem on zawołał przed zajazdem tego brudasa, który zabrał ich konie.

Mężczyzna wszedł do zajazdu, a proboszcz wręczył mu złotą monetę.

- Moja mała czasami spaceruje przez sen - powiedział. - A moja kochana żona i ja jesteśmy bardzo zmęczeni. Mam prośbę, niech pan posiedzi w nocy przed naszymi drzwiami. Jeśli cokolwiek pan usłyszy, proszę wołać. Tak dla pewności. Oczywiście drugą taką samą monetę otrzyma pan jutro rano, jeśli moja kochana rodzinka będzie smacznie spała w swoich łóżkach. - Proboszcz mrugnął porozumiewawczo.

Tamten również odpowiedział mrugnięciem, a wtedy proboszcz dodał:

- Ma pan przy sobie nóż, dobry człowieku? Salisbury stało się bardzo niebezpiecznym miastem.

Brudny mężczyzna skinął głową, sprawdził zębami monetę, a następnie poklepał się po kieszeni.

No cóż... ! Czy oni uważali ją za tak głupią, że niczego się nie domyśli? Panna Helena na pewno taka nie była. Ona też to widziała. Rozumiała, dlaczego proboszcz to zrobił. Co miał na myśli. Panna Helena odwróciła się twarzą do ściany, wciąż przytulając mocno Ariane. Drżała, jakby wciąż była rozgniewana.

A teraz gdzieś z oddali dobiegło bicie dzwonu. Jeden, dwa, trzy, cztery razy. Ariane odwróciła się od okna i spojrzała na pannę Helenę. Proboszcz przed snem zostawił zapaloną lampę, która jednak dawała bardzo mało światła. Ariane zobaczyła, jak pierś panny Heleny powoli unosi się i opada. A więc spała. Lecz wcześniej bardzo długo leżała obok Ariane, w milczeniu głaszcząc ją po nodze i wpatrując się w sufit. Marszczyła przy tym czoło, jakby obmyślała jakiś plan.

Tak, właśnie taką rzecz zrobiłaby panna Helena. Obmyśliłaby plan. Tylko jaki? Żeby uciec i ukryć się? Ariane bardzo dobrze potrafiła się

chować. Nikt nie widział, jak to robiła. Lecz panna Helena bałaby się ją zabrać. Nigdy nie zostawiłaby jej samej z proboszczem, który teraz leżał na wysuwanym łóżku i głośno chrapał.

Poza tym panna Helena zapewne nigdy jeszcze nie była w Salisbury. To bardzo daleko od Francji i Bawarii, i Wiednia, i wszystkich innych miejsc, które ona zna. Lecz przecież Ariane to miasto znała, była tu już wcześniej. Wiedziała, gdzie znajduje się katedra, jak odszukać jej strzelistą wieżę. Kiedyś też nocowała w innym zajeździe, o wiele większym i ładniejszym od tego ciasnego miejsca, dokąd on je przywiózł.

Zamknęła oczy i zaczęła intensywnie myśleć o swojej poprzedniej wizycie w Salisbury. Widziała szyld zajazdu kołyszący się na wietrze. Nie umiała przeczytać słów, ale zrobił to dla niej papa, wskazując czerwonego lwa widniejącego nad napisem: „Czerwony Lew przy Milford Street”. Tak powiedział papa.

I wtedy roześmiał się i podrzucił ją wysoko w powietrze.

- Kiedy wrócimy do Chalcote, musimy powiedzieć Milfordowi, że podczas naszej podróży spaliśmy przy jego ulicy. Na pewno będzie mu miło, prawda? - A gdy wrócili do domu, papa rzeczywiście spytał Milforda, czy jest właścicielem Milford Street.

- Ależ oczywiście, milordzie - odpowiedział poważnie kamerdyner. - Każdy koci łeb jest mój! Lecz, niestety, chyba niedługo będę zmuszony ją sprzedać, aby sobie kupić willę w Toskanii i tam spędzić ostatnie lata życia.

Papa śmiał się z tego bardzo długo i podrzucał Ariane na kolanie. Była niemal pewna, że papa i Milford sobie żartują. Wcale nie myślała, że Milford kiedykolwiek ich opuści i przeprowadzi się do jakiejś willi,

cokolwiek to oznacza. Jednak trochę się tym martwiła, dlatego też dobrze wszystko zapamiętała. Nie chciała, aby ktoś jeszcze miał opuścić Chalcote.

Tymczasem proboszcz zacharczał przez sen trochę śmiesznym, świszającym głosem. Ariane pomyślała, że może... może on umiera. Podeszła na palcach do łóżka panny Heleny i spojrzała w dół. Już wcześniej domyśliła się, że specjalnie tak poustawiał łóżka, żeby panna Helena nie mogła w nocy wstać. Lecz teraz leżał zupełnie nieruchomo, oddychając cicho i spokojnie. Ujrzała pistolet sterczący z kabury u jego spodni, tuż poniżej kamizelki.

Znowu nabrał powietrza, tym razem zupełnie bezgłośnie. A więc jednak żyje. To niedobrze! A może powinien nie żyć? Może powinna teraz unieść lampę, rozlać na niego olej i podpalić!

Och... ! A skąd się wziął taki pomysł? Co za okropna, wstrętna myśl!

Ariane zamknęła oczy i zakryła sobie ręką usta, żeby nie wyrwało się jej ani jedno słowo. Całe szczęście, że nic nie powiedziała. A on wciąż spał.

Niemal bezgłośnie. Lecz słysząc było czyjeś chrapanie. I to donośne. Z pewnością to nie panna Helena. A więc wniosek mógł być tylko jeden.

Powoli i bardzo ostrożnie podeszła na czworakach do drzwi, sunąc po wytartym dywanie. Tak! To spał ten brudny człowiek. Słyszała, jak chrapie w korytarzu. Uważnie położyła się na brzuchu i przyłożyła ucho do podłogi. Z uwagą przyjrzała się cienkiej linii światła, szukając stóp, nóg, czegokolwiek... lecz w szparze pod drzwiami widziała tylko słabo oświetloną przez kinkiet przeciwległą ścianę.

A więc... on siedział po lewej lub po prawej stronie, nie zaś naprzeciwko drzwi.

Wtem w powietrzu rozległ się głuchy łoskot, jakby coś uderzyło mocno o podłogę. Natychmiast przez szparę pod drzwiami wdarł się do pokoju przeraźliwy odór.

Fu! Ariane pomyślała, że wszystko jest już jasne. Przycisnęła nos do dywanu, żeby nie wdychać śmierdzącego powietrza. Ten mały, brudny człowiek siedział z lewej strony. Kierunek, z którego dochodziła przykra woń pozostawiał jeszcze cień wątpliwości, natomiast ten ohydny odgłos dobiegł na pewno z lewej strony. Uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

Mężczyzna ciągle chrapał. A proboszcz spokojnie oddychał przez sen.

Znowu powoli, ostrożnie wstała z podłogi, nałożyła pelerynę i kapelusz, po czym trzymając w dłoni trzewiki, wróciła do drzwi. Delikatnie podniosła zaczep. Na korytarzu brudas siedział z lewej strony, miał wyciągnięte w poprzek nogi i opadła na bok głowę. Ostrożnie stąpając na każdą deskę podłogi, Ariane przeszła nad nim i ruszyła dalej korytarzem. To okazało się bardzo łatwe. Często tak było, zwłaszcza z dorosłymi. Nigdy nie zwracali na nią uwagi.

Nie wiedziała, jak daleko zaszła po wyjściu z zajazdu. Z początku przypominało to zabawę w chowanego. Ukradkiem zeszła po wąskich schodach, zatrzymała się w dużej sali pełnej stołów, aby nałożyć trzewiki, po czym przeszła przez kuchnię. Wszędzie panowała cisza, nie zaskrzypiał nawet skobel na tylnych drzwiach, które wychodziły na stęchłą alejkę.

Jednakże po kilku minutach wędrówki, w czasie których skręcała to w prawo, to w lewo, wróciła na rynek, gdzie pod krzyżem spał ów

niedoszły śpiewak. Obawiając się, że proboszcz może wyglądać przez okno, pobiegła szybko w przeciwnym kierunku, przerażona myślą, że może zostać złapana.

Lecz teraz zupełnie straciła orientację. W ciemności domy wydawały się o wiele większe. Żadnego znajomego widoku. Co gorsza, z powodu mroku nigdzie nie widziała iglicy katedry. Szkoda, że o tym nie pomyślała!

Więc to wcale nie była zabawa. Sprawy miały się bardzo źle. Tak, uciekła. Lecz teraz nie miała pojęcia, co ma dalej począć. Oczywiście zrobiła to, na co panna Helena nigdy by się nie odważyła. Uciekła bez żadnego planu! Jakże chciała móc znowu wśliznąć się do łóżka, gdzie spała panna Helena. Lecz teraz już pewnie nie odnalazłaby drogi powrotnej do zajazdu. Ta ucieczka to jednak był głupi pomysł.

Rozplakała się. Patrząc przez łązy, znowu skręciła i poszła wyłożoną kocimi łbami alejką, która po kilku kolejnych zakrętach zaprowadziła ją na ulicę o nazwie zaczynającej się literą Q. Tylko tyle umiała odczytać. Jedynie Q!

To była niedobra sytuacja. Bardzo niedobra. Jaka szkoda, że nie starała się więcej skorzystać podczas lekcji. Czując się mała i głupia, stłumiła łkanie i próbowała pomyśleć. Czy skręcić w ulicę Q w lewo, czy w prawo? Z każdą chwilą budynki były coraz wyższe i coraz ciemniejsze.

Wtem od strony pobliskich sklepów rozległo się głośnie dudnienie. Ariane uniosła głowę i zobaczyła jadący po kocich łbach, wyraźnie mocno obciążony wóz piwowarski. Wpadła w panikę. Instynktownie wiedziała, że nikt nie może jej zobaczyć. Cofnąwszy się o kilka kroków, skryła się w bocznym zaułku, zaś wóz pojechał dalej.

Od razu zrozumiała, że popełniła wielki błąd.

- No, no - odezwał się czyjś głos z głębokiego cienia.

Ariane próbowała uciec, ale silna dłoń chwyciła ją za pelerynę i wciągnęła z powrotem w mrok.

- Chodź tu, moja śliczna. Przypatrzmy się, kogo my tu mamy?

Ariane zapała się obcasami, lecz bezskutecznie. Chciała wrzasnąć, lecz nie była w stanie wydusić z siebie głosu. Czy w ogóle umiała wrzeszczeć? To zdawało się nie mieć znaczenia.

Po kilku chwilach kobieta wyciągnęła ją na ulicę Q, gdzie półksiężyc rzucał nieco światła.

- No, jakaś ty śliczna! - zamruczała kobieta, niczym ciepła kotka. - I jak ładnie ubrana. Jak się nazywasz, kochanie?

Przerażenie ścisnęło Ariane za gardło, grożąc uduszeniem.

Wpatrywała się w twarz tej kobiety, wstrzymując łzy. Ta pani była dość ładna, gdy się uśmiechała, ukazując nieco ciemnowe zęby. Ułożone w misterne loczki włosy opadały jej na ramiona. Nawet w słabym świetle Ariane dostrzegła obfity biust. Niemal wypadł z gorsetu sukni. Na zgiętej ręce trzymała przewieszoną pelerynę. Czyżby kobieta wyszła z wąskich drzwi, których cały rząd widać było wzdłuż alei?

- No, jak ci na imię, ślicznotko? - powtórzyła kobieta, nachylając się do Ariane. Dziewczynka ostatnim wysiłkiem opanowała łkanie. - No, dalej, ptaszyno. Możesz powiedzieć starej Oueenie. - Uniosła cienki palec, wskazując tabliczkę z nazwą ulicy. - Widzisz, to mój rewir. Wszyscy na Queen Street wiedzą, że jestem uczciwą dziewczyną. I znam tu wszystkich. Ale ciebie nie znam, ptaszyno. A taka elegancka dziewczynka nie ma nic do roboty na ulicy przed pierwszym pianem koguta!

Ariane wstrząsnął spazm płaczu. Próbowwała się wyrwać, lecz ta kobieta, Queenie, nadal mocno ją trzymała. Wtem przyklekła na ulicy i spojrzała dziewczynce prosto w oczy.

- Na Boga, nigdy jeszcze nie widziałam takiej jak ty, moja droga. - Jedną ręką odgarnęła Ariane włosy z twarzy i zaśmiała się cicho. - Posłuchaj, dziewczynko, właśnie idę do domu... a mogę się założyć, że ty uciekłaś ze swojego, co? Pewnie dostałaś lanie. Znam się na tym. No, powiedz mi, skąd jesteś, a odprowadzę cię do domu. Lepiej dostać lanie, niż przymierać z głodu.

Ariane zawahała się. Ta pani wydawała się dość miła. Co należało zrobić? Co zrobiłaby panna Helena? Miasto wydawało się o wiele bezpieczniejsze, gdy patrzyło się z okna na piętrze. Lecz teraz Ariane zabłądziła. I nie mogła tam wrócić

Więc dokąd? Uciekając, miała niejasne pojęcie, że powinna udać się na Milford Street i odszukać „Czerwonego Lwa”. Czy to nie był dobry plan? Przecież papa w końcu tu przyjedzie i zatrzyma się w „Czerwonym Lwie”, bowiem zawsze tak robił. Tak kiedyś powiedział.

Tak, papa ją odnajdzie. A wtedy pojedą razem do... do Southampton. I tam odbiorą proboszczowi pannę Helenę. To był jedyny plan, jaki miała w głowie.

Kobieta zwana Queenie westchnęła głęboko.

- Posłuchaj mnie... - Znowu jej głos był poważny i szorstki. - Miałam ciężką noc i wracam do domu. Nie mam czasu dla tych, którzy mnie nie chcą. Potrzebujesz pomocy czy nie?

- M... M... Milford - wyjąkała ledwie dosłyszalnie Ariane.

- Co? - Kobieta nachyliła się w kaskadzie żółtych loków. - Nazywasz się Milford?

- M... Milford Street - odpowiedziała Ariane nieco głośniej.

Kobieta ze zrozumieniem kiwnęła głową.

- To po drodze do mojego domu, ptaszyno.

- Queenie zeskoczyła z kocich łbów i pociągnęła Ariane wzdłuż ulicy Queen Street. - W której części Milford Street mieszkasz, dziecinko?

- W „Czerwonym Lwie” - szepnęła w końcu. - Papa zawsze mieszkał w „Czerwonym Lwie”.

- O rety! - powiedziała Queenie i zatrzymała się zaniepokojona. - „Czerwony Lew”, powiadasz? Hm! Odprowadzę cię do podwórza, ale dalej pójdziesz już sama. Mam pewną niedokończoną sprawę z właścicielem tego zajazdu.

* * *

Helena pokręciła głową, starając się rozwiać mgłę. Jakimś sposobem utknęła w labiryncie z żywopłotu i nie mogła ruszyć się ani do przodu, ani do tyłu. Nie mogła znaleźć Ariane, która zawieruszyła się gdzieś w gęstwinie. W powietrzu rozlegał się krzyk przerażonego dziecka. Lecz każdy kolejny zakręt stawiał przed Heleną kolejne wyzwanie. Jeszcze gęstsza mgła, płonący ogień albo człowiek z pistoletem, czekający w każdym ślepych zaułku.

W końcu doszła do płytkiej kałuży, na tyle wąskiej, że można było przez nią przeskoczyć. Lecz gdy Helena uniosła nieco spódnicę i skoczyła, ujrzała w wodzie całe stado agresywnych bestii z paszczami tak wielkimi, że mogły ją pożreć w jednym kawałku. Lecz było już za późno. Leciała w powietrzu, gdy gorące, głodne szczęki wciągnęły ją za lewą nogę. Stwór

zaczął wciągać ją coraz głębiej i głębiej do tej kałuży pełnej potworów i przerażająco ciemnej.

Helena obudziła się przestraszona i usiadła na łóżku, mrugając niepewnie. W pokoju panował mrok i cisza, przerywana jedynie odgłosem czyjegoś oddechu. Próbowwała unieść się nieco wyżej i spostrzegła, że jej lewa noga zaplątała się w pościel. Przeczesła dłonią włosy, dotykając czoła. Było mokre od potu.

Gdzie ja jestem? Gdzie byłam przedtem?

Więc to sen. Tylko sen. A ona szukała... Ariane. Rozejrzała się po pokoju, szybko przypominając sobie wydarzenia poprzedniego dnia. Wyplątała nogę, starając się otrząsnąć z resztek koszmarne snu.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jawa przygotowała jej jeszcze większy horror. Coś było nie tak. Ale co? Położyła się i zaczęła szukać ręką po materacu. Po swojej prawej stronie miała tylko ścianę. Była sama. Ariane znikła.

W bladym świetle księżyca, które sączyło się do pokoju, Helena zobaczyła, że drzwi są szeroko otwarte. Beznadziejny strażnik, najęty przez Lo-we'a, leżał rozwalony na podłodze w korytarzu i spał. Jęknęła.

Ten odgłos obudził Thomasa Lowe'a, który usiadł na łóżku, z przekleństwem w ustach.

* * *

Cam wgramolił się do łóżka długo po północy i niemal natychmiast został obudzony przez energiczną młodą pokojówkę, która stuknęła w drzwi jego pokoju.

Kiedy wystękał coś w proteście, uznała to za zaproszenie i wtargnęła do pokoju z jasno płonąca lampą i wiadrem, które z głośnym brzękiem

postawiła na podłodze. Potem przywitała go wesoło i zaczęła krzątać się przy kominku.

Cam odchrząknął donośnie i usiadł na łóżku, patrząc, jak dziewczyna wlewa do porcelanowej miski parującą wodę.

- Która godzina? - zachrypiał, pocierając dłonią dwudniowy zarost.

- Pół do szóstej, milordzie, tak jak pan wczoraj prosił. - Piersiasta pokojówka odwróciła się do niego, widocznie zmieszana. - Nasz chłopak obudził już starego Stokesa, żeby wcześniej otworzył kuchnię. Nadal życzy pan sobie śniadanie?

Przetarł oczy piekące od pyłu, który cały dzień wzbijał się na drodze. Powoli zaczął przypominać sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru.

- Tak, dziękuję - wymamrotał w końcu i nawet się uśmiechnął. - A teraz idź i obudź mojego brata. Aha, panienko, uważaj na jego ręce! Jeśli za dużo sobie pozwoli, wal go wiadrem między nogi.

Z kolejnym szerokim uśmiechem dziewczyna szybko wyszła. Cam pośpiesznie rozebrał się do pasa i umył się, po czym nałożył ubranie i otworzył drzwi. W tym samym momencie na korytarz wyszedł również Bentley. Przywitali się krótko, uzgodnili strategię na dzisiejszy ranek, po czym zbiegli po krętych schodkach, minęli hol i weszli do pogrążonej w półmroku jadalni.

Za szerokim, dębowym, wypolerowanym na błysk barem stał przysadzisty mężczyzna, który położył na blacie stertę grubych talerzy. Z kuchni dobiegał silny aromat kawy. W kominku płonął mocny ogień, zaś na ławie obok paleniska leżał stos szmat.

Cam wyszukał wzrokiem znajdujący się w tamtej części sali wąski stolik na kozłach i poszedł w tamtą stronę. Bentley ruszył za nim.

W tym momencie stos szmat usiadł. Zniszczone okrycie opadło na podłogę i oczom obecnych ukazało się małe, przestraszone dziecko. Cam zatrzymał się tak gwałtownie, że Bentley wpadł na jego plecy.

- Co, do diabła... - zaczął Bentley, pocierając sobie nos.

Lecz Cam już upadł na kolana, biorąc w objęcia Ariane, odwracając ją w kierunku paleniska.

- Mój Boże, mój Boże - powtarzał bez końca.

Zaniepokojony omiatał wzrokiem jej postać, dotykał palcami małą twarzyczkę, ramionka, małe stópki, aby się upewnić, że nic jej nie jest.

- Ariane! Ariane, mój skarbie najdroższy! Co się stało? Gdzie jest Helena? - Niepewnie spoglądał na bladą twarz dziewczynki, na jej oczy. To był prawdziwy cud, że się tu znalazła. Lecz Cam zaczął się rozglądać w poszukiwaniu Heleny.

Bentley cofnął się o krok, tymczasem zbliżył się do nich właściciel zajazdu, który spostrzegł, że coś się wydarzyło.

- Dziewczynce nic nie jest - powiedział, biorąc się pod boki. - I będę wdzięczny, jeśli pan będzie trzymał ręce przy sobie, jeśli łaska.

- Na Boga! - ryknął Cam, skacząc na nogi, jakby chciał go udusić. - Mam trzymać ręce przy sobie? Coś ci powiem, dobry człowieku. Będziesz mi musiał dokładnie wyjaśnić, co tu się stało! Dlaczego moja córka, jeszcze małe dziecko, znajduje się tu bez żadnej opieki? I okryta czymś takim!

- Gniewnie wskazał palcem sfatygowaną kołdrę.

- Wygląda na przerażoną!

Cam rzucił się w kierunku gospodarza, dużego, muskularnego mężczyzny, lecz stojący z tyłu Bentley złapał brata za ramię i pociągnął go

mocno do tyłu. Właściciel zajazdu znowu ujął się pod boki i spoglądał spode łba na hrabiego.

- Niech pan mnie posłucha, miły panie! Jeśli to pańska córka, to gdzie się pan podziewał? Bardzo chciałbym to wiedzieć! Jestem Stokes, właściciel tego zajazdu i uczciwy człowiek! Dziś rano otworzyłem drzwi na tyłach domu i patrzę, a ona tam leży! Spała tuż pod drzwiami, ta śliczna dziewczynka.

- Spała pod drzwiami? - powtórzył z niedowierzaniem Bentley.

- Właśnie - mruknął gospodarz, obrzucając braci mrocznym spojrzeniem. - Nie urodziłem się wczoraj, proszę pana! - Wbił w Cama ciężki wzrok. - Od razu widać, że to dobre dziecko. Stało się dla mnie jasne, że musiała uciec. Pewnie od zbyt wymagających rodziców.

Cam znowu warknął, lecz Bentley szarpnął go za ramię.

- Dziękujemy panu! - powiedział. - Szukaliśmy jej wszędzie. A czy może pan nam powiedzieć coś więcej? Czy wie pan, skąd ona się tu wzięła?

- Urwał na moment. - No, ale wzięwszy pod uwagę, że ona nie mówi...

- Co? Co takiego? - przerwał mu głośno gospodarz, podejrzliwie cofając się o krok. - Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle znacie to dziecko, moi panowie. Fakt, ona nie mówi dużo, ale powiedziała mi jasno, czego chce.

- Co powiedziała? - spytali jednocześnie bracia.

- Powiedziała, że przyszła zaczekać na tatusia - wyjaśnił powoli, jakby mówił do idiotów. - Powiedziała, że przyjechała z jakiegoś

miejsca... jak ono się nazywa? Coś jak Cowcot. - Na chwilę zmarszczył swe gęste brwi i zaraz skinął głową.

- Tak! A potem usiadła sobie i powiedziała, że zaczeka, aż przyjedzie po nią tatuś. Od tamtej chwili nie powiedziała już ani słowa. Nie podała swojego imienia, w ogóle nic. No więc co miałem zrobić? Odesłać ją do magistratu?

Bentley wciąż patrzył na gospodarza z szeroko otwartymi ustami, podczas gdy Cam pochylił się, żeby znowu przytulić Ariane, czując zarazem ogromną ulgę, ale i obawę. Za jego plecami właściciel zajazdu wciąż narzekał:

- Tak, musiałem też nakarmić to małe biedactwo! Jadła, aż jej się uszy trzęsły. Dostała duszoną wołowinę, chleb i ciepłe mleko, czyli wyniesie to dwa szylingi i dwa pensy, jeśli łaska.

Cam usłyszał, jak za jego plecami Bentley płaci gospodarzowi, sądząc po brzęku monet, znacznie więcej niż wymienioną kwotę. Zresztą to było teraz najmniej ważne.

- Ariane, kochanie - powiedział delikatnie, tuląc jej rączkę. - Musisz powiedzieć tatusiowi, co się stało! Musisz! Zaczynij od tego, jak się tu dostałaś. Na pewno to pamiętasz, prawda? Na pewno możesz powiedzieć parę słów tatusiowi, skoro mogłaś rozmawiać z tym dużym panem, tak?

Ariane wyglądała tak, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Q... Queenie - wyszeptała w końcu.

To jedno ciche słowo podziałało na duszę Cama niczym balsam.

- Co to znaczy? - spytał gospodarz, nachylając się bliżej. W garści trzymał otrzymane od Bentleya monety. - Co ona powiedziała?

Cam przeniósł na niego wzrok.

- Coś jak Queenie? Czy to panu coś mówi?

- A i owszem! Jest tu pewna ulicznica zwana Queenie, pracuje w okolicy „Koguta w Koronie” przy Queen Street. Raz czy dwa przegnałem ją stąd. Nasz zajazd ma dobrą reputację. - Przykucnął obok Cama i spojrział w oczy Ariane. - Czy to Queenie cię tu zostawiła, panienko? Jeśli tak, powiedz tylko słowo, a zaraz wyślę po nią stajennego!

Dziewczynka patrzyła na niego wystraszona.

- Tak - powiedział zimno Cam. - Proszę to zrobić. Zobaczę się z nią w Newgate.

- Dobrze - odparł wesoło gospodarz, stękając, jakby zamierzał wstać.

- Zaraz naślę na nią konstabla.

- Nie! - jęknęła Ariane, zanosząc się płaczem. - Lubię ją! - załkała, kopiąc gospodarza w nogę tuż pod kolanem. - Ona mnie znalazła! I ja ją lubię!

Gospodarz w końcu wstał, rozcierając sobie kolano. Miał ochotę siarczyście zakląć. Cam również wstał.

- Niech pan ją tu sprowadzi - powiedział ostro.

- Natychmiast.

* * *

Już po kwadransie służby pracujący w „Czerwonym Lwie” odszukali kobietę zwaną Queenie i zaciągnęli ją - pośród szamotaniny i wrzasków - do mrocznego wnętrza zajazdu. Niestety, dwa razy dłużej zajęło przekonanie jej, że lord Treyhern pragnie jedynie uzyskać informacje. Ona zaś usiadła na wskazanej ławie, słusznie oburzona - kipiąca masa jasnych włosów i spłowiałej różowej satyny.

Czekając na jej przybycie, Cam próbował delikatnie wypytać Ariane, lecz dziewczynka była zbyt zmęczona albo zbyt wylękniona, żeby udzielać jasnych odpowiedzi. Wyszepiała tylko kilka słów o tym, jak przyjechali powozem do Salisbury, a poza tym nic więcej, co mogło by się okazać pomocne.

Teraz Queenie zrobiła się jeszcze mniej rozmowna. Po dziesięciu minutach daremnych pytań Cam oderwał wzrok od upartej kobiety i ze złością rzucił zegarek. Było już prawie wpół do ósmej. Do diabła! Jakże miał przekonać tę kobietę, że nie mają czasu do stracenia? Gdzie podziewa się Lowe? A co ważniejsze, gdzie jest Helena? Cam wiedział, że nigdy z własnej woli nie opuściłaby Ariane. Czując przyływ paniki, spojrzał twardo na prostytutkę. W jej oczach wyraźnie było widać obawę i cynizm.

- Nie wiem nic więcej ponad to, co już powiedziałam, milordzie! - zaprotestowała wyraźnie już zmęczona kobieta, uderzając dłonią w blat stołu.

- Znalazłam ją w alejce tuż przy „Kogucie”. Pracowałam do późna, jeśli pan wie, co mam na myśli, a gdy wyszłam na ulicę, zobaczyłam ją na Queen Street. Wyglądała, jakby goniło ją stado wilków. Nic więcej nie wiem.

Cam patrzył na nią ponad stołem. Kiedyś na pewno była piękną kobietą, ale to musiało być dawno temu. Cam z niechęcią pomyślał o strachu, jaki wywoływał u osób, których los nie potraktował tak przychylnie jak jego. Nie dawało mu to żadnej przyjemności.

Szybko zmienił ton.

- Dziękuję pani, *madame* - powiedział łagodnie - za to, że zaopiekowała się pani moją córką. Proszę mi jednak wybaczyć, lecz nie

pojmuję, jak to możliwe, że sześćoletnie dziecko wędruje samo w nocy po ulicach dużego miasta. I nie rozumiem, dlaczego przyprowadziła ją pani właśnie tutaj?

Queenie patrzyła na niego tak, jakby miała do czynienia z szaleńcem.

- Przecież sama mi powiedziała, że jej tatuś będzie w „Czerwonym Lwie”. Jak inaczej miałabym to wiedzieć? - Z bezczelnym spojrzeniem potrząsnęła głową, przerzucając brudne blond loki na jedno ramię.

Bentley odsunął się od stołu i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Więc ona z panią rozmawiała? Podejrzewam, że niewiele.

Queenie chyba nie zauważyła obelgi ukrytej w jego słowach. Uniosła swój wąski podbródek i z namysłem wpatrywała się w sufit.

- Mówiąc prawdę, była bardzo słodka. Z początku nic nie mówiła, a potem nagle wyskoczyła ze słowem Milford! Najpierw myślałam, że to jej nazwisko, rozumie pan? Ale ona powiedziała, że nie, że chodzi o Milford Street. I że jej papa mieszka, nie, mieszkał w „Czerwonym Lwie”.

Powoli pojawiły się nowe szczegóły. Cam uważnie przyglądał się kobiecie i był coraz bardziej przekonany, że mówi prawdę. Rzeczywiście, została znaleziona w pewnym pensjonacie, gdzie spała w swoim łóżku. Przyznała się, kim jest i czym się zajmuje. Ani przez chwilę nie zaprzeczała, że znalazła Ariane. Dwa razy w ciągu ostatnich pięciu minut Cam spostrzegł, jak kobieta rzuca pełne niepokoju spojrzenie w kierunku Ariane, która leżała na kanapie przy kominku otulona peleryną Cama.

On sam też popatrzył w tamtą stronę i znowu doznał uczucia ogromnej ulgi, mimo że wciąż martwił się o Helenę, która od początku miała rację. Ariane rzeczywiście umiała mówić, przynajmniej w pewnym zakresie, o ile udało się ją do tego nakłonić. Helena nie myliła się również,

przypuszczając, że Ariane miała blokadę przed mówieniem, wywołaną strachem. Cam zaczął podejrzewać, że miało to związek z byłym już proboszczem Chalcote.

- Niech pan mnie posłucha, milordzie - odezwała się ostrożnie Queenie. - Może pan przyprowadzi tu swoje dziecko? Może kobieta... - Gwałtownie cofnęła się, jakby oczekiwała uderzenia w twarz, lecz gdy nic takiego nie nastąpiło, nieco się uspokoiła. - Nie mam nic złego na myśli, milordzie, ale chcę powiedzieć, że może ona porozmawia ze mną? Chyba mnie trochę polubiła, choć sama nie wiem dlaczego.

Cam musiał przyznać, że podziwiał jej odwagę. Wiele osób z jej środowiska nie zgodziłoby się na współpracę, bez względu na wywierane naciski. Kiwnął głową, podszedł do Ariane i wziął ją na ręce. Dziewczynka ziewnęła i potarła piąstką oko.

Kiedy usiadł z córką na kolanach, Queenie popatrzyła na nią łagodnie.

- Posłuchaj, kochanie, powiedz papie, gdzie byłaś wcześniej, gdy Queenie znalazła cię nocą na ulicy. Pamiętasz?

Ariane pokręciła głową.

- Za... zabłądziłam - powiedziała ledwie dosłyszalnie.

Queenie westchnęła.

- Wiem, że jesteś wystraszona, biedactwo, ale spróbuj nam powiedzieć, co się stało, a twój papa wszystko naprawi, dobrze? - Kobieta najwyraźniej nie była taka głupia. Już wcześniej wywnioskowała, że Ariane została porwana.

Cam z aprobatą skinął głową.

- Kto cię przywiózł do Salisbury? - spytała. - Pamiętasz?

Ariane przytaknęła.

- Pro... proboszcz.

Oburzona Queenie gwałtownie nabrała powietrza.

- No nie! I on zwie się proboszczem? Za to, co robił, powinien się smażyć w piekle.

- To prawda - stwierdził cicho Cam. Postanowił, że zaufa tej kobiecie. - Chociaż nie jest jasne, dlaczego proboszcz to uczynił. Sądzymy, że porwał Ariane i moją... jej guwernantkę. Od wczoraj jechaliśmy ich śladem.

- A niech mnie! - Kobieta była wyraźnie wzburzona. Skupiła całą uwagę na dziewczynce. - Porwał was proboszcz? A potem uciekł dalej sam?

Ariane w milczeniu kiwnęła głową. Wydawała się coraz bardziej niespokojna, więc Queenie mrugnęła do niej szelmowsko.

- Ha, wymknęłaś mu się, co? Ciekawe, jak to zrobiłaś? Bardzo chciałabym wiedzieć! A może odgadnę? Chyba wyskoczyłaś z pędzącego powozu, co? Nie, nie! Pewnie wyrosły ci skrzydełka i wyfrunęłaś przez okno... ? - Spojrzała wyczekująco na Ariane, a wtedy dziewczynka zachichotała.

Queenie odchyliła się do tyłu i z niezadowoloną miną skrzyżowała ręce na piersi.

- Skoro nie wyskoczyłaś i nie wyfrunęłaś, więc jak uciekłaś?

- Przez drzwi - wyznała konspiracyjnym szeptem Ariane.

- Przez drzwi? - powtórzyli jak echo Cam i Bentley.

Queenie zgromiła ich wzrokiem.

- A więc po prostu sobie wyszłaś? No tak, małe dzieci nie zwracają na siebie uwagi, prawda? Ale co to były za drzwi? Czy w zajeździe? - Zmrużyła jedno oko. - Chyba odgadłam, co? - Powiedziała z dumą. - Może odgadnę, który to zajazd? Hm... to nie był „Kogut”, to pewne. A ty szłaś na południe, więc... to musiał być „Udziec”, prawda?

Ariane zrobiła wielkie oczy i zaczęła szybko kiwać potakująco głową, jakby wróciła jej pamięć.

- „Sarni Udziec” - szepnęła z lękiem. - On... on nas tam zabrał. A jeden pan nas pilnował... - Urwała, przenosząc wzrok na tatę.

- Mów dalej, Ariane - powiedział łagodnie, przytulając ją do piersi. - Bardzo ładnie opowiadasz, kochanie. I musisz to teraz zrobić, jeśli chcesz, żebyśmy razem ze stryjem Bentleyem odnaleźli pannę Helenę i zabrali ją od pana Lowe.

Dziewczynka przełknęła ślinę. Powoli, dość niepewnie zaczęła opowiadać, co widziała. Była to dość prosta historia, zawierająca kilka faktów, które bracia już wcześniej znali. Ariane zakończyła swoją opowieść wyjaśnieniem, że wierzyła, iż papa po nią przyjedzie i znajdzie ją na Milford Street.

- Jaka z ciebie mądra i odważna dziewczynka - powiedział Cam, całując ją w czubek głowy.

Po chwili zamknął oczy i zadał jeszcze jedno bolesne pytanie, na które, jak sądził, już znał odpowiedź.

- Ariane, czy panna Helena bała się proboszcza? Czy on nie... ona nie chciała z nim jechać, prawda?

Zdecydowanie pokręciła głową.

- Ona go uderzyła - powiedziała mrocznym głosem.

Cam wstał, cały czas tuląc do siebie Ariane. Z przerażeniem pomyślał o traumatycznych przeżyciach, jakich doświadczyła jego córka. Lecz wciąż bał się o Helenę. W myślach odmówił krótką modlitwę, po czym spojrzał zdecydowanie na brata.

- Czy nasze konie są gotowe?

Bentley odwrócił głowę w kierunku drzwi.

- Są już na podwórzu. - Wstał z ponurą miną, podnosząc ciężkie sakwy, i jednym ruchem zarzucił sobie na ramię myśliwską strzelbę.

* * *

Wystraszona Helena chodziła wąskimi uliczkami Salisbury, od czasu do czasu spoglądając na wschód, gdzie niebo zaczynało powoli jaśnieć. Przed siódmą nawet Lowe musiał zrozumieć, że nie mieli już szans na szybkie odnalezienie Ariane. Helenę przeszła kolejna fala strachu. Z trudem powstrzymała cisnące się do jej oczu łzy.

Dzień, który rozpoczął się od koszmaru, mógł się zakończyć jeszcze gorzej. Usłyszawszy cichy okrzyk przestrawienia Heleny, Lowe obudził się i szybko wpadł we wściekłość. Wygramolił się z łóżka i z niedowierzaniem zaczął rozglądać się po wąskim pokoju. Lecz Ariane nie było. Ktoś musiał za to zapłacić. Helena popatrzyła na niego i pomyślała: jak to możliwe, że kiedyś dostrzegła w nim nie tylko zdrowego na umyśle, ale i uprzejmego, miłego człowieka.

Naciągnął buty i wyszedł na korytarz, żeby skopać żebra śpiącego przy drzwiach mężczyzny. Wynikły tumult natychmiast przyciągnął na górę właściciela zajazdu, lecz złoty suweren sprawił, że mężczyzna szybko zbiegł na dół i zarządził dokładne przeszukanie całego domu. Pół godziny

później wyszli na ulice, gdzie Helena rozglądała się tak samo intensywnie jak pozostali. Wszystko na nic. Ariane znikła.

Teraz Lowe trzymał ją mocno za rękę, gdy przygnębieni wracali ulicą Fish Lane i zobaczyli, że ich powóz został już wyprowadzony na Minster Street. W zaprzęgu stały cztery świeże konie, zaś dookoła panował coraz większy ruch, zapewne z powodu targu na rynku.

Brutalnie przeprowadził ją przez plac, wskazując powóz ruchem głowy.

- To jest beznadziejne - rzucił szorstko. - Wsiadaj!

- Mam wsiadać? - zawołała. - *Mon Dieu!* Czyś ty oszalał? Chcesz tu zostawić swoje dziecko na pastwę losu? A jeśli wpadnie w łapy jakiegoś drania?

- Drania? - prychnął Thomas, ciągnąc ją bezceremonialnie w kierunku pojazdu. - Zdaje się, że wczoraj użyłaś tego samego słowa w stosunku do mnie, więc czym się różni jeden drań od drugiego? To dziecko jest uparte i nieposłuszne. Nie będę dłużej czekał.

Helenę ogarnęło przerażenie. Lowe był wściekły, bardziej zdesperowany niż kiedykolwiek wcześniej. Naprawdę miał zamiar porzucić Ariane! Zapewne bardzo się obawiał Cama. Popchnął Helenę do powozu, lecz ona stawiała opór. Nie mogła przecież zostawić sześciolatniej dziewczynki samej w takim miejscu! Jeszcze nie wsiadła do środka, więc odwróciła się do Thomasa z zaciśniętą pięścią, ostatkiem woli powstrzymując się przed uderzeniem.

Pociemniało mu w oczach. Jego usta, które kiedyś wydawały się Helenie bardzo ładne, teraz zwężyły się do cienkiej, zaciśniętej linii.

Syknął ostro i poruszył się tak, jakby chciał wepchnąć ją nogą do powozu. Była wystraszona o Ariane, wzburzona jego bezduszością.

-*Non!* - zawołała.

Uderzyła go obcasem w pierś.

Puścił poręcz i z głośnym stęknieniem przewrócił się plecami na bruk. Wszystko, co nastąpiło potem, widziała jak przez mgłę.

Kiedy Lowe uniósł się na łokciu, zza rogu wyszedł jakiś mężczyzna w długiej burej pelerynie i stanął za nim. Zobaczyła, jak słońce błyszczy na wypolerowanym drewnie. To był Bentley ze strzelbą w ręku. Obszedł powóz dookoła.

Natychmiast też ujrzała Cama. Nadszedł szybko ulicą i nachylił się, żeby złapać Thomasa za kołnierz. Płynnym ruchem postawił go na nogi, przyciągnął do swojej twardej jak kamień piersi i przyłożył mu nóż do gardła.

Jednym szybkim spojrzeniem dojrzał stojącą w powozie Helenę.

- Wsiądź z drugiej strony - polecił jej twardym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Zaczęła się wycofywać, żeby spełnić jego wolę. Wtedy dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Nie zauważyła, kiedy Lowe wyszarpnął z surduta pistolet. Wiedziała tylko, że jest wycelowany w jej serce. Potem wszystko odbyło się w zwolnionym tempie.

- Zabiję ją, Treyhern - zacharczał Lowe, celując niepewnie w Helenę.

- Przysięgam, że to zrobię.

Na twarzy Cama odmalowała się chwilowa panika, lecz zaraz jej miejsce zajęła determinacja. Jednym ruchem nadgarstka nieznacznie przeciągnął ostrze po szyi proboszcza.

Ten szarpnął się, otwierając szeroko oczy. Z rany popłynęła strużka krwi prosto na jego kołnierz.

Głuchy odgłos strzału niemalże powalił Helenę na ziemię. Patrzyła w osłupieniu, jak Lowe wysuwa się z chwytu Cama. Upadł na ulicę i po chwili z nowej rany na jego piersi buchnęła krew. Pojawiła się również w jego ustach.

Tłum ludzi na placu, którzy jeszcze przed chwilą szykowali się na targowisko, zamarł w bezruchu i ciszy. Jedynie jakiś wóz oddalał się po kocich łbach w głąb ulicy. I wtedy z okna na piętrze rozległ się rozdzierający powietrze wrzask kobiety.

Cam opuścił ręce i patrzył, jak z Lowe'a wypływa życie w postaci czerwonej strugi barwiącej kamienną drogę. Powoli dookoła zaczęli gromadzić się ludzie. Dopiero wtedy Helena zobaczyła Bentleya, który wyszedł zza powozu. W prawej ręce trzymał niedbale pistolet, w lewej myśliwską strzelbę. Stanął nad ciałem na rozstawionych szeroko nogach. Brzeg jego peleryny poplamił się jasno-czerwoną krwią. Powoli uniósł wzrok znad leżącego ciała i spojrzał prosto w pytające oczy starszego brata.

- Lepiej, że ja to zrobiłem - powiedział cicho, po czym zarzucił sobie strzelbę na ramię i spokojnie odszedł.

Rozdział 21

Mój pierścień obejmuje twój palec

W prywatnym salonie zajazdu „Czerwony Lew” ogień w palenisku już dawno przygasł, czego nie zauważył nikt z obecnych. Teraz było tam słychać tykanie stojącego na kominku zegara, odmierzającego kolejne, wlokące się minuty.

Randolph Bentham Rutledge siedział samotnie koło okna na obitym skórą, odsuniętym od stołu krześle, pociągając powoli najlepsze brandy z zapasów pana Stokesa. Wyglądał na wyczerpanego, zaniedbanego i starszego niż był w istocie.

Helena niepewnie wstała z fotela stojącego przy kominku, podeszła do stołu i wzięła pustą szklanekę z cynowej tacy. Bentley zerknął na to z niejakim zdziwieniem, po czym przysunął jej butelkę brandy. Napełniła szklanekę do połowy, popatrzyła na nią z niechęcią i wychyliła całą zawartość jednym haustem, odchylając do tyłu głowę. Przysiadła na krześle obok brata Cama.

- Dlaczego, Bentley? - spytała cicho, przerywając niezręczną ciszę. Nie spojrzał na nią.

- Co dlaczego? - spytał głucho.

- Dziś rano, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zastrześliś Lowe'a?

Miałeś wątpliwości, że twój brat... - nie dokończyła zdania.

Energicznym ruchem odstawił szklanekę i zaśmiał się głucho.

- Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości.

- Popatrzył na Helenę. Przechylił krzesło do przodu, aż oparło się na wszystkich czterech nogach.

- Przyglądałem się, jak on pieścił ten swój scyzoryk przez całą drogę od Marlboro!

Helena aż jęknęła, a Bentley zaśmiał się kpiąco.

- Przyznaj to, Heleno. Między nami mówiąc, mój brat jest o wiele bardziej bezwzględny ode mnie. I niewiele brakowało, aby to udowodnił. On naprawdę chciał poderżnąć gardło temu draniowi.

- Bentley mówił głuchym, nawet nieco udreńczonym głosem, jednak bez nuty oskarżenia.

Na chwilę jego drżąca dłoń zawisała nad szklanką. Pomimo całej jego młodzieńczej brawury, był wstrząśnięty, co Helena wyraźnie widziała.

- Więc dlaczego, Bentley? Dlaczego chciałeś mieć na rękach krew zabitego człowieka?

- Z kilku powodów - odparł. Znowu pociągnął duży łyk brandy.

- Jakich? - Nachyliła się ku niemu, skupiając uwagę.

Wzruszył ramionami.

- Może zauważyłem, jak zaczynał pociągać za cyngiel? Może poczułem, że jestem bratu winien jakieś zadośćuczynienie? A może nie mogłem dłużej znieść tego Lowe'a? Sama sobie wybierz, Heleno! Każdy z tych powodów niesie w sobie część prawdy.

Położyła rękę na jego drżącej dłoni.

- Myślę, że chciałeś zdjąć z brata to ciężkie brzemie, jakim jest zabicie człowieka - spróbowała odgadnąć. - Tak było, prawda? Wiesz tak samo jak ja, że Cam z własnego wyboru nie skrzywdziłby nikogo. Lecz proboszcza zamierzał zabić, gdyż nie miał wyboru. Przeze mnie.

Wyrwał palce z jej uścisku i oparł dłoń na czole, jakby nagle rozboleła go głowa.

- Myślę, że Lowe mógł wystrzelić pierwszy - odpowiedział w końcu, wyglądając przez okno.

- Naprawdę w to wierzysz?

Odwrócił się gwałtownie i wbił w nią ciężki wzrok.

- Do diabła, skąd niby mam to wiedzieć? Ale wiem jedno: że poczucie winy zjadłoby mojego brata. Święty Camden, nasz brat nieustającej odpowiedzialności! - Zaśmiał się gardłowo. - Tak, on naprawdę jest nieustająco odpowiedzialny. A ja jestem nieskończenie nieodpowiedzialny. Cóż więc oznacza jeszcze jeden grzech na długiej liście moich wykroczeń? Raczej niewiele.

Przesunął dłonią przez swoje ciemne, zmierzwione włosy i nachylił się, by ponownie napęlić trunkiem swoją szklanę.

Uśmiechnęła się z lekką goryczą.

- Chyba jesteś dla siebie niesprawiedliwy. Jednak tę kwestię zostawimy sobie na inną okazję. - Wstała z krzesła i obeszła stół, by stanąć za Bentleyem.

Współczuła chłopakowi, który tak bardzo chciałby być inny i który nigdy nie zaznał matczynej miłości. Tak samo współczuła mężczyźnie, który bardzo się starał być dla młodszego brata i matką, i ojcem.

Delikatnie położyła dłonie na jego ramionach. Nachyliwszy się, pocałowała go lekko w czubek głowy.

- Bentley... dziękuję ci, że uratowałeś mi życie. Bo właśnie to zrobiłeś.

Zadarł do góry głowę i popatrzył na nią niepewnie. Wahał się długo, zaciskając zęby.

- Heleno, posłuchaj mnie. Jest coś jeszcze. Coś, o czym Cam nie wie. - Przełknął przez ściśnięte gardło. W jego pociemniałych oczach pojawiła się rezygnacja. - To ma związek z tym, dlaczego Lowe porwał Ariane. Chyba się domyślasz, o co mi chodzi?

W milczeniu kiwnęła głową.

- Kiedy Ariane dorośnie - mówił dalej - może nie mieć łatwego życia. Może słyszeć... różne plotki, na pewno okrutne. Ale jednej okrutnej prawdy nie musi się nigdy dowiedzieć. - Pokręcił głową, jakby nie mógł lub nie chciał powiedzieć nic więcej.

- Że człowiek, który ją kochał i wychował jako swoje własne dziecko, zamordował jej ojca? To miałeś na myśli? - Helena poczuła, jak nogi uginają się pod nią. Usiadła. - Boże, nigdy mi to nie przyszło do głowy. Jesteś bardzo przewidującym i mądrym człowiekiem, Bentley. Nigdy nie nazwałabym cię nieskończenie nieodpowiedzialnym.

Zanim zdołał wypowiedzieć kolejne deprecjonujące samego siebie zdanie, drzwi salonu otworzyły się szeroko. Cam wszedł do środka, stukając ciężkimi butami o drewnianą podłogę. Zmęczonym wzrokiem spojrzał na Helenę. W prawej ręce trzymał podróżną sakwę, którą rzucił na stół. Bentley poruszył się tak, jakby chciał wstać. Nie spuszczając oczu z Heleny, Cam położył dłoń na ramieniu brata i osadził go na miejscu.

- Sędzia pokoju już pojechał - powiedział cicho. - Będzie śledztwo, ale zapewniono mnie, że to już zwykła formalność. Jeszcze dzisiaj trzeba będzie podpisać kilka dokumentów, a jutro możemy wracać do domu. Razem. Do Chalcote.

Helena westchnęła głęboko i uspokajająco dotknęła Bentleya. Młodzieniec wciąż patrzył na blat stołu.

- Idź na górę, Bentley - powiedział łagodnie Cam. - Do pokoju obok pokoju Ariane. Musisz się przespać. Już niedługo to wszystko się skończy.

Helena spojrzała z niepokojem na Cama.

- Panna... Queenie cały czas pilnuje Ariane? Cam pokiwał głową z krzywym uśmiechem na ustach.

Bentley z głośnym szurnięciem odsunął swoje krzesło.

- Rzeczywiście, chyba was opuszczę - powiedział z udawaną nonszalancją. - Przyda mi się kąpiel i trochę snu.

Poszedł przez salon, przyjmując swoją starą, arogancką pozę.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Helena wstała, a Cam od razu wziął ją w ramiona. Poczuła, jak drżał, gdy nagle spłynęły z niego wszystkie emocje.

- O, Boże - wyszeptał chropowatym głosem, chowając twarz w jej włosach. - Heleno, tak się bałem, że cię straciłem.

Odsunęła się trochę i spojrzała mu w oczy. Wyzbył się wszystkich pozorów, opadły zeń wszystkie warstwy żelaznego opanowania, pozostawiając bezbronny, zdesperowanego człowieka. Był to obraz czystego bólu, jakiego nie widziała od tamtej nocy, gdy zostali rozdzieleni przez swoich rodziców.

Tamtej okropnej nocy patrzyli na siebie wzrokiem pełnym pożądania i przerażenia, obietnicy wiecznej miłości. I ta miłość przecież nie umarła.

Gdyby nawet miała jakiegokolwiek wątpliwości co do uczuć, jakimi darzył ją Cam, to zostały one rozwiane pocałunkiem. Wpił się ustami w jej usta, odważnie, nieustępliwie. Wsunęła dłonie pod jego surdut, czując napięte mięśnie.

Całował ją długą chwilę, głęboko i namiętnie, jakby potwierdzał swe prawo do tej kobiety, nie tolerując żadnego oporu. Kiedy skończył, delikatnie odsunął się, odwrócił do stołu i zaczął odpinać jedną z wypchanych sakw. Niedbałym ruchem wyjął małą paczkę owiniętą brązowym papierem, który szybko zerwał. Po chwili na stole rozwinął się kupon szmaragdowego jedwabiu, opadając na opuszczone przez Bentleya krzesło.

Helena spojrzała pytająco.

- A cóż to takiego... ?.

- Kupiłem to z myślą o twojej ślubnej sukni, Heleno - odparł głosem ponurym i upartym. - Zawsze chciałem, żebyś miała zielony jedwab. A suknia będzie wyglądała szczególnie pięknie w połączeniu z tym. - Delikatnie uniósł dłoń Heleny i nałożył na jej palec złoty pierścień ozdobiony sześcioma szmaragdami.

Zrozumiała od razu. Ten śliczny, filigranowy wzór był jej znany jak najbliższy przyjaciel. Objęła palcami dłoń Cama, spoglądając na pierścień.

Przesunął kciuk niżej, nachylił się i pocałował ją w dłoń. Zmęczone rysy jego twarzy i zmarszczki wokół oczu świadczyły o tym, że jest bardzo wyczerpany.

- Jeśli już nie masz naszyjnika, Hellie, nie będę zły, bo możemy zrobić jego dokładną kopię...

- Mam go - powiedziała szybko przez ściśnięte gardło.

Odetchnął z wyraźną ulgą. To miało dla niego duże znaczenie. Przecież sprzedając naszyjnik, mogłaby sto razy naprawić dach w swojej rozpadającej się chacie.

- Przywiozłem też z Londynu specjalne pozwolenie, Heleno - dodał cicho. - Mówiłem, że nie będę cię popędzał, ale w tym względzie skłamałem. Natychmiast weźmiemy ślub - podjął stanowczym tonem. - Jeszcze przed wyjazdem z Salisbury. Nie zamierzam czekać. Nie zniosę tego napięcia. Tak więc zrobimy to jutro rano w katedrze. Wszystko już umówione, słyszysz? Do diabła z moją żalobą. A ten zielony jedwab, cóż, przykro mi, ale będziesz go nosić później.

Poczuła wzbierające łzy. Nie dał jej dojść do słowa, zamykając jej usta kolejnym pocałunkiem. Objął ją w talii.

- Nic nie mów, Heleno, słyszysz? - powiedział szorstko i nachylił głowę, opierając czoło na jej czole. - Mam już dosyć kłótni na temat tego, co los nam przeznaczył już dawno temu. Popełniliśmy jeden błąd, że zwątpiliśmy w siebie nawzajem. Ale teraz już we mnie nie wątp, Heleno. Bez względu na to, jakie wyzwania postawi przed nami życie, a będzie ich niemało, pójdziemy dalej razem. Ochroni cię moje nazwisko. Więc już nic o tym nie mów.

- Więc mam nic nie mówić? - spytała i wsunęła głowę pod jego podbródek. - Zupełnie nic?

Zaśmiał się lekko, z rezygnacją.

No tak, przecież ty się mnie nie posłuchasz choćby przez chwilę, prawda? No dobrze, Heleno. Powiedz to!

- Tak - rzekła cicho. - Już powiedziałam. Tylko jedno słowo.

Epilog

A więc kołędujemy!

W wielkim holu dworu Chalcote służący i dzierżawcy zebrali się pośród gęstych girland zieleni i stołów zastawionych obfitością jedzenia i trunków. Na balkonie nad szerokimi schodami kwartet muzyków z miasteczka grał na smyczkach wiejskie melodie i kolędy, zaś pogrążony w spokoju świat zewnętrzny pokrywała dwucalowa warstwa świeżego śniegu, przypominająca gruby biały dywan, rozpościerający się na polach i lasach Gloucestershire.

Na stole najbliższym wejścia leżały starannie poukładane prezenty - grube wełniane szale, skórzane rękawiczki, przeróżne zabawki i słodycze. Za stołem stał Milford, który przy pomocy Ariane wybierał najwłaściwszy upominek dla nowo przybyłych gości, którzy wchodzili, śmiejąc się i wesoło rozmawiając, tupaniem strząsając z butów śnieg.

Helena czuła się tak, jakby naprawdę wreszcie wróciła do domu. Z żółtego salonu przyniesiono dwa wysokie krzesła w stylu Tudorów i umieszczono je na prowizorycznym podwyższeniu zbudowanym koło drzwi do oranżerii. Z tego miejsca Helena i Cam pozdrawiali gości, którzy przybywali przez dobre dwie godziny. Lecz Helena spostrzegła, że on ani na chwilę nie spuszcza czujnego wzroku z Ariane.

Ariane stała u boku Milforda, uśmiechając się nieśmiało do wszystkich. Chociaż tylko od czasu do czasu bąkała coś na powitanie, to w oczach dziecka widać było prawdziwą przyjemność, gdy podawała kolejne paczki z upominkami.

Cam odchylił się nieco do tyłu i kielichem pełnym grzanego wina wykonał dyskretny gest w tamtym kierunku.

- Spójrz na Ariane - powiedział cicho. - Wydaje się taka... szczęśliwa. Taka... normalna. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

Goście podeszli bliżej schodów, żeby popatrzeć na muzykantów, którzy właśnie zagrali znaną kolędę w porywającej interpretacji. Wykorzystując moment prywatności, Helena szybko pocałowała Ca-ma w policzek.

- Oczywiście, że Ariane jest normalnym dzieckiem - zgodziła się. - Lecz musisz wiedzieć, mój drogi, że to nie moja zasługa. Ona nigdy nie była chora, lecz tylko wystraszona i zdezorientowana. Była pełną lęków małą dziewczynką, która starała się robić to, co uważała za dobre. Próbowała dochować matczynej tajemnicy, tak jak ją o to poproszono.

Milczał przez chwilę.

- Heleno... czy ty myślisz, że Ariane pamięta? - W jego głosie zabrzmiała nuta niegdysiejszego bólu.

- Nie, ona ma tylko jakieś mgliste wspomnienia. Myślę, że pamięta jakiś pożar i że to miało coś wspólnego z Thomasem Lowe'em. Jej jedyne wyraźne wspomnienie to zakaz mówienia na ten temat; zresztą sama dobrze nie rozumiała, o czym nie wolno jej mówić.

- Chodzi ci o związek jej matki z proboszczem? - spytał posepnie.

- Tak, wybacz.

- Nie martw się, Heleno - odpowiedział uspokajająco. - To nie stanowi dla mnie problemu. Przynajmniej nie tak, jak myślisz. Po prostu mam nadzieję, że te wszystkie wspomnienia kiedyś przybladną i odejdą w siną dal.

Delikatnie poklepała go po kolanie.

- To się już prawie stało. A ty i ja razem dopilnujemy, żeby już nie wróciły. Zapewnimy jej rodzinę, która będzie bastionem siły i spokoju.

- Moja kochana! - Nakrył ręką jej dłoń i lekko uściskał. Lecz nagle przez jego twarz przemknął grymas niepewności. - Ale czy nie myślisz, że od trzech tygodni Ariane jest jakaś poważna? Muszę wyznać, że mnie to niepokoi.

Zaśmiała się cicho.

- Och, Cam! Ty zawsze znajdziesz sobie powód do zmartwień, prawda? Ariane po prostu tęskni za Bentleyem. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wielkie nieba, masz rację! - Odczuł wyraźną ulgę. - A właśnie, ciekawe, gdzież ten diablik się podziewa.

- Bez wątpienia cały czas jest w Paryżu. Wiem, że chciał się wybrać do Włoch, ale chyba tak łatwo nie porzuci Paryża, gdy już poznał urok tego miasta. Często o nim myślisz, prawda? Może tęsknisz za nim tak samo mocno jak Ariane?

Zaśmiał się.

- Nie potrafię zbić cię z tropu nawet na minutę

- powiedział ze skargą w głosie. - Tak, brakuje mi tego nicponia. Ale przede wszystkim to martwię się o niego. - Spoważniał. - Wydarzenia w Salisbury odcisnęły na nim głębokie piętno. Wiem, dlaczego to zrobił. A co ja uczyniłem, żeby mu to wynagrodzić? Umożliwiłem przejęcie parafii Świętego Michała przez Basila! Cud prawdziwy, że Bentley mnie za to nie znienawidził. Zresztą może się mylę.

- Twój brat nie czuje do ciebie nienawiści, kochany - powiedziała z lekkim naciskiem. - Mówiąc prawdę, on bardzo wydoroślał. Po prostu nie

możemy oczekiwać, że będzie mieszkał tutaj, jako sąsiad Joan. Może kiedyś, gdy trochę zaleczy rany swego serca.

- Dobrze postąpiłem, jeśli chodzi o Basila, prawda? To znaczy, wiem, że Bentleyowi trudno było to przełknąć, ale przecież muszę zająć się Joan.

Kiwnęła głową.

- Tak, kochany. Zrobiłeś, co należało, a Bentley też to zrozumiał. Zobaczysz, że ta zagraniczna wycieczka bardzo dobrze mu zrobi. Na pewno zakocha się w jakiejś pięknej *mademoiselle*, zanim ten rok dobiegnie końca.

- Gorąco popieram!

- Kocham cię - powiedziała - i to się nigdy nie zmieni. Tylko popatrz, jak wszystko się wspaniale układa w te święta. - Wskazała wielki hol. - Mamy naszych przyjaciół, naszą rodzinę. Zaufaj mi, Cam. Zobaczysz, że Bentley też kiedyś zostanie kimś. I to niedługo.

- Tak. Tylko nie podejmuję się odgadnąć kim. Modłę się tylko, żeby zbyt wcześnie nie zginął w konnym pościgu albo w pojedynku o świcie.

- Och, Camden, dajże spokój! - Zaśmiała się. - Chyba w ogóle w niego nie wierzysz. Poza tym to bardzo dobry strzelec.

- Nie mamy od niego wiadomości już od dwóch miesięcy. - Poruszył się niespokojnie. - Ale chyba powinniśmy założyć, że brak wiadomości to dobra wiadomość.

Helena się uśmiechnęła.

- Co do wiadomości, kochany, to ja też mam jedną dla ciebie. I jest to wiadomość bardzo dobra! - Cofnęła dłoń i delikatnie pogładziła się po brzuchu.

Patrzył na nią uważnie dłuższą chwilę i nagle się rozpromienił.

- Och, najdroższa! Chyba nie chcesz powiedzieć... ?! To znaczy, miałem nadzieję... to moje największe marzenie... ale nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko.

- Wiesz, kochany, ja już nie mogę się doczekać. Zmarnowaliśmy tyle lat i ja nie chcę stracić już ani jednej chwili życia, które nam zostało.

Bardzo delikatnie pocałowała go w policzek.

Ujął ją za ramiona i pocałunek w policzek przerodził się w bardziej namiętny.

Minęła dłuższa chwila, gdy pan i pani tego domu spostrzegli, że zgromadzeni goście całkowicie stracili zainteresowanie kolędą gdzieś w połowie pieśni.

I wtedy ów niezwykle poważny i jakże poprawny hrabia Treyhern zaczerwienił się jak burak, a zebrani w holu goście zgotowali jemu i jego małżonce radosną owację.